

Saga, która stała się inspiracją dla twórców serialu

WSPANIAŁE STULECIE

DEMET ALTINYELEKLIOĞLU

TAJEMNICE
DWORU SUŁTANA

Safiye

KSIĘGA IX

Demet Altinyelekliođlu

SAFIYE. ZŁOTA ODALISKA. KSIĘGA IX

Tajemnice dworu sultana

przełożyła Agnieszka Erdođan

Dla Doğa i Seymen...

Możecie wrzucić mnie w ogień, lecz nie skazujcie mnie na tęsknotę za Wami. Ramiona naszego pana są dla jego sługi rajem, a tęsknota – piekłem. Odbierzcie mi duszę, ale nie załujcie mi dotyku Waszych ust na mojej skórze, Waszych silnych ramion oplatających moją talię i miłosnego sorbetu. Nie myślcie, że jesteśmy podobne do innych dziewcząt. Nie mamy cierpliwości, żeby czekać na spotkanie z naszym panem. Zamiast umierać każdego dnia tysiąc razy, wolimy odejść z tego świata. Niech piszą o nas wiersze i eposy. Zamiast Szirin, Lejli i Zulejki niech opowiadają moją historię. Niech powiedzą: „Z nadmorskiej krainy przybyła do pałacu szalona dziewczyna i zakochała się w sultanie. Sądziła, że wielki padyszach świata będzie kochał tylko ją, że nie powącha innej róży. Dziewczyna została panną młodą w szkarłatnym welonie, tak jak to sobie wymarzyła. Ale niestety... Zdała sobie sprawę, że w sercu jej pana nie ma miłości, a co więcej, nie różni się dla niego niczym od dziewcząt, które przewijały się przez łóżko padyszacha i których imion nawet nie pamiętał. «Życie bez mojego pana jest dla mnie torturą», wylewała krwawe łzy. Pewnej nocy, zanim ciemność spotkała się ze świtem, wstała z łóżka. Wyciągnęła spod poduszki zimny sztylet owinięty w białą tkaninę, który już od dawna tam ukrywała, i wbiła sobie w pierś płonącą z miłości do padyszacha. Gdyby nie biała tkanina, która od krwi stała się szkarłatna, jedyna pamiątka pozostała po tej nieszczęsnej, szalonej dziewczynie, nikt nie pamiętałby, że kiedykolwiek żyła na tym świecie”. Niech tak mówią i tak piszą. Wszyscy o tym wiedzą. Jeśli ktoś nie wie, niech się dowie. Nie rzucam słów na wiatr. Jeśli coś powiem, to tak będzie. Teraz już wiecie. To moja przysięga. Jeśli moje słowa wzbudzą gniew mojego pana, niech powierzy tę sprawę zakrzywionemu sztyletowi. To moja szyja. Niech przyjdzie czarny kat i odbierze mi życie. Cóż z tego?

Na drodze do mojego szczęścia poświęcę nie jedną, lecz tysiąc Safiye.

I

Yenikapı

Pałac sultanki matki

6 grudnia 1583 roku

Kiedy weszła do komnaty, przeszedł ją dreszcz. Poczowała, jak po jej twarzy prześlizgnął się zimny oddech. Ponieważ raziło ją światło, pomieszczenie, w którym wszystkie kotary były szczelnie zasłonięte, rozjaśniał jedynie wąty, żółty płomień pojedynczej lampy. Zatrzymała się na chwilę i spojrzała na bladą jak ściana twarz kobiety leżącej nieruchomo w łóżku, która w ciemności wydawała się świecić. Zasłona śmierci zaczęła okrywać oblicze kobiety. „Dobrze się spisała – przeszło jej przez myśl. – Nie minął nawet miesiąc”.

Zawahała się przez chwilę. Później zaś ruszyła w stronę łóżka pewnym, a nawet wojowniczym krokiem. „Odejdźcie”, dała znak głową. Grupa kobiet zebrana wokół łóżka wycofała się, kłaniając z szacunkiem. Nawet nie zwróciła uwagi na cierpienie malujące się na ich twarzach. I tak to wszystko było sztuczne. Przypomniała sobie próby, jakie czyniła przed lustrem, żeby przybrać na twarz taki sam pełen bólesci wyraz. Musiała wyćwiczyć ból, bo go nie czuła. Nie dlatego, że go nie знаła – po prostu nie czuła.

Siedząca przy łożu starsza kobieta co chwila przymykała oczy. Być może dlatego nie opuściła komnaty mimo rozkazu. Jej wargi stale się poruszały. Szeptala coś, dmuchając w twarz kobiety przeżywającej swoje ostatnie godziny.

– Wy także odejdźcie, hodźo – poleciła.

Nie chciała, żeby ktokolwiek był przy niej.

Staruszka, obracając głowę najpierw w jedną, a potem w drugą stronę, dmuchnęła, żeby odpędzić złe duchy, a później ze zdumieniem spojrzała na młodą kobietę. Przez chwilę wydawało jej się, że się przesłyszała. Kto odprawiałby od łóżka chorego modlącą się hodźę?

Kobieta próbowała się przesunąć w inne miejsce.

– Ale... – Nagle urwała. Musiała zobaczyć iskry w oczach nowo przybyłej. Podniosła się ociężale i skierowała do drzwi. – Trzeba mieć nadzieję w Bogu.

Kiedy kobieta zdecydowanie machnęła ręką, hodźa pochyliła głowę i odeszła w milczeniu. Odwróciła się jeszcze w progu i spojrzała na nią z resztką nadziei. „Najwyraźniej kieruje nią ból”, pomyślała. Jak inaczej mogłaby odprawić osobę, która modli się nad głową kogoś, kto jest bliski wydania ostatniego tchnienia. Czekala, aż kobieta pożałuje tego, co zrobiła, i powie: „Chodź. Nie szczędź jej modlitwy”.

Tymczasem ta zupełnie się tym nie przejęła. Odwróciła się plecami do drzwi, dając jej do zrozumienia, że nie przywoła jej z powrotem. Bezradna staruszka wyszła. Służące czekające na zewnątrz spojrzały na nią z wyczekiwaniem, jakby pytały: „To koniec?”. Kiedy z wyrazu twarzy kobiety pojęły, że tak jak one została wyrzucona, zanim chora przeszła na stronę śmierci, w jednej chwili zaczęły szeptać między sobą:

– To koniec świata.

– Oczywiście, że koniec świata. Już czas, żeby po tylu grzechach Bóg zesłał na nas ogień.

– Wypluj te słowa, dziewczyno. Przecież to nie my popełniłyśmy grzech. Dlaczego

mamy cierpieć za grzechy innych? Niech w ogniach piekielnych spłonie ten, kto grzech popełnił.

- Odmówiła jej nawet modlitwy.
- Takiej synowej nie życzy się nawet wrogowi.
- Ciii... Oszalałaś? Cicho bądź!

Ich głosy odbijały się echem w jej głowie. Później się nimi zajmie. Jej twarz ściągnął dziwny wyraz. Jeśli zobaczyłby ją ktoś, kto jej nie zna, mógłby nawet pomyśleć, że się uśmiecha. Tymczasem działo się tak, kiedy targana gniewem snuła plany. Gdy podejmowała decyzje dotyczące czyjejs przeszłości.

Hodza też pewnie przysiadła na kolanach po drugiej stronie drzwi i recytowała swoje modlitwy. „I na co się to teraz zda?”, przeszło jej przez myśl. Kto to widział, żeby modlitwa była antidotum? Kto to słyszał, żeby ktoś uratował się lub został uratowany dzięki modlitwie?

Przez chwilę stała przy łóżku, przyglądając się coraz bledszej twarzy kobiety, której tylko głowa wystawała spod kołdry. Oczy miała zamknięte. Cienie pod nimi i posiniałe powieki sprawiały, że na pierwszy rzut oka przywodziły na myśl bezdenne dziury. Przyprószone siwizną włosy rozsypane były na poduszce. Krew już dawno odpłynęła jej z twarzy. Piękne, jędrne, różowe policzki kobiety, które i na niej robiły zawsze ogromne wrażenie, teraz były jak głębokie doły. Zapadnięte wargi przypominały dwie linie. Co jakiś czas widać było delikatne drżenie w kąciku ust. To coraz płytszy oddech wydobywał się na zewnątrz, przygotowując człowieka o drżenie. Jej ręce, które położono na kołdrę, leżały nieruchomo jak dwie hebanowe gałęzie. Piękność rozświetlająca epokę zapadała się w ciemność.

Jej spojrzenie na chwilę zatrzymało się na dłoniach chorej. Drgnęła z przerażenia. Palce wyglądały jak kości powleczone siną, pomarszczoną skórą.

Poczuła, że jest jej żal. Przez chwilę pożałowała, że przyszła. Ale nie miała innego wyjścia. Do końca musiała grać swoją rolę. Ona też pewnie chciałaby, żeby tak było. Musiała stawić czoło śmierci, niezależnie od tego, skąd i po kogo przychodziła. Jednak patrzenie na nią w tym stanie sprawiało jej ból. Był czas, że wierzyła, iż jest najpiękniejszą i najpotężniejszą kobietą na świecie.

Wahała się, czy usiąść na łóżku. Jak długo jeszcze mogło to trwać? Ile czasu jej zostało?

Powiedzieli: „Będzie bezboleśnie. Powoli, ale bez bólu”. Naprawdę tak było? Od miesiąca każdego dnia, w każdej godzinie topniała na jej oczach. Czy cierpiała? Nawet jeśli tak było, nie dawała tego po sobie poznać.

„Dość już – powiedziała w duchu. – Niech będzie, co ma być. Niech to już się skończy”.

Czy powinna wziąć ją za rękę?

Już sama myśl, że miałyby dotknąć tych kościstych palców, przygotowała ją o dreszcz. „Nie, nie mogę tego zrobić”.

„Przynajmniej się pomódl”, odezwał się głos w jej wnętrzu.

O tym nie pomyślała. Czy chora nie zasługiwała na modlitwę? Dobrze, ale którą? Jakiej modlitwy by chciała? Taką, którą słyszała przy narodzinach, czy te, których

próbowała się nauczyć później?

Nagle zauważyła, że powietrze nie wydobywa się już spomiędzy jej warg.

Skończyło się? Umarła?

Powoli zbliżyła dłoń do ust i nosa kobiety, próbując wyczuć jej oddech.

Nic nie poczuła. A zatem wszystko się skończyło. W ciszy. Tak po prostu. Jakby zasnęła. Śmierć przyszła cicho i zabrała ją ze sobą.

Jeszcze raz się pochyliła, żeby mieć pewność. Znowu nic. Jeszcze raz... I jeszcze...

I nagle oczy zmarłej się otworzyły!

Odskoczyła z przerażeniem.

Martwe oczy wpatrywały się w nią z głębi sinych studni. W przeciwieństwie do ciała pozbawionego duszy jej oczy były żywe. Tylko ich błękit zmienił się w szarość.

– To ty?

Poczuła, jak chłód przenika ją do szpiku kości. Jej głos był nie do poznania. Jakby dochodził z tamtej strony. To było coś między rżeniem, świstem, szeptem a rykiem.

Martwe oczy poruszyły się. Zrozumiała, że próbuje ją zobaczyć.

– To ty?

– Tak.

Ten głos przyprawił ją o dreszcz.

– Światła... Chcę światła... Nie... widzę... cię. Jesteś jak cień.

„*Tym właśnie byłam* – przeszło jej przez myśl. – Do dzisiaj zawsze byłam cieniem”.

– Lampę...

– Powiedzieli, że światło razi cię w oczy – powiedziała, na chwilę wpadając w panikę.

– Światła... Światła... Proszę, trochę światła.

Podniosła się. Podeszła do konsoli i wzięła stamtąd lampę. Gdy odwróciła ją w jej stronę, zauważyła, że martwe oczy nawet nie drgnęły. Tylko głębokie bruzdy na jej twarzy napięły się z bólu.

– Nie do mnie – szepnęła umierająca kobieta. – W twoją stronę...

Nie dokończyła. Było widać, że oddycha z coraz większym trudem.

– Zapomnij o twarzy, którą przed chwilą zobaczyłaś – wyrzuciła z siebie umierająca z ogromnym trudem. Jakby bała się, że nie zdąży powiedzieć tego, co powinna. Resztkami sił wydusiła: – Zapamiętaj mnie... taką... jaką zobaczyłaś mnie... pierwszego dnia...

Głos stawał się coraz słabszy.

– Ja też... Ja też ciebie taką...

I tym razem nie mogła dokończyć. To było zbyt wyczerpujące.

Nieco bardziej przysunęła lampę do siebie.

Spojrzenie szarych oczu zmarłej skupiło się na jej twarzy. Usta poruszyły się, żeby coś powiedzieć.

– Jesteś bardzo piękna – oznajmiła w końcu.

Uśmiechnęła się mimowolnie.

– Zaśpiewaj... – jęknęła umierająca.

Co? Zaśpiewać?

Martwe oczy odczytały jej zdumienie.

– Proszę, proszę... Zaśpiewaj nam piosenkę stamtąd... Pro...

Młoda kobieta zdała sobie sprawę, że to, co się dzieje, sprawia jej coraz więcej bólu. Jakby gdzieś w niej płonął ogień. Jak nazywało się to uczucie? Litość? Żal?

– Proszę... Naszą piosenkę... – Nagle umierającej zabrakło powietrza.

Wtedy zrobiła coś, o czym myślała, że nie będzie mogła się na to zdobyć. Przysiadła na brzegu łóżka. Śledziła oczy umierającej. Zawahała się. Nie powinna tego robić, ale wiedziała, że nie uciszy głosów w jej wnętrzu. Ujęła w dłonie kościste palce.

– Już jej nawet nie pamiętam.

– Proszę! Pro...

– *Ave Maria, gratia plena...*¹ – Bezwiednie zaczęła cicho odmawiać *Pozdrowienie Anielskie*.

Zadrżała. Ile lat minęło, odkąd mówiła ją po raz ostatni? Poczwała w środku jakieś ciepło.

Umierająca przymknęła oczy. Wiedziała, że słucha jej całą sobą.

– *Ave Maria, gratia plena/ Dominus tecum;/ Benedicta tu in mulieribus,/ et benedictus fructus/ Ventris tui, Jesus...*

Pod koniec tej wnoszącej się i opadającej, błagalnej i buntującej się melodii umierająca próbowała unieść głowę z poduszki, ale na próżno. Jej twarz ściągnął ból, a z ust wydobył się krzyk.

– *Ave Maria*. – Jednak płuca odmówiły tego wysiłku. Jej ciałem wstrząsnął atak przeraźliwego kaszlu. Mimo to umierającej udało się wydobyć z siebie słowa: – Posłuchaj... Już cza...

– Nie rozumiemy, co mówicie.

– Już czaaas.

– Czas?

Umierająca przymknęła oczy.

– Czy jest noc?

Odstawiła lampę na miejsce i podbiegła do okna.

– Noc, ale zaraz zacnie świtać.

– Dobrze – powiedziała umierająca między rżeniami. – Spójrz... Czy... widzisz... gwiazdę... Czy widzisz gwiazdę zaranną?

Wyjrzała, ale jej nie było.

– Nie widzę. Niebo jest zachmurzone. Pewnie zaraz zacnie padać.

Nieruchoma twarz kobiety w łożu napięła się w przerażającym uśmiechu.

– Dobrzeeee.

Zdziwiła się. Dlaczego powiedziała, że to dobrze? Przecież kochała rozgwieżdżone nocne niebo. Po raz ostatni spojrzała przez okno i wróciła do łóżka. Stała nad głową kobiety.

Jej pierś unosiła się i opadała jak miech kowalski. Widząc, jak pozbawione życia ciało szaleńczo walczy o każdy oddech, nie mogła powstrzymać łez.

Boże, jak zaciekle walczy, żeby nie umierać! Przecież miało być łatwo. Miała nie czuć bólu.

– Zbliż... Zbliż się – odezwała się umierająca, ubiegając kolejny atak kaszlu.

Jej oczy otworzyły się szeroko z bólu i wysiłku.

Pochyliła się nad nią.

– Zbliż się.

Pochyliła się jeszcze bardziej. Pojedyncza łza spadła na policzek umierającej. Zauważyła uśmiech na twarzy kobiety. Przeszedł ją dreszcz. „Czy ona się śmieje?”, przeszło jej przez myśl.

Kobieta próbowała coś powiedzieć, ale ona nie usłyszała. Głos był niczym oddalający się, niknący szept.

Nagle gorąco zapragnęła usłyszeć ostatnie słowa umierającej. Musi je usłyszeć. To może być bardzo ważne. To może być jakiś sekret.

– Boże, nie słyszę cię.

– Zbliż się! – powiedziała umierająca dawnym rozkazującym tonem.

Teraz jej ucho znajdowało się tuż przy ustach kobiety. Zdziwiła się, że nie ogarnął jej wstręt, gdy poczuła napawający przerażeniem zapach wydobywający się z jej ust.

– Słucham. Mów.

– Ja – jęknęła kobieta zachrypniętym głosem. – Ja...

– Tak, tak. Ty?

– Ci...

– Tak. Mnie?

– Wybaczylam. *Wy... ba... czyłam... ci...*

Głos ucichł. Delikatny podmuch ustał.

Uniosła głowę i spojrzała na kobietę. Umierająca wpatrywała się w nią szarymi oczami. Powoli i one się zamknęły. Pozwoliła płynąć łzom, a one deszczem spadły na pozbawioną życia twarz, obmywając ją.

– Skończyło się – powiedziała cicho. – Skończyło się. Umarła.

Mogłaby przysiąc, że gdy nadejdzie wiadomość o jej śmierci, krzyknie: „*Moja niewola się skończyła, nie jestem już cieniem!*”, ale nie była w stanie tego zrobić.

Nie przypuszczała, że tak się stanie. Nigdy by nie przypuszczała. Nawet na chwilę nie przyszło jej do głowy, że mogłaby płakać nad jej łóżem. Ale płakała.

Jej serce zajęło się ogniem. Co oznaczały te łzy? Bezradność wobec potęgi śmierci? Bycie świadkiem śmierci kogoś, w czyich żyłach płynęła ta sama krew? Litość? A może żal?

– Proszę, Boże – modliła się – niech to nie będzie żal. Tego nie zniosę.

Przez chwilę przyglądała się obliczu zmarłej, stojąc nieruchomo. Postąpi tak, jak chciała. Na zawsze zapamięta jej twarz taką jak wtedy, gdy po raz pierwszy ją ujrzała. Piękną, potężną, wspaniałą.

Upłynęło sporo czasu, zanim wstała. Miała wrażenie, że w komnacie zrobiło się jeszcze ciemniej.

Ruszyła w stronę drzwi. Wyprostowała ramiona. Uniosła głowę. Wierzchem dłoni otarła łzy. Otworzyła drzwi.

– Skończyło się – wyszeptała do wyczekujących kobiet. – Powróciła do Boga.

Oddaliła się, nie zważając na dobiegające zewsząd lamenty.

Wyszła do ogrodu różanego, mimo że był koniec grudnia. Objęła się ramionami. Głęboko wciągnęła lodowate powietrze.

Spojrzenie utkwiała w błękitnych wodach, drżących w porannym chłodzie. Jednak ani nie widziała mew, desperacko machających skrzydłami ponad falami i zanurzających się w nie w nadziei na zdobycz, ani nie słyszała ich krzyków witających wschodzący świt.

Przed jej oczami pojawiały się wspólnie przeżyte chwile, pełne miłości słowa, rozmowy wyzwalające powodzie uczuć i palące pierś tęsknotą. Całe życie, które z nią dzieliła.

II

Stary Pałac

Harem

1560

Noc już dawno osnuła wszystko mrokiem. Nagle uchyliły się drzwi od dziedzińca odalisek. Okryta cieniem postać wsunęła głowę przez szparę i skontrolowała westybul, do którego przez pokojowe okno przesączały się smugi żółtego światła. Nikogo nie było widać. W jednym z pokoi na końcu korytarza płakało dziecko. Dało się słyszeć mruczenie kobiety próbującej je uspokoić, żeby nikt go nie usłyszał. Gdzieś rozległ się frywolny, kobiecy śmiech.

– Ciii... – skarcił ją ktoś. – Dość tego rechotania. Zaraz będzie ranek.

Ten ktoś bezgłośnie wślizgnął się do środka.

– Chodź – odezwała się, nieco szerzej otwierając drzwi. – Pośpiesz się.

Do wnętrza przedostała się druga, szczupła osoba.

– To tutaj – mruknęła pierwsza, wskazując miejsce tuż za drzwiami. – Jako kryjówkę kazałam przygotować tę ażurową szafę. Nikt nas nie zobaczy, ale my będziemy widziały wszystko.

Otworzyła drzwiczki szafy.

– Chodź, chodź.

Kiedy wysunęła rękę, żeby przyciągnąć drugą osobę, na chwilę ukazało się kobiece ramię, delikatne i białe jak kość słoniowa, ukryte pod czarną peleryną.

– Wchodź. Nie zwlekaj. Będziesz obserwować wszystko ze środka.

Weszły do szafy przypominającej ciemny otwór. Zamknęły nad sobą drzwi.

– Okropnie tu duszno, kuzynko. A do tego ciemno – skarżyła się kobieta o cienkim głosie.

– Nie ma innego wyjścia – fuknęła na nią druga. – To ty uparłaś się, żeby to zobaczyć. To jedyne miejsce, skąd możesz popatrzeć, sama pozostając niezauważona. Módl się, żebyśmy nie przyszły tu na próżno. – Nastąpiła cisza. – Ale nie sądzę. To niemożliwe, żeby grzmot w piekle pozostał bez echa. Nie patrz na to, co jest teraz. W każdej chwili może nastać sądny dzień.

Przez okratowane drzwi szafy wysunęły się dwa szczupłe palce.

– Zabierz tę rękę – złajała ją kobieta. – Ktoś może zobaczyć. Patrz tylko i słuchaj. Nawet nie oddychaj.

Nagle otworzyły się jedne z wychodzących na korytarz drzwi.

– Biegnijcie, dziewczęta! – zadźwięczał krzyk kobiety, która pośpiesznie wynurzyła się zza drzwi. – Sümbül umiera. Dziecko źle się ułożyło. Życie dziecka naszego pana jest w niebezpieczeństwie.

Dziedziniec odalisek Starego Pałacu w jednej chwili wypełnił się przejmującymi jękami mającej urodzić odaliski oraz dodającymi otuchy i karcącymi głosami akuszerki.

Jedne z drzwi otworzyły się na oścież. Pojawiły się w nich zaspane, ale piękne kobiety. Pełne współczucia i zazdrości pytania padały jedno po drugim:

– Co się stało? Która to znów rodzi w cierpieniach?

– Czyżbyś nie słyszała? Sümbül...

– To ta Bośniaczka?

Odpowiedź przyszła od dziewczyny wyglądającej zza innych drzwi:

– Bihter to Bośniaczka. Sümbül jest Albanką.

– O rety! Naprawdę umiera?

– Było wiadomo, że nie przeżyje. Widział ktoś taki brzuch wielki jak góra Kaf?

Rozległ się odgłos bosych stóp, pośpiesznie zmierzających do izby, w której Albanka walczyła ze śmiercią, rodząc dziecko padyszacha.

„*Dziś ona, jutro ja*”, myślała każda z kobiet. Odaliski, które ciągle ze sobą rywalizowały o to, która z nich trafi do łoża padyszacha i czym prędzej urodzi mu księcia, zapomniały o wzajemnej wrogości i zazdrości, jednocząc się w tej beznadziejnej sytuacji. Najważniejszym obowiązkiem akuszerki było dopilnowanie, żeby dziecko urodziło się żywe! Jeśli matka przeżyje, to dobrze, jeśli nie – trudno. To Bóg daje i odbiera. Co można zrobić?

Kiedy tak się działo, dziewczęta wracały do swoich pokoi z opuszczonymi głowami, wdychając i starając się nie okazywać radości, że mają o jedną rywalkę mniej. Przez jakiś czas wspominały zmarłą, a później dziewczyna odchodziła w zapomnienie. Zupełnie jakby nigdy nie istniała, jakby nigdy nie przemierzała tych korytarzy, skupiając na swoim pięknym ciele pełne zawiści i pożądliwości spojrzenia, jakby jej śmiech nigdy nie odbijał się echem w murach haremu.

Te godziny wypełnione bólem i skurczami porodowymi odaliski nazywały między sobą wejściem na most As-Sirat². Jeśli urodziłaś, oznacza to, że przebyłaś most, jeśli ci się nie udało...

Nikt nie myślał o losie dziecka dziewczyny, która umarła przy porodzie, wydającego z siebie rozdzierający krzyk – nie wiadomo, czy dlatego, że wyczuwało, jak okrutnym miejscem jest świat, na którym się pojawiło, czy dlatego, że nie ma już przy nim jego matki. Jeśli sprzyjało mu szczęście, przeżyło, jeśli nie – nagle zniknęło.

To właśnie była jedna z tych nocy, kiedy każda z nich o tym myślała, ale żadna nie miała odwagi wypowiedzieć głośno swoich lęków i uczuć. Prawie wszystkie drzwi były otwarte. Dziedziniec odalisek wypełnił się światłem. Przed pokojem rodzącej odaliski pełno było przepięknych dziewcząt plotkujących między sobą przyciszonymi głosami. Między nimi znajdowały się takie, które też były brzemiennie. Po ich brzuchach można było rozpoznać, że niektórym jeszcze daleko do rozwiązania, ale inne od porodu dzieliło dosłownie kilka dni.

– Ach! – zawołała jedna z ciężarnych. – A niech cię szlag!

– Co się stało? Niech twoje przekleństwo do ciebie wróci.

– Patrz przed siebie! Nie widzisz? Jestem w ciąży. Specjalnie szturchnęłaś mnie łokciem w brzuch. To moja wina, że nie potrafisz wypełnić swojego łona?

– Wyrwę ci język, więdźmo!

W takich chwilach pozostałe dziewczęta natychmiast się wtrącały i rozdzielały kłócące się kobiety, chociaż zdarzało się, że z radością patrzyły na rozgrywającą się scenę, ale teraz nie było na to czasu.

Piękność, która stała się ofiarą ataku, osłaniając rękami raczej brzuch niż twarz,

buntowała się:

– Lada dzień urodzę naszemu panu padyszachowi księcia. Widziałyście, jak mnie zaatakowała?! Gdyby sułtan o tym usłyszał, kazałby obedrzeć ją ze skóry!

Zaraz wzniosły się drwiące słowa sprzeciwu.

– Cha, cha, cha! Księcia! A skąd to wiadomo? Czyżby dziecko napisało do ciebie list: „Jestem chłopcem, matko”?

– Wody! Gorącej wody!

Przeraźliwe wołanie akuszerki sprawiło, że spór między odaliskami skończył się tak samo szybko, jak się zaczął.

– Wody! – zawtórowały dziewczęta.

Nie wiedziały, kto ma po nią pobiec. Z pewnością ktoś się znajdzie.

Chociaż lękały się krzyczeć razem z akuszerką, tłumili w sobie to uczucie wiedzione powinnością niesienia pomocy swojej towarzyszce losu, która tam w środku kroczyła nad krawędzią śmierci.

– Gorącej wody! Szybko!

Nie minęło dużo czasu, gdy z drugiego końca korytarza rozległ się przesywający krzyk:

– Zróbcie przejście!

Czarnoskóra kobieta z wielkim dzbanem, z którego unosiły się wściekle kłęby pary, przedzierała się, potrącając kobiety.

– Szybko! Otwórzcie! – Pulchna służąca zbeształa stłoczone przed drzwiami odaliski głosem urywanym z wysiłku. – Zróbcie przejście. Tej nocy odejdzie albo Sümbül Haseki, albo ja. Żebyście później nie mówiły, że gdyby Merdżan przybyła z wrzątkiem na czas, toby nie umarła.

Po tym, jak Merdżan weszła do środka, w drzwiach pojawiła się naczelna akuszerka. Zmierzyła wzrokiem kłębowisko dziewcząt.

– Ty! – Wskazała wysoką gruzińską piękność. – I ty. Ty też. Ta z tyłu. Nie rozglądaj się tak. Ty. Bihter czy jak ci tam było na imię. Chodźcie. – Liczę na was – odezwała się do dziewcząt próbujących dostać się do drzwi. – Musicie tak przytrzymać Sümbül, żeby nie poruszyła ani ręką, ani nogą. Niech wasza siła na coś się przyda.

Naczelna akuszerka pośpiesznie wciągnęła do środka cztery odaliski.

– A wy módlcie się, żebyśmy uratowały dziecko – powiedziała do dziewcząt na zewnątrz, zamykając im drzwi przed nosem.

Teraz nie mogły zrobić nic więcej, tylko czekać. Głosy zamilkły. Wstrzymały oddech.

Kiedy z pokoju wyskoczyła Merdżan z pustym dzbanem, zaczęły się przekrzykiwać, próbując uzyskać jakieś wieści, ale na próżno.

Czarnoskóra służąca oddaliła się biegiem, uderzając obcasami o dywan. Po chwili znów przyniosła do środka gorącą wodę, wykrzykując:

– Rozejść się! Rozejść się!

Nie minęło zbyt wiele czasu, kiedy Merdżan ponownie wykonała tę samą czynność, nie dając ciekawskim dziewczętom najmniejszej wskazówki, która pomogłaby im zrozumieć, co się dzieje. Później głosy znów zamilkły. W uszach wszystkich zabrzmiał

placz noworodka witającego się ze światem. Czas dłużył się okrutnie, a z każdą mijającą chwilą niepokój na twarzach dziewcząt coraz bardziej przypominał rozpacz.

W końcu drzwi się otworzyły i wyszła z nich jedna z akuserek, wycierając ręce. Nic nie powiedziała. Zresztą nie było takiej potrzeby. Wyraz jej twarzy wystarczył, żeby wszystko zrozumieć. Nie było już ani Albanki Sümbül, ani dziecka, które sprowadziła na świat.

– Czy to był chłopiec? – dało się słyszeć wśród zgromadzonych.

Akuszerka, nie odwracając się, pokręciła głową.

– Ech – mruknęła jedna z odalisek do dziewczyny obok. – I co by było, gdyby przeżyła?

– A nawet gdyby był chłopiec... – szepnęła inna. – Co by było, gdyby założyli mu na głowę koronę księcia? Czekalby, aż jego brat, który zostanie padyszachem, każe go udusić, wstąpiwszy na tron.

Dziewczęta, które pełne ekscytacji przybiegły bosy pod pokój, gdzie odbywał się poród, tym razem ciężkim krokiem rozeszły się do swoich izb. Drzwi po kolei się zamknęły. Żółte smugi światła rozjaśniające dziedziniec odalisek zgasły. Dziewczęta modliły się, niektóre rozkładając dłonie, inne wyciągając krzyż: „Boże, nie pozwól, żebym podzieliła los Sümbül”.

Większość z nich śniła o tym, żeby urodzić sułtanowi Muradowi zdrowego księcia. O tym, jak padyszach przychodzi i całuje je w czoło, jak obsypuje je perłami i diamentami. W marzeniach każdej z nich ich syn przypasał miecz i wstępował na tron. Dlaczego nie? Czy sułtanka matka Nurbanu nie przeszła przez ten dziedziniec i nie została żoną, a później matką padyszacha? Kobieta była podobna do swojej teściowej. W haremie wciąż żywa była sława Hürrem. Być może im też pisany był los ruskiej odaliski Hürrem i jej synowej Nurbanu. Kto to mógł wiedzieć? Ale pierwszym zadaniem było urodzenie wyśnionego księcia i zostanie matką syna sułtana Murada Chana.

– Dziewczętaaa! Dziewczęta! Obudźcie się! Radosne wieści!

Ich sny tym razem przerwał radosny krzyk. Piękne oczy otworzyły się zaspane i pytające. Nie minęło dużo czasu, gdy drzwi się uchyliły. Na dziedzińcu odalisek znów zapanowało ożywienie. Odaliski sułtana Murada, jedna piękniejsza i bardziej czarująca od drugiej, wyjrzały na zewnątrz.

– Kto? Kto urodził?

– Tej nocy nie ma snu.

W progu jednej z izb ukazała się akuszerka i ogłosiła narodziny:

– Gülfidan została matką księcia!

Ze środka dochodziło zawroźnienie chłopca.

– Niech któraś biegnie i przekaże naszemu panu dobrą wiadomość. Nasz padyszach ma syna.

Gdyby nie strach, wszystkie wybuchłyby śmiechem. „Jaka to dobra wiadomość”, myślała większość z nich. Dziewczęta nieustannie rodziły. Każde narodziny oznaczały umocnienie się pozycji rywalki, zajęcie bardziej uprzywilejowanego miejsca przez odaliskę, która urodziła syna. Każdy kolejny książę oznaczał dla Imperium Osmańskiego nowe zmartwienie. Padyszach nie miał dość potomstwa. W historii haremu nigdy nie było

tylu narodzin. Liczba przybyłych na świat dzieci zaskoczyła nawet akuszerki. „*Maszallah, maszallah*”, powtarzały, przewracając oczami, ale wszyscy wiedzieli, że ukradkiem, za drzwiami, wszyscy się z tego śmieją.

Ta sytuacja najbardziej zadziwiała leciwe służące, które już niejedno widziały. „Bóg obdarzył naszego pana padyszacha lwią siłą”, szeptały między sobą.

Tej nocy akuszerki i mieszkanki haremu biegały od drzwi do drzwi. Dziedziniec odalisek był gwarny jak za dnia.

Drzwiczki ażurowej szafy powoli się otworzyły. Najpierw wyszła z niej jedna osoba, a później druga. Obie bezgłośnie otworzyły drzwi i zostawiły za sobą poruszenie panujące na dziedzińcu. Na zewnątrz powitała je jeszcze jedna osoba.

– Powóz jest tam, gdzie powiedziałam, Meleknaz?

– Zaraz przy schodach.

Pośpiesznie zeszły po schodach. Nie odzywały się do siebie, dopóki nie wsiadły do powozu. Kiedy zostawiły w tyle ogród Starego Pałacu, jedna z tych osób odsłoniła głowę. Wyłoniła się piękna, kobieca twarz. Kobieta miała około czterdziestu lat, ale wciąż była wystarczająco urodziwa, żeby zawrócić w głowie.

– Widziałas wszystko, Safiye?

– Widziałam, kuzynko.

– Ile razy mam ci powtarzać, żebyś nie mówiła do mnie „kuzynko”? Jestem Nurbanu. Sułtanka matka Nurbanu. – Później zwróciła się do kobiety siedzącej obok spowitej w czerń postaci, którą przed chwilą zganiła: – Meleknaz, odsłoń jej głowę. Wyjechałyśmy z pałacu. Nie ma sensu się ukrywać. Nawet jeśli nas zobaczą, to już nie ma znaczenia.

Nie dając sposobności kobiecie, ruchem głowy zrzuciła kaptur peleryny. Na ramiona spłynął jej wodospad jasnych włosów. Uroda dziewczyny rozświetliła wnętrze powozu niczym wschodzące słońce.

„*Boże* – westchnęła Nurbanu. – Jest taka piękna i świeża. Taka czysta”.

– Wszystko słyszałaś?

– Tak.

Sułtanka *valide* Nurbanu nachyliła się do dziewczyny.

– A teraz nadstaw uszu i posłuchaj uważnie tego, co powiem. I dobrze to zapamiętaj. Osmanie nazywają to miejsce dziedzińcem odalisek, ja nazywam je piekłem odalisek. To piekło pięknych, ale głupich. Ty jesteś Baffo, mała kuzynko. Baffo powinny ufać swojemu rozumowi, a nie urodzie. Ty też bądź mądra. Jeśli mnie posłuchasz i zrobisz, co mówię, jeśli podążysz moją drogą, dotrzesz do rajy. Zostaniesz żoną mojego syna i sułtanką Imperium Osmańskiego.

Zamilkła. Oparła łokcie na kolanach i przechyliła się do dziewczyny. Utkwiła wzrok w jej oczach. Dziewczyna odwzajemniła jej spojrzenie.

– Jeśli zaś zaufasz nie mnie, ale swojej urodzie... – ciągnęła Nurbanu. Jej głos tym razem bardziej przypominał syk. – Jeśli będziesz sądziła, że potęga i władza pochodzą wyłącznie z łoża, jeśli spróbujesz we mnie ugodzić i mnie wyprzedzić, tam właśnie skończysz. W piekle.

Dziewczyna patrzyła na nią hardym wzrokiem.

– Nie martw się, kuzynko – odezwała się gorliwym szeptem. Z jej oczu tryskały iskry. – *Moja droga nie prowadzi do piekła*. Safiye prędzej trafi do czarnej ziemi niż na dziedziniec odalisek.

Aga haremu Hüseyin z Jemenu przybył do padyszacha i ucałował jego szatę dopiero po porannej modlitwie.

– Dobre wieści, mój chanie. Z bożej łaski w domu mojego czcigodnego sułtana przybyło jeszcze siedmioro dzieci z rodu świętej pamięci sułtana Osmana i Murada Chana.

Padyszach spojrział na haremowego agę zaspanym wzrokiem.

– Ilu z tych siedmiorga to chłopcy?

– Urodziło się troje książąt, panie.

Aga haremu nie uważał za konieczne wspomnianie, że Sümbül i jej córka umarły podczas porodu. Zamiast tego pokłonił się nisko i go pozdrowił.

– Niech Bóg da naszemu panu i...

Padyszach, wiedząc, że Hüseyin zamierza wygłosić mowę i modlić się o jego zdrowie i pomyślność, odprawił mężczyznę ruchem dłoni. Próbował nazwać uczucie, które go ogarnęło. To była duma? „Komu dane było zostać ojcem siedmiokrotnie w ciągu jednej nocy?”, zapytał siebie. Pewnie nikomu. W takim razie powinien się cieszyć. Jednak dlaczego się nie radował?

Nie pamiętał, kto urodził mu dzieci. Wzruszył ramionami. Prędzej czy później i tak się dowie. Te, które urodziły chłopców, będą się nimi chełpić, a te, które urodziły dziewczynki, padną mu do stóp, prosząc o wybaczenie.

Żeby rozproszyć ogarniające go przygnębienie, szybkim krokiem skierował się do swojej komnaty. „*Kiedy nasza matka się dowie, znów oszaleje z wściekłości*”, pomyślał. Zachichotał, wyobrażając sobie, jak twarz matki czerwienieje i pojawia się na niej złość. Ale co mógł zrobić? To Bóg obdarzył go namiętnością, apetytem i nieustającym źródłem życia. Przecież sługa nie mógł się sprzeciwić boskiej woli. Poczł, że w jego wnętrzu znów coś się poruszyło.

– Kalfó!

Czekająca po drugiej stronie tuż przy drzwiach Mestane Kalfa, gdy tylko usłyszała głos padyszacha, weszła do środka w głębokim pokłonie i padła przed nim.

– Jak miała na imię ta dziewczyna z Abisynii, którą pokazałaś mi wczoraj w ogrodzie różanym?

– Ahter. – Głos kobiety był stłumiony, ponieważ odpowiadając, nie uniosła głowy.

– Ahter? Dziwne imię. Co może oznaczać? Pytałaś?

– Podobno oznacza gwiazdę, sułtanie – wyszeptała Mestane.

– Ahter... Gwiazda, ha! Pięknie... Bardzo odpowiednie. Skórę ma czarną, jednak wydaje się, jakby w jej oczach błyszczały miliony gwiazd. W takim razie niech ma na imię Yıldız³. Powiedz, niech przygotowują Yıldız. Przekonajmy się, jak blask gwiazd rozświetli naszą alkowę.

III

Nienawidzę! Nienawidzę!

Safiye z gniewem podniosła się znad rahli⁴.

– Nie udaje mi się! Nie potrafię!

Jej różowe policzki w jednej chwili zapłonęły. Kiedy zobaczyła, że kobieta siedząca na szerokiej otomanie przed wysokim oknem, nie zważając na nią, oddaje się robótce, jej gniew przybrał na sile. Rzuciła w kąt kogucie pióro i zamaszystym ruchem zrzuciła z pulpitu wszystko, co się na nim znajdowało.

– Kto wymyślił to cholerstwo? Nienawidzę tego! Nienawidzę!

Nauczycielka kaligrafii zaczęła zbierać rozsypane przybory do pisania i pergaminy. Ponieważ dziewczyna mówiła w języku, którego nie знаła, nie zrozumiała jej, ale była pewna, że to nie było nic dobrego.

Siedząca na otomanie i haftująca sułtanka matka Nurbanu zerknęła na dziewczynę, jakby dopiero teraz usłyszała jej krzyki.

– Ha? Co mówiłaś, Safiye? Nie usłyszałam.

To, że na jej wykrzyczany po włosku bunt kobieta wołała odpowiedzieć spokojnym tonem po turecku, wystarczyło, żeby rozwścieczyć Safiye.

– *Maledizione!* Nie rozumiałaś? Mówię w naszym ojczystym języku.

Sułtanka matka uniosła głowę znad robótki. Wbiła igłę w czerwony jedwab rozciągnięty na tamburku i wyjęła ją z drugiej strony. Później oderwała nić zębami.

– Przekleństwa nie pasują do tej ładnej twarzyczki. – Próbowwała zdmuchnąć kawałek jedwabnej nitki, który przykleił jej się do dolnej wargi. – Powiedziałam ci, że masz o nim zapomnieć, dopóki nie nauczysz się osmańskiego. Zapomniałaś? Teraz to jest twój język – mówiła dalej. – Osmański.

Czując, że nogi zaczynają jej drętwieć od siedzenia na kolanach, dziewczyna podniosła się, mrucząc coś pod nosem z niezadowoleniem. Przysiadła na brzegu otomany, na której siedziała kobieta.

– Do stu diabłów! – burknęła znów w swoim języku. – Tego też nie potrafię. Czuję się jak głupia mała dziewczyna, która dopiero zaczyna uczyć się mówić. Nienawidzę i pisma, i mowy Osmanów... Wszystkiego...

Na twarzy sułtanki Nurbanu pojawił się ukradkowy uśmiech. Uniosła głowę i spojrzała na Safiye.

– Był czas, gdy ja też tego nienawidziłam. Ale spójrz, teraz...

– *Adesso, adesso, adesso...*

– Nie *adesso*, Safiye... Powiedz. Jak jest *adesso* po osmańsku?

Z ust dziewczyny wydobył się gniewny, znudzony świst.

– Teraz.

– Widzisz? Zapamiętałaś.

Kiwając głowami, damy dworu wyraziły uznanie dla sukcesu Safiye. Zrobiły to bardziej po to, żeby przypodobać się matce padyszacha, niż żeby dodać otuchy dziewczynie.

– Teraz – ciągnęła Nurbanu – z łatwością mówię i piszę po osmańsku. Zapewniam

cię. Mówię lepiej niż większość agów, bejów, wezyrów i paszów stojących przed obliczem padyszacha.

Damy dworu, potwierdzając jej słowa, nie omieszkaly udawać podziwu. Ostatnie, czego chciały, to to, żeby dziewczyna rozgniewała sułtankę, co zdarzało się dość często i tylko Bóg raczy wiedzieć, dlaczego matka padyszacha wyładowywała swój gniew na nich, a nie na Safiye, która czasem doprowadzała ją do obłędu.

Safiye pojawiła się u boku sułtanki matki z dnia na dzień i weszła do jej armii dam dworu. Dziewczyna była niezwykle piękna. Nawet Bóg musiał być dumny ze swojego dzieła. Człowiek nie mógł się nasycić widokiem jej złotych włosów, kształtnych brwi, mieniących się granatem oczu, małego, zadartego nosa, pełnych warg, szyi, której mogły pozazdrościć jej łabędzie, oraz wspaniałej sylwetki. Kiedy tak szła, kołysząc się delikatnie, nawet kobiety nie mogły się powstrzymać, żeby nie westchnąć z podziwu pomieszanego z zazdrością. One także były piękne, jednak musiały spojrzeć prawdzie w oczy. Safiye była inna. Miała niezwykłą aurę, swoisty czar.

Od blisko dwóch lat towarzyszyła matce padyszacha. „Trudno nazywać to życiem”, szeptało między sobą. Sułtanka *valide* nawet raz nie pozwoliła dziewczynie przekroczyć bram pałacu. Nie zezwalała jej też na swobodne poruszanie się na oczach wszystkich.

Matka padyszacha tak bardzo drżała o Safiye, a nawet ją ukrywała, że po pewnym czasie stało się to tematem plotek. „Czyżby była zazdrosna o dziewczynę?”, szeptały między sobą ukradkiem służące.

– Czy nasz pan nie słyszał, że jego matka ukrywa huryskę?

Kiedy padały te słowa, damy dworu zaczynały bezgłośnie chichotać.

– Jak mógł o tym nie słyszeć, dziewczyno? Mówią, że nawet gdyby jakaś piękność ukryła się za górą Kaf, czcigodny sułtan zwęszyłby jej zapach. Bóg obdarzył naszego pana tak wyczulonymi zmysłami.

– Słyszał, słyszał – szepnęła inna pośród śmiechów. – A jak myślicie, dlaczego Payidar Kalfa co chwila przyjeżdża tu z Nowego Pałacu pod byle wymówką?

– I co z tego, że przyjeżdża, moja śliczna, jeśli sułtanka natychmiast wysyła Safiye w najdalsze części pałacu?

– A swoją pierwszą damę dworu Meleknaz za nią oczywiście.

Niektóre śmiały się wymownie.

– Skąd taka troska? Tylko kochanka można tak więzić.

– No wiesz co! Wstyd. I co jeszcze?

Jakby nie dość było tego, że nie spuszczała oka z Safiye, zatrudniła dla niej rzeszę nauczycieli: nauczyciela etykiety, języka, kaligrafii, czytania, muzyki, haftowania, tańca, którzy dbali o edukację dziewczyny. Po popołudniowej modlitwie przychodziła do niej osobliwa kobieta, Dżanfeda⁵. Nie wiadomo było, czy naprawdę tak się nazywała, czy też mówiła tak o sobie, żeby przypodobać się sułtance. Czegokolwiek Dżanfeda uczyła dziewczynę, zamykały się w komnacie na dwie godziny.

Wielokrotnie służące, wiedzione ciekawością, próbując znaleźć jakiś sposób, żeby dostać się do środka, mówiły:

– Na pewno są spragnione. Zaniosę im chociaż zimnego sorbetu.

Ale dostępu broniła im Meleknaz.

– Mają lekcję. Nie przeszkadzajmy. Jeśli będą czegoś chciały, powiedzą.

Żadna z nich nie miała odwagi zapytać, co to za lekcja. Nie śmiały wypytywać pierwszej damy dworu, którą sułtanka matka nazywała swoją „towarzyszką niedoli”.

Jednak ciekawość odbierała im zmysły.

Sułtanka Nurbanu największą wagę przykładła do lekcji języka osmańskiego. Zakazała dziewczynie odzywać się w jej języku ojczystym. Co więcej, nakazała swoim sługom:

– Nie ważcie się. Jeśli zwróci się do was po włosku, nawet jeśli ją zrozumiecie, nie odpowiadajcie. Pozostawajcie głuche na jej słowa, dopóki nie powie, czego chce po osmańsku. W przeciwnym razie będzie z wami źle.

Poza tym sułtanka matka sama dawała jej lekcje.

– Szklan-ka... Powiedz. Szklanka.

Safiye, śledząc ruch warg sułtanki, powtarzała z trudem:

– Szlaaan-kaaa.

Nawet jeśli dziewczyna buntowała się, sułtanka nie wpadała w gniew, tylko wpatrywała się w jeden punkt nieobecny wzrokiem. Wszystkie damy dworu wiedziały, że w takich chwilach ich pani wypływa na morze swoich wspomnień, i nie odzywały się ani słowem. Po chwili Nurbanu zbierała się w sobie.

– Ach, jak ten czas leci. W pierwszych miesiącach mojego pobytu w haremie ja też się tak uczyłam. Nie ociągaj się, włożysz suknię, jaką dla ciebie uszyłam. No dalej, mów... „Mój drogi sułtanie, mój chanie nad chanami”. Powtórz.

Safiye, bezradnie mrugając oczami, starała się powtórzyć to zdanie, które zdawało się nie mieć końca:

– Móój drooogiiii suułtaaanieeee... Móój cheeenieeee... *No, no!* Nie potrafię! Nie umiem tego powiedzieć. Zapominam.

Żadna z dziewcząt nie wiedziała, dlaczego sułtanka Nurbanu jest tak wyrozumiała dla dziewczyny. Wszystkie zastanawiały się też, co mogą znaczyć słowa: „Włożysz kaftan, jaki dla ciebie uszyłam”, które tak często słyszały. Czyżby matka wielkiego padyszacha Murada Chana uszyła kaftan dla damy dworu? Poza tym żadna z nich nie widziała tego kaftana.

Niewiele słyszały o tajemniczej dziewczynie. Niektóre mówiły, że naprawdę ma na imię Cecilia, ale były też takie, które twierdziły, że nazywa się Sophia. Krążyły też pogłoski, że dziewczyna jest krewną sułtanki matki i tak jak Nurbanu pochodzi z rodu Baffo, ale ucichły tak samo szybko, jak się zaczęły. Sułtanka *valide* nazywała ją Safiye, ale kiedy któraś zawołała za nią „Cecilia” albo „Sophia”, dziewczyna wciąż się oglądała.

Nauczycielka kaligrafii ponownie ułożyła na rahli porozrzucane pergaminy i kogucie pióro i usiadła.

– Dalej, Safiye, nie każ nauczycielce czekać.

– Nie potrafię tego napisać... Te pokracczne zawijasy i wywijasy.

Nurbanu odłożyła robótkę na atlasową poduszkę i pochyliła się nad dziewczyną. Ujęła ją pod brodę i spojrzała w oczy.

Nurbanu, widząc, że oczy dziewczyny zaczynają wypełniać się łzami, kłaśnięciem odprawiła damy dworu. Została tylko Meleknaz. Teraz w pomieszczeniu znajdowały się

trzy osoby mówiące tym samym językiem i w których żyłach płynęła ta sama krew.

– Nie wytrzymam tego – mruknęła Safiye. – Nie wytrzymam... Tęsknię za matką... Za ojcem... Za Wenecją... Za piosenkami... Za wszystkim. Czuję, jak tęsknota pali mnie w sercu.

Safiye przycisnęła ręce do piersi. Błagalnym wzrokiem spojrzała na Meleknaz. Lubiała ją. Kobieta też miała łzy w oczach.

Sułtanka matka przygarnęła piękną głowę dziewczyny do swojej piersi. Safiye wciągnęła w płuca zapach urodziwej kobiety, niegdyś wyklętej przez całą rodzinę. Nurbanu zaś pogłaskała po włosach swoją małą kuzynkę.

– Wytrzymasz – wyszeptała jej do ucha. – Jesteś Baffo.

– Nie mam już siły, ciociu.

Nurbanu pozwalała jej nazywać siebie ciocią tylko wtedy, gdy zostawały same.

– W chwilach, gdy będziesz myślała, że nie masz już sił, przypomnij sobie moje słowa. Ja z pijusa uczyniłam padyszacha i urodziłam padyszacha Imperium Osmańskiemu. Teraz twoja kolej. Nałóż na głowę koronę. Niech jeszcze jedna Wenecjanka wyda na świat osmańskich władców.

– Ja nie jestem tak silna jak ty.

Nurbanu nachyliła się i zajrzała w szkliste oczy dziewczyny.

– Otrzyj łzy ze swoich pięknych oczu. *Królowe nie płaczą.*

– Nie jestem żadną królową – próbowała opierać się Safiye.

– Będiesz nią. Nigdy nie waż się mówić, że pozwolisz, żeby któraś z dziewcząt, od których roi się w haremie, zdobyła koronę, którą my podałyśmy ci na złotej tacy, *Cecilio Sophio Baffo*. Czasu jest coraz mniej. Znamy swojego syna. W każdej chwili może się zadurzyć w jakiejś dziewczynie i popełnić szaleństwo, którego nie uda mi się powstrzymać. Może ją poślubić. Nie wolno nam zbyt długo zwlekać. Musisz ciężko pracować. Meleknaz, wezwij nauczycielkę, niech kontynuuje lekcję.

Kiedy kobieta na znak swojej pani skierowała się do drzwi, na zewnątrz rozległy się zagniewane głosy.

– Stójże!

– Śpieszy mi się – odpowiedziała.

– Nie wolno stawać przed sułtanką matką bez pozwolenia. Musisz czekać przy drzwiach.

– Przybywam z Nowego Pałacu. Mam dla sułtanki matki bardzo ważną i pilną wiadomość. Zapukam do drzwi, padnę jej do stóp, poproszę o wybaczenie i pozwolenie, żeby z nią porozmawiać.

Pomruki niezadowolenia dam dworu i służących słyhać było aż w komnacie.

Nurbanu z niepokojem spojrzała na Meleknaz. Zauważyła, że jej również udzieliło się zdenerwowanie. Nie mogły pozbyć się strachu, że skoro w jednym zdaniu padły słowa: „Ważna i pilna wiadomość z Nowego Pałacu”, musiało stać się coś złego. Tak było od lat. Jeśli jakaś wiadomość była jednocześnie pilna i ważna, z pewnością kryła za sobą coś niepomysłnego.

„Czyżby coś się stało Muradowi?”, przeszło jej przez myśl.

Poczuła, że cała drży. Od pewnego czasu czaił się w niej lęk, do którego nie chciała

się przyznać nawet przed sobą... Tyle razy próbowała dowiedzieć się czegoś od wielkiego wezyra, ale na próżno. Jednak było jasne, że jej zięć także się czymś niepokoi. Znała Sokollu Mehmeda Paszę od lat. Ilekroć spletał ręce za plecami i zaczynał krążyć po pomieszczeniu ze wzrokiem utkwionym w podłogę, nie wróżyło to nic dobrego. Zaledwie wczoraj sułtanka Ismihan powiedziała jej:

– Matko, wielki wezyr pasza czegoś się obawia, ale nie wiem czego. Wiesz, że on nic nie powie, ale czuję to. Boję się. Znów całą noc krążył po pokoju.

„Zatem Sokollu Pasza też obawia się, że janczarzy się zbuntują i zrobią coś złego padyszachowi”, przeszło Nurbanu przez myśl, kiedy usłyszała słowa córki.

Jej szpiedzy przynosili z koszar jedną wiadomość za drugą:

– Żołnierze naszego sułtana są niespokojni, sułtanko matko. Szepczą między sobą za drzwiami i podczas wart. Nikt nie wie, co się dzieje, ale morale jest coraz niższe.

Nie bez powodu szerzyło się zgorszenie, skoro tyle mówiło się o tym, że padyszach jest tak uzależniony od kobiet, że zapomniał o wyprawach wojennych i nie opuszcza haremu.

Próbowała stłumić rosnące w niej domysły. Gdyby to była taka wiadomość, nie wypadaloby, żeby przynosiła ją kobieta.

Ta myśl nie wystarczyła, żeby uciszyć budzącego się w niej potwora. „Dlaczego nie wypadalo? Może mój Murad przesłał wiadomość przez kobietę, żeby nie wzbudzać podejrzeń?”.

A może coś się stało jej zięciowi?

„To fakt – pomyślała sułtanka *valide*. – Wielki wezyr Sokollu Mehmed Pasza miał więcej wrogów niż przyjaciół”.

– Podczas gdy padyszach wyleguje się w łóżach odalisek, wielkiemu wezyrowi przypadło władanie Imperium Osmańskim – szeptali złośliwie.

– Co to ma znaczyć? Sokollu widział już trzech padyszachów, a wciąż piastuje urząd wielkiego wezyra. Czy w Wielkim Imperium Osmańskim nie ma innego sługi, który mógłby służyć naszemu panu? – powtarzali wezyrowie, paszowie i bejowie.

Hodża Sadeddin i niejaki Üveys Pasza dolewali oliwy do ognia. Dołączył też do nich aga haremu Gazanfer.

Nurbanu westchnęła. Sokollu dobrze rządził państwem, ale jak miała wyjaśnić to ludowi? Nikt nie mówił, że byłoby źle, gdyby nie Sokollu. Ale obwiniano go za wszystko.

Nagle jakby usłyszała głos swojej teściowej: „Będziesz mieszkała w pałacu, Nurbanu – wpoila jej przed laty Hürrem. – To, czego w pałacu jest najwięcej, to zdrada, dziecko. Zdrada nie śpi”.

Życie też ją tego nauczyło.

„Boże – jęknęła w duchu – czyżby, nie daj Boże, zdrada sięgnęła po jej zięcia paszę?”.

Nie była w stanie się zmusić, żeby polecić Meleknaz, aby otworzyła drzwi.

Głosy na zewnątrz znów się wzmogły.

– Trwa lekcja. Podczas lekcji nie wolno wchodzić.

– Lekcja ma zatrzymać pilną i ważną wiadomość? Mówię wam, że mam wieści, które muszę natychmiast przekazać. Jeśli sułtanka *valide* dowie się, że mnie

zatrzymałyście, każe obedrzeć was ze skóry.

Teraz damy dworu i służące również sprzeciwiały się głośniejszym tonem:

– Sułtanka matka odesłała nas wszystkie.

– Spójrz, wyprosiła nawet wielką hodżę.

– Rozmawia sam na sam z Safiye.

– Może to coś poufnego. Pod żadnym pozorem nie powinniśmy im przeszkadzać.

– Poczekaj. Za jakiś czas zapukamy do drzwi i zapytamy o jej pozwolenie.

Meleknaz spojrzała na Nurbanu pytającym wzrokiem. Safiye rozumiała tylko połowę z tego, co mówiono, ale było oczywiste, że chodzi o coś ważnego.

Jeśli się stało, to się stało. Gdyby siła jej strachu wystarczyła, żeby to zmienić, nikomu nic by się nie przydarzyło. Jeśli zaś się przydarzyło, nie miała innego wyjścia, tylko stawić temu czoła.

– Otwórz – odezwała się Nurbanu. – Dowiedzmy się, co się dzieje. Co to za wiadomość, że jeśli usłyszymy ją zbyt późno, każemy obedrzeć ze skóry nasze dziewczęta?

Meleknaz też pragnęła się dowiedzieć, co to takiego, jednocześnie dzieląc obawy swojej pani. Od dnia, kiedy los przywiódł ją do harem, nie widziała, żeby lud był tak bardzo zaniepokojony. Na targach, ulicach, wszędzie ludzie krytykowali to, co działo się w pałacu.

Pośpiesznym krokiem skierowała się do drzwi.

Tuż za drzwiami rozległ się krzyk kobiety:

– Tylko nie mówcie, że nie ostrzegałam! Jeśli zatrzymacie mnie choćby jeszcze na chwilę...

Drzwi otworzyły się, zanim kobieta zdążyła dokończyć. Kiedy Meleknaz usunęła się na bok, Nurbanu ujrzała w progu panią Düriye szamoczącą się z damami dworu.

Düriye nie przegapiła tej okazji. W jednej chwili rzuciła się do środka i padła na kolana.

– Dusza Düriye należy do mojej sułtanki. Jeśli wam uchybiłam, odbierzcie mi życie, pani. Jednak pomyślałam, że będziecie chciały czym prędzej usłyszeć wieści, które wam przynoszę.

Nurbanu i Meleknaz ponownie wymieniły zaciekawione spojrzenia.

– W takim razie mów, Düriye. Przekonajmy się, czy ta wiadomość jest wystarczająco ważna, żeby wybaczyć wam wasze przewinienie.

Safiye zdawała sobie sprawę z napięcia, które wisiało w powietrzu. Niezależnie od tego, jak bardzo Nurbanu i Meleknaz starały się to ukryć, zdradzał je wyraz ich twarzy. Skupiła całą uwagę, żeby zrozumieć, o czym rozmawiają. „Uważaj – odezwał się głos w jej wnętrzu. – To, co zaraz usłyszysz, może zmienić twoje życie”.

Kiedy Düriye przekazała tę „pilną i ważną wiadomość”, Safiye poczuła, że przez chwilę w komnacie sułtanki matki zapanował nieznośny chłód. Nagle ogarnęły ją wątpliwości. „Do diabła, czyżbym źle zrozumiała?”.

To możliwe, ale Safiye odczytała z wyrazu twarzy kobiety radość z przekazania tej pomyslniej wieści. Jednak te, które ją dostały, nie wyglądały na szczęśliwe. Na twarzach sułtanki Nurbanu i Meleknaz malowały się zaskoczenie, wstyd, a nawet gniew.

„Pewnie źle zrozumiałam”, pomyślała jeszcze raz Safiye. Ale była pewna, że kobieta powiedziała: „Przynoszę dobre wieści”. Kilka razy też wymieniła imię padyszacha.

– Murad Chan – powiedziała Düriye i padła na ziemię, ponieważ wspominała imię władcy.

Niewątpliwie też słyszała, jak wzywała Boga, unosząc dłonie ku niebu. Jednak później się pogubiła. Było tam zbyt dużo długich, niezrozumiałych słów.

„Niech to szlag – zaklęła w duchu Safiye. – Jak mam się nauczyć tego języka?”

Jej starsza kuzynka próbowała ukryć to, że nie jest zadowolona z tego, co usłyszała. Safiye, chociaż była młoda, jak każda Wenecjanka dobrze znała się na maskach. Zupełnie jakby kuzynka Cecilia – żadnym sposobem nie mogła się przyzwycząić, żeby nazywać ją Nurbanu – w jednej chwili nałożyła na twarz wenecką maskę. Zimną, pozbawioną wyrazu, ukrywającą uczucia.

Upłynęło dużo czasu, zanim wydeła usta i odetchnęła głęboko.

– Tak? – odezwała się tylko. – Naprawdę tak się stało?

Pierwsza dama dworu westchnęła ukradkiem.

Sułtanka matka powiedziała jeszcze dwa zdania, obojętnie i bez przekonania:

– Co mogę rzec? Niech im Bóg błogosławi.

Po czym gestem dłoni natychmiast odprawiła kobietę.

Düriye, spodziewająca się wynagrodzenia za przyniesienie pomyślnej wiadomości, opuszczając komnatę, starała się ukryć rozczarowanie. Safiye nie miała odwagi przerwać ciszy, która zapanowała po jej wyjściu. W rzeczywistości paliła się do tego, żeby zapytać, co się stało. Jednak widząc przygnębienie, jakie je ogarnęło, nie mogła się na to zdobyć. Nurbanu skrzyżowała nogi na otomanie i tak już została. Na chwilę odwróciła się i spojrzała na Meleknaz. Kobieta sprawiała wrażenie, jakby miała coś powiedzieć. Jednak ona też milczała. Cisza była nie do wytrzymania.

Słońce powoli zaczęło opuszczać okno komnaty sułtanki matki. Safiye poruszyła się niespokojnie na materacu, ale to nie wystarczyło, żeby przypomnieć kobietom o jej istnieniu. „Co im się stało?”, zastanawiała się. Jak pomyślna wiadomość przyniesiona z pałacu mogła wywołać takie przygnębienie? Co takiego powiedziała ta pulchna kobieta?

Nie miała innego wyjścia, jak tylko czekać, żeby dowiedzieć się, czy dobrze rozumiała. Pochyliła głowę i postanowiła policzyć kwiaty i ptaki na jedwabnym dywanie.

Nagle Nurbanu mruknęła, tak samo jak wtedy, gdy usłyszała wieść, którą przyniosła Düriye:

– Tak? Naprawdę tak się stało?

Safiye natychmiast uniosła głowę. Już miała zapytać, co się stało, ale się rozmyśliła. Nurbanu wciąż siedziała nieruchomo na otomanie.

Po chwili ogarnęło ją dziwne uczucie. Powoli obróciła głowę. Starsza kuzynka utkwiała w niej swój wzrok. Oczy Nurbanu żarzyły się jak dwa węgle w komnacie spowitej wiecznym mrokiem. Ich spojrzenia się spotkały.

– Teraz już rozumiesz, dlaczego nie mamy czasu?

Safiye jeszcze nigdy nie słyszała, żeby jej głos był tak zrezygowany. Poza tym

w tonie Nurbanu pobrzmiwał lęk.

– Co się stało? – W końcu zadała pytanie, które dręczyło ją od wielu godzin.

– Co się stało? – Meleknaz powtórzyła jej pytanie. – A co się nie stało...?

Ponownie odwróciła głowę w stronę otomany, na której siedziała Nurbanu.

– Nie wiem, czy dobrze zrozumiałam...

IV

Safiye nie musiała długo czekać, żeby dowiedzieć się, czy właściwie zrozumiała wiadomość Dürkiye.

Nurbanu, nie odrywając od niej wzroku, cedziła słowa:

– Nasz syn padyszach sprawił, że podczas jednej nocy *siedem razy zostaliśmy babcią*.

Gdy tylko skończyła mówić, jej twarz spochmurniała.

Po drugiej stronie drzwi rozległy się radosne głosy. Najwyraźniej Dürkiye Kalfa przekazała też wiadomość zaciekawionym damom dworu.

Nagle Safiye zawahała się. Co znaczyło, że w ciągu jednej nocy siedem razy została... I w tej chwili dotarło do niej, co usłyszała. Dürkiye właśnie to powiedziała: „Mam dobre wieści, sułtanko matko. Wasz syn, władca trzech kontynentów i siedmiu klimatów, sułtan Murad Chan, z Bożej łaski, uczynił swoją matkę babką siedem razy w ciągu jednej nocy... Niech jego szczęście i chwała będą wieczne, a życie długie. Niech Bóg nie szczędzi mu swojej hojności... Niech obdarzy naszego padyszacha zdrowiem i pomyślnością...”.

Dobry Boże!

– Siedem razy w ciągu jednej nocy!

Z iloma kobietami sypiał padyszach?

„Nie – powiedziała do siebie. – To nie może być prawda. Musiałam coś źle zrozumieć”.

– Siedem razy w ciągu jednej nocy!

– Do diabła, Safiye! Przestań to powtarzać!

Najwyraźniej bezwiednie wypowiedziała na głos słowa, które odbijały się echem w jej głowie.

– Czy to oznacza, że padyszach siedem razy w ciągu jednej nocy został ojcem?

Chociaż Nurbanu zakazała mówić dziewczynie po włosku, wyprostowała się buntowniczo:

– *Si, si!* Tak, to właśnie to oznacza. Musimy natychmiast zająć się kwestią twojego języka. Meleknaz, ty jej opowiedz. Krew uderzyła mi do głowy.

Jednocześnie zaś Nurbanu zastanawiała się: „Ciekawe, co będzie, kiedy żołnierze usłyszą o tym skandalu”.

Meleknaz rozpałała jedną z dużych lamp stojących na konsoli. W jednej chwili pomieszczenie wypełniło się żółtym, drżącym światłem.

– Wczorajszej nocy urodziło się siedmioro dzieci naszego sułtana.

Safiye przesłoniła ręką usta, żeby stłumić kolejny okrzyk niedowierzania.

– Do rana akuszerki biegały od jednej odaliski do drugiej. Siedem z nich urodziło, jedna po drugiej.

Nurbanu podniosła się, mrużąc z niezadowoleniem.

– Które to, Meleknaz? Wiesz? Ja już straciłam rachubę.

Kobieta delikatnie wzruszyła ramionami.

– Macie rację. Już nikt nie wie, ile ich jest.

Sułtanka matka strapiona krążyła po komnacie.

– My też nie wiemy, ile mamy wnucząt. Jedyne, co wiemy, to to, że w ciągu jednej nocy nasz syn został ojcem kolejnych siedmiorga dzieci, a my ich babką. Co za radosna wiadomość, prawda?

Safiye w końcu odjęła rękę od ust.

– Ile z nich to dziewczynki? – zapytała bez większego zainteresowania.

Kobiety popatrzyły po sobie. One tego nie wiedziały. Düriye nie miała czasu, żeby to przekazać.

– Nie wiem – odparła Nurbanu z udawaną radością. – Poza tym, co to za różnica? Stolica kipi od moich wnucząt. Może pewnego dnia zbierzemy je wszystkie na wielkim dziedzińcu. Tylko czy się zmieszczą? Powiedziałabym, że je policzymy, ale zanim skończymy, urodzą się nowe. – Roześmiała się z goryczą. – Pewnie przez dziedziniec odalisek w Starym Pałacu nie można przejść, nie otarłszy się o brzuchy, które wypełnił nasz syn.

Żadna z nich nie miała ochoty roześmiać się na te wypowiedziane z drwiną słowa.

Sułtanka matka, zauważywszy, że Meleknaz krąży po wielkiej komnacie, zapalając po kolei wszystkie lampy, krzyknęła:

– Przestań wreszcie, na miłość boską! To jakieś święto, że wszystko ma być skąpane w świetle? Los Imperium Osmańskiego ogarnia mrok, a my kroczymy w blasku!

Kobieta mruknęła coś pod nosem, po czym zajęła miejsce na materacu. Starła się tego nie okazywać, ale było oczywiste, że czuje się urażona.

– Moja towarzyszko niewoli z pirackiej koi. – Nurbanu spojrzała kobiecie w oczy. – Nie miej nam za złe, Gabriello – wyszeptła.

Nurbanu od lat zwracała się do Meleknaz jej prawdziwym imieniem tylko wtedy, gdy chciała zyskać jej przychyłność.

– Jesteśmy matką syna, któremu w ciągu jednej nocy urodziło się siedmioro dzieci. Nie wiemy, co mówimy ani robimy. – Złośliwość w jej głosie była ostra jak nóż: – Idź i uczynj to, czego wymagają tradycja i obyczaj. Otwórzcie te drzwi, żeby nasza służba zobaczyła, jak bardzo sułtanka matka cieszy się z łaski, jaką Bóg obdarzył naszego syna. Niech nasz pałac rozpromieni się blaskiem. Niech rozdadzą *lokme* i chałwę. Niech Imperium Osmańskie świętuje, że sułtan Murad, syn Selima Chana, został ojcem kolejne siedem razy. Niech wystrzelą z dział, niech zagra janczarska orkiestra.

Meleknaz, której nadąsana twarz w jednej chwili się rozpogodziła, otworzyła dwuskrzydłowe drzwi.

Na zewnątrz rozległy się radosne okrzyki:

– Niech będzie błogosławiony!

Safiye patrzyła, jak damy dworu i służba padli na ziemię i modlili się o długie życie padyszacha i jego dzieci. Kiedy się odwróciła, na twarzy Nurbanu ujrziała maskę szczęścia. Zrzuciła już maski smutku, wstydu i gniewu. Podczas gdy na zewnątrz wznosiły się modlitwy o zdrowie, długie życie i błogosławieństwo dla sułtana i jego dzieci, ona uniosła dłonie i odpowiadała:

– Amen. Amen. Niech będzie, jak mówicie.

Safiye zdała sobie sprawę, że nikt nie wspomniał o matkach, które urodziły

padyszachowi dzieci. „Co to za świat? Co to za porządek?”, przeszło jej przez myśl.

Kiedy Meleknaz wyszła, zamykając za sobą drzwi, żeby poczynić odpowiednie działania i wypełnić rozkazy swojej pani, Nurbanu chwyciła Safiye za nadgarstek i przyciągnęła do siebie. Ich spojrzenia się spotkały. Jej oczy płonęły.

– Teraz już rozumiesz, dlaczego nie mamy czasu?

Zamurowało ją.

– Śpiesz się, córo Baffo. Pochwyć swój los. W przeciwnym razie spłonie Imperium Osmańskie, spłoniesz ty i spłonę ja. Nie zostanie ani ogień, ani piec. Nie będzie tronu, na który można wstąpić, ani korony, żeby włożyć ją na głowę.

V

Safiye spojrziała na gwiazdy. Pośród czarnej nocy wyglądały jak drobinki srebra zawieszane nad jej głową. Zima była za pasem. Drzewa już dawno pogubiły liście. Tylko sosny pozostały zielone. Jednak one w ciemnościach przypominały cienie przerażających olbrzymów zadzierających głowy ku niebu. Odetchnęła głęboko, a jej płuca wypełniło chłodne powietrze. Ścisnęła na sobie grubą, wełnianą kamizelkę i się objęła. W jej uszach wciąż odbijały się jak echo słowa starszej kuzynki: „Śpiesz się, córo Baffo”.

– Śpiesz się, śpiesz się – burknęła. – Dobrze, ale jak? Co jeszcze mogę zrobić? Wciąż nie rozumiem większości tego, co do mnie mówią. Najświętsza Panienko, pomóż swojej córce Safiye.

Zadrzała, gdy zdała sobie sprawę, co powiedziała.

– Do diabła! – mruknęła. – Na pewno popełniłam grzech. Safiye? Safiye?

Jak to się stało? Jak to możliwe, że tak szybko wyzbyła się siebie? Nie minęły nawet dwa lata, a pogrzebała gdzieś Cecilie – zgoda, nie lubiła tego imienia – Sophie i stała się Safiye.

„*Jak szybko przyzwyczyłaś się do bycia Safiye, dziecko*”, zabrzmiał głos w jej wnętrzu.

Serce jej zapłonęło.

Niczym się od niej nie różniła. Niczym nie różniła się od swojej starszej kuzynki przekłętej przez Wenecję, której imienia sama nienawidziła nosić.

„Najwyraźniej takie już są córy Baffo”, próbowała się pocieszyć. Czy równie szybko nie przyzwyczyła się do obcych domów, do których chodziła na wielkie bale? „Szybko dostosowujemy się do nowego otoczenia”.

Głos w jej wnętrzu wybuchnął śmiechem. „Dostosowujecie się? – zapytał buntowniczo. – Od kiedy sprzeniewierzenie się najważniejszym prawdom nazywa się dostosowaniem? *Jesteś zdrajczynią, Sophio Baffo! Jesteś zdrajczynią jak ona*”.

Safiye ponownie uniosła głowę do gwiazd, które wyglądały tak, jakby były wilgotne. Ale zaraz zdała sobie sprawę, że to nie one są wilgotne, tylko jej oczy.

„Wcale nie – sprzeciwiła się głosowi. – Myliłam się co do niej. Wszyscy się myliliśmy. Ona nie jest zdrajczynią. To dla Wenecji stała się Nurbanu. Wenecjanka współrządziła Imperium Osmańskim. Czy to źle? Teraz kolej na mnie. Imperium Osmańskim będzie rządził wenecki ród. Dziś na tronie zasiada syn Nurbanu, jutro tron Imperium Osmańskiego przejmie książę Safiye. W żyłach największego wroga Wenecji będzie płynęła krew Baffo. Jeśli stanę się Safiye, zrobię to dla Wenecji”.

Przeszła kilka kroków, szurając nogami po ścieżce wyłożonej kamieniami, mokrymi od padającego cały dzień deszczu. Wsłuchiwała się w odgłos swoich kroków. W oddali, po drugiej stronie drzew, w miejscu, gdzie powinno znajdować się morze, pośród gałęzi zaczęło przesuwać się czerwone światło. To musiała być łódź rybacka próbująca wydostać się ze Złotego Rogu. Odbicie latarni padało na wodę. Światło drżało od wiatru i uderzeń fal. Obserwowała je, dopóki nie zniknęło jej z oczu.

Przepelniająca ją nieustająca tęsknota nagle się wzmogła. Poczula, jakby coś utkwilo jej w gardle.

– Ach! – Z jej ust wydobył się dźwięk po części przypominający jęk, a po części westchnienie. – *Ach, piękna Wenecjo...*

Tam też nocami czerwone światła latarni na gondolach rozświetlały każdy kanał, przypominając świetliki. Przez rozciągnięty nad Wielkim Kanałem most Rialto, w świetle latarni niesionych przez służących, przechodziły szlachetnie urodzone, piękne panie, unosząc krawędzie sukien. Weneckie noce tonęły w blasku. I tylko jeden most, znany z nazwy jako Most Westchnień, stronił od światła. Na mroczne wody padało przyprawiające o drżenie odbicie ścian wykonanych w białym wapieniu. Jego ciemne, przesłonięte kamienną kratą okna przypominały martwe oczy. Nikt nie chciał się odwrócić, żeby na nie spojrzeć. Tym mostem przechadzały się lęk, przerażenie i śmierć. Na widok wątego światła mieniącego się w okratowanych oknach ludzie wyciągali krzyże. Wszyscy wiedzieli, że to jakiś skazaniec przechodzi z celi tortur na śmierć. Nieszczęśnicy przechodzili przez most, żeby ostatni raz spojrzeć na Wenecję.⁶ To musiała być najcięższa tortura – zostać na zawsze rozdzielonym z Wenecją... Pośród kryształowych, przypominających szafir ciemności weneckich nocy westchnienia niczym drżenia pozostawały zawieszona na zimnych, pokrytych mchem kamiennych murach pałaców po obu stronach kanału. Tak też stało się z westchnieniem Safiye. Na chwilę zawisło w powietrzu.

„Nie – powiedziała do siebie. – To nasza tortura jest najcięższa. Życ z dala od Wenecji. I to na zawsze. Dopiero śmierć mogła ją zakończyć. Jednak życie w tęsknocie, wspomnianie jej ziem i wód, każdego dnia, w każdym dźwięku, w każdej barwie, w każdym zapachu oznaczało śmierć po tysiackroć”.

Poczuła, że ogień w jej sercu jeszcze mocniej zapłonął. Czowała ból, jakby krwawiła. Wierzchem dłoni otarła łzę spływającą po policzku.

„*To dla niej* – odezwała się do głosu w jej wnętrzu. – Nie waż się myśleć, że zdradziłyśmy Wenecję. Ani ja, ani kuzynka Cecilia... Ona nie miała wyjścia. Musiała zostać Nurbanu. Ja też nie miałam wyjścia i dlatego zostałam Safiye”.

„Możesz dalej się oszukiwać – odparł wewnętrzny głos. – Zgodnie z tym, co ci opowiadano, kobieta przynajmniej długo się opierała. Krzyczała, buntowała się. Przez wiele dni nie jadła i nie piła. A co ty zrobiłaś?”.

Safiye nie potrafiła znaleźć odpowiedzi.

„Milczysz, prawda? – odezwał się ponownie głos. – Oczywiście, że milczysz. Ja ci odpowiem. Nic. Nie zrobiłaś nic. Natychmiast się poddałaś. Po prostu stałaś się Safiye. Spójrz na siebie. Bądź przeklęta. Kto uwierzy, że jesteś Wenecjanką?!”.

„I co? – mruknęła gniewnie Safiye. – Ja też nie mogę uwierzyć. Nie mogę uwierzyć w nic, co wydarzyło się do tej pory”.

Nie mogła nawet pojąć, że została porwana. W tym przeraźliwym deszczu wszystko wyglądało jak koszmar. Światło i barwa zniknęły. Zarówno morze, jak i niebo stały się kruczoczarne. Dosłownie jakby to morze runęło im na głowy. Deszcz był tak gęsty, że nie widzieli nawet masztów okrętu. I właśnie w tej chwili pojawili się korsarze.

Nie mogła uwierzyć, widząc okropne gęby, płonące oczy, iskry tryskające z uderzających o siebie szabli. To był koszmar. Kiedy otworzy oczy, znajdzie się na statku delikatnie sunącym w blasku słońca na błękitnym niebie. Korsarz, który brocząc krwią,

zwijając się z bólu i wyrzucając z siebie przerażające okrzyki, wyłamał drzwi jej kajuty, również musiał być częścią tego koszmaru. To, że okrutny potwór, uciekinier z piekła, włókł ją za sobą po podłodze, nie mogło przecież być prawdą. Tak, niewątpliwie był to koszmar. Kiedy się obudzi, potwór zmieni się w przystojnego Antonia.

Nawet gdy wrzucono ją do cuchnącej ładowni razem z innymi ludźmi, których przykuli do siebie łańcuchami, przywiązanymi wokół kostek, była pewna, że w końcu się obudzi. Tymczasem nie śniła koszmaru, tylko go przeżywała.

Nie uwierzyła też, kiedy wyszli na ląd po trwającej wiele miesięcy podróży w ciemnej, wilgotnej ładowni, wśród burz i głodu. Co to za miejsce? Otoczyło ich wielu mężczyzn o brzydkich, czarnych gębach. Krzyczeli coś w niezrozumiałym dla niej języku. Popychając ich, rozdzielili kobiety i mężczyzn i znów zakuli ich w łańcuchy. Kobiety płakały. Prośby i błagania mieszały się z brzękiem łańcuchów pozostawiających na ich nogach głębokie rany.

„*Handlarze niewolników!*”.

Safiye miała wrażenie, że słyszy wołanie starej kobiety w obszarpanym stroju. Pamiętała ją z okrętu. Była żoną znanego kupca. Podobnie jak ona wracała z Korfu do Wenecji. Wiezorami, kiedy słońce zanurzało się w morzu, a chmury przywdziewały szkarłaty i czerwienie, wychodziła na pokład i śpiewała rzewną pieśń, a wiatr szarpał jej włosy. Miała na sobie piękną spódnicę z zielonej tafty i żółty gorset. Ramiona okrywała szalem równie czarnym co jej włosy. Tymczasem teraz biedaczka wyglądała, jakby miała na sobie łachmany. Jej jedwabiste włosy z brudu teraz przypominały siano. Twarz miała bladą z głodu, zmęczenia i cierpienia, a pod oczami fioletowe cienie.

– Najświętsza Panienko, to handlarze niewolników. Korsarze sprzedają nas handlarzom niewolników!

Dobry Boże! Wszystkich ogarnął strach. Wszyscy byli przerażeni. Ona też wołała i krzyczała. Stara kobieta rzucała się na ziemię, płakała, błagała, walczyła, żeby się uwolnić, rwała włosy z głowy.

Nagle stanął przed nimi mężczyzna wielki niczym olbrzym. Zaczął kopać miotającą się na ziemi kobietę. Stare, wyczerpane, pozbawione sił, wychudzone ciało zwinęło się z bólu. Ale mężczyzna kopał dalej. Olbrzym, bryzgający pianą z ust, żadnym sposobem nie mógł wyładować złości. Gniewnym ruchem chwycił kobietę za włosy i położył jej głowę na swoim kolanie.

„*Donna Gina...*”.

Safiye nagle przypomniała sobie też imię kobiety. Tak, miała na imię Gina. Krzyczała, wymachiwała ramionami, jakby chciała rozszarpać mężczyznę.

Kiedy wyciągnął nóż? Pamiętała tylko, że gdy błysnęła zimna stal, z ust wszystkich wydobył się okrzyk. Niczym grom z jasnego nieba olbrzym ryknął, a stal prześlizgnęła się po delikatnej szyi donny Giny. Biedaczka nie zdążyła zdać sobie sprawy z tego, co się stało. Nie widziała ani noża, który poderznął jej gardło, ani strumieni tryskającej krwi.

Pozostali znieruchomieli. Słyszeli jedynie charczenie. Później zaś z oczami, szeroko otwartymi z przerażenia, patrzyli, jak kobieta, strącona przez olbrzyma na ziemię, wije się w swojej krwi, jak unosi ręce do szyi, jakby chciała zatrzymać krwawienie, jak próbuje się podnieść, a po każdym ruchu znów się przewraca, jak jej ruchy stają się coraz

cięższe i jak w końcu pada nieruchoma na ziemię. Ale krew nie przestała płynąć. Czerwone jezioro pod pozbawionym życia ciałem dalej się powiększało.

Olbrzym krzyknął coś do nich, wymachując nożem, z którego wciąż ściekała krew donny Giny. Safiye jego głos kojarzył się raczej ze zwierzęcym rykiem. To nie mógł być głos człowieka.

Nie znali języka, ale wszyscy dokładnie zrozumieli, co powiedział mężczyzna: „Jeśli nie chcecie tak skończyć, macie stać spokojnie!”.

Najpierw zabrali mężczyzn, ładując ich na wozy ciągnięte przez woły. Mężowie nie mogli po raz ostatni wziąć w ramiona swoich żon i dzieci, które pozostawiali. Nie mogli nasycić się swoim zapachem. Mężczyźni spoglądali za siebie pustym wzrokiem, kobiety bezgłośnie wylewały łzy – to wszystko. Mieli się już więcej nie zobaczyć, nawet nie wiedząc, czy żyją.

W końcu zabrano mężczyzn. Kobiet było jedenaście. Warcząc i pokrzykując, posadzili je na ziemi. Safiye była jedną z najmłodszych. Przez wiele godzin siedziały przed martwym ciałem donny Giny. W końcu zabrano zwłoki biedaczki, ciągnąc je po ziemi. Pozostał tylko ciągnący się, coraz bledszy czerwony ślad.

Do olbrzyma, który zabił kobietę, dołączyło jeszcze czterech. Tamtego dnia Safiye w żaden sposób nie mogła rozstrzygnąć, co w tych mężczyznach było najbardziej przerażające: ich wielkie cielska, przekrwione oczy, odrażające żółte zęby, które ukazywali, kiedy się śmiali, zarośnięte torsy wystające spod rozpiętych, przedziwnych koszul, a może wielkie łapska poruszające się nieustannie niczym pająki. Przechadzali się wokół, czasem trącali nogami ich ręce i nogi, a widząc ich strach, wybuchali śmiechem przypominającym burzowe grzmoty.

Safiye ani razu nie uniosła głowy. Jednak nie trwało długo, żeby zwrócili na nią uwagę. Jeden z nich utkwił w niej swoje spojrzenie. Nigdy nie widziała węża, ale pomyślała, że tak właśnie muszą wyglądać jego oczy.

Kiedy mężczyzna pochylił się i zbliżył do niej, odór wydobywający się z jego ust przyprawił ją o mdłości. Wyciągnął wielką rękę i chwycił ją za podbródek palcami o paznokciach tak długich jak u samego diabła, a potem zmusił, żeby obróciła głowę w jego stronę. Safiye przypominała sobie, jak cofnęła się z uczuciem odrazy i strąciła łapsko smagające jej policzek.

– Nie dotykaj mnie!

– Hej!

Na dźwięk gniewnego ryku mężczyzny odwrócili się wszyscy olbrzymi. Wszystkich pięciu stanęło nad nią. Wpatrywało się w nią pięć par brzydkich oczu. Rozbierali ją wzrokiem.

Gdy tylko mężczyzna się wyprostował, jego ręka powędrowała za pas i wyciągnął nóż, który był podobny do tego, którym niedawno poderżnięto gardło donnie Ginie.

– Wielki Jezu, Boże Ojcze, Najświętsza Panienko, miejcie mnie w swojej opiece!

Jednak wcale nie była pewna, czy ją ocala. Ramię olbrzyma uniesie się w powietrze, po czym runie niczym błyskawica, a później... ona też... Dobry Boże!

Safiye przeszedł dreszcz na wspomnienie tej chwili. Była na krawędzi śmierci. Mogła tylko zacisnąć powieki, żeby jej nie widzieć. Postanowiła, że nie otworzy oczu,

nawet jeśli będzie miotać się w swojej krwi. Nie pozwoli, żeby taki obraz zapisał się w jej pamięci. Jej dusza powinna opuścić ciało, wspominając piękno Wenecji.

Nagle rozległ się kolejny ryk. Jednak ten był inny.

Pełna lęku otworzyła oczy. Ręka olbrzyma wciąż była uniesiona.

Ponownie dało się słyszeć ten sam grom.

Ręka trzymająca nóż powoli się opuściła.

Safiye zza zasłony rzęs widziała, jak zimna stal znika za pasem mężczyzny.

Później zobaczyła kolejnego olbrzyma, jednak różniącego się od pozostałych.

„*Mój wybawca*”, przeszło jej przez myśl.

W porównaniu z innymi był niski. Miał wielki brzuch i głowę, na której nie było nawet garści włosów, błyszczącą w palącym słońcu. Oczy też miał inne. Nie patrzyły tak wrogo jak oczy innych, jednak wyczytała w nich chytry wyraz. Było jasne, że to niegodziwiec. Pożałowała, że pomyślała o nim jako o swoim wybawcy. On musiał być tak samo niebezpieczny jak pozostali.

Na nagie, opasłe ciało mężczyzna naciągnął jedynie kamizelkę. Na jego torsie nie widziała nawet jednego włosa. Wystające spod marynarki obwisłe, pomarszczone piersi wyglądały odrażająco. „Jego ramię jest pewnie grubsze niż moja talia”, pomyślała, uśmiechając się w duchu. Nawet teraz nie mogła uwierzyć, że w takiej chwili była w stanie żartować.

Miał luźne spodnie sięgające kolan. Mógłby się w nich zmieścić drugi taki mężczyzna jak on. Talię ścisnął mu pas z wielką sprzączką, zza którego zwisał bicz z pięcioma skórzanymi paskami zakończonymi ołowiem. Nie trwało długo, zanim Safiye dowiedziała się, do czego służy. Łydki mężczyzny były gołe. W przeciwieństwie do tego torsu były owłosione. Nieproporcjonalnie krzywe, chude nogi zakończone były cizmami o zadartych noskach.

Mężczyzna coś burknął, a olbrzym, który jeszcze przed chwilą zamierzał poderznąć jej gardło, odpowiedział mu z szacunkiem. Pewnie był ich dowódcą.

Safiye ruszyła w stronę altany, do której często zabierała ją sułtanka matka Nurbanu. Usadowiła się na brzegu jednej z sof. Pogłaskała jedwabny dywan. W ciągu dnia roztaczał się stąd wspaniały widok na Złoty Róg. Teraz wszystko spowijała ciemność. Na przeciwnym brzegu mrugało pojedyncze światło.

To, co wydarzyło się później, było dla Safiye kolejnym koszmarem. Tym razem stanął nad nią jej „wybawca”. Pociągnął ją i postawił na nogi, tłustym łapskiem złapał za podbródek i obrócił jej głowę w jedną, a potem w drugą stronę, siłą otworzył usta i sprawdził zęby. Później obszedł ją i pożądlawie spojrzął na jej nogi widoczne pod podartą spódnicą.

– *Bene, bene*. Proszę, proszę. Cóż to za piękna dziewczyna!

Przypomniała sobie, jak bardzo się ucieszyła, kiedy pojęła, że mężczyzna zna jej język.

– Błagam, zostawcie mnie. Mój ojciec was wynagrodzi.

Słyszając te słowa, mężczyzna wybuchnął gromkim śmiechem. Odwrócił się i mruknął coś do pozostałych. Zrozumiała, że przetłumaczył im, co powiedziała. Oni także zaśmiali się odrażająco.

– Wynagrodzi, tak?

– Z pewnością. Jeśli sprawicie, że wrócę do domu, powiem mu, żeby was wynagrodził.

– Chcesz, żeby mnie wynagrodził?

Safiye pokiwała głową, a żeby dać mu pewność, próbowała przybrać na twarz słodki uśmiech.

– Nie trzeba mi nagród.

Na chwilę ogarnęło ją szczęście. Czyżby mężczyźni zrobiło się jej żal i postanowił ją uwolnić, nie oczekując niczego w zamian?

– To ty jesteś moją nagrodą.

– Nie rozumiem.

W oczach mężczyzny znów pojawił się przebiegły błysk.

– Z takim ciałem i taką urodą przyniesiesz mi tyle pieniędzy, ile wazysz. Bejowie będą się bić o to, żeby cię kupić.

Uczył tak, jak powiedział. Zażądał za nią tyle pieniędzy, ile waży. Na pierwszym targu niewolników, na który ją zabrał, narzucił na nią jakieś cieniutkie odzienie i wypchnął na środek.

– No dalej, ślicznotko. Nie każ moźnym panom czekać. Zachwyć ich tak, żeby rozum im odebrało. I skończ już te dąsy. – Zamilkł na chwilę i położył rękę na biczu zwisającym za pasem. – Albo pożałujesz. Zrozumiałaś?

Mężczyźni, których handlarz niewolników nazywał „moźnymi panami”, byli zbiorowiskiem niechlujnych, brzydkich, wszelkiej maści typów spod ciemnej gwiazdy. Kiedy rozsunęła brudne szmaty rozciągnięte przed podwyższeniem, po którym miała się przechadzać, i stanęła twarzą w twarz z „moźnymi panami”, próbowała uciec, ale handlarz niewolników wypchnął ją z powrotem. Wystawiona na głodne spojrzenia dziesiątek mężczyźn, Safiye czuła się całkiem naga.

– Szlachetni panowie – zwrócił się do mężczyźn handlarz niewolników. – A oto smakowity owoc, w sam raz dla was. Czeka, aż go obierzecie i zjecie.

Oczy szlachetnych panów poźądliwie ślizgały się po jej ciele. Do ust napływała im ślina. Nawet na chwilę nie odrywając od niej wzroku, śmiali się, przepychając się wzajemnie, i wyciągali ręce, próbując jej dotknąć.

– Chodź, maleńka.

– Nie bój się, gołębeczko.

– Poznaj się z moim. Zobaczymy, czy będziesz chciała się z nim rozstać.

– Co miałyby z nim zrobić? Już dawno zamienił się w pietruszkę.

Nagle rozległ się głos, który zagłuszył cały zgiełk.

– Ile za ten przejrzały owoc?!

Pytanie zadał garbaty mężczyzna, który wyszedł do przodu. Na nosie miał fioletową brodawkę, a po prawej stronie twarzy głęboką bliznę zaczynającą się na czole, dzielącą brew na dwoje i schodzącą aż do policzka. To musiał być cud, że nóż nie pozbawił go oka.

– Przejrzały owoc? – Handlarz niewolników sprawiał wrażenie, jakby ktoś ugodził go strzałą. – Powiedziałaś „przejrzały”? Najwyraźniej sztylet, który poorał ci twarz, cię

oślepił. W przeciwnym razie nie mógłbyś powiedzieć czegoś takiego.

– Co się wściekasz? Jest już zwiędnięta. Nie umie nawet tańczyć. Jest przejrzała. Sami na nią popatrzcie.

Handlarz niewolników zerwał się jak wystrzelony z działa i zwrócił się do mężczyzny:

– Przejrzały owoc, tak?! Wynoś się stąd, ślepy wielbłądniku.

Odwrócił twarz Safiye w stronę tłumu i mimo że próbowała się opierać, rozerwał jej spódnicę jeszcze bardziej, całkiem odsłaniając jej nogi. Safiye wciąż pamiętała dźwięk przypominający jęk, który wydobył się z ust mężczyzn kłębiących się na dole.

– Patrzcie na tę piękność. Widziałeś kiedyś taką świeżość, oście? Popatrz na te usta, tę szyję, te piersi. A jest jeszcze coś, czego nie widziałeś...

– To pokaż! – krzyknął garbus. – Pokaż, co jeszcze tam ma.

– A idźże stąd. To nietknięta dziewica. A ty sypiasz ze swoimi wielbłądami.

Tłum wybuchł radosnym śmiechem.

– Skąd wiadomo, że to dziewica? – krzyknął ktoś z tyłu.

– Wątpisz, mój dżycicie?

– Pewnie. A jeśli próbujesz sprzedać używany towar? Może sam nadgryzłeś ten owoc. Skąd mam wiedzieć?

– Nadgryzł? – W kotłującym się tłumie rozległ się głos sprzeciwu. – Nie widzisz, że handlarz niewolników nie ma już zębów? Ptaszek też pochylił głowę i usiadł na gałęzi. Więcej już nie polecą.

Po tłumie przeszła jeszcze większa fala śmiechu.

– Możecie tak myśleć. Jestem mistrzem w swoim fachu, przyjacielu. Nie sięgam po towar, który przynoszę na targ.

Tym razem jego gniew nie był udawany.

– Wchodź do namiotu! – wrzasnął do Safiye. – Koniec! Nie sprzedam dziewczyny tym, którzy nie znają wartości nietkniętej dziewczicy. Chcę za nią jej wagę w złocie!

I tak się stało. W każdym miejscu, w którym się zjawili, krzyczał do tłumu, który na widok Safiye na targu niewolników przybiegał, tocząc z ust ślinę:

– Nie ma kupca? Śmiało, szlachetni panowie. Pokażcie sakiewki. Ten, który nie ma w sakwie jej wagi w złocie, niech nie zwleka, tylko od razu idzie stąd i nie robi niepotrzebnego tłumu.

Wędrowali od miasta do miasta, od krainy do krainy, ale nie znalazł się nikt, kto chciałby zapłacić tyle, ile żądał handlarz niewolników. Safiye wcale nie narzekała z tego powodu. Zgoda, była niewolnicą, na nogach wciąż miała łańcuchy. Nieustannie wypychano ją przed zbiorowisko opętanych żądzą mężczyzn, ale nie została sprzedana. Nikt nie miał odwagi jej tknąć. Szczególnie po tym, jak handlarz niewolników położył trupem jednego z mężczyzn, który ośmielił się do niej zbliżyć. Handlarz niewolników był dla niej dobry, nie krzyczał na nią ani jej nie bił. „Che, che, che – szczyrzył zęby. – Nie zbruka jej nawet kurz, a co dopiero ołów bicza”, mawiał. Nie pozwalał też, żeby była głodna. „Jesteś moim skarbem”, śmiał się parszywie. To wszystko. Jakby między nimi istniało jakieś sekretne porozumienie. Mężczyzna żądał za nią ceny, której nikt nie był w stanie zapłacić, a ona przechadzała się po rampie wśród głodnych spojrzeń tłumu

klientów zebranych przed stoiskiem. Wśród mężczyzn, którzy zrozumieli, że nie uda im się kupić nieskalanej dziewicy, znajdowało się kilku, którzy kupowali inne dziewczęta sprzedawane przez handlarza niewolników.

W końcu już nikt nie próbował jej kupić. Ona była tylko na pokaz. Dopóki nie przybyli do tego miasta.

– Co to za miejsce? – zapytała Safiye na widok ogromnego miasta otoczonego morzem.

– Stolica.

– Stolica? Co to znaczy?

– To ruiny Rzymu. Centrum świata. Serce Imperium Osmańskiego.

– Powiedziałeś: „Imperium Osmańskiego”?

Jęknęła w duszy, znajdowała się bowiem na ziemiach najbardziej zacieklego, najokrutniejszego wroga Wenecji. Imperium Osmańskie ukradło Wenecji jeszcze jedną Baffo. Co za los...

– Pewnie, że powiedziałem Imperium Osmańskie. Widzisz to wzgórze na przeciwnym brzegu?

– Widzę.

– Mieszka tam sam sułtan. Jutro z samego rana przeprawimy się na drugą stronę. Rozłożymy stragan na Hipodromie. Przybywają tam ludzie ze wszystkich stron świata. Przekonamy się, czy znajdzie się śmiałek, który da za ciebie twoją wagę w złocie. Módl się, żeby się taki znalazł. W przeciwnym razie zostaniesz w moich rękach. A kiedy wyschniesz, będę musiał sprzedać cię za kilka akcze jakiemuś ponuremu starcowi. I ciebie będzie szkoda, i mnie.

Miejsce, które handlarz niewolników nazwał Hipodromem, było olbrzymim placem. Nie widać było ani początku, ani końca. Sprzedawano na nim i koni, i ludzi, i miód, i ocet. Byli tu czarni i biali. Po jednej stronie wznosił się olbrzymi pałac.

– Pałac sułtana jest za tą wielką budowlą z czerwonymi murami – powiedział mężczyzna.

Pewnie pałac niknął pośród drzew, bo nie mogła go zobaczyć.

Jednak na widok ogromnej kopuły budowli z czerwonymi murami, o której wspomniał handlarz niewolników, Safiye zaparło dech w piersiach.

– Co to za miejsce? – zapytała.

– Nazywają je Hagia Sophia. To kościół z czasów Bizancjum. Kiedy Osmanowie zdobyli miasto, wzniesli te dwa minarety i zamienili go w meczet.⁷

Kościół w niewoli! Tak nazywano Hagię Sophię w Wenecji.

Mężczyzna rozgniewał się, ujrawszy, że stanęła oczarowana i wyciągnęła krzyż.

– Przestań się tak głupio gapić i przygotuj się. Przed stoiskiem już stoi tłum. Nie sądzę, żeby znalazł się ktoś, kto zapłaci za ciebie twoją wagę w złocie, ale przynajmniej spróbujmy.

Handlarz niewolników niezwłocznie zaczął dzwonić dzwonkiem i podjudzać klientów:

– No dalej, nie znajdzie się kupiec? Ten nietknięty owoc czeka, aż ktoś go schrupie. Dokładnie w tej chwili go zobaczyła. W przeciwieństwie do mężczyzn, do których

widoku się przyzwyczaiła, miał czystą, zadbaną twarz. Dobry Boże! Ale był przystojny! Jego twarz okalała kruczoczarna, wąska broda. Na głowie miał biały turban, którego koniec zwisał mu przy policzku. Utkwił w niej swoje czarne oczy. Później mężczyzna przeszedł naprzód, trącając ramieniem zgromadzonych. Co dziwne, mężczyźni, którzy bili się o to, żeby ją zobaczyć, zamiast wrzeszczeć na przepychającego ich osobnika, zrobili mu przejście. Czyżby naprawdę był to ktoś wysoko urodzony?

– Ile chcesz, efendi?

Handlarz niewolników był przyzwyczajony do tego pytania. Nie czuł nawet potrzeby, żeby odwrócić się do tego, który je zadał. Mężczyzna stał dokładnie naprzeciwko Safiye. Jednak była pewna, że nawet raz nie spojrzał na jej nogi wyglądające spod specjalnie porwanej spódnicy.

– Dużo.

– Mimo to powiedz. Ile to dla ciebie dużo?

Głos klienta był czysty i głęboki. Wyraz zdecydowania, jaki w nim pobrzmiwał, przykuł uwagę handlarza niewolników, który odwrócił się w jego stronę. Gdy ujrzał odzienie mężczyzny, drwina na jego twarzy ustąpiła miejsca powadze.

– Jej waga w złocie – odparł na jednym oddechu.

Safiye zastanawiała się, czy ten, tak jak pozostali, odwróci się i odejdzie, czy zacznie targować się z handlarzem niewolników.

– Ile ma lat?

Takie pytanie padło po raz pierwszy.

– Nie wiem. Jest młoda. Świeża.

– Wiadomo, skąd jest?

– Nie wiem.

– Nie zapytałeś?

Pozostali klienci też wyteżyli uwagę.

– Pytałem, ale nie odpowiedziała. – Handlarz niewolników zamilkł na chwilę. – Ta papuga nie gada – zachichotał.

Jednak nie wywarł na kliencie oczekiwanego wrażenia. Twarz przystojnego mężczyzny pozostała nieruchoma.

– Nie mówi o sobie?

– Nie.

– A jak ma na imię?

– Tego też nie wiem. Ja mówię na nią „dziewczyna”. – Ta rozmowa zaczęła go nudzić. – Powiedz mi lepiej: przesłuchujesz czy kupujesz?

– Jak można kupować, nie wiedząc co?

Zbiorowisko przyznało mu rację, pomrukując i kiwając głowami.

– Tak to jest. Nie wiadomo, z jakiego kraju pochodzi. Nie powiedziała też, jak ma na imię. Wiadomo jednak, że pochodzi z jakiegoś arystokratycznego rodu giaurów.

– A skąd to wiadomo?

– Kiedy wiele miesięcy temu kupiłem ją od korsarzy, wykrzyczała: „Jeśli mnie uwolnisz, mój ojciec cię wynagrodzi”.

– Gdzie kupiłeś ją od korsarzy?

– Na Rodos.

– Dobrze, a co to za korsarze? Tego też nie wiesz?

– To kilku drągali, z którymi zawsze handluję. Znajdują się wśród nich ludzie ze wszystkich stron świata. W naszym fachu nie ma mowy o przesłuchaniach. Kiedy idzie o interesy, dajesz pieniądze i kupujesz. Jeśli ktoś tak jak ty próbuje wszystko wybadać, odcinają mu język i albo suszą go i robią sobie wisiołek, albo sprzedają na targu.

Surowy wyraz na twarzy przystojnego mężczyzny po raz pierwszy jakby złagodniał.

– Za twój język też można sporo wziąć, handlarzu niewolników.

Safiye pomyślała wtedy, że uśmiech bardzo pasuje do jego czarnych oczu. Jej twarz spłonęła rumieńcem, zupełnie jak tamtego dnia.

– Masz bardzo długi język.

Zebrani przed straganem wybuchli śmiechem.

– Dżygit ma rację! – krzyknął ktoś z tłumu. – Nie masz języka, tylko piekarską łopatę.

Handlarz niewolników nie wiedział, czy ma się śmiać, czy rozgniewać. Podrapał się w łysą głowę przewiązaną ręcznikiem.

Przystojny mężczyzna w jednej chwili spoważniał.

– Ile za nią dałeś?

– Za dziewczynę?

Mężczyzna na dole skinał głową.

Handlarz niewolników zachichotał.

– Nie uwierzysz w to, co ci powiem. Przysięgam, jak matkę kocham. Za wszystkie zapłaciłem hurtem. Nie pamiętam teraz, ile akcze dałem... – Zamilkł na chwilę i pochylił się do mężczyzny na dole. – Nie pal się, ago, do tego, że tanio ją złapiesz. Nie pamiętam, ile akcze dałem, ale wiem, ile chcę teraz. – Ponownie się wyprostował. – Mam już dość tych pogawędek. Jeśli nie kupujesz, zwolnij miejsce innym.

Safiye nawet teraz pamiętała iskry w czarnych oczach przystojnego mężczyzny. Pomyślała wtedy: „Jeśli mam zostać sprzedana, niech to on mnie kupi”, a jej wnętrze wypełniło ciepło.

– Powiedziałeś, że ile za nią chcesz?

Handlarz niewolników zawahał się. Przyszło do targowania. Wyprostował się z dumą.

– Wyglądasz na młodego, a pamięć masz jak niedołączny starzec. Powiedziałem, że chcę tyle, ile waży.

– Tyle czego? Akcze? Złota?

Nagle przystojny mężczyzna zrobił coś, czego nikt się nie spodziewał. Sięgnął za wyszywany złotą nicią pas i rzucił na podest wielką sakiewkę. Tłum w jednej chwili wydał z siebie przeciągłe: „Ooo!”.

– Sądząc po dźwięku, jaki wydała, spadając na deski, sakiewka jest wypełniona po brzegi.

– To wystarczy?

Nawet nie zauważyła, kiedy handlarz niewolników pochylił się i złapał sakiewkę,

rozwiązał ją, a zawartość wysypał na dłoń. Złoto. Jego blask oślepił mężczyznę.

– Zapytałem, czy to wystarczy, efendi.

Handlarz niewolników przykląkł i przysunął się do mężczyzny.

– Widać, że poznałeś się na dobrym towarze, dżygicie. – Zamilkł, żeby otrzeć wyciekającą ślinę. – Nawet na tym bazarze nie znajdziesz towaru takiej jakości. Jeśli masz więcej takich sakiewek, owoc jest twój. Zabierz go i zjedz wedle gustu.

Safiye podniosła się z sofy i ruszyła kamienistą drogą w stronę pałacu.

Miała teraz przed oczami tamtą chwilę. Westchnęła. Cierpienie na jej twarzy rozproszyło się. Gdyby ktoś ją zobaczył, mógłby nawet pomyśleć, że się uśmiecha. W jednej chwili czarnooki mężczyzna wyciągnął ramiona i chwycił handlarza niewolników za kark.

– Życie ci zbrzydło, efendi? Co to za słowa? Odszczekaj to.

W to, co wydarzyło się później, Safiye też nie mogła uwierzyć. Koszmar się skończył, ale tym razem to musiał być sen. Do straganu handlarza niewolników podjechał szczelnie zamknięty powóz ciągnięty przez parę koni i zawiózł ją do wielkiego domu.

Potem zastęp kobiet umył ją i ubrał w suknie wykonane z nieznanej jej, ale miłej w dotyku tkaniny. Posadzono ją na mięciutkiej sofie, a na kolana położono wielką tacę. Najadła się i napiła do syta. „Tak, to musi być sen”, powiedziała w duchu. Sen o szczęściu, który zaczął się, kiedy koszmar się skończył. Pamiętała dni, kiedy modliła się, żeby koszmar się skończył, teraz zaś modliła się, żeby ten sen trwał. Bała się, że jeśli się obudzi, koszmar znów się zacznie, a ona znów znajdzie się w namiocie handlarza niewolników.

„Co to za miejsce?”, zastanawiała się, kiedy zostawiono ją samą. To pewnie dom czarnookiego, przystojnego mężczyzny, który ją kupił. Niedługo on też przyjdzie, a później... Pamiętała, że wstydziła się nawet myśleć o tym, co będzie dalej. Przynajmniej nie została sprzedana brzydkiemu, bezzębnemu, przerażającemu garbusowi.

Jednak nie zobaczyła już więcej czarnookiego, przystojnego mężczyzny. Zamiast tego zaprowadzili ją do innego. Ten był starszy. „Czy to mój właściciel?”, zastanawiała się, podczas gdy mężczyzna zasypywał ją pytaniami. Milczała. Później inny zaczął ją wypytwać, a kiedy i to nie przyniosło efektów, zabrano ją do leciwego mężczyzny z białą brodą, w białym turbanie i kaftanie obszytym futrem. Mężczyzna był stary, ale jego twarz czysta. Nie patrzył na nią jak pozostali dzikim, wygłodniałym wzrokiem. „To musi być on – zdecydowała tamtego dnia Safiye. – To ten mężczyzna musiał mnie kupić. Przystojny mężczyzna był pewnie jego służącym”.

Jednak znów się pomyliła. Starzec też zadawał te same pytania co pozostali.

– Kim jesteś, dziecko?

– Jak masz na imię, dziecko?

– Gdzie jest twoja ojczyzna, dziecko?

– Powiedz chociaż, jak się nazywa twój ojciec, dziecko.

„Dziecko, dziecko, dziecko”. Do diabła, co to miało znaczyć? Odpowiedź Safiye zawsze była taka sama. Cisza.

Później... W to też nie mogła uwierzyć. Stała przed nią kobieta cała w jedwabiach, szmaragdach, brylantach i rubinach. Ona również zapytała: „Kim jesteś,

dziecko?”, ale z jedną różnicą – zrobiła to w jej języku.

Wspaniałość, duma i wyższość kobiety wystarczyły, żeby doprowadzić Safiye do furii.

– A ty, kim jesteś?

– Kiedyś nazywano nas Cecilią Baffo. Złotą Córá, którą opuściła Wenecja. Sułtanką matką Nurbanu, której Imperium Osmańskie nałożyło na głowę koronę. Synową mojej teściowej Aleksandry Anastazji i mojego ojca sułtana Sulejmana. Żoną świętej pamięci Selima Chana. Matką sułtana Murada Chana.

Co?! Jej starsza kuzynka Cecilia?!

Zdrajczyni, której imię nosiła!

Cecilia Baffo, którą przeklęła Wenecja.

Kobieta, której imię wstydziła się nosić i dlatego nazwała siebie Sophia.

Kto mógłby w to uwierzyć? Kto mógłby uwierzyć, że los sprawił, iż po latach w miejscu oddalonym o tysiące kilometrów spotkały się dwie Wenecjanki?

Stała przed nią kobieta, której twarzy nawet nie widziała, ale o której opowieści słuchała jak strasznych baśni.

A teraz ta kobieta chciała, żeby uwiodła jej syna, który był władcą największego państwa, jakie kiedykolwiek widziała.

– Musisz sprawić, żeby postradał zmysły, Safiye. Żeby zapomniał o wszystkich kobietach i dziewczętach w haremie. Zostaniesz żoną mojego syna. Dasz mojemu Muradowi, który pochodzi z weneckiego rodu, syna, w którego żyłach będzie płynęła wenecka krew. Tego chce Bóg. Inaczej dlaczego los postawiłby cię na mojej drodze, kiedy szukałam synowej? Dlaczego miałyby przysyłać do Imperium Osmańskiego jeszcze jedną Baffo?

„Dobrze – jęknęła Safiye. – Ale jak mam pozbawić zmysłów mężczyznę, który ma tysiące kobiet, jedną piękniejszą od drugiej, któremu siedem odalisek w jedną noc urodziło dzieci, a nikt nie zna liczby dzieci, które spłodził? Jak mam wyrzucić z jego serca setki odalisek, żeby ustawić w nim swój tron?”

VI

Lada chwila miał zabrzmieć wieczorny ezan. Dziedziniec odalisek w Starym Pałacu wypełniały tłumy. Dziewczęta usadowiły się grupami na grubych materacach przed kratką wychodzącą na dziedziniec. Przed każdą z grup znajdowało się mosiężne palenisko. Zaczął się kwiecień, ale wieczory wciąż bywały chłodne. Na niektórych paleniskach stały dżezwy z długimi rączkami, zakopane w popiele. W pierwszej grupie jedna z dziewcząt śpiewała, przygrywając na oudzie, ale oprócz siedzących obok nikt jej nie słuchał. Wszystko wypełniał zgiełk śmiejących się i plotkujących dziewcząt z innych grup i dzieci znajdujących się na ich kolanach albo w pokojach, których drzwi wychodziły na długi westybul.

Służące nosiły tace pełne sorbetów i układały poduszki pod plecami ciężarnych odalisek.

– Niech cię diabli, dziewczyno. Gdzie te poduszki? Nie mogę już znieść bólu w krzyżu!

– Już idą, moja śliczna. Już idą.

W innej grupie dziewczyna, ze wzrokiem utkwionym w kryształowej filizance, wróżyła odalisce.

– Powiem ci, jeśli chcesz, wierz, jeśli nie chcesz, nie wierz. W twojej wróżbie jest droga.

W języku haremu była to zła wiadomość. Tłumaczono to w ten sposób, że ta, w której wróżbie pojawi się droga, zostanie wydalona z haremu. Od dnia, w którym sultanka Hürrem sprowadziła do pałacu kawę, w haremowych komnatach zapanowała moda na popijanie jej gotowanej w dżezwach na paleniskach. Tak było w całym Stambule, nie tylko w haremie. We wszystkich częściach stolicy otwierano miejsca, w których pijano kawę.

Właściwie dziewczęta bały się stawiać wróżby, ale mimo to nie mogły się powstrzymać przed zobaczeniem swojej przyszłości.

– Zamykam. Tylko powiedz mi ładne rzeczy, bo popamiętasz. Powyrywam ci włosy z głowy.

– Patrzcie na tę wariatkę! Ja mówię tylko to, co zobaczę w filizance.

Oczywiście, że zmyślały.

To był harem. Miejsce, w którym każdy kąt przesiąknięty był bezwzględnością, zazdrością i rywalizacją, a każde serce skostniałe. Dziewczęta prześcigały się, żeby odebrać sobie wzajemnie nadzieję.

– Wiesz, że cię lubię...

To było wśród nich największe kłamstwo. W haremie nikt nikogo nie lubił. Niektóre odaliski wręcz się nienawidziły. Każdy kopał pod kimś dołki. Ale najważniejszym w pałacu było ukrywanie nienawiści. To dlatego złe wiadomości poprzedzało to sztuczne przymilanie.

– Ach, moja droga. Masz na głowie tyle przykrych zmartwień. W twoim domu panuje cierpienie, moja słodka. Jak to powiedzieć? Wyczekujesz czegoś... Poczekaj... Czekasz na wiadomość...

A która z nich nie czekała? Wszystkie każdego dnia wypatrywały kalfy. To ona mówiła im o tym, którą z dziewcząt padyszach weźmie do swojego łoża.

– Nie, wciąż nie ma wiadomości. Nic nie widać... Spójrz... O, tutaj, moja duszko... Widziałas? Wokół ciebie wznoszą się wysokie wzgórza...

To wystarczyło, żeby piękna twarz zbladła, a oczy wypełniły się łzami. Teraz obracająca w rękach filizankę kobieta mogła przejść do części pocieszającej.

– Ach, nie chmurz się tak od razu. Bo przysięgam, że się obrażę. Co mam zrobić, kochanie? Mówię tylko, co widać w filizance. Mam cię okłamywać? Jeśli będziesz tak robić, więcej ci nie powrózę. Ach, moja śliczna. Cierpliwości, dziewczyno. Po każdej nocy przychodzi dzień. Do ciebie też los się uśmiechnie. Nie można tracić nadziei.

Ta, której wróżono, mruzczała w duchu: „Jeszcze się policzymy, zdiro. Prędzej czy później ja też postawię ci wróżbę, a wtedy zobaczysz”.

Był to rodzaj gry, którą prowadziły między sobą. Wiedziały, że wszystko jest kłamstwem, każdy uśmiech jest fałszywy, a każde słodkie słowo – trucizną, ale mimo to grały. W przeciwnym razie postradałyby zmysły. Nie wytrzymałyby zamknięte wśród czterech ścian, gdzie czas wydawał się stać w miejscu.

Jednak najbardziej pożądane w haremie były *pogawędki*. Tak było od początku istnienia haremu. Dziewczęta uwielbiały niekończące się plotki. Tematem tych rozmów były one same.

– Słyszałaś? – zaczynała rozmowę jedna z odalisek.

Pozostałe dziewczęta przysuwały się do niej i nadstawiały uszu, żeby nie uronić najmniejszego szczegółu.

– Ta Greczynka... Despina czy jak jej tam...

– Eee, co z nią?

– Jakby co, nie słyszałyście tego ode mnie. Wiecie, że zaczęła zadzierać nosa, kiedy nasz pan ją do siebie wezwał. Ale jej dni są policzone. Czy później ktokolwiek o nią pytał?

– Nie.

– A wiecie dlaczego?

Prędzej czy później dziewczyna i tak mówiła dlaczego. Dziewczęta tylko wydymały usta, potwierdzając, że nie wiedzą.

– Dużo czasu minęło, odkąd słowik usiadł na gałęzi róży.

Zgodnie ze zwyczajem w tym momencie rozlegało się zdumione: „Aaa!”. Był to szyfr oznaczający: „Dziewczyna nie była dziewicą”.

– Doprawdy... Tak chełpiła się, mówiąc: „Jestem nietkniętym pakiem”, szeptały między sobą dziewczęta, śmiejąc się i trącając.

Inną tradycją było to, że w tej chwili zaciekawione dziewczęta z innej grupki wyciągały głowy.

– Co się stało? Co się stało?

– Nic, nic. Opowiedziała coś śmiesznego i dlatego się śmiejemy.

Plotki jednej grupy musiały w niej pozostać. Oczywiście dopóki jedna z odalisek nie pójdzie w odwiedzinę do którejś z dziewcząt z sąsiedniej grupy. Nie mijała godzina, a nawet kucharze w haremowej kuchni znali już sekret Despiny.

Od czasu do czasu krzyk jednej z odalisek przerywał wróżby i rozmowy.

– O rety, dziewczęta, już po mnie!

W takich chwilach wszystkie odwracały głowy w stronę, z której pochodził głos.

– Siostry, siostry! – wołała. – Co to za piekło?! Mój syn wyruszył w drogę! Ajjj! Nie wytrzymam skurczów. Niech któraś biegnie po akuszerkę!

W większości był to fałszywy alarm. Ale dziewczęta biegły po akuszerkę, która ją badała.

– Masz jeszcze czas – zapewniała.

Dziewczyna też wiedziała, że ma czas. Było to przedstawienie, żeby zdenerwować pozostałe odaliski, przypominając im, że niedługo urodzi dziecko sułtana. Życie w haremie toczyło się jak dawniej. Jedynie było tu tłoczniej i głośniej, bo wszędzie słyhać było wrzask dzieci.

Ten dzień też był jednym z takich dni. Książęta i sułtanki, którzy już umieli chodzić, bawili się na dziedzińcu, ganiając się z krzykiem. Ci, którzy jeszcze nie byli tak duzi, płakali w ramionach matek.

W tym zgiełku odaliski popijały kawę, wróżyły sobie i odbywały *pogawędki*, ale kątem oka wszystkie obserwowały drzwi. Na zewnątrz zapadał zmrok. Służące i paziowie dawno już zaczęli zapalać lampy i świece. Za chwilę miała pojawić się kalfa.

Było oczywiste, że skoro czas się zbliżał, Bihter, której nie widziano do tej pory, wyjdzie na atrium z dzieckiem na rękach.

– Patrzcie, jak ta zdzira zadziera nosa – szepnęła jedna z dziewcząt.

– Tak to już jest, moja śliczna. Gdybyś to ty urodziła syna, pewnie nie mogłybyśmy nawet do ciebie podejść.

– Wcale nie. Tylko ona urodziła sułtanowi syna? Spójrz, tutaj bawi się czterech książąt. A może pięciu? Nawet nie liczę tych, którzy są w izbach i ogrodzie.

– Wiele urodziło synów, ale to ją nasz pan co noc bierze do swojego łóżka.

Do rozmowy wtrąciła się jeszcze jedna dziewczyna, ukradkiem spoglądając na Bihter.

– Czym ona się od nas różni? Jest ze złota czy co?

Zachichotały.

– Cierpliwości. Jej czas też minie. Sułtan nie może każdego wieczoru jeść ryżu. W końcu i nią się znudzi. A może nasz pan dziś w nocy weźmie do siebie jedną z nas?

Jedna z dziewcząt westchnęła.

– Oby tak było, dziewczyno. Oby twoje słowa się spełniły. To będzie dla niej jak prztyczek w nos.

Bihter kroczyła dumnie, jakby nie zdawała sobie sprawy, że jest tematem plotek we wszystkich grupkach. Bośniaczka była tak piękna, że aż zapierało dech w piersiach. Pukle złotych włosów opadały wodospadem aż do talii. Pod łukami brwi znajdowały się duże, bystre oczy, do tego zadarty nos i małe, mięsiste wargi. „Tylko bażant może być tak delikatny”, myśleli ci, którzy widzieli smukłą szyję Bihter. Miała na sobie niebieską suknię z wycięciem w łódkę. Głęboki dekolt, eksponujący jej obfite piersi, utrzymywał się na jej nagich ramionach. Z wąską talią, smukłą sylwetką i krągłymi biodrami, których nie mogły ukryć nawet obszerne spódnice, ostatnia faworyta sułtana Murada była prawdziwym przekleństwem.

Bihter, upatrzawszy sobie jedną z grup, ruszyła w jej kierunku. Wiedziała, że wszystkie głowy są zwrócone na nią, a w oczach dziewcząt można dostrzec jedynie zawiść.

Zatrzymała się przed pierwszą grupką. Dzięki temu kalfa zobaczy ją, gdy tylko otworzy drzwi, i nie będzie musiała szukać jej w tym zbiorowisku, żeby zabrać ją do padyszacha.

– Chodź, chodź. Usiądź. – Kilka dziewcząt się podniosło.

Bycie blisko faworyty padyszacha mogło przynieść im korzyści. „Jeśli Bihter będzie zmęczona lub chora, poleci mnie naszemu panu”, myślały skrycie.

– Mój księżę wdał się w naszego pana – narzekała Bihter ze sztuczną manierą na chłopca o pąsowych policzkach, którego trzymała w ramionach. – Jest nieznośny. Nie może usiedzieć w miejscu.

Jedna z odalisek wyciągnęła ręce, żeby wziąć od niej syna padyszacha, ale Bihter natychmiast zabrała dziecko i zawołała:

– Siostro! Szybko, weź mojego księcia Osmana i pobaw się z nim trochę. Przed udaniem się do alkowy naszego pana pogawędź chwilę z moimi drogimi towarzyszkami.

Arabska służąca podbiegła i wzięła z rąk Bihter chłopca zaczynającego już marudzić.

– Nie ma komu zrobić kawy, moje panie? Spóźniam się. Chcę sprawdzić, czy znów nie jestem brzemienna.

Dziewczęta spojrzały na siebie ukradkiem, przesuając się, żeby zwolnić dla Bihter honorowe miejsce. „Wściekły się – pomyślała Bihter. – Szczególnie ta Gruzinka. Wydaje jej się, że jest kimś? Komu chce zaimponować z tą twarzą jak taca? Co z tego, że Murad wziął ją do swojego łóżka raz czy dwa? To wszystko, dziewczyno. Miałaś swój czas. I wystarczy. Bihter nie zamierza oddać ci swojego mężczyzny. Żadnej z was nie oddam mojego sułtana”.

– O rety, nie mam już sił – jęknęła, siadając na jednym z materaców. Podciągnęła kolano pod brodę. – Moja piękna, Aisze, napelnij dżezwę.

Dziewczyna zrobiła, co jej poleciła. Najpierw małą, srebrną łyżeczką nasypała kawę, później inną łyżką – cukier, na koniec wlała wodę, odmierzając właściwą ilość porcelanową filiżanką cienką jak papier. Zamieszała w popiele, tak że na wierzchu ukazało się kilka żarzących się węgli. Delikatnie dmuchając, roznieciła żar, po czym umieściła dżezwę między węglami.

– Więc? – zaczęła Bihter. – Co słysząc?

Żadna jednak nie miała sposobności opowiedzieć o tym, co się dzieje, bo właśnie otworzyły się drzwi na końcu westybulu. Najpierw ukazał się w nich opasły brzuch haremowego agi Hüseyina z Jemenu, a później kalfa. Podczas gdy Hüseyin Aga stał w progu, Mestane Kalfa, łopocząc spódnicami, skierowała się w stronę dziewcząt.

Był to ulubiony z jej obowiązków. Teraz wszystkie spojrzenia utkwione były w niej. Była to chwila, gdy wstrzymywano oddechy, a ona miała nakreślić czyjeś przeznaczenie. Wszystkie piękne dziewczęta prześcigały się, żeby wyglądać przed nią jak najładniej. Patrzyły na jej ciemnoskórą twarz, próbując przybrać na twarz najcudowniejszy, najbardziej uroczy wyraz. „O tak – mruknęła w duchu. – Wy

nierządnicę. Co z tego, że jesteście piękne? Los was wszystkich jest w moich rękach. Ta, którą polecę sułtanowi...”.

Bihter była pewna siebie. Wprawdzie padyszach na kilka nocy zrobił sobie przerwę, ale to wszystko. Teraz Mestane Kalfa stanie przed nią i wyciągnie do niej rękę. Właściwie nie musiała się nawet przygotowywać. Już była gotowa. Mogła od razu wstać i iść, ale oczywiście tak nie zrobi. Trzymając za rękę kalfę, uda się do swojej izby i zamknie drzwi przed nosem szalejących z zazdrości dziewcząt. Najpierw posmaruje się perfumami, później poszczypie przez chwilę policzki, żeby jeszcze bardziej się zaróżowiły, aż w końcu, zawoławszy do opiekunki swojego syna: „Dobrze zajmujcie się czcigodnym księciem Osmanem”, wyjdzie na dziedziniec. „Wiedźcie, że jeśli będąc w alkowie naszego pana, usłyszę, że mój książę się smuci, nie wytrzymam nawet chwili. Nie mówcie później, że nie ostrzegałam”.

Później uniesie głowę, wyprostuje ramiona i wyjdą – najpierw Mestane Kalfa, za nią ona, dalej aga harem Hüseyn i dwie służące, które będą czekały na nią, dopóki nie opuści sułtańskich komnat.

Ale tak się nie stało. Bihter siedziała jak oniemiała. Mestane Kalfa minęła ją, nawet na nią nie spojrzawszy. Teraz nadzieja wypełniła dziewczęta siedzące w drugiej grupie. Bały się nawet odetchnąć.

Wszystkie myślały skrycie: „Kogo padyszach zechce wziąć do łóżka? Niech zapragnie mnie, niech zapragnie mnie”.

Mestane minęła też drugą grupę. Później trzecią. Wszystkie dziewczęta, które zostawiła za sobą, ze smutkiem opuściły głowy.

Kalfa zatrzymała się przed ostatnią grupą. Osiem z dziewięciu dziewcząt siedzących przy palenisku z nadzieją uniosło głowy i uśmiechnęło się do niej. Dziewięta patrzyła przed siebie.

– Yıldız!

Osiem dziewcząt mających nadzieję na to, że kalfa wybierze jedną z nich, jednocześnie westchnęło.

– Yıldız?

Być może dziewczyna, siedząc z pochyloną głową, nie widziała, że kalfa wyciąga do niej rękę, ale czy nie słyszała też jej głosu? Odaliska siedząca obok szturchnęła ją, patrząc porozumiewawczo na kalfę. W jej oczach kryło się błaganie: „Spójrz, pomagam ci. Ty też mi pomóż. Zabierz mnie jutro do sułtana”.

Dziewczyna wciąż siedziała nieruchomo.

– Ahter! – odezwała się tym razem Mestane Kalfa.

Dziewięta dziewczyna dopiero teraz zdała sobie sprawę, że kobieta zwraca się do niej. Uniosła głowę i spojrzała na kalfę. W czarnych oczach na gładkiej czarnej twarzy na chwilę pojawił się błysk.

– Stoję tu już chwilę i powtarzam: „Yıldız”. Nie słyszysz?

Dziewczyna zawahała się przez chwilę. Później jej grube wargi się poruszyły, ukazując rząd zębów jak perły.

– Moje... imię... Ahter.

Kalfa roześmiała się.

– Ahter czy Yıldız... Ahter już nie ma, rozumiesz? Masz na imię Yıldız. Zapamiętaj to. Wstawaj.

Dziewczyna słuchała tego jak wyroku śmierci. Jej twarz ukrywała smutek, ale nie sposób było nie zauważyć cierpienia w jej oczach. Podniosła się, nie ujmując wyciągniętej do niej ręki Mestane. Wobec tej krnąbrności kalfa tylko wzruszyła ramionami.

– Nie bój się – szepnęła dziewczynie do ucha.

– Nie boję się.

– W takim razie ciesz się, zamiast się dąsać. Uśmiechnij się. Zostałaś wybranką padyszacha. Nasz pan weźmie cię do swojego łóża. Czego więcej chcesz?

Wargi Ahter jakby się napięły.

– Zawsze to powtarzałam – westchnęła Mestane Kalfa. – Abisyńskim dziewczętom bardzo do twarzy z uśmiechem.

Wiedziała, że Ahter wcale się nie uśmiecha.

Odwróciła się i skierowała do drzwi. Dziewczyna, patrząc przed siebie, ruszyła za nią. Wszystkie odaliski obserwowały je wśród westchnień i zazdrosnych szeptów. Nawet bawiący się na dziedzińcu książęta i małe sułtanki zamilkli.

– Ależ, kalfko – odezwała się osłupiała Bihter, kiedy Mestane ją mijała – błagam, zabierz ją najpierw do łaźni. Niech porządnie ją umyją i oczyszczą. W przeciwnym razie, Boże uchroni, nasz pan pomyśli, że do jego łóża wszedł robak.

Dziedziniec odalisek wypełnił się śmiechem.

VII

Safiye zdawała sobie sprawę, że w jej życiu rozpoczął się nowy rozdział. Czowała, że starsza kuzynka powoli obniża mury, jakie wokół niej wzniosła. Sułtanka matka Nurbanu zaczęła od tego, że zniosła jej zakaz wychodzenia do ogrodu różanego w świetle dnia. Nie witała już słońca zza okratowanego okna. Nie musiała oglądać z daleka drzew, które przywdziały białe i różowe suknie. Nie patrzyła już wieczorami na morze jak na wielką, ciemną pustkę, domyślając się jedynie, że tam jest. „Boże, nie mogę w to uwierzyć”, nieustannie powtarzała w duchu. Od dwóch lat to powtarzała najczęściej: „Nie mogę w to uwierzyć”. To, co przeżyła, usłyszała i zobaczyła, nie było czymś, w co można by uwierzyć.

Znajdowała się w samym środku nieopisanego piękna. W ogrodzie, gdy tylko spojrzała między drzewa migdałowców a judaszowce, po prawej stronie niczym niebieska wstęga rozciągało się morze, które rozkładało swoje ramiona i obejmowało bezkres, jakby zdawało się mieć dość swojego wąskiego koryta. Jej kuzynka nazywała je: „Bosfor – niezrównany skarb Imperium Osmańskiego”. Kiedy trochę wyciągnęła głowę, była w stanie dostrzec też przepływające wielkie okręty o białych żaglach. Jeszcze dalej, w miejscu, gdzie kończył się błękit, zaczynało się morze zieleni. Wiatr niósł do niej zapach sosen, który sprawiał, że człowiek czuł, jakby urodził się na nowo.

Nie widziała zbyt dobrze miejsca, które nazywali Złotym Rogiem, a które tak bardzo przypominało jej Wenecję. A raczej Safiye życzyła sobie, żeby tak było. Morze tam stawało się coraz węższe, aż w końcu, wijąc się, ginęło z oczu za zielonym wzgórzem porośniętym sosnami i strzelistymi cyprysami. To miejsce mogło być jak Wielki Kanał. Być może dalej znajdowało się wiele innych kanałów, tak jak w Wenecji.

Kiedy pewnego dnia sułtanka matka powiedziała: „Dalej, przygotuj się. Idziecie na Kryty Bazar”, Safiye myślała, że zemdleje z wrażenia. „Idziemy?”. Czy to oznaczało, że wyjdzie poza te wysokie mury?

– Kryty Bazar? Co to znaczy?

– To taki targ jak te w Wenecji, tyle że ten jest zadaszony. Wszystko na Krytym Bazarze pokryte jest marmurem. Jest tam wiele wąskich uliczek i wiele sklepów. Sprzedają na nim towary z całego świata.

– Byłaś tam?

Nagle Nurbanu się zawahała. Zdała sobie sprawę, że nigdy nie widziała Krytego Bazaru. Opowiadała dziewczynie tylko to, co słyszała od innych.

– Ja nie miałam czasu, żeby zwiedzać Kryty Bazar.

Kiedy wsiadała do wspaniałego powozu zaprzężonego w cztery białe konie, słyszała, jak kuzynka przestrzega Meleknaz:

– Opiekuj się moją dziewczynką, Gabriello. Powoli wprowadzamy ją na scenę, ale będzie tak, jak powiedziałam. Usłyszą o jej istnieniu, ale nie zobaczą jej urody.

Nawet nie zastanawiała się, co oznaczają te słowa. Nie obchodziło jej to. W Wenecji nie widziała tak pięknego powozu. Błyszczał jak słońce. Był w kolorze zielonym, czyli w tym, w którym zakochała się sułtanka matka Nurbanu. Jednak była to taka zieleń, która wzywała człowieka, obejmowała go i wiodła ku snom. Złote zdobienia

powozu dosłownie płonęły w promieniach słońca.

No i te konie. Cztery olśniewające siwe wierzchowce opuszczały i podnosiły głowy, zarzucając białymi grzywami, nie wiadomo, czy dlatego, że zbliżał się czas biegu, czy z powodu radości, że ich pani pogłaskała je po grzbietach. Jeden z nich odwrócił głowę, jakby z oburzeniem, w chwili, gdy Safiye miała zrobić krok, żeby wsiąść do powozu. Safiye zatrzymała się. Wpatrywała się w nią para wielkich czarnych ślepi ze złotą obwódką. Postanowiła nie wsiadać. Podeszła do konia trzymanego przez stajennego, który najwyraźniej był przerażony obecnością sułtanki matki. Zwierzę powąchało jej skórę. Koń poruszał wielkimi nozdrzami, wdychając jej zapach, i powoli pokiwał łbem. Przeniósł ciężar ciała z jednej nogi na drugą i parsknął.

– Jak ma na imię?

Stajenny, nie unosząc wzroku, wahał się przez chwilę. Co miał teraz zrobić? Miał odpowiedzieć dziewczynie przy sułtance Nurbanu? Czy to wypadało, żeby stajenny odzywał się w obecności sułtanki matki?

Nurbanu pośpieszyła chłopakowi z pomocą. Sułtanka matka, pojąwszy rozterkę służącego, uśmiechnęła się i zbliżyła się do Safiye.

– Karbeyaz⁸. – Pogłaskała zwierzę po szyi. – Tak się nazywa nasza dziewczynka. Karbeyaz.

– Karbeyaz?

– Tak. Spójrz, nie ma ani jednej łaty. Jest biała jak śnieg. To ja nadałam jej to imię.

Safiye uśmiechnęła się bezwiednie. Jej starsza kuzynka natychmiast pojęła przyczynę tego uśmiechu.

– Widzisz, każdemu nadaję jakieś imię. – Nagle nachyliła się nad jej uchem. – Księciu, którego urodzisz padyszachowi, także ja nadam imię.

Safiye miała wrażenie, że cała krew napłynęła jej do policzków. Słoneczny blask, śpiew ptaków i piękno Karbeyaz sprawiły, że na chwilę oderwała się od rzeczywistości. Przypomniała sobie Melodię – swojego konia na Korfu – i Stare, pierwszego konia, jakiego dosiadała w Wenecji, a wtedy jej oczy wypełniły się łzami. Safiye miała wrażenie, że minęło tysiąc lat, odkąd po raz pierwszy dotknęła ciepłej skóry konia. Powoli wyciągnęła rękę.

Stajenny próbował zapobiec temu, żeby zwierzę się wzburzyło, mocniej ściągając wodze. Ręka Safiye niczym motyl musnęła szyję Karbeyaz. Poczowała drzenie na ciepłej skórze zwierzęcia. „Boże, jak bardzo brakowało mi tego cudownego uczucia”, przeszło jej przez myśl. Jej palce błdziły po bujnej grzywie wierzchowca.

– Jesteś piękna.

Zwierzę jakby pojęło, że te słowa skierowane są do niego. Mimo starań stajennego obróciło łeb do Safiye. Ich spojrzenia się spotkały.

– Polubiłam cię, Karbeyaz – wyszeptala.

Koń pokazał, że też ją polubił, pozwalając się pogłaskać po pysku. Wyraził swoją radość, poruszając przednimi nogami. Później całe jego ciało zadrżało.

– Chciałabym, żebyś ty też mnie lubiła, dobrze?

Podczas gdy Safiye wsiadała do powozu, sułtanka matka przekazywała swojej pierwszej damie dworu ostatnie rozkazy:

– Pamiętaj, lud nie może zobaczyć jej twarzy. Mają zrozumieć, że to jedna z moich dziewcząt, ale jej oblicze ma pozostać w ukryciu. Kiedy dojdziecie do Krytego Bazaru, opuścisz tiul na twarz Safiye. Będziemy tak postępować przez jakiś czas. Niech stanie się legendą, tą, która istnieje, ale której oblicze pozostaje tajemnicą.

Z zachwytu była bliska utraty zmysłów. Od chwili, gdy weszły na Kryty Bazar, czuła się jak w bajce. Ściany pokryte były białym marmurem. Podłoga była przetykana wzorami z czarnego, czerwonego, a nawet zielonego marmuru. Delikatnie wznosząca się droga otwierała się na wąskie uliczki po prawej i lewej stronie. Miejsca, gdzie drogi się krzyżowały, były jak małe place. Na środku większości z nich znajdowały się wodopoje. Ludzie gasili przy nich pragnienie, odkręcając kurek i napełniając wodą cynowe naczynie. Safiye była pod wrażeniem kolorowych deseni wykonanych na białym marmurze źródeł. Barwy były pełne życia. Jak nadali marmurowi taki odcień? Nigdy nie widziała ani nie słyszała o niebieskim marmurze. Musiał być bardzo rzadki i bardzo drogi. W Wenecji nawet w Pałacu Dożów nie było niebieskiego marmuru, a tutaj można go było zobaczyć na środku ulicy.

Nagle Safiye zdała sobie sprawę, że to nie kolorowy marmur tworzył feerię barw wokół wodopoju. Nad jej głową znajdowała się zapierająca dech w piersiach szklana kopuła pokryta bajecznymi wzorami ułożonymi z szybek we wszystkich możliwych kolorach. Były na niej cyprysy, róże i inne kwiaty. Tylko witraże kościoła naprzeciwko Pałacu Dożów, do którego zabierała ją matka w każdą niedzielę, były równie piękne. Promienie słoneczne padające na szkło malowały tęczę na białym marmurze wodopojów na Krytym Bazarze.

Czuła, że skierowane są na nią setki, a może tysiące spojrzeń. Widząc powóz, który zatrzymał się przed Krytym Bazarem, wszyscy natychmiast pojęli, że przybyła nim jedna z dam dworu sułtanki *valide* Nurbanu. Tylko powozy sułtanki matki były zielone. Oprócz sułtana Murada tylko na jej powozach umieszczano ozdoby ze złotych liści.

Kim była ta dziewczyna w białej ferezji⁹, która kroczyła, delikatnie się kołysząc? Skąd pochodziła? Nawet gałąź wierzby mogła pozazdrościć jej sylwetki. Jednak jej twarz przesłaniał tiul. Jej oblicze musiało być równie urodziwe. Ludzie podchodzili do niej z zaciekawieniem, przyglądali się dokładnie, żeby dostrzec choćby najmniejszy szczegół, ale na próżno. Woal strzegł tajemnicy.

Byli nawet tacy, którzy zaczęli ją, przechodząc obok:

– Dlaczego szcędzisz nam widoku swojej różanej twarzy, piękna?

Kiedy Safiye razem z Gabriellą przechodziły przed nimi, rzemieślnicy po obu stronach targu wołali do siebie: „Otwórz okiennice, majstrze!”. Oczywiście adresatem tych słów nie był majster. Lubieżnicy próbowali przez to powiedzieć: „Unieś ten tiul, niech cię zobaczymy. Przekonamy się, czy twoja twarz jest równie piękna co figura”.

Gabriella – Safiye musiała się przyzwyczaić, żeby nazywać ją Meleknaz – czasem traciła cierpliwość i odburkiwała mężczyznom: „Wstydz się, efendi! W waszym wieku...”.

Dziewczyna nie narzekała na nic, co działo się dookoła. Nie bała się też, że coś się wydarzy. W końcu wokół nich było wielu strażników, którzy co prawda nie pokazywali się, ale nie spuszczaali z nich oka. Nurbanu nie wysłałaby jej bez ochrony do tak

zatłoczonego miejsca.

Nie przeszkadzało jej też to, że jej twarz przesłania czerwony tiul. Pod wpływem oddechu tkanina delikatnie unosiła się nad ustami. Dopiero kiedy Safiye kierowała spojrzenie w dół, mogła zobaczyć coś tak, jak wyglądało naprawdę, a nie przez szkarłatną zasłonę. Kiedy to zauważyła, zaczęła odrzucać głowę do tyłu i patrzeć przez szparę pod tiulem na stragany z różnokolorowymi aksamitami, taftami, rozmaitymi jedwabiami i gobelinami, jakich nie widziała nawet w Wenecji.

Czuła się wolna jak ptak. Po raz pierwszy zanuciła piosenkę nie dlatego, że tego wymagano od niej na lekcji, ale ponieważ sama czuła, że ma na to ochotę:

Kiedy dzień się kończy, a księżyc się w wodzie odbija,

Proszę Boga, żeby ta tęsknota wreszcie się skończyła.

Kiedy zima odejdzie, a lato ziemię ogrzeje,

Chcę się stać ptakiem i przylecieć do gór, do wzgórz, do ciebie.

Bardzo się zdziwiła, kiedy zdała sobie sprawę, że nie nuci weneckiej melodii, ale osmańską piosenkę. Nawet Gabriella obróciła się i spojrzała na nią zaskoczona. Safiye zdumiała jej reakcja. Czemu tak się dziwić? Nauczycielka uczyła ją grać na tamburze¹⁰, ouden i trzymać rytm, regularnie uderzając ręką o kolano. Tak często powtarzała te piosenki, że ciągle wybrzmiewały w jej głowie.

Kupiły wiele różnych tkanin, sznury koralu, cekiny i kolorowy proszek, którym farbowano dłonie. Safiye tego nie lubiła, ale mieszkające w pałacu kobiety barwiły sobie dłonie pastą, którą z niego przygotowywały. Nazywały ten zielony proszek henną. „Nie chcę”, powiedziała, kiedy jedna z dziewcząt zamierzała nałożyć jej na dłoń pastę. Gdy się przy tym upierała, powstrzymała ją Nurbanu:

– Zostaw! – rozkazała. – Jeśli Safiye mówi, że nie chce, to nie. Zapamiętajcie to.

Safiye nie widziała też, żeby Nurbanu kiedykolwiek barwiła dłonie. Najwyraźniej sultanka matka również nie używała henny.

Z bazaru wsiadły do zielonego powozu zaprzęzonego w Karbeyaz i trzy inne konie i ruszyły prosto do posiadłości córki sultanki *valide* Nurbanu, sultanki Ismihan. Było to pierwsze miejsce, do którego przywieziono ją z targu niewolników.

Safiye żadnym sposobem nie potrafiła zapalać sympatią do tej kobiety. Tymczasem można było uznać, że są krewnymi. „Jak to uznać? Jesteśmy krewnymi. Ismihan to córka mojej kuzynki”.

Kiedy przystojny czarnooki mężczyzna przywiózł ją tu z targu niewolników, Ismihan okazała jej troskę. Mimo dzielącej je różnicy wieku traktowała ją po przyjacielsku. Co więcej, widząc, że Safiye nie chce jeść ani pić, próbowała nawet nakarmić ją zupą.

Safiye nie wiedziała, dlaczego nie czuje z nią żadnej bliskości. Zdawała sobie sprawę, że jest niesprawiedliwa. Może to uczucie wiązało się z tym, że Ismihan była najbrzydszą kobietą, którą widziała do tej pory w pałacu. Zbeształa się za te myśli, ale nie

miała na to wpływu. Być może Ismihan była brzydka, ale po swojej matce miała największą władzę w Imperium Osmańskim. Była też żoną wielkiego wezyra Mehmeda Sokollu, drugiego po padyszachu najpotężniejszego mężczyzny w państwie.

Sułtanka przywitała ją ciepło.

– Pewnego dnia musisz mi zdradzić tę tajemnicę.

– Tajemnicę? Jaką tajemnicę?

– Oczywiście tajemnicę tego, jak z każdym dniem stajesz się piękniejsza.

„*Biedactwo* – przeszło jej przez myśl. – Jest świadoma swojej brzydoty”. Bóg dał tej kobiecie wszystko, ale poskąpił urody. Safiye nie wiedziała, co powiedzieć. Na szczęście sułtanka Ismihan wzięła ją pod rękę i poprowadziła w stronę schodów.

– Chcę ci kogoś przedstawić.

– Kogo?

– Cierpliwości.

Kiedy weszły do skąpanego w słońcu salonu, oślepiły ją promienie wpadające przez wielkie okno. Uniosła rękę, próbując osłonić oczy, ale spóźniła się. Przez chwilę wydawało jej się, że pomieszczenie wypełnia ciemność.

Przed oknem znajdowała się wąska sofa sięgająca od jednej ściany do drugiej. Pośrodku ktoś siedział. Dostrzegła cień spowity w niebieskie jedwabie.

Ismihan pozdrowiła postać delikatnym ukłonem. Safiye poszła za jej przykładem.

– *Ciociu sułtanko.*

Ciociu? Co to znaczy „ciocia”?

Ismihan poprowadziła Safiye w kierunku sofy.

– A oto i Safiye, którą ukrywa przed wzrokiem innych moja matka.

Postać nieznacznie się poruszyła.

– Zbliź się, dziecko.

Pierwsze, o czym pomyślała, to to, jak piękny głos ma kobieta. Pieszczący, dodający otuchy, ciepły.

– Nie widzi już zbyt dobrze – szepnęła Ismihan.

Safiye podeszła jeszcze dwa kroki w stronę kobiety. Nagle ją zobaczyła. Była piękna, ale to bardzo piękna. Stara, ale niewypowiedzianie piękna.

Natychmiast domyśliła się, że pukle włosów pod niebieską chustą, opadające na ramiona, kiedyś były złote jak łany zbóż. Teraz przysypała je siwizna. Jej skóra, mimo wieku, wciąż była jędrna i piękna. A jej oczy... Boże, nigdy nie widziała takiego cudownego odcienia błękitu. A może były granatowe? Były głębokie i bezkresne jak morze.

Kobieta cała była w różnych odcieniach niebieskiego. Perły i diamenty, które miała na sobie, w blasku słońca mieniły się szkarłatem, żółcią, zielenią i fioletem. Kiedy wyciągnęła do niej rękę, na tle sukni jej dłoń przypominała Safiye białego gołębia. Białego gołębia trzepoczącego skrzydłami wśród błękitów.

– Zbliź się, zbliź.

Postąpiła jeszcze jeden krok. Na twarzy kobiety ujrzała błogi uśmiech. Był tak zapraszający i pełen uczucia, że Safiye mogłaby rzucić się na szyję i obsypać pocałunkami tę kobietę, którą po raz pierwszy spotkała. Miała wrażenie, jakby znała ją od

dawna.

Biały gołąb przysiadł na jedwabnej narzucie okrywającej sofę. Kobieta wskazała jej miejsce do siedzenia, delikatnie uderzając dłonią.

– Chodź. Usiądź przy nas.

Safiye pomyślała, że kobieta zasługuje na większy szacunek niż tylko skinienie głową. Postanowiła pozdrowić ją tak, jak w Wenecji pozdrawiano eleganckie kobiety z arystokratycznych rodów.

Pełnym gracji ruchem wysunęła prawą nogę do przodu. Spod ferezji ukazały się białe szarawary i białe pantofle wyszywane złotą nicią. Lewą rękę wyciągnęła przed siebie i pokłoniła się głęboko. Jednocześnie pochyliła głowę jako wyraz szacunku. Kiedy się prostowała, kątem oka zauważyła, że twarz kobiety, którą sułtanka Ismihan nazywała cicią, rozświetliła serdeczność. Przepeliła ją radość, gdy zobaczyła, że kobieta pozdrawia ją lekkim skinieniem głowy. Wciąż nie wiedziała, co oznacza słowo „cicia”, ale polubiła tę kobietę.

Nagle poruszyła się jak niesforne dziecko i w dwóch krokach pokonując dzielący je dystans, usiadła obok kobiety, w miejscu, które jej wskazała.

Przez chwilę patrzyły na siebie bez słowa. Safiye złączyła kolana i usiadła tak, jak nakazywała pałacowa etykieta. Starsza kobieta zaś, tak samo jak robiła to Nurbanu, przyciągnęła jedną nogę pod siebie, a drugą podciągnęła pod brodę.

Safiye nie mogła nasycić się jej widokiem. *„Niech moja starość będzie równie piękna – modliła się w duchu. – Proszę, Najświętsza Panienko, wstaw się za mną u Boga. Niech nie uczyni ze mnie pomarszczonej, przygiętej, garbatej staruchy. Chcę pozostać piękna jak ona. Proszę”*.

Biały gołąb ponownie wzleciał w powietrze. Tym razem przysiadł na jej dłoni. Kobieta ujęła rękę Safiye między swoje dłonie. Na jej twarzy malował się uśmiech napawający ją poczuciem bezpieczeństwa i spokojem.

– Wiesz, co znaczy „cicia”?

Jej głos był tak ciepły i spokojny. Zamiast się odezwać, Safiye była w stanie jedynie pokręcić głową. „Do diabła! – zaklęła w duchu. – Co za wstyd!”.

– Nie nauczyłaś się naszego języka?

Nie wiedziała dlaczego, ale z ekscytacji zaschło jej w ustach. Z trudem poruszała językiem.

– Uczę się, pani. Ale...

– Najwyraźniej nie przyszła jeszcze pora, żebyś nauczyła się, co to znaczy „cicia”.

Ten niepowtarzalny uśmiech nie zniknął jej z twarzy. Jakby przed nią nie siedziała leciwa kobieta, ale nieposłuszna dziewczyna żartująca z przyjaciółką.

– Zatem my cię tego nauczymy. W Imperium Osmańskim siostrę ojca nazywa się cicią.

– Cicia – szepnęła Safiye.

Nie była pewna, ale wydawało jej się, że ładnie to wymówiła.

– Dobrze. Wiesz, kim jesteśmy?

„Przecież powiedziała, że jest cicią”.

– Jestem ciotką sułtanka Ismihan. Ojciec Ismihan, sułtan Selim Chan, był moim

młodszy bratem. – Kobieta zamilkła na chwilę i spojrzała Safiye w oczy. – Więc jak się pewnie domyślasz – cedziła słowa – jesteśmy córką świętej pamięci sułtana Sulejmana Chana i sułtanki Hürrem. *Mamy na imię Mihrimah.*

„No nie – powiedziała do siebie. – Jak mam w to uwierzyć?”. Siedziała obok córki sułtana Sulejmana, którego potęga przyprawiała o drzenie cały świat chrześcijański, i jego żony sułtanki Hürrem, której uroda i sława dotarły aż do pałaców Wenecji. Sułtanka Mihrimah, o której słyszała, że jest jeszcze piękniejsza niż matka, trzymała ją za rękę.

Chciała coś powiedzieć, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Starła się uśmiechnąć. Nie mogła nic zrobić, tylko patrzeć na nią najcieplej i najserdeczniej, jak umiała.

– Skoro my już ci się przedstawiłyśmy – odezwała się kobieta, głaszcząc jej dłoń – ty też coś o sobie powiedz. Kim jesteś? Skąd pochodzisz? Jak masz na imię?

Przełknęła ślinę.

– Safi... – zaczęła.

Sułtanka Mihrimah machnęła dłonią.

– To teraz nieważne. – Znów patrzyła na nią tym niesfornym wzrokiem. – Powiedz, jak naprawdę masz na imię.

Safiye utkwiała w sułtance Ismihan błagalne spojrzenie. Żona wielkiego wezyra przyklękła u stóp ciotki i popatrzyła na obie kobiety.

Nie było nadziei na pomoc. Jeszcze raz zwilżyła gardło.

– Baffo – powiedziała cicho. Nie miała ochoty mówić, że ma na imię Cecilia. – Wenecjanka Sophia Baffo.

Poczuła, że bezwiednie się wyprostowała, i ściągnęła ramiona.

– Jestem córką gubernatora Korfu, arystokraty Antonia Baffo, i Nicoletty Baffo.

– Proszę, proszę – zachichotała staruszka. – Powiedziano nam, że nosisz inne imię, maleńka.

Mihrimah wzrokiem dała jej do zrozumienia, że czeka na odpowiedź. Kiedy pojęła, że dziewczyna nie zamierza nic powiedzieć, odezwała się:

– Poczekaj, jak to było? Zestarzałyśmy się. Wszystko zapominam.

– Ciciuuu...

Na twarzy sułtanki Ismihan malował się szacunek, ale w głosie pobrzmiwał wyrzut. Najwyraźniej robiło jej się przykro, że kobieta tak o sobie mówiła.

– Czy to kłamstwo? – zwróciła się do niej sułtanka Mihrimah. – Kilka dni temu zapomniałam, jak ma na imię syn Osmana... Mniejsza o to... – Ponownie obróciła się do Safiye. – Jak to było... – mruzczała dalej. – Tylko mi nie mówcie. Przypomnę sobie... Ha! Mam. Cecilia... Powiedziano nam, że masz na imię Cecilia. Tak samo jak nasza synowa. Nadali ci jej imię.

Safiye spojrzała przed siebie strapiona. Nie była w tej kwestii tak wrażliwa jak kiedyś, ale wciąż ją to przygnębiało.

– Ja – zaczęła z ociąganiem. Powoli wysunęła dłoń z rąk sułtanki Mihrimah. – Wolałam, żeby nazywano mnie Sophia.

– Doprawdy? Dlaczego?

Nie chciała rozmawiać na ten temat. Dlaczego wciąż go poruszano? Co miała teraz

powiedzieć? Odpowiedź nadeszła od sułtanki Ismihan.

– Safiye zapewne uważa, że moja matka zdradziła swoją ojczyznę...

– Naprawdę? – Mihrimah spojrzała na nią pytającym wzrokiem.

– Nie tylko ja – broniła się. – Wszyscy... Cała Wenecja tak sądziła. Tyle razy prosili ją o pomoc. Jednak ona...

– Nie pomogła – dokończyła staruszka. – A czy wiesz, czego od niej chcieli?

Wzruszyła ramionami.

– Skąd mam wiedzieć? – odezwała się, starając się, żeby szacunek nie zniknął z jej głosu. – Chcieli pomocy.

– Czy nie oczekiwali od niej, żeby zdradziła swojego męża, ojca jej dzieci, człowieka, który uczynił ją królową?

Safiye ze strapieniem wydeła usta.

– Zdradziła Wenecję... – Sama nie słyszała swojego głosu.

Mihrimah ponownie ujęła jej dłoń.

– Nurbanu nie zdradziła ani Wenecji, ani Imperium Osmańskiego. To bardzo trudne, dziecko. Żeby temu sprostać, kobieta musi mieć serce pełne żaru. Takie właśnie było serce Cecilii Baffo.

W głębi duszy bardzo chciała w to uwierzyć. Spojrzała na starszą kobietę bez słowa. Miała wrażenie, że jeśli na jej twarzy dostrzeże oskarżenie lub choćby cień gniewu, sympatia, którą do niej poczuła, uleci. Jednak sułtanka Mihrimah wciąż patrzyła na nią z tym samym czarującym uśmiechem.

– Wierz mi, córo Baffo – powiedziała cicho. – Cecilia zmieniła życie mieszkańców haremu w piekło. Mury Nowego Pałacu tygodniami jęczały od jej krzyków. Całymi dniami nie odchodziła od okna. Nieustannie wyobrażała sobie, że nadpłynnie wenecki okręt, ostrzela pałac, uratuje ją i zabierze do kraju. Ale okręty nie przybyły.

Zamilkła. Oczy zaszyły jej łzami. Widać było, że myślami wróciła do tamtego czasu.

– Tutaj Cecilia Baffo stała się uosobieniem dumy i potęgi Wenecji. Powinnaś być wdzięczna, że nosisz jej imię.

– Ale zmieniła mi imię...

– Tak, wiem... Kiedy usłyszała, że nazywasz siebie Sophią, uczyniła z ciebie Safiye.

Sułtanka Mihrimah zachichotała.

– Pewnego dnia, gdy znów wywołała awanturę, weszłam wściekła do jej pokoju i zamierzałam powiedzieć, żeby skończyła z tym ujadaniem. Spojrzałyśmy na siebie zdumione. W tej chwili poczułyśmy do siebie sympatię. Ja nazywałam ją „córką Baffo”, a ona, kiedy się złościła, wołała: „Co z tego, że jesteś córką padyszacha?!”. Moja matka, gdy tylko ją zobaczyła, postanowiła uczynić z niej żonę padyszacha. I została nią, ale nie wyszła za tego z moich braci, którego przeznaczyła dla niej sułtanka Hürrem, ale za tego, którego sama wybrała.

– Sama wybrała?

Mihrimah westchnęła.

– Nikt nie wierzył, że Selim może zostać padyszachem... Nawet on sam... Ale córa Baffo zawzięła się i z poety pijusa stworzyła padyszacha. Później zaś urodziła Imperium

Osmańskiemu kolejnego władcę.

Safiye starała się zrozumieć, co mówiła do niej kobieta, i dokładnie to zapamiętać.

– A teraz chce oddać swojego syna mnie – wyszeptała bezwiednie. – Teraz to ze mnie chce uczynić żonę padyszacha.

Sułtanka Mihrimah pokiwała głową.

– Nurbanu powiedziała mi: „Przekonasz się, córko padyszacha, że kiedy córka Baffo raz coś sobie postanowi, robi to”. Uczyniła tak, jak postanowiła. Wciąż to robi.

Nagle uśmiech na jej twarzy zbladł.

– Cecilia Baffo lubiła wypływać na niebezpieczne wody. Wygląda na to, że teraz twoja kolej, żeby na nie wypłynąć. Bądź ostrożna, mała córko Baffo. Pałac to osobliwe miejsce. Tam *zdrada nigdy nie śpi*.

Kobieta zawahała się przez chwilę. Później machnęła ręką.

– Znów ogarnęła nas wieczorna melancholia. Porozmawiajmy o czymś przyjemniejszym... Powiedz, Safiye, gdzie cię dziś zabrali?

Oczy Safiye zabłyśły.

– Na Kryty Bazar – odpowiedziała podekscytowana, klaszcząc. – Oszalałam. Całkiem mnie oczarował. Nigdy nie widziałam tak pięknego...

W jednej chwili sułtanka Mihrimah spoważniała.

– Nagle poczułam zmęczenie – wyszeptała do Ismihan. – Każ zawołać Esmę. Niech położy mnie do łóżka. Jeśli po południu nie zdrzemnę się chwilę, wieczorem nie mogę ustać na nogach.

Kobieta właśnie miała wyjść, kiedy Safiye usłyszała, jak zwraca się do sułtanki Ismihan:

– Mam nadzieję, że Sokollu Pasza cieszy się dobrym zdrowiem i pomyślnością. Przekaż swojemu mężowi, że chcemy się z nim widzieć po nocnej modlitwie. Musimy z nim porozmawiać.

Było oczywiste, o czym chciała z nim pomówić. „Skąd wzięła się ta dziewczyna?”

Po chwili siedziała wraz z sułtanką Ismihan i przez okno przyglądały się przepływającym okrętom. Przez jakiś czas nie rozmawiały. Obie myślały o tym, co mówiła sułtanka Mihrimah.

– Co powie twojemu mężowi?

– Słucham?

To niespodziewane pytanie zdumiało żonę wielkiego wezyra.

Ismihan zawahała się.

– Nie wiem. Pewnie chodzi o sprawy państwowe. Nie patrz na to, że jest stara. Śledzi te sprawy z bliska. Wiesz, że doradzała mojemu dziadkowi? Wyobraź sobie, że wielki sułtan Sulejman nie uczynił nic, nie poradziwszy się Mihrimah.

– Czyli to ona kierowała państwem?

– Nawet jeśli nie, to miała na nie wpływ. Najpierw moja babka sułtanka Hürrem, później moja ciotka.

– Zatem u was mężczyźni słuchają kobiet. – Nagle postanowiła zapytać o coś, co nie dawało jej spokoju: – Zasmuciłam ją. Czy zrobiłam coś złego? Kiedy powiedziałam, że byłyśmy na Krytym Bazarze, nagle zbladła. Dlaczego?

Sułtanka Ismihan wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Ciocia już taka jest. Nagle odpływa. Jeśli ją zapytasz, odpowiada, śmiejąc się: „*Wspomnienia... Wspomnienia nie dają nam spokoju*”. A później znów zaczyna się uśmiechać.

– Teraz jestem jeszcze bardziej ciekawa. Czyli ma wspomnienia związane z Krytym Bazarem, które wywołują jej smutek?

Ismihan próbowała uciec wzrokiem.

– Kto wie? – odpowiedziała niechętnie. – *Może to jakiś sekret.*

– Sekret? Sułtanka Mihrimah ma sekrety?

– A kto ich nie ma? Ale nie mówmy o tym teraz – stwierdziła i uśmiechnęła się. – Powiedz lepiej, czy polubiłaś moją ciotkę Mihrimah.

– Yhy. Widać, że jest bardzo mądra. I bardzo piękna.

– Żałuj, że nie widziałas jej, kiedy była młoda. Orzekłabyś, że na świecie nie ma kobiety piękniejszej od niej.

– Wciąż jest bardzo piękna. Taka słodka... Jej twarz ma taki spokojny i szczęśliwy wyraz.

– Szczęśliwy?

– Tak. Dopóki nie wspomniałam o Krytym Bazarze, wyglądała na bardzo szczęśliwą.

– Moja ciotka nigdy nie była szczęśliwa, Safiye. Nigdy.

– Nie mogę w to uwierzyć.

Safiye zakłęła w duchu. Dlaczego wciąż powtarzała te same słowa? Ale co mogła zrobić? Nie mogła uwierzyć. Zyskała pewność. Działy się tu rzeczy nie do uwierzenia.

– Ale dlaczego? Dlaczego córka najpotężniejszego władcy na świecie miałyby być nieszczęśliwa?

Kobieta zamyśliła się na chwilę.

– Może chodziło o jakąś sekretną miłość.

Słowa Ismihan i wyraz twarzy, jaki im towarzyszył, jeszcze bardziej wzmogły ciekawość Safiye.

– Sekretna miłość?

– Dlaczego nie? – odparła Ismihan. – Może zakochała się w kimś niewłaściwym... Może nikomu się z tego nie zwierzyła. Może nawet mężczyzna, którego kochała, nie wiedział o tej miłości. Być może nie mogła być z mężczyzną, którego pokochała...

– Jak to możliwe? Kto mógł przeszkodzić córce padyszacha być z mężczyzną, którego pokochała?

– Padyszach. I oczywiście śmierć...

– Padyszach kazał go zabić? To chcesz powiedzieć? – dopytywała Safiye.

Ismihan pokręciła głową.

– Pałac to właśnie takie miejsce – mruknęła, nie patrząc jej w oczy. – Są w nim sekrety, których nie można zdradzić, są miłości, których mimo cierpień nie można przeżyć.

Tej nocy Safiye kręciła się w łożu. Słowa sułtanki Mihrimah odbijały się echem w jej głowie: „Nurbanu powiedziała mi: «Przekonasz się, córko padyszacha, że kiedy córa

Baffo raz coś sobie postanowi, zrobi to». Uczyniła tak, jak postanowiła. Wciąż to robi”.

Kiedy już miała wrażenie, że usypia, przestroga starszej kobiety rozbudziła ją: „Wygląda na to, że teraz twoja kolej, żeby na nie wypłynąć. Bądź ostrożna, mała córko Baffo. Pałac to osobliwe miejsce. Tam zdrada nigdy nie śpi”.

Nurbanu też często to powtarzała. Kto wie, może ją też nauczyła tego sułtanka Mihrimah.

Gdy zaczynało świtać, miała wrażenie, że słyszy głos Ismihan: „To właśnie takie miejsce, Safiye... Są w nim sekrety, których nie można zdradzić, są miłości, których mimo cierpień nie można przeżyć”.

Czyżby Ismihan też miała swoje sekrety, których nie mogła zdradzić, miłość, której nie mogła przeżyć?

„A ja? – przeszło jej przez myśl. – Ja też będę miała sekrety, z których nie będę mogła się zwierzyć, miłość, której nie będzie mi dane przeżyć?”.

Tymczasem ona marzyła o spokojnym życiu, bez sekretów, wypełnionym bezkresną miłością. „Wielki Jezu – szepnęła, chowając głowę w poduszkę. – Co to za przedziwne miejsce? Gdzie ja jestem? W niebie czy piekle?”.

Na poduszkę spadła pojedyncza łza.

VIII

Las spowiła mgła. Nie widział nic na wyciągnięcie ręki. Do tego było mu zimno. Zadrzał. „Gdybym chociaż włożył kaftan”, przeszło mu przez myśl. „Głupiec! – zabrzmiał głos w jego głowie. – Zastanów się. Gdybyś w nocy o tej porze snuł się w ciemnościach w kaftanie obszytym futrem, już dawno ktoś poderznąłby ci gardło”.

Nikommu ze służby nie przyszło do głowy, że mężczyzna, który przemknął przed nimi w stroju służącego i pośpiesznie skierował się do schodów, może być ich panem. Strażnicy też nie zwrócili na niego uwagi, kiedy wyszedł i zanurzył się w mrok. Zapewne wybuchliby śmiechem, gdyby zbeształ ich w tym biednym stroju: „Wy, gbury! Nie poznajecie wielkiego bejlerbeja, że nie okazujecie mu należnego szacunku!”. Mógłby nawet przysiąc, że połamaliby mu falakę na plecach, wołając: „Giaurze! Jak śmiesz tak sobie żartować?!”. Właściwie mieli prawo go nie poznać. Nie spędzał wiele czasu w stolicy. W Imperium Osmańskim nie mianowano człowieka bejlerbejem bez powodu. Nie próżnował ani na madziarskich równinach, ani na Cyprze. Ciekawe, co będzie następane.

Godziny, w których wymknął się z domu i wmieszał w mrok, były czasem jego uczty. Każdego wieczoru – wtedy, gdy nie najeżdżał giaurów – zajmował miejsce przed wykuszem na drugim piętrze i wpatrywał się w światła na morzu na przeciwnym brzegu. Światła drgały podstępnie. Wywoływały w człowieku niepokój, strach i gotowość do działania. Z tego powodu zawsze wolał siedzieć na końskim grzbiecie niż wypuszczać się na nieznane wody galerą kołyszącą się jak kołyska na swawolnych falach. Ziemia była pewna, godna zaufania. Kiedy postawiło się na niej stopę, czuło się, że tam jest. Jeśli tylko ustawią kamień, żeby było wiadomo, gdzie spoczywa, i żeby ktoś, przechodząc, mógł pomodlić się za niego, będzie go chroniła aż do sądu ostatecznego. Cokolwiek by się działo – była tam.

„Morze jest inne”, mruknął w duchu. Widzisz, że tam jest, ale właściwie go nie ma. Gotowe jest rozewrzeć ramiona i połknąć człowieka. Jest przebiegłe. Nie daj się zwieść, myśląc, że jest spokojne. Nagle wpada w furję. Nie pozostawia człowiekowi gałęzi, której mógłby się przytrzymać, ani powietrza, żeby zaczerpnął tchu. Jeśli umrzesz, nie da ci nawet miejsca na spoczynek.

Zatrzymał się i wsłuchał w okolicę. Do jego uszu dochodził tylko szum wiatru. Ponownie ruszył w drogę. „*Imperium Osmańskie też jest jak morze*”, przeszło mu przez myśl. Ziemię Osmana Gaziego, Murada I Chana, Mehmeda Zdobywcy, Selima Groźnego, sultana Sulejmana falowały zdradliwie, wrzały w środku. „Szczególnie wtedy, gdy wiatr zamieniał się w burzę”, powiedział do siebie. Tak jak muskające delikatnie morze nagle rosło i wzburzało się, niszcząc wszystko na swojej drodze, tak władza w imperium była źródłem śmiertelnościanego wichru.

Czuł, że burza się zbliża. Trudno było przewidzieć, kto stanie jej na drodze i co pochłonie ani co po niej zostanie. Odkąd flota osmańska została pokonana pod Lepanto, giaurzy odżyli. Wenecja, Austria, hiszpańscy giaurzy, Serbowie i Bułgarzy tylko czekali na właściwą chwilę. Szach Safawidów stał w gotowości. Wrogie wiatry wiejące wzdłuż granic nieustannie niosły popioły z palących się ognisk. Kiedy zabłysła iskra, nie było wiadomo, gdzie spadnie. Pewne było tylko jedno – że pozostawi po sobie setki, dziesiątki

tysięcy bezgłowych ciał.

Wieczorami, kiedy bejlerbeja ogarniała takie czarne myśli, sięgał do stolika ustawionego przed sofą, próbował którejs z przystawek rozłożonych na tacy i popijał anyżówkę. Dopiero w stanie lekkiego zamroczenia mógł zapomnieć o pogłębiającej się deprawacji i przestać narzekać: „Wstań, Sulejmanie Szachu, wstań. Powstań z grobu i zobacz, co zgotował nam twój wnuk”.

Nagle zdał sobie sprawę, że teraz, podążając w tych ciemnościach i zimnej mgle, obawiając się, czy aby nikt za nim nie idzie, tęskni za wojennymi ścieżkami z dawnych lat. Ziemia go wzywała. Był człowiekiem wojny. Walczył. Stawiał czoło wrogowi na polu bitwy. Tymczasem w stolicy nie było wiadomo, gdzie czai się wróg, z której strony dosięgnie go sztylet. Nie wiedział nawet, kto jest wrogiem, a kto przyjacielem. Bejlerbej nie znał się na intrygach, podstępach, utarczkach i sporach. On przyzwyczajony był do polegania na swoich ludziach i machania szablą. Tu zaś nie miał nawet nikogo, komu mógłby zaufać. Skoro wezwano go do stolicy, z pewnością sułtan miał mu coś do powiedzenia. „Jeśli niezwłocznie wezwie nas do siebie, będziemy mogli szybko wrócić do Erzurum, do swoich obowiązków”, przeszło mu przez myśl. Kiedy zobaczył, co się dzieje, zagotował się w środku. Jak to się stało, że doszło do czegoś takiego? Jak to się stało, że żołnierze, wezyrowie i inni, którzy służyli Wielkiemu Imperium Osmańskiemu, ukradkiem obmawiali padyszacha?

„A ty? – odezwał się głos w jego wnętrzu. – Jesteś taki sam jak oni. Tylko nie próbuj zaprzeczać. Jeśli jest inaczej, to co tu robisz o tej porze? Tak szybko zapomniałeś o swoich knowaniach? Zapomniałeś, ile głów przez ciebie spadło, żeby utorować tej piękności drogę do tronu? A mężny syn sułtana Sulejmana księżę Bajazyd i jego dzieci? Czy powodem ich zamordowania nie był twój podstęp? Czy to nie w wyniku twojej intrygi zamiast dzielnego księcia na tronie zasiadł zapijaczony syn Hürrem, a u jego boku jako królowa stanęła odaliska? Nie próbuj się usprawiedliwiać, mówiąc: «Co mogliśmy poradzić, gdy oddaliśmy serce tej piękności?». Wielkie Imperium Osmańskie rzuciłeś do stóp odaliski. Sprawileś, że stoi na jego czele jako *valide*. Ty też niczym się od nich nie różnisz”.

Jak to się mogło stać? Szepty i plotki wyszły z ukrycia. Drwiny i coraz głośniejsze pomruki niezadowolenia docierały aż do granic państwa. Przecież Erzurum znajdowało się tak daleko od stolicy. Ale tak właśnie było. W pałacu nie było już nikogo, kto by o tym nie mówił. Bejlerbej puszczał to mimo uszu, łajał tych, którzy przekazywali te słowa, ale nie był w stanie zapobiec rosnącej fali niezadowolenia. Przed kim miał ukrywać coś, co wszyscy widzieli i o czym słyszeli? „Dobrze, że jest sułtanka *valide* i Sokollu Mehmed Pasza – powtarzali ludzie na targach i bazarach. – Co by z nami było, gdyby nie oni?”.

Poczuł w środku jakieś ukłucie. Przed oczami pojawił mu się strumień szemrzący w winnicach Manisy. Piękna i smukła dziewczyna szła w jego stronę, a wiatr szarpał jej szarawarami. Przypomniawszy sobie głosy:

– Czym się zajmujecie, efendi?

– Jesteśmy *lala* księcia Selima. To my nauczyliśmy księcia wszystkiego, co wie.

Z taką śmiałością spojrzała mu w oczy.

– Ach, gdyby tak było – powiedziała dziewczyna. – Szkoda, że nie przekazaliście

księciu, którego – jak mówicie – nauczyliście wszystkiego, tego blasku żarzącego się w waszych oczach. Powinniście byli nauczyć go żyć jak chan, pragnąć jak chan, a w razie potrzeby walczyć o to.

Te słowa zmieniły los wielu ludzi. Niewolnica, której pomógł, której wskazał właściwą drogę, uczyniła padyszachem najpierw Selima, a później swojego syna. Teraz dziewczynę, która biegła brzegiem strumienia w rozwianych szarawarach, nazywano sułtanką *valide* Nurbanu. „Zrobiliśmy, co należało. Przemówiliśmy wtedy, gdy sułtan milczał”.

Znów poczuł ukłucie w sercu. „Ile lat minęło, odkąd widzieliśmy się po raz ostatni?”, zastanawiał się. Dziesięć? Piętnaście? A może dwadzieścia? Czy wciąż była taka piękna? Nagle przypomniał sobie jej zapach, ciepło jej skóry i gibkość. „Niech to szlag”, próbował odrzucić od siebie wspomnienia, które zawładnęły jego umysłem.

Wtem usłyszał jakiś szelest. Ogarnęło go z wątpienie. Czy szedł prosto w pułapkę? „Czyżby sułtanka matka miała nam za złe naszą lojalność wobec padyszacha?”, przeszło mu przez myśl. Oczywiście, że tak. Nurbanu nie zapomniała roli, jaką odegrał w podpaleniu Wenecji, ani o tym, że po zdobyciu Cypru kazał obdrzeć ze skóry licznych Wenecjan.

Przypomniał sobie dzień, kiedy oczy, które niegdyś patrzyły na niego z miłością, zapłonęły.

– Nie bez powodu nazywają cię Kara Paszą – syknęła. – Nie pomyślałeś o nas, mordując naszych braci? Nie przyszło ci do głowy, że serca, które wyrwałeś im z piersi, to też moje serce i moja dusza? Skoro pogrzebałeś moją miłość na Cyprze, paszo, strzeż się zemsty mojej i Wenecji.

Być może właśnie teraz nadszedł czas zemsty. Czy Nurbanu dowiedziała się o niepokojach spowodowanych haniebnymi czynami jej syna?

Przez chwilę pożałował, że przyjął propozycję mężczyzny. „Czy tobie musiało przypaść starcie wstydu z oblicza Imperium Osmańskiego, zatrzymanie zbliżającej się burzy? – zganił się w duchu. – Mało przysłużyłeś się dziadowi, później ojcu, a teraz synowi? Zacząłeś się starzeć, Kara Paszo. Ach, Mustafa, mogłeś korzystać z życia, czerpiąc z wszystkich dobrodziejstw bycia bratankiem wielkiego wezyra. Co robisz w tych ciemnościach, w tej mgle i tym zimnie?”.

„A co miałeś zrobić? – odpowiedział na to pytanie głos w jego wnętrzu. – Jak inaczej miałbyś się dowiedzieć, jak rozwija się zdrada?”.

Wiedział, że sułtan nie postępuje właściwie. Jednak co innego narzekać, próbować sprowadzić padyszacha na właściwą drogę, a co innego zdradzić. Na to pierwsze mogło być już za późno. Był pełen podejrzeń. Bał się podjąć czegoś, co nigdy wcześniej nie miało miejsca w Imperium Osmańskim, a nawet jeśli miało, była to rzecz niebywała.

– Środki zaradcze, przestrogi – tak – mruknął do siebie. – Zdrada – nigdy.

To, co wypadało zrobić osobie w jego wieku i na jego stanowisku, to w razie potrzeby ostrzec sułtana, a jeśli będzie trzeba, rozeznac się w sytuacji i odwieść od ich zamiaru tych, którzy chcą zdradzić potomka Osmana, a nawet ich zatrzymać. Tak go uczono od dnia, gdy zabrano go jako dewszirmę z Sokolac¹¹. To pamiętał z dzieciństwa i tak postępował od dnia, w którym rzucił mu się wąż.

Wiedział, że coś się dzieje. Do czegoś się przygotowywano. Ktoś poruszył się w ciemnościach. W takim razie to, co powinien zrobić, to zatrzymać koło zdrady, które najprawdopodobniej zaczęło się już obracać. Właściwie po to był tu tej nocy, żeby dowiedzieć się, co się dzieje.

Przez chwilę nasłuchiwał. Nie słyszał nic oprócz szumu wiatru. „Chyba się pomyliłem”, mruknął do siebie. Mogło to być zwierzę poszukujące zdobyczy. Ponownie zaczął iść. „To niedorzeczne – starał się stłumić strach. – Nie zrobiłem nic, czym mógłbym pokazać, że niepokoi mnie rozwój wypadków, żeby Nurbanu mogła wątpić w moją lojalność wobec jej syna”.

Mimo wszystko coś nie dawało mu spokoju. Z nikim nie prowadził rozmów, które mogły go wydać. Jeśli ktoś podejmował ten temat, starał się go zakończyć. Jedyne, do czego się posunął, to słowa: „Nasz pan jest jeszcze bardzo młody. Ustatkuje się”, ale może jakieś spojrzenie, wyraz jego twarzy wzbudziły wątpliwości. Kto wie? A może ktoś rzucił jakieś oszczerstwo?! Czy to nie było możliwe? Poczł się jak rażony piorunem. Niektórzy przez oszczerstwa tracili głowy, inni dzięki nim, uśmierciwszy niewinnego, którego pozycję sobie upatrzili, zdobywali bogactwo i powodzenie. Przed oczami ukazała mu się złowroga twarz szejka Şücy¹². Nie było rzeczy, której ten człowiek by nie zrobił, oszczerstwa, którego by nie rzucił.

Szedł jeszcze przez jakiś czas. „Do diabła, jakby nie można było wybrać innego miejsca spotkania!”, mruknął w duchu. Nie można było. Wezyr, bejlerbej i aga janczarów szepczący między sobą wszędzie zwracaliby uwagę. Nawet jedno słowo, które wymknęłoby im się z ust, mogło oznaczać wyrok śmierci.

Nagle stanął jak wryty. Znowu usłyszał ten sam dźwięk. Przeczesał wzrokiem okolicę. W ciemnościach nie widział nic oprócz mgły kłębiącej się jak dym. Jednak był pewien, że to słyszał. Dźwięk ustał, kiedy się zatrzymał.

„Ktoś za mną idzie!”. Jego ręka bezwiednie powędrowała do broni schowanej za pasem.

Istniały trzy możliwości: albo to padyszach kazał komuś go śledzić, albo sułtanka matka Nurbanu, albo Sokollu, który stwierdził: „Bez obaw. Jeśli my w niczym nie uchybimy naszej służbie, Imperium Osmańskiemu nic się nie stanie. Sługa nie będzie przecież uczył padyszacha, jak żyć i jak biesiadować. Skupmy się na swoich obowiązkach”.

„Co z niego za przebiegła świnia”, przeszło mu przez myśl. Sokollu Mehmed Pasza był synem jego stryja, ale wciąż wysyłał go w odległe krainy, żeby trzymać go z daleka od stolicy.

Postąpił jeszcze jeden krok. Później kolejny. Wyteżył słuch, żeby znów móc usłyszeć ten dźwięk. Pękła jeszcze jedna gałąź.

Zatrzymał się. Teraz nie miał już wątpliwości. Ktoś krył się w ciemnościach. Zatrzymywał się, kiedy on przystawał, ruszał, kiedy i on robił krok. Może był to szpieg, może bandyta śledzący ofiarę, którą zamierzał obrabować, a może zwierzę.

„Kto lub cokolwiek to jest – pomyślał – skończę z nim, odbierając mu życie. Nie zamierzam zostawiać tu płaszcza, którego nie przebił gaur. Wciąż mam siłę w rękach”.

Nie poruszając stopami, obrócił się w stronę, z której dochodził dźwięk. Z całej siły

ujął rękojęć swojej wysłużonej szabli, która widziała już niejedną wojnę i odcięła niejedną głowę. Mimo wieku jego ciało z przyzwyczajenia napięło się jak cięciwa łuku. Nagle cięciwa się zwolni i z przeraźliwym okrzykiem zaatakuj cel.

Uniósł ramię.

Jeszcze raz ten dźwięk.

Tym razem ukrywający się w ciemności nie czekał, aż on zacznie iść. Pękła jeszcze jedna gałąź. Później następna. Najwyraźniej porzucił już środki ostrożności. Szybko posuwał się w jego stronę. Wróg przeszedł do ataku przed nim.

Cel się pochylił. Miał zamiar zaatakować go na wysokości torsu, kiedy tylko wynurzy się z mgły.

Podszedł bliżej... Bliżej... Bli...

– To ty?

W jednej chwili wszystkie jego mięśnie się rozluźniły. Rozpoznał agę janczarów.

– To ja. A ty jesteś nim?

Zakazali sobie nawet wymieniać swoich imion. Ten, który chciał spotkać się z nimi w sekrecie, był przezornym człowiekiem.

– Nie tylko mury pałacu, las też ma uszy, agowie.

Miał rację.

– A kim innym? To ja.

Bejlerbej wyprostował się. Kiedy wierzchem dłoni ocierał skroplony na czole pot, we mgle poruszyła się sylwetka przypominająca potwora. W końcu postać wynurzyła się zza zasłony mgły. W ręku miała nóż.

– O mały włos stracilibyście głowę, ago.

Kiedy mężczyzna się do niego zbliżał, jego wargi, przesłonięte wąsami o podkręconych końcach, rozciągnęły się w uśmiechu.

– Gdyby nie twój zapach, już dawno wyrwałbym ci serce z piersi, mój Kara Paszo. Chowając szablę do pochwy, odpowiedział z rozdrażnieniem:

– Jakiego zapachu?

– Zapachu bitwy, paszo. Zapachu prochu i krwi.

Spodobała mu się ta odpowiedź.

– Pozostawiasz za sobą zapach wojny. Bóg mi świadkiem, zwietrzyłem twój zapach, będąc o sto kroków od ciebie.

Przez jakiś czas szli w milczeniu. W końcu we mgle zamajaczyły przed nimi ruiny.

– Nareszcie – mruknął wąsacz.

Wślizgnęli się do środka przez otwór, który najwyraźniej niegdyś stanowiły drzwi.

– Spóźniliście się.

W środku najpierw ukazało się mdłe światło świecy. Później na murze zobaczyli wielki cień postaci trzymającej świecę. W końcu stanął przed nimi mężczyzna, który zwołał ich tu na spotkanie.

– Zacząłem się już niepokoić.

W padającym od dołu świetle świecy jego oczy, ledwie widoczne wśród bujnych rzęs, wyglądały jak dwa płomienie.

– To przez mgłę i ciemności – burknął wąsaty olbrzym.

Twarz mężczyzny się napięła.

– Mgła i ciemności są nam na rękę, ago. Ukrywają nas i nasze zamiary.

W bejlerbeju te słowa wzbudziły niepokój.

– Mgła i ciemności chronią niegodziwców i bandytów. My nie jesteśmy ani jednymi, ani drugimi. Czy przyświeca nam inny cel niż służba naszemu panu i Imperium Osmańskiemu, że potrzebne nam ta ostrożność, szyfry i mrok?

– Od sług naszego pana oczekuje się czegoś więcej niż służby. Ci, którym to nie w smak, powinni obawiać się o swoją głowę.

Zdmuchnął świecę. Niewielki płomień zachwiał się na chwilę, po czym zniknął w wijącej się smudze dymu.

– Kto by powiedział, że nadejdą dni, kiedy będziemy bali się wymówić nasze imię, które rozslawiliśmy na placach boju.

– My wiemy, na co nas stać – szepnął mężczyzna. – Teraz powiedzcie, czy jesteście gotowi poświęcić życie, majątek dla ratowania państwa Osmana przed hańbą?

– Gdyby tak nie było, co byśmy tu robili? – odpowiedział oględnie Kara Pasza.

Mężczyzna zwrócił się do człowieka obok niego. Nic nie było widać, ale obaj mogli przysiąc, że masywny mężczyzna podkręcił koniec wąsa.

– A ty? Jesteś na to gotowy, ago?

– Bóg mi świadkiem.

Odpowiedź agi janczarów była równie ostrożna. Mężczyzna, który zwołał spotkanie, nie był z niej zadowolony.

– Jesteś gotowy czy nie, ago? Porzuć puste słowa i mów otwarcie. Wiedz, że jeśli potwierdzisz, nie będzie odwrotu. Będziesz musiał zrobić to, co będzie należało. A teraz powiedz, czy jesteś gotów oddać za to życie?

– Tak.

– Łatwo powiedzieć: „Tak”, a trudniej stanąć przed sułtanem i postawić mu się, mówiąc: „Nie bierz kobiety do łoża”. Czy jesteś na to gotowy?

– Jeśli będzie trzeba, to tak zrobimy – odpowiedział wąsaty olbrzym. – Koszary janczarów wrą od plotek. Kiedy żołnierze zaczynają gadać, nie wróży to nic dobrego.

– Co mówią żołnierze? – Kara Pasza nie mógł się powstrzymać.

– Nie udawaj, że nie wiesz, paszo. We wszystkich koszarach żołnierze mówią to samo. Pytasz o tych, którzy mówią: „Murad Chan, zmagając się z kobietami, nie znajduje czasu na wojnę”, czy o szydzących: „Co padyszach miałby robić na wojennych ścieżkach, skoro w jego łożu czeka kobieta? Od tego są paszowie. Kiedy sułtan zdobywa kobiety, oni będą walczyć”?

– Mówi o tym nawet lud na bazarach i targach – dodał trzeci mężczyzna. – Pewien człowiek na Krytym Bazarze zawołał do kobiety, której twarz wyglądała spod zasłony: „Siostrze, zasłoń tę piękną twarz. Ktoś cię zobaczy i przekaże wiadomość. Złapią cię i wepchną do łoża sułtana”. Wyobrażasz sobie taką zuchwałość i śmiałość?

– Są tacy, którzy się tym trudnią – wtrącił się zagniewanym tonem aga janczarów.

– Być może wyciągają żony i córki z posłań ich mężów i ojców i zabierają do stolicy. Nikt z prowincji nie chce przyjeżdżać do stolicy. Obawiają się, że nasz pan zapyta, czy przywieźli córkę.

– Trzeba z tym skończyć nie tylko dla Imperium Osmańskiego, ale dla wiary i religii, agowie.

– Przysięgnijmy, kładąc rękę na Koranie.

„Właśnie tego się obawiałem”, jęknął w duchu Kara Pasza. Kiedy w grę wchodzi przysięga, nie ma już odwrotu. Przyszła pora, żeby skropić ogień wodą.

– Położymy dłoń na Koranie i przysięgniemy, ale po co? Zgoda, należy położyć temu kres. Ale jak? Mamy do czynienia z padyszachem, potomkiem Osmana Gaziego, spadkobiercą Mehmeda Zdobywcy i wnukiem Sulejmana Chana. Najpierw zdecydujmy, co czynić. Wtedy złożymy dłonie na Świętej Księdze Koranu i zwiążemy się przysięgą. Niech nikt później nie powie: „Ja tak nie mówiłem... Nie tak to zrozumiałem...”.

Nastąpiła cisza mrożąca krew w żyłach. Gospodarz spotkania popatrzył na Kara Paszę wzrokiem pełnym groźby.

– Skąd to niezdecydowanie, czcigodny paszo? Kara Pasza, który posiwił, służąc imperium, będzie uczył się od nas, jak należy postępować?

Dłoń wąsatego olbrzyma powędrowała do pasa.

„Posunąłeś się za daleko, Mustafu – burknął do siebie. – Straciłeś panowanie. Wzbudziłeś ich wątpliwości”.

– To nie niezdecydowanie. Przez tyle lat nie zdążyłeś nas poznać, że nie słyszałeś, iż nie patrząc na to, kogo mamy przed sobą, mówimy to, co uważamy za słuszne, ago? Jeśli coś mówimy, tak podpowiada nam rozum. Ta broda nie posiwiła na darmo. Nie wyrusza się w drogę, wszystkiego nie omówiwszy, a ten, kto tak czyni, niczego nie osiągnie. Dlatego pytam ponownie, co zrobimy? Jak daleko się posuniemy? Gdzie się zatrzymamy?

– Wiadomo, dokąd zmierzamy, paszo. Do końca. Tam, gdzie kończy się ten wstyd. Głos mężczyzny przypominał syk węża.

Kara Pasza postanowił jeszcze trochę podrażnić.

– Więc jeśli będzie trzeba...

Nie dokończył, jednak ton jego głosu zdradzał wiele.

– Tak, aż tam... – Oczy mężczyzny płonęły. Jego twarz przybrała zatrważający wyraz. – Jeśli będzie trzeba, posuniemy się do tego, paszo – wycedził przez zęby. – Jeśli będzie trzeba – życie, jeśli będzie trzeba – tron. Tron nie przetrwa tej hańby, nawet jeśli zasiada na nim potomek Osmana.

„A więc jednak! – wykrzyknął w duchu Kara Pasza. – Przekłęci. Jedna hańba pociągnie za sobą tysiąc nieszczęść. Ci niegodziwcy szykują się do zabicia sułtana Murada”.

– Jeśli będzie trzeba – życie, jeśli będzie trzeba – tron – mruknął wąsacz matowym głosem.

Najwyraźniej się tego nie spodziewał. Nie było tego w jego planach. Zamierzał podburzyć podlegających mu janczarów i doprowadzić do rebelii, a kiedy żołnierze się zbuntują, zawrócić ich do koszar dzięki obfitemu bakszyszowi. Na tym sprawa by się zakończyła, a jemu, jako tłumicielowi powstania, przypadłoby w udziale odpowiednie stanowisko i inne korzyści. To, co usłyszał, jednocześnie go wystraszyło i wzbudziło w nim nowy entuzjazm. „Pomyśl tylko – zamyślił się. – Co mógłbyś uzyskać,

pozbawiając głowy sułtana? Czy korzystniejsze jest ocalenie życia padyszacha, czy doprowadzenie go przed bramy pałacu do kata?”

– A zatem? – odezwał się mężczyzna. – Wyjawiliśmy nasze zamiary. Czy wciąż jesteście gotowi przysiąc, kładąc rękę na Koranie?

– Jestem gotowy – rzucił aga janczarów.

Kara Pasza wiedział, że na nic się zdadzą jego sprzeciw i próby odwiedzenia ich słowami: „Agowie, nie róbcie tego. Nie godzi się podnosić ręki na potomka Osmana”.

– Gotów – powiedział, kiwając głową. „Boże, nie poczytuj mi tego za grzech”, modlił się w duchu. – Zrobimy, co będzie trzeba.

Wąsacz spojrział na niego podejrzliwie.

– Czy jeśli jeden wycofa się z przysięgi, pozostali dwaj będą mieli boskie prawo do jego życia i krwi, agowie?

– Będą mieli boskie prawo.

– Posłuchaj, ago – odezwał się mężczyzna, który zwołał ich na spotkanie na tym rumowisku. – Teraz musisz być gotowy na śmierć.

– Jestem gotów poświęcić życie na tej drodze.

Tym razem mężczyzna zwrócił się do Mustafy:

– Czy dajesz swoje słowo?

– Daję słowo. Jednak mam jeszcze jeden pomysł. Najpierw wam o tym powiem.

– Co jeszcze można zrobić? Jest inny sposób niż przeciąć ranę i oczyścić z ropy?

– Mam nadzieję, że jest – mruknął Mustafa Pasza, roztropnie głaszcząc się po brodzie. Próbował się uśmiechnąć w nadziei, że doda siły swojej roli. – Sułtan nie wychodzi z kobiecego łóża. Jednak jest jeszcze coś, czego nigdy nie robi.

– Co takiego? – W pytaniu agi janczarów brzmiała raczej drwina niż ciekawość.

– *Nie sprzeciwia się słowu valide.* – Obaj mężczyźni spojrzeli po sobie, a on mówił dalej: – Murad nigdy nie zbuntował się przeciwko słowu matki. Jeśli sułtanka matka coś powie, to tak jest.

– Co należy zrobić w tej sytuacji?

– Uważam, że najpierw powinniśmy porozmawiać z sułtanką matką i powiedzieć jej, jak daleko zaszły sprawy.

– Żeby kazała ściąć głowy nam wszystkim?

– Skąd będzie wiedziała komu? Nie dowie się, kto jest w to zamieszany, oprócz tego, który ją ostrzeże.

– Nie dowie się?

– Nie dowie się. Usta tego, który przyniesie wiadomość, związane będą pieczęcią. Nie wymieni ani jednego imienia.

Aga janczarów, kręcąc głową, od początku dawał wyraz temu, że ten pomysł mu się nie podoba.

– Pośle go na tortury. Wszystko wyśpiewa.

Kara Pasza odwrócił się zagniewany.

– Co ty mówisz, ago? Czy twoje uszy słyszą, co mówią usta? A może mam odciąć ci ten język? Czy istnieją tortury, które rozwiążą nasz język? To chcesz powiedzieć?

Ręka agi już miała chwycić za sztylet, kiedy trzeci mężczyzna złapał go za ramię.

– Poczekaj, tygrysie. – Później uważnie spojrzął w oczy Kara Paszy. – Powiedzmy, że tak postanowimy. Gdzie dżygıt, który stanie przed sułtanką *valide* i powie: „Spraw, żeby sułtan się opamiętał. Niech nie wyciąga ręki po kobietę, która jest *haram*, w przeciwnym razie źle się zadzieje”?

– Tutaj. Ja się tego podejmę. – Mówił dalej, nie dając mężczyznom sposobności sprzeciwu: – Czy jest ktoś, kto wątpi, że żadne tortury nie złamią pieczęci na naszych ustach?

Zapadła cisza.

Jako pierwszy przerwał ją aga janczarów:

– Nie ma – odrzekł. – Mówię za siebie.

Drugi mężczyzna jeszcze przez chwilę patrzył na niego podejrzliwie.

– Nie ma – mruknął.

– W takim razie zostawcie to mnie. Jeśli słowa nie pomogą, grzech zostanie nam odpuszczony.

– Tak będzie.

Bawiąc się rękojeścią sztyletu zasadzonego za pasem, aga janczarów pokazał, po co należy sięgnąć, kiedy słowa nie odniosą skutku.

Mężczyzna, który ich tu zwołał, przez chwilę krążył zamyślony wokół Kara Paszy.

– Spróbujmy – rzekł, stając naprzeciwko niego. – Przekonamy się, czy sułtanka *valide* usłucha słów Kara Paszy. – Przysunął się do twarzy mężczyzny i wzruszył obojętnie ramionami. – Niech robi, jak chce.

Mężczyzna wyciągnął do niego rękę.

– W takim razie niech nasza walka zostanie uświęcona.

On także położył rękę na dłoni rozmówcy.

– Niech ten sekret nie wyjdzie poza nas trzech.

Wielka ręka agi janczarów opadła na ich dłonie jak młot.

– Choćby ziemia się rozstała, a niebo zważyło się nam na głowy.

Była to najważniejsza przysięga w Azji Środkowej.

Nadszedł czas rozstania. Usłyszano, co było do usłyszenia, powiedziano, co było do powiedzenia.

– Rozejdźmy się pojedynczo – odezwał się suchym tonem mężczyzna, który ich tu zwołał. – Wyruszajmy stąd co pięć minut. Jeśli ktoś nas śledził, nie dajmy się wszyscy złapać. Ty idź przodem, czcigodny paszo. Masz bardzo dużo pracy, ale za to niewiele czasu.

– Dobrze – odparł Kara Mustafa, udając nieporuszonego. – Z Bogiem!

Odwrócił się i opuścił ruiny.

„Żaden z nich nie dał się nabrać”, odezwał się głos w jego wnętrzu.

„Wiem. Pilnuj swoich spraw. Sądzisz, że nie wyczytałem w ich oczach wyroku śmierci?”

Ruszył krokiem niezdradzającym niepokoju, spodziewając się, że w każdej chwili może usłyszeć świst sztyletu, który wbije mu się między łopatki.

Obaj mężczyźni odprowadzali wzrokiem bejlerbeja, dopóki nie zniknął za zasłoną ciemności i mgły.

Aga janczarów nerwowo podkręcił koniec wąsa.

– Wyda nas.

– Wiem. Uczyniłeś to, co ci powiedziałem, ago?

– Nie martw się. Tak jak się umawialiśmy. Nieważne, który z nas wyjdzie stąd pierwszy, jutro strażę znajdą jego zwłoki. – Odwrócił się i spojrzał na mężczyznę, szczerząc zęby. – A raczej to, co pozostawią po sobie wilki i szakale.

IX

„Uciekaj, Sophio, uciekaj!”. Nie wiedziała, kto do niej wołał. Jednak głos był bardzo wyraźny.

– Kto tam jest? – odezwała się cicho.

„Uciekaj, Sophio, uciekaj!”.

Nikogo nie było widać, ale głos odbijał się echem w umyśle Sophii.

„Uciekaj, Sophio, uciekaj!”.

– Nie mogę.

Nie słyszała własnego głosu, ale wiedziała, że z jękiem wypowiedziała te słowa. Tajemnicza osoba nie przyłożyła do nich żadnej wagi.

„Uciekaj, nie zatrzymuj się! Uciekaj, Cecilio Sophio Baffo, uciekaj!”.

Safiye bezradnie rozejrzała się dookoła. Ze wszystkich stron otaczały ją ciemności.

– Kim jesteś?

„Twoim rozumem, Sophio. Jestem twoim rozumem. Uciekaj, moja piękna. Nie zatrzymuj się, uciekaj! Leć!”.

Gdyby to było takie proste. Czy głos rozumu był na tyle głupi i ślepy, aby nie rozumieć, że to niemożliwe?

– Dokąd? – mruknęła Safiye.

Jej usta nawet się nie poruszyły, ale wiedziała, że rozmawia ze sobą. Nie obchodziło jej, jak jej się to udawało. Rozmawiała i spierała się ze swoim rozumem.

„Do diabła! – zaklęła. – Nie widzisz, że wszędzie tu jest jak w więzieniu? Z każdej strony wznoszą się mury nie do przebycia. Dokąd mam uciekać?”.

Głos rozumu znów ją zlekceważył.

„Uciekaj, Sophio, uciekaj!”.

Safiye czuła, że wije się z gniewu i bezradności.

– Nie mogę. Nie powinnam. – Zamilkła na chwilę. – Poza tym dlaczego miałabym uciekać? Moja starsza kuzynka uczyni mnie królową Imperium Osmańskiego. To cud. Zostanę żoną króla naszego największego wroga.

Zauważyła, że potwierdziła te słowa, kiwając głową z dumą i zadowoleniem.

– To los mnie tu przywiódł. Nie można uciec przed przeznaczeniem.

Rozum się nie odezwał. „Odebrało mu mowę”, ucieszyła się.

Nagle znów usłyszała głos:

„Czy naprawdę jesteś pewna, że ta kobieta uczyni z ciebie królową? Wierzysz w to?”.

Pokiwała głową. Oczywiście, że była tego pewna. Wierzyła w to.

„Jesteś głupia, Cecilio Sophio Baffo! – Niespodziewanie rozum podniósł głos. – Teraz to ona jest królową, a ty wierzysz, że ta kobieta zdejmie z głowy koronę władzy i nałoży ją tobie, tak?”.

– Tak – syknęła. – Wierzę w to. Musi to zrobić. Starzeje się. Wie, że powinna przygotować kogoś na swoje miejsce. Bóg zesłał jej kuzynkę. Nie rozumiesz, że to cud? Sam Bóg chce, żebym została królową Imperium Osmańskiego. *Odejdzie stara Baffo, a przyjdzie młoda.*

Tym razem rozum milczał przez chwilę.

„Dobrze, a ty? Rzeczywiście chcesz zostać królową Imperium Osmańskiego?”

Safiye rozgniewała się.

– Ty nie możesz być moim rozumem! Mój rozum nie może być tak głupi. Oczywiście, że tego chcę. Która dziewczyna nie pragnęłaby zostać królową? I to Imperium Osmańskiego.

Najwyraźniej rozum nie zamierzał dać za wygraną.

„Wiesz, jaka jest cena, jaką będziesz musiała za to zapłacić?”

– Cena?

„Tak, cena. I to wysoka cena”.

– Zatem jaka jest cena za zostanie królową? – zaszcebiotała Safiye.

Spodobało jej się drwienie z niedorzecznego rozumu.

„W jednej chwili wokół ciebie pojawi się mnóstwo ludzi, oklaskujących cię, sławiących i wychwalających pod niebiosa”.

– Dobrze. To wspaniale.

„Jednak ty będziesz wiedziała, że wszyscy oni to kłamcy i obłudnicy”.

– To nie ma żadnego znaczenia. Będą się do mnie uśmiechali, wychwalali moją urodę, padali mi do stóp i robili to, co im mówię.

„Tyle samo co wielbicieli, a może nawet więcej, będziesz miała wrogów. Będą gadali za twoimi plecami. Będą ci zazdrościć. Będą zastawiali na ciebie pułapki, żeby odebrać ci potęgę i władzę. Będziesz żyła z przekonaniem, że wszędzie czają się cienie twoich wrogów”.

– Trudno. – Safiye po chwili wahania uśmiechnęła się. – Będę zbyt wysoko, żeby mogli mnie dosięgnąć. Poza tym będę miała setki, tysiące służących. Mój przyszły mąż ma niepokonaną armię. Oni zniszczą wszystkich moich wrogów.

„A miłość?”

– Miłość?

„Tak. Pokochasz sułtana, którego królową chcesz zostać? Nawet go jeszcze nie widziałeś. Może jest brzydki, garbaty. Oczywiście może być też kulawy. Skąd wiadomo, że nie jest ślepy albo głuchy?”

Roześmiała się.

– Mówisz głupstwa, rozumie. Zgoda, jeszcze nie widziałam sułtana Murada, ale nie jest ani garbaty, ani kulawy. Damy dworu mojej kuzynki mówią, że padyszach jest bardzo przystojny. Do tego jest przecież silny i potężny. Ma setki odalisek. – Safiye zamilkła. – Wiesz – ciągnęła, chichocząc – mój sułtan w ciągu jednej nocy siedem razy został ojcem. Zrozumiałeś mnie?

„A jeśli oszukują cię, wychwalając sułtana? Jeśli jest brzydki?”

Safiye wzruszyła ramionami.

– Będę opływać w złoto, diamenty, rubiny i inne drogocenne kamienie, których nazw nawet nie znam. Cały świat pozna moje imię. We wszystkich pałacach królowie, królowe, księżęta i księżniczki będą o mnie mówić. W Wenecji wszyscy będą powtarzać: „Słyszeliście? Cecilia Baffo została królową osmańskiego sułtana Murada”. Jeśli ci, którzy o mnie zapomnieli, zapytają: „Jaka Cecilia?”. Odpowiedzą im: „Pamiętacie córkę

naszego gubernatora na Korfu, arystokraty Baffo, która chciała, żeby nazywano ją Cecilia? Piękną dziewczynę o błękitnych oczach. To właśnie ona”. Chwała, sława i potęga staną się moimi przyjaciółkami. Jeśli ceną za to wszystko będzie wzięcie za męża garbatego, ślepego kulawca, mogę podjąć to wyzwanie. Zrozumiałeś? Przestań w końcu zrzedzić.

„A krew?”

– Krew?

„Śmierć... Morderstwa... Spadające głowy, rozplątane brzuchy, szyje, na których zaciśnie się tłusty, katowski powróż, trucizny, skorpiony, żmije, pluskwy... Jesteś na to gotowa?”

Safiye po raz pierwszy poczuła, że się waha, ale nie trwało to długo. Rozum mówił to wszystko po to, żeby ją zwieść, zawrócić z drogi, którą obrała.

– Nie mów głupstw – burknęła.

„Ty o niczym nie masz pojęcia. *Prawdziwą ceną władzy jest życie*. Albo ty je odbierzesz, albo odbiorą je tobie”.

– Mów jasno.

„Owoc potęgi jest jak nieśmiertelność. Wszyscy chcą ją mieć. Ludzie dążą do tego, żeby ją zdobyć. Ten, który sądzi, że osiągnął nieśmiertelność, jest głupcem. Podąża za pustymi marzeniami. Potęga i władza też takie są. Ten, który dąży do władzy, musi zaryzykować życie. Kiedy ją pochwyti, staje się jej niewolnikiem. Jest gotowy na wszystko, na śmierć, ofiarę, zbrodnię, żeby tylko jej nie stracić. Władza cuchnie śmiercią”.

„Dobry Boże, co to za dziwne słowa – przeszło przez myśl Safiye. – One pochodzą z mojego rozumu? Skąd wiem takie rzeczy? Czy to sen, czy to się dzieje naprawdę?”

Zacisnęła powieki ze złością i zatkała uszy.

Nie przyniosło to żadnego skutku. Głos rozumu nie zamilkł.

„Jeszcze nie poczułaś zapachu śmierci?”

Gniewnie pokręciła głową.

„Tak bardzo chcesz zostać królową?”

– Boże, nie wiem! Nie wiem! Nie wiem! – jęknęła.

Oczywiście, że tego pragnęła, ale bywały też chwile, gdy czuła, że tego nie chce. Tak samo często jak marzyła o tym, żeby zostać żoną sultana, myślała o tym, żeby poślubić przystojnego Wenecjanina, który będzie śpiewał dla niej serenady, przepływając przed weneckimi rezydencjami. Jednak w żaden sposób nie mogła przekonać rozumu. Powinna przeżyć cud, jakim pobłogosławił ją Bóg.

– Tak – syknęła z uporem. – Tak, chcę. Chcę zostać królową Imperium Osmańskiego.

Głos rozumu, do tej chwili spokojny, nagle zagrział:

„W takim razie spójrz na swoje dłonie, Sophio!”

Zdziwiła się.

– Na moje dłonie? Dlaczego?

Bezwiednie w ciemnościach wyciągnęła przed siebie ręce.

„Tak! – zaryczał tym razem głos. – *Ponieważ po raz ostatni ujrzysz je czyste!*”

Boże! W mroku powoli poruszyła palcami błyszczącymi jak macica perłowa. Nagle ogarnęło ją przerażenie. Jej ręce zaczęły się czerwienić. „Krew!”, rozległ się w jej wnętrzu krzyk.

„Krew! – zagrzmiał rozum. – Twoje ręce ociekają krwią, Cecilio Sophio Baffo. Tak samo jak ręce twojej kuzynki... Krwią starców, kobiet, dzieci, a nawet niemowląt...”

Safiye chciała zerwać się z miejsca. Kiedy zdała sobie sprawę, że nie może się poruszyć, strach zamienił się w panikę. Krople krwi, które w ciemnościach spływały jej po rękach, zaczęły zmieniać się w jezioro.

– Najświętsza Panienko – jęknęła. – Pomóż mi.

„Uciekaj, Cecilio Sophio, uciekaj!”

– Nie mogę! Nie mogę!

„Jeśli zechcesz, zrobisz to. Przebrniesz przez mrok, zburzysz mury i przekroczysz je. Uciekaj, Cecilio Sophio, uciekaj!”

– A moja korona?

„Korona, na którą pada cień zabitych, nie może błyszczeć. Uciekaj!”

Safiye zauważyła, że zakrwawione dłonie, na które patrzyła, zniknęły. Rozum płatał jej figle, żeby ją oszukać. Głos jeszcze raz zabrzmiał w jej głowie: „Uciekaj, nie zatrzymuj się, uciekaj!”

– Zamilcz! – zbesztala się rozgniewana. – Nie jestem Cecilią Sophią. Jestem Safiye. Zrozumiałeś? Safiye... Sa-fi-ye! Sa-fi-yee!

„Safiye! Safiye!”

W końcu jej się udało. Rozum przestał nazywać ją Sophią. „Pokonałam go”, pomyślała.

„Safiye! Safiye!”

Otoczająca ją ciemność nagle się rozproszyła. Safiye miała wrażenie, że słońce wschodzi przed jej oczami. Mocno zacisnęła powieki.

– Obudź się wreszcie! Już prawie południe.

Obudzić się?

Czy to był sen? Czy we śnie spierała się ze swoim rozumem?

Powoli uniosła powieki. Najpierw przed jej oczami przeszedł cień szczupłej, wysokiej kobiety. Później jeszcze jeden. Kogoś jej przypominała.

– Wstań, moja śliczna – odezwała się z boku inna kobieta.

Nie mogła jej zobaczyć, ale rozpoznała jej głos. To była Meleknaz. Po chwili ujrzała uśmiechniętą twarz. Meleknaz pochylała się nad nią.

– Nie udawaj. Wiem, że się obudziłaś.

Naciągnęła na siebie kołdrę. Odwróciła głowę.

– Jej rzęsy się poruszają, sułtanko.

„Sułtanko? Moja kuzynka jest tutaj?”

Obok twarzy Meleknaz ukazało się oblicze innej kobiety. Sułtanka Ismihan. Ukochana córka sułtanki *valide*. Żona wielkiego wezyra Sokollu Mehmeda Paszy. „O rety – pomyślała. – Czego ode mnie chcą? Co tutaj robią?”

Dwie kobiety pochylały się nad nią, uśmiechając się.

– Musisz natychmiast wstać, kochanie – odezwała się sułtanka Ismihan. – Szybko

wstań i biegnij do okna. Jest coś, co musisz zobaczyć.

Safiye otworzyła oczy. „Tak – powiedziała do siebie. – Jest coś, co muszę zobaczyć”.

Leżąc na plecach, uniosła ręce. Nie zważała na zdziwienie sułtanka Ismihan i Meleknaz. Spojrzała na swoje dłonie. „Boże – zaszczębiotała w duchu. – Hurra! Nie ma krwi. Moje ręce są czyste”.

– Dalej, młoda damo – powiedziała radosnym głosem Ismihan. – Porzuć te dąsy i podejdź do okna. Na zewnątrz coś na ciebie czeka.

„Coś na mnie czeka? Co to może być?”.

Wstała. Ruszyła w stronę sofy stojącej pod oknem. Ismihan i Meleknaz weszły na sofę przed nią. Ona też poszła ich śladem. Uklękła. Wyciągnęła się i opierając ręce na parapecie, wyrzwała na zewnątrz.

Najpierw z niedowierzania nie mogła otworzyć ust. Później jej wargi się poruszyły, ale nie potrafiła wydobyć z siebie głosu. W końcu wykrzyknęła:

– Dobry Boże! Co to takiego?

Na dziedzińcu stał piękny koń. Kasztan. Wspaniały koń z grzywą spływającą po szyi.

– Koń arabski czystej krwi – odparła Ismihan.

Safiye nie wiedziała, co powiedzieć. Przesłoniła dłonią usta, ale zaraz ją opuściła. Jeszcze kilka razy zaszczębiotała: „Dobry Boże!”.

– Jest wspaniały! Wspaniały! – wykrzykiwała, klaszcząc.

Miała wrażenie, że gdyby jej pozwolono, wyrwałaby kraty i wyskoczyłaby na dziedziniec.

Obie kobiety z uśmiechem przyjęły jej dziecięcą radość.

– Tak – odezwała się Meleknaz. – Jest naprawdę cudowny.

Dwóch stajennych nie mogło zapanować nad rumakiem, mimo że mocno ściskali wodze. Zwierzę to uderzało przednimi kopytami o ziemię, to stawało dęba, pociągając za sobą trzymających je mężczyzn. Stajenni napinali ciała, żeby nie dać się wlec za koniem, i starali się go opanować, ściągając rzemienie z jeszcze większą siłą.

– Ma takie szczupłe kostki – szepnęła z podziwem.

Przed oczami stanął jej koń, który teraz znajdował się gdzieś bardzo daleko. On także był bardzo piękny, ale ten to zupełnie co innego. Był cudowny, tak jak powiedziała Meleknaz. Mogła przysiąc, że nigdy wcześniej nie widziała równie pięknego rumaka. Był piękniejszy nawet od najpiękniejszych koni w Wenecji.

– Musi być bardzo cenny – powiedziała. – Jest niczym skarb!

Kobiety pokiwały głowami.

„Ciekawe, do kogo należy”, zastanawiała się w duchu Safiye. Później rozgniewała się: „Cóż to za głupie pytanie?! Jak to do kogo?”.

„Co?! Dobry Boże! Dobry Boże!”.

Natychmiast zasłoniła usta, żeby znów nie krzyknąć. Tylko jedna osoba mogła dosiadać tak pięknego i drogiego wierzchowca.

On! Sułtan! Padyszach! Syn jej kuzynki. Jej przyszły król!

Czyżby padyszach przybył ją zobaczyć? „Nareszcie – pomyślała najpierw. –

Nareszcie dowiedział się o moim istnieniu, wskoczył na swojego konia i pośpieszył do pałacu matki, żeby dowiedzieć się, jaką jestem dziewczyną”.

Nie trwało długo, zanim pojęła, że to przypuszczenie, które wywołało w niej taką radość, nie jest słuszne. „Nie – mruknęła zawiedziona w duchu. Koń nie miał na sobie żadnej uprząży, a przecież wielki sułtan nie przyjechałby na koniu na oklep, niezależnie od tego, jak był piękny.

– Czyje jest to wspaniałe zwierzę? – zapytała.

– Twoje!

Co?!

Głos dobiegł z tyłu. Safiye obróciła się szybko i ujrzała wchodzącą do komnaty sułtankę matkę Nurbanu. Twarz kuzynki rozświetlał szeroki uśmiech.

– Moje?

– Tak, kochanie. Twoje.

Próbowała coś powiedzieć, ale na próżno. Przenosiła wzrok z konia stojącego na zewnątrz na Nurbanu i z powrotem.

– Podoba ci się?

– Kuzynko... – udało jej się wydusić.

Uśmiech Nurbanu jakby na chwilę się rozproszył, a w jednej chwili zebrała się w sobie. Nie chciała rzucać cienia na radość dziewczyny, strofując ją: „Miałyśmy nie nazywać siebie kuzynkami”.

– Tamtego dnia, kiedy zobaczyłaś Karbeyaz, wyraz twojej twarzy zdradził, że bardzo kochasz konie. Chciałam, żebyś miała konia, który będzie należał do ciebie.

Safiye czuła, że z radości i szczęścia zaraz zemdleje. Wydukała coś niezrozumiale. Nikt nie wiedział, co powiedziała, ale wszyscy pojęli, że musiało to być podziękowanie.

– Wspaniale! – Nurbanu uśmiechnęła się. – Cieszę się, że ci się podoba.

– Jak ma na imię?

– Nie wiem. Ty go nazwiesz. To twój koń.

Sułtanka matka zwróciła się do córki:

– Chodźmy, Ismihan. Niech Safiye się ubierze i czym prędzej pobiegnie do swojego konia.

Kiedy wychodziły, dwie służące już zaczęły ubierać Safiye.

Pobiegła na dziedziniec w otoczeniu grupy służących. „Głupi rozum – przeszło jej przez myśl. – Dobrze, że cię nie posłuchałam. Czy mogłabym to zostawić i uciec? Niezależnie od tego, jak wysoka jest cena, zapłacę ją”.

Nazwała swojego konia Apollon.

Wierzchowiec uspokoił się, kiedy tylko ją zobaczył. Ich spojrzenia się spotkały. Skóra na grzbiecie zwierzęcia zadrżała. Dwukrotnie zarzucił łbem, a później stanął nieruchomo, tak jakby czekał na to, co się wydarzy.

Safiye wyciągnęła rękę. Koń spojrzał na nią z ciekawością zza grzywy z żółtawymi i brązowymi refleksami. Safiye ujrzała swoje odbicie w jego wielkich, czarnych oczach. Delikatnie pogłaskała końskie czoło. Czubkami palców podrapała zwierzę między oczami. Koń parsknął z zadowoleniem. Wilgotnym pyskiem dotknął drugiej dłoni dziewczyny i wciągnął jej zapach.

– Mam na imię Safiye. Jestem twoją właścicielką. Będziesz się nazywał Apollon – wyszeptała nagle do końskiego ucha. – Apollon – *bóg słońca i ognia*. Bóg, którego strzała wystrzelona z jego srebrnego łuku nigdy nie chybia celu. Ty też będziesz mknął jak strzała.

Apollon stał nieruchomo.

Safiye próbowała objąć szyję zwierzęcia.

– To imię będzie do ciebie pasowało.

Głaszcząc brzuch konia, poczuła, jak napinają się mięśnie pod jego skórą pokrytą jedwabistą sierścią.

– Będziemy do siebie pasować, Apollonie. Ja też dobrze strzelam z łuku.

Safiye wzięła kostkę cukru, którą podał jej jeden ze stajennych. Zwierzę delikatnie zjadło cukier z jej małej dłoni.

W tej chwili postanowiła, że jeśli będzie trzeba, nie będzie spać, żeby nie śnić już takich niedorzecznych snów. Co by zyskała, gdyby dała się nabrać rozumowi, który we śnie naopowiadał jej głupstw, i uciekła? Nic! Tymczasem już teraz zaczynała odczuwać potęgę. Była na wyciągnięcie ręki. Potęga i władza. To prezenty od Boga dla niej. Teraz była już tego pewna. Bóg stworzył ją, żeby je zdobyła. To dlatego postawił na jej drodze korsarzy. To dopiero początek. Poza tym, dokąd miałyby uciec? „A mówią: «Słuchaj słów rozumu»”, pomyślała. Najwyraźniej rozum też mógł się mylić. Czasem człowiek nie powinien słuchać rozumu, ale swoich uczuć i pragnień. Ona też tak właśnie robi.

– Moje pragnienia – mruknęła w swoim języku, nie zważając na zdziwione spojrzenie stajennego. – Poprowadźcie mnie. Poprowadźcie mnie tak daleko, jak mogę zajść.

Chwyciła za grzywę Apollona. Uniosła ciało i wsiadła na konia, tak samo jak robiła to w Wenecji. Obaj stajenni patrzyli z niedowierzaniem, że dziewczyna bez pomocy, z taką łatwością zajęła miejsce na grzbiecie konia, do tego bez uprzęży.

Safiye, głaszcząc zwierzę po szyi, nagrodziła je za to, że bez oporów pozwoliło się dosiąść. Delikatnie wbiła pięty w końskie boki i zwierzę ruszyło przed siebie.

Przypuszczała, że Nurbanu razem z córką obserwują ją z okna, dlatego jedną ręką trzymając się grzywy Apollona, drugą z dumą oparła na biodrze. Uniosła głowę w stronę okna i uśmiechnęła się.

Sułtanka Ismihan nie mogła uwierzyć własnym oczom.

– Dobry Boże! Spójrzcie na to. Siedzi na koniu jak dowódca jazdy.

Nurbanu natomiast w milczeniu obserwowała radość, szczęście i dumę na twarzy swojej kuzynki. Uśmiech na jej twarzy powoli się rozproszył, a jego miejsce zajęła powaga.

– Dalej, córo Baffo – mruknęła. – Dobrze poprowadź swojego konia.

X

Sułtanka *valide* Nurbanu umościła się na poduszkach na sofie przygotowanej pod drzewem akacji. Uganiające się wokół niej damy dworu i służące były przekonane, że zamyśliła się, patrząc na zielone wzgórze na przeciwnym brzegu. Tylko Meleknaz zdawała sobie sprawę, że jej pani uważnie przygląda się Safiye, która z każdym dniem rozkwitała i stawała się piękniejsza. Znała Nurbanu od dnia, gdy wpadły w ręce korsarzy.

W tej chwili w głowie Nurbanu krążyły tysiące myśli, a tematem wszystkich była jej mała kuzynka, która gonila za motylami pośród róż razem z dwiema damami dworu, jej rówieśniczkami.

Szybko okazało się, że Meleknaz się nie myliła.

– Jak myślisz, *jest gotowa*?

Meleknaz uniosła głowę i spojrzała w stronę, z której dochodził dźwięczny śmiech Safiye.

– Tak wspaniale być dzieckiem. Spójrz, jak się bawi.

– Kiedy porwał nas Barbarossa, też byliśmy dziećmi – syknęła Nurbanu. Mówiła dalej, nie patrząc nawet na twarz kobiety, która próbowała uciec od niej wzrokiem. – Wiesz, że nienawidzę niedopowiedzeń, Gabriello. Mów otwarcie. Uważasz, że jest za młoda, żeby to udźwignąć?

Ton głosu jej pani i fakt, że zwracała się do niej prawdziwym imieniem, nie wróżyły nic dobrego, ale Meleknaz się nie wycofała.

– Nie, mówię tylko, co widzę.

Sułtanka westchnęła, żeby stłumić gniew.

– Nie rozumiesz, że już dłużej nie możemy czekać?

– Rozumiem.

– Więc? Powiedz mi, czy jest gotowa, czy nie.

– Wiem, co chcesz zrobić.

– Co takiego chcesz zrobić?

Pierwsza dama dworu z niepokojem rozejrzała się wokół, sprawdzając, czy w pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby je usłyszeć.

– Chcesz ubrać ją w suknię, którą uszyła dla ciebie sułtanka Hürrem.

Na chwilę ich spojrzenia się spotkały. Pierwsza odwróciła głowę Nurbanu.

– Mylisz się.

– Wiesz, że kocham cię z całego serca, moja piękna pani. Wiem, że będziesz na mnie zła, ale nie sądzę. Chcesz być Hürrem twojej Safiye. Twoja zmarła teściowa zaszczepliła ci myśl o byciu królową. Teraz ty chcesz uczynić z niej królo...

– W jednym pałacu nie ma miejsca na dwie królowe.

Tym razem szept kobiety był jak strzał z bicia.

– Więc czego chcesz?

Nurbanu z gniewem spojrzała na swoją damę dworu.

– Uratować życie mojego Murada.

Nagle Meleknaz poczuła, że przeszył ją chłód.

– Co? – Zaparło jej dech.

Sułtanka zauważyła, że Safiye do niej macha. Odwzajemniła gest. W przeciwieństwie do szczęścia i ekscytacji na twarzy dziewczyny na jej obliczu malował się smutek.

– Tylko ona może uratować życie sułtana. *Życie nas wszystkich zależy od Safiye.*

Meleknaz wstała. Wszędzie roило się od szpiegów. Mieliby pominąć pałac sułtanki matki? Nie wiadomo, która służąca jest czyimi oczami, która odaliska czyimi uszami. Meleknaz zbliżyła się do sułtanki matki tak bardzo, jak pozwalała na to pałacowa etykieta. Wykonała gest, jakby pokazywała jej swoją robótkę i chciała się poradzić. W jej oczach malował się teraz nieopisany lęk.

– Boże, uchowaj. Cóż to za słowa? Niech Bóg ma naszego pana...

Nurbanu dołączyła do gry Meleknaz. Przesuwając palcem po tkaninie rozciągniętej na tamburku, udała, że o czymś opowiada.

– Modlitwa nie wystarczy, Gabriello. Trzeba podjąć odpowiednie środki. Jeśli nic nie zrobię, to się źle skończy. Nie mogę przez to spać.

Dama dworu wiedziała o tym. Ostatnio, ilekroć w nocy weszła do jej komnaty, zastawała ją siedzącą zamyśloną w ciemnościach. Sułtanka *valide* nawet nie zauważała, że weszła.

Meleknaz przysiadła u stóp swojej pani. Obie wciąż udawały, że rozmawiają o haftach. Pytającym wzrokiem spojrzała na Nurbanu.

– Przecież nie ukrywałam przed tobą swoich zamiarów – mruknęła sułtanka. – Powinnas była zrozumieć, dlaczego tak drzę o dziewczynę.

Meleknaz pokiwała głową.

– Nie można już ukryć tego, co się dzieje w haremie. Żołnierze są niespokojni, w koszarach wrze. Wezyrowie i paszowie się burzą. Ulemowie szepczą między sobą ukradkiem, że pałac stał się gniazdem grzechu. A do tego... – Jej twarz ściągnął ból. – Ludzie opowiadają, że dzieci spłodzone przez naszego syna są wyrzucane do morza z Przylądka Pałacowego. Rybacy mówią: „Z morza wyciągamy nie ryby, ale nowo narodzone niemowlęta”. To wszystko dochodzi do moich uszu.

– Też coś niecoś słyszałam, ale nie przypuszczałam, że sytuacja jest aż tak poważna.

– Jest gorzej niż źle. Trzeba zniechęcić sułtana do orgii, w których tak się lubuje, sprawić, żeby odzyskał rozum. Nie znam innego sposobu niż ten, którego nauczyła mnie moja teściowa. Musimy sprawić, żeby Murad Chan czym prędzej się ożenił, Meleknaz. W przeciwnym razie stanie się nieszczęście.

– Wiem, że przygotowujesz do tego Safiye, ale...

– Nie ma żadnego „ale”! – wyszeptwała Nurbanu. Rozejrzała się. – Nie ma żadnego „ale”. Nie ma już czasu. Safiye musi zawrócić w głowie naszemu synowi, *upolować* go.

„Zupełnie jak ty zniewoliłaś kiedyś sułtana Selima”, chciała powiedzieć Meleknaz, ale ugryzła się w język.

– Safiye musi sprawić, żeby pozbył się tego całego haremu – ciągnęła Nurbanu. – Padyszach musi zapomnieć o innych ramionach niż jej.

– Jesteś pewna, że jej się to uda? – Głową wskazała Safiye śmiejącą się z damami dworu.

– Musi jej się udać. Nie zapominaj, że to Baffo. Jeśli w to uwierzy, zrobi to. – Zamilkła na chwilę. – To nie wszystko – powiedziała, błędząc palcem po robótce, którą pokazywała jej pierwsza dama dworu. – Safiye musi jeszcze urodzić mojemu Muradowi *padyszacha*.

Rozgniewała się, że dziewczyna odpowiedziała jej tylko spojrzeniem. Jeszcze bardziej przysunęła do niej głowę.

– Dlaczego tak patrzysz? Nie mam racji? Musi natychmiast urodzić księcia. Znam Murada. Ma gorące serce. Pije nektar dzień, trzy, a później go odpycha. Jeśli jednak przypieczętuje miłość synem, będzie usidlony. Safiye musi zająć w ciąży już pierwszej nocy.

Zostawiła tamburek damy dworu i wróciła do swojej robótki. Wbiła igłę i wyciągnęła ją góra.

– W przeciwnym razie będziemy skończeni – mruknęła. – Zastanawiałaś się kiedyś, co będzie, jeśli Murada spotka coś złego? Kto stanie na czele Imperium Osmańskiego?

Ukradkiem spojrzała na swoją damę dworu.

– Powiem ci. Bękart którejs z tych odalisek – wydyszała ze złością. – Sądziś, że janczarzy, spahisi, wezyrowie, paszowie, hodżowie na to pozwolą? Nie tylko życie sułtana jest w niebezpieczeństwie. *Grozi ono całemu rodowi Osmana*. Tron przejdzie w ręce tego, kto przejmie władzę, będzie rozdawał łapówki i bił swoje monety.

Meleknaz zadrżała, słysząc słowa swojej pani.

– Nie daj Boże – wyszeptała.

– Dlatego pytam cię, czy jest gotowa. Czasu jest coraz mniej. Trzeba natychmiast przejść do działania.

Meleknaz musiała nadal odgrywać rolę pierwszej damy dworu. Podeszła do schodów altany. Zeszła kilka stopni. Udała, że przygląda się różanemu krzewowi na skraju kratki. Następnie wróciła i zajęła miejsce na krześle obok sułtanki matki.

– Jeśli masz na myśli jej rozum, jest gotowa...

– A inne kwestie?

Policzki kobiety spłonęły rumieńcem. Wzruszyła ramionami.

– Do tych spraw ma nauczycielkę... Lepiej byłoby ją zapytać.

Nurbanu skinęła głową.

– My też tak pomyślałyśmy. – Ton jej głosu wskazywał na to, że przyjacielska pogawędka się skończyła. – Prześlij wiadomość Podpierzynce Dżanfedzie. Niech jutro przed poranną modlitwą przyjdzie w miejsce, gdzie wcześniej się spotkałyśmy.

– Do przystani? – Wzrok Meleknaz zdradzał, że nie pochwała tego pomysłu.

– Co mam zrobić? Mam rozmawiać z Dżanfedą w mojej komnacie? Przy dziewczętach? I tak już plotkują o tym, kim jest ta kobieta i czego uczy Safiye. Powiedzmy, że bym je odprawiła. Czy to nie ty powtarzasz, że ściany mają uszy?

Meleknaz zaczęła się zbierać. Spakowała tobołek z przyborami do haftowania.

Nurbanu delikatnie ujęła rękę swojej przyjaciółki.

– Czy podążam złą drogą, Gabriello?

Kobieta spojrzała w oczy swojej pani.

– Wiążesz losy sułtana, swoje i Imperium Osmańskiego z jakąś szaloną dziewczyną. Boję się. A jeśli jej się nie uda? Jeśli poniesie klęskę? Jest jeszcze coś... – Zawahała się. – Jeśli posunie się za daleko?

Nagle subtelny dotyk Nurbanu zmienił się w stalowy uścisk.

– Posunie się za daleko? Co masz na myśli?

– Nic na to nie wskazuje. Mówię tylko, czego się obawiam. Własnoręcznie włożysz tej dziewczynie koronę na głowę. Uczynisz z niej żonę padyszacha. A później? Co będzie później? Wzięłaś to pod uwagę?

Sułtanka matka Nurbanu przez chwilę w milczeniu przyglądała się swojej damie dworu. Nagle jej twarz się rozjaśniła.

– Daj spokój, przecież ta dziewczyna o dziecięcym rozumie nie zapragnie odebrać władzy sułtance *valide* Nurbanu, która swoim umysłem przewyższa tyłu wezyrów i paszów.

Meleknaz próbowała się uśmiechnąć. Westchnęła. Wcisnęła tobolek pod sofę i skierowała się do schodów.

– Gdybyś tak nie musiała wyruszać w tę drogę...

Sułtanka *valide* odprowadziła wzrokiem oddalającą się przyjaciółkę. Później skierowała spojrzenie na Safiye stojącą pośród dam dworu. Przez jakiś czas obserwowała szczęście, spokój i niewinny uśmiech na jej twarzy, to, jaką dumną Baffo się stawała, rozmawiając ze służącymi. Niedługo nie pozostanie nawet ślad po tym szczęściu i spokoju. „Wybacz mi, dziecko – westchnęła w duchu. – Wybacz mi zło, które ci wyrządę. Chciałabym nie być do tego zmuszona”.

Kobieta zakłęła w duchu. Co tu robi o świcie? Co powie, jeśli zobaczy ją któryś z kapykułów albo gwardzistów? Jeśli zostanie przyłapana, jak wyjaśni, dlaczego o tej porze kryje się pod murami przystani?

„Oby tylko się nie spóźniła”, pomyślała. Jednocześnie zaś zastanawiała się, czego chce od niej sułtanka matka. Było jasne, że czegoś chce. To, czy uda jej się spełnić marzenia, które od tak dawna miała w głowie, zależało od powagi nowego zadania, które jej powierzy. Wiedziała o tym. Czyż dwa lata temu nie powiedziała jej: „Liczę na ciebie, Dżanfeda. Dobrze ją wychowaj. Naucz ją wszystkiego, co wiesz”.

„Wszystkiego, co wiem?!”. Wiedziała jedno – znała tajemnice kobiecości. Tysiące sposobów na to, żeby rozpalic ogień miłości, w łóżu odwieść mężczyznę od zmysłów...

Dobrze, ale po co tej dziewczynie to wszystko?

Oczywiście natychmiast to zrozumiała. Nie urodziła się wczoraj. W końcu nazywano ją Podpierzynką Dżanfeda. Wcześniej tego samego chciała od niej sułtanka matka: „Dżanfeda Kalso, obawiamy się, że nasz syn – książę przedwcześnie rozbudzi w sobie żądzę władzy. Spraw, żeby w Seruhanie mój Murad był tak zajęty huryskami i łaniami, aby nie znajdował czasu na kłopotanie się sprawami imperium”.

W ciemnościach Dżanfeda zachichotała na wspomnienie tamtych dni. Wykonała swoje zadanie, jak należało. Sprowadziła do pałacu w Seruhanie piękne dziewczęta i umieściła je w haremie. A książę Murad, dokładnie tak jak chciała jego matka, dopóki nie wstąpił na tron, nie był w stanie myśleć o innych pragnieniach niż tylko o tym, by osiąść precudnej urody dziewczęta. Sułtanka hojnie ją za to wynagrodziła. Dżanfeda

złapała w locie sakiewkę pełną akcze, którą Nurbanu wyciągnęła zza pasa i do niej rzuciła.

„Jednak teraz sytuacja jest inna”, przeszło jej przez myśl. Najwyraźniej sułtanka *valide* zamierzała powierzyć dziewczynie jakieś sercowe zadanie. Miała odebrać komuś rozum, zniewolić go. Ale komu?

„Padyszachowi!”, krzyknął głos w jej wnętrzu.

„Daj spokój – mruknęła Dżanfeda. – Czy wiesz, ile pięknych kobiet znajduje się w haremie sułtana? Powiem ci. Dokładnie czterysta dwadzieścia siedem. Przynajmniej tak było tydzień temu... Teraz może jest ich jeszcze więcej. Dlaczego sułtanka matka chce wprowadzić tam tę młodziutką dziewczynę, skoro jest tyle innych? Biedaczka zginie w tłumie odalisek otaczających padyszacha. Sułtan zestarzeje się, nawet jej nie zauważywszy”.

Zgoda, Safiye była piękna, a do tego rozkwitała z każdym dniem, lecz w haremie przecież żadna nie była brzydka. Nie bez powodu zarządczyni Mestane Kalfa mawiała: „Jeśli w haremie zobaczysz samicę muchy, możesz być pewien, że to najpiękniejsza z much”. Jedynym przewinieniem w haremie padyszacha było nieprzewyższanie urodą innych. Oczywiście nie wystarczyło być piękną. Trzeba było też być zdolną, zalotną, znać gry, które rozbudzą namiętność sułtana. Dżanfeda była pewna, że chociaż Safiye słuchała jej, pąsowiejąc, to dokładnie zapamiętała jej słowa. Ilekroć pytała ją, czy zrozumiała, kiwała głową. Widać było, że jest bystra.

Ktokolwiek jej tego nauczył, Safiye potrafiła ukrywać uczucia. Przez dwa lata, chociaż patrzyła jej głęboko w oczy, nie umiała odczytać myśli dziewczyny.

Nauczyła ją wszystkiego, co wiedziała. Jednak niczego więcej nie była pewna. Nie miała pojęcia, w jakim stopniu dziewczyna przyswoiła teorię.

Skoro teraz sułtanka *valide* chciała z nią rozmawiać nie w komnacie, w której dawała dziewczynie lekcje, ale na tyłach przystani...

– Jesteś?

Dżanfede ogarnął chłód. Kiedy odwróciła się przerażona, jej wzrok napotkał sułtankę matkę szczelnie otuloną ferezją. Miała wrażenie, że nieco dalej zamajaczyły jakieś dwie sylwetki. Pierwsza była niczym olbrzym. Druga była szczupła – to kobieta. Zapewne Meleknaz. Nie miała wątpliwości, że olbrzymem był osobisty strażnik Nurbanu, Kara Ferhad. Oboje nie rozstawali się z sułtanką *valide*.

Próbowała natychmiast wziąć się w garść i jękając się, wydusiła z siebie słowa pozdrowienia. Nurbanu przerwała jej ruchem dłoni.

– Nie czas i miejsce na to, Dżanfedo. Mamy do ciebie pytanie. Oczekujemy jasnej i szczerzej odpowiedzi.

Kobieta spojrzała na Nurbanu, mrużąc oczy.

– Dobrze wychowałaś Safiye?

– Tak.

– Nauczyłaś ją wszystkiego, co wiesz?

Skinęła głową.

– Dobrze się tego nauczyła?

„Niech to szlag! – mruknęła w myślach. – Skąd mam wiedzieć? Powtarzałam jej,

co ma robić i jak postępować. Dokładnie opisałam jej ruchy. Wielokrotnie. Opowiadałam jej, jak uwodzić, jak kusić spojrzeniem, jak jęczeć, jak krzyczeć, jak obejmować mężczyznę, jak obejmować go nogami... Skąd mam wiedzieć, ile się nauczyła? Dowie się tego tylko mężczyzna, który weźmie ją do łóżka”.

Gdyby się nie lękała, sama by to sprawdziła, przekonałaby się, jak wiele się nauczyła, ale... Było pewne „ale”. Zadrżała na wspomnienie powabnej sylwetki Safiye, jej pełnych warg, smukłej szyi, jędrnych piersi, smukłych nóg i wąskiej talii. „Weź się w garść, Dżanfeda – ostrzegła się. – Co ty wyprawiasz? Odpowiedz jej”.

– Wasza sługa sądzi, że się nauczyła, sułtanko.

– Teraz zapytam cię o coś bardzo ważnego. Chcę, żebyś odpowiedziała jednym słowem. Jeśli to okaże się prawdą, sownie cię wynagrodzę. Jeśli nie...

– Nasze życie należy do naszej sułtanki.

– *Uważasz, że jest gotowa?*

Dżanfeda za każdym razem zadziwiała ta pałacowa kurtuazja. Były to eleganckie słowa, żeby zapytać: „Czy mogę już wepchnąć ją do czyjegoś łóżka?”.

– Jest gotowa. – Kiwnęła głową.

– Jesteś pewna? Jeśli tak nie jest... będzie źle dla wszystkich.

„Co mam teraz powiedzieć? – zastanawiała się Dżanfeda. – «Sprawdź ją?»”.

Nurbanu natychmiast zauważyła wahanie kobiety. Chwyliła ją za nadgarstek i pociągnęła za sobą kilka kroków.

– Dlaczego milczysz, kobieto? – szepnęła. – Dlaczego rozbudzasz we mnie wątpliwości? Jest gotowa czy nie?

Dżanfeda przełknęła.

– To... – wydusiła. – To zależy... – wyrzuciła z siebie w końcu.

– Od czego?

– Do czyjego łóżka ma trafić – odparła jednym tchem.

W ciemnościach ich spojrzenia się spotkały. Dżanfeda ujrzała w oczach sułtanki matki przeraźliwy błysk i w tej chwili zrozumiała. „Dobry Boże – przeszło jej przez myśl. – Nigdy bym się tego nie spodziewała. Ta kobieta chce pchnąć dziewczynę w ramiona swojego syna”.

Przez chwilę w milczeniu badały się wzrokiem. Oczy kobiety mówiły Nurbanu: „Jest gotowa. Możesz pchnąć ją w ramiona sułtana”. Dżanfeda zaś wyczytała zadowolenie w spojrzeniu matki padyszacha.

– Dobrze... – mruknęła sułtanka. – Mam nadzieję, że jest tak, jak mówisz.

Na chwilę zapadła cisza.

– Wiesz, która teraz jest jego faworytą?

Dżanfeda podrapała się w głowę.

– Są dwie dziewczyny, o których słyszałam. Jedna to Abisynka. Nie widziałam jej, ale mówią, że jest bardzo piękna. Nasz pan nadał jej imię Yıldız. Od blisko miesiąca co noc wzywa ją do siebie. Była też Bihter. Tę widziałam. Urodą przewyższa wszystkie inne. To Bośniaczka. Jednak ostatnio sułtan nie darzy jej względami... *Maszallah*, tyle dziewcząt pali się do tego, żeby przypodobać się naszemu panu...

Nurbanu znów gestem uciszyła kobietę.

– Teraz nie może być już nikogo innego. – Przez chwilę patrzyła na Dżanfede. – To twoje zadanie, Podpierzynko.

– Wiedziecie, że Dżanfeda zrobi dla was wszystko, sułtanko matko.

– Wiesz, że przez dwa lata ukrywałyśmy ją przed wzrokiem. Nikt w Nowym Pałacu nie wie o jej istnieniu. Już niedługo. Spraw, żeby pogłoski o jej urodzie, wdzięku i figurze dotarły do uszu sułtana. Niech nasz pan zapłonie pragnieniem ujrzenia jej.

Nie było już żadnych wątpliwości. Matka padyszacha szykowała się, żeby podsunąć synowi nową dziewczynę. Ale dlaczego? Dlaczego akurat Safiye, skoro wokół padyszacha znajdowało się tyle innych dziewcząt? Co ma uczynić ta młodzianka dziewczyna? Dlaczego chce posłać ją do piekła setek odalisek?

„Co ci do tego? – odezwał się głos w jej wnętrzu. – Niech robi, co chce. Ty zajmij się swoimi sprawami. Taka szansa więcej ci się nie trafi. Użyj rozumu. Taka usługa musi mieć swoją cenę”.

– Ja... – zaczęła cicho, udając, że nie ma odwagi mówić dalej.

– Co takiego?

– Byłoby łatwiej, gdybyśmy były zarządczynią. Wówczas nie pozwoliłybyśmy, żeby jakakolwiek inna dziewczyna trafiła do alkowy naszego pana, jednak teraz...

Nurbanu ponownie chwyciła kobietę za nadgarstek.

– Mestane się starzeje, Dżanfedo. Zarządczyni powinna być tak bystra jak ty, żeby mogła należycie służyć. Jestem pewna, że jeśli, jak mówisz, jest gotowa i właściwie wykona swoje zadanie, nasz pan odpowiednio wynagrodzi ci trud, jaki włożyłaś w jej wychowanie. My też nie pozostaniemy ci dłużne.

Dżanfeda ukloniła się z szacunkiem. Zamierzała ucałować dłoń Nurbanu.

– Nie trać czasu – syknęła sułtanka matka. – Nie mamy go wiele. Za chwilę wszędzie: w Nowym Pałacu, Starym Pałacu, na dziedzińcu odalisek, na targach, bazarach, w chanach i łaźniach powinno wrzeć od plotek o urodzie dziewczyny. Masz dużo pracy. Idź, zarządczyni Dżanfedo.

Kiedy kobieta zniknęła za drzewami, nogi plątały jej się z radości. „Powiedziała «zarządczyni», powiedziała do mnie «zarządczyni» – powtarzała w duchu. – Zarządczyni Dżanfeda, ha? Proszę, proszę. Zarządczyni haremu sułtana Murada... Pani haremu. Powierniczka sułtanki *valide* Nurbanu... Nauczycielka miłości jej córki Safiye... Biegnij do swoich obowiązków, biegnij”.

XI

Palec wskazujący jej lewej ręki pieścił smukły gryf tambury. Smyczek, który miała w prawej dłoni, najpierw zdecydowanie sunął w lewo, później jakby zmienił zdanie, zatrzymywał się i zaczął ciężko wracać w prawą stronę. Ponieważ we włoskiej muzyce również często używano półtonów, melodia nie wydawała się Safiye zbyt obca. Sądziła, że szybko nauczyła się grać na tamburze.

Gdyby zamiast smyczka miała plektron, grałoby jej się o wiele łatwiej. Jednak sułtanka *valide* upierała się przy tamburze ze smyczkiem.

– Tambur jest jak łuk. Jeśli odpowiednio napniesz cięciwę, strzała, która wystrzeli z jego strun, trafi prosto w serce słuchacza.

„A ja już od dwóch lat naciągam tę cięciwę”, przeszło jej przez myśl. Przycisnęła palcem strunę. Dźwięk odbił się o ścianę pokrytą porcelanowymi płytkami i na chwilę zawisł w powietrzu. Z coraz mniejszą siłą przesuwiała smyczek i dźwięk stawał się coraz cichszy... „*Pianissimo*¹³ – pomyślała. – Delikatniej, jeszcze delikatniej”. I w końcu powoli odsunęła smyczek.

– To wszystko. Jak wam się podobało?

Kiedy uniosła głowę, napotkała wzrok sułtanki Nurbanu. Jej oczy zdradzały, że jej się podobało.

– A ty, co powiesz, Semiho?

Nauczycielka muzyki bez słowa skłoniła się nisko, wyrażając szacunek dla sułtanki matki.

– Ważne jest zdanie naszej pięknej sułtanki. My nie mamy prawa nic mówić.

– Mimo to powiedz. Włożyłaś w to wiele trudu.

Promienny głos kuzynki dał Safiye pewność, że wykonanie przypadło jej do gustu.

– Bóg obdarzył ją talentem – powiedziała kobieta. – Ma dobre ucho. Podobno w swoim kraju grała na jakimś instrumencie. Opisywała mi go, ale nie wiem, co to było. Gra się na nim przy użyciu plektrum...

– Mandolina – dokończyła Safiye i w tej samej chwili zauważyła tęskny błysk w oczach Nurbanu. – Nie zapomnieliście mandoliny, prawda? Skoczne melodie, które grałyśmy na mandolinie...

– Na flecie i tamburynie też.

Zupełnie jakby Nurbanu wyruszyła w podróż do swoich wspomnień. Może w jej pamięci brzmiały mandoliny, a ona tańczyła, potrząsając tamburynem przystrojonym zielonymi, czerwonymi i białymi wstążkami.

– W niektórych miejscach miałyśmy trudności – ciągnęła nauczycielka muzyki. – Ale tylko tyle. Oczywiście nasza harmonia jest jej obca, ale jak słyszałyście, udaje jej się ją utrzymać. Bóg pobłogosławił ją też pięknym głosem. Jeśli moja piękna sułtanka sobie życzy, nasza uczennica przejdzie do pieśni, której się ostatnio nauczyła.

– Jeśli chcecie, mogę zaśpiewać ją innym razem – rzuciła pośpiesznie Safiye, zanim Nurbanu zdążyła coś powiedzieć.

Sułtanka *valide* zdziwiła się. Spojrzała na kuzynkę. W oczach Safiye dostrzegła jakiś niepokój.

– Tak zrobimy. – Safiye próbowała włożyć tamburę do futerału. Sprawiała przy tym wrażenie, jakby jej się śpieszyło. – Zdała dzisiejszy egzamin. Jeśli się zgodzisz, może dać jakiś niewielki koncert.

Safiye nużyła rozmowa o pieśniach i instrumentach. „Dość już – mruknęła w duchu. – Mam zadanie do wykonania, słowa, które chcę powiedzieć, i wiele pytań”.

– Właściwie chciałam o czymś z wami porozmawiać – odezwała się cicho. – Na osobności.

„Wykapana córka Baffo – pomyślała Nurbanu. – Zawsze znajdziemy sposób, żeby zadziwić tego, kogo mamy przed sobą. Skończył się egzamin z muzyki Safiye, a teraz najwyraźniej zacznie się mój”.

Klasnęła, dając do zrozumienia, że chce, żeby zostawiono je same. Podczas gdy obecni w ciszy wymknęli się z komnaty, Meleknaz jak zwykle nie wzięła do siebie tego polecenia. Dalej krzątała się między szafami, wkładała do nich jedwabie, które wyciągnęła ze skrzyni, a do niej pakowała atłasy i tafty, które wyciągnęła z kredensu¹⁴.

– Słuchamy. O czym to chciałaś z nami rozmawiać?

Safiye podniosła się z sofy i podeszła do kuzynki. Przez chwilę głęboko patrzyła w oczy sułtanka Nurbanu. Chciała zobaczyć, czy pojawią się w nich iskry, na które czekała. Jednak kobieta nie spuściła oczu. Była w nich ciekawość.

– Tak... Słuchamy.

Przez chwilę miała ochotę powiedzieć: „Mam już dość, tego «my», kiedy mówisz o sobie”, ale natychmiast zrezygnowała. Wiedziała, co by ją za to spotkało. Najpierw musiałyby wysłuchać długiej mowy o tym, że kobieta mieszkająca w pałacu, a szczególnie w osmańskim pałacu, powinna wyrażać się elegancko. Później zaś wylewałaby siódme poty przed nauczycielką języka, która natychmiast zostałaby wezwana.

– Kiedy ostatnio – zaczęła – pojechałam na Kryty Bazar...

Kuzynka uniosła palec wskazujący.

– Nie „pojechałam”, Safiye. „Pojechałyśmy”.

„Do diabła!”. Zniecierpliwiona pokiwała głową.

– Tak. Tego dnia, kiedy pojechałyśmy na Kryty Bazar – mówiła dalej, jednocześnie przestrzegając się w myślach: „Uważaj na «ja» i «my», w przeciwnym razie każe ci to tysiąc razy powtarzać”.

– Co się stało tego dnia, kiedy pojechałyście na Kryty Bazar? Słucham, Safiye.

– Sułtanka Ismihan – zawahała się przez chwilę – powiedziała...

– Mówże, dziecko. Co powiedziała wam sułtanka Ismihan?

– Powiedziała: „Pałac to właśnie takie miejsce. Są w nim sekrety, których nie można zdradzić, są miłości, których mimo cierpienie nie można przeżyć”. Tak powiedziała.

Twarz Nurbanu nawet nie drgnęła. Wciąż przyglądała jej się z tym samym wyrazem. Była ciekawa, co będzie dalej.

Safiye czekała przez chwilę.

– Nic nie powiesz? – zapytała w końcu, kiedy kuzynka nie zareagowała.

– Co chcesz, żebym powiedziała?

– Czy sułtanka Ismihan ma rację? Czy to takie miejsce? Są tu sekrety, o których się

nie mówi, i nieprzeżyte miłości?

„Do czego zmierzasz? – mruknęła w duchu. – Do którego narożnika mnie przyciśniesz?”. Zachowawczo skinęła głową.

– Nie tylko tutaj – odparła spokojnym głosem. – Tak jest w każdym pałacu.

– Więc ten pałac też ma swoje sekrety i miłości?

– Yhy. Oczywiście, że tak.

Safiye nawet na chwilę nie zmieniła pozycji. Wciąż opierała ręce na biodrach i uważnie patrzyła w oczy kuzynki.

– Czy ty też miałaś sekrety, których nie mogłaś zdradzić, miłości, których nie mogłaś przeżyć?

Wydawało jej się, jakby w oczach sułtanki *valide* błysnęła iskra gniewu, ale po chwili zniknęła. „Boże, co z niej za kobieta – pomyślała. – Jak z taką łatwością może nad sobą zapanować? Jak dobrze ukrywa gniew”.

Nurbanu próbowała zyskać na czasie, udając, że rozprostowuje fałdy na szarawarach. Dobrze wiedziała, że nie należy odpowiadać Baffo bez zastanowienia. Czuła, że musi zdać ten egzamin, który przygotowała dla niej jej mała kuzynka.

– Ależ oczywiście. Powiem ci tak, dziecko. W naszym życiu nigdy nie brakowało sekretów.

– A miłości?

Meleknaz po raz pierwszy uniosła głowę i spojrzała na kobiety. Później wróciła do pracy.

„Do diabła, Ismihan – zakłęła w duchu Nurbanu. – Co naopowiadałaś tej dziewczynie, że tak na nas naciska?”.

– Ech, coś tam było – odparła, próbując się uśmiechnąć. – Zostałyśmy uhonorowane miłością naszego pana padyszacha. Wciąż mamy w pamięci wiersze, które nam recytował – opowiadała.

Jednocześnie zastanawiała się: „Czyżby usłyszała coś o Kara Paszy? Daj spokój, skąd miałyby się o tym dowiedzieć? Przecież nawet Ismihan o tym nie wie”. Nagle Nurbanu zastanowiła się. A może wiedziała? Nigdy wcześniej nie przyszło jej to do głowy.

Nikt oprócz Meleknaz nie wiedział o sekretnej miłości jej życia. A raczej ona tak sądziła. „Czyżby...”, przez chwilę ogarnęła ją wątpliwość. Kątem oka zerknęła na Meleknaz. Gabriella wyglądała na pochłoniętą pracą. Teraz przekładała kamizelki. Nurbanu zawstydziała się, że ją podejrzewała. Gabriella nigdy jej nie zawiodła.

– Czekaj, czekaj. – Uśmiechnęła się. – A wy, młoda damo? Czy nie miałyście sekretu, którego nie mogłyście zdradzić, miłości, której nie mogłyście przeżyć?

Tym razem to Safiye była zaskoczona. Jak zmyślnie jej kuzynka odwróciła sytuację. Ona też musiała się tego nauczyć.

– Nie – ucięła.

– Dlaczego?

– Dlatego że jestem zbyt młoda, żeby mieć sekrety lub miłości.

– Więc piękna Safiye nie ma żadnego sekretu? Doprawdy?

Dziewczyna kiwnęła głową.

Sułtanka *valide* Nurbanu zachichotała.

– Słyszałaś, Gabriello? Podobno Safiye nie ma żadnego sekretu.

Safiye westchnęła i odwróciła się do kobiety. „Jeśli się roześmiejesz, wydrapię ci oczy”, pomyślała. Meleknaz odwróciła wzrok. Nie uśmiechnęła się.

– Ma rację. Jest zbyt młoda, żeby mieć tajemnice.

„Brawo!”, zawołała w duchu. Ukochana pierwsza dama dworu stanęła nie po stronie swojej pani, ale jej.

– Obie zwariowałyście – wybuchła śmiechem Nurbanu. – Czy to możliwe? Cały pałac pragnie poznać sekret Safiye. Za drzwiami, w korytarzach, wszędzie szepczą o tym samym: „Jaki sekret kryje piękna Safiye, która nie rozstaje się z sułtanką matką i kryje się przed wzrokiem złośliwych?”. Tajemnica Safiye już dawno przekroczyła granice naszych drzwi. Jestem pewna, że w Starym Pałacu, a nawet w pałacu naszego syna sułtana rozmawia się teraz o tym, jaką tajemnicę skrywa piękna dziewczyna u boku sułtanki *valide* Nurbanu. – Zamilkła na chwilę i spojrzała na kobiety. – Nie mam racji?

Meleknaz wiedziała, że jej pani ma słuszość. Wiele osób przychodziło do niej, pytając, kim jest ta dziewczyna.

– Słyszałyśmy, że czcigodna sułtanka *valide* przykłada dużą wagę do dziewczyny. Dlaczego?

A ona nieustannie odpowiadała krótko:

– Nie wiem.

Oczywiście, nikt w to nie wierzył.

„Ma rację – przyznała Safiye. – Mało to razy próbowali nas wypytać”. Ale jej usta były jak zapieczętowane. Tak przykazała jej starsza kuzynka tej nocy, kiedy wyjawiała jej swój plan.

– Zapieczętuj usta, Cecilio Sophio Baffo. Od tego zależy twoje życie. Nie tylko twoje. Moje też. I padyszacha, którego urodzisz. Od tego zależy życie tysięcy osób w Wenecji i Imperium Osmańskim. Albo przemówisz i umrzesz, albo będziesz milczeć i zostaniesz sułtanką Imperium Osmańskiego.

Spojrzenie Nurbanu znów spoczęło na Safiye.

– Skąd, na miłość boską, te słowa przysły do głowy Ismihan? Co za niepotrzebne słowa. Czy sułtańska córka nie wie, że nawet samo słowo „sekret” jest zbyt niebezpieczne, żeby je wymawiać? Powiesz mi, dziecko, po co były te słowa?

– Mówiłam *ci*, kuzynko, że sułtanka Ismihan poznała mnie ze swoją ciotką.

Niech to szlag, znów jej się to wymysknęło. Jednak Nurbanu nic nie mogło umknąć. Ściągnęła brwi.

– Powinnaś powiedzieć: „Mówiłam wam, że sułtanka Ismihan poznała nas ze swoją ciotką”. Poza tym przestań wreszcie nazywać mnie „kuzynką”. W końcu zapomnisz się w obecności innych.

Twarz Safiye spłonęła rumieńcem. Spuściła głowę i pokiwała nią.

– Tak... – mruknęła. – Wydaje mi się, że sułtanka Mihrimah ma jakąś tajemnicę. Sekretną miłość. Czy wy znacie ten sekret?

Nurbanu zrobiła coś, czego Safiye zupełnie się nie spodziewała. Ze złością podniosła się i stanęła naprzeciwko niej.

– Odkąd istnieje Imperium Osmańskie, nie ma tajemnicy, której nie znałaby sultanka matka, Safiye. Powiemy ci to samo, co usłyszałaś od Ismihan, żebyś to dobrze zapamiętała. – Z gniewu głos kobiety był ostry jak nóż. – Pałac to właśnie takie miejsce – syknęła Nurbanu. – Ma swoje tajemnice, które potrafią pozbawić życia tych, którzy je znają, i tych, którzy ich nie znają. Specjalnie wstałam. Ty też tak zrobisz. Będziesz o wszystkim wiedziała i wszystko słyszała. *Będziesz miała swoje tajemnice, ale przed tobą nie będzie żadnych tajemnic.* Albo będziesz tak żyć, albo zginiesz.

Safiye była tak zadowolona, że nie przejęła się nawet groźbą kuzynki, że będzie kroczyć między życiem a śmiercią. Z dziecięcą radością uniosła palec wskazujący tak jak przed chwilą Nurbanu.

– Źle się wyraziłyście. Sądzę, że powinnyście powiedzieć: „Wy też tak zrobicie. Będziecie o wszystkim wiedziały i wszystko słyszały. Będziecie miały swoje tajemnice, ale przed wami nie będzie żadnych tajemnic.

Twarz Nurbanu na chwilę skamieniała.

Meleknaz była tak zaskoczona, że upuściła z rąk duży pakunek. Później uniosła rękę do ust, próbując ukryć śmiech. Jednak zdradzały ją oczy.

Kiedy Safiye ponownie spojrzała na kuzynkę, z jej oczu tryskały iskry.

– Macie rację – powiedziała. – Będziemy miały swoje tajemnice, ale przed nami nie będzie tajemnic... W takim razie zacznijmy od poznania sekretu sultanki Mihrimah. Co wy na to?

Nastąpiła nieznośna cisza. Nawet twarz Meleknaz spoważniała. Obawiała się, że to cisza przed burzą. Nurbanu nie mogła pozwolić na coś takiego. Nikt nie miał prawa tak z nią rozmawiać, nawet jej kuzynka... Nawet jeśli ta kuzynka była podstawą jej planów na przyszłość... Obie Baffo jeszcze przez jakiś czas mierzyły się wzrokiem. Nurbanu przez chwilę zapalała nieodpartą ochotą spoliczkowania Safiye. Jednak natychmiast tego pożałowała. Czy właśnie nie tego chciała? Czy jej celem nie było stworzenie z rozpieszczonej, bogatej Wenecjanki Cecilii Sophii Baffo Safiye, która swoją dumą, nieustraszoną, niezłomnością, zdecydowaniem i pewnością siebie zawojuje padyszacha i Imperium Osmańskie? Właśnie to się działo.

Wyraz jej twarzy powoli zaczął łagodnieć. Nagle, zanim Safiye zdążyła pojąć, co się dzieje, chwyciła dziewczynę za nadgarstek.

– Macie rację, dziecko – odezwała się cicho. – Chodźcie.

Safiye z ociąganiem ruszyła w stronę drzwi.

– Dokąd? – Safiye modliła się, żeby głos nie zdrzął jej ze strachu.

– Do miejsca, w którym poznamy tajemnice.

XII

Dzień zaczynał się dopiero przejaśniać. Dziedziniec odalisek w Starym Pałacu, który za dnia wypełniał zgiełk, jeszcze się nie obudził. Większość wychodzących na westybul drzwi była zamknięta. Jeśli nie liczyć rozlegającego się co jakiś czas płaczu dzieci i głosów uciszających je matek, harem spowijała cisza.

Drzwi na drugim końcu korytarza otworzyły się. Dwie osoby, z szuflami z węglem w rękach, wślizgnęły się do środka. Ciszę zmaćcił odgłos chodaków dwóch paziów, którzy przyszedli rozpalić lub wymienić dogasające w piecach węgle.

Służący, o okrągłej głowie i czarnej skórze napiętej tak, że nie można było odgadnąć jego wieku, długimi szczypcami zebrał popiół z pierwszego pieca, przerzucił na wierzch dogasające węgle i zaczął je rozdmuchiwać. Wyższy mężczyzna z worka, który miał przywiązany u szyi, wyciągnął kilka kawałków węgla i położył je na wierzchu. Później nachylił się nad paleniskiem i nadymając policzki, próbował wzniecić ukryty, dogasający płomień.

Przez pewien czas nie odzywali się pochłonięci pracą. Kiedy doszli do trzeciego pieca, wyższy odezwał się szeptem:

– Nie wiem, do czego to doprowadzi.

– Co takiego?

Głosy obu były cienkie, zupełnie niepasujące do ich masywnych ciał. Była to najlżejsza z konsekwencji tego, że w dzieciństwie zostali wykastrowani.

– Nie wiadomo, jak obie skończą.

– Na miłość boską, co ty wygadujesz z samego rana, Długi Kasymie? – odezwał się mężczyzna z okrągłą głową, układając węgle długimi szczypcami. – Chcesz coś powiedzieć czy zadajesz zagadki? O co chodzi? O kim mówisz? – pytał z niecierpliwością.

– Jakbyś nie wiedział.

– Nie wiem.

– Mówię o Ahter i Bihter.

– Co się z nimi stało?

Wysoki mężczyzna zmierzył rozmówcę wzrokiem.

– Nie bez powodu nazywają cię Ślepy Hüsrev. Rzeczywiście jesteś ślepy. Albo udajesz, że o niczym nie wiesz, żeby pociągnąć mnie za język.

– Hüsrev widzi i słyszy wszystko, co chce. Jednak powiedz, co się stało z Ahter i Bihter.

– Bihter umrze z zazdrości – zawyrokował Długi Kasym, umieściwszy na palenisku kawałek węgla. – Jest zrozpaczona, że nasz pan nie wzywa jej do swojej alkowy.

– Masz rację. Nie daje żyć wszystkim odaliskom. Tylko kłótnie, krzyki i awantury.

– To nic, gdyby zadzierała tylko z odaliskami. Co powiedzieć o tym, co zrobiła nam? Obawiam się, że to źle się skończy.

– Źle? Co może się stać?

Kasym pochylił się do ucha przyjaciela, którego twarz poszarzała od

rozdmuchiwania popiołu.

– Wczoraj w nocy słyszałem, jak dwie odaliski szeptały między sobą. Mówiły: „Zarzucimy jej na głowę prześcieradło, pobijemy jej piękną buźkę, zanim ktoś zdąży coś zauważyć”.

– No proszę! – Hüsrev zamilkł na chwilę, zakrywając dłonią usta. – Zrobią to, zrobią. Zapomniałeś o tej Egipcjance? Jak jej było na imię? Ha! Fadima. Ona też zadzieriała nosa. I co się stało? Połamały jej nogi. Piękna Fadima została kulawą Fadimą.

Drugi mężczyzna pokiwał głową.

– Bihter jest od niej gorsza, Hüsrevie. Bóg mi świadkiem, modłę się, żeby zrobiły to, o czym mówiły. Nie ma tortury, której by mi nie wyrządziła. Ta dziewczyna ma w sobie diabła, już ja ci to mówię.

Z gniewu podniósł nieco głos.

Kasym ostrzegł go, unosząc palec do ust.

– Co mamy zrobić? – Spojrzał spode łba. – To nasza wina, że sułtan nie bierze jej do łóża? Przecież nie pójdziemy do naszego pana i nie powiemy mu: „Z Bihter jest źle. Weź ją do łóża, bo w przeciwnym razie nas zabije”.

Przyszła kolej na piątę palenisko. Długi Kasym i Ślepy Hüsrev przez jakiś czas pracowali w ciszy. Teraz twarz Kasyma też była szara od rodmuchiwania popiołów. Dawniej spojrzeliby na siebie i wybuchli śmiechem, ale już się do tego przyzwyczaili. Spojrzenie wielkich, czarnych oczu zza chmury popiołu, która osiadła na ich czarnej skórze, wcale nie wydawało im się już śmieszne.

Hüsrev zostawił szczypce z boku paleniska.

– Jeśli chodzi o Bihter – rozumiemy, z zazdrości nie potrafi nad sobą zapanować. A co jest Ahter?

– Dziewczyna jest bardzo nieszczęśliwa.

– Zatem jest niewdzięczna. Dlaczego miałyby być nieszczęśliwa? Stała się obiektem zainteresowania sułtana Murada Chana. Czego chce więcej? Od prawie dwóch miesięcy sułtan co noc wzywa ją do siebie.

Długi Kasym pokiwał głową z zamyśleniem.

– Ale inne też.

Ślepy Hüsrev sięgnął po szczypce.

– I dobrze, a co ma robić? – szepnął. – Gdybym ja był na jego miejscu, co noc zabierałbym do swojej alkowy nie dwie, trzy, nawet nie dwadzieścia, ale ze czterdzieści kobiet.

Kasym najpierw miał zamiar się rozgniewać, później jakby się uśmiechnął.

– Osmanowie są mądrzy – mruknął. – Najwyraźniej cię przejrzeni i dlatego ci go ukręcili.

Hüsrev nic sobie nie robił z jego słów. „Co z tego, że go ukręcili – pomyślał. – Nie zabili mężczyzny w mojej duszy. – Na widok rozłożonych na sofach dziewcząt wrze we mnie”.

– Powiem ci coś, Kasymie Ago. Zbyt długie humory znudzą kochanka. Spójrz, nasz pan rzucił w kął nawet słodką Bihter o mlecznobiałej skórze, a przecież mówili, że żadna nie może się z nią równać. Miałyby nie zapomnieć o Ahter? Jeśli ma rozum, skoro jest już

faworytą sułtana, niech czerpie z tego przyjemność i cieszy się swoim panowaniem. Tyle mam do powiedzenia.

Kasym poruszył głową w geście, po którym nie można było się domyślić, czy się zgadza, czy tak tylko kiwnął. Jednak wyraz zamyślenia na jego twarzy zaniepokoił jego towarzysza.

– Co? – zapytał Hüsrev. – Co się tak krzywisz? O co chodzi?

– Boję się. Stanie się coś złego, Hüsrevie. Mam takie przeczucie. Dlatego się boję.

Okolo południa dziedziniec odalisek wypełniło poruszenie. Większość odalisek wyszła ze swoich izb i usadowiła się wokół sześciu palenisk. Wśród śmiechów zaczęły wymieniać się między sobą najświeższymi wiadomościami.

– Słyszałyście wieści? – odezwała się jedna.

– O które wieści pytasz, Tasulo? Czego w haremie jest więcej niż wiadomości?

O co pytasz?

Kiedy dziewięć dziewcząt w tej grupie zaczęło chichotać, jedna z sąsiedniej grupy odezwała się do nich:

– A co to? Z czego się śmiejecie? Czy to wypada się tak zaśmiewać?

W jednej chwili chichotanie przycichło.

– Patrzcie na tę wariatkę – odezwała się Tasula do towarzyszek. Powiedziała to na tyle głośno, żeby słyszały ją odaliski przy palenisku obok. – Od niej mamy się uczyć, co wypada, a co nie? – Nie dając rozgniewanej dziewczynie szansy zabrania głosu, ciągnęła: – Zapytałam, czy słyszałyście wieści, a ta w czerwonych butach odparła na to: „Czego w haremie jest więcej niż wiadomości? O co pytasz?”. Z tego się śmiejemy.

Wzmianka o wiadomości przykuła też uwagę odalisek siedzących obok, które już gotowały się do ataku.

– Co to za wiadomość? – zapytała z zapalem jedna z nich. – Czyżbyś też słyszała o tajemniczej dziewczynie u boku sułtanki Nurbanu?

Tasula zwróciła się do towarzyszek.

– Śpijcie dalej. Widzicie, Rachelę też o tym słyszała. Chętnie się tym, że Tasula dowiaduje się o wszystkim pierwsza. A ta Żydówka też wie, gdzie przyłożyć ucho.

– Rachelę i tak nie ma nic lepszego do roboty. Co ma robić, jak nie słuchać? – mruknęła jedna.

Dziewczęta znów zaczęły chichotać, ale Tasula uciszyła je ruchem dłoni. Opierając się o wielką poduszkę, przechyliła się do drugiej grupy.

– No, Rachelo, mów, co tam usłyszałaś. Jeśli czegoś będzie brakowało, ja dopowiem.

Rachela podciągnęła nogę, która w rozcięciu czerwonych, tiulowych szarawarów wyglądała jak wyrzeźbiona z kości słoniowej.

– Wszyscy o tym mówią – powiedziała przemądrzale. – Nurbanu wzięła do siebie jakąś dziewczynę. Podobno jest bardzo świeża i bardzo piękna. Wczoraj spotkałam na wewnętrznym dziedzińcu Podpierzynkę Dżanfede. To ona mi o tym powiedziała. Podobno dziewczyna jest piękniejsza nawet od sułtanki Nurbanu w czasach jej młodości.

– Phi. Wszystkie jesteśmy piękne. W końcu ona też jest córką Ewy.

– Nie mówcie tak. Podpierzynka rozplywała się z zachwytem nad dziewczyną.

- Jak ma na imię ta rozpustnica?
- Tego nie powiedziała.
- Skąd pochodzi?
- Tego też nie wie. W końcu po raz pierwszy widziała dziewczynę.
- Dlaczego?

– Sułtanka matka ukrywała ją przed wszystkimi. Nikogo do niej nie dopuszczała. Kiedy dziewczyna wychodziła na dziedziniec zaczerpnąć świeżego powietrza, odprawiała stamtąd wszystkie służące.

Nagle Tasula stwierdziła, że nie może pozostawać tak bardzo w tyle za Rachelą. Ona też miała coś do powiedzenia.

– Nasza sułtanka *valide* drży o tę dziewczynę. Jedna nauczycielka wychodzi z jej komnaty, a wchodzi następna. Służąca, która mi o tym opowiadała, słyszała, jak dziewczyna śpiewa. „Kochanieńka, Bóg obdarzył tę dziewczynę takim głosem, że kiedy śpiewa, to tak, jakbyś słyszała szemrzący potok cieniutką strugą wypływający spośród skał”.

- Phi – zadrwiła jedna z dziewcząt.

Kiedy dziewczęta z obu grup uniosły głowy, zauważyły, że odaliski zebrane przy pozostałych czterech paleniskach też podeszły do nich i nadstawiały uszu.

– No dobrze – odezwała się inna. – Już wiemy, że dziewczyna jest piękna. Ale dlaczego nasza sułtanka matka ukrywa tę huryskę przed wzrokiem? *Przed kim ją ukrywa?*

Nagle zamarła. Te słowa, które wymknęły jej się z ust, mogły sprowadzić na nią nieszczęście. Co miało znaczyć: „Przed kim ją ukrywa?”. Dziewczęta spojrzały po sobie z ciekawością i niepokojem, które wywołało to pytanie.

Jedna z odalisek, stojąca nieco dalej, do której dopiero dotarło to pytanie, odparła:

- Jak to przed kim? Oczywiście przed swoim synem.

Wszystkie dziewczęta odwróciły się w stronę, z której dochodził głos. Oczy wszystkich wpatrywały się w nią z niedowierzaniem. Dziewczyna zdziwiła się.

- Co? – mruknęła. – Co się dzieje? Nie mam racji?

Nastąpiła cisza, która wydawała im się trwać wiecznie. Żadna z dziewcząt nie miała odwagi się odezwać. Napięcie na ich twarzach powoli zaczęło znikać i ustąpiło miejsca lubieżnym spojrzeniom niegrzecznych dziewcząt.

Tasula zakryła ręką usta, jednak nie była w stanie powstrzymać śmiechu.

– Ależ niech ją sobie ukrywa, moja słodka – wypaliła. – W przeciwnym razie żadna z nas się nie doczeka, żeby nasz pan wezwał ją do swojej alkowy.

Pośród szeptów, kuksańców, uśmiechów i kiwania głowami jedna z odalisek, której piersi o mało nie wyskoczyły z głębokiego dekoltu, odezwała się, chichocząc:

- To prawda. *Spójrzcie, co się stało z Bihter.*
- Co się stało z Bihter?

Dziewczęta zamarły na dźwięk głosu, który bardziej przypominał syk węża.

- Dlaczego milczycie? No powiedzcie. Co takiego stało się z Bihter?

Bihter stanęła przed nimi na szeroko rozstawionych nogach, a ręce oparła na biodrach. Wyglądała jak pomnik piękności wypowiadającej wojnę. Ze złości krew napłynęła jej do głowy. Chusta zsunęła jej się z włosów, które teraz opadały falami na

ramiona. Twarz jej płonęła, jakby właśnie ktoś wymierzył jej policzek. Przenosiła rozżarzone spojrzenie z jednej dziewczyny na drugą.

– No co?! – wrzasnęła. – Co takiego się ze mną stało?

Rozległy się jakieś nieliczne pomruki, ale nikt nic nie rozumiał. Dziewczęta skuliły się ze strachu.

Wściekła Bihter ruszyła na stłoczone odaliski. Dziewczęta musiały zrobić jej przejście, przepychając się wzajemnie.

– Zamiast obgadywać mnie za moimi plecami, powiedzcie mi to w twarz.

Minęła je i usiadła na samym środku. Kiedy podciągnęła kolano pod brodę, rozcięcie w jej szarawarach otworzyło się niemal do talii, ukazując na chwilę jej udo i pełną łydkę. Oparła się o puchową poduszkę i mruknęła:

– Oszalałyście. Odchodzicie od zmysłów z zazdrości, bo nie jesteście takie ładne jak ja. No dalej, mówcie. Słucham. Co się stało z Bihter?

Popatrzyła na dziewczęta z nienawiścią.

– Zapewniam was – wycodziła przez zęby, stukając palcem w atlasowy materac. – Dziś to był ostatni raz. Od teraz żadna z was nie śmie wymieniać imienia Bihter albo popamięta. Zapamiętajcie to sobie. – Odwróciła głowę, żeby sprawdzić, jakie wrażenie wywarły jej słowa. – Za kogo się uważacie, że obgadujecie Bihter, która została faworytą wielkiego sułtana Murada Chana i urodziła mu księcia? Kim jesteście?

– Ty wiedzmo! Już ja ci pokażę.

Wszystkie odaliski oniemiały. Tym razem obróciły głowy w przeciwną stronę. Bihter też zdziwiła ta niespodziewana reakcja.

– Chyba nie słyszysz, co mówisz – mruknęła Tasula, odpychając dziewczęta i idąc prosto na Bihter. – Pytasz, kim jesteśmy? Ja ci to powiem. Wszystkie jesteśmy sługami naszego pana, które albo dostały zaszczytu obcowania z nim w alkwie, albo lada chwila go dostąpią. Najpiękniejsze z pięknych, najzgrabniejsze i najbardziej uwodzicielskie. Co zaś się tyczy urodzenia dziecka... – Zamilkła i rozejrzała się dookoła. – Niech podniosą ręce te, które urodziły naszemu padyszachowi syna albo sułtankę.

W tłumie uniosło się wiele rąk.

– Widziałas? To właśnie my. A teraz ja pytam ciebie: Kim jesteś?

Bihter stwierdziła, że ta sprawa nie rozejdzie się po kościach, a ta, która zaatakuje pierwsza, będzie miała większą szansę na wygraną. Podczas gdy zamierzała się podnieść, Tasula wydyszała:

– Poczekaj, ja ci powiem. Jesteś byłą faworytą Bihter. Nasz pan już dawno o tobie zapomniał.

– Ty zdiro! – Bihter wystrzeliła jak strzała, wyciągając paznokcie ostre niczym sztylety.

– Nie powstrzymujcie mnie! – zawołała Tasula, także przechodząc do ataku.

Bihter, dokładnie w chwili, gdy miała porać policzek Greczynki, uderzyła o piecyk między nimi. Straciła równowagę. Kiedy upadała, zobaczyła, że wiele dziewcząt wyciąga do niej ręce. Tyle samo odalisek złapało Tasulę.

– Zostawcie mnie! Wyłupię jej oczy!

– Już po tobie, Tasulo. Zniszczę cię albo nie nazywam się PięknoUSTA Bihter.

Być może, gdyby odaliski im pozwoliły, spełniłyby swoje groźby, ale one mocno trzymały obie kobiety.

Jednocześnie dało się słyszeć głosy:

– Wstydźcie się.

– Uspokójcie się.

– Tasulo, przestań, na miłość boską. Nie daj się podpuszczać.

Zarówno Bihter, jak i Tasula jeszcze przez jakiś czas miały się, próbując wydostać się z rąk odalisek i wzajemnie się atakować. W końcu się zmęczyły i zrezygnowały z walki. Obie z trudem łapały oddech. Ich piersi unosiły się i opadały niczym miechy kowalskie.

– To ty odchodzisz od zmysłów z zazdrości – syknęła Tasula wciąż przytrzymywana przez dziewczęta. – Umierasz z zawiści od dnia, gdy sułtan, zapomniawszy o tobie, wziął do łóża Ahter!

Wszystkie spojrzenia ponownie zwróciły się na Bihter, która nie była w stanie podnieść się po upadku. „No nie – wzdychały dziewczęta w duchu. – Jak mogła powiedzieć to Bihter? Kobieta znów wpadnie w szal”.

Jednak Tasula wciąż nie była w stanie zapanować nad gniewem.

– Nie mścij się na nas za swoje cierpienie, ladacznico – bąknęła tym razem. – Dość już tego! Dość! Skoro trafiłaś do harem, skoro jesteś odaliską, jeszcze się nie nauczyłaś czekać na łut szczęścia i modlić się, żeby to ciebie wezwał?

Podczas gdy dziewczęta, trzymające za ręce i nogi Bihter, spodziewały się, że znów zerwie się do ataku, stało się coś, czego zupełnie się nie spodziewały. Ciało Bihter, napięte jak cięciwa łuku, nagle się rozluźniło. Dziewczyna próbowała odwrócić głowę. Kiedy przykrywające jej twarz włosy spłynęły na drugą stronę, odaliski zobaczyły, że oczy zaszyły jej mgłą. W oczach Bihter stanęły łzy. Najpierw po jej policzku spłynęła pojedyncza kropla, a później kolejna. Aż w końcu z jej oczy popłynęły strumienie.

Dziewczęta były zaskoczone. Popatrzyły na siebie. Bihter, machając głową, próbowała przykryć twarz włosami i ukryć łzy.

– Ona płacze – wyszeptał cieniutki głos. – Ona płacze.

Ręce, które w żelaznym uścisku trzymały nogi i ręce odaliski, rozluźniły się. Któraś z dziewcząt westchnęła. Później przestały trzymać Tasulę. Wszystkie odaliski zaczęły usuwać się na jedną stronę. Teraz słychać było już tylko łkanie Bihter usiłującej stłumić płacz.

Tasula powoli zbliżyła się do niej. Ruchem głowy dała znać dziewczętom, żeby się oddaliły. Spojrzała na dziewczynę z góry. Przykłękała. Przez chwilę się wahała.

– Płacz – szepnęła. Tym razem w jej głosie nie było śladu gniewu ani wrogości. – Płacz, siostrze. Obmyj swoje serce. Ja też długo płakałam. Wciąż płaczę nocami... Poza tym... My wszystkie... Nie rozumiesz? Wszystkie płaczemy.

Głos jej się załamał. Pochyliła się, próbowała położyć sobie głowę Bihter na kolanach. Dziewczyna najpierw się opierała, ale w końcu się poddała. Pomiedzy kosmykami włosów okrywającymi jej twarz Bihter ujrzała, że Greczynka też płacze.

Na dziedzińcu odalisek chyba nigdy wcześniej nie było tak cicho. Z czystym sumieniem można było to przysiąc. Nawet dzieci zrozumiały, że tę chwilę ich matki

powinny przeżyć w ciszy. Słuchać było tylko oddechy i ukradkowe westchnienia.

I właśnie w tej chwili stało się coś, co nie powinno było się wydarzyć. Drzwi po drugiej stronie westybulu otworzyły się i weszła przez nie dziewczyna smukła jak wierzbowa witka. Najpierw Tasula zauważyła, że wszystkie odaliski patrzą w stronę drzwi. Obróciła się i zobaczyła nową faworytę sułtana Murada – Ahter. O tej porze wracała z alkowy padyszacha. „Boże – pomyślała. – Jaka jest nieszczęśliwa”.

Ahter sunęła tak, jakby jej nogi w ogóle nie dotykały ziemi. Tasula mogła przysiąc, że dziewczyna ich nie widzi. Na jej twarzy malował się nieopisany smutek.

Bihter powoli uniosła głowę.

Do diabła! To ona! Ta, która ukradła jej szczęście!

– Hej! – zawołała z wściekłością, próbując się wyprostować.

Jednak Ahter nawet nie zwróciła na nią uwagi.

– Do ciebie mówię, miotło! Nie słyszysz?!

Tasula przytrzymała Bihter, zanim zdążyła się podnieść.

Abisyńska piękność sunęła przed nimi jak duch.

– Nie słyszy – szepnęła do Bihter. – Nie widzisz? Nawet nie zauważa, że tu jesteśmy.

Dopiero wtedy Bihter zauważyła cierpienie na twarzy dziewczyny, którą uważała za wroga. Jeszcze nigdy nie widziała tak zrozpaczonego oblicza. Od dnia, kiedy wypadła z łask padyszacha, ona też była nieszczęśliwa, ale patrząc w srebrne lustra, nigdy siebie takiej nie widziała.

Ahter minęła je i weszła do pokoju. Drzwi się zamknęły.

Dziedziniec znów pochłonęła cisza.

Bihter spojrzała na Tasulę. „Co to było?”, pytała siebie.

Tasula jakby czytała jej w myślach.

– *To śmierć* – odezwała się cicho. Bezwiednie pogłaskała Bihter po włosach. – Boję się – powiedziała po chwili. Jej głos był tak cichy, że tylko Bihter mogła go usłyszeć. – *Śmierć przechadza się wśród nas.*

XIII

Na komendę woźnicy w jednej chwili ustało stukanie kopyt i skrzypienie kół. Do chrapliwego końskiego oddechu dołączył odgłos pośpiesznych kroków.

– Przyjechaliśmy. Wsiadamy. Opuść na twarz tiul.

Safiye zrobiła to, co jej powiedziano. Nienawidziła ukrywać twarzy, ale jej starsza kuzynka upierała się: „W tym tkwi cały sekret”.

– Otoczymy cię tak gęstą mgłą tajemnicy, że nie tylko Imperium Osmańskie, ale nawet cały świat będzie o tobie mówił. Będą umierać z ciekawości, kim jest ta intrygująca dziewczyna u boku sułtanka *valide* Nurbanu.

Drzwi powozu się otworzyły. Najpierw podniosła się Meleknaz siedząca naprzeciwko niej. Safiye ujrzała, jak służący, którzy wysiedli z innego powozu, podbiegli, żeby pomóc wysiąść pierwszej damie dworu.

– Dokąd mnie przywiozłyście?

– Tak jak ci powiedziałam, dziecko. *Do miejsca, gdzie zaczynają się tajemnice*. No dalej, wsiadaj.

Safiye wyprostowała się. Ujęła wyciągniętą w jej stronę rękę, uniosła głowę i wyrzała na zewnątrz. Ujrzała cyprysy ciągnące się ku niebu, jakby chciały pochwycić chmury, potężne platany i buki. Dalej wśród zieleni zauważyła dwie wznoszące się ołowiane kopuły. Co to za miejsce?

Wysiadła z powozu. Meleknaz spojrzeniem dała jej znak, żeby do niej podeszła.

Służący, ustawieni w dwóch rzędach ciągnących się do żelaznej bramy przed zagajnikiem, stali z pochylonymi głowami. Tuż za nimi czekała grupa konnych. Ponieważ jeźdźcy kurczowo ściągali wodze, zwierzęta stały nieruchomo, jakby były wykute z kamienia.

Na widok Nurbanu służący pokłonili się jeszcze głębiej. Wokół panowała tak wielka cisza, że Safiye była w stanie usłyszeć nawet szelest falującego na wietrze tiulu ciągnącego się do ziemi za czepcem jej kuzynki. Meleknaz pomogła swojej pani powoli spłynąć po dwóch stopniach. Dokładnie w tej chwili gruby, donośny głos zakłócił głęboką ciszę.

– Prześwietna, dostojna...

Safiye zadrżała. Nawet na koncertach w Pałacu Weneckim nie słyszała tak nieskazitelnego, przejmującego i zniewalającego męskiego głosu. Mężczyzna ciągnął z równym oddaniem:

– ...czcigodna, zacna sułtanka *valide* Nurbanu!¹⁵

Wszyscy zgromadzeni powtórzyli jednym głosem, pozdrawiając ją:

– Prześwietna, dostojna, czcigodna, zacna sułtanka *valide* Nurbanu!

Chociaż Safiye nie była w stanie pojąć znaczenia wypowiedzianych słów, urzekła ją płynąca z nich wspaniałość. „Pewnego dnia mnie też będą tak witać – postanowiła. – Przysięgam, że tak będzie”.

Pozdrowienie zakończyło się odgłosem, jaki wydali słudzy pochylający się w ukłonie i podnoszący się na znak, który Nurbanu dała im ręką.

Sułtanka Nurbanu spojrzała na kuzynkę, jakby chciała sprawdzić, jakie wrażenie

wywarła na niej ta ceremonia. Pragnęła, żeby potęga i władza na wskroś przeszły Safiye. Jeżeli czar potęgi i władzy zawładnął ludzką duszą, reszta szła gładko. Nawet przez tiul, zasłaniający twarz Safiye, mogła dostrzec podziw na twarzy dziewczyny i błysk w jej oczach. Wyciągnęła rękę.

– Chodź.

Ujęła jej dłoń i ruszyły w stronę drogi porośniętej drzewami, przechodząc przed rzędami służących pozdrawiających ich ukłonem.

Idąc, Safiye zauważyła kamienie ustawione między drzewami. Niektóre z nich na górze były wycięte w kształt turbanu. Inne zwieńczone były rzeźbami kwiatów i liści. „*Kamienie nagrobne* – powiedziała do siebie. – To cmentarz. Co ja tutaj robię?”

Droga nagle zakończyła się niewielkim placem. Teraz naprzeciwko nich znajdowały się dwa bliźniacze kamienne budynki. Jeden był nieco większy, poza tym niczym się nie różniły. Do obu z nich wchodziło się po trójstopniowych schodach.

Po obu stronach drzwi większego budynku stało po trzech mężczyzn, całych odzianych w biel, począwszy od turbanów aż po ciżmy z zadartymi czubkami. Głowy mieli pochylone w stronę prawego ramienia i opuszczone.

Po obu stronach mniejszej budowli stały natomiast po trzy dziewczęta, od stóp do głów odziane w barwy, które oczarowały Safiye. „Można by pomyśleć, że to fiolet, ale nie. Róż też to nie jest”, przeszło jej przez myśl.

Gdy Nurbanu skierowała się do większego budynku, Safiye ocknęła się z zamyślenia. Kiedy wspinały się po kamiennych schodach, okazałe drzwi powoli się przed nimi otworzyły. Wnętrze było mroczne mimo światła wpadającego przez okna. Żyrandole zwisające z wysokiego sufitu zabujały się pod wpływem fali powietrza, która wpadła do środka przez drzwi. Safiye wydawało się, że słyszy zapraszający, pieszczący głos. Znała już tę melodię przywodzącą na myśl westchnienia jęczącego i błagającego człowieka. W pomieszczeniu ktoś recytował Koran.

Głos spływał na nią kroplami. Zawsze się tak czuła, słuchając Koranu. Spędzając jej sen z powiek wyrzuty sumienia, że popełnia grzech, znów wywołały burzę w jej duszy. Przymknęła powieki i wyobraziła sobie, że wyjmuje krzyż. Wiedziała, że popełnia grzech. Wiedziała, że chcą, żeby opuściła Jezusa. Kiedy hodźowie, przychodzący nauczać ją o islamie, zamykali oczy i przejmującym głosem rozpoczynali ten doniosły psalm, Safiye, chociaż nie rozumiała słów, cała drżała. Czuła, że głos ją pochłania, przyciąga do siebie. Wielokrotnie we śnie widziała siebie u wrót piekieł i budziła się z krzykiem. Próbowła zamknąć się na ten przyzywający, obejmujący ją głos.

Jak zawsze Safiye błagała bezgłośnie: „Najświętsza Panienko, pomóż mi. Nie pozwól, żeby ich modlitwy tak bardzo mnie poruszały. Nie pozwól mi zejść z drogi Jezusa Chrystusa”.

Nurbanu pociągnęła ją za nadgarstek. Uniosła głowę i zauważyła majestatyczne podwyższenie w samym środku pomieszczenia. „Sarkofag!”

Sądziła, że na jej okrzyk wszyscy się odwrócą i spojrzą na nią. Jednak nikt nawet nie zwrócił uwagi. Najwyraźniej krzyk, który wyrwał się z jej serca, nie wydobył się z jej ust. „Dobry Boże – powiedziała w duchu. – To olbrzymi sarkofag. Czyj to grób?”

Ogarnął ją chłód. Trumna była okryta zieloną, atlasową tkaniną. Z jednej strony

umieszczony był wielki, wspaniały, biały turban. Katafalk opadał w przeciwnym kierunku.

Nagle poczuła, że starsza kuzynka uwolniła jej nadgarstek. Kątem oka dostrzegła, że kobieta otworzyła dłonie i przymknęła powieki. Jej wargi się poruszały. Spojrzała do tyłu przez ramię. Nikogo nie widziała. Drzwi się zamknęły i wszyscy zostali na zewnątrz. Były w środku same. Tylko za katafalkiem ktoś, kogo nie widziały, dalej recytował Koran. Mimo starań nie była w stanie oprzeć się melodii psalmu. Ostatkiem sił udało jej się wypowiedzieć dręczące ją pytanie:

– Kto leży tam w środku?

Czekała, aż Nurbanu dokończy modlitwę, przecierając dłońmi twarz. W końcu z jej ust wydobył się szept:

– Jesteś w grobowcu ojca mojego ukochanego sułtana, dziada mojego syna padyszacha, władcy świata, mojego teścia sułtana Sulejmana Chana. Niech spoczywa w pokoju.

Grób Sulejmana!

Co robiła w grobowcu największego wroga Wenecji, Rzymu i całego świata chrześcijańskiego?

– Modliłaś się za niego?

Safiye zadała to pytanie po włosku, chociaż wiedziała, że jej kuzynkę bardzo to rozgniewa. Pomimo starań nie udało jej się stłumić złości w głosie. Było nie do pomyślenia, żeby Baffo, kimkolwiek była, modliła się za ich największego wroga.

– Za naszego wroga?

– Kiedyś był człowiekiem, o którego śmierć błagałam Boga. Byłam gotowa wydrapać mu oczy.

Safiye spojrzała na nią, jakby chciała zapytać: „Dobrze, w takim razie, dlaczego się za niego modlisz?”. Wyraz twarzy Nurbanu sprawił ją w jeszcze większe zdziwienie. W oczach kobiety była miłość, a nawet tęsknota.

– On był moim przyjacielem, dziecko. Był ojcem mojego mężczyzny, ukochanym, czcigodnym sułtanem mojej teściowej.

Safiye wzruszyła ramionami.

Nurbanu, nie zważając na to, chwyciła ją za nadgarstek i skierowała się do drzwi.

– Chodź ze mną. Jest jeszcze coś, co powinnaś zobaczyć.

Drzwi się otworzyły. Kiedy z przyprawiającego o drżenie mroku grobowca wyszły na światło dzienne, Safiye zmrużyła oczy. Gdy sułtanka *valide* i tajemnicza dziewczyna ukrywająca twarz pod tiulem schodziły po schodach, sześciu mężczyzn w bieli pozdrowiło je ukłonem. Nurbanu poprowadziła ją do drugiego kamiennego budynku. Safiye ponownie zaczęła się zastanawiać, jakiego koloru są szaty sześciu dziewcząt stojących po dwóch stronach schodów. „To coś między ciepłym fioletem a różem”, przeszło jej przez myśl.

– Tutaj – wyszeptała Nurbanu – śpi kobieta, która odmieniła mój los.

Tym razem, gdy wchodziły po schodach, dziewczęta, odziane w fioletoworóżowe szaty, pokłoniły się przed nimi głęboko. Drzwi otworzyły się szeroko.

Safiye znalazła się w grobowcu podobnym do poprzedniego. Jediną różnicą było

to, że sarkofag, przed którym stały, był mniejszy. Trumna przykryta była atłasem w tym samym kolorze co szaty dziewcząt. Na wyżej położonej części rozłożono zielony, atłasowy pas przykryty tiulem w tym samym niezwykłym kolorze, wyszywanym złotą nicią.

– Przyjrzyj się uważnie – odezwała się cicho Nurbanu.

Safiye zdziwiła się, zauważywszy, że w jej tonie bardziej pobrzmiewa prośba niż rozkaz.

– Tu spoczywa matka mojego mężczyzny, babka mojego syna padyszacha, Hürrem, ukochana żona władcy świata, Sulejmana Chana, świętej pamięci Aleksandra Anastazja Lisowska, która włożyła na głowę weneckiej niewolnicy Cecylia Baffo koronę Imperium Osmańskiego.

Zbliżyła się do sarkofagu i go pogłaskała.

– Sułtanko matko – wyszeptała. – Spójrz, kogo ci przyprowadziłam. *Jeszcze jedna Baffo.*

Safiye zadrżała ze strachu i próbowała się wycofać.

– Rozmawiasz ze zmarłą?

– Zawsze. – Głos Nurbanu zabrzmiał jak świst. – Proszę ją o pomoc. Błagam, żeby wskazała mi drogę. – Zamilkła na chwilę. Delikatnie uniosła krawędź tiulu okrywającego twarz Safiye i spojrzała jej w oczy. – To jej zawdzięczasz to, że jesteś tu dzisiaj, i to, gdzie będziesz jutro.

– Chyba oszalałyście – wydusiła z siebie Safiye. – Dlaczego pokazujecie mi te groby?

– Spodobała ci się, matko Hürrem? – zapytała Nurbanu. Umilkła, jakby słuchała odpowiedzi. Na jej twarzy ukazał się uśmiech. – Obiecuję ci, matko – wyszeptała. – Ta piękna Baffo zostanie kobietą twojego wnuka. Baffo urodzi jeszcze jednego padyszacha. Daję ci na to moje słowo.

Nagle Nurbanu ponownie chwyciła nadgarstek Safiye.

– Chodź – mruknęła. – Idziemy. – W jej głosie dało się słyszeć gniew. Kiedy wychodziły, odezwała się cicho, nie patrząc na nią. – Nigdy nie zapominaj o tym miejscu, dziecko.

– Dlaczego? Po co mi to pokazujesz?

– Jeszcze nie wszystko zobaczyłaś!

Teraz niemal biegiem przemierzały drogę porośniętą drzewami. Sułtanka Nurbanu szła przodem, ciągnąc za sobą dziewczynę. Skupiła uwagę, jakby nasłuchiwała szeptów setek osób, które wyszły im na spotkanie.

– Kim jest ta dziewczyna?

– Skąd mam wiedzieć?

– Dlaczego ukrywa twarz?

– Jeśli chcesz, biegnij i zapytaj sułtanki matki.

– Mówią, że jest bardzo piękna – wyszeptał ktoś inny pośród chichotów.

– Czy ktoś widział jej twarz?

– Skoro mówią, że jest piękna, na pewno ktoś ją widział.

– Więc jest piękna?

– Nie piękna, tylko najpiękniejsza z pięknych. Mówią, że taka nigdy wcześniej się nie urodziła.

Safiye też coś z tego rozumiała. Wyraz twarzy starszej kuzynki pokazywał, że jest zadowolona z tego, co słyszy. Jednak myśli Safiye zaprzętały inne sprawy. Dlaczego kuzynka pokazywała jej te groby? I jakiego koloru były szaty, które miało na sobie sześć dziewcząt pełniących wartę przy grobowcu teściowej jej kuzynki? Fioletowe? Różowe? Nie dawało jej to spokoju.

– Jakiego koloru były szaty tych dziewcząt?

– *Purpurowe* – odpowiedziała Nurbanu, nie zwalniając tempa.

– Purpurowe?

– To kolor mojej matki Hürrem. Uwielbiała purpurowe kwiaty.

Safiye, biegnąc, pokiwała głową.

– A ci drudzy w bieli? Sulejman uwielbiał biały?

– Biel to w Imperium Osmańskim kolor smutku. Są ubrani na białe, ponieważ noszą żałobę.

Kiedy wsiadły do sułtańskiego powozu, Safiye gniewnym ruchem uniosła z twarzy tiul.

– Przecież miałam wszystko zobaczyć i poznać tajemnice.

Nurbanu długo wpatrywała się w oczy dziewczyny. Bez słowa pochyliła się i ponownie przykryła jej twarz tiulem. Pomimo całego utyskiwania Safiye nic więcej nie powiedziała.

– Ostatni przystanek – odezwała się dopiero wtedy, gdy powóz się zatrzymał.

– Znowu groby?

Drwina w głosie Safiye rozgniewała Meleknaz wysiadającą z powozu.

– Groby. Potrafią wiele nauczyć tego, kto umie patrzeć, dziecko. – Kobieta po raz pierwszy, odkąd się poznały, przemówiła w swoim języku. – A ty musisz się jeszcze wiele nauczyć.

Safiye była tak zaskoczona, że nie wiedziała, co powiedzieć. Kobieta przepaszającym wzrokiem spojrzała na sułtankę matkę i wysiadła z powozu.

Kiedy Nurbanu opuściła powóz, znowu wszyscy pochylili się w głębokim ukłonie.

Safiye wypełniła radość na widok pomalowanych na czerwono murów i wspaniałej kopuły.

– Hagia Sophia! – wykrzyknęła. – Przybyliśmy się pomodlić?

Nurbanu zamiast odpowiedzi wskazała jej spiczaste wieże sterczące pomiędzy drzewami w zagajniku w pewnej odległości przed nimi.

– To Nowy Pałac. Dom naszego syna sułtana Murada Chana. – Nie dało się nie słyszeć dumy w jej głosie. – Niedługo będzie to też *twój dom*.

Ujęła ją za rękę, nie dając szansy powiedzenia czegokolwiek.

– Ale najpierw musisz zobaczyć coś jeszcze. Chodź ze mną.

Ruszyły między drzewami na tyły Hagii Sophii.

Safiye dostrzegła niewielki kamienny budynek przykryty kopułą. „Nie myliłam się – przeszło jej przez myśl. – Jeszcze jeden grób”.

Nurbanu jakby odczytała myśli dziewczyny.

– A to – rzekła powoli – miejsce spoczynku mojego męża Selima Chana. Kiedy nadejdzie dzień i Azrael weźmie mnie za rękę, moją wolą jest, żeby złożono mnie u jego boku.

Przeszły jeszcze kilka kroków.

– Słyszałaś, dziecko? – zapytała Nurbanu. – Zrozumiałaś, co powiedziałam? Taka jest moja wola. Kiedy umrę, chcę, żeby pochowano mnie tutaj, obok mojego męża. Jeśli dopuścisz do tego, by nie wypełniono mojej woli, zemszczę się na tobie na tamtym świecie.

Ponownie zatrzymały się przed dużym sarkofagiem ustawionym pod wysoką kopułą okopconą sadzą z lamp oliwnych.

– Selimie Chanie – odezwała się cicho Nurbanu. – To ja. Twoja królowa roztaczająca boskie światło.

Pospiesznie odwróciła głowę, ale Safiye zdążyła zauważyć, jak po policzku kuzynki spłynęła łza.

– Przywiodłam ci twoją synową, Selimie Chanie.

Próbowała się uśmiechnąć, żeby stłumić drżenie w głosie.

– Spójrz, co to za zrzędzenie losu, Selimie. Przeznaczenie na drodze naszego syna również postawiło Baffo.

Przyciągnęła do siebie zmarkotniałą dziewczynę. Safiye wzbronila się, kiedy zrozumiała, że kobieta chce, aby dotknęła sarkofagu.

– Pokochałby cię. Kto wie, jakie wiersze by dla ciebie ułożył. – Przerwała na chwilę. Później, nie zważając na łzy napływające jej do oczu, obróciła się do Safiye: – Jak mógłby nie pokochać tak pięknej dziewczyny, którą Bóg wybrał, żeby ocaliła jego syna i urodziła Imperium Osmańskiemu padyszacha?

Kiedy wróciły do powozu, Nurbanu ujęła w dłonie ręce swojej kuzynki.

– A teraz mi coś obiecasz. Dasz mi słowo Baffo...

Safiye spojrzała z powagą zaskakującą jak na jej wiek.

– Obiecać? – Jej głos był zimny jak lód. – Niczego nie obiecuję, dopóki nie poznam sekretów, które miałyście mi wyjawiać.

– *Tej nocy otworzymy drzwi tajemnic, dziecko.*

Jej głos był przynajmniej tak samo chłodny jak ton jej młodszej kuzynki.

– Tej nocy dowiesz się wszystkiego. Dowiesz się, jakie znaczenie mają te groby dla mojego i twojego życia. Poznasz ich przygody... i moje... swój los... Dowiesz się wszystkiego.

XIV

Komnatę wypełniła cisza, śmiertelna jak trucizna. Nagle Safiye zdała sobie sprawę, że nie jest w stanie na niczym skupić myśli. W jej głowie echem odbijało się pytanie, które zadała jej starsza kuzynka:

– Widzisz, dziecko, jak błyszczą gwiazdy twojego przeznaczenia?

Czy widziała? Zakłęła w duchu. Niczego nie widziała i o niczym nie myślała. Otaczał ją magiczny świat, o którym słuchała przez całą noc. W jednej chwili widziała rudowłosą dziewczynkę pośród ośnieżonych szczytów, wśród bezkresnych lasów pełnych wilków i bandytów. W następnej wyruszała w piekielną podróż na pirackim okręcie.

Nurbanu siedziała przed nią nieruchomo, ze skrzyżowanymi nogami. Wiedziała, że nawet na chwilę nie odrywa od niej wzroku. „Czy ona, tak jak ja, patrzy, ale nie widzi?”, zastanawiała się Safiye. Może pochłonęły ją wspomnienia. Jej ciało spoczywało na wspaniałej sofie pośród pulchnych poduszek, ale myślami i duszą była gdzieś w odległych krainach.

To, co usłyszała, nie mogło być prawdą. Czy można było przeżyć coś takiego? „To musi być baśń”, pomyślała. Kuzynka tworzyła wyśnione życia, żeby wyrzucić na niej wrażenie, i oczekiwała od niej, że sprawi, że ta baśń stanie się rzeczywistością. Chciała, żeby oczarowała padyszacha swoją urodą, tak jak uczyniły to Aleksandra Anastazja i Cecilia Baffo w historiach, które opowiedziała. Powinna sprawić, że sułtan Murad zapragnie jej tak bardzo, że w jego życiu nie będzie już miejsca dla innej kobiety, że będzie pisał dla niej wiersze, odchodził od zmysłów, pieszcząc jej nieskazitelną skórę, że tylko w jej ramionach będzie w stanie ugasić pragnienie płynące w jego żyłach niczym lawa.

„Dobrze, ale jak mam to zrobić? Jestem jeszcze bardzo młoda – martwiła się. – Nie wiem, jak mam zniewolić mężczyznę, jak zrobiły to Hürrem i Nurbanu”.

„Nie kłam!”. Głos sprzeciwu, który rozległ się w głowie Safiye, wstrząsnął nią.

„Czy ta kobieta o imieniu Dżanfeda przez te wszystkie miesiące nie nauczyła cię, jak to się robi, jak rozpaścić pragnienia padyszacha, jak sprawić, żeby źródło jego męskości nieustannie płynęło?”.

„Nauczyła – przyznała przed sobą. – Ale czy będę potrafiła zrobić to, o czym mi mówiła?”.

– Widzisz, Safiye, jak błyszczą gwiazdy twojego przeznaczenia? – powtórzyła Nurbanu.

Podskoczyła na dźwięk pytania Nurbanu, które przerwało spowijającą ją głęboką ciszę.

– Otworzyłam dla ciebie drzwi tajemnic. Teraz już o wszystkim wiesz.

Kiwnęła głową. „Tak, wiem – przeszło jej przez myśl. – O wszystkich miłościach... *zbrodniach*... Dobry Boże, o zbrodniach!”.

– Dowiedziałas się, jak Aleksandra Anastazja Lisowska weszła do haremu jako odaliska, a wyszła z niego jako sułtanka Hürrem – mówiła dalej kuzynka. – Usłyszałaś, jak Aleksandra swoim rozumem i urodą oczarowała sułtana Sulejmana, jak została sułtanką Hürrem.

Westchnęła, próbując rozszyfrować spojrzenie Safiye.

– Bóg przed każdym stawia anioła, który pomaga mu pochwycić swoje przeznaczenie. Niektórzy go zauważają, inni mijają. Moim aniołem była moja matka Hürrem. Pomogła mi pochwycić gwiazdę mojego przeznaczenia. Z młodej dziewczyny, która tak jak ty wpadła w ręce korsarzy, stworzyła sułtankę *valide* Nurbanu. Ja zaś włożyłam suknię, którą dla mnie uszyła, i z zamkniętego w sobie księcia pijusa uczyniłam padyszacha. Urodziłam mu padyszacha i posadziłam na tronie Imperium Osmańskiego.

– Ale zgodnie z tym, co opowiedziałaś, Hürrem chciała, żeby inny z jej synów został padyszachem.

– Zrozumiałaby mnie, gdyby dożyła dnia, kiedy Selim zasiadł na tronie. Ona chciała padyszacha, w którego żyłach płynęła jej krew. Ziściłam jej marzenie. Wzięłam za rękę jej złotowłosego syna i zaprowadziłam na tron osmański. Płakałaby krwawymi łzami nad tym, co spotkało Bajazyda i jego potomstwo, ale zrozumiałaby mnie. Ten, kto przebył drogę ciernistą, żeby dojść do swojego celu, zrozumie tego, który też podąża tą drogą, Safiye.

Safiye spojrzała na nią z powagą. Powoli podniosła się z miejsca. Podeszła do okratowanego okna i patrzyła, jak wstaje nowy dzień.

– Słuchając historii Aleksandry, pomyślałam, że musiała być niezwykle *okrutną kobietą* – szepnęła. – Jednak widzę, że moja kuzynka nie pozostała za nią w tyle.

Na twarzy Nurbanu pojawił się dziwny uśmiech.

– Wyprzedziłam ją. – Jej głos zabrzmiał w komnacie jak trzask bicia. – Tron chce zapłaty od tego, kto na nim zasiada, i od tego, który odważy się po niego sięgnąć. My zapłaciłyśmy tę cenę. Teraz kolej na ciebie. Czy chcesz, tak jak moja matka Hürrem i ja, dzielić z potomkiem Osmana koronę i tron, urodzić Imperium Osmańskiemu padyszacha?

Ich spojrzenia się spotkały. Safiye powtarzała w duchu te same pytania: „Jesteś gotowa? Wyciągniesz rękę, żeby pochwycić gwiazdę swojego przeznaczenia?”

Nie miała odwagi odpowiedzieć głośno. Bała się usłyszeć swój głos. Jednak w duchu całą sobą krzyczała: „Tak! Tak!”. Od wielu miesięcy, gdy tylko przymknęła oczy, widziała, jak na osmańskim tronie zasiada Wenecjanin. Wenecjanin, który zrodził się z jej ciała. Jej kuzynce to się udało. Teraz kolej na nią. Jak lepiej mogła się zemścić na Imperium Osmańskim, które niszczyło chrześcijaństwo? Aniołem szczęścia Cecilii Baffo była rudowłosa Hürrem. Aniołem Sophii Baffo zostanie Nurbanu. Z jej pomocą pochwyci gwiazdę swojego przeznaczenia i uczyni z niej swoją koronę. Padyszachowi, w którego żyłach płynęła wenecka krew, urodzi padyszacha z weneckiej krwi.

– Odpowiedz, Safiye. Czy chcesz, tak jak moja matka Hürrem i ja, dzielić z potomkiem Osmana koronę i tron? Urodzić Imperium Osmańskiemu padyszacha?

– Chcę – odpowiedziała, nie unosząc głowy. – Tak, chcę.

– Jesteś gotowa zapłacić za to cenę?

Pokiwała głową.

– Niezależnie od tego, jak będzie wysoka?

– Tak.

Nurbanu nagle podniosła się z otomany.

– W takim razie weź te szczypce, dziecko.

– Szczypce?

– Tak.

Safiye wzięła szczypce wiszące przy mosiężnym palenisku stojącym pośrodku komnaty.

– Porządnie przemieszaj popiół. Przekonajmy się, czy zostały w nim żarzące się węgle.

Nic nie zrozumiała, ale wykonała polecenie. Na małym kawałku węgla, spopielonym z wierzchu, dostrzegła czerwone kropki.

– Zostały.

Podniosła węgiel szczypcami i pokazała go Nurbanu.

– Wspaniale... Dmuchnij i go rozpal. Jeśli się rozпали, miłość Safiye rozпали płomieniem serce naszego syna padyszacha.

Safiye nagle drgnęła. „To czarownica – przeraziła się. – Odprawia czary!”

Pomimo strachu wydeła policzki i dmuchnęła w węgiel, który trzymała szczypcami. Teraz była już pewna, że chce rozpalić ogień miłości w sercu padyszacha.

Czarny, pokryty popiołem węgiel powoli zaczął zajmować się czerwonym płomieniem.

– Po mnie to ty będziesz głosem Wenecji, moja mała kuzynko. Po mnie.

Safiye pośpiesznie się ukloniła i skierowała do drzwi. Ani ona nie zauważyła tajemniczego uśmiechu na twarzy Nurbanu, ani sułtanka matka nie dostrzegła drwiny wykrzywającej wargi Safiye i iskiek tryskających z jej oczu.

Kiedy przekroczyła próg i wyszła na korytarz, była tak zamyślona, że nie spostrzegła nawet cienia Meleknaz powoli wynurzającego się zza szafy, za którą się ukryła. Pierwsza dama dworu zadrżała, gdy wchodząc do komnaty Nurbanu, zobaczyła ponurą twarz Safiye.

Służąca, niosąca do komnaty sułtanki matki dwa wielkie dzbany z wrzątkiem, rozciągnęła wargi w szerokim uśmiechu, żeby pozdrowić dziewczynę. Safiye też jej nie zauważyła. Błądziła myślami między przeszłością a przyszłością. W jej głowie układały się tysiące planów. Kiedy dziewczyna bez słowa minęła służącą, kobieta odwróciła się i spojrzała za nią. Ze współczuciem pokręciła głową. Najwyraźniej piękna dziewczyna spędziła jeszcze jedną bezsenną noc w komnacie sułtanki matki. „Co dadzą jej te trwające do rana lekcje? – pomyślała. – Biedaczka ze zmęczenia nikogo już nie zauważa”.

W tym czasie w duszy Safiye szalała burza.

Otworzyła drzwi do swojej komnaty. Podeszła do sofy i położyła się na plecach. Utkwiła spojrzenie w rzeźbionym suficie.

– Skoro tak, potomku Osmana – wycedziła – zobaczysz, jak odbiorę ci rozum.

Kiedy po chwili odwróciła się do ściany, na twarzy miała dziwny uśmiech.

– A ty, sułtanko *valide*, żyj dalej w przekonaniu, że zadowolę się miłością padyszacha – mruknęła. – Rozbudziłaś demona w moim umyśle, a w mojej duszy rozpaliłaś taki ogień, że nie można już go powstrzymać. Wiedz, że nawet *tron osmański jest zbyt mały dla dwóch Wenecjanek*. To nie ty, ale Safiye będzie rządzić Imperium Osmańskim. Tak powiedziałam i tak się stanie.

Przymknęła powieki.

– Niezależnie od tego, jak wysoka będzie cena – syknęła. – Jeśli życie, to życie, jeśli głowa, to głowa.

Meleknaz weszła do komnaty i delikatnie zamknęła za sobą drzwi.

– Kiedy zdejmiesz jej łańcuchy?

Nurbanu była pochłonięta patrzeniem przez okratowane okno na morze skąpane w złotym świetle wschodzącego słońca.

– Co?! – odwróciła się wyrwana z zamyślenia. – Ach, Boże, to ty. – Odetchnęła na widok swojej damy dworu. – Wystraszyłaś mnie, Gabriello. Nie słyszałam, jak pukałaś.

Kobieta stała nieruchomo.

– Nie pukałam. Zostawiła otwarte drzwi, więc weszłam. Czekam tu dłużej. Jednak ty jesteś równie zamyślona co ona. Twoja kuzynka przeszła obok i nawet mnie nie zauważyła. Ty też nie spostrzegłaś, że przyszłam, pani.

– Zamyśliłam się. – Nurbanu zamilkła. – Co przed chwilą powiedziałas?

– Zapytałam, kiedy zdejmiesz jej łańcuchy.

Sułtanka *valide* podeszła do damy dworu i spojrzała na nią z powagą.

– Wiesz, Gabriello, czasem mam ochotę urwać ci tę śliczną główkę.

– Tak jak teraz?

Nurbanu rozluźniła ściągnięte brwi.

– Tak. – Uśmiechnęła się. – Po raz pierwszy poczułam to, kiedy byliśmy więzione na okręcie Barbarossy.

Kobieta również się uśmiechnęła.

– Wiem. – Na chwilę oczy zaszyły jej łzami. – Skąd mogłam wiedzieć, że Ajdyn Reis zdobędzie też twoje serce. Chociaż nawet gdybym to wiedziała, nie miałyby to żadnego znaczenia. Zapalałam miłością do Ajdyna. Nawet cię nie dostrzegałam.

Odpowiedź damy dworu zaskoczyła Nurbanu.

– Naprawdę? – zapytała. W jej głosie dało się słyszeć niedowierzenie. – Gdybyś mnie dostrzegła, też spróbowałabyś go uwieść?

Gabriella pokiwała głową.

– Czy to nie ty, moja piękna pani, mówiłaś, że nie można oprzeć się wiatrowi przeznaczenia? Człowiek idzie tam, gdzie powiezie go los. Ja i Ajdyn byliśmy sobie pisani. – Nagle głos jej się załamał. – I spójrz... – próbowała mówić dalej. Głos uwiązał jej w gardle. – Było nam też pisane rozstać się, zanim zdążyliśmy się sobą nasycić. Tobie zaś przeznaczone było zostać sułtanką Imperium Osmańskiego. – Pochyliła głowę, żeby ukryć łzy. – Wciąż nie odpowiedziałas – oznajmiła z trudem. – Kiedy zdejmiesz dziewczynie łańcuchy?

Nurbanu miała ochotę przytulić towarzyszkę z dni niewoli i pocieszyć ją. Jednak natychmiast zrezygnowała. Nawet jeśli bardzo ją kochała, sułtanka *valide* nie mogła pozwolić sobie na taką wylewność. Poprzestała na tym, że położyła jej rękę na ramieniu.

– Dżanfeda twierdzi, że dziewczyna jest gotowa, ale ja chcę, żeby się jeszcze trochę zahartowała. Poczekajmy do końca lata. Nawet nie została jeszcze muzułmanką. Poza tym do tego czasu trochę lepiej opanuje język...

– Nie sądzę, żebyś mogła tak długo czekać.

Sułtanka właśnie miała zająć miejsce na sofie, ale zamarła.

- Co powiedziałaś?
- Nie sądzę, żebyś mogła tak długo czekać.
- Co to ma znaczyć? Dlaczego miałabym nie móc tak długo czekać?

Meleknaz podeszła do swojej pani, która wciąż stała przy sofie osłupiała ze zdumienia.

– Usiądź, moja piękna sułtanko.

Nurbanu zdecydowanym gestem odepchnęła rękę, którą kobieta wyciągnęła do niej, żeby jej pomóc.

– Co masz na myśli, Gabriello?

Meleknaz, chociaż wiedziała, że są same, rozejrzała się podejrzliwie. Mimo że sułtanka matka odepchnęła ją, pomogła jej usadowić się na sofie. Podłożyła jej pod plecy miękką poduszkę i nachyliła się do jej ucha.

– Dzieją się złe rzeczy, bardzo złe rzeczy. Wczoraj...

– Co się stało wczoraj? Mów.

– Kiedy nasz pan wracał wczoraj z piątkowej modlitwy, poza nielicznymi osobami nikt nie zawołał: „Niech żyje padyszach!”.

Nurbanu próbowała się odezwać, ale jej się nie udało. Nie wiedziała, co miałaby powiedzieć. Meleknaz ujęła jej ręce między swoje dłonie. Ręce sułtanki *valide* w jednej chwili stały się zimne jak lód. W komnacie zapanowała cisza. Jednak słowa Meleknaz odbijały się echem w głowie Nurbanu: „Nikt nie zawołał: «Niech żyje padyszach!»”. To źle! To bardzo źle!

– Ale pewnie rzucali się jeden przez drugiego, żeby złapać bakszysz. – Jej głos był ostry jak nóż i zimny jak lód.

Spodziewała się, że Meleknaz potwierdzi jej słowa, ale kobieta pokręciła głową.

– Jak to? – mruknęła Nurbanu takim samym ostrym głosem. – Nie pozbiali akcze z bakszyszem?

– Podobno, kiedy przejeżdżał sułtański orszak, nikt się nie poruszył. Mówię, co słyszałam, pani. Oprócz kilku żebraków nikt nie zważał na bakszysz. Nawet ojcowie nie puścili dzieci, żeby pozbierały słodycze.

„Źle, źle, źle”, powtarzała w duchu Nurbanu. Lud nie krył już swojej reakcji na niegodziwość, które działy się w pałacu. Sytuacja zaczynała się wymykać spod kontroli. Spojrzawszy na Meleknaz, zrozumiała, że kobieta jeszcze nie skończyła.

– Jest coś jeszcze?

Pierwsza dama dworu ze strapieniem pochyliła głowę. Sułtanka matka szybkim ruchem zabrała rękę.

– O co chodzi? Mów!

Kobieta wciąż się wahała.

– Lud pobił człowieka, który pozdrowił padyszacha, kiedy jego świta przejeżdżała przed Krytym Bazarem.

Nurbanu podniosła się z sofy. Twarz paliła ją ogniem.

– Jak śmieli! – krzyknęła. – A co zrobili żołnierze mojego syna? Nie złapali tych złoczyńców i nie postawili ich przed kadimi?

Meleknaz popatrzyła na swoją panią oczami pociemniałymi ze smutku.

– Większość z tych, którzy pobili mężczyznę, to janczarzy.

Nurbanu poczuła, że podłoga ucieka jej spod stóp. Wyciągnęła rękę i opadła na sofę. „Dobry Boże! – wykrzyknęła w duchu. – *Bunt!* To nic innego jak powstanie!”

Meleknaz natychmiast naląła wody do kryształowego pucharu. Dodała do niej kilka kropli wody różanej i podała swojej pani. Kiedy sułtanka matka odepchnęła puchar, ich spojrzenia się spotkały. Meleknaz zadrżała z przerażenia, widząc ogień płonący w oczach Nurbanu. Dobrze знаła ten wzrok. Cierpienie i niepokój, które jeszcze przed chwilą gościły w oczach sułtanki *valide*, zniknęły, a ich miejsce zajęły dzikość, gotowość, żeby zabić, rozerwać na strzępy.

– Cecilio – szepnęła. – Moja piękna sułtanko.

Nurbanu stanęła wyprostowana. Krew odpłynęła jej z twarzy, która teraz wyglądała jak skamieniała, więc nie można było odgadnąć, co myśli. Gdyby Meleknaz nie dostrzegła, jak jej pani miała chusteczkę, mogłaby nawet pomyśleć, że to, co usłyszała, nie wywarło na niej większego wrażenia.

– W takim razie my uczynimy to, czego nie zrobili żołnierze. Chcemy widzieć wielkiego wezyra paszę. Niech natychmiast przekażą mu wiadomość.

Meleknaz już miała skierować się do drzwi, żeby wypełnić rozkaz, kiedy nagle się zatrzymała. „Jak mogłam o tym zapomnieć?”, powiedziała do siebie.

– Co znowu, Gabriello? – burknęła Nurbanu, widząc, że dama dworu wciąż stoi bez ruchu. – To nie koniec złych wiadomości? Nie powiedziałyśmy ci, że chcemy się widzieć z wielkim wezyrem?

– Jest ktoś, kto chce się z tobą zobaczyć – wyrzuciła kobieta na jednym oddechu.

Później osłoniła dłonią usta i nachyliła się do jej ucha. Kiedy sułtanka *valide* usłyszała imię tej osoby, szybko odsunęła głowę. Na chwilę zaparło jej dech.

Kara Pasza!

Miała wrażenie, że w jej wnętrzu zapłonął ogień. Z serca wydobył się pełen ekscytacji szept: „*Moja jedyna miłość*”.

Rozum sprzeciwił się z gniewem: „*Twój największy wróg*”.

„Nie! – wykrzyknęło serce. – Mój jedyny sprzymierzeniec! Mój jedyny grzech, który dał mi koronę, a Selimowi tron!”.

Na wspomnienie sekretnych burz namiętności, które miały swój początek w winnicach Manisy, a które później przeżywali w ciemnych, niezgłębionych zakątkach Nowego Pałacu, jej ciało ogarnęło dawno już zapomniane pragnienie.

Jednak rozum nie zamierzał dać się przekonać. „Kara Pasza, ha! – syknął. – Mężczyzna, który kazał podpalić Wenecję i obdrzeć ze skóry twoich rodaków na Cyprze!”.

Co miała teraz zrobić? „Boże, co za dzień? – jęknęła w duchu. – Dlaczego przybył? Czego ode mnie chce? Czyżby...”.

Próbowała natychmiast odrzucić powody, które przychodziły jej do głowy.

– Po nocnej modlitwie – szepnęła Meleknaz. – Ja cię do niego zabiorę.

XV

Patrzcie, patrzcie. A co to, Dżanfeda? Wchodzisz tak bez przywitania? Nie wypadaloby stanac i zapytac, jak sie miewa ulubiona zarzadzczyni naszego pana, Mestane Kalfa? A moze osleplas?

Podpierzynka Dżanfeda podskoczyła jakby przestraszona, kiedy odezwała się za nią zwalista, czarnoskóra kobieta, którą minęła, udając, że jej nie zauważyła.

– Ach, to ty? O mało nie umarłam ze strachu, Mestane. Kto to słyszał, żeby tak krzyczeć? Jeśli w niedalekim czasie coś się stanie Dżanfедzie, to ty będziesz temu winna.

Zarządczyni sułtana Murada, człapiąc niezgrabnie z powodu swojej tuszy, podeszła do Dżanfedy, która wciąż trzymała rękę na piersiach, jakby tłumiała bicie rozedrganego serca. Mestane, ponieważ była od niej niższa, uniosła głowę i wytrzeszczyła oczy.

– Nie martw się, dziewczyno. Tobie nic się nie stanie.

– A to dlaczego? Skąd to wiesz?

– Nikomu z powierników sułtanki matki nigdy nic się nie stało. Dlaczego miałyby się stać tobie, Dżanfeda? Widać, że jesteś bardzo radosna. Roztaczasz wokół siebie blask.

Kobieta delikatnie uderzyła zarządczynię w ramię.

– Lepiej uważajcie na język – mruknęła. – Gdyby ktoś was usłyszał, pomyślałby, że to zwykła służąca, a nie zarządczyni wielkiego sułtana Murada Chana. Co my, biedne, znaczymy przy twojej pozycji w imperium. Przy blasku Mestane Kalfy, która dostąpiła zaszczytu pielęgnowania ogrodu serca naszego pana, światło Dżanfedy jest jak płomień świecy.

W pewnej chwili Mestane pomyślała bezwiednie: „Która z nas jest bardziej obłudna?”. Wiedziała, że gdyby mogła, Dżanfeda utopiłaby ją w łyżce wody. „Ach – westchnęła w duchu. – Bóg mi świadkiem. Gdyby to babsko błagało o łyk wody, nie kiwnęłabym palcem”.

Wyraz twarzy Mestane natychmiast się zmienił. Czarne, grube, mięsiste wargi rozciągnęły się w uśmiechu, a między nimi pojawiły się dwa rzędy białych zębów. Dżanfeda z trudem ukrywała obrzydzenie.

– Chodź, chodź – powiedziała Mestane. – Jeśli ci się nie śpieszy, usiądziemy i zamienimy kilka słów.

„Zamienić kilka słów” – to były najczęstsze słowa wśród kobiet w haremie. Nazywały tak krótkie rozmowy przy filiżance kawy.

Dżanfeda, która przez chwilę pozwoliła poprowadzić się kobiecie, nagle się zatrzymała.

– Bardzo bym chciała, Mestane, ale śpieszy mi się.

– No proszę. A gdzie to ci się tak śpieszy? Czyżby sułtanka *valide* Nurbanu nie była obrażona na harem, że przysłała tu swoją kalfę? Chodź, chodź.

Dżanfeda, udając, że nie chce, że próbuje wydostać się z rąk Mestane, podążyła za kobietą.

– Chodź, usiądź tu z brzegu. – Posadziła ją zarządczyni. – Zerknij no tutaj – odezwała się do młodej służącej stojącej niedaleko. – Przynieś nam dwie kawy. Jeśli nie będzie pianki, pożałujesz. Tymi palcami wyłupię ci te czarne oczęta.

Przez chwilę trzymając palce w górze, pokazała, jak poważna jest jej groźba. Później ze śmiechem zwróciła się do Dżanfedy:

– Powiedz no, Podpierzynko, jakież to masz zadanie? Nie zwykłyśmy widywać w haremie służących sułtanki matki. Czy nasza sułtanka czegoś sobie życzy?

Dżanfeda natychmiast weszła jej w słowo.

– To nie sprawa sułtanki *valide*, tylko moja. Dlaczego od razu ją w to mieszasz? Gdyby sułtanka Nurbanu usłyszała, że tu przyszłam, kazałaby powiesić mnie za uszy na ścianie. – Nagle, jakby ze strachem, złapała kobietę za rękę. – Błagam cię, Mestane, nie wydaj mnie. Nikomu nie mów, że mnie tu widziałas. Wiesz, co mówią: nie zdradzaj sekretu swojemu przyjacielowi, bo on też zdradzi go przyjacielowi przyjaciela.

Mestane chytrze wyszczerzyła zęby.

– No wiesz. Jak mogłabym cię wydać? Usta Mestane... – Kciukiem i palcem wskazującym przejechała po wargach, pokazując, że jej są jak zapieczętowane.

„Przekłeta plotkara”, pomyślała Dżanfeda, a głośno powiedziała:

– Myślisz, że nie wiem. – Lekko poklepała kobietę po plecach. – Podobno jedna z odalisek pochodzi z tych samych stron co jedna z naszych dziewcząt – wyszeptwała, jakby dzieliła się z nią tajemnicą. – Są z tej samej wsi czy coś.

– No proszę. Kim jest ta, której krewną jest dama dworu czcigodnej sułtanki matki?

– To nie krewna, moja droga. Dziewczyna powiedziała mi, że są z tych samych stron. Imię też ma jakieś dziwne. Jak to było? – Zamilkła, jakby się nad tym zastanawiała. Ściągnęła końce chusty. – Ha! Vahter... Tak, tak, zdaje się, że Vahter.

Mestane wybuchła takim śmiechem, że Dżanfeda się zdziwiła.

– Z czego się śmiejesz? Co w tym takiego śmiesznego?

– Ty to dopiero jesteś. Nie Vahter... Ahter. Ahter. Jak chcesz znaleźć dziewczynę, skoro nawet nie potrafisz zapamiętać jej imienia?

– Skąd ja mam to wiedzieć? Tak zapamiętałam. – Dżanfeda starała się wyglądać na niezainteresowaną i znużoną, jakby robiła coś z przymusu. – Vahter czy Ahter... Widzisz, kiedy to powiedziałam, od razu zrozumiałaś, o kim mówię.

Mestane upiła łyk kawy przyniesionej przez służącą. Odstawiła filiżankę na stolik i wyprostowała ramiona.

– Jeśli nie ja, to kto miałby to wiedzieć, Dżanfedo? W tym haremie nawet mucha nie lata bez wiedzy Mestane Kalfy. Tak jak armia ma swojego seraskera, tak harem ma mnie. Dziewczyna, której szukasz, ma na imię Ahter, jednak my tutaj nazywamy ją teraz Yildiz.

Dżanfeda z podziwem pokiwała głową.

– Mniejsza o to. Porozmawiam z nią chwilę i zaraz wracam.

Nagle Mestane zrobiła się czujna.

– Czego chce dama dworu czcigodnej sułtanki matki od Ahter *Haseki*?

– *Haseki*? – Dżanfeda szeroko otworzyła oczy, jakby była wielce zaskoczona. – Dziewczyna jest faworytą czcigodnego sułtana?

– Sprawiała, że Murad Chan zapomniał o wszystkich dziewczętach, moja słodka. Wiesz, że faworytą naszego pana była Bihter. Nie będę kłamać. Nawet ja nie sądziłam, że nadejdzie dzień, kiedy nasz padyszach znudzi się Bihter i powącha inny kwiat. Jednak ta

Yıldız odebrała naszemu panu rozum, Dżanfedo. Sułtan nawet nie wymawia imienia Bihter. Tylko Ahter i Ahter.

– Zatem musi być bardzo piękna, Mestane.

– Czy znajdziesz w haremie dziewczynę, która nie jest urodziwa? Każda z nich jest piękna. Jednak ta Abisynka pobiła je wszystkie. – Kobieta przysunęła się do Dżanfedy i wyszeptała: – Wiesz, że nasz pan bardzo lubi czasem wziąć do swojej alkowy kilka dziewcząt naraz. – Przerwała, lekko odchyliła głowę i spojrzała jej w oczy, sprawdzając, czy zrozumiała, co ma na myśli. Doszedłszy do wniosku, że nie zrozumiała, ponownie nachyliła się do jej ucha. – No wiesz, jednocześnie. Jednak odkąd jego względy zdobyła Ahter, nasz pan nie poprosił mnie o inny kwiat.

Dżanfeda zachichotała, jakby była zdziwiona, a jednocześnie zawstydzona.

– Jednocześnie? W jednym łożu?

Mestane przemądrzale pokiwała głową.

– Bóg najwyraźniej obdarzył naszego pana siłą zapaśnika, moja droga.

– Co to za dziewczyna?

Zarządczyni wzruszyła ramionami.

– A co ja tam wiem. Zwykła dziewczyna. Czarna jak ty i ja. Smukła jak wierzbowy witek. Jednak Stwórca dał jej taką skórę, że pomyślałabyś, że to aksamit. Jest piękna jak antylopa.

– Najwyraźniej jest zdolna.

– Nie wiem, pewnie tak. Jak inaczej coś takiego mogłoby być możliwe? Padyszach nawet Bihter nie wzywał do alkowy tak często jak ją. Nasz pan chciał jej ode mnie co jakieś dziesięć dni. Jednak ją wzywa każdej nocy, Dżanfedo. Jeśli dziewczyna trochę się spóźni, Murad Chan wpada w szał.

– Więc nasz pan nie zbliża się do innych odalisek?

– Neeee – zachichotała Mestane. – Aż tak to nie. Ale przy Ahter nie wzywa do siebie żadnej innej. Jest z nią sam. Na litość boską, wciąż nie rozumiałaś?

– Zrozumiałam, zrozumiałam. – Tym razem to Dżanfeda przechyliła się do zarządczyni. – Pewnie dziewczyna patrzy z góry na cały harem. Jako ta, która doprowadza do szału wielkiego padyszacha, musi zadzierać nosa.

– Nic z tych rzeczy – westchnęła Mestane. – Inna na jej miejscu tańczyłaby ze szczęścia, ale nie ona. Można by pomyśleć, że nie idzie do łoża padyszacha, ale na cmentarz.

– Nie wierzę. Spotkało ją największe szczęście. Czego jeszcze chce?

– Nie pytaj. Nasz pan też oczywiście zwrócił na to uwagę. Wczoraj zapytał mnie: „Czy moja Yıldız ma jakieś zmartwienie?”

– I jakie to zmartwienie?

– Nic nie chce powiedzieć. Wieczorem idzie do alkowy, w południe wraca i zamyka się w swojej komnacie.

– Ja ci powiem, siostrze, ta Ahter na pewno ma jakiegoś ukochanego.

– Skąd wiesz?

– A nad czym tu się zastanawiać? – Dżanfeda uśmiechnęła się. – Jeśli odaliska nie jest szczęśliwa, że padyszach bierze ją do swojego łoża, wiedz, że w jej sercu jest ktoś

inny.

– Doprawdy, to możliwe. Biedaczka wciąż wzdycha. Chodzi zamyślona. Kiedy raz zapytałam ją o to, tak na mnie spojrziała, że serce mi zakrwawiło. „Mam zmartwienie”, wyszeptła. To wszystko. Nie powiedziała, co to takiego.

– Co więcej miała powiedzieć, Mestane? Zmartwieniem dziewczyny jest sekretna miłość. To jasne, że dziewczyna cierpi z miłości.

– Oczywiście wszystkie odaliski się od niej odwróciły. Szczególnie Bihter traktuje ją jak wroga. Gdyby mogła, utopiłaby ją w łyżce wody. Wszystkie sądzą, że to ona zniechęca do nich padyszacha. Dość już o tym. Dlaczego chcesz rozmawiać z Ahter?

– Najwyraźniej te pogłoski dotarły też do uszu naszej damy dworu – rzuciła natychmiast Dżanfeda. – Padła mi do stóp i zaczęła prosić: „Kalfu, mnie sułtanka matka nie puści. Udaj się do Starego Pałacu, popytaj, a jeśli ci się uda, porozmawiaj z nią. Dowiedz się, jakie zmartwienie ma Ahter”. Nie mogłam odmówić biedaczce.

Mestane spojrziała na nią podejrzliwie. „Kto wie, ile akcze wyciągnęłaś od dziewczyny i wetknęłaś sobie między te wielkie piersi”, przeszło jej przez myśl. Ona za takie przysługi brała co najmniej dziesięć akcze. Na przykład od Bihter wzięła dwadzieścia akcze za powiedzenie padyszachowi, jak bardzo dziewczyna za nim tęskni i jak bardzo go pragnie. Do tego, jeśli te słowa trafiłyby do serca padyszacha i wezwałby ją do siebie, miała dorzucić jeszcze pięćdziesiąt. Tak się te sprawy miały.

– Nie sądzę, że zobaczysz się z dziewczyną – oznajmiła, żeby odciąć jej drogę. – Z nikim nie rozmawia. Nie je, nie pije. Żyje tym, co zje i czego napije się w alkwie padyszacha.

Dżanfedy wcale to nie obchodziło, ale starała się sprawić wrażenie, jakby ją to bardzo zmartwiło.

– Co zrobić? Pójdę i przekażę mojej dziewczynie to, co mi powiedziałaś. Nie zamierzam upierać się na widzenie z *haseki*. – Nagle podniosła się i udała, że zamierza odejść. – Jeśli pozwolisz...

Mestane złapała ją za ramię.

– Poczekaj, moja droga. Zamieniłyśmy kilka słów, ale to mało.

„Teraz o to zapyta”, pomyślała Dżanfeda. Cały plan, całą grę ułożyła tak, żeby dojść właśnie do tej chwili.

– A co słyhać u ciebie?

Popatrzyła na zarządczynię, jakby była bardzo zaskoczona.

– Co słyhać? Co może być słyhać w pałacu sułtanki matki?

Mestane zaczęła świdrować ją wzrokiem.

– Dalej, powiedz, Dżanfedo, kim jest ta dziewczyna.

– Dziewczyna? Jaka dziewczyna? Pytasz o tę rodaczkę Ahter?

– Wiesz, o kogo pytam. O dziewczynę, która nie rozstaje się z czcigodną sułtanką matką. O dziewczynę, którą chroni pod skrzydłem i ukrywa przed złym spojrzeniem.

Dżanfeda postanowiła dalej odgrywać swoją rolę. Patrzyła pustym wzrokiem, jakby nie rozumiała.

– Nie udawaj, Dżanfedo. Wiesz, o kogo pytam. Ładna jest?

Od siedzenia na piętach nogi zaczęły jej drętwieć. Zaplotła je. Długo poprawiała

szarawary, żeby jeszcze bardziej rozpałić ciekawość Mestane. W końcu uniosła głowę i spojrzała w przebiegłe czarne oczy kobiety.

– Czy jest ładna? – szepnęła. – Ładna? Co to za słowo, Mestane Kalfó. Ładna?

– Nie mów.

Widząc, jak kobieta mruży oczy, Dżanfeda domyśliła się, że próbuje wyobrazić sobie Safiye.

– Od tylu lat zaglądam do haremu – ciągnęła Dżanfeda. – Ale czegoś takiego jeszcze nigdy nie widziałam. Mestane, ona jest jak kropla wody. Obawiam się, że gdybym nazwała dziewczynę huryską, byłabym wobec niej niesprawiedliwa. Na tym świecie nie ma drugiej takiej.

– Opiszże ją trochę. Jest śniada? Ruda? Krępa? Mówże.

– Nie da się tego opisać, Mestane. Poza tym ani nie jest śniada, ani ruda. To blondynka. Ma jedwabiste włosy. Sięgają jej aż dotąd. – Jej ręka powędrowała do talii. – Jakie ma brwi, jakie oczy... Dobry Boże... Zadarty nos, kształtne usta. Szyi pozazdrościłyby jej łabędzie. Śnieżnobiała skóra. Pełny dekolt. Dwie aż proszące się, żeby ująć je w dłonie... Wiesz, co mam na myśli... – Przerwała i chichocząc, zawstydzona spojrzała przed siebie. – Wąska talia – dalej wymieniała walory dziewczyny. – Krągłe biodra, nawet mnie odbierające rozum... Jak mam ci to opowiedzieć, Mestane Kalfó? Ma takie nogi, że gdybyś je zobaczyła, pomyślałabyś, że to bizantyjskie kolumny. Jest prawie wzrostu Dżanfedy.

– Jest wysoka?

– Jak cyprys. Wspominałaś o wierzbowej witce. Jest dokładnie taka. Moja kalfó, ta dziewczyna ma taką sylwetkę, taki chód, pozę, spojrzenie, że nawet kamień by stopniał... Ale poczekaj... Skąd słyszałaś o dziewczynie?

Mestane spojrzała na nią uważnie.

– A czy jest ktoś, kto o niej nie słyszał? Wszyscy mówią tylko o dziewczynie u boku czcigodnej sułtanki matki Nurbanu. Podobno sułtanka każe jej ukrywać twarz pod welonem.

– Tak... To prawda. Czyż to nie grzech? Jak można okrywać tiulem taką różę?

– Dlaczego tak?

– Mówi wszystkim, że ukrywa ją przed złym spojrzeniem, przed urokami.

– Moim zdaniem ukrywa Safiye przed czymś innym.

Mestane pożałowała swoich słów, ale było już za późno.

Dżanfeda, jakby w wielkim zdziwieniu, podskoczyła, przyciskając ręce do piersi.

– Ach, a wiesz, jak dziewczyna ma na imię? Doprawdy, Mestane Kalfó, należy się ciębie bać. Nie ma rzeczy, której byś nie wiedziała. – Odetchnęła, a po chwili powiedziała: – Poczekaj... Twoim zdaniem przed kim sułtanka *valide* ukrywa dziewczynę?

– Tak tylko mi się powiedziało – próbowała wymigać się zarządczyni. – Dobrze, a czy wiesz, kim jest ta dziewczyna? Skąd pochodzi?

– Tego nie wiem. Właściwie widziałam ją tylko kilka razy, i to też przelotnie, a nie mam w zwyczaju wypytywać. Poza tym, co to za różnica? Powiem ci jedno. Drugiej takiej piękności nie ma nie tylko w stolicy, ale na całym świecie. Niech Bóg obdarzy ją

szczęściem. Mawiają, że uroda nie idzie w parze ze szczęściem. Oby los się do niej uśmiechnął.

– Amen – mruknęła Mestane pochłonięta myślami.

Nie słyszała nawet, kiedy Dżanfeda powiedziała:

– Pójdę już. Przedłużyła nam się ta pogawędka.

„A więc to tak – mówiła sobie w duchu. – Kropla wody. Drugiej takiej świat jeszcze nie widział...”.

Podpierzynka Dżanfeda wyszła ze Starego Pałacu, zacierając ręce. Widać było, że jest bardzo zadowolona. Kroczyła do czekającego na nią powozu, a wiatr rozwiewał jej płaszcz. Miała wiele do przekazania sułtance Nurbanu. Każda z nich była warta pięć lub dziesięć akcze. Była pewna, że gdy opowie, jaką minę miała Mestane, poleci do niej pełna sakiewka. Tak samo jak nie miała wątpliwości, że zarządczyni, gdy tylko się rozstały, pobiegła do padyszacha i opowiedziała mu o tajemniczej hurysce u boku jego matki.

Jednak zarządczyni skierowała swoje kroki nie do sułtańskich komnat, ale na dziedziniec odalisek. Musiała wręczyć Ahter olbrzymią perłę, którą przesłał jej sułtan, i przekazać wiadomość, że tego wieczoru też będzie czekał na nią w swojej alkwie.

Zarządczyni, z powodu swojej tuszy, szła, jakby się toczyła.

– Niewdzięcznica – burknęła. – Znów stanie przed naszym panem z tą skwaszoną miną.

Mestane nie była w stanie tego pojąć. Dlaczego wielki sułtan Murad tak bardzo chciał oglądać jej zachmurzoną twarz? Kobieta nie powinna być jedynie piękna, ale zalotna, swawolna, figlarna. Ahter nie miała żadnej z tych cech. Na co zda się sama uroda?

Czuła nieodpartą pokusę, żeby podejrzeć, co dziewczyna robi w łóżu padyszacha. Czy kiedy sułtan, zdobywszy twierdzę, uwalniał swoje życiodajne źródła, też miała taką minę i leżała pod nim jak kłoda? Zarządczyni, wiedząc, że gdyby została przyłapana, nie uszłaby z życiem, była gotowa nawet zaryzykować falakę, żeby tylko ich ukradkiem pooglądać.

Od tego pośpiechu zabrakło jej tchu. Zatrzymała się. „Masz Bihter – pomyślała. – Jest piękna i ponętna. Kiedy tak idzie, kołysząc biodrami, nawet we mnie wzbiera apetyt. Te smukłe nogi, wąska talia, krągłe biodra... I jeszcze ta biała szyja, piersi jak góry... Boże, daj mi cierpliwość”.

Machnęła głową, jakby chciała zatrzeć obraz Bihter, który stanął jej przed oczami.

Do tego dziewczyna była mądra. „Dzięki Bogu – przeszło jej przez myśl. – Nie próbuje okazywać zazdrości w alkwie. Potrafi dzielić łożę z dwiema albo trzema dziewczętami. Wystarczy jej, żeby sułtan darzył ją zainteresowaniem i mówił pochlebstwa”.

Bihter była gotowa zrobić wszystko, żeby tak było. Robiła to. Ale ta Abisynka Ahter jakimś sposobem sprawiła, że padyszach zapomniał o całym świecie. Dlaczego padyszach tak uparł się na tę Ahter, skoro ma tyle pięknych i powabnych dziewcząt?

„Co ci do tego, Mestane? – rozgniewała się na siebie. – Może nasz pan lubi tę jej czerń? Ty masz decydować o upodobaniach wielkiego sułtana?”.

Nie, ale nie mogła tego zrozumieć. Ahter nie była przecież pierwszą czarnoskórą dziewczyną w łóżu padyszacha. W haremie były też czarne odaliski, które urodziły

sułtanowi równie czarne dzieci.

„Jednak ta Abisynka zniewoliła naszego pana”, przyznała i ruszyła w dalszą drogę. Nie przeszła nawet dwóch kroków, kiedy myśl, która przyszła jej do głowy, sprawiła, że osłupiała. „Czyżby ta kobieta rzuciła urok na naszego pana?”

Dlaczego wcześniej nie przyszło jej to do głowy? Ponownie ruszyła przed siebie. To możliwe. Nie było innego wytłumaczenia tego, że padyszach nieustannie o niej myślał.

„A może sama jest czarownicą. Dlaczego nie? Na pewno”, zawyrokowała i poszła dalej.

Odaliski, które znalazły się w kręgu zainteresowania padyszacha, wiedziały, jak się zachować. Mestane też dostawała swoją dółę z klejnotów, którymi obdarowywał je sułtan, i sakiewek, które wciskał im między piersi. Dziewczęta dobrze wiedziały, że jeśli nie dadzą zarządczyni jej udziału, prędzej czy później droga do alkowy zamknie się przed nimi. Jednak Ahter nawet to nie obchodziło. Sułtan Murad był dla niej hojniejszy niż dla innych. Tyle razy przysyłał jej prezenty przez Mestane: bransoletki z brylantami i rubinami, wielkie, diamentowe brosze, perły, chińskie jedwabie...

„Biorąc dziewczynę do łóża, z pewnością też czymś ją obdarowywał”, przeszło przez myśl Mestane. Ale dziewczyna aż do dzisiaj nie dała jej powąchać nawet marnego akcze, a co dopiero klejnotów czy złota.

Bihter taka nie była. Ona miała gest. Co tydzień wciskała jej w dłoń trzy akcze. Dała Mestane nawet diamentową broszę z macicy perłowej, którą dostała od padyszacha, po tym jak miała ją kilka razy, żeby się w niej pokazać. Nawet wtedy, gdy Ahter zawładnęła sułtańskim łóżem, dziewczyna nie przestała jej obdarowywać.

„Weź tę sakiewkę i zajmij się tym, Mestane. Nie myśl, że to wszystko. Zrób to, czego chcę, żebym mogła obsypać cię złotem”, powiedziała dziewczyna. Nie miała co do tego wątpliwości. Bihter dobrze wiedziała, do czego zdolna jest Mestane, jeśli nie dotrzyma słowa. Kilka *haseki*, które tego spróbowały, na zawsze rozstało się z sułtańskim łóżem.

Doszła do schodów prowadzących na dziedziniec odalisek i zatrzymała się. Nawet te piętnaście stopni wystarczyło, żeby odebrać jej oddech. „Dobrze, Mestane – powiedziała do siebie – a co, jeśli sułtan znudził się Bihter, jeśli całkiem ją przekreślił? Co wtedy zrobisz? Przecież nie powiesz: «Weź ją do łóża, żeby nie zakręciła mi kranika ze złotem»”.

Oparła rękę na balustradzie. Nagle jej zamyślona twarz rozpromieniła się. Przymknęła oczy, a jej wargi rozciągnęły się w uśmiechu. „Jeśli się nią znudził, to trudno. Nie będziemy wylewać łez, bo Bihter nie dostąpiła szczęścia. Znajdziemy inną dziewczynę, którą wepchniemy do łóża sułtana”.

Mestane już wiedziała, kto będzie tą dziewczyną.

– Sułtanko matko Nurbanu – mruknęła z zadowoleniem, z trudem wspinając się po schodach – jeśli nie przygotowujesz tej Safiye, którą tak przed wszystkimi ukrywasz, żeby pchnąć ją do łóża swojego syna, to nie nazywam się Swatka Mestane. Jeśli nie taki masz plan, obetnę te włosy i będę chodziła po haremie jak chłopak.

Jej ręka bezwiednie powędrowała pod chustę.

– Chociaż nie zostało mi już za wiele włosów, które mogłabym obciąć. –

Uśmiechnęła się do siebie, dotykając głowy. – Niech będzie, jak chcesz, sułtanko.
Mestane ci pomoże.

XVI

W mdłym świetle pojedynczej świecy papierowej latarni, którą trzymała Meleknaz, przez nikogo niezauważone przemknęły pod mury. Sułtanka matka Nurbanu czuła, jakby jej serce ugrzęzło między kamieniami. „Ile lat minęło?”, nieustannie powtarzała w duchu. Ile lat minęło, odkąd widziała go po raz ostatni, odkąd ostatni raz do niego poszła?

Na chwilę zawładnęły nią wspomnienia. W jej głowie to pojawiała się młoda odaliska śpiesząca wzdłuż szemrzącego potoku w zagajniku pałacu bejlerbeja w Seruhanie, to sułtanka biegnąca mrocznym korytarzem Nowego Pałacu na miejsce sekretnej schadzki. Razem uczynili z księcia Selima sułtana Selima. Dopóki Selim na nowo nie oddał się figlom z haremowymi odaliskami, udało jej się panować nad sercem, ciałem i myślami. Jednak w końcu nadszedł czas, gdy pragnienie pokonało strach i wierność. Nie mogła dłużej opierać się wezwaniu iskier w jego czarnych oczach, które patrzyły na nią między bujnymi rzęsami.

Na wspomnienie tego, co przeżyli, przyśpieszyła, czując dreszcz rozkoszy. Meleknaz ledwo za nią nadążała, ale nie zważała na to. Przed oczami przemknęły jej dni, kiedy pytała, co oprócz śmierci może pokonać miłość. Znała już tę gorzką odpowiedź. Było coś innego oprócz śmierci, co mogło zwyciężyć miłość: *zdrada!*

– Co takiego chce powiedzieć nam Kara Pasza? – zapytała podążając za nią damę dworu, nie oglądając się.

– Nie wiem – wydyszała za nią Meleknaz.

Nurbanu nagle się zatrzymała.

– Nie mogłaś go podpytać, Gabriello?

Kiedy dziewczyna spojrzała na nią z niedowierzaniem, zdała sobie sprawę, jak nedorzeczny był ten zarzut.

– Masz rację – powiedziała i ponownie ruszyła w drogę. – To głupie. Przecież nie możesz przesłuchiwać wielkiego bejlerbeja.

Kiedy dotarły do przystani, którą wykorzystywała do potajemnych spotkań, przywarła plecami do ściany i próbowała złapać oddech. Nagle usłyszała uderzenia wiosel o wodę. Zbliżała się jakaś łódź. Po chwili ujrzała go. Wyglądał jak olbrzym, siedząc samotnie w łodzi. Ostatni raz pociągnął za wiosła, które trzymał w swoich silnych rękach. Łódź sunęła po falach. Kiedy Nurbanu poruszyła się w cieniu dachu, w którym się kryła, wiosłarz wyprostował się. Delikatnie odgarnęła do tyłu czarny tiul okrywający jej twarz. Boże... To on. Miała wrażenie, że braknie jej tchu.

Patrząc na mężczyznę, poczuła, że on też myśli to samo, że jemu też zaparło dech. A może tylko chciałyby, żeby tak było.

Był tak samo potężny i imponujący jak w dniach, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy. Z powodu nakrycia głowy nie widziała jego włosów. Jednak... jednak... czarne rzęsy przesłaniające oczy niczym okiennice jakby przyprószył śnieg. Mimo wszystko zauważyła, że z oczu mężczyzny wciąż tryskają tysiące iskier. Iskry osaczające ją, pałace, wciąż pozostały takie same. Modliła się, żeby nie zauważył, jak drży.

Mężczyzna czekał, dopóki łódź nie wślizgnęła się na piach.

– Moja sułtanko – szepnął.

„Czy ten jękliwy, błagalny głos wydobył się z tego potężnego ciała?”, pomyślała Nurbanu.

– Podobno macie nam coś do powiedzenia, paszo. – Tak bardzo chciała, żeby jej głos brzmiał chłodno, ale czuła, że niezbyt jej się to udało. – Czego chcesz?

Nawet jeśli Nurbanu nie była zadowolona z efektu, chłód w jej głosie wstrząsnął mężczyzną.

– Trwałości zdrowia i panowania królowej roztaczającej boskie światło.

Zdziwiła się.

– Wezwalesz nas tutaj, żeby to powiedzieć, paszo? Nasze zdrowie i panowanie są wieczne, nawet bez modlitw Kara Mustafy Paszy. Nie musicie się oba...

– Nurbanu!

Jękliwy, błagalny szept, który usłyszała przed chwilą, nagle zamienił się w ten głęboki, silny, przyprawiający jej serce o drżenie, męski głos, który po raz pierwszy usłyszała w zagajniku w Seruhanie.

– Na twoim miejscu nie byłbym tego taki pewien.

Co?!

Jej uwaga się rozproszyła. Jej myśli skupiły się na czymś innym niż obawie, którą wyraził mężczyzna. Ach, gdyby milion razy powiedział do niej „Nurbanu”, nie miałyby dość. Nikt nie wypowiadał jej imienia tak pięknie, z głębi serca jak Kara Pasza.

– Nurbanu... Nurbanu... Moja sułtanko... Nurb...

Dopiero gdy po raz trzeci wymówił jej imię, udało jej się wyzwolić ze wspomnień.

– Czyżbyś o czymś wiedział, paszo?

Mężczyzna wysiadł z łodzi. Podeszedł i stanął tuż przed sułtanką matką. Ich spojrzenia się spotkały. Pomimo ciemności oboje dojrzeli płomień w swoich oczach. Nurbanu bezwiednie powtórzyła pytanie:

– Czyżbyś o czymś wiedział, paszo?

Ostatnie słowo z trudem wydobyło się z jej ust. Toczyła w sobie walkę, żeby nie zarzucić ramion na szyję mężczyzny.

– Powstrzymaj go.

Wiedziała, kogo miał na myśli bejlerbej Erzurum Kara Mustafa Pasza.

– Powstrzymaj go. Kocioł buntu wrze.

Czy był ktoś, kto by o tym nie wiedział?

– Gdybyś chciał nam powiedzieć tylko to, nie trudziłbyś się tu o tej porze.

Nagle oczy Kara Mustafy Paszy jakby przesłoniły chmury. „Ach – powiedział w duchu – gdybym tylko mógł wyznać to, co mam w sercu. Gdybym mógł paść przed tobą na kolana, a jeśliby to nie wystarczyło, żeby przebłagać twoje serce, które kiedyś złamałem, wyrwać serce z piersi i rzucić ci je do stóp...”

Sułtanka *valide* zauważyła, że mężczyzna próbuje wziąć się w garść, przygryzając wargi. „Zestarzał się – pomyślała. – Zmizerniał. Ale wciąż jest przystojny”.

– Może wybuchnąć powstanie.

Nurbanu zrobiła coś, czego się nie spodziewał. Nagle chwyciła go za nadgarstek i pociągnęła pod mur.

– Przybyłeś tu, żeby snuć przypuszczenia, Mustafu? – wydyszała.

Po wielu latach po raz pierwszy zwróciła się do niego po imieniu. W jego oczach pojawił się błysk.

– My też o tym wiemy – mówiła dalej. – Powiedz nam coś, czego nie wiemy. Istnieje jakiś spisek?

Kara Mustafa Pasza kiwnął głową.

– Tak.

– Kto?

– Nie pytaj mnie o imiona.

– Kto, Mustaf? – Głos sułtanki matki przeciął powietrze jak nóż. – Kim są zdrajcy knujący spisek przeciw sułtanowi, próbujący wzniecić bunt?

Tym razem to Kara Pasza ujął nadgarstek ukochanej kobiety.

– Wszyscy. Wszyscy w otoczeniu sułtana.

Ogarniał ją przyprawiający o drżenie czar spotkania, które przewiało popioły spowijające wspomnienia i ogień miłości, a wydobyło na wierzch żar. Nurbanu z niedowierzaniem i gniewem wyprostowała ramiona i ze złością wyrwała nadgarstek z ręki mężczyzny.

– Wszyscy? – Jej oczy płonęły. – Ty też, paszo?

Kara Mustafa Pasza pochylił głowę. „No dalej – mruknął do siebie. – Mów. Opowiedz jej, co się wydarzyło tamtej mglistej nocy w lesie”.

Kiedy mężczyzna, z którym się spotkali, powiedział: „Idź przodem, Kara Paszo”, zrozumiał, że nie udało mu się oszukać spiskowców. Był pewien, że zastawili na niego pułapkę. Być może rozkazali komuś, żeby odebrał życie temu, kto wyjdzie jako pierwszy. Co było prostszego niż odebranie życia podstarzałem bejlerbejowi w przebraniu pośrodku ciemnego lasu?

„Jest coś, czego nie wzięli pod uwagę”, powiedział w duchu, zanurzając się w mgłę. Tym podstarzałym bejlerbejem był Lala Kara Mustafa Pasza. Niech przyjdą tu ci zdrajcy. Niech przyjdą i przekonają się, jakie cięgi sprawi im Kara Pasza.

I przyszli. Dokładnie wtedy, gdy wyszedł na polanę, w najgłębszym miejscu lasu. Każdy z nich wynurzył się spośród drzew niczym demon. Oczywiście pasza przypuszczał, że właśnie tam zastawili zasadzkę. „Na ich miejscu właśnie tu przypuściłbym atak”, pomyślał, wyczuwając oddech bandyty ukrywającego się za pnem platanu. Jedyne, co dało się słyszeć, kiedy poczuł cios w kark, to odgłos łamanych kości i szum krwi wytryskującej z przerwanej tętnicy szyjnej. Mustafa przywarł do zwłok i czekał, aż drugi zamachowiec zdradzi swoją pozycję. Nie trwało to długo.

– Widzisz coś? – wyszeptał czający się za drzewem dokładnie naprzeciwko niego.

– Chyba tak – odezwał się cicho.

– Po której stronie?

– Po lewej. Trochę na północ. Przez tę przeklętą mgłę nie wiadomo, czy to człowiek, czy zwierzę.

Później przemieścił się z zaskakującą prędkością jak na jego wiek. Zobaczył, jak mężczyzna wynurza się zza drzewa. Ciało, napięte jak cięciwa łuku, nagle wystrzeliło. Tym razem rozplątał ciało wroga od ramienia do żołądka. Mężczyzna z przerażeniem spojrzał na swoje odsłonięte wnętrzności. Noc przeszył przeraźliwy krzyk. Siedzące na

gałęziach ptaki zerwały się w popłochu. Po chwili odgłosy skrzydeł ustały.

Nie musiał szukać trzeciego. Bandyta, usłyszawszy krzyk towarzysza, z furją rzucił się na niego. Kiedy spał się, żeby przyjąć pierwszy cios, zahaczył o coś nogą i przewrócił się na plecy. W powietrzu zobaczył błysk buzdyganu¹⁶ oprawcy ogarniętego żądzą zemsty i przekonaniem o łatwym zwycięstwie. W ostatniej chwili udało mu się podnieść ramię. Mężczyzna, niespodziewający się tego ruchu, zadrżał na dźwięk głosu przypominającego ryk. Buzdygan na moment zawisł w powietrzu i opadł. Bandyta chwycił za stal, jakby chciał wyciągnąć ją z ciała po tym, jak bejlerbej zadał mu cios w żołądek.

– Diabelskie nasienie – wydusił z siebie, powalając się na niego. – Nie, bękart Jovovicia z Sokolac.

Ale na co by się zdało, gdyby opowiedział o tym Nurbanu, wykrzyczał jej zapewnienia o swojej wierności? Nie było na to czasu. Wokół niej, podobnie jak wokół padyszacha, krąg się zacieśniał.

W końcu wyszeptał:

– Wysłali mnie jako posłańca. Ta sprawa zakończy się tak czy inaczej. Pochłonę wiele dusz.

– Ha! – prychnęła Nurbanu. – Z jakiegoś powodu wcale nie jestem zdziwiona. Zdrada leży w naturze Kara Paszy. Czy to nie ty zdradziłeś księcia Bajazyda, któremu niegdyś służyłeś, a później kobietę, której przysięgałeś: „Szaleję za tobą. Na jeden twój rozkaz podpale cały świat”.

Pasza milczał przez chwilę.

– Mów, co chcesz... Mów, co chcesz, żeby ukoić swój gniew, jeśli to ocali od zatracenia naszego pana, jego życie, panowanie i całe Imperium Osmańskie, ale powstrzymaj go. Tylko ty możesz go zatrzymać.

Nurbanu nawet nie słyszała tego, co mówił. Nieustannie powtarzała w duchu: „Podaj mi imiona, Kara. Podaj mi imiona, żebym mogła stłumić ten spisek. Uderzę na zdrajców niczym błyskawica i odbiorę im ich nędzne życia, a ścierwa rzucę psom”.

– Wielki wezyr pasza też? – zapytała niepewnie.

Jeśli Sokollu Mehmed Pasza też należy do tego układu, to znaczy, że wszystko skończone. Komu miała ufać? U kogo szukać schronienia?

– Nie.

Nurbanu uspokoiła się nieco, usłyszawszy, że jej zięć nie knuje ze zdrajcami, ale mężczyzna mówił dalej:

– Jednak nie wiadomo, jak długo to potrwa. Sama dobrze wiesz. Syn mojego stryja nie opowie się po żadnej ze stron, dopóki nie będzie wiedział, kto zwycięży. Na razie czeka. Nie przejdzie do działania, dopóki sam nie będzie miał korzyści z udziału w spisku.

– Korzyści? Jakich korzyści, paszo?

Lala Mustafa Pasza nie patrzył jej już w oczy, ponieważ kiedy to robił, nie mógł zebrać myśli. Przed laty było tak samo. Cokolwiek postanowił, oczy Nurbanu sprawiały, że czynił coś dokładnie przeciwnego.

– Korzyści... – zaczął powoli. – Jeśli, nie daj Boże, coś się stanie naszemu panu, czy jest prawowity książę z rodu Osmana, który stanie przed czcigodnym sułtanem

Eyüpem i przypasawszy szablę, zasiądzie na tronie imperium? A może sądzicie, że wojsko okaże posłuszeństwo jednemu z owoców trwającej jedną noc miłości sułtana? Wiesz, co mówią janczarzy i spahisi w koszarach, *levenci* i marynarze w swoich kwaterach?

Nurbanu nie była w stanie nic powiedzieć. Nie chciała też tego słuchać.

– Ja ci powiem – ciągnął Mustafa Pasza. – To mówią żołnierze o wnuku sułtana Sulejmana Chana, synu padyszacha: „Bękart Murada Chana, który zamiast stanąć na czele armii i ruszyć na *giaura*, wyrusza na podboje do łóż odalisek, nie należy do rodu Osmana. W morzu aż roi się od zwłok dzieci spłodzonych przez sułtana. To jest ród Osmana? Nie należy chylić głowy przed tym, kto nie należy do rodu Osmana, i okazywać posłuszeństwa”. Są nawet tacy, którzy chcą, żeby czcigodny szejik islamu wydał taką fatwę.

Słowa mężczyzny przeszły sułtankę matkę jak pocisk.

Pasza zauważył, jak bardzo jego słowa wstrząsnęły Nurbanu, ale musiał jej to uzmysłowić.

– Nie sądzcie, że to słowa wroga. Przyjaciel mówi prawdę, nawet jeśli jest gorzka. Co będzie, jeśli dzieci, które urodziły naszemu panu odaliski, nie zostaną uznane jako członkowie rodu Osmana? Tron pozostanie bezpański? Czy gdziekolwiek na świecie kiedykolwiek tron pozostał pusty? Jeśli nie będzie to ród Osmana, to Sokollu albo jeszcze inny. Ród tego, którego szabla jest ostrzejsza i ma więcej siły, pasji i pieniędzy, przejmie panowanie w państwie.

„Głos moich koszmarów”, zadrżała ze strachu Nurbanu. Kara Pasza w kilku zdaniach opisał wydarzenia, które kobieta niemal każdej nocy widziała w swoich koszmarach.

W snach, które ją dręczyły, rebelianci szli na pałac, przeszzywali szablami każdego, kto stanął im na drodze, i zabijali Murada. Raz na tron wstępował Sokollu Mehmed, a następnym razem jakiś inny pasza. Ale ktokolwiek zasiadał na tronie, jego pierwszy rozkaz brzmiał następująco: „Niech przyniosą nam głowę sułtanki *valide*. To grzech, żeby żyła matka, która urodziła Imperium Osmańskiemu takiego syna”.

Nurbanu wielokrotnie zrywała się w nocy z krzykiem, kiedy kaci z jej koszmarów wchodzili do jej komnaty z tłustymi powrozami i przerażającymi buzdycanami.

Powoli uniosła głowę i spojrzała na mężczyznę.

Mustafa Pasza poczuł, że ogień w oczach kobiety przenika jego serce.

– Nurbanu – szepnął – zatrzymaj go. Ocal sułtana.

Lala Mustafa Pasza powoli wyciągnął rękę i obrócił do siebie twarz Nurbanu. „Boże – westchnął w duchu – wciąż jest taka piękna”. Na chwilę ich oczy się spotkały.

Sułtanka matka wiedziała, że jedno spojrzenie mówi więcej niż tysiąc słów, ale nie przypuszczała, że aż tak wiele. W oczach Kara Paszy było wszystko: miłość, pragnienie, błaganie o przebaczenie. Nurbanu miała wrażenie, jakby w jej piersi jakiś ptak zerwał się do lotu.

Kara Pasza przez chwilę miał zamiar ją objąć. Zdała sobie sprawę, jak bardzo jest na to gotowa, a nawet głodna. Kiedy ramiona mężczyzny opadły bezradnie, poczuła w sercu piekący ból.

– Jak mam go ocalić, *mój Kara*?

Mustafa odwrócił się, a na jego twarzy mieszały się cierpienie i radość. Przez jakiś czas patrzyli na siebie w milczeniu. Później przyciągnął do siebie Nurbanu.

– Chodź – szepnęła. – A teraz uważnie mnie posłuchaj.

I opowiedział jej plan, który obmyślał od wielu tygodni. Kiedy skończył, w oczach mężczyzny żarzyły się iskry.

Nurbanu starała się przyswoić plan Kara Mustafy Paszy. Był niebezpieczny, ale nie mieli innego wyjścia. Coś jednak nie dawało jej spokoju.

– Czy to nie ty dopiero co powiedziałaś, że Mehmed Sokollu stanie po stronie tego, kto zwycięży?

– Zgoda – powiedział mężczyzna. – To my wygramy. Syn mojego stryja jest chciwy, ale jest też niewątpliwie mądry. Wie, że chciwość, która zagłusza rozum, prowadzi do klęski. Pokaż mu, że ty masz żelazną wolę i potęgę, której brakuje sułtanowi. Jeśli zrozumie, że podniesiesz się z tego, nie zrobi fałszywego kroku. Zrobi, co mu każesz.

Zamilkł na chwilę. Zerknął na Nurbanu spomiędzy rzęs.

– Jego nazywają Mehmed Sokollu, nas zaś Kara Mustafa Sokollu. Powiedz swojemu zięciowi, żeby *dwaj Sokollu choć raz stali się jednym sercem, jednym głosem, jedną wolą i jedną pięścią. Nie chcę tego ja czy ty, ale Imperium Osmańskie. Jeśli dwóch Sokollu stanie się jednością, stłumimy ten spisek.*

„Czy to takie proste jak mówienie o tym? Czy Murad się na to zgodzi?”

– A jeśli sułtan się nie zgodzi?

– Wówczas postawimy go przed faktem.

– Kiedy zaczniemy działać?

– Zastawimy pułapkę i poczekamy, aż zdrajcy przejdą do czynów.

– A jeśli wtedy będzie za późno?

Nagle naszła ją przerażająca wątpliwość: „A jeśli to pułapka? Jeśli Kara Mustafa znów mnie zdradza? Dobry Boże, dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałam?”

Kara Pasza odwrócił się i ruszył w stronę morza. Doszedł do łodzi obmywanej przez fale. Mimo swojego wieku wskoczył na pokład.

Nurbanu płonąca wzrokiem patrzyła na mężczyznę sięgającego po wiosła. Ich oczy jeszcze raz się spotkały. Kara Mustafa wyczytał wątpliwość w oczach kobiety, którą tak beznadziejnie kochał i której nie potrafił wyrzucić z serca.

– *Zaufaj mi* – odezwał się cicho. – Pozwól mi go ocalić. Poza tym najwyższy czas, żebyś pokazała tę dziewczynę.

„Co?!”. Nurbanu zamarła. Skąd Kara Mustafa wiedział o Safiye?

Na chwilę zapadła cisza. Oboje rozejrzeli się, żeby sprawdzić, czy nikt nie może ich usłyszeć. Oprócz gwiazd i morskich fal nie było innych świadków. Nurbanu nie była w stanie dostrzec w oczach mężczyzny niczego prócz oddania i miłości. W jej głowie odbijały się echem słowa Mustafy: „*Zaufaj mi. Pozwól mi go ocalić*”.

Wiosła uderzyły o wodę. Kara Pasza niemal zniknął w ciemnościach.

– Dziewczyna nie jest jeszcze gotowa. Boję się.

Plusk wioseł o wodę ustał.

– Dlaczego?

– A jeśli jej się nie uda?

– Czy twoja synowa nie jest również Baffo? *Córom Baffo* zawsze się udaje. Sądzę, że ty najlepiej o tym wiesz, Cecilio.

Wiosła znów się zanurzyły, wydając radosny plusk. Kara Pasza zniknął jej z oczu.

XVII

Kiedy otworzyła drzwi na dziedziniec odalisek, uderzyły ją rozmaite zapachy kobiet, wrzawa dziewcząt przekrzykujących się nawzajem i zgiełk płaczących dzieci. W przeciwieństwie do krzyków synów i córek padyszacha głosy odalisek w jednej chwili zamilkły. Nawet gdyby nie uniosła głowy, wiedziała, że wszystkie spojrzenia skierowane były na nią. Każda czekała, aż powie: „Ty. Nasz pan oczekuje cię tego wieczoru”.

Chociaż słyszała, jak każda grupa odalisek, którą mijala, złorzeczy jej i przeklina, nie zważała na to. Przywykła do tego. Właściwie przyznawała im rację. To normalne, że złościły się na kogoś, kto odbierał im nadzieję. Szczególnie że te dziewczyny, nie dzień lub dwa, ale całymi tygodniami, a nawet miesiącami czekały, aż Mestane wskaże je palcem i powie: „Ty”.

Kiedy zbliżała się do popielejącego paleniska drugiej grupy, czuła na sobie pytające spojrzenie Bihter. Próbowwała minąć ją bez słowa, ale to jej się nie udało. Oczywiście dziewczyna oczekiwała czegoś w zamian za swoje akcze.

– A co to, Mestane? Nie przywitasz się?

Wszystkie odaliski wiedziały, że Bihter chce przez to zapytać: „Nie ma żadnych wieści od naszego pana?”. „Jeśli dla Bihter nie ma wiadomości, może będą dla nas”, żywiły nadzieję.

– Śpieszy mi się – powiedziała Mestane i poszła dalej. – Nie mam głowy, żeby myśleć o przywitaniach. – Zatrzymała się na chwilę. Czuła, że winna jest dziewczynie jakieś wyjaśnienia. – Wczoraj nie miałyśmy sposobności. Teraz zaś mam coś do zrobienia. Jednak jutro przyjdę wcześniej i trochę porozmawiamy, dobrze?

Oznaczało to: „Jeszcze nie rozmawiałam z padyszachem w twojej sprawie. Zrobię to wieczorem. Jutro czekaj na wiadomość ode mnie”. Jednak Bihter nie zamierzała zadowalać się pustymi obietnicami.

– Nie daj zbyt długo na siebie czekać, zarządczyni. My też zapominamy o tych, którzy zapominają o nas.

„Co za świnia – zachnęła się Mestane. – Jeszcze mi grozi”.

Przyśpieszyła kroku.

– Nie zapomnę, nie zapomnę. Mestane o niczym nie zapomina.

Teraz już wszystkie wiedziały, dokąd zmierza. Była pewna, że każda z odalisek przeklina ją w duchu: „Przeklęta. Znów idzie do tej czarnej żmii. Nasz pan znów wzywa do siebie tę Ahter”.

Cisza, która na ten czas zapanowała na dziedzińcu odalisek, rozproszyła się. Dziewczęta ponownie zaczęły plotkować. Wśród głosów Mestane usłyszała syk Bihter:

– Jeśli nie zmiażdżycie jej głowy, żmija wciąż będzie się wila. Jeśli nie chcecie, żeby ukąsała, ukręćcie jej łeb.

Mestane kierowała się do końca westybulu. Zgodnie z tym, czego się spodziewała, drzwi do izby Ahter były zamknięte. Jeśli zapuka do drzwi, dziewczyna nie odpowie. Zarządczyni znajdzie ją siedzącą w ciemnościach, z plecami opartymi o ścianę. Tak było każdego dnia.

Zatrzymała się przed drzwiami. Na chwilę odwróciła głowę i zobaczyła, że

wszystkie dziewczęta znajdujące się na dziedzińcu patrzą na nią.

– No dalej! – zawołała jedna z nich. – Przekaż dobre wieści. Niech czarna wiedźma się ucieszy.

„Zatem one też to zrozumiały”, przeszło jej przez myśl. Jej wątpliwości wzrosły. Ta Abisynka z pewnością jest czarownicą. Kto wie, jakich czarów użyła, żeby zniewolić wielkiego padyszacha.

Wsunęła włosy do kieszeni szarawarów i ujęła w dłoń wielką perłę, którą padyszach przesłał dziewczynie. Tym razem postanowiła zrobić coś innego niż zwykle. Bez pukania wkroczyła do izby.

Kiedy z widnego dziedzińca pośpiesznie weszła do pokoju, w którym okiennice były zamknięte, przez chwilę nic nie widziała.

– Ahter – odezwała się, nie oczekując odpowiedzi. – Dziewczyno, przyniosłam ci wieści od czcigodnego sułtana.

Nie rozległ się żaden głos. Jeszcze przez chwilę stała nieruchomo, żeby jej wzrok przyzwyczał się do ciemności.

– Nasz pan przesłał ci prezent. „Wygląda blado przy naszej gwieździe, ale niech go przyjmie”, powiedział i przesłał ci taką perłę, że – przysięgam – jest większa niż twój kciuk.

Dziewczyna milczała. Wzrok Mestane przywykł już nieco do mroku. Najpierw spojrzała na ścianę po prawej stronie. Ahter tam nie było. Później odwróciła się w lewo. Tam też było pusto. Kiedy próbowała dojrzeć coś za paleniskiem stojącym na środku izby, zauważyła, że łóżko wciąż jest niepościelone. „Ta wiedźma wciąż śpi. Nie jest bez racji. Niełatwo jest do rana spędzać czas w łóżu padyszacha. To igrasz z lwem, to z sułtanem Muradem”.

Starając się nie potrącić paleniska, skierowała się do okna naprzeciwko, żeby otworzyć okiennice.

– Dalej, wstawaj, moja śliczna. – Miała nadzieję, że jej głos zabrzmiał wystarczająco słodko. – Czcigodny padyszach już płonie z tęsknoty za tobą. Tylko ty możesz ugasić ogień trawiący naszego pana, moja kochana.

Oparła kolano na sofie i z trudem sięgnęła do okiennic zasłaniających okno. Światło wlało się do pokoju przez kratę. Kiedy Mestane, próbując się wyprostować, zauważyła, że dziewczyna wciąż leży, rozgniewała się.

– Od spania zapuchły ci powieki. Jeśli nie masz nic innego do roboty, zrób sobie okład.

Dziewczyna nawet nie drgnęła.

Mestane przysiadła na skraju sofie i zaszczebotała do niej przymilnie:

– Obudź się, kochana. Otwórz swoje piękne oczy. Przekąsisz coś, a ja w tym czasie każę rozpalić w łaźni. Stań przed naszym panem śliczna i pachnąca.

Ahter nawet nie zareagowała.

– Zaczynam się niepokoić.

Podniosła się z sofie i stanęła przy łóżku.

– Później będę się musiała uwijać, żeby móc cię przygotować. Mówię ci, wstań.

Nagle Mestane poczuła, że coś jest nie w porządku. Przeszedł ją dreszcz i dostała

gęziej skórki. Z wahaniem nachyliła się do łóżka. Ujęła kołdrę, którą dziewczyna nakryła się aż po czubek głowy.

– Ach, ty śpiochu – mruknęła. – Bawisz się ze mną?

Kiedy znów odpowiedziała jej cisza, szarpnęła kołdrę i odrzuciła ją aż do stóp dziewczyny:

– Wstawaj natychmiast!

„Dobry Boże!”

Mestane z przerażeniem przesłoniła usta. Krzyk zamarł jej w gardle. Łóżko było skąpane w czerwieni. Ostatnia faworyta sułtana Murada, abisyńska piękność Ahter leżała w jeziorze krwi.

Mestane najpierw zobaczyła otwarte nożycy, później krwawe, poprzeczne rany na nadgarstkach dziewczyny.

– Ahter, moja śliczna...

Nie oddychała.

Przyjrzała się uważniej. Krew, która z rąk dziewczyny popłynęła na łóżko, zaczęła już krzepnąć i ciemnieć. Pełna strachu dotknęła policzka dziewczyny wierzchem dłoni.

Była zimna jak lód. Umarła.

Ten przerażający obraz ścisnął nawet jej zhardziałe serce.

– Ach, biedna dziewczyna... Ach, biedna dziewczyna... – jęczała. – Dlaczego to zrobiłaś? Czy warto było odbierać sobie życie?

Na poduszce, zaraz przy policzku Ahter, leżała garść krótkich, kręconych, czarnych włosów ukochanego, za którym tak tęskniła, że nie mogła tego dłużej znieść. Leżały tuż przy jej ustach. Najwyraźniej, zanim poddała się śmierci, pożegnała go ostatnim pocałunkiem... Chociaż w duchu powtarzała: „Ach, nieszczęsna dziewczyno, czy było warto?”, natychmiast wzięła się w garść. Nie pora teraz na rozpaczanie.

Kiedy miała zamiar wyjść na westybul i zaalarmować wszystkich, na poduszce obok głowy Ahter zauważyła sakwę. Nie omieszkała zajrzeć do niej i przekonać się, że jest pełna klejnotów i sułtańskich sakiewek. Dziewczyna nie dotknęła niczego, czym obdarowywał ją sułtan Murad w zamian za noce pełne namiętności.

Przez chwilę nie wiedziała, co zrobić. Stała bez ruchu i zastanawiała się: „Nie wiadomo, co będzie, jeśli zostawię tu tę sakwę”. Za chwilę wpadnie tu tłum odalisek, służących i paziów i nic po sobie nie pozostawią. Najlepiej będzie ją schować”.

Mestane zamierzała oddać ją we właściwym czasie, ale w głębi duszy wiedziała, że nigdy tego nie zrobi. Po chwili wahania wypełniła kieszenie szarawarów wszystkim, co było w sakwie. Podniosła pustą sakwę i położyła na konsoli stojącej w rogu, po czym skierowała się do drzwi i je otworzyła.

– Szybko, dziewczęta! – Oparła plecy o drzwi, jakby zaraz miała zemdleć. – Biegnijcie! Szybko!

Wszyscy, którzy znajdowali się na dziedzińcu odalisek, pośpieszyli do drzwi izby Ahter. Podczas gdy ci, którzy ujrzeli krwawy obraz, krzyczeli z przerażenia, zarządczyni, która wciąż sprawiała wrażenie, jakby miała osunąć się na ziemię, złapała za nadgarstek Bihter, która właśnie przed nią przechodziła, i przyciągnęła ją do siebie.

– Przygotuj się.

Mestane Kalfa pozostawiła Bihter z radością rozświetlającą jej twarz i pobięła wzdłuż westybulu.

– Nieszczęście! Nieszczęście! Szybko... Nieszczęście! Piękna Ahter odebrała sobie życie!

Z prędkością zadziwiającą jak na taką tuszę zeszła na dziedziniec odalisek. Zupełnie jakby perły, diamenty i sakiewki ze złotem, wypełniające kieszenie jej szarawarów, tchnęły w nią nowe życie. Skierowała się do drzwi, przed którymi stał powóz, który miał zabrać ją do Nowego Pałacu. „Ty też się przygotuj, Muradzie Chanie – przeszło jej przez myśl. – Mestane podsunie ci do łóża taką dziewczynę, która owinie sobie wokół palca i ciebie, i twoją matkę. Tego wieczoru wyszeptę ci do ucha jej imię”.

XVIII

Sułtan Murad leżał na otomanie pokrytej materacem z ptasiego pierza, strząsanego kilkakrotnie każdego dnia, i jedwabnymi poduszkami.

– To niedobrze – mruknął.

Przez chwilę Mestane przestraszyła się, sądząc, że padyszach będzie wypytywał, dlaczego Ahter odebrała sobie życie.

Na szczęście tak się nie stało.

– Co my teraz zrobimy?

„Zaraz, zaraz – odezwała się w duchu Mestane. – Czyżby nie było dziewczyny, którą mógłby wziąć do łóża?”

– Przyzwyczailiśmy się do Ahter. Wprawdzie była nieco niemrawa. Jak by to określić... Nie można powiedzieć, że była zbyt radosna... Zaczęliśmy nawet myśleć, że się na nas boczy... – Padyszach poruszył się niespokojnie. – Nieważne. To grzech mówić źle o zmarłym... Niech Bóg wybaczy jej grzechy... Jednak to stało się tak nagle. Nie byliśmy na to przygotowani.

Uniósł głowę i spojrzał na Mestane. Przez jego twarz przemknął lubieżny uśmiech.

– W tej sytuacji, z kim tej nocy powinienem dzielić łóżę, zarządczyni?

Kobieta roześmiała się w duchu. Jednak miotła się, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie starczało jej odwagi.

– Mestane, byliśmy przekonani, że przyjdzie Ahter, i nikomu nie przesłaliśmy chusteczki. Co należy uczynić w tej sytuacji?

– Wasza sługa Bihter... – odezwała się cicho, po czym zamilkła, żeby przekonać się, jak zareaguje padyszach.

Sułtan Murad nie mógł odnaleźć obrazu Bihter w pamięci wypełnionej wyobrażeniami kobiet.

– Bihter?

– Bihter, panie. Piękna Bihter, bośniacka róża Bihter.

„Bihter”, powtórzył w myślach padyszach. Kiedy przypomniał sobie szczupłe ciało dziewczyny, jej długie nogi, gibką talię, obfite piersi i namiętne okrzyki, które wydawała z siebie, kiedy mu się oddawała, poczuł, że krew zaczyna mu wrzeć.

Zarządczyni, która ukradkiem obserwowała sułtana, w mgnieniu oka zauważyła zmianę na jego twarzy.

– Widziałam ją rano, kiedy tu jechałam. Wasza odaliska topnieje jak śnieg z tęsknoty za wami.

Murad bąknął coś pod nosem.

Mestane postanowiła kuć żelazo, póki gorące.

– Widać, że płonie z tęsknoty za naszym panem.

– Po czym to widać?

– Kiedy zobaczyła waszą sługę, objęła mnie za ręce i powiedziała: „Od tak dawna nie widuję naszego pana. Mam nadzieję, że cieszy się dobrym zdrowiem”.

Sułtan spojrzał na nią z zadowoleniem.

– Dobrze, ale po czym widać, że nasza odaliska płonie z tęsknoty za nami?

– Kiedy powiedziałam, że zdrowie wam dopisuje, jej pobladłe oblicze rozświetliła radość. Ja zaś, tak jak wypadało, zapytałam: „A ty, jak się miewasz?”

Kobieta umilkła. Odchrząknęła, próbując nie mówić nic więcej, dopóki padyszach sam jej o to nie zapyta. W tym samym czasie Murad wyobrażał sobie, jak Bihter płonie z tęsknoty.

– I? Jak się miewa?

Mestane zwlekała, jakby wzdbraniała się o tym mówić. Kobieta, upewniając się, że padyszach to widzi, zaczęła miąć w dłoniach ubranie.

– Mówże, zarządczyni. Dlaczego milczysz? – zniecierpliwił się sułtan.

Teraz przyszła pora na ostatnią scenę przedstawienia. Kątem oka spojrzała na padyszacha i odezwała się cicho:

– „Najwyraźniej nie ma z nas żadnego pożytku, siostró Mestane”, żaliła się Bihter. Wasza odaliska sądzi, że uczyniła coś, co zasmuciło naszego pana. „Popełniłyśmy jakiś błąd i nasz pan wyrzucił nas ze swojego serca. Od dawna cierpię z powodu tęsknoty za pięknym obliczem naszego padyszacha i jego alkową. Brakuje nam jego miłości i pochlebstw. Łóżko stało się dla nas ogrodem cierniowym. Po co mam żyć, skoro utraciłam moje szczęście¹⁷?”

Przerwała, udając, że próbuje przypomnieć sobie, co powiedziała dziewczyna. „Teraz przypomnij sułtanowi, że Bihter urodziła mu syna”, przeszło Mestane przez myśl.

– Wasza odaliska, każdego dnia spoglądając na księcia, widzi w oczach waszego syna oblicze sułtana. „Ach, siostró Mestane – jęknęła Bihter, obejmując moje dłonie – mój książę wygląda dokładnie jak nasz pan. Jego oczy, brwi... Nawet dłonie ma po ojcu. Kiedy na niego patrzę, tęsknota pali moje ciało. Najwyraźniej Bóg zapisał nam urodzenie mojemu padyszachowi tylko jednego księcia. Więcej nie było nam dane. Wykonałyśmy nasze zadanie, więc mogłybyśmy odejść z tego świata, ale boimy się popełnić grzech, pozostawiając dziecko bez matki...”

„Dość już, Mestane – napomniała się zarządczyni. – Miarkuj się w pochwałach. Bihter jest tyle warta, ile jej akcze. Głównym towarem, który masz sprzedać padyszachowi, jest Safiye”

– Bihter, tak? – Sułtan Murad pogłaskał się po brodzie. – Tak, od dawna jej nie widzieliśmy. Jak mielibyśmy pamiętać o naszej dawnej faworycie, mając u boku Ahter? Mniejsza o to, przekaż, żeby przygotowali Bihter. Przekonamy się, co ma nam do zaoferowania matka naszego księcia. Wynagrodzimy jej rozłąkę.

„I po wszystkim”, mruknęła Mestane do siebie z radością i pokłoniła się głęboko. Teraz powinna wycofać się i wyjść. Ale miała jeszcze coś do powiedzenia. „Ciekawe, jak poruszysz temat Safiye, Mestane – pomyślała. – Przecież nie powiesz: «Twoja matka ukrywa przed tobą taką dziewczynę, Muradzie Chanie, że jej podobna jeszcze się nie urodziła”

– Teraz pamiętam – odezwał się nagle padyszach. – Czy Bihter to nie ta dziewczyna, która przed przyjściem do naszej alkowy cały dzień siedziała w łaźni dla odalisek?

Mestane ucieszyła się, że zyskała na czasie. Pokiwała głową, zastanawiając się, jak nakierować rozmowę na właściwy temat.

– Wspaniale. W takim razie, na co jeszcze czekasz, Mestane? Natychmiast powiadom Bihter, żeby miała czas na wejście do łaźni.

Sułtan machnął ręką i zмирzając w stronę okna, oddał się marzeniom o gorących chwilach, które spędzi z Bihter.

Mestane trapiła się, jak zacząć. Gdyby chodziło o jakąkolwiek inną dziewczynę, natychmiast wprowadziłaby ją do sułtańskiego łóża. Ale w tym przypadku było inaczej. Dziewczyna, o której istnieniu chciała powiadomić padyszacha, znajdowała się pod opieką sułtanka *valide*. Być może kobieta, zgodnie z jej przypuszczeniami, przygotowywała Safiye, żeby podsunąć ją swojemu synowi, ale jeśli tak nie było... „Wtedy znajdziesz się w tarapatach, Mestane – bąknęła w duchu. – Ciekawe, czy uda ci się z nich wyjść”.

Kiedy padyszach odwrócił się i spostrzegł, że zarządczyni wciąż stoi na swoim miejscu, zdziwił się.

– Nie słyszałaś, kobieto? Na co czekasz? – Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl. Dlaczego wcześniej na to nie wpadł? Uważnie przyjrzał się stojącej przed nim kobiecie. – Czy masz nam do przekazania jeszcze inną wiadomość?

„Dzięki Bogu – ucieszyła się Mestane. – Mam, oczywiście, że mam”.

– Czyżbyś chciała polecić nam kogoś innego? – zapytał i utkwiał wzrok w twarzy, na której odmalowało się zadowolenie. – Czy do haremu przybyły nowe dziewczęta?

Głos padyszacha wskazywał, że chciałby, żeby tak było. Nowe twarze, nowe ciała, nowe głosy... Nowe zaloty, które rozpałyby w nim przygasający już płomień...

Z przejęcia i radości Mestane zaschło w ustach. Próbowwała przełknąć ślinę. Nadszedł czas, żeby powiedzieć o Safiye.

– Panie... – wyjąkała, opuszczając głowę.

– Panie.

Mestane drgnęła na dźwięk głosu za plecami. Był to sułtański pokojowiec. Powiernik tajemnic padyszacha. Sekretny rywal zarządczyni.

Mestane przyprowadzała dziewczęta do łóża sułtana, ale nie miała pojęcia, co działo się potem. O tym wiedział tylko sułtański pokojowiec, który tak nagle się za nią pojawił. Była więcej niż pewna, że mężczyzna ukradkiem przygląda się igraszkom, które rozgrywały się w alkowie, i przysłuchuje szeptom, które stamtąd dochodziły. Niemożliwe, żeby było inaczej, ponieważ tylko pokojowiec, Nedim Aga, mógł wejść do sułtańskiej komnaty bez pozwolenia.

„Do diabła”, zaklęła w duchu Mestane. Mężczyzna pojawił się dokładnie w tej chwili, gdy chciała rozpocząć temat. Może słyszał, co powiedziała. Możliwe nawet, że domyślił się, że chce wspomnieć padyszachowi o Safiye. Nie było miejsca, do którego nie sięgały oczy i uszy Nedima Agi.

– Czego chcesz, ago? – zirytował się padyszach. – Nie widzisz, że nie skończyliśmy jeszcze z zarządczynią?

Sułtański pokojowiec Nedim Aga stanął przy Mestane, a usłyszawszy przyganę, trzykrotnie się pokłonił, prosząc o wybaczenie:

– Wybaczenie swojemu słudze, panie. Sułtanka *valide* przesłała *sakiewkę*, którą miałem natychmiast dostarczyć naszemu panu. W przeciwnym razie nie ważyłbym się...

W jednej chwili sułtan Murad poczuł, że twarz mu płonie. Miał wrażenie, jakby krew uderzyła mu do głowy.

„Sakiewkę?!”, zawołał w duchu. Był to zaszyfrowany sposób przekazywania informacji, który ustalili z matką jeszcze w czasach, gdy był sandżakbejem. *Biała chustka w zielonej sakiewce*. Znak niebezpieczeństwa. Jeśli ktoś rozłożyłby chustkę i odczytał znajdujący się w niej liścik, nic by nie odkrył, ponieważ wiadomość matki składała się ze słów pozbawionych znaczenia. Prawdziwą wiadomością były węzły. Węzeł na jednym z rogów oznaczał: „Zbliża się niebezpieczeństwo. Bądź ostrożny”. Biała chusta z węzłami na dwóch rogach mówiła: „Śmierć stoi za progiem. Uciekaj! Ratuj się!”.

– Daj mi ją – powiedział, starając się nie zdradzać zaniepokojenia.

Nedim Aga trzykrotnie ucałował sakiewkę i przyłożył do czoła, po czym w dwóch krokach podszedł do otomany, na której siedział padyszach. Ukląkł, uniósł sakiewkę nad głowę i podał sułtanowi.

Murad odprawił ich ruchem głowy i otworzył sakiewkę. Włożył rękę do środka i sprawdził.

Dwa węzły!

Dobry Boże! Dwa węzły!

Śmierć stoi za progiem. Uciekaj! Ratuj się!

Drżącymi palcami rozwiązał jeden węzeł. Wyjął ze środka mały kawałek papieru zwinięty w rulon i zaczął go rozwijać. Natychmiast rozpoznał pismo matki.

„Ismihan czeka na wiadomość!”.

Sułtan Murad kilkakrotnie przeczytał te słowa. Dosłownie paliły mu oczy.

Znał znaczenie tego szyfru. Natychmiast zebrał się i wstał. Nagle zamarł.

– Wciąż tu jesteś, Mestane?

Zarządczyni, wycofując się w ukłonie, bąknęła coś niezrozumiale. Widziała, jak twarz padyszacha spłoszyła, a po chwili poszarzała jak popiół, kiedy usłyszał o sakiewce. „Bardzo dziwne”, mruknęła do siebie. Dlaczego sakiewka sułtanki *valide* tak bardzo przestraszyła sułtana? Co to za dziwne rzeczy? W środku była chusta z dwoma węzłami na końcach. Co było napisane na tym papierze?

Murad, zauważywszy zaciekawione spojrzenie zarządczyni, ryknął:

– Czy nie powiedzieliśmy, że masz wyjść, kobieto?! Nedim Aga posłusznie wyszedł, a ty na co czekasz?!

Teraz Mestane wyjdzie i rozpuści plotkę: „Do padyszacha przyszła sakiewka od matki. Sułtan oniemiał na widok chusty, którą z niej wyciągnął. Zerwał się z miejsca i wyszedł”, stawiając na nogi cały pałac. Tymczasem tego wieczoru musi panować cisza. Niezmałona cisza. Murad usiadł ponownie, starając się ukryć niepokój.

Zarządczyni przerażona, że padyszach się rozgniewał, poruszając się tyłem, dotarła do drzwi. Już miała ucałować próg i wyjść, kiedy Murad odezwał się nagle:

– Mestane...

Kobieta znieruchomiała, nie unosząc głowy znad progu.

– Doszły nas słuchy, że na usługach naszej matki jest dziewczyna, którą przed wszystkimi ukrywa.

Mestane myślała, że serce wyskoczy jej z piersi.

– Ty też o tym słyszałaś?

„Słyszałam”, pokiwała głową.

– Widziałaś ją?

Sułtan Murad nie mógł w to uwierzyć. Jak mógł rozmawiać o tym w takiej chwili? Biała chusta z węzłami na dwóch rogach!

„Śmierć stoi za progiem. Uciekaj! Ratuń się!”.

„Ismihan czeka na wiadomość!”.

A on siedział tutaj i rozmawiał z zarządczynią o jakiejś dziewczynie.

Mestane uniosła głowę. Tym razem wykonała nią dziwny ruch.

– Co to znaczy? – powiedział ze zdziwieniem padyszach.

Rozmawiał z nią, żeby odwrócić jej uwagę od tego, co widziała. Podjął temat dziewczyny, ale kobieta żadnym sposobem go nie rozwijała.

– Kiwasz głową, jakbyś ją widziała, a jednocześnie kręcisz nią, jakbyś zaprzeczała.

O co tu chodzi, kalso? Widziałaś czy nie widziałaś?

– Widziałam jej sylwetkę – szepnęła Mestane. – Jednak jej twarz pozostaje tajemnicą.

– My też tak słyszeliśmy. – Padyszach podniósł się, głaszcząc się po brodzie. – A jej sylwetka?

Mestane ponownie padła na próg. Oparła czoło na dłoniach i wydyszała:

– Ja nazwę ją wierzbową witką, dla mojego sułtana będzie jak krzew róży – jest tak delikatna.

– Powiedziałaś, że jak ma na imię? – odezwał się.

„Nie mówiłam”, zachichotała w duchu zarządczyni.

– Mówią, że ma na imię Safiye.

Pokłoniła się i powoli zamknęła drzwi.

Sułtan Murad wstał. Podeszedł do okna i wyjrzał na dziedziniec. Pośród ciemności latarnie w rękach patrolujących go strażników wyglądały jak ruchome kule ognie.

– Safiye? – odezwał się, spoglądając na odbicie w szybie.

„Co się dzieje, matko? Co ma znaczyć ta tajemnica? Skąd się wzięła biała chusta z dwoma węzłami? Kto próbowałby mnie zabić? Kto by się na to odważył? Czy nie wiesz, że twój syna chroni tysiąc odważnych, dobrze opłacanych dzygitów? A ten liścik? Co powie mi Ismihan? Nie ma już dnia, że wzywa mnie nocą pod mury? I jeszcze ta dziewczyna... Mestane powiedziała, że jak ma na imię? Safiye. Wierzbowa witka, krzew różany Safiye. Kim jest ta dziewczyna? Dlaczego trzymasz ją w sekrecie? Dlaczego przed wszystkimi ukrywasz jej twarz?”.

Nagle poczuł, że brakuje mu powietrza.

– Węzeł na węzle – odezwał się. – Przekonamy się, czy rozwiążemy węzły tajemnicy.

Podeszedł do kominka. Jego ręka zaczęła błądzić po zielonych i niebieskich kafelkach połączonych ze ścianą. Nagle kominek obrócił się bezgłośnie. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że będzie korzystał z tego tajemnego przejścia, które kazał wykonać na skutek nalegań matki i szwagra.

W wejściu ukazał się jakiś olbrzym. Płomień pochodni, którą trzymał, oświetlał

tunel ciągnący się do bezkresnych podziemi pałacu. Sułtan Murad bez zastanowienia wszedł do sekretnego przejścia obok patrzącego na niego olbrzyma.

– Idź przede mną, Ferhadzie – odezwał się do mężczyzny, chociaż wiedział, że go nie usłyszy.

Drzwi zamknęły się za nim.

Poruszając się w świetle pochodni trzymanej przez głuchego i niemego strażnika, szaleńczo powtarzał w duchu: „Śmierć stoi za progiem. Uciekaj! Ratuń się! Ismihan czeka na wiadomość!”.

Później jego myśli powędrowały ku dziewczynie, którą matka ukrywała nawet przed nim. Najpiękniejsza z pięknych Safiye. Świętsza niż życie, czystsza niż woda Safiye... Safiye...

Przez chwilę myślała, że to sen. Ktoś siedział przy jej łóżku. Popatrzyła, przecierając oczy. Nie mogła w to uwierzyć. Czy cień siedzący przy jej łóżku to naprawdę ona?

– Kuzynko?

Chociaż Safiye wiedziała, że kobieta bardzo denerwuje się, kiedy nazywa ją kuzynką, wymknęło jej się to.

Jednak tym razem Nurbanu nie zwróciła na to uwagi. W mdłym świetle pojedynczej świecy – pozostałe zgasła, kładąc się spać – niedokładnie widziała twarz kobiety, ale zauważyła, że przyłożyła do ust palec wskazujący.

– Ciiii...

Safiye wydawało się, że w oczach starszej kuzynki tańczą świetliki.

– Stało się coś?

– Wstań.

Natychmiast zaczęła się podnosić.

– Stało się coś?

Kobieta pokręciła głową w ciemnościach.

– Nie, ale się stanie.

Kiedy usiadła na łóżku i obróciła głowę, światło świecy nieznacznie oświetliło twarz starszej kuzynki. Mimo że się uśmiechała, Safiye uchwyciła niepokój na twarzy kobiety.

– Co się dzieje, kuzynko? – odezwała się cicho, ujmując ręce Nurbanu między swoje dłonie. Ręce sułtanki *valide* były zimne jak lód. – Proszę, powiedz mi. Ta ciemność, cienie i cisza przerażają mnie. Co się stanie?

Tym razem Nurbanu wzięła Safiye za ręce i pogłaskała je.

– O coś cię poproszę.

Safiye zaklęła w duchu. „W tym pałacu tajemnice nie mają końca. Czy to nie mogło poczekać do rana? Czy musiała zakradać się w nocy do mojej komnaty i siadać przy łóżku, wprawiając mnie w przerażenie?”.

– O co? – starała się wydusić z siebie.

– Chcę, żebyś tej nocy była *wróżką*.

Co?!

– Wróżką, kuzynko?

– Tak, Safiye.

– Nic nie zrozumiałam.

– Nie ma tu niczego do rozumienia, Cecilio Sophio. Nie mamy zbyt wiele czasu.

Włóż tylko na siebie to, co ci przyniosłam, i chodź ze mną.

Safiye dopiero wtedy dostrzegła białą, krepową tkaninę na kolanach kobiety.

– Co to jest?

– Strój wróżki.

To, co wydarzyło się później, wydawało się Safiye niedorzeczne. Sułtanka matka Nurbanu własnoręcznie zdjęła z niej koszulę nocną i odziała w białą krepę. Safiye zadrżała, czując na skórze chłodny dotyk tkaniny. Jej piersi nagle stwardniały, ukazując się pod cieniutką tkaniną. Przez chwilę Safiye miała zamiar zasłonić je dłońmi, jednak natychmiast porzuciła tę myśl. Strój, który przyniosła Nurbanu, był tak cienki, a wycięcie dekoltu tak głębokie, że nie była w stanie niczego ukryć.

Sułtanka *valide*, zamiast odpowiedzieć kuzynce, cofnęła się o krok i spojrzała na nią. Grzebieniem wykonanym z drzewa różanego pośpiesznie rozczesała jej włosy opadające na ramiona. Rękami ułożyła jej loki.

– Tak lepiej – powiedziała do siebie. Ponownie odsunęła się i spojrzała. – Wyglądasz jak najpiękniejsza z wróżek.

– Ale... – próbowała sprzeciwić się Safiye.

– Chodź ze mną, piękna wróżko.

Nurbanu, trzymając kuzynkę za rękę, skierowała się do drzwi. Safiye nie widziała sensu pytać, dokąd się udają. Najlepiej będzie, jeśli poczeka i zobaczy, co się stanie. Najpierw tuż za drzwiami ujrzała czekającą Meleknaz. Pierwsza dama dworu dosłownie wtopiła się w ciemność. Od stóp do głów odziana była w czern. Gdyby nie białka jej oczu, nie zauważyłaby nawet, że tam jest. Meleknaz okryła jej ramiona czarną peleryną, którą ze sobą przyniosła. „Teraz ja też wtopiłam się w mrok”, pomyślała. Ciemność pochłonęła piękną wróżkę.

XIX

Kiedy sułtan Murad dotarł pod mury, oparł plecy o ścianę i próbował odetchnąć. Zaklął w duchu. Co robił tu w wilgotną i zimną noc, podczas gdy mógł teraz zatracać się w miłosnych igraszkach z piękną... Jak jej było na imię? Bi... Bi... Ach tak, Bihter. Razem z matką przed laty ustalili, że w chwili niebezpieczeństwa spotkają się w tych bizantyjskich ruinach.

„Nadejdzie taki czas, mój synu chanie, że nikt nie powinien widzieć, że się spotykamy, i słyszeć, o czym rozmawiamy”.

Zatem nadszedł taki czas.

Tajemne przejście, którego użył po raz pierwszy i o którym nie sądził, że nadejdzie dzień, kiedy je wykorzysta, prowadziło krętym tunelem od sułtańskich komnat do budki ogrodnika w zagajniku.

Najpierw szedł jego strażnik Ferhad oświetlający mu drogę pochodnią. Ściany porosły mchem. W przejściu było niewiele powietrza. Do tego okropny smród wilgoci palił człowiekowi nozdrza. Obserwował Ferhada, starając się niczego nie dotknąć. Nagle poczuł na twarzy jedwabisty dotyk. Kiedy uniósł rękę, żeby zrozumieć, co to jest, coś owinęło mu się między palcami. „Do diabła! Pajęczyna!”. Szedł dalej, ze wstrętem rozrywając rękami pajęcze sieci. Kiedy zauważył, że niektóre z nich są prawie grubości tiulu, przeszedł go dreszcz. Jak wielki musi być pająk, który utkał coś takiego? Pajęcze nici sprawiły, że włosy olbrzymiego strażnika idącego przed nim w jednej chwili jakby posiwiały.

„Natychmiast muszę stąd wyjść. Natychmiast!”.

Ale jak? Tunel zdawał się nie mieć końca. Wydawało się, że w środku było coraz mniej powietrza. Pochodnia zaczynała przygasać, roztaczając wokół siebie czarną mgłę. Oczy zaczęły go palić. Czuł, że żołądek podchodzi mu do gardła. Jego ciało drżało. Nie wiedział, czy ze strachu i z ogarniającej go paniki, czy od wilgoci w tunelu.

Po pewnym czasie Murad poczuł na twarzy chłód. Niknący płomień świecy ponownie rozpalił się pod wpływem świeżego powietrza.

– Jesteśmy – odezwał się do Ferhada. – W końcu doszliśmy. Gdybym został tu jeszcze chwilę, chyba bym umarł.

Ferhad nawet nie zwrócił na niego uwagi. Był pochłonięty paleniem pajęczych sieci ogniem pochodni. Niedługo potem doszli do ukrytych drzwi, przez które mieli wyjść przed budką ogrodnika. Nie było możliwe, żeby ogrodnik i jego pomocnicy znaleźli przejście. Drzwi można było otworzyć, tylko unosząc dźwignię znajdującą się w tunelu.

Padyszach, będąc pewnym, że o tej porze w budce, w której ogrodnicy składali swoje narzędzia, nikogo nie ma, podniósł dźwignię. Ale ta nie zadziałała.

– Niech to szlag! – burknął Murad.

Czyżby się zepsuła?

Nagle usłyszał szuranie. Był to dźwięk ocierających się o siebie kamieni. Kamienna ściana, która zagrodziła im drogę, uchyliła się ze zgrzytem na szerokość jednego człowieka.

Ferhad wystawił głowę i sprawdził, czy w budce nikogo nie ma. Później zgasił

pochodnię i zostawił ją pod ścianą. Z trudem przecisnął swoje masywne ciało przez szparę. Wszedł do budki i wyrzwał na zewnątrz. Był głuchy, ale za to jego wzrok był wyostrzony. W jednej chwili potrafił zauważyć nawet najmniejszy ruch, przeczesując panującą wokół ciemność. Upewniwszy się, że nikogo nie ma, wrócił i pomógł wyjść sułtanowi Muradowi. Tym razem padyszach dotknął innego miejsca i przejście zamknęło się ze zgrzytem.

Byli teraz w zagajniku. Ferhad wyciągnął zza pasa sztylet i ruszył przodem. Murad zawsze dziwił się, jak ktoś tak wielki mógł poruszać się tak szybko i bezszelestnie.

Dostanie się do murów bizantyjskich ruin okazało się łatwiejsze, niż przypuszczał. W pobliżu nie było żywej duszy. Miejsce spotkania, które ustalili z matką, było najbardziej odludne i strome. W murze znajdował się wyłom, który jednak był tak szczelnie zarośnięty krzewami i cierniami, że sprawiał wrażenie niemożliwego do pokonania. Tylko trzy osoby oprócz niego wiedziały, że można tamtędy przejść – jego matka, jej dama dworu i Ferhad.

Bezgłośnie wślizgnęli się do środka. Przejście wychodziło na ruiny jakiegoś ciasnego, wilgotnego pomieszczenia. Ferhad pozostał na dole. Schody poprowadziły go do najbardziej odległego i trudnego do przejścia miejsca na murach. Można było się do niego dostać tylko dzięki wyłomowi w murze. Wchodząc na górę, przesłonił ręką oczy i spojrzał w ciemną pustkę. Kiedy noc spotka się z dniem, ciemna pustka zamieni się w cud. Gdyby nie dobiegał tam szum fal, ktoś, kto o tym nie wiedział, nigdy by nie uwierzył, że przed nim rozpościera się błękitne morze.

Sułtan Murad przez chwilę miał wrażenie, że słyszy głos matki. Miesiąc lub dwa po tym, jak wstąpił na tron, Nurbanu powiedziała: „Tu nikt nas nie zobaczy i nikt nie usłyszy. Jeśli kiedyś prześlę ci liścik: «Ismihan czeka na wiadomość», przyjdiesz tutaj niezwłocznie”.

– A więc jestem, matko – bąknął. – Mam nadzieję, że to, co chcesz mi powiedzieć, jest tego warte.

Na murach nie widać było niczego oprócz ciemności.

Nagle pośród kamieni poruszyła się para kruczoczarnych skrzydeł. Na moment w ciemnościach zabłyśły ślepia sowy zaniepokojonej przybyciem padyszacha.

„O co tu chodzi? – przeszło przez myśl Muradowi. – Nie ma tu nikogo oprócz mnie. Skoro to, co matka ma mi do powiedzenia, jest aż tak ważne, czy nie mogła pomyśleć, żeby przybyć tu przede mną?”

W tej samej chwili na jego ciało wystąpił zimny pot. „Czyżby... – pomyślał. – Czy chusta z dwoma węzłami to pułapka? Czy przesłał ją wróg, który dowiedział się o szyfrze, jaki ustaliliśmy z matką? Czyżbym dobrowolnie rzucił się w ramiona śmierci?”

Safiye ledwo mogła nadążyć za dwiema kobietami idącymi przodem. W ciemnościach z trudem dostrzegała, co jest dwa kroki przed nią, a ciągnąca się po ziemi peleryna i ubranie zaczepiały się o gałęzie i kolce.

Meleknaz wyprowadziła je na wąską uliczkę na tyłach pałacu sułtanki matki. W ciszy skręciły za róg. Zatrzymały się, przywierając plecami do muru. Meleknaz w ciemnościach trzykrotnie machnęła małą latarnią. Z mgły wynurzył się powóz. Wcześniej jechała z kuzynką sześciokonnym powozem. Może dlatego teraz pomyślała:

„Mam wsiąść do tego rozpadającego się wozu ciągniętego przez jednego konia?”. Kiedy powóz zbliżał się do nich, Safiye nagle zauważyła, że końskie podkowy w ogóle nie wydają dźwięków na kamieniach. Woźnica, którego twarz była przesłonięta, ściągnął wodze i zatrzymał konie dokładnie przed nimi. Wtedy właśnie spostrzegła, że końskie kopyta i cztery koła owinięte są konopnymi workami. „Boże – przeszło jej przez myśl – dokąd zabiera nas ta kobieta?”.

Przez jakiś czas jechały w milczeniu. Stary powóz trząśnięty na boki za każdym razem, gdy jego koło natrafiło na najmniejszy kamień albo nierówność. Safiye wielokrotnie obawiała się, że spadnie na kolana Nurbanu siedzącej naprzeciwko albo uderzy głową o sufit. W końcu nie wytrzymała.

– Chcę wsiąść! Natychmiast!

Nurbanu, zamiast odpowiedzieć, obróciła głowę do okna okrytego czarną skórzaną zasłoną.

– Wsiąść? – odezwała się Meleknaz.

– Tak. Nie zamierzam zrobić ani kroku dalej, dopóki się nie dowiem, dokąd mnie zabieracie.

Dokładnie w chwili, gdy miała uderzyć w sufit, dając woźnicy znak, żeby zatrzymał powóz, stało się coś zupełnie nieoczekiwanego. Jej kuzynka, która do tej pory siedziała nieruchomo jak wykuta w kamieniu, błyskawicznie złapała ją za nadgarstek.

– Nie rób tego!

Teraz były bardzo blisko siebie. Safiye czuła oddech kuzynki na swojej twarzy.

– Dokąd jedziemy?

– Do miejsca, w które wezwał cię los. – Głos kuzynki zabrzmiał jak świst.

– Mam już dość tych głupstw, kuzynko. – Próbowała wyswobodzić nadgarstek.

Nurbanu nie rozluźniła uścisku. – Czego ode mnie chcesz?

Sułtanka matka spojrzała w oczy swojej młodszej kuzynki.

– Czeka cię mały spacer – wyszeptła jej w twarz. – Króciutki bieg w miejscu, które wskaże ci Meleknaz. – Przerwała na chwilę. – A może powinnam powiedzieć lot?

Otworzyła usta ze zdumienia.

– To jakiś żart? – Spojrzała na dziewczynę, próbując zrozumieć, czy z niej drwi.

– Najświętsza Panienko, ty mówisz poważnie.

– I to bardzo. Bardzo rzadko bywam tak poważna jak w tej chwili, dziecko.

– Bieg? Lot? Co za nedorzeczne słowa. Jaki bieg, na litość boską?

Podczas gdy Meleknaz starała się ją uspokoić, trzymając za ramiona, palce Nurbanu zaciskające się na jej nadgarstku powoli się rozluźniły. Safiye zobaczyła na twarzy kuzynki dziwny uśmiech.

– Lot wróżki, Safiye... Lot wróżki... Niedługo się rozdzielimy. Meleknaz zabierze cię w pewne miejsce. W miejscu, które ci wskaże, przebiegniesz z jednego końca w drugi, jakbyś leciała, moja piękna... Jak wróżka... To wszystko, co masz zrobić.

Murad, czekający pod murami, drżąc z zimna i ze strachu, nagle wyczuł niebezpieczeństwo. Usłyszał jakiś dźwięk. Całe jego ciało się napięło. Coś zbliżało się do niego, szurając. Próbował się ukryć, wchodząc w przestrzeń między dwiema kolumnami. Odgłos szurania za każdym razem słychać było coraz bliżej. Przyczaił się na swoim

miejscu. Jego dłoń opłotła się na rękojeści zakrzywionego sztyletu zakończonej kulą z rubinem. „Jeśli to matka, to dobrze, lecz jeśli wróg... Zapłaci życiem za próbę wciągnięcia w pułapkę potomka Osmana. Nie będzie dla niego litości”.

Czy mogło to być jakieś dzikie zwierzę, które tutaj mieszkało? Na przykład głodny wilk? „Nie mów głupstw, Muradzie – zbeształ się. – Co miałby tu robić wilk? W tych ruinach muszą być tysiące szczurów. A może nawet ogromne, jadowite węże i skorpiony”.

Przypomniało mu się, co w zeszłym tygodniu powiedziała mu wróżbiarka: „Wokół ciebie roi się od skorpionów, żmij i robactwa, sułtanie”.

„Sprawdza się to, co powiedziała stara wiedźma”, przeszło mu przez myśl.

Później dodała: „Nie obawiaj się, mój panie. Nie zrobią ci nic złego. Sułtanowi Muradowi Chanowi nie zaszkodzi ani trucizna skorpionia, ani żmii”.

„Mam nadzieję, że tak będzie”, bąknął w myślach.

Nagle dźwięk umilkł.

Ktoś – lub coś – się zatrzymał i nasłuchiwał. „Czyżby zrozumiał, że tu jestem?”, przeszło mu przez myśl.

Jeśli to, co skradało się po schodach, było zwierzęciem, musiało już dawno zwietrzyć jego zapach.

Ponownie zaczęło się poruszać.

Odgłos szurania dochodził teraz prawie z wejścia do arkadowego przejścia otwierającego się na mury.

Murad nadstawił uszu. Jakby coś ocierało się o mur. A poza tym ciche, ledwo słyszalne pobrzękiwanie.

Na czoło wystąpił mu pot. Spływające na rzęsy słone krople paliły jego oczy. Zaklął w duchu. Że też musiało się to stać właśnie teraz. Rękawem wolnej ręki próbował osuszyć oczy i czoło. Ciało miał napięte jak cięciwa łuku gotowa, by wystrzelić. Całą uwagę skupił na przejściu na mury.

Dźwięk był coraz bliżej... Bliżej... Bli...

I padyszach to zobaczył. Było kruczoczarne. Jednak był pewien, że nie jest to drapieżne zwierzę, czego się obawiał. Przez chwilę miał ochotę odetchnąć z ulgą. „Nie śpiesz się, Muradzie – ostrzegł go wewnętrzny głos. – To nie zwierzę. Ale kto? Twoja matka, jak się spodziewasz? Jeśli tak, to dlaczego się ukrywa?”.

Cień zatrzymał się tuż przy wejściu. Badał otoczenie.

W końcu pojawił się obok niego jeszcze jeden cień.

Już tu jest!

Ktoś zatrzymał się i rozejrzał dookoła.

Padyszacha przeszedł dreszcz. „Szuka cię”, odezwał się jego wewnętrzny głos.

XX

Muradzie?

Zdał sobie sprawę, że nigdy nie tęsknił tak za tym, żeby wyszeptała jego imię.

– Matko?

Sułtan Murad, nie rozluźniając ręki mocno ściskającej rękojeść sztyletu, powoli wynurzył się z kryjówki. „Nie mogę zaniechać ostrożności”, powiedział sobie.

– Matko?

– Mój synu sułtanie... *Mój sokole.*

Teraz był już pewien. To była jego matka. Tylko ona go tak nazywała. Jego ciało się odprężyło. Poczuł, że zamarznęta krew rozgrzała się i zaczęła ponownie krążyć w jego żyłach. Poczuł, że ogarnia go słodkie lenistwo. Nurbanu zrzuciła z głowy kaptur peleryny i ruszyła w stronę syna. Sułtan Murad zaś zdjął rękę ze sztyletu i postąpił dwa kroki. Kobiecie nie umknął ten ruch.

– A co to, Muradzie? Od kiedy to czekasz na matkę ze sztyletem w dłoni?

Padyszach pominął jej pytanie milczeniem.

– Co się dzieje, matko? Chustka z węzłami na dwóch rogach... Ten liścik... A do tego jeszcze spotkanie tutaj o tej porze... Skradanie się do wnuka sułtana Sulejmana, syna Selima Chana, Murada...

Sułtanka *valide* przerwała synowi, kładąc palec na jego ustach.

– Wnuk sułtana Sulejmana, syn Selima Chana jest w niebezpieczeństwie.

Ton głosu matki, wyraz jej twarzy i ogień w oczach wystarczały, żeby nie mieć wątpliwości, że niebezpieczeństwo jest wielkie.

– Natychmiast musisz to przerwać, Muradzie.

Sułtan pociągnął matkę pod mur.

– Poczekaj, matko. Co to za niebezpieczeństwo, które kazało ci sprowadzić tu wielkiego padyszacha?

– *Zabiją cię.* Nas wszystkich.

Murad, zupełnie jakby dostał policzek, szybko obrócił głowę do matki.

– Zabiją? O czym ty mówisz, matko? Kto ważyłby się podnieść na nas rękę? Poza tym...

– Uknuli spisek. Janczarzy podniosą bunt. Wrze nawet w kwaterach *leventów*, garnizonach *spahisów*, jednostkach gwardzistów. Wszyscy razem ruszą na pałac.

– Dlaczego?

Tym razem to Nurbanu się zdziwiła.

– Pytasz „dlaczego”, Muradzie? – wydyszała.

– Właśnie tak, matko. Co trapi naszych poddanych, że chcą zbuntować się przeciwko swojemu sułtanowi? Dostają za niski żołd? Co jest ich problemem?

– Ty jesteś ich zmartwieniem, synu.

Nurbanu zawahała się przez chwilę, po czym ujęła dłoń syna i ją pogłaskała.

– Gdybyś wystawił głowę z haremu i posłuchał, co się dzieje dookoła, wiedziałbyś, co jest ich bolączką. – Jej głos był spokojny, ale zdecydowany. – Zgoda, powiedzmy, że ty żyjesz w swoim świecie, lecz od czego masz *agów*, *bejów* i *wezyrów*? Żaden twój sługa

nie miałyby odwagi powiedzieć ci, jak wygląda sytuacja, o czym mówią inni, co planują i co ich razi. Od kiedy potomek Osmana stał się głuchy na głos ludu? Czy państwo niesłuchające głosu ludu może być państwem?

– Jutro też jest dzień, matko. Jutro udamy się do Dywanu i zapytamy naszych wezyrów, co mówi głos ludu, co ich razi i o czym rozmawiają.

– Za późno na to, Muradzie Chanie.

– Powiedziałyście: „Za późno”, matko?

– Tak właśnie powiedziałam, synu. Między nimi mogą być uczestnicy spisku.

Sułtana Murada ogarnął chłód.

– Matko? – odezwał się z niedowierzaniem.

„Do diabła – zaklął w duchu. – Sokollu Pasza wybrał sobie idealny czas na polowanie”. Musi natychmiast wysłać posłańca i wezwać wielkiego wezyra do stolicy. Myśl, która nagle przyszła mu do głowy, sprawiła, że poczuł ucisk w piersi. „A jeśli Sokollu też należy do zdrajców?”.

– A wielki wezyr pasza?

Musiała pozostać wierna planowi. Kara Pasza surowo jej to przykazał. Sułtan nie może znać najmniejszego szczegółu.

– Nie słyszałam o Sokollu – mruknęła Nurbanu. – Ale możliwe, że niektórzy wezyrowie przeszli na stronę zdrajców.

Sułtan Murad wyciągnął rękę z dłoni matki i odwrócił się plecami do Nurbanu. Spojrzał na ciemną pustkę rozciągającą się przed nim. Wiatr wiejący od morza targał jego brodę.

– Czego chcą, matko?

Nurbanu podeszła do niego. Położyła mu dłoń na ramieniu i delikatnie je pogłaskała. Strzała wystrzeliła z łuku.

– Mężczyzna powinien zachowywać się jak mężczyzna, a padyszach jak padyszach. Nie są przeciwko tobie, ale przeciwko życiu, które wiesz.

Murad odwrócił się ze złością. Jego oczy przypominały kule ognia.

– Czy słyszysz, co mówisz, matko? Czy tak rozmawia się z sułtanem Imperium Osmańskiego, nawet jeśli jest twoim synem? Czy my nie jesteśmy mężczyzną, czy nie jesteśmy padyszachem?

– W takim razie zachowuj się jak mężczyzna i padyszach.

– Przecież właśnie tak się zachowujemy. Czy ktoś się skarży na naszą sprawiedliwość i przenikliwość? Nie! Czy szcędzimy naszym żołnierzom wypraw wojennych? Nie! Wzdłuż granic moje wojska odnoszą zwycięstwo za zwycięstwem.

Sułtanka *valide* mimowolnie się uśmiechnęła.

– Twoi żołnierze też tak mówią.

Padyszach zauważył drwinę w głosie matki.

– Co mówią?

– Sułtan Murad w haremie dobywa miecza i zdobywa kobiety. My zaś przemierzamy konno granice, ścigając giaurów. Kto by pomyślał, że nadejdzie dzień, kiedy potomek sułtana Mehmeda Zdobywcy, Selima Groźnego i Sulejmana Chana zostanie „łózkowym zdobywcą”? – Zamilkła na chwilę. Spojrzała na syna, żeby

przekonać się, jakie wrażenie wywarły na nim jej słowa. – W końcu zmusiłeś matkę, żeby powiedziała ci to, czerwieniąc się. Chcesz usłyszeć resztę, Muradzie Chanie?

– Znowu to samo? – Murad z wściekłością odwrócił się plecami do matki.

– Znowu to samo. Wciąż to samo. Zawsze to samo. – Nagle ton jej głosu zmiękł. – Twoje łóżko stało się utrapieniem dla Imperium Osmańskiego, Muradzie. Nie widzisz tego?

– Matko!

– Wiesz, ile masz odalisek?

– Matko.

– Masz pojęcie, ilu masz synów?

– Matko!

– Masz rację. Skąd miałbyś wiedzieć? Może nawet teraz rodzi się ich kilku. Córek nawet nie liczę.

– Matko! – Murad jeszcze raz z wściekłością spojrzął na Nurbanu. – Co moich poddanych i żołnierzy obchodzi mój harem? Czy bierzemy sobie kobiety i dziewczęta z ich wsi?

Teraz nie było już odwrotu. Tej nocy mogła uratować syna albo go stracić. „Jeśli stanie się to drugie, nie będzie już potrzeby, żeby buntownicy przyszli i dokończyli to za mnie”, przeszło jej przez myśl. W jej postawie, głosie, wzroku nie może być śladu wahania.

– A co robisz? – oburzyła się. – Agowie i bejowie włóczą się po targach niewolników, żeby znaleźć ci dziewczęta. Bejlerbejowie nie chcą przyjeżdżać do stolicy. Wezyrowie ukradkiem rozprawiają o tym, ile zwłok niemowląt morze wyrzuciło o poranku. Są też leciwi wezyrowie i bejlerbejowie żalący się: „Nie po to dożyliśmy tych lat, żeby trudnić się stręczycielstwem”. Nie słyszysz tego? Nie widzisz?

Padyszach oddalił się od matki i zatrzymał się przy następnym wykuszu. Nurbanu jednak nie dała za wygraną i podążyła za nim.

– Pierwsze słowa, których nauczyłam się, kiedy przywieziono mnie z Wenecji do stolicy, to: męstwo, szlachetność, honor i cnota. Twój świętej pamięci dziad Sulejman Chan mawiał: „Moje państwo będzie polegać na sprawiedliwości, prawie, porządku, honorze i cnocie. Ten, kto będzie występował przeciw temu, zapłaci za to głową. To znamy i tak będziemy postępować”. I tak czynił aż do śmierci. A twoje państwo, Muradzie? Na czym opiera się twoje państwo?

Sułtan Murad mruknął gniewnie, ale nie odpowiedział.

– *Na kobietach* – odparła Nurbanu. – Twoje państwo opiera się na kobietach.

– Wciąż powtarzasz to samo, matko. Harem, harem, harem! Czy to nie ty dałaś mi się rozsmakować w tym nałogu? Czy to nie ty zalewałaś Seruhan odaliskami?

Nurbanu wstrząsnęła prawda, którą syn wyrzucił jej w twarz.

– Robiłam to, żeby uchronić cię przed przedwczesnym pragnieniem władzy – syknęła. – Poza tym wtedy byłeś księciem. Teraz jesteś padyszachem.

– Co chcesz, żebym zrobił? Mam wyrzec się kobiet i wycofać się z życia?

„Czyżby był to wyraz skruchy? – zastanawiała się. – Odzyskuje rozum?”

– Rozwiąż harem, Muradzie Chanie – syknęła Nurbanu bez zająknięcia. – Rozwiąż

harem. Zabierz rękę od tego, co jest niedozwolone, żyj jak należy. Daj Imperium Osmańskiemu następcę z prawego łoża.

Padyszach uśmiechnął się mimo całego gniewu.

– Moja święta matka. Czy to nie ty dopiero co złażałaś nas, pytając, ilu mamy synów? Czy ktoś dał Imperium Osmańskiemu więcej książąt niż ja?

Nurbanu pokręciła głową ze zniecierpliwieniem.

– Ogień haremu zaślepił cię. Twoje uszy stały się głuche. Stolica burzy się, szemrając: „*Nie chcemy padyszacha zrodzonego z grzechu*”. Tego też nie słyszałeś? Pytam cię: czy Imperium Osmańskie ma pochylić głowę i nazwać padyszachem owoc cudzołóstwa, którego nie będę w stanie nazwać wnukiem?

Tego było już za wiele. Murad nagle spojrzał na nią groźnie.

– Co to za zuchwałość?! To sługa ma decydować o tym, kto wstąpi na tron? Padyszachem jest ten, kogo wskaże tradycja, o którym mówi prawo. Tron należy do tego, który jest najstarszym synem.

– Kto, Muradzie? *Kto jest twoim najstarszym synem?*

To pytanie zbiło padyszacha z tropu. Próbował wymówić jakieś imię, ale nie mógł nic wymyślić.

– Boimy się, że jeśli, nie daj Boże, coś ci się stanie, będzie to oznaczało koniec rodu Osmana, ponieważ żaden z twoich synów nie jest godzien przypasać szabli i zasiąść na tronie albo twoi niezliczeni synowie poduszą się wzajemnie, roszcząc sobie prawo do tronu. Jeśli tak się stanie, państwo nie skończy z nimi wszystkimi w jedną noc? Wtedy nie wiem, czy tron przejmie Sokollu, a jeśli nie, to syn zrodzony z kobiety, którą miał przed Ismihan, a może potomek Kulawca Rüstema i Mihrimah. Przekonasz się, że jeden z twoich paszów wyciągnie rękę po tron. Ty zaś przejdziesz do historii jako sułtan, który doprowadził do upadku dynastii osmańskiej.

Padyszach oparł się łokciami o mur i spojrzał w ciemności, które wydawały się nie mieć końca. Nastąpiła przeraźliwa cisza.

– Kto mówi takie słowa? Kto rozsiewa tę truciznę? Powiedz mi, żebym mógł wyrwać im języki.

„Nadszedł czas, żeby wymierzyć ostatni cios”, powiedziała Nurbanu w duchu.

– Tę sprawę zostaw swojej matce. Sądziłeś, że pozostanę ślepa na tych, którzy patrzą na ciebie złym okiem, którzy mają czelność ci złorzeczyć? Zostały już podjęte odpowiednie działania. Jednak jeśli nie zrobisz tego, co ci powiedziałam, obawiam się, że nic to nie pomoże, chociażby nie wiadomo ile głów spadło. Spisek znajdzie nowe ujście i wybuchnie.

– Co chcesz, żebym zrobił?

– To, co mówi szariat. Żebyś kładł głowę na poduszce razem ze swoją prawowitą żoną. Tak długo, jak istnieje harem, ten ogień nie zgaśnie. Pochłonie ciebie i mnie.

– Powiedziałyście „szariat”, matko?

Niedowierzenie syna zaskoczyło Nurbanu.

– Czemu tu się dziwić? Nadszedł czas, żebyś zerwał z haremem i zaczął żyć z żoną, którą uznaje szariat. Imperium Osmańskie oczekuje od ciebie następcy z prawego, a nie grzesznego łoża. My zaś wnuka z naszej krwi, którego będziemy mogły przytulić do piersi

i który da ciągłość naszemu rodowi.

„Co ta kobieta wygaduje? – mruknął w duchu sułtan Murad. – Co układa sobie w głowie?”. Żadne słowo jego matki nie było bez znaczenia.

– Prawowita żona, tak? – odezwał się w zamyśleniu. – Dobrze, matko, ale kto?

Nurbanu nie zastanawiała się ani chwili:

– Ta, która jest ci pisana.

Nagle w głowie sułtana jakby strzelił piorun. Czyżby... czyżby... dziewczyna, którą przed wszystkimi ukrywa?

– Czy nasza matka wie, kto jest nam pisany?

Nurbanu zachichotała w duchu. „Proszę, proszę, patrzcie go, próbuje nas podpytać i znaleźć jakąś wskazówkę”.

– Skąd mam wiedzieć, mój Muradzie. Ta, którą przeznaczył ci Bóg. Wystarczy, że będziesz postępował zgodnie ze słowami matki.

– A jeśli nie spodoba nam się ta, która jest nam pisana?

– Jeśli Bóg ci ją przeznaczył, spodoba ci się.

– A jeżeli to my jej się nie spodobamy?

Nurbanu spojrzała na niego z ukosa.

Padyszach uśmiechnął się. To prawda. Czy istniała dziewczyna, której nie spodobałby się mężczyzna, który władał połową świata?

– Jeśli postąpimy zgodnie z szariatem, powstrzymamy bunt?

– Rozwiąż harem. Weź sobie żonę. Później zdecydujemy, co zrobimy z dziećmi, które spłodziłeś z innymi dziewczętami.

Murad natychmiast pojął, że matka już dawno podjęła decyzję, co z nimi zrobić.

– Kto wykona sprzątanie? – Nagle coś w nim zadrżało. – To znaczy mam na myśli zdrajców. Kto się nimi zajmie?

– Kara Pasza.

– Wiecie, że darzymy was nieskończonym szacunkiem. Jednak skąd bejlerbej Erzurum może wiedzieć, kto knuje spisek w stolicy, kto waży się podnieść bunt?

– To Kara Mustafa przekazał nam wiadomość o spisku. Ponieważ to człowiek honoru, nie zdradził nam imion, chociaż mocno go naciskałyśmy. Osobiście się tym zajmie. Ufamy mu. Lojalnie służył zarówno waszemu dziadowi, jak i ojcu. Nasz syn padyszach jest trzecim padyszachem, któremu służy.

– Matko, uważam, że powinniśmy powiedzieć o tym wielkiemu wezyrowi. Niech on podejmie odpowiednie działania.

– Pod żadnym pozorem – rzuciła Nurbanu. – Wtedy plan runie.

– Mamy powierzyć nasze życie i rządy jakiemuś *lali*?

– Nie mów, jakbyś nie wiedział. Czy to nie jemu winni jesteśmy nasze życie i nasze rządy?

– Czy to również on chce, żebyśmy rozwiązali harem i zwrócili się ku temu, co jest *helal*?

Nurbanu kiwnęła głową.

– Wydaje nam się to bardziej jak warunek niż prośba.

Padyszach splótł ręce za plecami i przeszedł kilka kroków. „Gdyby sytuacja nie

była poważna, matka tak bardzo by się nie wystraszyła”, przeszło mu przez myśl.

Nurbanu zrozumiała, że jej syn nareszcie się poddał. Najwyraźniej pojął, że nie ma innego wyjścia. W tym miejscu należało zakończyć rozmowę.

– Ja powiedziałam, co miałam do powiedzenia, Muradzie Chanie. Wykonałam matczyzny obowiązek. Reszta należy do ciebie. Jeśli podążysz drogą, którą ci nakreśliłam, i ciebie, i Imperium Osmańskie ogarnie spokój. Jeśli zaś się sprzeciwisz i będziesz trwał w grzechu, niech Bóg ma nas w swojej opiece.

Odwróciła się i skierowała do przejścia. Na chwilę się zatrzymała. Wyciągnęła ukrytą pod peleryną białą chusteczkę i wyciągnęła do syna.

– Weź ją – odezwała się cicho. – Została wyszyta dla ciebie. Jeśli postanowisz zwrócić się ku *helal*, prześlesz nam ją. My zaś wiemy, że naszemu synowi potrzebna jest piękność nad pięknosciami, z którą mógłby się ożenić. Poszukamy i znajdziemy kogoś odpowiedniego. Znajdziemy taką piękność, taką gazelę, że drugiej takiej nie ma na świecie.

Murad sięgnął po kawałek jedwabnej tkaniny, którą trzymała w dłoni. Zapach chusteczki w jednej chwili stłumił odór wilgoci pochodzący od mchów rosnących między kamieniami. Wiedział, że jego matka dawno znalazła tę dziewczynę.

– Niech Bóg ma w opiece ciebie i twoje państwo, synu.

Nurbanu odwróciła się i zniknęła w przejściu. Kiedy zebrałszy poły peleryny, schodziła ze schodów, powiedziała w duchu: „Dalej, Safiye. Twoja kolej. Wyjdź na scenę”.

Safiye bolały szczęki od zaciskania zębów z zimna. Z Meleknaz nie było lepiej.

Udało jej się rozróżnić sylwetkę swojej starszej kuzynki na wieży znajdującej się na wprost nich. Widziała też mężczyznę, z którym się spotkała. Czasem zbliżali się do siebie, a czasem oddalali. Nagle zaczęła się zastanawiać, kim on jest. Dlaczego spotykali się w tajemnicy? I to w nocy? W ruinach jakiejś twierdzy?

Czyżby...

„Najświętsza Panienko – westchnęła w duchu Safiye. – Czy to sekretny kochanek? Dlaczego wcześniej nie przyszło mi to do głowy?”. Zatem jej starsza kuzynka miała kochankę, którego ukrywała przed wszystkimi.

Ale nawet nie padli sobie w ramiona. Czy ukochani nie powinni przynajmniej się objąć?

Nowa fala dreszczy przerwała jej rozmyślania. Pod czarną peleryną, którą okryła ją Meleknaz, była właściwie naga. Czym była krepa grubości tiulu? Czula się przemarznięta do szpiku kości.

„O czym tak długo rozmawiają? – zastanawiała się. – A podobno sułtanka *valide* może robić wszystko, co chce. Jednak wcale nie. Spójrz tylko, do czego musi się uciekać, żeby móc się spotkać z ukochanym mężczyzną”.

– Zajmie mi to trochę czasu – powiedziała Nurbanu, rozstając się z nimi. Czekaście, aż wejdę na wieżę po przeciwnej stronie i dam wam znak. – Później zwróciła się do Safiye: – Wiesz, co masz robić. *Wróżka pofrunie*.

Miała mętlik w głowie. Jeśli mężczyzna, z którym się spotkała, był rzeczywiście – jak przypuszczała – jej ukochanym, to co ona tutaj robiła? Po co to całe przedstawienie?

Dlaczego miała przebiec półnaga z jednej strony murów na drugą?

Co robi ta kobieta?

A jeśli mężczyzna wcale nie jest jej ukochanym? W takim razie kim?

Jeśli jakaś kobieta, i to matka padyszacha Imperium Osmańskiego, spotyka się z mężczyzną w tak złowrogim miejscu i nie jest on jej ukochanym, to kim może być?

Myśl, która przyszła jej do głowy, wprawiła ją w osłupienie.

„Czy to on? Padyszach! Mężczyzna, którego mam poślubić?”.

Pokręciła głową. „Nieee... Dlaczego matka padyszacha miałaby potajemnie spotykać się z synem?”.

Im dłużej o tym myślała, tym większy miała zamęt w głowie. Ściągając połę peleryny, próbowała osłonić się przed zimnem, ale na próżno. Chłód przedostawał się przez tkaninę i lubieżnie błędził między jej piersiami.

Skuliła się i przysunęła do Meleknaz. Teraz lepiej słyszała, jak kobieta szczęka zębami z zimna.

Próbowała zająć czymś myśli, żeby zapomnieć o zimnie. „Czy jest przystojny?”, zastanawiała się.

„Kto?”, odezwał się głos w jej wnętrzu.

„Jak to kto? On. Murad. Padyszach, który w ciągu jednej nocy siedem razy został ojcem. Mężczyzna, którego będę królową”.

Safiye nie mogła dostrzec, nawet z daleka, co to za tajemniczy mężczyzna. Raz zdobyła się na odwagę i zapytała Meleknaz, ale ona tylko na nią spojrzała i odpowiedziała:

– Nie wiem.

Odwróciła się i popatrzyła na kobietę.

– Jest przystojny?

– K... Kto? – mruknęła Meleknaz, próbując powstrzymać drżenie.

– On. Padyszach.

Kobieta próbowała szczelniej otulić się ramionami, żeby ochronić się od chłodu.

– Nie... Nie wiem – odrzekła. – Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Dla mnie tylko jeden mężczyzna był przystojny. Jego straciłam, a żadnego innego nie nazwę przystojnym, bo nim nie jest.

– Kim on był?

– Moim mężem. Nazywał się Ajdyn Reis.

– Co się z nim stało?

– Przybył z morza i do morza powrócił.

Obie w tej samej chwili zauważyły białą chusteczkę, która na chwilę zafalowała w ciemnościach.

– Znak.

Meleknaz natychmiast się wyprostowała i pomogła wstać Safiye.

– Nadszedł czas. Nie zapomnij, co ci powiedziałam. Pobiegniesz w kierunku wieży po prawej stronie. Twoje ramiona będą falować, a suknia tańczyć na wietrze. Masz być radosna jak dziecko bawiące się na ukwieconych łąkach. Kiedy tylko dobiegniesz do wieży, znikniesz. Więcej się nie pokażesz. Pozostań w ukryciu, dopóki po ciebie nie

przyjdę. – Chwyciła pelerynę na plecach Safiye. – Poczekaj.

Obie wpatrywały się w sylwetkę sułtanki *valide* Nurbanu. Safiye miała wyjść na scenę, kiedy tylko tamta zniknie.

Meleknaz uniosła szatę Safiye, sprawdzając wszystko po raz ostatni.

– Do diabła – zaklęła. – Zdejmij je. O mały włos zapomnielibyśmy.

Safiye zdjęła buty. Przecież wróżki nie fruwały w ciżmach! Chłód kamienia przeniknął jej stopy. „Rzeczywiście po wilgotnych i zimnych kamieniach lepiej było frunąć niż biegać jak dziewczęta zbierające kwiaty”. Teraz była pewna, że naprawdę pofrunie.

Jedna z dwóch postaci po drugiej stronie zniknęła.

– Teraz!

Meleknaz zerwała jej pelerynę. Safiye pozostała w krepowej szacie pośród nocnych ciemności. Zimny powiew wiatru najpierw zetknął się z materiałem. Później wplątał się jej we włosy. Jego pieszczoty stawały się coraz bardziej śmiałe i nagle biała tkanina uniosła się. Safiye postąpiła jeden krok. Wyciągnęła ramiona niczym dwa słoniowe kły.

Jeszcze jeden krok. Później jeszcze jeden...

– Leć!

W bizantyjskich ruinach rozpoczął się *lot wróżki* od jednej wieży do drugiej.

Murad czekał, aż matka oddali się z szelestem spódnic. Jednocześnie zaś powtarzał w duchu: „Bunt, tak?”. Ciekawe, kto jest uwikłany w spisek. Jego matka ufała Kara Mustafie Paszy. Ojciec też mu ufał. I jego ojciec też. „Nie mam innego wyjścia, jak też mu zaufać”, przeszło mu przez myśl.

Miał wrażenie, że słyszy głos matki: „Twoje łożo stało się utrapieniem dla Imperium Osmańskiego...”.

Wciąż nie mógł tego zrozumieć. Co Imperium Osmańskiemu do jego łoża? Czy tylko on miał swój harem?

Z tego, co wiedział, każdy z jego przodków miał harem: Mehmed Zdobywca, Bajazyd Chan, nawet jego dziad Selim Groźny, o którym mówiono, że całe życie spędził na polu walki. Dziad Sulejman też wziął babcię z haremu i ją poślubił. Jego ojciec miał harem zarówno w pałacu w Seruhanie, jak i w stolicy. Z pewnością to dlatego matce włosy stawały dęba na dźwięk tego słowa. Cokolwiek robiła, nie była w stanie zniechęcić sułtana Selima do haremu.

„Czy zrobiliśmy coś oprócz podążania drogą przodków, że nasz harem stał się utrapieniem dla państwa?”.

Nagle poczuł ukłucie w sercu. Przypomniał sobie pytanie matki, na które nie potrafił odpowiedzieć: „Kto jest twoim najstarszym synem?”. Zapiekło go w piersi. „Doprawdy – zastanawiał się. – Kto jest moim najstarszym księciem? Jak ma na imię mój następca?”.

Do diabła! Nie pamiętał.

„Dobrze, a która jest matką mojego najstarszego syna? Ruhsar? Güldeste? Bihter nie mogła nią być”. Bihter, można powiedzieć, była jeszcze nowa. Jakie imię nadała synowi, którego mu urodziła?

Ze złości uderzył pięścią w mur. Nie czuł nawet bólu. Gniewnie ruszył do wyjścia.

Dobry Boże!

Sułtan Murad dostał gęziej skórki.

Z północnej wieży po lewej stronie w kierunku murów leciało coś białego!

W pierwszej chwili był pewien, że się pomylił. Nie. „Leci!”, krzyknął w duchu.

Co to było?

Dreszcz przeszedł całe jego ciało. To dziewczyna. Dziewczyna odziana w biel. Leciała wzdłuż muru... Razem z nią w ciemnościach nocy na wietrze unosiły się jej włosy roztaczające złoty blask.

„Nie! – odezwał się głos w jego wnętrzu. – Wciąż myślisz o dziewczynie... Nie widzisz? To anioł... *Wróżka!*”.

Na chwilę zapało mu dech. Co innego to mogło być? Z pewnością była to wróżka. Nie widział jej skrzydeł, ale to musiała być wróżka. W przeciwnym razie jak mogłaby lecieć? Kto wie, z czego miała skrzydła... Z jedwabiu, ze srebra, z chmur, mgły, a może z nieznanej, niewidzialnej materii...

„Dlaczego ukazuje mi się wróżka o niewidzialnych skrzydłach?”.

Nagle serce Murada wypełniła radość.

To boski znak! Nic innego. Jego modlitwy zostały wysłuchane. W tym najtrudniejszym czasie, gdy zdrada i śmierć stanęły na progu pałacu, Bóg zesłał anioła swojemu słudze Muradowi. Jego oczy wypełniły się łzami. Uniósł ramiona. Spojrzał w gwiazdy i powiedział:

– Dzięki Ci, Boże! Wskazałeś drogę swojemu słudze Muradowi. Dzięki Ci!

Nie odrywał oczu od frunącej istoty. Wróżka jakby na chwilę przysiadła na murze, a potem znów wzlatywała w powietrze.

Pomimo ciemności oczarowała go uroda wróżki. Błyszczała jak gwiazda.

I nagle...

Zniknęła. Wróżka zniknęła równie niespodziewanie, jak się pojawiła. Jednak Murad wciąż miał przed oczami jej urodę i niezwykły lot.

– Hej, przyjdź, piękna wróżko! – zawołał. – Oświetl moją duszę spowitą cieniem. Gdzie jesteś? Przyjdź.

Nie odpowiedział mu żaden dźwięk. Nikt się nie pojawił.

Zatem to był cud, na który czekał. „Proszę – odezwał się w duchu – gdzie są teraz ci, którzy próbowali wysłać szejka Şüce na banicję hen, aż do Fazzanu¹⁸, uważając go za łgarza. Dobrze, że wzięłem go do siebie jako pałacowego ogrodnika. Stało się to o tej samej porze, co przepowiedział mi w zeszłym tygodniu. Na mojej drodze spotkałem wróżkę”.

„Panie – powiedział mężczyzna. – Wasza gwiazda jest bardzo błada. To pewnie od złych spojrzeń, które na nią padają. Jednak nie martwcie się, oko waszej gwiazdy zarannej jest zawsze nad znakiem Raka. Gwiazda zaranna w nocy i w dzień chroni was przed złem”.

Chociaż szejka islamu Hamid Mahmud Efendi wielokrotnie powtarzał: „Mój padyszachu, to przesady. To grzech. Nie zdziwiłbym się, gdyby za kilka akcze powiedział wam, że sprowadzi wszystkie gwiazdy z nieba do waszych stóp”, on do końca się opierał i wbrew radom mężczyzny nie wygnał Şücy. Chociaż szejka służył jeszcze jego ojcu, nie

zwlekałby, tylko zdjął z urzędu Mahmuda Hodżę, a na jego miejsce mianował kadiego Ahmeda Şemseddina Hodżę, jednak szacunek dla jego wieku mu na to nie pozwalał.

Przepowiednie sprawdzały się jedna po drugiej. To jego matka znalazła szejka Şücę i przysłała go do niego jeszcze w czasach, gdy był księciem w Manisie. „Weź go do siebie. Jego oddech i amulety są potężne. Traktuj go dobrze, żeby razem ze swoimi dzinnami chronił cię przed złymi spojrzzeniami, wrogami i czarami”, surowo mu przykazała. On zaś się tego trzymał. Kiedy przybył do Stambułu, żeby przypasać szablę w meczecie sułtana Eyüpa i zasiąść na tronie, również zabrał Şücę ze sobą. Hojnie go wynagradzał, a Şüca i jego dzinny go chroniły. Şüca wróżył ze wszystkiego: z wody, fasoli, gwiazd, ręki, a nawet oczu. Wtedy wpatrywał się w nie uważnie i mówił: „Bóg wychwalony i wywyższony zapisał wasze przeznaczenie w waszych oczach. Słudzy boży, których Stwórca obdarzył łaską, potrafią z oczu odczytać przyszłość”. Natychmiast przypomniał sobie dzień, kiedy mężczyzna padł mu do stóp i powiedział:

– Mój sułtanie, mój sułtanie, mam dobre wieści... W nocy przyszedł do mnie białobrody mędrzec... „Posłuchaj, Şüco – odezwał się. – Sułtana Murada ze wszystkich stron otaczają wrogowie... Szykują różne niegodziwości, zastawiają rozmaite pułapki... Ale nie bój się. Pokażę ci szczęśliwą gwiazdę sułtana Murada. Powiedz mu, żeby nie zaniedbywał modlitwy...”.

Bardzo się podekscytował. Natychmiast rzucił:

– A później? Widziałeś gwiazdę mojego szczęścia? Mówże, człowieku.

– Nagle wszystko zniknęło. W tej samej chwili wszędzie zaroilo się od słońc, księżyców i planet... Gwiazda zaranna była na wyciągnięcie ręki... Nigdzie nie było widać białobrodego mędrca, ale słyszałem jego głos: „Şüco, widziałeś tę planetę oplecioną pasem? Przyjrzyj się uważnie. Nazywają ją Saturn... To właśnie gwiazda Murada, potomka Osmana. Kiedy stanie twarzą w twarz z lnianowłosym Uranem, stanie się cud. *Z nieba zejdzie na ziemię wróżka*. Słońce będzie zazdrościć jej włosom blasku. Oczy zaś będzie miała ciemniejsze niż noc i jaśniejsze niż dzień. Jej skóra będzie świetlista jak księżyc skąpany w firmamencie w bezchmurną noc... Jakby odziana w królewskie barwy. Złoto spowijające jej ciało oślepia mnie. To właśnie ta wróżka ocali naszego pana przed wrogami... Da Imperium Osmańskiemu księcia, który rozumem, odwagą i męstwem przewyższy wszystkich swoich przodków. Tylko...”.

– Tylko co, efendi? Powiedz.

– Białobrody postawił pewien warunek, panie.

– Warunek? Jaki warunek ma białobrody?

– Nasz pan będzie odtąd nosił pierścień z rubinem. Każdego dnia o tej samej porze będzie smarował się piżmem. Waszym szczęśliwym kamieniem jest rubin, zapachem zaś piżmo. One wezwą waszą wróżkę.

Od tygodnia nie zdejmował z palca rubinowego pierścienia. Codziennie też smarował się piżmem.

I wróżka przyszła.

Teraz pora, żeby spełnił się dalszy ciąg przepowiedni.

Zniszczy jego wrogów. Wróżka urodzi padyszacha Imperium Osmańskiemu.

Nagle w oddali, z jednego z minaretów Błękitnego Meczetu znajdującego się za

pałacem, rozległ się przejmujący głos muezzina recytującego ezan. Niedługo noc miała spotkać się z dniem. Gdzieś na horyzoncie, ponad morzem niebo pogrążone w nocnych ciemnościach zaczęło jaśnieć.

Sułtana Murada przeszedł dreszcz. Była tam. Dokładnie nad jego głową... Gwiazda zaranna przybyła powitać świt i go pozdrowić.

Bezwiednie opadł na kolana.

Trwał tak, wznosząc ręce. Jego oczy szukały gwiazdy oplecionej pasem, ale nie znalazły.

– Głupcze – mruknął – po co wciąż szukasz jej na niebie? Przecież twoja gwiazda zstąpiła na ziemię.

Niedługo potem pośpieszne kroki trzech kobiet wymieszały się ze sobą. Przed świtem powinny wrócić do pałacu sułtanki *valide*.

– Widziałyście? – odezwała się Safiye do idącej przodem kobiety. – Udało mi się? Wyszło tak, jak chciałyście? Pofrunęłam?

Nurbanu zatrzymała się na chwilę i uśmiechnęła.

– Udało się. Było nawet lepiej, niż oczekiwałam. Byłaś niczym wróżka, która zstąpiła z gwiazd, Safiye.

Meleknaz pokiwała głową.

Szybko przeszły jeszcze kilka kroków.

– Wciąż nie rozumiem, dlaczego odegrałyśmy to przedstawienie.

Nurbanu spojrzała na nią z ukosa. Przecież nie mogła powiedzieć: „Mój syn szaleńczo wierzy czarom, czarownikom i wróżbitom”. To był sposób, żeby wyrzucić na nim wrażenie. Powinien myśleć, że dostał boski rozkaz. Szejk Şüca miał wymyślić sen, mówić o gwiazdach i wróżkach. Ona zaś sprawi, że Safiye odegra sen Şücy na murach. Najlepiej było pominąć milczeniem pytanie Safiye.

– Kim on był?

Sułtanka matka jeszcze przyśpieszyła kroku. Postanowiła powiedzieć prawdę.

– Mężczyzna, który szuka wróżki swojego szczęścia – odparła cicho. – Największy z wielkich Imperium Osmańskiego padyszach sułtan Murad Chan. Nasz syn.

Murad Chan? Nagle serce w piersi zaczęło jej łomotać niczym skrzydła zranionego ptaka.

– Twój przyszły mąż, *sultanko Safiye!*

Sułtanko Safiye?

Kuzynka po raz pierwszy tak się do niej zwróciła.

„Ja... Sułtanka Safiye...”, przeszło jej przez głowę. Tymczasem ona zdążyła już przyzwyczać się do myśli, że wszystko, co działo się od dnia, kiedy przywieziono ją do stolicy i sprzedano na targu niewolników, było snem. Jednak teraz... „Wielki Jezu, widziałam go... Widział mnie...”.

Oboje byli dla siebie jedynie sylwetkami, ale nie szkodzi. Było to coś magicznego.

Safiye poczuła, że zakręciło jej się w głowie. „Najświętsza Panienko”, mruknęła, przyciskając ręce do rozszalałego serca.

Nogi jej się trzęsły. Drzewa zaczęły rozmywać się przed jej oczami. Wszystko wokół spowił ciemny dym. Barwy i głosy zniknęły. Safiye pogrążyła się w tym dymie.

XXI

Po tym, jak sułtan Murad otworzył drzwi sekretnego przejścia i wszedł do swojej komnaty, skierował się prosto do sułtańskiej łaźni. Był bardzo brudny. W przejściu pajęczne sieci oblepiły jego głowę i ciało, ale nie obchodziło go to. Tej nocy zobaczył gwiazdę swojego szczęścia. Ukazała mu się wróżka, która sprawi, że stanie się cud. Z pewnością to, co zobaczył, miało swoje znaczenie. Jeśli zapyta o to Şüce, powie, że mu to przepowiedział. Postanowił poradzić się kogoś innego. Kogoś, kto nie wie o śnie Şücy i nie zna jego przepowiedni...

Przez chwilę przestraszył się, że to był tylko sen. Czy to możliwe?

Tak wiele rozmawiali o niebezpieczeństwie, śmierci i buncie, że może jego umysł splatał mu figla. Czy mogło się tak stać?

– To niemożliwe – sprzeciwił się. – Widziałem ją za każdym razem, gdy uszczypnąłem się w rękę.

Skręcił za rogiem.

– Tak, widziałem wróżkę – powiedział.

Już wiedział, co musi zrobić.

Odnajdzie swoją wróżkę. Natychmiast prześle matce białą chusteczkę, którą mu dała. „Dotrzymaj słowa – napisze. – Znajdź tę, która jest mi pisana”.

Stojący wzdłuż korytarza służący byli zaskoczeni, widząc padyszacha o tak wczesnej porze, a do tego w takim nieładzie. Kłaniali się, trącali łokciami i szeptali między sobą: „Widzisz to co ja?”.

Murad nawet nie zwrócił na to uwagi. W jego głowie kołatało się mnóstwo pytań, ale szczególnie jedno nie dawało mu spokoju: „Skoro matka tak bardzo nalegała, żebym wziął sobie prawowitą żonę, dawno już znalazła odpowiednią dziewczynę. Czyżby... czyżby to ta dziewczyna? Ta, którą przed wszystkimi ukrywała. Mestane powiedziała, że jak ma na imię? Do diabła, znowu zapomniałem”.

Służąca, od pasa w górę odziana jedynie w czerwoną, skórzaną kamizelkę, otworzyła sułtanowi ciężkie, drewniane drzwi. Kiedy Murad przekroczył próg, czekała na niego niespodzianka.

– Mój sułtanie... Światłości moich oczu.

Padyszach zdziwił się na widok pięknej odaliski kłaniającej się przed nim.

– Bihter...

„Do diabła, Bihter”, mruknął w duchu. Przypomniał sobie, że rozkazał Mestane, żeby wezwała dziewczynę do jego alkowy. Co miał teraz zrobić? Myślami był zupełnie gdzie indziej.

– Czekałaś na mnie całą noc?

Bihter z trudem się wyprostowała.

– Czym jest jedna noc, żeby ujrzeć twarz naszego pana, usłyszeć jego głos, cieszyć się jego pochlebstwami? Całe życie mogłabym na to czekać.

Ruszył do przebieralni znajdującej się w rogu. Tam przysiadł na sofie okrytej wielbłądzą skórą. Bihter podążyła za nim.

Od pasa w górę odziana była jedynie w cielisty tiul. Obfitość i jędrność jej piersi

natychmiast zadziałały na Murada. Jej pełne jasnoróżowe łydki ukazujące się w rozcięciach szarawarów sprawiły, że jego krew zaczęła wrzeć.

Odaliska w mig zauważyła różnicę w spojrzeniu padyszacha, który wchodząc do łaźni, sprawiał wrażenie wyczerpanego i zamyślnego.

– Doprawdy – przegięła się w talii i ruszyła w jego stronę, kołysząc biodrami – wzbudziliście naszą tęsknotę. Przez długi czas szcędziliście waszej słudze Bihter szczęścia oglądania was. Umierałyśmy ze zgryzoty, że popełniłyśmy jakiś błąd, który rozgniewał naszego sułtana.

Wprawnymi rękami zaczęła rozbierać padyszacha. Jednocześnie jej delikatne palce błędziły po brodzie, wąsach, karku i uszach padyszacha. Spojrzała na Murada wzrokiem pełnym pożądania. Pochyliła się, odsłaniając piersi.

– Płonęłyśmy z tęsknoty za wami.

Padyszach rozkoszował się ciepłym oddechem pieszczącym jego kark. Kiedy wargi dziewczyny chwyciły płatek jego ucha, zachichotał mimowolnie.

– Płonę – jęknęła tym razem Bihter.

„Naprawdę płonie”, pomyślał Murad, kiedy usta dziewczyny zsunęły się do jego szyi. Jej wargi były jak rozżarzone węgle.

– Czy mój sułtan ugasi ten trawiący mnie ogień?

Mistrzowskim ruchem ściągnęła koszulę padyszacha. Jej usta błędziły po nagich ramionach mężczyzny. Później ponownie sięgnęła do jego szyi. Kreśliła językiem linie od jego ucha do barku. Palce Bihter przesuwają się w dół od torsu padyszacha.

– Chodźmy – szepnęła. – W środku jest ciepło i przytulnie. Kazałam przygotować dla was główny podest. Czy pozwolicie waszej słudze Bihter napić nas winem?

Dziewczyna przyklękła przed padyszachem i wsunęła mu na stopy drewniaki wysadzone macicą perłową. Kiedy przewiązywała mu biodra lnianą przepaską, jej palce przez chwilę błędziły między jego nogami. Przekonawszy się, jakie wywarła na nim wrażenie, zaczęła łasić się jak kot.

– Przestraszyliście Bihter – zaszczebiotała.

Gdy Murad poczuł na swoim torsie jędrne piersi kobiety, zakręciło mu się w głowie. „Po takiej nocy namiętny poranek dobrze mi zrobi”, przeszło mu przez myśl. Potrzebował tego, dopóki nie odnajdzie swojej wróżki... Było oczywiste, co będzie dalej. Pójdzie tam, gdzie wskaże mu jego gwiazda szczęścia. Gwiazda zaranna obserwowała go. Planeta opleciona pasem też nie będzie miała tego za złe wielkiemu padyszachowi.

Objął talię odaliski. Kiedy otworzyli drzwi i weszli do łaźni, przyciągnął do siebie Bihter i sięgnął do jej piersi. Kiedy jego wargi błędziły po jej szyi, dziewczyna roześmiała się uwodzicielsko.

– Panie...

Jednocześnie przycisnęła piersi do torsu padyszacha i osunęła się po nim. Ocierając się o niego i przesuwając w górę, jęknęła:

– Mój sułtanie.

Bihter sięgnęła ręką i chwyciła jego twardą męskość. Odrzuciła przepaskę z bioder padyszacha. Kładąc się na jedwabkach i tiulach rozłożonych na podeście, skamlała:

– Błagam, mój sułtanie... Moje ciało płonie. Ugaście ten ogień, panie. Ugaście go.
„Biała chusteczka, którą dostałem od matki – myślał Murad, pochylając się nad Bihter – musi natychmiast trafić na miejsce. Jak długo będzie to jeszcze trwało?”

Kiedy się obudził, dziewczyna wciąż znajdowała się w jego łożu. Murad zdał sobie sprawę, że nie pamięta, jak tutaj trafili. Okropnie bolała go głowa. Burza namiętności i wino to było dla niego zbyt wiele po nieprzespanej nocy.

Odwrócił się powoli i spojrzał na śpiącą, spokojnie oddychającą Bihter. Była piękna. Była naprawdę piękna. Ale nie była wróżką! Jego wróżką była inna.

Kiedy Bihter poczuła, że padyszach się poruszył, natychmiast otworzyła oczy. Na widok Murada na jej twarzy pojawił się zniewalający uśmiech.

– Panie...

On również próbował się uśmiechnąć.

Bihter postanowiła dokończyć to, co zaczęła. Zdobędzie go. Zniewoli go swoją namiętnością tak silnie, że więcej nie zepchnie jej w cień.

– Byliście jak ryczący lew. – Przysunęła się do niego, prężąc się. – Niech Bóg chroni was przed złym okiem. Spaliliście swoim ogniem waszą niewolnicę Bihter.

Wsunęła nogę pomiędzy jego nogi i przesunęła kolano do góry. Wiedziała, jak to podnieca padyszacha.

Jednak tym razem tak się nie stało. Myślni sułtan wciąż był z wróżką, którą widział ubiegłej nocy. Jeśli z kimś się tym nie podzieli, oszaleje. Wsparł się na łokciu i spojrzał dziewczynie w oczy.

– Bihter?

– Panie. Wasza niewolnica jest w stanie oddać za was życie, ilekroć wymawiacie jej imię.

– Chcę cię o coś zapytać.

Dziewczyna spojrzała na niego zaskoczona. Muradowi wydawało się, że słyszy jej myśli.

– Zdarzyło ci się widzieć sen na jawie?

Teraz na twarzy odaliski malowało się jeszcze większe zdziwienie.

– Na jawie, panie?

– Tak. Zdarzyło ci się, że mając otwarte oczy, ujrzałaś kogoś, nie wiem, na przykład wróżkę?

Zaskoczenie w oczach Bihter powoli ustępowało miejsca strachowi.

– Wróżkę, mój sułtanie? – mruknęła.

„Czyżby ten człowiek oszalał?”, przeszło jej przez myśl. Słyszała, że zbyt namiętni mężczyźni odchodzili od zmysłów. A czy istniał ktoś bardziej nieokiełznany niż on? Żeby zyskać na czasie, spojrzała mężczyźnie w oczy, próbując się uśmiechnąć. Zaczęła bawić się włosami na jego torsie. „A może chce pociągnąć mnie za język?”. Usiłowała sprawić, żeby jej uśmiech wyglądał jeszcze bardziej uwodzicielsko.

– Jakżeby inaczej, mój sułtanie – zaszczebiotała. – W dniach, gdy zapomnieliście o waszej służbie, przed oczami nieustannie miałam wasz obraz. Wydawało mi się, że jeśli wyciągnę rękę, dotknę mojego pana. „Chodź, Bihter – mówiły wasze usta. – Stęskniłem się za tobą”.

Murad długo jej się przyglądał. Oczy rzeczywiście nie kłamią, a on niewątpliwie dostrzegł kłamstwo w oczach Bihter. Nie było w nich nic oprócz pragnienia, żeby wynieść z tej rozmowy jakieś korzyści.

Dziewczyna zaś próbowała wybadać, czy jej odpowiedź zadowoliła padyszacha. Jednak twarz Murada pozostała bez wyrazu.

– Jak się miewa książę? – zapytał nagle.

Nie wymienił imienia chłopca, ponieważ go nie pamiętał.

Bihter wynagrodziła go za to pytanie ciepłym uśmiechem. Skoro padyszach pytał o jej syna, oznaczało to, że był usatysfakcjonowany jej usługami w łaźni.

– Książę całuje waszą dłoń.

„Do diabła! – zaklął w duchu Murad. – Powiedz, jak ma na imię, kobieto. Książę, zgoda, ale jaki książę?”

– Tęskni za swoim ojcem. On również, jak ja, nie może już znieść tej tęsknoty.

„Dość tej obłudy – zachnął się w duchu. – Skąd niemowlę może znać tęsknotę?”

– Zobaczymy go we właściwym czasie... Jak się miewa?

– Kto?

– On.

Nagle Bihter nie wiedziała, czy powinna się cieszyć, czy obawiać, że padyszach tak bardzo interesuje się jej dzieckiem.

– Mahmud? – zapytała, odwlekając odpowiedź.

Dzięki Bogu. Wreszcie. Zatem chłopiec ma na imię Mahmud.

– Jest zdrow?

– Na szczęście cieszy się dobrym zdrowiem. Książę Mahmud wrodził się w swojego ojca. *Maszallah*, jest niczym lew. Jak trochę podrośnie, on też będzie ryczał jak nasz padyszach, sprawi, że zapłonie wiele serc.

Murad bąknął coś pod nosem niezrozumiale.

– Muszę iść do Dywanu.

„O nie”, powiedziała w duchu Bihter. Wyprężyła się kuszaco. Objęła szyję mężczyzny. Wargi miała wilgotne i zapraszające. Jęknęła ze skargą, a jej ciało wilo się pod kołdrą.

– Tak szybko? A co będzie z ogniem Bihter? Zostawicie waszą niewolnicę płonąca z pożądania?

Sułtan Murad zdał sobie sprawę, że jeśli będzie zwlekał, nie wyjdzie z łoża. Natychmiast usiadł.

– Powiedz Mestane, żeby przygotowała cię na wieczór. Teraz mamy pewną pilną sprawę. Dokończymy po nocnej modlitwie.

Pierwszą rzeczą, którą zrobił po przejściu do drugiej komnaty, było wezwanie swojego pokojowca.

Podał mężczyźnie białą chusteczkę, którą wyciągnął z kieszeni.

– Weź to i prześlij naszej matce, Nedimie Ago. Napisz też list. Oczekujemy naszej matki w piątek na sułtańskich błoniach podczas zmagania naszych Piżmianów i Kapustników¹⁹. Poleć także, żeby dla niej i jej świty rozstawiono namiot w najlepszym miejscu na łące.

Nedim Aga wziął od niego chusteczkę, trzykrotnie ją ucałował i przyłożył do czoła. „Dalej – pomyślał, podczas gdy mężczyzna wycofywał się do drzwi. – Ruszyliśmy drogą naszego przeznaczenia. Jeśli jest, jak przypuszczam, wtedy właśnie *planeta opleciona pasem stanie twarzą w twarz z lnianowłosym Uranem*. Spełni się cud, o którym mówiła przepowiednia. Murad spotka swoją wróżkę”.

Safiye nie rozumiała, dlaczego wiadomość od padyszacha tak bardzo ucieszyła sułtankę matkę. Radośnie krążyła po swojej komnacie. Nie złościła się na damy dworu, nawet jeśli popełniały najgorsze przewinienia. Nie rozgniewała się nawet na dziewczynę, która wylała na dywan pełen kielich sorbetu posypanego orzechami.

– Nic się nie stało, dziecko – powiedziała. – Los. Oby nasz los był równie słodki co sorbet.

Meleknaz również była radosna. Jak zawsze spokojnie siedziała w rogu komnaty i haftowała, ale z jej twarzy wprost biło szczęście.

Safiye usiadła obok kobiety, zdając sobie sprawę, że z Nurbanu trudniej byłoby jej wyciągnąć jakieś informacje.

– Piżmianów i Kapustników?

Meleknaz pokiwała głową, nie unosząc jej znad robótki.

– Tak. Piżmianów i Kapustników.

– Co to znaczy, ciociu Gabriello?

– Ciii... – przestrzegła ją kobieta. – Nie ma Gabrielli, tylko Meleknaz. Oby Cecilia tego nie słyszała.

Safiye zachichotała.

– Ciii... Nie ma Cecylie, tylko Nurbanu – poprawiła damę dworu.

Roześmiały się, usiłując nie wydawać z siebie głosu, ale sułtanka *valide*, która odwróciła się nagle, przyłapała je.

– Co tam się dzieje? Z czego się śmiejecie?

Meleknaz natychmiast spoważniała.

– Z niczego.

– Pytałam o Piżmianów i Kapustników – wtrąciła Safiye. – Sułtan wzywa nas do ogrodu warzywnego?

Kobieta wybuchła śmiechem.

Safiye po raz pierwszy, odkąd tu przybyła, widziała starszą kuzynkę roześmianą. Śmiech sułtanka pieszczący człowieka przywodził na myśl szum radośnie płynącego potoku.

– Do ogrodu warzywnego? – wydusiła z siebie, wciąż nie przestając się śmiać. – Szalona dziewczyna. Myślisz, że sułtan wzywa nas do ogrodu warzywnego?

Dziewczyna szeroko otworzyła oczy i przyglądała jej się w zdumieniu.

– Tak. Co w tym śmiesznego? Czy piżmian i kapusta nie rosną w ogrodzie warzywnym?

Nurbanu w końcu udało się uspokoić.

– Wspaniale... – odezwała się. – Nie o taki piżmian i kapustę chodzi. Wśród żołnierzy pełniących służbę w pałacu i gwardzistów istnieją dwie grupy. Jednych nazywają Piżmianami, a drugich Kapustnikami. Od czasów sułtana Murada Zdobywcy te

dwie grupy rywalizują ze sobą. Od czasu do czasu urządzają przed padyszachem turnieje, usiłując pokonać się wzajemnie. Nasz syn zaprasza nas na pokaz.

W rzeczywistości Nurbanu bardzo dobrze wiedziała, dlaczego Murad je wzywa.

– Dalej! – Klasnęła. – Niech rozpoczną przygotowania. Dostałyśmy zaproszenie od sułtana. Niech krawcy, złotnicy i zdobnicy biorą się do pracy. Niech uszyją dla sułtanki Safiye nowe suknie i kaftany. Chcę taką ferezję, która będzie z daleka rzucała się w oczy, ale żeby nie było wiadomo, co zwraca większą uwagę – uroda Safiye czy perły i zdobienia płaszcza.

XXII

Wąska uliczka biegnąca za grobowcami, które nadworny architekt Sinan Aga wzniósł dla sułtana sułtanów Sulejmana Chana i jego żony Hürrem, dawno już opustoszała. Pośród ciemności smukłe minarety Meczetu Sulejmana ciągnęły się do nieba niczym otwierające się do Boga ramiona wiernego.

Nie było słyhać nic oprócz dochodzących gdzieś z daleka odgłosów uderzeń o kamienie kijów strażników patrolujących ulice. W oknach domów zaciągnięto zasłony, wiążąc światła palących się w środku lamp gazowych i świec. Ulicę całkowicie pochłonąłby mrok, gdyby nie mdłe, żółtawe smugi wydobywające się przez wąskie szpary między zasłonami.

Nagle z wykuszowego okna na drugim piętrze jednego z domów popłynęły radosne, skoczne dźwięki oudu, a po chwili rozległa się pieśń śpiewana przejmującym, kobiecym głosem.

Miłość i szaleństwo mnie przepelnia.

Medyk nic nie zdziała na moje cierpienia.

Nie chcę eliksirów ani pocieszenia.

Niech lekiem mym będzie ma złotowłosa ukochana.

– Pięknie – rozległ się męski głos.

Nieco dalej, w jednym z domów znajdujących się po dwóch stronach uliczki skracającej w lewo i mocno opadającej w kierunku Złotego Rogu, dał się słyszeć grzmiący głos innego mężczyzny:

– To, co przede mną stawiasz, nazywasz jedzeniem?! Wystaw to przed drzwi, a nawet psy tego nie tkną!

Później rozległ się jakiś zgiełk, po którym zabrzmiał kobiecy płacz.

Nagle z jednej z niezliczonych uliczek wychodzących na strome zbocze wynurzył się jakiś cień. Mężczyzna po chwili zastanowienia skręcił w lewo. Co jakiś czas spoglądał za siebie i szedł, niemal ocierając się o mury. Było to normalne o tej porze. Kiedy ulice tonęły w mroku, bezpieczniej było iść, dotykając ścian.

Nagle wykuszowe okno, pod którym mężczyzna właśnie miał przejść, otworzyło się z hałasem i jakaś ręka wylała na ulicę pomyje. Gdyby mężczyźni w ostatniej chwili nie udało się odskoczyć i przywrzeć plecami do ściany, zostałyby oblane. Okno zamknęło się z takim samym trzaskiem.

Mężczyzna przyśpieszył kroku, klnąc w duchu. Ponownie skręcił. Teraz nie znajdował się na drodze opadającej w stronę morza, ale na jednej z ulic równoległych do Złotego Rogu. Dom, do którego miał się udać, znajdował się w odległości jakichś pięćdziesięciu kroków.

Zatrzymał się przed drzwiami. Rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy ktoś jest w pobliżu. Było pusto. Jedynie z domu za nim niósł się płacz dziecka i głos matki,

bardziej karcący niż uspokajający, usiłującej je uciszyć.

Puk!

Uderzył w drzwi kołatką i ponownie się rozejrzał.

Puk! Puk!

Zastukał tym razem dwa razy.

Odczekał jeszcze chwilę, nie zdejmując ręki z kołatki.

Puk... Puk, puk... Puk.

Powtórzył sygnał. Czekał, aż drzwi się otworzą, ale nic się nie działo. Mężczyzna zaczął się niepokoić. „Do diabła, otwórz wreszcie te drzwi!”

W tej samej chwili odniósł wrażenie, że po drugiej stronie rozległ się jakiś dźwięk.

„W końcu – pomyślał. – Idzie”.

Za drzwiami, pociemniałymi i popękkanymi ze starości, rozległ się tłumiony kaszel. Żelazna zapadka opadła z brzdękiem rozdzierającym nocną ciszę. W końcu usłyszał obracanie klucza w zamku. Drzwi uchyliły się ze skrzypieniem. W środku było nawet ciemniej niż na zewnątrz.

– Wejdz – rozległ się gruby, zachrypnięty głos.

W mroku nie widział właściciela domu, ale zrobił, co mu powiedziano.

Drzwi zamknęły się za nim z równie głośnym skrzypieniem.

– Poczekaj. Zapalę świecę.

Usłyszał głos zamykanej zapadki.

Po chwili ciszy dało się słyszeć trzask uderzanych o siebie kamieni. Później w ciemnościach rozbłysła iskra. Wystarczyły trzy iskry, żeby drewno się zajęło.

Gospodarz przyłożył je do knota trzymanej w ręku świecy, która skwiercząc, zaczęła się palić mdłym płomieniem, nad którym unosiła się cienka, czarna smuga dymu. W padającym od dołu świetle twarz mężczyzny przypominała przybyszowi czaszkę obciążoną wyschniętą skórą – dwie ciemne dziury w miejscu oczodołów i cień zamiast nosa. Broda zasłaniała usta. „Dobrze, że nie widać zębów – przeszło mężczyźnie przez myśl – bo już całkiem przypominałby szkielet”.

– Chodźmy.

Mężczyzna podążył za gospodarzem wąskim korytarzem. Drżący płomień świecy malował na ścianach przerażające obrazy. Cień liny zwisającej z belki sufitowej przypominał szubienicę. Na ścianie po drugiej stronie wisiało sito. Na końcu na krótkim, grubym, wygiętym gwoździu wisiał sierp rzucający zimny, złowroźny błysk.

Gospodarz otworzył drzwi znajdujące się przed nimi, po lewej stronie. Korytarz oświetliła smuga silniejszego światła.

– Wejdz.

Izba była niewielka. Nigdzie nie widać było okna. Wnętrze oświetlała lampa gazowa na małym stole pod ścianą. Po drugiej stronie przy ścianie leżały materace. Na środku płonęło małe palenisko.

– Usiądź – odezwał się gospodarz, wskazując jeden z materaców. – Byłem na górze. Zejście zajęło mi trochę czasu.

– Nic się nie stało.

– Właśnie jadłem. Jesteś głodny, Hüsrevie?

– Nie, Beşirze Ago. Dziękuję.

– Śmiało – nalegał gospodarz. – Każę przygotować tacę. Jakiś puchar wina. A przy okazji i ja dokończę posiłek.

Nie dając Hüsrevowi sposobności powiedzenia czegokolwiek, wziął kij stojący za drzwiami i trzykrotnie zastukał nim w sufit.

– Zaraz przyniosą. Rozgość się. – Czekał, aż mężczyzna usiądzie i zaplecie nogi. – Jak wygląda sytuacja?

– Jesteśmy gotowi.

– Drugi wciąż jest na polowaniu?

Hüsrev wiedział, że mężczyzna ma na myśli wielkiego wezyra Sokollu Mehmeda Paszę. Pomimo że znajdowali się w zamkniętej z czterech stron izbie i rozmawiali szeptem, na wszelki wypadek nie wspomnieli jego imienia.

– Tak. Nie wygląda też, żeby szykował się do drogi powrotnej.

– Dlaczego nie wraca? Czyżby coś słyszał? Trzyma się z dala i czeka, żebyśmy doprowadzili sprawę do końca, żeby później przyjechać na gotowe?

– Nie sądzę, Beşirze Ago. Kilka razy próbowali wziąć go na spytki. Odparł: „Mężczyźni nie wypada plotkować jak babie, ale jeździć na polowania i sprawdzać granice”. Jest wierny jak pies, który dostał kość.

– Dziwne – odezwał się Beşir Aga, z zamyśleniem głaszcząc się po brodzie. Spojrzał na swojego gościa. – Czy ty też tak uważasz? Pies popatrzy raz i drugi, a jeśli właściciel już nie rzuca mu kości, znajduje sobie inne drzwi.

– Tak mówią, ale...

– Wiesz, jest w tym coś podejrzanego. Czyżby kryła się za tym jakaś zasadzka? Prowadzi jakieś sekretne przygotowania? Bez niego nie wygra ani piżmian, ani kapusta.

Taka była tradycja. Wielki wezyr stał po prawej stronie sułtana, dla którego miejsce przygotowywano na tarasie Pawilonu Jeździeckiego, i do końca oglądał zmagania Piżmianów i Kapustników. Po raz pierwszy turniej miał się odbyć bez udziału wielkiego wezyra. Wprawdzie było to coś niespotykanego, ale Hüsrev uważał, że tak będzie dogodniej.

– To dla nas lepiej, Beşirze Ago. Bóg nam pomaga.

„Aga ma rację”, przeszło mu przez myśl. Na jego widok żołnierze mogą się zawahać. Sokollu był sprytny. Mógł znaleźć sposób, żeby odwieść żołnierzy od tej sprawy. To właśnie on powstrzymał bunt, kiedy na tron wstępował ojciec sułtana Selim Chan. I jeszcze tysiące akcze, które sułtanka Mihrimah przekazała swojemu młodszemu bratu, żeby rozdał je żołnierzom... Tak, zdaje się, że przebywanie wielkiego wezyra na polowaniu działało na ich korzyść, jednak w związku z tym należało podjąć odpowiednie kroki.

– Mimo to jutro wyślemy w tamtą stronę towarzyszy godnych zaufania. Polecę im, żeby nie zbliżali się za bardzo, aby nie rzucać się w oczy, ale żeby mieli oko na drogę. Kiedy będzie po wszystkim... Zrozumiałeś? Niech go tu sprowadzą, kiedy nadejdzie od nas wiadomość. Wieczorem wszyscy razem zasiądziemy do stołu. Dobrze?

Hüsrev pokiwał głową.

– A nasz... – Beşir Aga zamilkł, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. – Co jest?

Za drzwiami rozległ się cienki głos.

– To ja, ago. Przyniosłyśmy posiłek.

Kobieta! Hüsrev był zaskoczony.

– Poczekaj – odezwał się Beşir Aga, usiłując podnieść się z materaca, żeby otworzyć drzwi. – Otworzę.

Hüsrev spojrział na Beşira Agę z lubieżnym uśmiechem, podkreślając węża.

– To twoja matka?

– Nie.

– Twoja siostra przyjechała z rodzinnych stron?

– To nie moja siostra – burknął gospodarz, kierując się do drzwi.

Otworzył je, a do środka weszła pulchna kobieta, pozostawiając na zewnątrz buty. Próbowała przesłonić twarz, biorąc do ust koniec chusty, ale wyraźnie było widać, że nie miała więcej niż dwadzieścia lat. Odziana w różowe szarawary, szybkim krokiem, kołysząc biodrami, skierowała się do materaca, na którym siedział Hüsrev. Rozłożyła na podłodze pokrycie, które przyniosła pod pachą. Na środku postawiła okrągłe sito, po czym odwróciła się i drobnymi krokami ruszyła do drzwi. W nich ukazały się dwa nagie ramiona wyciągające do niej tacę. Kobieta ją wzięła.

„No proszę – pomyślał Hüsrev. – Dwie kobiety!”

Pulchna kobieta umieściła na sicie tacę, na której znajdowały się małe cynowe talerze z różnymi daniami, i ponownie udała się do drzwi. Tym razem wróciła z małą tacą z dzbanem i dwoma kielichami. Przyklękła. Jeden z kielichów ustawiła przed Hüsresem. Mężczyzna wciągnął głęboko zapach kobiety unoszący się nad nią, kiedy napełniała jego puchar winem.

Kiedy skończyła, ponownie skierowała do drzwi swoje drobne, ale szybkie kroki. Hüsrev, starając się nie dać tego po sobie poznać, ukradkiem obserwował, jak okryte szarawarami biodra kobiety się kołyszą.

– Proszę, proszę, Beşirze Ago – mruknął. – Dwie kobiety naraz.

Beşir zamknął drzwi. Pozostał tam przez chwilę, przykładając ucho do drzwi. Wsłuchiwał się w odgłos kobiecych kroków wspinających się po schodach. Gdzieś na górze drzwi otworzyły się ze skrzypieniem.

– Tak – odezwał się, wracając na swoje miejsce. – To na czym skończyliśmy?

Hüsrev popatrzył na niego z obleśnym uśmiechem.

– Powiedziałeś, ago, że to nie twoja siostra.

Aga machnął ręką.

– Nie to.

– Ależ to, kim są te kobiety, ago? Jedną zdążyliśmy pośpiesznie obejrzeć. Druga nie pokazała nic oprócz ramion. Która z nich jest świeższa?

– Hüsrevie – warknął Beşir – żałujesz swojemu adze przygody na jedną noc, podczas gdy sułtan Murad oddaje się uciechom alkowy z setkami odalisek? Daj już temu spokój.

Uniósł swój kielich.

– Napijmy się.

Hüsrev zachichotał.

– Napijmy się, ago. Śpieszy ci się. Masz rację.

Beşir pokręcił głową, po czym upił potężny haust wina. Wierzchem dłoni otarł brodę.

– Jak wygląda nasza sytuacja? Wszystko zgodnie z planem?

– Tak. Jeden to Piżmian, a drugi Kapustnik... Jeśli jednemu się nie uda, zrobi to drugi. Nie ma ryzyka, że pozostaniemy głodni, ago. Jutro będziemy jeść albo piżmian, albo kapustę.

– Dobrze... Dobrze... – Aga zbliżył się do Hüsreva przeżuającego jedzenie. – Wiedzą o sobie?

– Nie. Obaj sądzą, że sami będą gotować strawę.

– Wspaniale.

Jeszcze raz tręcili się kielichami, po czym każdy z nich upił kolejny łyk wina.

– A numer dwa? – zapytał Beşir. „Numer dwa” to zaszyfrowany Kara Mustafa Pasza. – Dotrzymał słowa?

– Zrobił to, co obiecał. Tak twierdzi. Nasz człowiek na miejscu też to potwierdził.

– I? Jaki rezultat?

– Nie wiadomo. Powiedział: „Ja zrobiłem, co miałem zrobić. Reszta zależy od nich” i wyszedł.

– Gdzie teraz jest?

– W drodze. Udaje się tam, gdzie jego miejsce.

„Zatem wraca do Erzurum – pomyślał Beşir Aga. – Z pewnością domyślił się, że mamy co do niego wątpliwości”.

Nie rozumiał, jak tamtej nocy Kara Mustafie udało się uratować z pułapki. Trzech mężczyzn, których za nim wysłał, zniknęło bez śladu. Nie znaleziono nawet ich ciał. Nie potrafił pojąć, jak podstarzały pasza mógł poradzić sobie z trzema jego ludźmi.

– Jesteśmy pewni, że wrócił, Hüsrevie?

Mężczyzna zanurzał właśnie drewnianą łyżkę w misce z jogurtem.

– Podjęliśmy odpowiednie działania. Nie pozostawiliśmy go samemu sobie. Był obserwowany aż do góry Bolu. Dopóki nie dotrze do celu, będziemy też dostawać wieści z chanów, w których zatrzyma się na noc.

– Nim zajmiemy się później, Hüsrevie. Nie zamierzamy go zostawić, ponieważ przegapił posiłek. Na pewno jest coś, co lubi. Położymy to przed nim.

Obaj zarechotali drwiąco.

Hüsrev przełknął jedzenie i upiwszy następny łyk wina, odezwał się:

– Jednak zdaje się, że jego rozmowa przyniosła efekty.

– Doprawdy? Jakże?

– Chodzą pewne plotki. Podobno nasz zaczął stronić od kobiet. Pozostał przy jednej. Od trzech dni nie dotknął żadnej innej.

– Tylko popatrz... Po takiej rozpuście? A bękarty? Co z nimi będzie? Przecież nie możemy ich pozostawić. Nakryliśmy do stołu. Podany zostanie albo piżmian, albo kapusta. Innego wyjścia nie ma.

Hüsrev pokiwał głową.

– Nie, nie ma.

– A ten sekret? – wyszeptał Beşir Aga mężczyźnie do ucha.

Hüsrev wiedział, że aga jest ciekaw tajemniczej dziewczyny, którą sułtanka matka ukrywała przed wszystkimi.

– Dziś rano dostałem wiadomość. Krawcy przychodzą jeden po drugim.

– Dlaczego? Nie ma ubrań?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Powiem ci coś, co sprawi, że będziesz bardzo zaskoczony, ago.

– Zdarzyło się tyle niestworzonych rzeczy, powiedziano słowa nie do powiedzenia, słyszało się tyle niesłychanych słów, że nie tak łatwo ci będzie mnie zaskoczyć, Hüsrevie. Mów, co masz do powiedzenia.

– Podobno ona też jest zaproszona na jutro. Ptaszki wyśpiewały mi do ucha, że zabierze ze sobą dziewczynę.

Beşir Aga otworzył usta ze zdumienia. „Jak to? Sułtanka *valide* Nurbanu również będzie oglądać zmagania Piżmianów i Kapustników?”, pomyślał. To było coś niespotykanego. Nie widziano ani nie słyszano, żeby kobieta oglądała żołnierski turniej. A do tego miała wyciągnąć na światło dzienne tajemniczą dziewczynę, którą od dwóch lat ukrywała nawet przed słońcem?

– Cały wczorajszy dzień spędzili na rozstawianiu namiotu naprzeciwko tarasu.

To było jeszcze bardziej niezwykle. Dziwniejsze od tego, że wielki wezyr Mehmed Pasza nie wracał z polowania, a Kara Mustafa pośpiesznie wyruszył w drogę do Erzurum.

„Coś się dzieje – przeczuwał aga. – Nie wiem co, ale coś się dzieje”. Jednak teraz nie mogli się już zatrzymać. Nie byli w stanie dłużej chronić swojej tajemnicy. Skoro aż do teraz udało im się pozostać w ukryciu – oczywiście, jeśli jak się obawiał, Kara Mustafa nie wyda ich w ostatniej chwili, to musi coś się wydarzyć albo wszyscy zginą.

– Napięliśmy już łuk – wycedził. – Strzała już wystrzeliła albo zaraz wystrzeli.

– Mówiłeś coś, ago? Nie zrozumiałem.

Beşir otrząsnął się.

– Powiedziałem: „Dobrze”, Hüsrevie. Więc wszyscy dowiedzą się, jak się gotuje piżmian. Jutro wszyscy zaproszeni skosztują piżmianu lub kapusty. Wypijmy.

Kiedy stukali się kielichami, trochę wina wylało się z nich na podłogę.

– Upiliśmy się – zachichotał.

Beşir Aga miał mętlik w głowie. „Proszę, proszę – powtarzał nieustannie w myślach. – Więc zaprosił też matkę? Po co ma zabrać ze sobą dziewczynę? Jak ona miała na imię? Safiye? Co ona miała tam robić?”

Alkohol sprawiał, że robił się coraz bardziej ospały. Rozejrzał się przekrwionymi oczami. „Chodź, Nurbanu – pomyślał. – Cokolwiek planujesz, zabierz ze sobą tę małą nierządnicę. Zobacz na własne oczy, jak Imperium Osmańskie rozprawia się, z kim trzeba, i zamyka wenecki rozdział”.

XXIII

Nowy Pałac, trzeci dziedziniec

Przed wejściem do Pawilonu Jeździeckiego

Na widok bram pałacu wychodzących na Hipodrom, zwieńczonych spiczastymi kopułami, Safiye wykrzyknęła oczarowana:

– *Mamma mia! Molto bella!*

– Safiye! – W głosie sułtanki Nurbanu dało się słyszeć raczej wyrzut niż naganę. – Wybij sobie wreszcie z głowy ten włoski.

Roztaczał się przed nią tak wspaniały widok, że nie zdawała sobie sprawy z tego, co mówi i jak wyraża swój podziw.

Sułtański powóz toczył się ciężko między rzędami wierzb rosnącymi po dwóch stronach, w otoczeniu służących odzianych w kolorowe szaty błyszczące w słońcu. Sześć koni ciągnących powóz Nurbanu sprawiało wrażenie, jakby wiedziały, kogo wiozą. Nieśpiesznie klusowały, unosząc smukłe nogi i dumnie machając grzywami. Równie świetnie prezentowały się konie, na których przyjechała jednostka spahisów, która wyjechała im na powitanie. Mimo to sprawiały wrażenie, jakby pozazdrościły koniom przy powozie sułtanki matki – wyciągnęły szyje i opuściły łby.

Gwardziści mieli na sobie żółto-czerwone kaftany z turkmeńskiego jedwabiu. Każdy z nich był uzbrojony i odziany w zbroję i kolczugę. Safiye patrzyła na nich z zaciekawieniem, kiedy ich powóz przejeżdżał przed nimi. „Boże, jacy oni są przerażający – myślała. – Gdyby wysłać ich na Wenecję, republika w jednej chwili wciągnęłaby na maszt białą flagę”. Pod stalowymi hełmami widać było jedynie czarne wąsy olbrzymich mężczyzn. Przyciskali do piersi wielkie tarcze, które mieli w lewych dłoniach. W prawych natomiast dzierżyli ostre, zakrzywione kopie. „Jednym uderzeniem mogliby ściąć dziesięć głów”, pomyślała z drżeniem. Dalej z przodu tak samo ustawiona była służba. Czarnoskóre służące, smukli paziowie w dziwnych, białych turbanach, służący, kucharze...

– Oni wszyscy pracują w pałacu?

Nurbanu skinęła głową.

– Oni wyszli nas przywitać.

– Jest ich więcej?

W tej samej chwili Safiye usłyszała ryczący głos: „Stać!”. Przeraziła się. Dalej po prawej stronie znajdowała się grupa w czerwonych strojach i czerwono-białych nakryciach głowy. Stojący przed nią mężczyzna o bujnych, podkreślonych wąsach zawołał tym razem:

– W imię Boga Litościwego i Miłosiernego!

Żołnierz, który stał za parą kotłów znajdujących się dokładnie naprzeciwko grupy, zaczął miarowo uderzać w nie pałkami z główkami wielkości ludzkiej głowy. Safiye miała wrażenie, że to niebo się wali.

Meleknaz, widząc przerażenie dziewczyny, pośpieszyła z wyjaśnieniami:

– Orkiestra janczarów uderzyła w kotły. Tak nazywają się te ogromne bębny. Imperium Osmańskie tak samo wyrusza na wojnę. Bębniarz wyznacza rytm, za którym

podąża muzyka.

Wojsko weneckie też miało swoją orkiestrę, ale nie była tak liczna, tak wspaniała i poruszająca jak oni. „Ten, kto usłyszy dźwięk kotła, pomyśli, że zaczął się ostrzał z dział”, przeszło przez myśl Safiye.

W tej samej chwili znajdujący się w grupie po prawej stronie bębniarzy mężczyźni trzymający dzwonki wydobyli z nich dźwięk, podnosząc i opuszczając ręce. Następnie dołączyły do nich klarnety i trąbki i rozpoczęła się radosna melodia. Na koniec zabrzmiały męskie głosy, śpiewając pieśń, którą Safiye nie do końca rozumiała, ale od razu pojęła, że jest ona dedykowana jej starszej kuzynce.

Państwu Osmana dała zapal, a stolicy światło,

Selimowi Chanowi – ducha, Muradowi – życie.

Wzięła światło z najwyższego nieba i zeszła na ziemię.

Nurbanu, która napelniła nasze serca wiarą.

Safiye spojrzała na swoją starszą kuzynkę błyszczącymi oczami. Starła się tego nie okazywać, ale było oczywiste, że pękała z dumy.

– Śpiewają dla ciebie?

Sułtanka matka tylko skinęła głową.

Sułtański powóz minął bramę zwieńczoną spiczastymi kopułami i wjechał na pierwszy dziedziniec. Grupa żołnierzy odzianych w zielone stroje i czerwone, skórzane ciżmy, o buntowniczo zadartych czubkach, w jednej chwili skrzyżowała ramiona i kładąc dłonie na ramionach, pokłoniła się, pozdrowiwszy matkę padyszacha.

Safiye zauważyła, że czekają na nich przy drugiej bramie, na końcu dziedzińca. Kiedy powóz ją przekroczył i znalazł się na drugim dziedzińcu, po lewej stronie ukazał się budynek Enderunu, po prawej kuchnia pałacowa, a dokładnie naprzeciwko Pawilon pod Kopułą, w którym zbierała się Rada Pałacowa.

Zdziwiła się. Nawet posiadłość średnio zamożnego weneckiego kupca była wystawniejsza niż to miejsce. Szczególnie gdy przypomniawszy sobie Pałac Dożów na placu Świętego Marka, ta konstrukcja wydawała jej się bardzo skromna.

– Czy to właśnie jest ten Nowy Pałac, o którym mówiłyście? – Jej głos zdradzał rozczarowanie.

– Tak – odpowiedziała Nurbanu sucho. – To stąd potomkowie Osmana od stuleci rządzą światem.

– Padyszach. – Zamilkła na chwilę w obawie, że niepoprawnie wymówi jego imię.

– Mu-rad tu mieszka?

– Murad – poprawiła ją sułtanka matka. – Nie wymawiaj imienia mojego syna, dzieląc je na sylaby.

– Muurad...

„Jak poradzimy sobie z tą dziewczyną?”, mruknęła w duchu Nurbanu.

– To tutaj mieszka padyszach Murad?

– Tak.

– Tu znajduje się harem?

– Ten jest w Starym Pałacu.

Tego właśnie nie mogła zrozumieć.

– Więc nie ma tu dziewcząt?

– One są w Starym Pałacu – próbowała wytłumaczyć jej sułtanka matka, podczas gdy powóz jechał dalej, kołysząc się na boki.

– Jak to możliwe? Ja nie rozumiała... Czyli dziewczęta są tam, a Murad tutaj?

Meleknaz odwróciła głowę do okna, żeby ukryć śmiech.

Nurbanu z ukosa spojrzała na swoją damę dworu.

– Możliwe, moja piękna – powiedziała i zwróciła się do Safiye: – Sułtan wzywa tu dziewczynę, której chce. W niektóre wieczory sam udaje się do swoich komnat w Starym Pałacu.

Safiye spojrzała na nią z miną niesfornego dziecka.

– A jak będzie ze mną? – zapytała cicho. – Zostanę tutaj czy tam?

– Kiedy wzniesiono ten pałac, Stary Pałac zmieniono w harem. Tutaj przeprowadza się jedynie faworyta, której syn zostaje padyszachem, a ona sułtanką *valide*. Wszystkie kobiety i dziewczęta mieszkają w Starym Pałacu. Jediną kobietą w Nowym Pałacu jest sułtanka matka...

– Czyli ty?

Nurbanu próbowała się uśmiechnąć.

– Teraz ja. – Później obróciła się do dziewczyny. – Ten zwyczaj został złamany w czasach mojej matki Hürrem. Kiedy sułtan Sulejman zakochał się w Hürrem, przeznaczył tutaj dla niej komnaty. Sułtanka Hürrem była pierwszą kobietą, która mieszkała tu oprócz sułtanki matki.

– A ty? Co ty zrobiłaś? W którym...

Nurbanu zaczęła chichotać.

– To samo, co zrobiła moja matka Hürrem. Kiedy Selim Chan został padyszachem, wprowadziłam się do Nowego Pałacu.

– Dlaczego później się z niego przeniosłaś?

Nagle spojrzenie Nurbanu spochmurniało.

– Tak należało – odezwała się cicho. – Czym innym jest wiedzieć, że trzeba dzielić się swoim mężczyzną z innymi kobietami, a czym innym z nimi mieszkać, Safiye. Wenecka krew płynąca w moich żyłach nie mogła tego znieść.

– Twój mąż miał wiele kobiet?

Meleknaz spojrzała na dziewczynę, ściągnawszy brwi.

Sułtanka *valide*, zamiast odpowiedzieć, popatrzyła przez okno na ustawione rzędem damy dworu czekające, żeby pomóc jej wysiąść z powozu.

– Miał więcej kobiet niż Murad?

Powóz zakołysał się delikatnie i zatrzymał. Drzwi się otworzyły. Safiye zobaczyła dwóch służących, którzy podbiegli do powozu i rozłożyli schody. Wyciągnęli ręce do Nurbanu, która podniosła się, naciągając na siebie poły swojego kaftana obszywanego futrem.

– Chodź, sułtanko Safiye – odezwała się dźwięcznym głosem. – Postaw pierwszy krok w swoim przyszłym domu. Dalej pójdziemy.

Safiye, gdy tylko wysiadła z powozu, ujrzała wspaniały ogród ciągnący się po lewej stronie. Otoczyły ją błękit morza znajdującego się na dole, zieleń ogrodu i barwy tysiąca gatunków róż. Wydawało jej się, że niektóre róże uniosły głowy i spoglądały na nią z zaciekawieniem, jakby pytały: „Kim jest ta nowo przybyła?”. Jednak większość z tych róż różowych, białych, żółtych, szkarłatnych i o barwach, których nigdy wcześniej nie widziała, zupełnie się nią nie przejmując, wpatrywała się w błękitne, ciągnące się po horyzont morze. W powietrzu poczuła niesamowitą harmonię zapachów.

– To ogród różany – wyjaśniła Nurbanu, widząc jej pełne podziwu spojrzenie. – Schodziłyśmy tu każdego dnia. Siadałyśmy w tej altanie na wprost i gawędziłyśmy. Jeśli ci się nie podoba, każesz zrobić nowy.

Safiye nie mogła uwierzyć, że Nurbanu uważała tę sprawę za przesadzoną. Przekonamy się, czy spodoba się padyszachowi. „Nawet jeśli ja mu się spodobam – przeszło jej przez myśl – nie wiem, czy on spodoba się mnie. Może być padyszachem, ale nic na to nie poradzę – jestem Baffo, Cecilia Sophia Baffo, nawet jeśli tutaj nazywają mnie Safiye!”.

Sułtanka matka wkroczyła do ogrodu w otoczeniu armii dam dworu i służących. Jedna z dziewcząt trzymała brzeg jej sukni sunacej po ziemi. Safiye przyśpieszyła, żeby ją dogonić, ale Nurbanu już zdążyła dotrzeć do altany. Usadowiła się wygodnie na otomanie i wskazała miejsce Safiye.

– Najpierw się czegoś napijmy.

– Dobrze nam to robi – przyznała dziewczyna. – Zaschło mi w gardle.

– To z ekscytacji.

Podczas gdy służące podawały im napoje, Nurbanu spojrzała na kuzynkę.

– Boisz się?

Bała się, i to śmiertelnie, mimo to ściągnęła ramiona i odpowiedziała zdecydowanie:

– Baffo niczego się nie boją. Dlaczego miałabym się bać?

„Głupia dziewczyna – przeszło przez myśl Nurbanu. – Boją się tak bardzo... że same przed sobą obawiają się do tego przyznać”.

Z aprobatą pokiwała głową.

– Nie ma powodu. Usiądziemy i będziemy oglądać zmagania Piżmianów i Kapustników. Nie wiadomo, czy sułtan cię zobaczy. Wokół pojawi się wielu fałszywych pochlebców. Ty zaś, w tym całym zamieszaniu, chociaż przez chwilę zobaczysz mojego syna. Ważne, żeby zrobić pierwszy krok, nieprawdaż?

– A jeśli mu się nie spodobam?

– Spodobasz się.

Safiye nie była do końca przekonana. Nie wiedziała, czy chce, żeby spodobała się padyszachowi. Jeśli spodoba się Muradowi, odmieni się jej życie – na lepsze lub gorsze. Albo zostanie sułtanką, albo miłosną niewolnicą. Według jej starszej kuzynki spodoba się jej synowi, który weźmie ją sobie za żonę i włoży na głowę koronę. A jeśli mu się spodoba, weźmie ją do łóżka, a po kilku dniach ją zostawi i o niej zapomni? A jeśli stanie

się jedną z miłosnych niewolnic ze Starego Pałacu? A jeśli pewnej nocy także i ona razem z sześcioma innymi dziewczętami urodzi sułtanowi dziecko? Jeśli tak ma się stać, to lepiej, żeby mu się nie spodobała. Poza tym być może, jeśli syn Nurbanu jej nie zechce, ta zasmuci się i odeśle ją z powrotem do Wenecji.

„Żeby tylko mu się nie spodobała, żeby tylko mu się nie spodobała”, powtarzała w duchu. Ale co wtedy będzie z jej dumą? Jak to możliwe, żeby Wenecjanka, a do tego jeszcze Baffo, została odrzucona przez potomka Osmana? „Nie mam innego wyjścia, jak tylko wyczytać z jego oczu, czy mu się spodobałam, czy nie – powiedziała sobie. – Jeśli zauważę, że nie przypadłam mu do gustu, muszę go wyprzedzić. Pójdę do Nurbanu i powiem: «Wybacz. Twój syn mi się nie spodobał. Nie mogę zostać jego żoną i królową Imperium Osmańskiego. Znajdź dla niego inną dziewczynę»”.

Tak właśnie musi postąpić.

Safiye, popijając herbatę lipową z filiżanki, nad którą unosiła się para, i rozkoszując się jej cudownym aromatem, jednocześnie badała wzrokiem otoczenie. Wszystko ozdobiono czerwonymi, niebieskimi i zielonymi proporcami, które łopotały w porywach wiatru wiejącego od morza. „Odgłos świetności”, przeszło jej przez myśl.

Nawet na drzewach zawieszono kolorowe latarnie, które wieczorem miały wypełnić ogród światłami w tych samych trzech kolorach. W tym pozornie skromnym pałacu kryła się taka potęga, że zapierało dech w piersiach. „Skoro tak wygląda ogród, jak musi być w środku?”, zastanawiała się. Jeżeli stroje żołnierzy, służących i paziów były tak wystawne, co miał na sobie padyszach, którego – zgodnie z wolą swojej kuzynki – miała oczarować, wykorzystując cały swój wdzięk, żeby zostać jego żoną?

Poczuła, że ogarnia ją coraz większe zniecierpliwienie. Nagle poderwała się z miejsca.

– Niech się dzieje, co chce.

– Słucham, moja śliczna? Mówiłaś coś?

Safiye, zrozumiała, że wypowiedziała swoje myśli na głos, próbowała się uśmiechnąć.

– Na co jeszcze czekamy? Czy nie miałyśmy udać się do miejsca, w którym będzie odbywał się turniej?

Widząc, że nawet Meleknaz uniosła głowę i spojrzała na nią z niedowierzaniem, domyśliła się, że nikt nie spodziewał się takiego pytania. Jednak na twarzy sułtanki *valide* malował się wyraz zadowolenia.

„Mój motyl jest gotowy do lotu”, powiedziała do siebie Nurbanu. Zamiast odpowiedzieć, klasnęła. Natychmiast pośpieszyła do niej czarnoskóra służąca, która do tej pory stała przy schodach do altany, z rękoma splecionymi na brzuchu i pochyloną głową. Głęboko pokłoniła się sultance *valide* i czekała na jej rozkazy.

– Czy nasza córka sułtanka Ismihan już przybyła, Sefai?

– Przybyła, sułtanko matko – odpowiedziała kobieta. – Udała się prosto do Pawilonu Jeździeckiego.

– Czy była sama?

Siwiejąca Sefai, która przybyła do pałacu jako dziecko, była wystarczająco doświadczona, żeby natychmiast pojąć, co ma na myśli matka padyszacha. Sułtanka

w rzeczywistości chciała się dowiedzieć, czy przyjechał wielki wezyr Mehmed Pasza.

– Była sama, pani.

„Wspaniale... To znaczy, że pasza dotrzymał słowa”. Niech on ugania się za jeleniami na polowaniu, a Kara Pasza zamknie tę sprawę. Niech zdusi spisek. Słamsi zdrajców.

– A nasza bratowa sułtanka?

– Sułtanka Mihrimah przybyła wcześniej rano. Jej najstarszy syn Osman ma dziś rzucać oszczepem w drużynie Piżmianów. Oboje wyglądali na bardzo podekscytowanych.

„Dlaczego tracimy czas na te głupie pytania? – mruknęła w duchu Safiye. – Co mnie obchodzi, kto przyjechał? Chodźmy już tam, dokąd mamy pójść. Niech wszyscy zobaczą to, co mają zobaczyć. I niech skończą się ta niepewność i podenerwowanie”.

Sułtanka *valide* podniosła się z otomany, zupełnie jakby czytała w myślach swojej kuzynki. Natychmiast podbiegły dwie damy dworu, żeby poprawić jej kaftan. Meleknaz upewniła się, czy tiule przy nakryciu głowy jej pani i dwa rzędy pereł i rubiny spływające jej na czoło są na swoim miejscu.

Nurbanu uśmiechnęła się do kuzynki, czekając, aż służące ułożą jej ubranie.

– Zrozumiałaś, co zrobiłyśmy, sułtanko Safiye?

– Słucham? – odezwała się.

Jednocześnie burknęła w myślach: „Do diabła! Przestań wreszcie nazywać mnie sułtanką. Jak to mówią Turcy? «Nie podwijaj spodni, dopóki nie zobaczysz rzeki». Skoro w pobliżu nie ma żadnej rzeki, przestań wzbudzać moją ciekawość, podwijając mi spodnie”.

– Zrozumiałaś, dlaczego usiadłyśmy tu i poczekałyśmy chwilę?

W końcu poprawki przy stroju się skończyły. Kiedy otoczone damami dworu ruszyły w stronę alei porośniętej z dwóch stron palisadą z tuj, Safiye spojrzała na nią, dając do zrozumienia, że nie pojmuje, o co chodzi.

– Jeśli ktoś jest ponad tobą, nie wolno ci się spóźnić, żeby mu nie uchybić. Jeśli to ty stoisz wyżej, nie przybędziesz wcześniej i nie będziesz czekać, gdyż to tobie należy oddać szacunek. Jako sułtanka *valide* stoimy wyżej w hierarchii niż nasza córka i sułtanka Mihrimah. Nie wypada, abyśmy to my przybyły do Pawilonu Jeździeckiego wcześniej i czekały na nich...

– A żona padyszacha?

Safiye nie spostrzegła nawet, jak bardzo jej pytanie zaskoczyło kobietę i jak szybko obróciła głowę, żeby na nią spojrzeć.

– To było niemądre. Nie ma się tu nad czym zastanawiać. To oczywiste, że żona wielkiego padyszacha stoi najwyżej. Najpierw żona sułtana, a później jego matka... Czyż nie?

– Nie. – Głos sułtanki matki Nurbanu zabrzmiał srożej, niż zamierzała. – Nie jest tak. Nikt nie stoi ponad matką padyszacha. Taka jest tradycja, odkąd istnieje ten pałac. W czasach sułtana Mehmeda Zdobywcy też tak było. Kiedy moja matka Hürrem została żoną sułtana Sulejmana, jej miejsce było za matką padyszacha sułtanką matką Hafsą. Dopiero kiedy sułtanka Hafsa zmarła, Hürrem została pierwszą kobietą w państwie.

Zamilkła na chwilę, żeby nabrać powietrza, jednocześnie starała się zobaczyć reakcję Safiye. „Wenecka maska – mruknęła w duchu. – Założyła na twarz maskę”.

– Teraz kolej na sułtankę *valide* Nurbanu, żonę sułtana Selima, matkę sułtana Murada Chana. Tak długo, jak żyjemy, nie ma w Imperium Osmańskim ważniejszej kobiety od nas.

„Rozumiem”, pomyślała Safiye. Głos i spojrzenie starszej kuzynki wystarczyły, żeby zrozumieć, że w przyszłości to ona zajmie jej miejsce.

– Najpierw ja, później ty – mruknęła.

„O wszystko będę pytać sułtanki *valide* Nurbanu. Sułtanka Safiye zostanie jej służącą, zabawką jej syna!”. Poczula, jak narasta w niej bunt, a w sercu rodzi się żądza, ale udało jej się tego nie okazać.

– Zrozumiałaś, dziecko?

Miała wrażenie, że głos sułtanki dochodzi z bardzo daleka, aż zza gór. Skinęła głową.

– Najpierw sułtanka *valide*, później jej synowa, żona sułtana.

– Właśnie tak. Ty również będziesz postępować zgodnie z tą zasadą, kiedy nadejdzie czas. Taka jest tradycja. Tak jak powiedziałaś: „Najpierw sułtanka *valide*, później jej synowa, żona sułtana”. Nikomu nie wolno przychodzić po nas, a tam, gdzie my pójdziemy, chcemy widzieć ciebie.

– A jeśli synowa sułtanka – zaczęła pozornie żartobliwym tonem – urodzi i zostanie sułtanką matką... Kolejność się nie zmienia?

Nurbanu nagle się zatrzymała. Zanim Safiye to zauważyła, zdążyła przejść jeszcze dwa kroki, wyprzedzając ją. Kiedy się odwróciła, wyraz twarzy kobiety wzbudził w niej strach.

– Nie zmienia się – syknęła i ponownie ruszyła z miejsca. – Kolejność nie zmienia się, dopóki nie umrze sułtanka *valide*. Zapamiętaj to sobie.

Safiye skinęła głową. Już dawno to zapamiętała: „Kolejność nie zmienia się, dopóki nie umrze sułtanka *valide*. Możesz tak myśleć – mruknęła w duchu Safiye, podążając za kobietą. – Szukasz cienia, a ja nie zamierzam nim być”.

XXIV

Kiedy doszły do bramy ukrytej wśród pnączy, które ukazały się przed nimi jak ściana, po drugiej stronie znów rozległy się dźwięki kotłów, dzwonek i rogów. Przeszły przez bramę. Przed nimi rozciągał się plac, na którym czekały tysiące ludzi.

Safiye zaparło dech w piersiach. Nigdy wcześniej nie widziała takiego bogactwa i piękna w jednym miejscu.

– To wspaniałe... cudowne... – westchnęła. – Zupełnie jak sen.

– Pawilon Jeździecki.

– To Pawilon Jeździecki?

– Tak – odpowiedziała Nurbanu. – Kiedy padyszach ma wsiąść na konia, doprowadzają zwierzę przed taras, żeby sułtanowi łatwiej było wsiąść. Taki panuje zwyczaj.

Dziewczyna nie chciała, żeby umknął jej choć jeden szczegół. Po lewej stronie znajdował się imponujący parterowy budynek. Przed należącym do niego tarasem, ozdobionym niewiarygodnymi płaskorzeźbami i podtrzymywanym przez cztery kolumny, rozciągały się bezkresne, soczyście zielone błonia. Po prawej stronie budynku z tarasem ustawiono wielki i długi namiot, ozdobiony różnokolorowymi jedwabiami, który na pierwszy rzut oka wydawał się otwarty z przodu. Przed namiotem poruszyło się kilka cieni. Dopiero wtedy pojęła, że jego przednia część jest w całości przesłonięta tiulem. A cienie, które zobaczyła, należały do ludzi znajdujących się za tiulową zasłoną.

Po lewej stronie tarasu na dziewięciu masztach szaleńczo łopotwały trzy czerwone, trzy niebieskie i trzy zielone proporce. Jeszcze dalej po lewej stronie na dziewięciu drzewcach powiewały po trzy białe i czarne, długie włókna. Safiye widziała coś takiego po raz pierwszy.

– Co to za wełna? – zapytała, wskazując je.

Meleknaz w jednej chwili opuściła jej wyciągniętą rękę.

– Buńczuki padyszacha. To nie wełna, ale końskie włosie. Nie pokazuj więcej niczego ręką. Tutaj to niestosowne.

Nagle serce zaczęło jej tłuc jak oszalałe. Na środku tego wspaniałego, zadaszzonego tarasu znajdowało się podwyższenie, a na nim przepiękna sofa.

Sofa?

„Safiye, co ty wygadujesz? – zbeształa się. – To tron! Wielki Jezu! To tron Imperium Osmańskiego!”

Był pusty. Padyszach nie przybył. Przypomniała sobie słowa Nurbanu. Skoro sułtanka *valide* stoi najwyżej w hierarchii kobiet, pierwszym w hierarchii mężczyzn jest oczywiście padyszach. Nie zamierzał przychodzić i zasiadać na tronie, dopóki nie pojawiła się jego matka.

Stał na podwyższeniu, do którego prowadziły trzy stopnie, na których rozłożono dywany, z daleka wyglądające na jedwabne. Tron nie był złoty, tak jak go sobie wyobrażała. Nie wyglądał jak coś, co miałoby pozostawić w cieniu potęgę tego, kto na nim zasiada. Był prosty, ale okazały. Był wytworny. Wzbudzał w człowieku szacunek. Obity był bordowym aksamitem. Po dwóch stronach leżały dwie duże poduszki. Oparcie

kończyło się na wysokości talii. Jedyne błyszczący element tronu sułtana Murada znajdował się właśnie na oparciu i podłokietnikach. Ryt ciągnący się przez całą długość oparcia przypominał pozłaczony warkocz. Ze środka okrągłych, obitych tkaniną oparcie zwisały wiązki złotych frędzli sięgających aż do podłogi.

– Nie spodziewałam się, że on będzie tak wyglądał – odezwała się Safiye, jakby mówiła do siebie.

– Co?

– Tron. Wyobrażałam sobie, że jest bardziej wytworny. Ze złota i z diamentów... Nurbanu uśmiechnęła się.

– To nie jest tron Imperium Osmańskiego – powiedziała. – Właściwy tron znajduje się w sali audiencyjnej. To sofa przygotowana dla naszego syna. – Zamilkła na chwilę. – Poza tym – ciągnęła z wyrazem, jakby dawała lekcję – to ten, kto zasiada na tronie, daje tronowi władzę, a nie odwrotnie.

Safiye nie wiedziała dlaczego, ale kiwając głową, dała do zrozumienia, że spodobały jej się te słowa. „Nadejdzie dzień, kiedy i ja to uczynię – pomyślała. – Dam mojemu tronowi władzę”.

Po prawej stronie tronu stali w rzędzie mężczyźni w wysokich turbanach. Zarówno ich przedziwne nakrycia głowy, jak i kaftany były białe. Niektórzy mieli białe, inni czarne brody. Wszyscy czekali, splótszy ręce na brzuchu. Za nimi w trzech rzędach ustawieni byli urzędnicy różniący się między sobą strojem. Po lewej zaś stali mężczyźni o podkręconych, bujnych wąsach, w czerwonych kaftanach i białych, spiczastych czapkach.

Na łące zaś po jednej stronie pod zieloną chorągwią byli mężczyźni w strojach tej samej barwy. Było ich około trzystu. Dokładnie naprzeciwko nich czekała grupa w niebieskich uniformach. Nad ich głowami powiewała czerwona chorągiew. Członkowie każdej z tych drużyn mieli na głowach czapki w kolorach strojów, przypominające kształtem miski na zupe.

– Zieloni to Kapustnicy – wyjaśniła szeptem Meleknaz. – Niebiescy to Piżmianie. Widziałas te kolumny? – Kobieta wskazała dwie białe kolumny znajdujące się przed zagajnikiem, na końcu błonia. – Jedna to kolumna Kapustników, druga – Piżmianów. Zauważyłaś kapustę i piżmian na ich szczytach?

„Nie zauważyłam – pomyślała zniecierpliwiona Safiye. – Nie obchodzi mnie ani piżmian, ani kapusta. Ja myślę o tronie i padyszachu, który na nim zasiądzie”.

Kiedy sułtanka matka pojawiła się w bramie wychodzącej na błonia, kotły, dzwonki, klarnety i trąbki ucichły. Safiye ujrzała, że wszyscy się odwracają i kłaniają głęboko.

W szeregach Piżmianów i Kapustników w jednej chwili zadudniło. Safiye kątem oka dostrzegła przyczynę tego dźwięku. Setki mężczyzn w tym samym czasie uderzało się w piersi na zmianę prawą i lewą ręką. Uderzenia wielkich, silnych, męskich dłoni o skórzane marynarki, które mieli na sobie, wydawały dźwięk przypominający człowieka o dreszcz.

– Chodź – szepnęła Nurbanu, nie odwracając głowy.

Kroczyła dumnie wyprostowana niczym statua. Przez chwilę przypominała Safiye

figurę Matki Boskiej, jaką widziała w kościele w Wenecji. Przyspieszyła kroku i podążyła za nią.

– Nie myśl, że patrzą na mnie. – Dziewczyna słyszała głos Nurbanu, ale jej usta nawet nie drgnęły. – Wiedz, że wszystkie spojrzenia skierowane są na ciebie. Idź tak, jak cię nauczyłam. Jesteś piękna, jesteś bardzo piękna. Unieś głowę, jakbyś miała sięgnąć nią nieba. Promienie niczym słońce.

„Naprawdę taka jestem? – zapytała w duchu Safiye. – Czy naprawdę jestem taka, jak mówi? Najświętsza Panienko, dopomóż mi. Nie pozwól, żebym ściągnęła na siebie wstyd”.

Gdy doszły do przesłoniętego tiulem namiotu, wszyscy znajdujący się w środku powstali. Najpierw dostrzegła sułtankę Mihrimah, a obok niej sułtankę Ismihan. Starsza kobieta próbowała się podnieść, a Ismihan razem z damami dworu usiłowały ją od tego odwieść. Przechodząc przed nimi, Nurbanu delikatnie skinęła głową do sułtanki Mihrimah.

– Cieszę się, że cię widzę, córko padyszacha.

– Nazwałaś nas tak, kiedy spotkałyśmy się po raz pierwszy. Pamiętasz?

– Jak mogłabym zapomnieć. Odmieniłyście nasz los.

Na twarzy leciwej sułtanki pojawił się wyraz zawstydzenia.

– Nie mówcie tak. To grzech. Kim jest sługa, że miałby odmienić to, co zapisał nam Pan. Pisanie i zmienianie przeznaczenia jest sprawą boską. My jedynie wskazałyśmy drogę, którą On wyznaczył.

Nurbanu lekko obróciła się do Safiye.

– Jak mniemam, poznałyście już naszą kuzynkę.

Mihrimah spojrzała na Safiye, mrużąc oczy.

– Ta piękność jest tą małą dziewczynką, którą spotkałyśmy dwa lata temu?

Safiye, jak surowo jej przykazano, pokłoniła się i ucałowała wyciągniętą do niej dłoń kobiety.

Mihrimah uśmiechnęła się z aprobatą.

– Bardzo wyrosłaś i wypiękniałaś, dziecko. *Maszallah...* Do królowej roztaczającej boskie światło pasuje takie słońce jak ty.

Kiedy Nurbanu wyprostowała się i ruszyła, żeby zająć swoje miejsce, odezwała się cicho do dziewczyny:

– Zdałaś pierwszy sprawdzian. Teraz przed tobą wielka próba.

Safiye zdziwiła się, że siedzisko przygotowane dla sułtanki *valide* było wspanialsze od tronu padyszacha. Co więcej, poczuła się tym dotknięta. „Jak to możliwe? – zapytała siebie. – Dlaczego tron padyszacha wygląda tak biednie w porównaniu z siedziskiem jego matki?”.

Nagle jej umysł przeszła błyskawica. Ujrzała prawdę. „W rzeczywistości to ona rządzi Imperium Osmańskim – sułtanka *valide* Nurbanu, Cecilia Baffo... zdradziecka córka Wenecji... moja kuzynka... Padyszach jest tylko symbolem”.

Przeszła do miejsca, które jej wskazano, po lewej stronie, za sułtanką matką. Teraz i ona dostrzegła, że wszyscy na nią patrzą. Namiot był pełen kobiet, a spojrzenia ich wszystkich były skierowane na nią.

- A zatem to jest ta tajemnicza piękność. – Jedna z kobiet trąciła inną, stojącą obok.
- Sułtanka miała rację. Odbierze zmysły każdemu mężczyźnie, który ją zobaczy.
- Pączek. Żółty pączek. Spójrz tylko na te złote włosy, te oczy i sylwetkę.

Szarawary też ma barwy włosów, jakby pokryte złotem. Nie mogę oderwać od niej oczu. Prostota i wspaniałość, złoto i biel. Można by pomyśleć, że zrodziła się z krzewu róży.

Nagle znów zabrzmiały bębny. Wydawało się, że tym razem mężczyzna z jeszcze większą siłą uderzał wielkimi pałkami. Wszystkie instrumenty jednocześnie się do nich przyłączyły i orkiestra janczarska ruszyła w stronę błyszczącego niczym klejnot tarasu Pawilonu Jeździeckiego. „Co to za pochód? – zachichotała Safiye. – Czyżby tak samo szli na wojnę? – pomyślała. – Jeśli tak, musiałyby minąć rok, zanim dotarliby na miejsce”.

Razem z orkiestrą janczarów wszyscy powstali. Zauważyła, że tym razem nikt nie przeszkadzał wstać sułtance Mihrimah. Wręcz przeciwnie, sułtanka Ismihan jej pomogła. Sułtanka matka ze swojego miejsca nieznacznym ruchem dłoni dała Safiye znak, żeby się pokłoniła.

– Nadchodzi.

Safiye dyskretnie wyciągnęła krzyż, wzywając Ojca, Syna i Ducha Świętego. „Wielki Jezu... Najświętsza Panienko...”.

Poruszyła się gruba, aksamitna zasłona przesłaniająca od sufitu do podłogi drzwi znajdujące się za tronem. „Boże, nadchodzi, nadchodzi – miotała się w duchu Safiye. – Czy zdoła mnie dostrzec?”. Zbiorowisko wypełniające taras Pawilonu Jeździeckiego przybrało powitalną pozycję, przechylając głowy w stronę lewego ramienia i chyląc się w ukłonie.

„Ja chyba umieram – przeszło przez myśl Safiye. – Serce zaraz wyskoczy mi z piersi. Nadchodzi, nadchodzi, nadchodzi... Padyszach... Murad... Nadchodzi... Nadchodzi mężczyzna, który w ciągu jednej nocy siedmiokrotnie został ojcem...”. Mimo że szaleńczo tego pragnęła, nie miała odwagi nazwać go swoim przyszłym mężem.

Uderzenia w bębny stały się jeszcze mocniejsze i szybsze. Nie była w stanie nawet rozróżnić ruchów grającego mężczyzny. Tempo tak bardzo wzrosło, że było oczywiste, iż padyszach zaraz wyjdzie zza zasłony.

Już... Już... Kotara się uchylila...

Dobry Boże!

Safiye w ostatniej chwili przesłoniła usta i stłumiła krzyk niedowierzania.

Boże! Dobry Boże!

Oniemiała patrzyła na tron sułtana Murada.

Z drzwi, w których spodziewała się ujrzeć padyszacha, wyszło sześciu uzbrojonych olbrzymów, którzy ustawili się po obu stronach tronu. W słońcu zapłonęły ostro zakończone kopie, które trzymali.

– No dalej... – mruknęła Safiye.

Nurbanu kątem oka spojrzała na dziewczynę. Uśmiechnęła się, widząc wyraz jej twarzy.

– Już idzie – wyszeptała do niej. – Nadchodzi...

– Nareszcie – mruknął strzelec wyborowy, ukryty między gałęziami. Wszedł na drzewo o północy. Od tamtej pory czekał. I w końcu nadszedł czas. Obserwował, jak

sułtan Murad wysiadł ze swojego powozu i przeszedłszy wzdłuż dwóch rzędów gwardzistów, ciężko wspina się po schodach Pawilonu Jeździeckiego. Za chwilę otworzą się dwuskrzydłowe drzwi znajdujące się dokładnie naprzeciwko i padyszach uda się do sofy ustawionej na tarasie pawilonu, żeby obejrzyć doroczny turniej Piżmianów i Kapustników.

Utkwił spojrzenie w miejscu, na którym miał zasiąść padyszach. Na nim skupił całą swoją uwagę. Kiedy się poruszył, poczuł ból odrętwiałych mięśni. Jego twarz ściągnął grymas. Z ogromnym trudem ujął łuk w prawą rękę. Lewe ramię odrzucił do tyłu i wyciągnął z kołczanu dwie strzały. Jedną chwycił ręką, która ścisnęła łuk, drugą miał między wargami.

– Jestem gotowy – mruknął. – Pokaż się. Wyjdź już i niech tortura na tym drzewie, na którym usadowiłem się jak marcowy kocur, wreszcie się skończy.

Całe ciało miał poranione przez sosnę. Ilekroć się poruszył, wbijały się w nie jakieś wypustki albo ocierał się o grubą korę drzewa. Igły wbijały mu się w czoło i oczy. Kiedy zaczęło świtać, starał się nie poruszać. Kara Pasza spojrzał na niego uważnie: „Liczę na ciebie, Seyidzie Ali Czauszu – powiedział, klepiąc go po plecach. – Wielki Bóg powierzył ci święte zadanie. Ciągłość rodu Osmana zależy od łuku, który napniesz, i strzały, którą wystrzelisz. Od chwili, gdy wdrapiesz się na to drzewo, zamień się w kamień. Niech tylko Bóg wie o tym, że oddychasz. W każdej chwili jakiś przeklęty mężczyzna może zadrzeć głowę i dojrzeć cię wśród gałęzi”.

Kara Pasza miał rację. Nie wchodziło w grę, żeby jakiś człowiek o bystrym oku podniósł wrzawę, wołając: „Ktoś siedzi na sośnie!”. Gdyby został złapany, rozerwaliby go na strzępy, zanim zdążyłby wymówić choćby jedno słowo.

Strzelec oparł brodę o gałąź, nogami objął pień drzewa i kiedy tylko udało mu się zdobyć równowagę, pozostał w bezruchu.

„Nie boję się oddać życia w słusznej sprawie, lecz sąd ostateczny przepelnia mnie lękiem – przeszło mu przez myśl. – Co odpowiem, jeśli Bóg powie: «Powierzyliśmy ci zadanie, Seyidzie Ali. Zawiodłeś. Przez ciebie wygrała zdrada, a lojalność poniosła klęskę. Jak śmiesz stawać przed nami i prosić o pozwolenie wstąpienia do raju?»”.

Kiedy orkiestra janczarska ruszyła w stronę tarasu Pawilonu Jeździeckiego, całe ciało Seyida Alego Czausza napięło się. Przyglądał się, jak sześciu strażników padyszacha otoczyło jego tron. Słońce mieli za plecami. Jednostka Piżmianów stała naprzeciwko nich. To działało na ich korzyść. Strzelec zmuszony był mrużyć oczy, które już zaczynały go piec. Kapustników miał pod większą kontrolą. Stali odwróceny plecami do niego. Oczy strzelca błędziły między obiema drużynami oraz wezyrami, agami, ulemami i uczniami Enderunu, znajdującymi się na tarasie. Nikt nie miał dostępu do miejsca, w którym znajdował się padyszach. Mimo to był gotów. „To zdrada, Seyidzie Ali – nieustannie się ostrzegał. – Bądź ostrożny. Nie można przewidzieć, co uczyni zdrajca. Być może także ma tam swoich ludzi”.

Co gorsza, nie wiedział, kto i skąd przypuści atak.

„To może być każdy – powiedział Kara Pasza. – Obserwuj nawet gwardzistów. Zdrajcą może być nawet najstarszy z wezyrów. Przede wszystkim miej na oku Beşira Age i tę świnię Hüsreva. Z pewnością zatrudnili kogoś, żeby załatwił tę sprawę. Dlatego

musisz być po tysiackroć uważniejszy”.

Postępował więc zgodnie z tym, co mu powiedziano. Był po tysiackroć uważniejszy. Jego umysł, oczy i ręce stały się jednością. Wystarczy, że zdrajca się poruszy, a w jednej chwili napnie łuk i ześle na niego śmierć. Nie usłyszy nawet świstu strzały, która przebije jego pierś i rozerwie mu serce.

Przy drzwiach na taras coś się poruszyło. Padyszach za chwilę się pojawi. A zdrajca zaatakuje...

„A oni to co? – mruknęła Safiye. – Olbrzymi?”. Zaslona uchyliła się, ale zamiast sultana Murada, którego oczekiwała Safiye, wyszło zza niej sześciu olbrzymów. Sześciu przerażających mężczyzn. Strażnicy o nogach i ramionach okrytych stalową zbroją, wielkich tułowiach, odziani w kolczugi, z ostrymi kopiami błyszczącymi w słońcu i hełmami, spod których wyglądały tylko ich czarne podkręcone wąsy i oczy syjące iskry.

Wartownicy ustawili się po obu stronach tronu. Wyglądali jak wykuci z kamienia. Safiye nie dostrzegła, żeby choć raz się poruszyli. Może nawet nie oddychali.

„No dalej – błagała. – Wyszli już strażnicy. Wszyscy tu są. Tysiące ludzi... Ja też tu jestem... Przyjdź wreszcie... Pokaż mi się... Ujrzyj mnie... Mam już dość czekania. Przyjdź”.

XXV

Sułtan Murad był pełen niepokoju, a nawet nieco zmęczony. Przyczyną jego wzburzenia była wizja, którą ujrzał na murach tej nocy, której spotkał się potajemnie z matką. Z upływem czasu coraz mniej sobie ufał. Czy rzeczywiście było to urojenie? A może to prawda? Czy ujrzał lecącą wróżkę? A może stracił przytomność pod wpływem napięcia, strachu, niepokoju, podniecenia i słów matki i zobaczył jakiś sen?

Przed nikim nie mógł się otworzyć, nikomu nie mógł się zwierzyć. Próbował rozmawiać o tym z szejkiem islamu Hamidem Mahmudem Efendim:

– Duch? – odezwał się w końcu mężczyzna po tym, co usłyszał, głaszcząc się po brodzie. – Powiedzieliście duch, panie?

– Tak powiedzieliśmy, hodżo efendi. Czy można zobaczyć sen na jawie? Na jawie.

– Jakby śnić o tym, o czym się myśli?

– Właściwie to nie był sen. Po prostu widziałło. Co powiecie, jeśli powiem wam, że przefrunęło przede mną? Czy jest w księgach miejsce na coś takiego?

– To nie kwestia bożej mądrości, panie. Człowiek może się czasem zamyślić, jednak nie zauważyć, że śni. To, co zobaczy, może być tak rzeczywiste, że sądzi, iż widzi to na jawie.

„Nic podobnego – pomyślał Murad. – Nie spałem. Czuję chłód. Słyszałem odgłos fal uderzających o brzeg. Jakie śnienie?”

Oczywiście nie powiedział nikomu, że potajemnie udał się w nocy na mury.

– Jeśli powiem, że widziałem to tak, jak teraz widzę was, wciąż będziesz utrzymywał, że to sen, Hamidzie Hodżo?

– To oczywiste, panie. Musieliście na chwilę przysnąć.

– Dobrze, więc powiedz mi, co oznacza ujście we śnie wróżki.

– Wróżki, sułtanie?

– Wróżki... Nie widziałem jej skrzydeł, ale jestem pewien, że to była wróżka. Przeleciała tuż przede mną. Wszędzie było ciemno, ale kiedy ukazała się wróżka, to jakby słońce wstało.

Porośnięta białą brodą twarz szejka islamu nagle jakby pociemniała.

– Z pewnością chcieliście powiedzieć „anioł”, panie. W islamie nie ma wróżek. Jednak należy wierzyć w anioły i dżinny. Jest dla nich miejsce w księgach.

– Dobrze, niech będzie anioł. Co symbolizuje anioł? O czym mówi?

– Nasz pan jest ukochanym sługą Wielkiego Pana. Skoro pozwolił wam zobaczyć we śnie anioła, to oznacza, że jest zadowolony z waszej posługi i tego, jak postępujecie. Wynagradza was za wasze dobre uczynki. Najwyraźniej to anioł przyniósł wam tę dobrą wiadomość.

Zamieszanie w namiocie przed Pawilonem Jeździeckim wyrwało sułtana Murada z zamyślenia. Nie miał ochoty podnieść się z miejsca. Był zmęczony. W nocy Bihter znów nie pozwoliła mu odpocząć. Nie pozostało nic, czego by nie zrobiła, żeby mu się przypodobać. Do tego przyprowadziła ze sobą do sułtańskiej łaźni jakąś nową dziewczynę. Na wspomnienie nocy sułtan poczuł, że krew zaczyna wrzeć mu w żyłach. „Nie mogę wyrzucić z siebie szatana”, mruknął ze złością.

Z ponurym wyrazem twarzy obserwował bezgłośnie uwijanie się dookoła. Gdyby wiedział, że nie stanie się to tematem kolejnych plotek, powiedziałby: „Niech nasi Piżmianie i Kapustnicy rozprawią się ze sobą pod naszą nieobecność i poinformują nas o wyniku. Nie będziemy im szczerzyć naszej hojności”.

Na zewnątrz rozległ się dźwięk kotłów. Stopniowo tempo uderzeń zaczynało wrastać. Pałki uderzały w skórę bębna coraz szybciej: „Bum, bum, bum...”.

Przypominający grom odgłos kotłów sprawił, że Murad wrócił do rzeczywistości. „Co ty sobie mylisz? – zbeształ się w duchu. – Po co tu przyszedłeś? Dlaczego wezwałeś na tę męską rozgrywkę swoją matkę? Zapomniałeś, że szukasz wróżki? A jeśli wróżka czeka na ciebie na zewnątrz? Weź się w garść, Muradzie Chanie. Nie rób z siebie pośmiewiska”.

Klepnął dłońmi o kolana i wyprostował się.

– No to chodźmy. Nie każmy dłużej na siebie czekać... – „...wróżce”, dokończył w myślach i ruszył w drogę.

Dwóch olbrzymich gwardzistów otworzyło skrzydła drzwi wychodzących na taras Pawilonu Jeździeckiego. Do mrocznego salonu, do którego grube, aksamitne zasłony nie wpuszczały zbyt wiele światła, wpadła smuga światła. Dwóch janczarów z długimi kopiami, pełniących wartę na zewnątrz, uniosło aksamit przesłaniający drzwi, żeby ułatwić przejście padyszachowi.

Głos tysięcy mężczyzn stłumił nawet dźwięki orkiestry janczarskiej:

– Niech żyje padyszach! Niech żyje padyszach!

Sułtan Murad uroczystym krokiem ruszył w stronę drzwi. Słońce oświeciło jego twarz i w jednej chwili skąpało go w swoim złotym blasku.

„To on? – zapytała siebie podekscytowana Safiye. – Nie widzę. Czy to mój padyszach? Niech ich szlag! Przez tych uzbrojonych olbrzymów go nie zobaczę”.

Wymieniła w myślach wszystkie przekleństwa, które знаła.

Ponieważ słońce świeciło jej prosto w twarz, była w stanie dostrzec jedynie wysoki, biały turban padyszacha i jego kaftan. Twarz Murada niknęła w słońcu.

„Do diabła! – ponownie zaklęła w duchu Safiye. – Wyjdź do przodu, żebym mogła cię zobaczyć”.

Padyszach postąpił trzy kroki.

„Chyba zemdleję – pomyślała znów Safiye. – Zemdleję. Szybko! Niech ktoś uspokoi moje serce”. Miała wrażenie, że serce zaraz wyskoczy jej z piersi.

Podczas gdy Murad wyniosłe posuwał się do przodu, promienie padające na jego twarz zsunęły się z niej. „Tak! – krzyknęła w duchu Safiye. – To on. Sułtan Murad. Boże, widziałam go. Widziałam!”.

Wszyscy stali i powtarzali te same słowa:

– Niech żyje padyszach! Niech żyje padyszach!

Safiye spojrzała na swoją kuzynkę. Nie sposób było opisać wyrazu dumy na twarzy kobiety. Jednak nagle odczytała jeszcze coś oprócz dumy. To był strach!

Sułtan Murad przez chwilę stał bez ruchu przed tronem.

Tak!

„Najświętsza Panienko... – jęknęła Safiye. – Czy to mężczyzna, który jest mi

pisany?”.

Zupełnie nie przypominał padyszacha, którego sobie wyobrażała. Przede wszystkim był wyższy niż przystojny książę z jej marzeń. A może to przez turban sprawiał takie wrażenie? Wyobraziła sobie padyszacha bez niego. „*Może jest niższy ode mnie* – powiedziała do siebie. – Do tego tułów ma krępy i przysadzisty”.

„Wcale nie – sprzeciwił się jakiś głos w jej wnętrzu. – To przez ten kaftan. Nie widzisz, jaki jest bogaty i wspaniały? Ma tylko mały brzuch, to wszystko. Spójrz na to nakrapiane futro. Dobry Boże! Jakie to futro? A co powiesz o tym rubinie wielkości dłoni na jego turbanie? Z pewnością na świecie nie ma drugiego takiego. Jak błyszczy w promieniach słońca!”.

Safiye nie zamierzała od razu się poddać. Nie miała głowy, żeby przyglądać się strojowi padyszacha i jego klejnotom. Żeby zdecydować, czy będzie mogła go pokochać, niepotrzebna jej była świetność ubioru Murada, ale jego twarz. Nie odrywała od padyszacha uważnego, badawczego spojrzenia. Przy ogromnym turbanie jego twarz sprawiała wrażenie niewielkiej, wciśniętej między turban a brodę. Czoło miał zasłonięte. Z tego miejsca była w stanie dostrzec jedynie dwie grube linie, wyglądające spod białego turbanu. A może były cienkie? Jakby nieco kobiece? Nos miał wspaniały. Czy był bardzo duży? Przekrzywiła głowę. Nie, nie był aż tak wielki. Po prostu orli, potężny nos. Natomiast wargi Murada pozostawały niewidoczne za bujną, czarną kręconą brodą.

Nagle zadrżała. Czy on też mnie widzi?

Safiye miała ochotę się skulić, ukryć się za czyimiś plecami, zniknąć mu z oczu.

„Ciekawe, czy ty mu się podobasz – odezwał się tym razem drwiąco głos w jej wnętrzu. – Zastanów się. Nawet wiejskie dziewczęta są bardziej czarujące i odważniejsze od ciebie. Weź się w garść. Zapomniałaś? Jesteś Baffo. Sophia Cecilia Baffo. Taka pozostań”.

„Zapomniałam już, jak mam nią być – mruknęła do siebie. – Zapomniałam. Przecież nie widzę, gdzie patrzy... Poza tym jak ma mnie zobaczyć za tym tiulem?”.

Padyszach przez chwilę przyglądał się drużynom Piżmianów i Kapustników, stojącym na błoniach. Powoli uniósł ramię. W tej samej chwili zamilkły unoszące się pod niebo oklaski i okrzyki oraz muzyka orkiestry janczarskiej. Sułtan Murad usiadł na tronie, przytrzymując kaftan. Jeden ze służących podbiegł, wygładził poły kaftana padyszacha i podłożył mu pod stopy aksamitną poduszkę. Murad zgiął ręce w łokciach i otworzywszy je niczym orle skrzydła, oparł na kolanach. Dopiero wtedy zbiorowisko pod tarasem poruszyło się. Zgromadzeni wyprostowali się delikatnie, ale ci, którzy stali w pierwszym rzędzie, wciąż stali z głowami przechylonymi w stronę lewego ramienia.

Nagle Safiye poczuła się jak rażona piorunem. Sułtan Murad delikatnie się odwrócił i spojrzał ponad ramieniem dokładnie w stronę namiotu sułtanki *valide*. „Nie – pośpiesznie sprzeciwił się jej wewnętrzny głos. – Patrzy w twoją stronę”.

– Wydaje mu się, że dostrzeże coś przez ten przeklęty tiul? – mruknęła do siebie.

„Nie bój się, skoro ty go widzisz, on też cię zobaczy – pocieszył ją głos. – Czy istnieje na tym świecie ktoś, kto nie zauważyłby twojego blasku?”.

Safiye zaczęła odmawiać wszystkie znane jej modlitwy: „Boże, żeby mnie zobaczył. Najświętsza Panienko, spraw, żeby mnie dojrzał”. Rozum błagał: „Obym mu

się spodobała”, duma zaś sprzeciwiała się: „Jeśli mu się nie spodobam, to nie. Byleby to oczekiwanie wreszcie się skończyło”.

I właśnie w tej chwili wydarzyło się coś niespodziewanego. Tiul rozpięty na przedzie namiotu sułtanki matki nieznacznie zafalował. Początkowo Safiye była przekonana, że stało się to za sprawą wiatru, ale błyskawicznie zdała sobie sprawę, że się myli. Zasłona powoli unosiła się coraz wyżej. Zatrzymała się na wysokości głowy sułtanki Nurbanu.

Wtedy Safiye ujrzała oczy sułtana Murada. Duże, czarne oczy. To było zamyślane, a może nawet nieco rozmarzone spojrzenie.

„Wcale nie jest taki zły – odezwał się głos w jej wnętrzu. – A ty co myślisz? Czy nie od zawsze pragnęłaś mężczyzny o takim tęsknym wzroku? Zatem masz tęskne, tkliwe spojrzenie”.

Zgoda, ale nie chciała mężczyzny, któremu w ciągu jednej nocy siedem kobiet urodziło dzieci!

„Boże! To na mnie patrzą te rozmarzone oczy!”.

Safiye mogła przysiąc, że tak było. Nie miała wątpliwości. Padyszach na nią patrzył. Przymknął oczy, jakby coś go raziło. „Ciekawe, o czym myśli”, zastanawiała się w duchu Safiye. „A o czym ma myśleć? – zbeształ ją głos. – Nie zauważyłaś, że padyszach Imperium Osmańskiego obejmuje cię wzrokiem?”.

Murad zapomniał o wszystkim. Od chwili, gdy ją zobaczył, nie był nawet pewien, czy oddycha. „Zatem to jest ta dziewczyna, którą matka ukrywała przed światem”, powtarzał nieustannie. Kiedy tiul przed namiotem, zgodnie z tym, co przykazał, został uniesiony do połowy, jego mroczne wnętrze jakby wypełniło się blaskiem. Słońce świeciło tuż ponad ramieniem jego matki. Spod okrywającej jej głowę białej chusty opadło jej na czoło pasmo złotych włosów. „Mały nosek, kształtne wargi i te oczy... Nawet stąd je widzę. Czy morze bywa aż tak błękitne?”.

Nagle kobieta subtelnie się poruszyła. Pochyliła się do przodu niczym lubieżna fala uderzająca o brzeg. W tej samej chwili jej chusta zsunęła się i złote, jedwabiste włosy spłynęły rzeką na jej ramiona. Pomimo starań dziewczyny biała chusta opadła niżej. Gdyby w ostatniej chwili jej nie złapała, biały tiul wzleciałby w powietrze.

O mały włos przyleciałaby do jego stóp. Dostał gęsiej skórki.

„To jest ten cud, który przepowiadał Şüca Hodża!”, rozległo się wołanie w jego wnętrzu.

Słowo po słowie przypomniał sobie, co powiedział mu Şüca: „Z nieba zejdzie na ziemię wróżka. Słońce będzie zazdrościć jej włosom blasku. Oczy zaś będzie miała ciemniejsze niż noc i jaśniejsze niż dzień. Jej skóra będzie świetlista jak księżyc skąpany w firmamencie w bezchmurną noc... To właśnie ta wróżka ocali naszego pana przed wrogami... Da Imperium Osmańskiemu księcia...”.

Wróżka, której przybycie głosił Şüca Hodża, zstąpiła z nieba.

Tamtej nocy na murach też tak zabłysła, a później zniknęła.

„Dobry Boże! To ona – westchnął. – Moja wróżka...”.

Jednak tym razem nie pozwoli jej odfrunąć.

– Witaj, moja piękna wróżko. Witaj. Sprowadziłaś pomyślność.

XXVI

Czy mój pan życzył sobie czegoś?

Sułtan Murad drgnął wyrwany z zamyślenia.

Kiedy spojrzał w prawo, ujrzał drugiego wezyra Katipzade Ali Paszę nachylającego się nad jego uchem.

– Coś się stało, Ali Paszo?

Leciwy wezyr zdziwił się, ale nie dał tego po sobie poznać. Nie mógł przecież powiedzieć wielkiemu padyszachowi, że słyszał jego słowa: „Witaj, moja piękna wróżko”.

– Sądziłem, że mój sułtan coś rozkazał.

Murad ponownie obrócił głowę w lewo, w stronę namiotu swojej matki. Nie mógł się powstrzymać. Tam była jego wróżka. Przypomniał sobie też jej imię... „Safiye... Tak, Safiye... Dokładnie tak powiedziała zarządczyni Mestane Kalfa: «Ja nazwę ją wierzbową witką, dla mojego sułtana będzie jak krzew róży – jest tak delikatna»”.

Przez chwilę ukradkiem starał się odczytać wyraz twarzy matki. Malowało się na niej stateczne szczęście.

„A więc to ona, matko? – przeszło mu przez myśl. – Ukryłaś przede mną wróżkę?”.

– Panie?

Murad, pochłonięty rozmyślaniami, nie usłyszał nawet głosu Alego Paszy. „Zacząłem coś podejrzewać tej nocy, kiedy dałaś mi białą chusteczkę, mówiąc: «Naszemu synowi potrzebna jest piękność nad pięknosciami, z którą mógłby się ożenić. Poszukamy i znajdziemy kogoś odpowiedniego». Więc sprowadziłaś dla mnie z nieba wróżkę, matko. Wróżkę”.

– Sułtanie? Panie?

Tym razem padyszach usłyszał. Odwrócił się w prawo, z trudem odrywając wzrok od swojej wróżki. Ponownie ujrzał pomarszczoną twarz Katipzade Alego Paszy.

– O co chodzi, paszo? Co tam mruyczysz?

– Ja... – Pasza pochylił głowę. – Wasi słudzy czekają na wasz rozkaz, żeby rozpocząć...

To prawda. Musiał dać znak, żeby Piźmianie i Kapustnicy ruszyli na siebie. Wróżka sprawiła, że o wszystkim zapomniał.

– Niech zaczynają! – Kiedy unosił prawe ramię, jego wzrok napotkał spojrzenie Safiye.

Nagle dwie drużyny, Piźmianów i Kapustników, stojące na obu krańcach niczym wykute z kamienia, poruszyły się. Po jednym z oddziałów Piźmianów, ubranych w szerokie, niebieskie szarawary i sięgające do kolan kamizelki rozchylające się na dwie strony na wysokości brzucha, i Kapustników od stóp do głów odzianych w stroje z zielonego jedwabiu, przewiązane w pasie, ciężkim krokiem ruszyli na siebie.

Zajmujący miejsca pod tarasem, na którym siedział sułtan, z wyjątkiem zebranych w namiocie sułtanki *valide*, oraz zajmujący miejsca na widowni ustawionej z czterech stron błoni, zaczęli wydawać z siebie okrzyki wspierające drużynę, z którą trzymali.

Jeździec mknący galopem po przeciwnej stronie Pawilonu Jeździeckiego ze

stukotem kopyt zatrzymał się przed bogatymi, marmurowymi schodami.

Patrząc na spieniony pysk konia, z trudem łapiącego powietrze i gniewnie uderzającego kopytami o ziemię, było widać, że przybywa z daleka.

Jeździec zatrzymał się przed dwoma janczarami, którzy stali nieruchomo niczym posągi, dopóki mężczyzna nie spróbował zsiąść z konia. Strażnicy skierowali na niego kopie.

– Życie ci niemiłe?! – ryknął czausz, jednym susem pokonując schody. – Wynoś się stąd! Jesteś ślepy? Nie widzisz buńczuków naszego pana? Myślisz, że można ot tak przyjeżdżać sobie do miejsca, w którym znajduje się padyszach?

Jeździec, którego twarz skrywała czarna, skórzana peleryna, puścił jego słowa mimo uszu. Już miał przerzucić nogę przez grzbiet zwierzęcia, gdy czausz wyciągnął z pochwy zakrzywiony miecz.

– Najwyraźniej jesteś nie tylko ślepy, ale też głuchy. Od teraz nie będziesz już musiał nosić tej bezużytecznej głowy.

– Jeśli natychmiast nie schowasz miecza, to ty będziesz tym, który straci głowę.

Co to był za głos? Zdawał się dochodzić jakby z głębi studni, a jednocześnie był wystarczająco blisko, żeby zahuczał w uszach. Był gruby niczym pomruk niedźwiedzia i przebiegły jak syk żmii. Strażnik poczuł, że jego ciało przeszedł dreszcz. Już kiedy zobaczył mężczyznę siedzącego na końskim grzbiecie, wiedział, że nie przestraszy się jego gróźb, ale czegoś takiego się nie spodziewał. Nie wiedział, co robić.

Przybysz ześlizgnął się z siodła i ruszył na niego niczym czarna chmura. Nagle kaptur jego peleryny osunął się na ramiona i ukazała się twarz jeźdźca.

Jak to możliwe?!

Mężczyzna błyskawicznie z powrotem naciągnął kaptur, żeby nikt nie zdołał go zobaczyć.

To, co trzej strażnicy ujrzeli w tej jednej chwili, wystarczyło im. Dwóch janczarów natychmiast zabrało kopie i pozdrowiło mężczyznę. Czausz ze strachem odskoczył w tył. „Już po tobie, synu – powiedział do siebie. – Jeśli ktoś tu pożegna się z głową, to będziesz to ty...”

– Wy... wy... bacz... cie...

Jeździec odepchnął go wierzchem dłoni i doskoczył do schodów. Czausz, obserwując, jak się oddala, ucieszył się.

– Całe szczęście, że mu się śpieszy. Zdaje się, że ocaliliśmy głowy.

Czausz ujrzał, jak uchylły się wspaniałe dwuskrzydłowe drzwi, a mężczyzna wślizgnął się przez szparę do środka.

– Oby to nie było nic złego... Co się dzieje?

Dwaj janczarzy patrzyli na niego pytającym wzrokiem. Poirytowany wzruszył ramionami.

– Odwrócić się!

Janczarzy znów stanęli nieruchomo.

Kiedy tajemniczy jeździec wszedł do Pawilonu Jeździeckiego, wokół aż huczało od okrzyków, kotłów orkiestry janczarskiej i dźwięków surm. Spotkał się wzrokiem ze swoim towarzyszem, który uchylił mu drzwi. To jedno spojrzenie zdało się wystarczyć

im za długą rozmowę. Skinęli do siebie głowami. Podczas gdy przybyły ukrył się w fałdach aksamitnej zasłony zwisającej z sufitu do podłogi, drugi pośpiesznie się oddalił. Ponieważ nie było możliwe, żeby jeździec wniósł do pałacu broń, odpowiednio się przygotował.

Ukradkiem wyciągnął broń z miejsca, w którym ukrył ją dwa dni wcześniej, i schował ją w ciemne sukno za pasem. Starając się nie zwracać niczyjej uwagi, wrócił do salonu i podszedł do kotary, w której przed chwilą schował się jeździec. Broń błyskawicznie znalazła się za pasem przybysza, a drugi mężczyzna szepnął:

– Jest nabita.

– Zacina się?

– To austriacka robota.

Jeździec ocenił, jak szybko będzie w stanie wyciągnąć broń zza pasa. W żaden sposób nie mógł się do niej przekonać. „To zradziecka broń – mawiał, ilekroć gawędził ze swoimi ludźmi. – Broń powinna być szlachetna. Z wrogiem należy skrzyżować stal. Raz on zaatakuje, raz ty. Z wściekłości posypią się z niej iskry. Wygra ten, którego nadgarstek jest silniejszy. A to? Strzelasz z daleka. Paf! I po wszystkim. Być może nawet nie widzisz, kto pociąga za spust. Nie wiesz, kto odebrał ci życie, kogo wysłałeś do piekła”.

Ręka mężczyzny znów powędrowała za pas. Na chwilę ukazał się sztylet, żeby zaraz zniknąć za pasem przybysza.

– Tak jak chciałem?

Odpowiedzią było spojrzenie. Zrozumiał. „Wspaniale – pomyślał. – Nawet jeśli rana nie będzie śmiertelna, trucizna i tak odbierze mu życie”.

Jednym ruchem ramion zrzucił pelerynę i pchnął ją nogą za zasłonę. Spojrzał na taras widoczny przez otwarte, dwuskrzydłowe, szklane drzwi, pomiędzy fałdami zasłony. Wysocy pałacowi urzędnicy stali w rzędzie, odwróceny do niego plecami, i z ekscytacją oglądali zmagania Piżmianów i Kapustników. Był gotowy. Wszedł za zasłonę. Nieśpiesznym krokiem ruszył w stronę drzwi. Na jego widok dwóch służących, którzy przynieśli padyszachowi sorbet, pozdrowiło go z szacunkiem, usiłując nie okazywać zdziwienia. Przeszedł przed nimi dumnie i wyszedł na taras.

– Dżemalu – szepnął jeden ze służących do drugiego – czy widziałeś to co ja?

Dżemal przymknął powieki, jakby chciał powiedzieć: „Widziałem”.

– Był przed chwilą na tarasie?

– Oczywiście, że tam był – odezwał się drugi z wyższością. – Twoje oczy i umysł się starzeją. Nie zauważyłeś takiego wielkiego mężczyzny?

– Twój umysł też się zestarzał, Dżemalu – mruknął do siebie, unosząc kielich.

– Jakbyś ty go widział. Zupełnie jakby sam diabeł popychał paszę. Kiedy obok ciebie przechodził, z jego oczu sypały się skry. Obudź się. Tu coś się dzieje.

Jeździec prześlizgnął się do miejsca, z którego będzie miał dokładny widok na dół tarasu. Podobnie jak inni splótł ręce pod brzuchem.

Nagle ich spojrzenia się spotkały.

Beşir Aga ukradkiem trącił łokciem mężczyznę obok siebie.

– Czy numer jeden nie miał dojechać do Erzurum, Hüsrevie?

– Dojechał, ago – odpowiedział mężczyzna, nie odrywając wzroku od turnieju.
– Jak blisko musi znajdować się ten Erzurum, skoro tak szybko do niego dojechał i wrócił.

Hüsrev odwrócił się nieco i zamarł.

Kara Mustafa Pasza wpatrywał się w niego płomiennym wzrokiem.

Safiye starała się, najlepiej jak umiała, zachowywać się, jak jej przykazano.

„Nie można wpatrywać się w padyszacha, dziecko – uczono ją. – Dopóki sułtan nie rozkaże, nie wolno ci nawet unieść głowy”.

Tak też czyniła. Nie patrzyła w stronę, gdzie znajdował się padyszach, lecz obracała głowę, jakby była bardzo zainteresowana tą dziwną rozgrywką na błoniach. Obie strony trzymały bicz uplecione jak warkocze.

– Co oni robią? – szepnęła do stojącej obok damy dworu tylko po to, żeby sprawić wrażenie, że jej myśli nie zaprzęta Murad.

– Grają w *tomak*.

– *Tomak*?

– Tak, bicz, które mają w rękach, nazywają się *tomaki*. Widzisz piłki na ich końcach? Piłka jest wypchana i pokryta skórą.

Mężczyźni wykonywali wprawne ruchy ciała i wymachiwali biczami, próbując uderzyć piłką w plecy kogoś z drużyny przeciwnej. Przeciwnik z jednej strony odchyłał się, usiłując uniknąć ciosu, z drugiej – sam wymachiwał *tomakiem*, starając się zapolować na atakującego. Oczywiście bicz nie zawsze trafiały celu. Najczęściej chybiały ze świstem, ale nierzadko zdarzało się, że uderzały nie w plecy, ale w głowę, czy gdzie popadło, a uderzone miejsce siniało, a nawet krwawiło.

Z każdym ciosem na widowni wznosiły się okrzyki.

– Ooo!

– Jak on się z tego wywinął?!

– Nie uciekaj, Kapustniku, bij!

– Ale ten Piżmian uderzył!

– Ten, który dostanie *tomakiem* w plecy, odpada z gry – wyjaśniała dalej dama dworu. – Drużyna, która straci wszystkich zawodników, odpada.

Safiye pokiwała głową, udając, że jej się to podoba.

– To takie ekscytujące.

– Poczekaj, aż zobaczysz *dżirit*.

– *Dżirit*? Co to znaczy?

– Cierpliwości, moja piękna. Niedługo i na to przyjdzie kolej.

Tymczasem Safiye nie obchodził ani *tomak*, w którym przeciwnicy okładali się po plecach skórzanymi biczami, ani *dżirit*. Myśli zaprzętał jej sułtan Murad. Udając, że patrzy na błonia, kątem oka próbowała przyjrzeć się padyszachowi. „Jak tak dalej pójdzie, zaraz dostanę zeza”, pomyślała.

Nagle zachichotała w duchu. „Tak wielu ludzi dziś dostanie zeza...”. Zarówno ludzie w namiocie sułtanki matki, jak i ci zgromadzeni pod tarasem znajdującym się naprzeciwko ukradkiem się jej przyglądali. Nawet leciwi wezyrowie co chwila na nią zerkali. Podobnie kobiety. Większość obecnych w namiocie widziała ją po raz pierwszy.

Czuła na sobie badawcze, przychylne i zazdrosne spojrzenia, lecz z większości była wrogość. Oprócz sułtanki Mihrimah. Ilekroć spotykały się wzrokiem, piękna staruszka uśmiechała się do niej z błyszczącymi oczami, a z jej ust Safiye mogła odczytać: „*Maszallah*”.

A Murad? Czy on też to mówił?

„Wygląda na to, że nie za bardzo przygląda się grze”, pomyślała. A może to jej się tak wydawało? Jednak podczas gdy otaczający go wezyrowie wykonywali ruchy wyrażające ich przejęcie i zadowolenie, sułtan Murad siedział nieruchomo.

„Czy jest przystojny?”. Wcześniej Safiye może milion razy zadała sobie to pytanie, ale wtedy robiła to, żeby wyobrazić sobie mężczyznę, którego nie widziała. Tymczasem teraz znajdował się na wprost niej. Wprawdzie z takiej odległości nie sposób było dostrzec szczegóły, ale mimo to wyrobiła sobie jakieś zdanie.

„Nie mogę powiedzieć, żeby był przystojny – przeszło jej przez myśl. – W Wenecji widziałam takich przystojnych mężczyzn... Ale mimo to...”. Jej serce w żaden sposób nie pozwalało jej wyrazić tego, o czym myślała.

„Nie mów głupstw, Baffo! – wykrzyknął głos w jej wnętrzu. – To bogactwo, potęga, sława i chwała czynią mężczyznę przystojnym. Co za różnica, czy biedak jest przystojny, czy nie? A ten naprzeciwko ciebie jest najprzystojniejszym mężczyzną na świecie, ponieważ nie ma na świecie drugiego równie potężnego i równie bogatego co on. Czego więcej chcesz?”.

Jednak jej serce tak szybko się nie poddało: „Mimo to oczy powinny patrzeć na piękne oblicze”, upierała się.

„Zgoda – bąknął jej wewnętrzny głos. – Nie jest ślepy, nie jest kulawy. Czego jeszcze chcesz? To mężczyzn, który włoży ci na głowę koronę i posadzi na tronie. Bądź rozsądna. Spójrz na swoją starszą kuzynkę. To nie padyszach, ale ona kieruje Imperium Osmańskim. Kiedy ona odejdzie, przyjdzie kolej na ciebie”.

W końcu Safiye westchnęła w duchu. Skoro w jego łożu gościł pełen harem dziewcząt, ona też mogła to zrobić. Poczowała, że na twarzy pojawił jej się delikatny uśmiech. Nie tylko jej rozum, ale też serce się z tym zgadzało. „Nie jest taki zły – stłumiła resztki sprzeciwu. – Być może moja kuzynka ma rację. Bóg stworzył mnie, żebym została sułtanką Safiye Imperium Osmańskiego. Może sprawił, że porwali mnie korsarze, żebym trafiła tutaj? Kto wie?”.

Nagle rozległ się zgiełk i oklaski. Orkiestra janczarska zabrzmiała jeszcze radośniej. Wszyscy, oprócz padyszacha i sułtanki *valide*, podnieśli się z miejsc i zaczęli krzyczeć. Safiye uznała to za szansę dla siebie. Wystąpiła krok do przodu, jakby uradowana oklaskiwała Piżmianów, którzy nie pozostawili na polu walki żadnego Kapustnika. Sądziła, że dzięki temu Murad będzie miał okazję lepiej jej się przyjrzeć.

Sułtance matce nie umknął ruch dziewczyny. Nie obracając głowy, spojrzała na Meleknaz. Kobieta pochyliła głowę, jakby chciała powiedzieć: „Widziałam”. Nurbanu zaś przesłoniła usta, żeby ukryć uśmiech. „Dobrze, dobrze”, mruknęła w duchu.

Twarc Safiye promieniała jak słońce.

Murad czuł się jak zaczarowany. „Odkąd skończyliśmy czternaście lat, obcujemy z najurodziwszymi dziewczętami świata, ale nigdy wcześniej nie widzieliśmy takiej

piękności – mówił w duchu. – Czy ja również spodobałem się wróżce?”

Kiedy spojrzął na miejsce, w którym siedziała matka, spochmurniał. „Czy wystarczy, że spodoba się wróżce? A jeśli się przeliczyłem – zastanawiał się padyszach. – A może tylko stawiam zamki na piasku? A co, jeśli matka nie zwolni jej ze służby u siebie i nie zechce oddać jej do haremu?”

Dopiero grzmiący głos zbliżającego się do tarasu mężczyzny w filcowej czapce w kształcie gruszki i czerwonym kaftanie przywołał go z powrotem.

– Chan chanów!

Mężczyzna zatrzymał się w odległości dziewięciu kroków od tarasu i pokłonił się nisko, pozdrawiając go.

– Hej! Ty, który nosisz imię sułtana Murada I, syna najdzielniejszego z dzielnych Orhana Gaziego, potomka Osmana Gaziego, syna Ertuğrula Gaziego. Spadkobierco zdobywcy nad zdobywcami sułtana Mehmeda Chana, sułtana Bajazyda, miecza Imperium Osmańskiego sułtana Selima Groźnego...

Podczas gdy mężczyzna wyliczał imiona, drugi krzyczał:

– Takbir!

A zebrani na błoni jednym głosem odpowiadali mu:

– *Allahu Akbar!*

– ...świętej pamięci chana chanów, sułtana sułtanów sułtana Sulejmana, przed którym cały świat drżał na odgłos kopyt jego rumaka... przed którym zatrzymywały się fale, żeby go pozdrowić, przed którym chyliły czoła rzeki uznane za nieprzebyte, któremu, widząc ostrze jego szabli, poddały się dotąd niezdobyte twierdze giaurów, zdobywcy Belgradu i Rodos, który niczym burza pokonał węgierskie równiny, Karola, Ferdynanda...

Błonia ponownie zabrzmiały okrzykami:

– Takbir!

– *Allahu Akbar!*

Nagle Safiye ogarnęło jakieś dziwne uczucie. Od dwóch lat przygotowywała się do tej chwili. Czy to dlatego coś nieustannie w niej drgało? Drżała, ponieważ nareszcie ujrzała Murada, a ich spojrzenia w końcu się spotkały? A może to głos mężczyzny, jego chwalebne słowa i te okrzyki tak ją uderzyły? „Daj spokój – powiedziała sobie. – Czy to możliwe? Nie rozumiem nawet połowy z tego, co mówi”. W takim razie dlaczego serce tak mocno łopotało jej w piersi? Dlaczego miała wrażenie, jakby coś stanęło jej w gardle? I dlaczego Murad wyglądał teraz jak za zasłoną z mgły?

„Ja płaczę. Ale dlaczego? Dlaczego? Czyżbym się przestraszyła? Nie, dlaczego miałabym się bać? Więc co to za uczucie? Niedowierzenie? Szacunek? A może podniecenie?”

– ...syn Selima Chana, Murad Chan! – wykrzyknął mężczyzna.

– Zwycięzcą *tomaka* zostali Piźmianieeee! – zawołał herold.

Oklaskom i okrzykom nie było końca. W tej samej chwili jeden ze służących podszedł do sułtana Murada ze srebrną tacą i padł mu do stóp. Murad wziął ze stojącego obok niego stolika trzy sakiewki – do tej chwili Safiye wpatrzona w niego nie zauważyła ani stolika, ani tego, co znajdowało się na nim – i rzucił je na tacę.

– Co on robi? – mruknęła.

– Nasz pan nagrodził Piżmianów z drużyny do *tokmaka* trzema kiesami – wyjaśniła dama dworu. – Kto wie, ile akcze jest w każdej z nich...

Po tym geście Murada Piżmianie zawołali:

– Niech żyje twoje państwo i twój naród.

Podziękowali padyszachowi, uderzając się w piersi.

Później oklaski ustały. Zarówno zwycięzcy Piżmianie, jak i Kapustnicy, którzy w goryczy porażki opuścili głowy, rozeszli się do zagajników znajdujących się po obu stronach, a błonia opustoszały.

W tej samej chwili rozległ się jakiś narastający hałas. Nie minęło wiele czasu, gdy spomiędzy drzew, za którymi zniknęli zawodnicy *tomaka*, wyjechały drużyny konne. Czarne konie Piżmianów wyglądały identycznie. W grzywach miały wplecione błękitne wstęgi. Po przeciwnej stronie stanęli konni Kapustników. Ci dosiadali białych koni, których grzywy zostały ozdobione zielonymi pasami. Jeźdźcy także mieli na sobie stroje w barwach swoich drużyn. Wszyscy mieli zaciśnięte pod pachą kije odpowiadające wzrostowi dorosłego mężczyzny.

– Drużyny do *dżirid* – szepnęła dama dworu, zanim Safiye zdążyła zapytać.

– Co oni będą robić? Będą okładać się kijami?

Nurbanu, słysząc to, zachichotała. Kobiety, widząc reakcję sułtanki matki, zawtórowały jej. Radosne śmiechy rozlegające się w namiocie kobiet doszły do tarasu Pawilonu Jeździeckiego. Podczas gdy leciwi mężczyźni ze strapieniem patrzyli przed siebie, sułtan Murad zwrócił się do jednego z nich:

– Co tam się dzieje?

Co mieli powiedzieć? Wszyscy wezyrowie, paszowie, bejowie i agowie bezradnie spojrzeli na drugiego wezyra Katipzade Alego Paszę. Białobrody wezyr po raz pierwszy był świadkiem tego, że kobiety tak bezceremonialnie zaśmiewają się w obecności sułtana. Miał ochotę zapaść się pod ziemię. Opuścił głowę, a jego twarz zrobiła się purpurowa.

– No powiedzcie – niecierpliwił się padyszach. – Dlaczego milczycie? Wiecie wszystko, a nie macie pojęcia, dlaczego sułtanka matka i jej świta się śmieją?

Ton głosu sułtana zdziwił obecnych. To niewłaściwe zachowanie wcale go nie rozgniewało. Zamiast ryknąć w złości, on również był bliski wybuchnięcia śmiechem. Ali Pasza dopiero wtedy zdobył się na to, żeby odpowiedzieć.

– Wybaczcie, panie – wyjąkał. – Nie wiem, dlaczego kobiety tak nieobyczajnie zachowują się w obecności padyszacha. Być może zareagowały tak, widząc zmagania Piżmianów i Kapustników przy *tomaku*... Poza tym, co kobiety...

„Te słowa dotyczą też naszą matkę – przeszło Muradowi przez myśl. – Co ty tam wiesz, człowieku...”

Czuł się dziś wolny jak ptak. Gdyby mógł, uleciałby w powietrze i pofrunął do swojej wróżki. Najpierw dało się słyszeć cichy, drwiący chichot. Murad nie wytrzymał i wybuchł śmiechem.

– Katipzade, czy ty słyszysz, co mówisz? Gdyby te kobiety, o których wspominałeś, to usłyszały, kazałyby przybić cię za uszy do ściany, nie zważając na twój wiek.

Tym razem roześmiali się mężczyźni. Zachęteni beztroską padyszacha przesłoniли usta i zaczęli zanosić się śmiechem.

Tylko trzy osoby pozostały poważne.

Bejlerbej Erzurum Kara Mustafa Pasza.

Aga janczarów Beşir.

I zbrojmistrz Hüsrev.

Ci trzej mężczyźni wzajemnie śledzili każdy swój ruch.

„Do diabła! – powtarzał w duchu Beşir Aga. – Trzeba się zatrzymać. Trzeba się zatrzymać”.

Ale było już za późno.

Sułtan Murad zdał sobie sprawę, że od lat tak się nie śmiał. „Dawno nie byłem tak szczęśliwy – radował się. – Naprzeciw mnie wzeszło słońce i zatopiło w blasku cały mrok spowijający moje życie”.

– Daj znak, Hüsrevie – zwrócił się do zbrojmistrza. – Zobaczmy, jak rzucają włóczniami.

Stojący na tarasie Hüsrev ukradkiem spojrział na stojącego obok niego Beşira Agę. „A niech cię diabli – mówił w duchu. – Dlaczego cię posłuchałem?”. Drżącym krokiem wyszedł naprzód i uniósł prawe ramię, wypuszczając szkarłatną chustkę. Chustka jakby miała zamiar unieść się w delikatnym powiewie wiatru, ale w końcu opadła na trawę.

XXVII

Strzelec, przyczajony na jednej z gałęzi leciwego drzewa w sosnowym zagajniku, ujrzał, jak szkarłatna chustka opada na ziemię. „Jeśli to ma się wydarzyć, to tylko teraz”, postanowił. To był najważniejszy czas. Kto mógłby zauważyć rękę zdrajcy pośród wrzawy, tumanów kurzu wzniecanych przez pędzące na siebie dwieście koni?

„Przybierz pozycję do strzału”, rozkazał sobie, zmuszając do ruchu swoje znużone czekaniem ciało i umysł.

Wyprostował się w bólu. Ponieważ wszyscy byli teraz skupieni na włócznikach, nie było możliwe, żeby ktoś spojrział w stronę zagajnika i go zauważył. Wygodnie usadowił się na grubej gałęzi. Pień sosny miał zaraz za plecami. Wziął łuk i skontrolował cel. Z całej siły napiął cięciwę, żeby upewnić się, że pień nie będzie stanowił przeszkody. Odetchnął z ulgą, kiedy zdał sobie sprawę, że chociaż napiął ją tak mocno, że oba końce łuku znacznie się do siebie zbliżyły, jego łokieć wciąż nie dotyka drzewa.

– Pokaż się, zdrajco – mruknął. – Jeśli moja strzała nie przebije ci serca i nie wyjdzie drugą stroną, nie nazywam się Seyid Ali Czausz z Akseki.

Hydyr z Sinopu był niespokojny. „Patrzy na mnie – myślał. – Czyżby coś podejrzewał? Oby tylko nie zauważył, że podmieniłem włócznię”. Przez trzy dni, w dzień i w nocy, pracował nad tym, żeby na końcu drzewca umieścić ostry, stalowy grot o ząbkowanych krawędziach. W ten sposób zmienił włócznię w śmiertcionośną broń.²⁰ Kiedy raz się wbije, nie będzie ratunku. Ponieważ ostrze było ząbkowane, nie będzie można wyciągnąć włóczni, nie rozerwawszy miejsca, w które się wbiło. Była to jedna z sześciu włóczni, które trzymał.

Nagle ogarnęła go niepewność, a jego niepokój wzrósł. „Do diabła – zaklął w duchu. – Co to za sprawa z tymi włóczniami?”. Za każdym razem wychodzili na pole walki z dwunastoma włóczniami, ale dziś rano kapitan niespodziewanie oświadczył, że ma być ich sześć. „Każdy wyjdzie na plac z sześcioma włóczniami. Nie namachacie się na próżno”. Hydyr był przygotowany na dwanaście włóczni. Wśród dwunastu włóczni nikt nie zauważyłby śmiertcionośnej broni, ale teraz... Miał wrażenie, że wszyscy patrzą na włócznię w jego ręku i widzą broń o stalowym grocie.

„To niedorzeczne. – Hydyr usiłował stłumić oganiającą go panikę. – Gdyby tak było, nie pozwoliliby mi przecież wyjść na plac”.

A jeśli nikt nic nie powiedział, żeby przekonać się, co zamierza? Może dlatego kapitan nie odrywał od niego wzroku. Poczekaj do ostatniej chwili i złapie go przed samym wykonaniem zadania. A wtedy – żegnaj, pięćdziesiąt akcze! „O jakich głupotach myślisz? – Hydyr wściekł się na siebie. – Jakie akcze? Na co akcze człowiekowi bez głowy? Twoje ścierwo rzucą psom, a ty wciąż myślisz o pieniądzach?”.

Kapitan zawrócił konia i ruszył prosto w jego stronę. Serce Hydyra zaczęło bić szybciej. Jeżeli mężczyzna będzie usiłował go złapać, będzie walczył o swoje życie do końca. Próbował odwrócić się, udając, że usiłuje opanować niespokojnego konia, ale było już za późno. Kapitan zastąpił mu drogę.

– Dlaczego to zwierzę jest takie niespokojne, Hydyrze?

– Jest taki od rana, ago. Pewnie wyczuł zapach włóczni.

Sam był zaskoczony, że jego głos zabrzmiał tak naturalnie. Tymczasem jego serce waliło jak oszalałe.

Kapitan wyciągnął się i pogłaskał koński łeb.

– Liczę na ciebie, Hydyrze. Jesteś jednym z trzech ludzi, na których najbardziej polegamy. Nie wypuść na próżno nawet jednej włóczni.

Co to miało znaczyć? Dobry Boże! Czyżby kapitan też w tym uczestniczył? Być może dlatego nic nie mówił, chociaż wiedział, że podmienił włócznię. A może próbował go podpytać?

– Nie obawiajcie się, ago. Z Bożą pomocą dokonamy tego, co nie udało się drużynie *tomaka*.

Kapitan spał konia i jadąc do tylnego rzędu, odezwał się:

– Zdejmij sześciu Piźmianów i możesz żądać ode mnie, czego chcesz. Dostaniesz miesiąc, żeby jechać do domu.

Po tych słowach Hydyr nabrał pewności siebie.

– Zdejmę – mruknął za plecami mężczyzny. – Zrobię to tak, że nie tylko Imperium Osmańskie, ale cały świat będzie o tym mówił.

Wszystko było w porządku. Mógł teraz porzucić obawy i skupić się na zadaniu. Ustawił się jako piąty ścigający.

„Nie rób tego w pierwszej turze – powiedział ten, z którym rozmawiał o zadaniu. – Poczekaj do drugiej. Niech zrobi się zamieszanie. Wszyscy będą tak podekscytowani, że nikt nie zauważy, jak głęboko pchnąłeś”.

Tak też uczyni. Najpierw zrobi unik. Później ruszy jak błyskawica, a potem... Nie wiadomo, co wydarzy się potem. „Reszta w rękach Boga”, mruknął. To zależy od tego, ile będzie trwała pierwsza fala paniki.

Uniósł głowę, słysząc okrzyki. To znaczy, że chustka opadła.

Pierwszy ruszył jeździec Kapustników. Widzowie, zarówno ci pod tarasem, jak i na trybunach dookoła błoni, zaczęli krzyczeć i klaskać podnieceni. Konny, wykrzykując coś po swojemu, skierował się na drużynę Piźmianów, wymachując na prawo i lewo drzewcem tak długim i smukłym jak wierzbowa witka. Popędzał konia, wbijając mu pięty w boki, i zachęcał go, wykrzykując komendy. Na widok jeźdźcy konie Piźmianów też nie mogły ustać spokojnie. Paliły się, żeby czym prędzej wyskoczyć.

Jeździec, zbliżywszy się do celu, wyprostował całe ciało. Uniósł prawe ramię. Oglądający patrzyli, jak konny ustawia drzewce. Teraz był gotowy. Wygiął ciało do tyłu. W powietrzu jego ramię znalazło się niemal pod tym samym kątem co włócznia. Przez chwilę biegł w tej pozycji, a kiedy uznał, że wystarczająco zbliżył się do drużyny Piźmianów, z rozdzierającym okrzykiem cisnął włócznią ponad rywalami. W tej samej chwili objął szyję zwierzęcia i przylgnął do jego grzbietu. W ten sposób uchronił się przed włóczniami Piźmianów, przed którymi przejechał. Jeden z nich zaczął go ścigać. Kapustnik, przechylając się to na prawo, to na lewo, odbił wyrzucone przez niego dwie włócznie i nieuderzony wrócił do swojego obozu.

Tym razem atakowali Piźmianie. Jeździec Piźmianów, któremu nie udało się uderzyć przeciwnika, trzymając wodze w lewej ręce, z wściekłością ruszył na rywala. Ta sama scena powtórzyła się teraz przed drużyną Kapustników. I tak to trwało. Trafiony

drzewcem włócznik odpadał z gry.

Przyszła kolej na niego. Hydyr z Synopu skupił całą uwagę na zbliżającym się Piźmianie. Zanim jeszcze mężczyzna wyrzucił włócznię, Hydyr wbił pięty w brzuch swojego konia. Kiedy przeciwnik zaczął uciekać, dzieliły ich może ze trzy długości. Nie przemęczał konia. Oszacował, że gdyby zechciał, skróciłby dystans do dwóch długości, a wtedy mógłby oddać rzut, ale nie zrobił tego. Wręcz przeciwnie, wydając z siebie dzikie okrzyki i wykrzykując komendy w stronę zwierzęcia, zaczął nakreślać szeroki łuk, jakby chciał przeciąć drogę Piźmiana. To była część planu. Dzięki temu wykona próbę zbliżenia się do celu, a jednocześnie sprawi, że oglądający będą przekonani, że taką obrał taktykę, i następnym razem wywoła to mniejsze zaskoczenie.

Nagle zdał sobie sprawę, że do tej pory nie wyrzucił ani jednej włóczni. „Do diabła!”, zaklął w duchu. Zupełnie o tym nie pomyślał. Im mniej drzewc będzie trzymał w lewej ręce, tym broń stanie się bardziej widoczna. Jeśli w ogóle nie rzuci, zwróci na siebie uwagę. Hydyr szybko ocenił sytuację. Jeśli teraz jedną wyrzuci, w ręku, oprócz prawdziwej włóczni, pozostaną mu cztery drzewce. Przejeżdżając przed przeciwnikami, będzie musiał przynajmniej raz rzucić. Nie mógł przejechać, nie oddawszy rzutu. Wtedy pozostaną mu trzy drzewce. Jeśli rzuci w tego, który ruszy za nim w pościg, kiedy wróci do swojego obozu, będzie miał dwa drzewce ukrywające broń. Ktoś z drużyny na pewno zauważy, że jeden z drzewc zakończony jest stalowym grotem.

„Co wtedy zrobisz?!”, wykrzyknął jego wewnętrzny głos. Musisz natychmiast podjąć decyzję. Czas mija.

Hydyr już dawno zdecydował.

– Zmiana planu – mruknął. – Zmiana planu!

Ściganie się na koniach i okładanie kijami jak dzieci w ogóle nie interesowało Safiye.

„Podjęłam decyzję – powiedziała w duchu. – Podążę drogą swojego przeznaczenia”.

Owszem, podąży, ale w jaki sposób? Jak przy tysiącu pięknych odalisek zwróci uwagę tego mężczyzny w wielkim turbanie? Jak go do siebie przywiąże? Jak go zniewoli? „Urodą i mądrością”, odpowiedziała Nurbanu, kiedy ją o to zapytała. Zgoda, ale czy inne dziewczęta były brzydkie? Nie miały rozumu? A może któraś była od niej piękniejsza?

„Ale jest między wami jedna różnica – powiedziała kuzynka. – One też są piękne i mądre, jednak nie są Baffo”. Później spojrzała jej w oczy i pogłaskała po włosach. „I żadna z nich nie ma za sobą Baffo. Jeśli dwie kobiety z rodu Baffo się zjednoczą, mogą osiągnąć wszystko, sułtanko Safiye”.

Zmęczyło ją stanie. Końskie rzenie, okrzyki jeźdźców rozpraszały uwagę, przeszkadzały w myśleniu i ułożeniu planu. Poruszyła się niespokojnie i przestąpiła z nogi na nogę.

– Co to za mina, moja śliczna? Ktoś mógłby pomyśleć, że to pogrzeb.

Kiedy odwróciła się za siebie, skąd dochodził szept, ujrzała uśmiechniętą twarz Meleknaz. Kiedy odłączyła się od swojej pani i podeszła do niej?

– Pobaw się trochę. Zobacz, jakie to ekscytujące.

– Nie obchodzi mnie to. – Safiye wzruszyła ramionami. – Myślami jestem gdzie

indziej.

– Proszę, proszę... – Meleknaz spojrzała na nią z lubieżnym uśmiechem. – Moja pani już wszystko za ciebie obmyśliła. Wystarczy, że będziesz robiła to, co ci powie.

Czy to naprawdę wystarczy? To ona miała dzielić łożę z mężczyzną, który jednej nocy siedem razy został ojcem. Nikt inny. To również ona zostanie rzucona w ką, kiedy się znudzi. I to ona miała zgnieć w haremie.

– Spójrz, jak ci dzygici dosiadają koni. Zainteresuj się tym trochę, uśmiechnij się, ożyw. Zawsze, gdy jesteś podekscytowana, stajesz się piękniejsza, cała błyszczysz.

Sułtanka Nurbanu odrzuciła głowę do tyłu i spojrzała na nie.

– O czym tak tam szepczecie?

Na jej twarzy nie było śladu złości. Była szczęśliwa i pełna radości.

– Włócznicy są bardzo wprawni. Jednak zdaje się, że sułtan ich nie zauważa. – Uśmiechnęła się do nich zawadiacko. – Jakby ktoś... Nieprawdaż, Meleknaz?

Safiye poczuła, że twarz jej płonie, ale tym razem z radości. Najwyraźniej inni też zauważyli, że padyszach na nią patrzy. Kiedy uniosła głowę i spojrzała na taras, ujrzała jeźdźca z drużyny Piżmianów pędzącego na koniu, którego grzywę rozwiewał wiatr. Mężczyzna uniósł rękę z drzewcem, gotując się do zaatakowania ścigającego go Kapustnika.

Nagle Safiye coś zauważyła. Czyżby się myliła? Czy takie były zasady? Piżmian jechał prosto przed siebie i zamiast zbliżyć się do ściganego rywala, oddalał się od niego. „Nakreśli łuk, zajedzie od przodu i przetnie mu drogę”, przeszło jej przez myśl. Jednak to nie było możliwe. Po pierwsze, Kapustnik nieomal dotarł już do swojego obozu. Po drugie, ścigający pomylił się w obliczeniach – wziął za duży łuk i zamiast wyjechać do przodu, zbliżał się do tarasu, na którym siedział padyszach. Wyglądało na to, że przejedzie prawie przed nim. Prawą rękę miał w powietrzu, jakby dobył miecza, a jego palce mocno ścisnęły drzewce.

Gdyby słońce nie odbiło się od ostrego grotu włóczni, być może znużony czekaniem Seyid Ali Czausz nie zauważyłby, że coś jest nie w porządku. Najpierw sądził, że Piżmian próbuje zakreślić łuk i przeciąć drogę Kapustnikowi. Było to głupie posunięcie. Powinien wybrać najkrótszą drogę, żeby zatrzymać przeciwnika. Tymczasem jechał za dużym łukiem i z każdą chwilą się od niego oddalał. Do tego, niepotrzebnie, przez cały czas trzymał rękę podniesioną i gotową do rzutu.

Początkowo myślał, że mężczyzna nigdy wcześniej nie rzucał włócznią. Jednak kiedy przeciwnik przejeżdżał przed drużyną Piżmianów, wiedział, co robić. Zerwał się za nim na czas, lecz z jakiegoś powodu nie rzucił włócznią, później zaś zwiększył dystans, i to nie dlatego, że koń Kapustnika jechał szybciej, ale dlatego, że obrał za szeroki łuk, próbując zajechać mu drogę.

– Głupiec – mruknął Seyid Ali.

Jak takiego głupca mogli uczynić włócznikiem? Wprawdzie mężczyzna pewnie trzymał się w siodle. Sądząc po manewrach, do których skłaniał konia, było oczywiste, że jest doświadczonym jeźdźcą, ale nie miał pojęcia o taktyce.

Skupił spojrzenie na włóczni trzymanej przez mężczyznę. Miał silne ramię. Nawet z tej odległości było widać, że jego palce zaciskają się na drzewcu w żelaznym uścisku.

– Na co się to zda, skoro nie atakuje? – bąknął.

Nagle coś błysnęło mu w oczy. Co to mogło być? Gdzie tak błysnęło?

I wtedy to zobaczył. Kiedy Piżmian wykonywał manewr, zmienił ustawienie do słońca. Przez chwilę ostry grot włóczni mignął. Jego wszystkie zmysły wyostrzyły się. Od kiedy to drewno błyszczący w słońcu? Co znajduje się na końcu drzewca?

Te pytania niczym piorun przeszły mu umysł.

Zamach!

Zdrajca!

Zamarł na gałęzi. Napiął łuk. Przymknął jedno oko. Wymierzył grot strzały w Piżmiana i śledził go. Naciągał cięciwę, dopóki grot nie dotknął rękojeści. „Boże, nie pozwól, żebym ściągnął na siebie wstyd – modlił się w duchu. – Związałeś los Imperium Osmańskiego ze strzałą biedaka Seyida. Ulituj się nie nad Seyidem, ale nad państwem i jego ludem”.

Strzelec, łuk i strzała stały się jednością.

„Chodź – powiedział w duchu. – Zbliź się jeszcze trochę”.

Wstrzymał oddech.

Kiedy Kapustnik powrócił do swojej drużyny po niewłaściwym manewrze Piżmiana, na błoniach rozległ się drwiący śmiech.

Usłyszał, jak ktoś krzyczy:

– A dokąd to, Piżmianie? Czyżbyś po raz pierwszy grał w *dżirit*?

– Kto to? – żartował inny. – Zapomniał nawet rzucić włócznią.

– Dałeś uciec ptaszkowi, ale mogłeś chociaż próbować uderzyć.

– Patrzcie, gdzie on jedzie. Przysięgam, nie utrzyma tego konia i zamiast przed Kapustnikami przejedzie za nimi.

– A tobie co do tego? – ryknął jakiś. – Może nie jest frontalnym, tylko tylnym graczem?

Błonia wypełniły śmiechy.

– Śmiejcie się – burknął Hydyr. – Przekonamy się, czy za chwilę też będziecie się śmiać.

Kątem oka spojrzął na taras. Dzieliło go od niego jeszcze dwanaście długości. Jeśli uda mu się zbliżyć o dziesięć długości konia, odda śmiertelny rzut. W takim razie niech się śmieją.

Podczas gdy zawodnicy w drużynie Kapustników zaśmiewali się do rozpuku, u Piżmianów też zapanowało poruszenie. Strapiony kapitan wyszedł do przodu.

– Co on wyprawia?! – ryknął. – Jak może jechać prosto na sultana?

– Koń musiał go ponieść, ago – odezwał się mężczyzna obok niego. – Hydyr nie zagrałby tak niewprawnie.

Nie zagrałby, ale zrobił to.

Jego ciało i umysł były naprężone do granic możliwości. Z napięcia Hydyra zaczęło boleć ramię. Śmierć wystrzeli tak nagle, że nie będzie przed nią ratunku.

„Nazwałem moją włócznię Azrael – pomyślał. – Nikt nie może ocalić się przed Azraelem. Murad też nie”.

Pozostało mu osiem długości.

W każdej chwili mogli rozpoznać jego cel. W każdej chwili mogła wystrzelić broń. Jednak nie miał szansy ukrycia się. Musi pozostać wyprostowany na końskim grzbiecie, a całą siłę skupić w ramieniu.

„A jeśli chybię?”

„Już sama myśl o tym jest niedorzeczna – zbeształ się. – Ile razy w życiu chybiłeś, że miałbyś to zrobić właśnie teraz? Poza tym dzięki obciążeniu z przodu włócznia jest lepiej wyważona”.

Sześć długości...

Cztery długości...

Ujrzał, jak czterech strażników znajdujących się przed tarasem spojrzęło na siebie, nie wiedząc, co robić. Gwardzistę, stojącego za padyszachem, także ogarnął niepokój na widok włócznika zbliżającego się do tarasu z szaleńczą prędkością.

Później ich zobaczył – Beşira Agę i Hüsreva.

„Umierają ze strachu – przeszło mu przez myśl. – Obaj są bladzi jak ściana”.

Trzy długości...

Teraz, nawet gdyby chciał, nie mógł zawrócić. Gdyby ściągnął wodze, zanim koń się zatrzyma, dotarłby do tarasu, a strażnicy by go rozerwali na strzępy.

Napiął ciało niczym łuk, odchylając się do tyłu w siodle. Ponownie wzniosł rękę. Całą siłę skupił w ramieniu i nadgarstku.

„Dalej! – wrzasnął w duchu, zanim rozluźnił palce trzymające śmierć. – Ruszaj, Azraelu! Odbierz życie temu wrogowi cnoty!”

Dwie długości...

W ostatniej chwili usłyszał świst. Poczł podmuch. Było już za późno, żeby się pochylić. Dojrzał strzałę dopiero wtedy, gdy wbiła mu się w pierś, przebijając serce. Rozluźnił uścisk w jednej chwili. Koń, choć z trudem, zatrzymał się, wzniesając chmurę kurzu, i zaczął ryć kopytem o ziemię, z trudem łapiąc oddech. Na chwilę ramię Hydyra zawisło w powietrzu. Mężczyzna ze zdziwieniem spojrzęł na strzałę, która tkwiła w jego piersi. „Ostrze przeszło na wylot – pomyślał. Podczas gdy życie uciekało z jego ciała, zdążył dojrzeć zamieszanie pod tarasem. Padyszach stał.

– *Zdrada!* – ktoś zawołał.

Zachwiał się na końskim grzbiecie. Jego palce się rozluźniły. Drzewce ze stalowym grotem wypadło mu z dłoni. Ostatnie, co zobaczył, zanim osunął się na ziemię, to gwardziści biegnący w jego stronę z wycelowanymi w niego kopiami. Wbijające się w jego ciało ostrza nie sprawiały mu żadnego bólu. Dusza zdążyła już opuścić ciało.

W namiocie, w którym znajdowały się kobiety, wybuchła panika. Safiye próbowała zrozumieć, co się wydarzyło.

Co się stało? Co zamierzał ten mężczyzna? Chciał zabić Murada?

Ze strachem spojrzęła na przeciwną stronę.

Padyszach stał otoczony uzbrojonymi strażnikami.

„Dzięki Ci, Boże – modliła się w duchu. – Nie odebrałeś mi mojego Murada”. Nie zastanowiła się nawet: „Od kiedy to twój Murad?”. Zrozumiała, że to właśnie jest jej pisane. Nawet jeśli nie wszystko było tak, jak chciał los, ona wytyczy ścieżkę swojego przeznaczenia.

Ona, która przybyła do Imperium Osmańskiego jako Cecilia Sophia Baffo, zostanie sułtanką Safiye. To było pewne. Przyszła na świat jako Cecilia Baffo, później dodała sobie imię Sophia, a teraz postanowiła, że umrze jako sułtanka Safiye. Przesłoniła usta dłonią, tłumiąc krzyk, który wydała, na przemian śmiejąc się i płacząc:

– *Sułtan żyje! Sułtan żyje! Muuurad został ocalony! Muuurad Chan żyje!*

Wszystkie damy dworu, służące, służący, paziowie krzyczeli i płakali. Tylko sułtanka Nurbanu milczała. Podniosła się z miejsca i stała bez ruchu jakby wykuta z kamienia. Nawet jej oczy znieruchomiały.

Gwardziści posadzili padyszacha na tronie, wezyrowie padli mu do stóp, jakaś służąca pobiegła, żeby przynieść wodę.

Dokładnie w chwili, gdy Safiye zaczęła podskakiwać, machając ręką, zarówno po to, żeby się pokazać, jak i wyrazić swoją radość z uratowania sułtana, dostrzegła niebezpieczeństwo.

Piżmianie zebrali się nad ciałem wywodzącego się z nich zdrajcy, żeby rozerwać je na kawałki. Drużyna Kapustników również galopem skierowała się w tamtą stronę.

Zauważyła, że w tym zamieszaniu jeden z Kapustników odłączył się od swojej drużyny. Zmierzał wprost na taras. Co gorsza, pośród zgiełku spowodowanego następującymi po sobie strachem, paniką i radością z powodu ocalenia, nikt nie zdawał sobie sprawy z nowego niebezpieczeństwa.

Nagle Safiye zapomniała o wszystkim i wyszła z cienia namiotu na błonia. Machając ręką, wskazywała jeźdźca kierującego się na taras w szaleńczym pędzie, a jednocześnie wołała:

– Jest jeszcze jeden! Jest jeszcze jeden! Heeej! Ratujcie Muuurada Chana!

Za Safiye wybiegło kilka służących, żeby ją powstrzymać.

Dziewczyna sama nie mogła uwierzyć, że jej głos zabrzmiał tak doniośle. Jej krzyk zagłuszył całe zamieszanie.

Ci, którzy patrzyli w tę stronę, sądzili, że słońce przybrało ludzką postać i śpieszy do padyszacha.

Sułtan Murad również ją zobaczył. *Wróżka biegła w jego ramiona.*

W tej samej chwili koń Kapustnika próbującego zbliżyć się do tarasu, potknął się. Zwierzę wraz z jeźdźcem runęło na ziemię.

Trzech strażników, odrywając wzrok od zbliżającego się słońca, pobiegło w jego kierunku.

– Nie do wiary! – wykrzyknął z niedowierzaniem jeden z nich na widok leżącego zdrajcy. – Jak to możliwe, żeby tak szybko naciągnąć cięciwę i wystrzelić strzałę?

Strzała trafiła mężczyznę w plecy, przebiła serce i wyszła z przodu. Druga strzała przeszła szyję biednego zwierzęcia. Bóg jeden wie, który z nich pierwszy zakończył żywot.

Gdyby to było możliwe, Safiye, nie bacząc na obyczaje, tradycję i reguły, rzuciłaby się padyszachowi na szyję. Wiedziała też, co by powiedziała: „Dzięki Bogu, nie odebrał ci Safiye”.

Kilka służących z trudem ją dogoniło.

– *Tutaj jest prawdziwy zdrajca!*

Na tarasie znowu rozległy się okrzyki, pomruki i przekleństwa.

Safiye, pośród kobiet próbujących ją uspokoić, odwróciła się i ujrzała mężczyznę w czarnym kaftanie. W jednej ręce miał broń, w drugiej sztylet. Broń trzymał wycelowaną w czoło mężczyzny stojącego tuż przy padyszachu. Mężczyźnie spadło nakrycie głowy. „Nigdy w życiu nie widziałam tak bladej twarzy”, przeszło Safiye przez myśl.

– Dowódca zdrajców stoi obok ciebie, sułtanie! – ryknął mężczyzna w czarnym kaftanie. – *Twój aga janczarów Beşir...* Krwawy Beşir. Pozwól, a wszystkim im odbiorę życie. Niech twój Kara Mustafa Pasza poświęci się dla ciebie!

Nikt nie wiedział, czy padyszach wydał pozwolenie. Broń wystrzeliła. Beşir Aga bez życia osunął się na ziemię. Hüsrev pośpieszył, usiłując paść sułtanowi do stóp i błagać o litość, lecz nagle jego ciało zachwiało się. Kiedy opadł na ziemię twarzą w dół, na jego plecach ukazał się sztylet.

Podczas gdy zgromadzeni próbowali zrozumieć, co się stało, za pałacowymi murami rozległy się odgłosy wystrzałów.

„Co to za zgubny dzień – pomyślał sułtan Murad w panice. – I to dokładnie wtedy, gdy spotkałem moją wróżkę”.

Z zewnątrz dochodził zgiełk. Podczas gdy padyszach i pałacowi urzędnicy w popłochu usiłowali znaleźć jakieś schronienie, mężczyzna w czarnym kaftanie zawołał:

– Nie bójcie się! Wierni służy Imperium Osmańskiego, na rozkaz Sokollu Mehmeda Paszy, ścinają głowy zdrajcom.

– Sokollu? – odezwał się cicho trzeci wezyr Siyavuş Pasza do stojącego obok niego Katipzade Alego Paszy. – Czy wielki wezyr nie przebywał na polowaniu?

Kara Pasza ubiegł odpowiedź drugiego wezyra:

– Wszyscy mieli tak sądzić, paszo.

Kara Mustafa Pasza oddał broń, którą wciąż trzymał, jednemu ze strażników i padł sułtanowi Muradowi do stóp.

– Lala świętej pamięci Selima Chana jest gotów oddać życie za jego syna. Jeśli zbyt długo zwlekając, uchybiliśmy naszej lojalności, oto moja głowa. Teraz możemy umrzeć w spokoju. Niech twoje życie będzie długie, a panowanie wieczne, małżeństwo szczęśliwe, żona zdrowa, a przysły potomek dzielny. Niech głowy zdrajców będą prezentem ślubnym od Kara Mustafy dla mojego sułtana.

Zgromadzeni na tarasie ze zdziwienia, zamiast – jak nakazuje zwyczaj – odpowiedzieć „amen”, popatrzyli na siebie z niedowierzaniem, pytając się wzajemnie: „Co?!”.

– Czy Kara Pasza powiedział „małżeństwo”?

– Ślub? Jaki ślub?

– Sułtan się żeni?

– Ależ skąd. Jaki ślub?

– Co też wygaduje Kara Pasza?

Sułtan Murad, przez chwilę przyglądając się tkwiącemu w pokłonie mężczyźnie, próbował zrozumieć słowa, które usłyszał. „Ślub? – pytał siebie w duchu. – To sprawa Kara Paszy i mojej matki. Z jednej strony mówią o pokonaniu zdrajców, z drugiej –

o małżeństwie sułtana. Czy tamtej nocy matka nie mówiła, że wystarczy zniszczyć buntowników? I proszę. Na koniec spisku padają słowa o ślubie. Dobry plan... Ślub?! No proszę. Dobrze, tylko z kim? – Niespodziewanie jego serce jeszcze ściśnięte strachem i niepokojem, uradowało się, a spochmurniała twarz rozjaśniła. – Z moją wróżką?”

– Podnieś się, paszo – przemówił. – Czoło człowieka, który tak bardzo przysłużył się naszemu dziadowi, ojcu, a teraz nam, powinno chylić się jedynie przed Bogiem. Powstań, żebym mógł zobaczyć twoje czyste oblicze.

Murad poklepał po ramieniu podnoszącego się Kara Mustafę.

– Ślub, ha? – szepnęła mu do ucha. Spojrzał w oczy mężczyzny ledwo widoczne zza jego bujnych rzęs. Nie umknął mu wyraz zawstydzenia na jego twarzy. – Jest chociaż ładna?

Odwrócił się, nie czekając na odpowiedź. W końcu wiedział, że jest piękna. I to bardzo piękna. Jak wróżka.

Kiedy sułtan Murad wrócił do wspaniałego, wielkiego, zadaszzonego kopułą salonu Pawilonu Jeździeckiego, w jego sercu nie było już ani śladu strachu i paniki. Był tak szczęśliwy, że mógłby popfrunąć z radości. Zdawał sobie sprawę, że wezyrowie, paszowie, agowie, bejowie, społeczność Enderunu, a nawet służący, służące i paziowie szepczą między sobą:

– Jaki ślub?

– Nasz padyszach się żeni?

– Nie słyszałeś Kara Paszy? Właśnie tak powiedział.

– Sułtan też nie zaprzeczył.

– Jak miał zaprzeczyć? Gdyby to nie była prawda, stary Kara Mustafa nie powiedziałby czegoś takiego.

– Nie mieliśmy o tym pojęcia.

– A skąd mielibyśmy wiedzieć? To gra w grze... Byliśmy przekonani, że Sokollu poluje na jelenie, a tymczasem wielki wezyr i jego stryjeczny brat ułożyli plan i wyruszyli na polowanie na zdrajców.

– Kto mógłby się spodziewać zdrady po Beşirze Adze? Nie do wiary!

– Słyszac wieści o ślubie padyszacha, wszyscy w Imperium Osmańskim będą mieli usta otwarte ze zdumienia, efendi.

– Kim jest przyszła żona?

– Kimkolwiek jest – wtrącił się Katipzade Ali Pasza – sułtan odrzuca to, co *haram*, i zwraca się ku *helal*. Czego jeszcze chcecie? Pora zostawić plotki i skupić się na służbie państwu osmańskiemu.

Służące wzięły Safiye pod ramiona i odprowadziły do namiotu. Serce tłukło jej się w piersi jak oszalałe. Twarz miała pobladła, a złote włosy w nieładzie. Nurbanu mimo to uważała, że dziewczyna wygląda bardzo pięknie. Chciała przyciągnąć do siebie kuzynkę i poprawić jej włosy. W tej samej chwili Safiye zauważyła błysk szczęścia w oczach kuzynki.

Było to coś innego niż radość z powodu ocalenia jej syna. „Dobry Boże! – wykrzyknęła w duchu. – Ona o wszystkim wiedziała. Wiedziała o wszystkim, co się wydarzy, i tak spokojnie tu sobie siedziała”. Nagle Safiye poczuła, że drżą jej kolana

i z trudem łapie oddech. Chociaż miała ochotę uciec od niej i uwolnić się, położyła głowę na ramieniu sułtanki matki.

Nurbanu zdała sobie sprawę, że dziewczyna jest bliska omdlenia.

– Wody! – Klasnęła. – Natychmiast przynieście wody mojej synowej. Szybko!

Głosy w namiocie w jednej chwili umilkły. Wzrok wszystkich skierował się na sułtankę *valide* głaszczącą po włosach Safiye wspartą na jej ramieniu.

Nurbanu z zadowoleniem przysłuchiwała się szeptaninie: „Synowej? Powiedziała «synowej»?”.

Safiye również zaparło dech. Pośpiesznie zabrała głowę z ramienia kobiety. Ich spojrzenia się spotkały. „Jaka «synowa»?”, nie dowierzała Safiye. Zgoda, jej kuzynka na samym początku otwarcie powiedziała, że zamierza wydać ją za mąż za swojego syna. Od dwóch lat ją do tego przygotowywała. Safiye też przystała na to już pierwszego dnia i nawet zaczynała się niecierpliwić, ale przecież nie zdążyła jeszcze zamienić słowa z mężczyzną, którego ma poślubić. Mimo to poczuła, że ogarnia ją ciepło. „Przestań narzekać – zbeształa siebie. – Czy przed chwilą nie ty chciałaś, żeby to jak najszybciej się skończyło?”.

Pijąc wodę, którą jej przeniesiono, z podniecenia wylała ją na siebie.

– Chodźmy, synowo – odezwała się Nurbanu. – Mamy wiele do zrobienia. Przypuszczam, że albo tego wieczoru, albo jutro będziemy miały gościa na kolacji.

Odwróciła się i ujrzała świetliki w oczach Safiye. „Nie – powiedziała w duchu. – To nie świetliki. To płomień! Baffo zapalała pasję. Ten płomień już nie zgaśnie...”.

Nagle Nurbanu ogarnął dziwny lęk. „Hej! – zganiała się. – Czy nie tego chciałaś? Czy nie chciałaś rozpać tej pasji? Więc masz! Zapłonęła. Dlaczego teraz drżysz mimo ciepła płomienia, który rozpać się w jej oczach?”.

XXVIII

Wstawaj! Wstawaj! Wstawaj!

Safiye nie wiedziała, co się dzieje. Meleknaz stała nad jej głową, a dwie damy dworu ściągały z niej kołdrę.

– O co chodzi? Co się dzieje?

Jak to, co się działo? Dopiero wczoraj zobaczyła sułtana Murada, mężczyznę, którego poślubi. Po raz pierwszy! Później próbowano go zabić. I to dwukrotnie! A ona zerwała się z miejsca i podniosła zamęt, wołając: „Ratujcie mojego Murada!”. Sułtanka *valide* Nurbanu w namiocie pełnym kobiet zwróciła się do niej: „moja synowa”. To jeszcze mało?

– Natychmiast wstawaj – powiedziała podenerwowana Meleknaz. – I prosto do łaźni.

– Do łaźni? O tej porze?

– To dopiero początek. Odświeżysz się. Później czekają cię przygotowania, krawcy... Przed wieczorem jeszcze raz wybierzesz się do łaźni, moja piękna. Później ubierzesz się i będziesz czekać.

– Czekać? Na co?

Podczas gdy dwie damy dworu zaczęły chichotać, Meleknaz spojrzała na nią z ukosa.

– Na mnie. – Później pociągnęła ją za ramię. – Nawet nie wiesz, ile to wszystko zajmie. Módl się, żebyśmy zdążyły i żeby twoja kuzynka była zadowolona. W przeciwnym razie już po tobie. I po nas.

W rzeczywistości Safiye pojęła, na kogo ma czekać, ale chciała to usłyszeć z ust kobiety.

– Ani mi się śni wstawać – zaczęła się dąsać. – Nie ruszę się stąd, dopóki mi nie powiesz, na kogo mam czekać.

– *Oh, Dio, che cosa ho fatto per maritare questo?* – odezwała się po włosku Meleknaz, jak zawsze, gdy była zdenerwowana.

Zaśmiewające się damy dworu spojrzały na kobietę, nic nie rozumiejąc.

– Powiedziała: „Boże, czym ja sobie na to zasłużyłam” – wyjaśniła Safiye.

– *Che ragazza tesarda!* – burknęła tym razem Meleknaz.

– To zaś znaczy: „Co za uparta dziewczyna!”.

– Śmiejcie się, śmiejcie – odezwała się kobieta. – Zobaczycie, co się stanie, jeśli coś będzie nie w porządku, kiedy przybędzie padyszach. Nie zdziwię się, jeśli sułtanka matka każe obedrzeć was ze skóry i posypać solą.

Obie damy dworu krzyknęły, udając złęknione, i uciekły.

– Przybywa padyszach?

– Nie udawaj, że nie wiesz. Padyszach przybywa w odwiedziny do swojej matki. Zostanie też na kolacji. Przekonasz się, że noc też tu spędzi.

Safiye zmarszczyła nos.

– Do swojej matki? Murad przyjeżdża do swojej matki? W takim razie nie ma powodów do niepokoju. W końcu nie przyjeżdża do mnie.

– Nie bądź dzieckiem. Oczywiście, że przyjeżdża do *ciebie*. Do tej pory nawet raz tu nie przybył, żeby ucałować dłoń matki. No dalej, wstawaj.

Safiye podniosła się z ociąganiem.

– Przysłał swojego pokojowca – ciągnęła Meleknaz – z wiadomością: „Chcemy ucałować dłoń naszej matki i być gościem przy jej stole”.

– Po... ko... co? Co to znaczy?

– Po-ko-jo-wiec... Powiernik padyszacha. To jakby jego sekretarz.

– Ten poko... Nieważne... Przybył tu tak rano?

– Jakie rano, dziecko. Jeszcze nie świtało, kiedy przybył Nedim Aga. Był okropnie rozgorączkowany. Jednak nie nalegał, żeby zobaczyć się z sułtanką matką. Przekazał mi list padyszacha. Zgodnie z jego słowami nasz pan przewrócił sułtańskie komnaty do góry nogami. Nie chciał przyjąć nawet Bihter. Zwymyślał wszystkich, którzy stanęli mu na drodze – agę haremu, zarządczynię.

W nocy? Nocą powiadomił o swojej wizycie.

– To dobrze – mruknęła Safiye tak, jak robiła to Nurbanu, kiedy była z czegoś zadowolona. – Najwyraźniej Muradowi się śpieszy... Dobrze... Mnie też się śpieszy.

Nagle jedno zdanie, które wypowiedziała Meleknaz, zadźwięczało jej w uszach: „Nie chciał przyjąć nawet Bihter”.

– Kim jest Bihter?

– Ostatnim numerem... – Widząc, że dziewczyna spogląda na nią podejrzliwym wzrokiem, wyjaśniła: – Jego ostatnią faworytą. Dziewczyna jest niezwykle uwodzicielska. Nawet nie pytaj. Nie zdziwiłabym się, gdyby przechytryła samego diabła. Urodziła syna, żeby przywiązać do siebie naszego pana. Mówią, że ma niezliczone zdolności. Ja tego nie wiem, ale przekazuję ich słowa.

„Proszę, proszę... Więc to jedna z tych czterystu czy pięciuset dziewcząt...”.

– Bardzo podoba się Muuuradowi?

Meleknaz nachyliła się do jej ucha.

– A czy istnieje kobieta, która mu się nie podoba? – W tej samej chwili pożałowała swoich słów. – Szalona dziewczyno, nakłaniasz mnie, żebym mówiła takie rzeczy. Wiedz, że jeśli stracę głowę, stanie się to przez ciebie. – Spojrzała na Safiye rozgniewana. – Poza tym nie mów o naszym panu „Murad”. To niestosowne. Nie wolno zwracać się do wielkiego padyszacha po imieniu.

– To jak mam o nim mówić? – zaszczebiotała Safiye, zarzucając na koszulę nocną cieniutki peniuar. – Jeśli kobieta nie może się zwracać do swojego męża po imieniu, to jak? Padyszach? Sułtan? A może mam mówić „nasz paaan”? Widzisz, nawet nie może mi to przejść przez gardło. Muuurad. I koniec. Poza tym powiedz mi, jak on będzie do mnie mówił? To znaczy do swojej żony. Sułtanko Safiye?

Stojąca za plecami dziewczyny Meleknaz oniemiała. „Jak szybko przyzwyczaiła się do myśli, że poślubi padyszacha – pomyślała. – Jeszcze do wczoraj kręciła nosem, mówiąc: «Zobaczymy, czy mi się spodoba». A teraz... Jedno spojrzenie i koniec... Patrzcie na tę małą Baffo”.

Safiye wyszła przez drugie drzwi prowadzące na korytarz i skierowała się w lewo. Widząc to, Meleknaz zawołała za nią:

– Hej! Nie w tę stronę. W prawo.

– W prawo? Czy łaźnia nie jest w tę stronę? Pomyliła ja się?

– Masz iść tam, gdzie ci mówię. Sułtanka matka nie chce, żebyś korzystała z łaźni dam dworu. Idziemy do jej łaźni. Umyję cię sama.

To naprawdę bardzo zaskoczyło Safiye. Łaźnia sułtanki *valide*? Oprócz Nurbanu nikt inny z niej nie korzysta. Do tego tylko trzy służące mogły do niej wejść – Meleknaz i dwie damy dworu. Safiye nie widziała jej nawet przez uchylone drzwi.

– Boże – odezwała się zamyślona. – Jak szybko wszystko się tu zmienia.

Odwróciła się w lewo i pobiegła za Meleknaz.

– Powiedziałam, że nam się śpieszy, ale nie musisz iść tak szybko, młoda damo. A może masz mnie już dość i zamierzasz mnie zabić, żeby się uwolnić? Moje serce nie wytrzyma takiego tempa.

Po całym dniu gorączkowych przygotowań Safiye spojrzała na swoje odbicie w lustrze.

– Czy to ja?

Czerwień zachodu słońca stopniowo ustępowała granatowi wieczornego nieba, a nad stolicą zaczynał zapadać zmrok. Z powodu niewystarczającej ilości światła w komnacie w pierwszej chwili nie rozpoznała dziewczyny w lustrze.

Meleknaz, która od rana uwijała się przy niej i rozdawała polecenia, razem z krawcowymi i trzema damami dworu ustawiły się za nią i także podziwiały jej odbicie w lustrze. Złociste włosy, błyszczące oczy oraz radość, podniecenie i szczęście odbijające się na twarzy Safiye odzianej w złotą, lśniącą suknię, rozświetliły pomieszczenie.

Bała się nawet drgnąć, żeby nie zepsuć tego widoku. Nie odrywając wzroku od lustra, powtórzyła pytanie do stojących za nią dziewcząt:

– Czy to naprawdę jestem ja?

Meleknaz splunęła na prawo i lewo, odpędzając złe uroki.

– A kto inny?

– Nie wiem – mruknęła Safiye, jednocześnie oglądając dziewczynę w lustrze.

Pukle złotych włosów ukrywały ramiona i falami opadały niżej. Miała na sobie koszulę z szerokim dekoltem. Szyfonową suknię odsłaniającą ramiona ozdobiono cekinami. Złoto oznaczało przepych. Sama wybrała tę tkaninę. Na jej widok coś się w niej poruszyło, przyszedł jej na myśl weneckie salony ze ścianami pokrytymi złotymi tapetami. Safiye jest wytwornością samą w sobie, a nie jego częścią. Tak podpowiadał jej wewnętrzny głos i postanowiła, że będzie go słuchać. Tylko ta barwa była w stanie zetrzeć z jej duszy ślady mroku, który wdarł się w nią, kiedy jeszcze była dzieckiem. Do każdego cekinu przyszyta była maleńka perła. Podczas gdy krawcowe wykonywały ostatnie poprawki, spojrzała na swój dekolt i sama się zawstydziała. Materiał opadał z ramion falami, uwidaczniając jej jędrne, duże piersi w objęciach szyfonu.

Delikatnie przechyliła głowę w prawo. Z profilu spojrzała na swój mały, lekko zadarty nos.

„Najlepiej, jeśli będę zwrócona tak nieco bokiem – przeszło jej przez myśl. – Mój nos i usta wyglądają tak wspaniale”.

– Mówisz prawdę, ciociu Meleknaz? A może, żeby stłumić moją ekscytację? Czy

to ja? – Wskazała palcem dziewczynę w lustrze. – Czy z tego lustra patrzy na mnie Safiye sułtanka Nurbanu, Cecilia Sophia Baffo Wenecji?

Meleknaz i pozostałe kobiety uśmiechnęły się na te słowa.

– *Maszallah* – odezwała się główna krawcowa. – Niech Bóg broni ją przed złymi urokami.

– Naprawdę jestem piękna, Fatmo Kalfó?

– „Piękna”? Co to za słowo? Bóg sam zachwycił się tym, co stworzył.

– Dobrze wyglądają te żółte cekiny – wtrąciła się jedna z dam dworu.

– A co powiesz o szarawarach?

– Nie widzę ich.

Dwie służące podbiegły i trzymając z dwóch stron ciężką, orzechową ramę ozdobioną motywami z liści, delikatnie pochyliły lustro.

– I jak? Teraz widzisz? Ładne?

Na chwilę Safiye zaparło dech. Z lękiem przycisnęła ręce do piersi. Zadrzała, czując pod dłońmi żółtozłote cekiny i maleńkie perły. „Najświętsza Panienko – westchnęła w duchu. – Czy ładne? *Stałam się prawdziwą wróżką*”.

Szarawary miały kolor owocu granatu. Obszerne nogawki z rozcięciami zaczynającymi się na wysokości kolan ściśle opinały się wokół kostek. Spod karmazynowej tkaniny wyglądały tajemniczo białe kolumny jej nóg. Lubieżne rozcięcia rozchylały się przy każdym ruchu, ukazując jasnorożową skórę ukrytą pod tiulem.

– Ładnie, dziecko? Podoba ci się?

Jej ręka zmysłowo błdziła po tiulu pieszczącym jej nogi.

– Dziękuję, Fatmo Kalfó. Wygląda bardzo ładnie.

– Podziękuj sułtance matce, a nie mnie, moja piękna. To ona opisała mi model. Sułtanka *valide* kazała sprowadzić jedwabie z samego Damaszku. Jakby wiedziała, że nadejdą te dni. Perły pochodzą z Indii. Wyszywałyśmy je w sekrecie, tak, żeby nikt ich nie zobaczył. Trwało to całe cztery miesiące. Sułtanka chciała, żebyś to ty wybrała materiał, my zaś, nie wiedząc, jaki kolor wybierzesz, wyszyłyśmy wszystkie jedwabie i szyfony.

– Macie takie szybkie dłonie. Uszyć taką suknię w jeden dzień...

– W jeden dzień, Safiye? – Meleknaz roześmiała się w głos. – Fatma Kalfa ukradkiem wzięła miarę z jednej z twoich sukien. Najpierw przez wiele dni nad tym pracowała. Patrząc na twoje stroje, na oko stworzyła wstępny model, później zaś dostosowała go do tkaniny, którą wybrałaś.

To był prawdziwy cud. Krawcowe otworzyły pakunki, wyciągnęły suknię i zaraz ją w nią ubrały. Sprawnymi rękami wykonały kilka poprawek. Tu zwęziły, tam poszerzyły. Ściągnęły zbyt luźny mankiet jednej z nogawek, wyszywany perłami. I tak w mgnieniu oka nadały ostateczny wygląd sukni, w której miała wystąpić przed sułtanem Muradem.

Ponownie odwróciła się do lustra. Jednak nie miała okazji przyglądać się sobie zbyt długo.

– To jeszcze nie koniec – powiedziała Meleknaz. – Załóż jeszcze to.

Z atlasowego pakunku na otomanie wyciągnęła jakąś magiczną rzecz. Tak, to nie

mogło być nic innego niż czary. Obrzucony karmazynową nicią tiulowy, srebrno-złoty płaszcz, z otwartym na całej długości przodem i trenem z tyłu wyglądał jak prawdziwe arcydzieło.

Jedna z krawcowych przytrzymała płaszcz, kiedy go zakładała. Rozkloszowane rękawy płaszcza, z mankietami szerokimi prawie na dwie dłonie, delikatnie pieściły jej skórę.

– A teraz się odwróć.

Meleknaz przekręciła ją do siebie. Fatma Kalfa poprawiła cekiny, ściągając kołnierz i ramiona płaszcza, po czym wszystkie cofnęły się o krok i spojrzały na nią poważnym wzrokiem. Po kilku chwilach powaga na twarzach obserwatorek ustąpiła miejsca podziwowi.

Jedna z dziewcząt splunęła, odpędzając złe uroki.

– Sól w oczy zazdrośnikom. Niech oślepną ci, którzy spojrzą na ciebie złym okiem.

Chociaż Safiye nic z tego nie zrozumiała, domyśliła się, że to musi oznaczać coś dobrego. Popatrzyła na siebie uszczęśliwiona, a później nagle odwróciła się do nich, pokłoniła, wysuwając w przód jedną nogę i wykonując ręką przesadny, ale elegancki gest.

– Witam – pozdrowiła je. – Jestem Safiye... Sułtanka Safiye... Jak się miewacie?

– Co wyprawia ta szalona dziewczyna? – zapytała główna krawcowa.

Meleknaz uśmiechnęła się.

– Pozdrawia nas zgodnie z weneckim zwyczajem. Nazywa się to reweransem²¹. Ten ruch wykonuje się przed kimś, kogo darzy się szacunkiem.

Dziewczęta zaraz zaczęły chichotać.

– Naszego pana też tak przywitasz?

Safiye przyłożyła palec do ust, udając, że się zastanawia.

– Poczekajcie... Nie, zrobię tak... – Nagle jak szalona rzuciła się na szyję Meleknaz i obsypała ją pocałunkami. – Muuradzie, mój Muradzie. Mój sułtanie Muradzie...

Kiedy Nurbanu weszła do komnaty, Safiye wciąż była zajęta całowaniem Meleknaz. Krawcowe i damy dworu, ujrawszy przed sobą sułtankę *valide*, skłoniły się pośpiesznie w pozdrowieniu. Jednak Nurbanu nie zwróciła na nie uwagi. Safiye naprawdę błyszczała w sukni, którą poleciła dla niej uszyć. Bił od niej rażący blask.

– Jestem naprawdę zazdrosna – odezwała się Nurbanu. Zdała sobie sprawę, że posunęła się trochę za daleko. – A my nie dostaniemy buziaka?

Safiye wypuściła z objęć Meleknaz i podbiegła do niej. Objęła kuzynkę za szyję. Nurbanu była zaskoczona. Nie spodziewała się tak ognistego przyjęcia. Wciągnęła w płuca zapach Baffo i pogłaskała dziewczynę po włosach.

– Ładnie wyglądam, kuzynko Cecilio?

Innym razem wpadłaby w gniew i powiedziała: „«Nurbanu», zapewne miałas zamiar powiedzieć «Nurbanu», moje dziecko. Cecilia umarła. Nikt taki już nie istnieje”. Ale tym razem się nie zezłościła, a nawet ją objęła.

– Stałaś się światłem, Safiye. Światłem Imperium Osmańskiego... Wróżką mojego Murada.

Przez jakiś czas stały tak w objęciach, aż w końcu rozluźniły uścisk. Nurbanu

dokładnie przyglądała się jej strojowi.

– Nie zapomnij o tym, co ci powiedziałam. Wszystko pamiętasz, prawda? Jak należy się zwracać, jak pozdrawiać... Żeby nie unosić głowy, dopóki ci tego nie powie... Safiye skinęła głową.

– Dobrze. W takim razie teraz nie pozostaje ci nic innego, jak tylko czekać. Nie wychodź ze swojego pokoju, dopóki nie zostaniesz wezwana. Kiedy przybędzie sułtan, zrobi się małe zamieszanie, rozlegnie się wrzawa. Niech nie przyjdzie ci na myśl, żeby wyjść, aby sprawdzić, co się dzieje. Dobrze? Usiądź i grzecznie czekaj. Dziś kończy się gościna, Safiye. Po wieczornym spotkaniu zaczną się przygotowania do przyjęcia cię do rodziny. Niedługo Safiye naprawdę stanie się sułtanką Safiye. Zachowuj się więc jak sułtanki.

– A jak zachowują się sułtanki?

Nurbanu obrzuciła ją spojrzeniem, jakby zastanawiała się, czy dziewczyna poważnie ją o to pyta, czy tylko żartuje. Uniosła głowę, wyprostowała ramiona. Podeszła do sofy i usiadła. Położyła ręce na kolanach. Zwróciła głowę do obecnych i odezwała się z godnością:

– Tak jak ja, dziecko. Tak jak ja.

XXIX

Sułtanka *valide* długo sprawdzała, czy wszystko jest tak, jak powinno być. Safiye, podobnie jak krawcowe, czekała na decyzję Nurbanu. Sułtanka zasypała dziewczynę pytaniami.

– Dobrze zapamiętałaś, gdzie będziesz stała?

Pokiwała głową. Bała się, że gdy wskaże konkretne miejsce, popełni błąd.

– Jak będziesz trzymać ręce?

– Tak. – Opuściła ramiona i natychmiast splotła ręce tuż pod brzuchem.

– A postawa?

Podczas gdy Safiye przygotowywała się do zademonstrowania sposobu, w jaki się ustawi, sułtanka matka ze zniecierpliwieniem odpowiedziała kuzynce:

– Prawa noga do przodu na odległość stopy. Prawe kolano lekko ugięte... Nie tak bardzo. Popatrz na mnie.

Krawcowe, żeby nie wybuchnąć śmiechem na widok sułtanki *valide* pokazującej, jak należy ugiąć kolano, prawie schowały się w belach tkanin, które trzymały w ramionach.

– Przenieś ciężar ciała na ugięte kolano... Dobrze, właśnie tak. Dzięki temu będzie widać, jak smukłą masz talię. – Nurbanu o mały włos nie powiedziała: „Krażłość twoich bioder też się uwidoczni”, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język.

– Przechyl głowę w stronę prawego ramienia.

Niespodziewanie Safiye poczuła nieznośną chęć rozniewania jej. Uniosła ramiona i ręce, a potem dziwnie odchyliła głowę.

– Nie tak! Do diabła! Nie nauczyli cię tego? Czy o wszystko muszę troszczyć się sama? Jutro chcę widzieć u siebie nauczyciela etykiety. Popatrz, kochanie, nie tak. Nie tak, jakby obcięto ci głowę, która teraz zwisa nad ramieniem. Subtelnie... Niewinnie... Tak, teraz dobrze. Tyle, dokładnie tak. Zostań w tej pozycji, nie ruszaj się... A oczy? W podłogę. Ja oszaleję, nie tak jakbyś szukała perły, która gdzieś ci upadła. Nieśmiało, ale pewne spojrzenie... Tak... Udało się. Usta...

Safiye najpierw przygryzła wargi, później zwilżyła je językiem, rzucając uwodzicielskie spojrzenie. Meleknaz natychmiast odwróciła się, udając, że jest czymś zajęta, i ukryła przed swoją panią śmiech.

Wszystkie obecne zdawały sobie sprawę, że Safiye doskonale wie, jak właściwie i zgodnie z obyczajem wykonać te wszystkie ruchy. Od rana kazały jej powtarzać dziesiątki razy i za każdym razem pięknie je pokazywała. Gdy Nurbanu zapytała: „Co zrobisz, kiedy nasz pan padyszach będzie chciał, żebyś uniosła głowę?”, Safiye zaczęła wyrabiać takie rzeczy, że kobiety otworzyły usta ze zdumienia. Najpierw znieruchomiała, jakby zdziwiona, zawstydzona i z ociąganiem ciężko uniosła głowę. Delikatnym ruchem ramion rozrzuciła włosy. Chusta zsunęła jej się na ramiona.

Jedna z krawcowych nie wytrzymała i westchnęła:

– Doprawdy, ona rośnie czy dziecinnieje? Patrzcie na te maniery i figle. Nawet porfir²² nie zniesie takich humorów, a co dopiero serce naszego pana.

Safiye celowo robiła wszystko na przekór tylko po to, żeby rozzłościć sułtanke

matkę. Wiedziała, że kobieta jest co najmniej tak samo podekscytowana jak ona. Jej starsza kuzynka, z wciąż nieznanego jej powodu, poświęciła życie, żeby wydać ją za mąż za swojego syna.

Być może lekcja manier sułtanki *valide* trwałaby dalej, ale Safiye przyszedł z pomocą zgiełk dobiegający z zewnątrz.

– Sułtan... Nasz pan, padyszach!

Jeden z paziów z rozgorączkowaniem wślizgnął się do środka. Ponieważ wszedł bez pozwolenia, padł na ziemię tuż przed progiem.

– Nadjeżdża nasz pan sułtan Murad Chan. Świta sułtana dotarła już do Fener²³.

Nurbanu podniosła się z miejsca. Nagle ponownie stała się sułtanką matką.

– Dziewczętaaa! – zawołała, klaszcząc. – Co tak stoicie? Biegnijcie. Nasz syn sułtan przybywa, żeby ucałować dłoń swojej matki. Jeśli zobaczę jakieś niedociągnięcia, będziecie modlić się o śmierć. Pamiętajcie o tym. To moje ostatnie słowo.

Zdecydowanym ruchem obróciła się do Safiye.

– Sama wymierzysz sobie karę za błąd, który popełnisz, kuzynko – szepnęła. – *Liczę na ciebie. Zdobądź Murada Chana.*

Kiedy kobieta ruszyła w stronę drzwi, Safiye ogarnęła panika.

– A ja nie idę?

Sułtanka *valide* nie raczyła nawet na nią spojrzeć.

– Powiedziałam ci, moja piękna, że masz czekać. Większość już za nami. Niewiele zostało.

„Tak! Tak! – Safiye wydała w duchu okrzyk radości. – Większość już za nami, niewiele zostało”.

Kiedy wszyscy pospiesznie opuścili komnatę, Safiye została sama.

„Nieważne – powiedziała do siebie. – Za chwilę i tak mnie zawołają”.

Jednak wcale tak się nie stało. Nikt nie przyszedł, żeby powiedzieć: „Pospiesz się, Murad Chan czeka, żeby cię zobaczyć”. Zmęczyło ją oczekiwanie na stojąco. Usiadła na sofie. Gdyby nie obawiała się, że zaczerwienią jej się oczy, rozplakałaby się. Przygryzła wargi i rozchyliła szeroko powieki, żeby powstrzymać łzy. Zaciśnęła ręce w pięści. Nie wiedziała, jak długo będzie w stanie to znieść. „Co się dzieje? – zaczęła się niepokoić. – Murad nie chce mnie zobaczyć? Czyżby naprawdę nie przyjechał do mnie, ale żeby ucałować dłoń matki?”.

Czuła się wyczerpana czekaniem i zamartwianiem się. Nie wiedziała, ile czasu minęło. Zupełnie jakby na powiekach rozsiadły się jej olbrzymy. Drzwi, w których miał pojawić się paż, który ją zawoła, widziała, jakby przez zasłonę z mgły. „Sam tego chciałeś, Muradzie, potomku Osmana – zachnęła się w duchu. – Skoro matka nie nauczyła cię, że nie każe się czekać Baffo, ja cię tego nauczę”.

Kiedy sultański pojazd zaprzężony w cztery konie podjechał do wspaniałej, wykonanej z kutej stali bramy pałacu sułtanki *valide* w Bałat²⁴, lud stojący po obu stronach drogi podniósł rwetes. Ci, którzy widzieli, jak sułtan Murad obserwuje całe zamieszanie z okna powozu i pozdrawia zgromadzonych, machając ręką, szeptali między sobą:

– Co się stało? Czy ktoś kiedykolwiek widział, żeby sułtan pozdrawiał poddanych?

Pałac dawno znajdował się w pełnej gotowości. Na rozległym przednim dziedzińcu oświetlonym pochodniami było widno jak w dzień. W małym zagajniku po lewej stronie na gałęziach drzew wisały kolorowe, papierowe lampiony, po trawnikach spacerowały żółwie ze świecami przyczepionymi do skorup.

Kiedy sułtański powóz zatrzymał się przed marmurowymi stopniami, sułtanka *valide* ukazała się w drzwiach. Nurbanu, wśród łopotu pół zielonego, aksamitnego kaftana podszytego sobolowym futrem, zeszła po schodach. Na stopniach po obu stronach stało dwanaście czarnoskórych dam dworu – jedna piękniejsza od drugiej. Zatrzymała się przed schodami. Wiedziała, że na jej twarzy malują się szczęście, duma, radość, ekscytacja i jednocześnie niepokój. Mimo iż próbowała wyglądać jak posąg, nie była w stanie utrzymać w sobie szalejącego w niej huraganu. Potężny czarnoskóry służący, od pasa w górę ubrany jedynie w zieloną, skórzaną kamizelkę, podbiegł i ułożył na ziemi jedwabną poduszkę w miejscu, w którym padyszach miał postawić nogę, wysiadając z powozu. W końcu drzwi się otworzyły i sułtan Murad opuścił powóz. Wszyscy znajdujący się na dziedzińcu padli na ziemię, oddając mu pokłon.

Tylko sułtanka *valide* stała dumnie wyprostowana. Dwanaście jej pięknych dam dworu pozdrowiło jej syna, krzyżując ręce na piersiach i kłaniając się.

Na dziedzińcu rozległy się okrzyki: „Niech będzie błogosławiony padyszach na tym i na tamtym świecie! Niech twoje panowanie trwa wiecznie! Niech żyje padyszach!”.

Murad oparł prawą rękę na szczycie rękojeści wysadzanej drogimi kamieniami szabli zakończonej rubinem wielkości pięści, wystającej spod kaftana podszytego sobolowym futrem, i dostojnym krokiem ruszył w stronę matki. Od czasu, gdy polecił mu to szejk Şüca, nie rozstawał się z rubinem i trzy razy dziennie smarował się piżmem.

Każdemu jego krokowi towarzyszyły ukłony. Dwanaście dam dworu powitało go deszczem róż i ryżu. Murad roześmiał się w duchu. „Róże i ryż, tak? Moja mądra matka. Wita nas w swoim pałacu z życzeniami płodności i szczęścia”.²⁵

Kiedy syn Nurbanu stanął naprzeciwko niej, sułtanka wraz ze swoimi dwunastoma czarnoskórymi damami dworu pochyliły się w ukłonie.

– Mój sułtanie...

W tej chwili Murad mógłby przysiąc, że w oczach jego matki zapłonął las.

– Matko...

– Nasz padyszach sprowadził pomyślność do naszego domu.

– Przybyliśmy tutaj nie jako padyszach, lecz jako syn pragnący ucałować dłoń swojej matki.

„Dobre sobie – przeszło przez myśl Nurbanu. – Przybył ucałować dłoń matki. Gdybyś nie zwietrzył zapachu Safiye, nie przyjechałbyś”. Mimo to wyprostowała się z dumą.

– W takim razie witaj w domu swojej matki, nasz drogi synu, chanie chanów.

Kiedy zostali sami, Murad powoli podniósł się z sofy. Zaczął przechadzać się po komnacie. Nurbanu w każdym ruchu syna mogła odczytać zniecierpliwienie. W końcu podszedł i zatrzymał się naprzeciwko niej.

– Nie macie nam nic do powiedzenia, matko?

Nurbanu udała, że nie rozumie. Nadszedł czas, żeby przypomniała swojemu

synowi, nawet jeśli był padyszachem, jak wielkie znaczenie odgrywa. Nie wolno mu zapomnieć, komu zawdzięcza fakt, że wciąż nosi głowę na karku.

– My zaś sądziłyśmy, że to nasz syn ma nam coś do powiedzenia.

Murad zawahał się.

– Doprawdy? Czego się spodziewałyście?

– Na przykład jakichś wyrazów wdzięczności... Podjęte przez nas działania uchroniły was przed...

– To pozostawiliśmy na koniec. Pomyśleliśmy, że najpierw porozmawiamy o tym, o czym mamy rozmawiać, a na koniec powiemy naszej matce to, co mamy do powiedzenia. Taka była nasza wola.

– To wystarczy waszej matce. Właściwie to ktoś inny zasługuje na wdzięczność...

– Jeśli macie na myśli naszego sługę Kara Mustafę, macie rację. Jego lojalność jest godna podziwu i zadośćuczynienia. Tak też uczyniliśmy. Dziś rano zaprosiliśmy do siebie naszego bejlerbeja Erzurum, wyraziliśmy nasze uznanie i odpowiednio go wynagrodziliśmy. Jakby tego było mało, oprócz gratyfikacji podarowaliśmy mu buńczuk i mianowaliśmy dowódcą armii osmańskiej, która wyruszy na wyprawę wojenną do Tebrizu. Pożegnaliśmy go, życząc, żeby z honorem dźmierzył nasz sztandar. „Imperium Osmańskie oczekuje od ciebie jeszcze wielu lat służby – powiedzieliśmy. – Niech twoja wojna zostanie uświęcona”.

Nurbanu poczuła ukłucie w sercu. Zatem takie było przeznaczenie Kara Mustafy. Ilekroć przysłużył się Imperium Osmańskiemu, jego nagrodą było oddalenie od stolicy wśród oklasków. „Selim też w podziękę Kara Mustafie, który uczynił go padyszachem, natychmiast odesłał go ze Stambułu”, pomyślała. Teraz zaś syn Selima... Ponadto tym razem Murad wysłał Kara Paszę, który ocalił mu życie i tron, nawet dalej niż Erzurum, na niekończącą się wyprawę po safawidzkich pustyniach. I to w jego wieku.

– To właściwe – mruknęła Nurbanu. – Dobrze, a co takiego nasz syn chciał od nas usłyszeć?

– Nie wiecie? – zapytał Murad z uśmiechem wyrażającym niedowierzanie.

– Skąd mogę wiedzieć?

Padyszach się zniecierpliwił.

– Matko – wydyszał gniewnie. Oparł dłonie o sofę po obu stronach kolan matki i nachylił się nad nią. – Zdaje się, że bawi was igranie z nami.

Nurbanu chciała coś powiedzieć, ale sułtan nie dał jej do tego sposobności.

– *Kim jest ta dziewczyna, matko?* – Murad przez chwilę mierzył matkę badawczym wzrokiem. – *Kim jest ta piękna wróżka, która od pierwszego wejrzenia odebrała nam rozum?*

– Powiedzieliście „wrózka”, synu?

– Powiniennem powiedzieć „gazela”? Jeśli powiem „antylopa” lub „łania”, to wystarczy, żeby oddać jej urodę? Jak, jeśli nie „wrózką”, nazwać piękność, która w ciemnościach wschodzi niczym słońce i błyszczy jak gwiazda?

– Zdziwiacie mnie, synu. Mówicie, jakbyście wiedzieli, że w waszym życiu pojawi się wróżka.

Padyszach skinął głową.

– Wiedzieliśmy. Przysięgam, wiedzieliśmy. Czekaliśmy na nią. Postawiło ją przede mną boskie światło. Ukazała mi się wróżka.

„Wspaniale – pomyślała zadowolona Nurbanu. – Moje przedstawienie odniosło zamierzony skutek.

– Nie mogę w to uwierzyć... Więc wcześniej ta dziewczyna... W takim razie to cud, Muradzie... Ale jak? Wszystko mi opowiedzcie.

– Tamtej nocy... Nocy, której spotkaliśmy się na murach...

Patrząc na matkę rozmarzonym wzrokiem, opowiedział jej, jak ukazała mu się wróżka i przeleciała mu przed oczami.

– Dobry Boże... Spójrzcie, aż dostałam gęziej skórki – odezwała się Nurbanu, zamierzając opuścić rękaw kaftana. Była zdziwiona, że pamięta tyle szczegółów, że przez kwadrans może mówić o iluzji, którą przez chwilę miał przed oczami. Strój wróżki, jej chustę powiewającą na wietrze, to, jak jej złote włosy błyszczały pod gwiazdami niczym słońce, jak nagle podskoczyła, a jego oczom ukazała się jej maleńka bosa stopa, jej sylwetkę, długie, białe nogi, które na chwilę pokazały się pod falującą sukienką... „Sprawa zakończona – stwierdziła z radością. – Nie będziemy musiały się nad tym napracować. Nasz syn padyszach już dawno zakochał się we wróżce. Ciekawe, co robi, kiedy zaraz ją zobaczy?”

– I wiecie, co się stało, matko? – powiedział Murad, kończąc opowiadać o chwili, gdy spotkał wróżkę.

Nie czekał, aż Nurbanu go o to zapyta.

– Gdy tylko piękna wróżka zniknęła, na ciemnym, nocnym niebie narodziła się gwiazda, której nigdy wcześniej nie widziałem. Pamiętacie, opowiedziałem wam kiedyś o przepowiedni szejka Şücy.

Oczywiście, że pamiętała. Kto lepiej niż ona mógł znać przepowiednię, której wyuczyła mężczyznę? Jednak Nurbanu znów nie miała czasu, żeby odpowiedzieć.

– Gwiazda zaranna... Moja gwiazda. Gwiazda, o której mówił szejk Şüca. Gwiazda zaranna, która mi pomoże i będzie ochraniać mnie przed niebezpieczeństwem... Gwiazda, której blasku nie przyćmi nawet słońce. Pytam was, jeśli to nie boski znak, to co?

Sułtanka *valide* wykonała ruch, dając do zrozumienia, że znów ma dreszcze. Tym razem nie było to kłamstwo. Widać było, że Murad całym sobą wierzy w każde wypowiedane przez siebie słowo.

– Wierzę, że Bóg Najwyższy zawsze będzie chronił mojego syna przed złem.

Murad nawet tego nie słyszał. Jego oczy płonęły.

– Co się wydarzyło na sułtańskich błoniach? – zapytał.

Teraz wyglądał, jakby rozmawiał ze sobą, a nie z matką.

– Wróżka ukazała się w namiocie, który poleciliśmy przygotować dla naszej matki. Dokładnie tak jak powiedział Şüca, nawet słońce pozazdrościło jej blasku. Strzała, którą wystrzelono, słysząc jej ostrzeżenie, pozbawiła życia drugiego zdrajcę. Gwiazda zaranna ocaliła waszego syna przed śmiercią, matko. Przepowiednia się spełniła. – Zamilkł, żeby nabrać powietrza. Przez chwilę jego pierś unosiła się i opadała niczym miech kowalski. – A teraz my, wasz syn, pytamy: Kim jest ta dziewczyna? Skąd przybyła? Od kogo

pochodzi? Dlaczego ją przed wszystkimi ukrywałaś, a szczególnie przed nami, władcą tych ziem, sułtanem Imperium Osmańskiego?

Nurbanu chciała coś powiedzieć, ale coś ją powstrzymało.

– Jeśli jako matka będziecie próbowały wymigać się od odpowiedzi, zapytamy nie jako syn, ale jako sułtan Murad. Kim jest ta dziewczyna?

– *Morską wróżkę.*

Zauważyła, że syn przygląda jej się nic nierozumiejącym wzrokiem.

– Drugie *weneckie słońce*, które zgodnie z wolą Bożą ma wzejść na horyzoncie Imperium Osmańskiego.

Padyszach zwilżył językiem wyschnięte wargi, a Nurbanu podniosła się z majestatem równym górcom.

– Wysłuchaj mnie jako syn albo jako sułtan Murad. To Baffo.

– Czyli? – wydusił z siebie oniemiały ze zdziwienia Murad.

– Czyli kuzynka waszej matki...

Sułtan poderwał się z miejsca.

– W takim razie na co czekacie, matko? Bóg, który połączył los naszej świętej pamięci ojca ze Złotą Córą Wenecji, postawił na naszej drodze wenecką Morską Wróżkę. Wezwijmy wróżkę, żeby rozjaśniła naszą noc.

XXX

Safiye podążała za sześcioma damami dworu idącymi jedna za drugą do komnaty, w której padyszach jadł posiłek ze swoją matką.

Serce wciąż tłukło jej się w piersi, ale przyczyną tego nie było to, że padyszach w końcu ją do siebie wezwał.

Ze snu wyrwał ją krzyk:

– Dobry Boże, zasnąłś?

Na początku sądziła, że woła ją przystojny jeździec, którego widziała we śnie. Już miała z radością przyjąć jego zaproszenie i rzucić się w jego ramiona, kiedy między rzęsami zamajaczyła jej czarna twarz pazia, który pochylał się nad nią.

– Padyszach i sułtanka matka czekają przy stole, a ty sobie drzemiesz? Na twoim miejscu zerwałbym się z miejsca ze strachu przed karą, która mnie czeka.

Zamiast tego Safiye leniwym krokiem ruszyła w stronę pokrytej marmurem konsoli.

– Safiye czekała. Muuu-rad też poczeka.

Służący nie mógł uwierzyć własnym uszom. Jego twarz zapłonęła ze strachu.

– Ciii! Jeśli ktoś usłyszy...

Safiye wzruszyła ramionami. Z pękatego dzbana o smukłej szyjce naląła sobie na dłoń trochę wody. Zwilżyła czoło i oczy.

– Ech, zatem chodźmy...

– O rety! – wykrzyknął służący, kiedy się odwróciła. – Tak zamierzasz stanąć przed sułtanem?

– Coś jest nie w porządku?

Kiedy przejrzała się w lusterku, które leżało na konsoli, ogarnęła ją panika. Ze zwilżonych rzęs spłynęło jej czernidło, a oczy zamieniły się w dwie czarne plamy. Do tego czarny barwnik spływał jej strugą po policzku.

Bąknęła coś, czego służący nie zrozumiał. Teraz także i jej udzieliło się rozgorączkowanie eunucha.

– Nie patrz się tak. Polej mi trochę wody, żebym mogła to zmyć.

– Zmyć? I co ci to da? Co zrobisz nieumalowanymi oczami?

Safiye też tego nie wiedziała. Tego dnia całe popołudnie damy dworu pracowały nad jej brwiami i oczami. Nie zważając na jej krzyki, jedwabną nicią usuwały jej brwi. Pod baczным okiem Meleknaz wklepały w jej twarz przeróżne mazidla, nakładały róż na policzki, u nasady rzęs nakreśliły cienkie czarne kreski.

– Polej wody! O reszcie pomyślimy później.

Na szczęście nie było takiej potrzeby.

Meleknaz wpadła do komnaty jak burza.

– Gdzie ty się podziewasz? Sułtan siedzi przy sto... – Kobieta nie była w stanie dokończyć. Na widok Safiye szeroko otworzyła usta ze zdumienia. – Biada nam.

Natychmiast wzięła się w garść.

– Szybko! – Klasnęła w stronę drzwi. – Szybko, chodźcie!

Dwie służące, które weszły do środka, zachichotały na widok twarzy Safiye

pokrytej czarnymi smugami, przypominającej jarmarcznego błazna. O nic nie pytając, wyciągnęły mazidła z szuflady konsoli i podbiegły do Safiye.

– Szalona dziewczyno, co ty zrobiła?

– Zdrzemnęłam się chwilę. Kiedy się obudziłam, obmyłam...

– Obmyłaś twarz i zamieniłaś się w żrebaka w czarne paski, jakiego widziałam na jarmarku.

Wszyscy obecni w komnacie wybuchli śmiechem.

– Nie wolno spać, kiedy padyszach czeka.

Podczas gdy dwie służki próbowały na nowo pomalować Safiye, Meleknaz zakasała rękawy i wzięła się do poprawiania i wyprostowywania zagięć na jej kaftanie i szarawarach.

– W tej chwili dwie osoby z niecierpliwością oczekują cię przy stole – sułtanka *valide* i padyszach. Powiedzmy, że uda nam się udobruchać sułtankę matkę, ale co z padyszachem? Wiesz, co się stanie, jeśli wpadnie w gniew? Nie można kazać padyszachowi czekać.

Safiye wydeła usta i wzruszyła ramionami jak mała niesforna dziewczynka.

– Co zrobić? Ja czekałam na niego dwa lata. Muuurad może poczekać na mnie chwilę.

Nagły hałas sprawił, że wszystkie się odwróciły. Służący leżał jak długi na podłodze. Chłopak, który obawiał się tak zuchwałych słów pod adresem padyszacha, zemdłał.

– Jesteś szalona, Cecilio Sophio Baffo – burknęła Meleknaz w swoim języku.

– Tak – odpowiedziała cicho Safiye. – Szalona Wenecjanka, która będzie współrządzić Imperium Osmańskim.

Ponowne przygotowanie Safiye przez damy dworu poszło szybciej, niż się obawiały.

Safiye, pośród wrogich spojrzeń i niezadowolonych pomruków dziewcząt obawiających się, że one również zostaną zbesztane za to spóźnienie, ustawiła się za damami dworu. Z trudem ocucony służący podążał za nimi, rzucając ukradkowe, błagalne spojrzenia, jakby chciał powiedzieć: „Proszę, nie ściągaj na nas kolejnych kłopotów”.

Przeszli przez ciężkie, dwuskrzydłowe drzwi, które otworzyło przed nimi dwóch olbrzymów. Meleknaz szła na przedzie, a za nią cztery damy dworu. Safiye kroczyła za nimi. Pozostawała w odległości jednego kroku za pozostałymi dziewczętami. Robiła, co mogła, żeby stąpać na czubkach palców, jakby płynęła, tak jak ją uczono. Poruszały się tak maleńkimi krokami, że przez chwilę zaczęła myśleć, że nigdy nie dotrą do końca długiego korytarza.

Nagle zauważyła światło padające na korytarz z lewej strony. Najpierw usłyszała głęboki męski głos:

– Gdzie się podziewa wróżka, matko?

Nie zrozumiała cichej odpowiedzi kobiety. Teraz to i tak nie miało już znaczenia.

„Nadchodzę, Muuuradzie, potomku Osmana – powiedziała w myślach. – Nadchodzę. Przybywam, żeby odwieść cię od zmysłów, żebyś myśląc o Safiye, zapomniał o całym haremie. Przybywam, żebyś podzielił się ze mną swoją władzą

i oczarował swoją potęgą. Przybywam, żeby zostać sułtanką Imperium Osmańskiego”.

Safiye weszła do komnaty razem z kroczącymi przed nią pięcioma damami dworu.

„Najświętsza Panienko, to on! Padyszach. Muuurad!”. Miała wrażenie, że zaraz zemdleje albo serce wyskoczy jej z piersi. „Weź się w garść. Co z tobą? To zwyczajny mężczyzna”, skarciła się w duchu.

Na środku znajdowała się olbrzymia taca zastawiona najróżniejszymi potrawami. Sułtan Murad zasiadał przy niej ze splecionymi nogami. Sułtanka *valide* siedziała tyłem do niej, naprzeciwko syna. Za padyszachem znajdowała się wspaniała sofa, o którą się opierał plecami.

Rzuciła mu ukradkowe spojrzenie.

„Dzięki Ci, Boże – ucieszyła się w duchu. – Na szczęście nie ma na głowie tego wielkiego turbanu”.

Był to jedyny szczegół, który udało jej się dostrzec. „Do diabła, przecież nie mogę unieść głowy i na niego spojrzeć. Ciekawe, czy on na mnie patrzy”.

Całą sobą czuła, że wszystko, co ją czeka, zależy od tego pierwszego spotkania. Jej przyszłość albo się zacznie, albo wszystkie jej plany i nadzieje zostaną tu pogrzebane. A ona nie wiedziała nawet, czy Murad na nią patrzy, ponieważ nie mogła unieść głowy bez jego rozkazu.

„Najświętsza Panienko – westchnęła. – Co to za życie? I dlaczego ja pragnę rzucić się jak zaczarowana w to życie, gdzie kobiety otaczają mury i prawie nie pozwala im się oglądać słońca?”.

Nagle zauważyła, że towarzyszące jej damy dworu ustawiły się w dwóch rzędach za siedziskiem sułtanki Nurbanu. Meleknaz, stojąca jako pierwsza, wyciągnęła głowę i spojrzała na nią, jakby chciała powiedzieć: „No dalej, ty też zajmij swoje miejsce”.

– Nareszcie – bąknęła Nurbanu, zauważywszy za sobą ruch.

Uniosła głowę, zamierzając zwrócić się do syna ze słowami: „A oto i twoja wróżka” i zdziwiła się. Murad zastygł w bezruchu, trzymając w powietrzu łyżkę, którą miał włożyć do ust. Wpatrywał się w jeden punkt. Nurbanu nie była nawet pewna, czy oddycha. Zupełnie jakby Murad znalazł się w jakimś tajemniczym świecie. „Odezwiąj się, synu – skarciła go w duchu. – Zapomniałeś języka? Powiedz dziewczynie, żeby uniosła głowę”.

Jednak nic się nie wydarzyło.

Safiye była pełna niepokoju. „A podobno nie mógł się doczekać, żeby mnie zobaczyć, usłyszeć mój głos – skarżyła się w duchu. – Przecież miał obsypać mnie pochlebstwami, przywołać do siebie. Miał unieść mi głowę, ujmując za brodę, i spojrzeć mi w oczy. Bóg jeden wie, może nawet nie ma pojęcia, że ja to ja. Może jego myśli wciąż zaprzęta któraś z haremowych dziewcząt! Jak miała na imię ta dziewczyna, o której wspomniała Meleknaz? Bihter czy jakoś tak”.

Padyszach natomiast jakby znajdował się zupełnie gdzie indziej. Siedział nieruchomo i bez mrugnięcia wpatrywał się w dziewczynę stojącą za damami dworu, które ustawiły się rzędem za jego matką. Stał nieco dalej od nich. Przypominała spłoszoną gazelę. Jej ramiona, unoszące się przy każdym oddechu, zdradzały ekscytację. W głowie Murada odbijało się echem jedno zdanie: „A oto i gwiazda zaranna... Twoja gwiazda.

Twoja wróżka o włosach jaśniejących słonecznym blaskiem!”

Kiedy cisza się przedłużała, sułtanka matka postanowiła interweniować. Najpierw odchrząknęła, próbując wyrwać syna z odległych krain, w których się znajdował, ale to nie pomogło. „Jeśli nie otworzysz ust – powiedziała w duchu – twoja matka przemówi w twoim imieniu”. Pojawiając się na scenie, Safiye, która oczarowała jej syna, powinna rozwiązać mu język.

Dokładnie w chwili, gdy miała klasnąć, żeby przywołać muzyka, który miał towarzyszyć Safiye, podczas gdy dziewczyna będzie śpiewała, stało się coś okropnego. Dziewczyna wśród szelestu szarawarów wyszła dwa kroki do przodu i stanęła przed sułtanem Muradem. Kiedy Meleknaz przerażona złapała ją za ramię, chcąc odciągnąć ją od sułtana, Nurbanu jej przeszkodziła. Jednak Safiye dostrzegła, jak jej kuzynka z niepokojem ściągnęła brwi. „Patrz – powiedziała w duchu. – Zobacz, co zrobi twoja młoda kuzynka”.

– Wasza Wysokość?

Sułtan Murad, wciąż nieobecny, usłyszawszy jej głos, miał wrażenie, że to szemrze przejrzysty potok. „Moja wróżka – przeszło mu przez myśl. – Moja gwiazda zaranna! Moja morska wróżka! Moja Wenus!”.

Safiye delikatnie wysunęła prawą stopę. Ten ruch sprawił, że rozcięcie w szarawarach rozchyliło się, na chwilę ukazując jej nogę w całej okazałości. Przechyliła tułów do przodu, wykonując wspaniały rewerans. Ponieważ stała za Nurbanu, kobieta nie mogła tego zobaczyć, ale była pewna, że podczas ukłonu oczom jej syna ukazały się obfite piersi jej kuzynki.

– Jak ja się cieszy... Eee... że was widzieć... eee... w dobrym zdrowiu...

Nie była w stanie dokończyć. Pochyliła głowę.

Wszystkich obecnych, włącznie z sułtanką *valide*, ogarnęła panika. To było niesłychane, żeby w ten sposób zwracać się do padyszacha. „Tego cię nauczyłam?”, burknęła w sobie Nurbanu. Meleknaz zaś pomyślała: „Tyle trudu, nauczyciele, lekcje i wszystko na marne”. Wszyscy ze strachem utkwili wzrok w sułtanie Muradzie.

Padyszach zaś był tak oczarowany urodą i głosem dziewczyny, że nie przyszło mu do głowy, żeby się na nią rozgniewać ani rozeźmiać się, słysząc jej nieudolne pozdrowienie. „Boże, co to za uczucie”, mówił do siebie. Ten głos... Ten głos... Rozpalał płomień w jego sercu, oczyszczał duszę z grzechu. A te włosy... Ten słoneczny blask, błysk gwiazd...

Safiye, zauważywszy, że padyszach wciąż przygląda jej się z łyżką uniesioną w powietrzu, zaszczebotała:

– Ja wieee... Kiedy mnie słyszycie... Wasza Wysokość się śmiać... Kiedy ja mówię...

Zamilkła, jakby w oczekiwaniu na odpowiedź. Murad dalej siedział z zapartym tchem. „Na pewno się rozgniewał – wystraszyła się Safiye. – Ostrzegali cię tysiąc razy, żeby się nie odzywać, dopóki padyszach nie udzieli ci głosu. A teraz masz”. Jednak nie było już odwrotu. Przybrała na usta słodki, wstydlivy, uwodzicielski uśmiech, jak uczyła ją Nurbanu.

– Wasza Wysokość bardzo się śmiać, prawda?

– Śmiać się? – Murad nie poznawał własnego głosu; miał wrażenie, że dochodzi gdzieś z daleka.

Nurbanu, jej damy dworu i zdjęta niepokojem służba jakby nieco się uspokoiły. Padyszach w końcu się odezwał.

Safiye nareszcie ujrzała jakiś wyraz w oczach Murada. Padyszach opuścił rękę, w której trzymał łyżkę. Zamierzał coś powiedzieć, ale zrezygnował. „Spodobałam mu się! – wykrzyknęła w duchu Safiye. – Spodobałam mu się! Stracił rozum. Oczarowałam go”.

– Dlaczego?

– Nie mówić dobrze... To znaczy... Osmański piękny... Ja bardzo się starać, ale...

– Bezradnie rozłożyła ręce. – Na... Nauczyła... Nauczyłam się... Ale zapomniała...

Wtedy Nurbanu zrozumiała. Być może na początku z podniecenia nie wiedziała, co powiedzieć, ale teraz dziewczyna udawała. Zauważyła, że zaskoczenie na twarzy Murada powoli ustępuje miejsca uśmiechowi.

– Nauczyl cię, co mi powiedzieć?

Safiye pokiwała głową.

– Kto to zrobił?

Dziewczyna najpierw popatrzyła na niego, jakby z wahaniem, niepewna i wystraszona. Później lekko się obróciła i przez ramię zerknęła na Nurbanu. Brwi kuzynki, jeszcze przed chwilą ściągnięte z przerażenia, rozluźniły się. Kiedy ponownie się odwróciła, przyłapała padyszacha, jak błdzi wzrokiem po jej brzuchu i biodrach. Znow zawołała w myślach: „Spodobałam mu się! Spodobałam mu się! Uwielbia mnie!”.

– Moja... – Murad nie był w stanie dokończyć. Tym razem głos jakby ugrzązł mu w gardle. Odchrząknął. – Moja matka nauczyła cię, co masz powiedzieć?

Najpierw pokiwała głową, po czym dodała pośpiesznie:

– Nauczyła, ale... eee... ja zapomniała...

– Dlaczego zapomniałaś? – Uśmiech na twarzy padyszacha było też słychać w jego głosie.

W odpowiedzi Safiye znow z zawstydzieniem pokręciła głową.

– Nie zdradzisz mi, dlaczego zapomniałaś?

Safiye udała, że chce coś powiedzieć, po czym zrezygnowała. Ponownie zamierzała się odezwać i znow zamilkła.

– Eee... – zaczęła, jakby w końcu zdobyła się na odwagę. – Ja... Jak to się mówić w osmański? Prze... Prze... Przejęcie.

Nurbanu zachichotała w duchu. „Dość. Moja kuzynka już zdążyła podbić serce mojego syna”. Zerknęła na swoją damę dworu. Wyraz twarzy Meleknaz zdradzał, że jest tego zdania.

– Zapomniałaś z przejęcia? A czym się tak przejęłaś?

Safiye uciekła spojrzeniem od padyszacha. Pochyliła głowę.

– Ja... – odezwała się ledwo słyszalnym głosem. – Ja... eee...

– Powiedz. Czym się przejęłaś?

Teraz powie. „Wystarczająco napięłaś łuk, mała Baffo – powiedziała do siebie. – Rozluźnij palce i wypuść strzałę. Przekonamy się, czy osiągnie cel”.

– Ja – wyszeptała, nie unosząc głowy – zobaczyła Waszą Wysokość... i... bardzo

się przejęła. Każde słowo wyleciało mi z głowy.

Murad już całkowicie poddał się uczuciom. Wybuchł śmiechem. Sułtanka matka przyglądała mu się z dyskretnym uśmiechem. Z twarzy tłumu służących i dam dworu także zniknęło napięcie.

Safiye uniosła wzrok i z zamyśleniem spojrzała głęboko w czarne oczy Murada. W oczach mężczyzny ujrzała płomień. „Trafiłam cię, potomku Osmana – przeszło jej przez myśl. – Trafiłam cię prosto w serce”.

Nagle zdała sobie sprawę, że ogarnia ją jakieś nieznane uczucie. Poczula, że całe jej ciało drży pod wzrokiem Murada. „Płomień Murada dosięgnął też mnie – pomyślała. – Ten ogień trawi nas oboje”.

XXXI

Sułtan Murad wybuchnął śmiechem, a później nagle spoważniał. Nie wiedział, co powinien uczynić i jak się zachować. Stała przed nim wróżka, która weszła do jego snów, tamtej nocy ukazała mu się na murach, gwiazda zaranna, której przybycie zwiastował mu szejk Şüca, a on po raz pierwszy nie wiedział, jak się zachować przy kobiecie.

„Co powinienem uczynić? – zastanawiał się. – Może zaproszę ją do stołu?”

„No nie, i co jeszcze – sprzeciwił się głos w jego głowie. – Ty jesteś wielkim padyszachem, a ona jakąś młodą dziewczyną”.

„W takim razie mam się tak jej przyglądać?”

Nagle poczuł się jak dureń. Powiedział pierwsze, co mu przyszło do głowy.

– Czego jeszcze cię nauczyli?

Safiye tak jak pozostałe dziewczęta splotła ręce pod brzuchem.

– Ja zrobiła bardzo... duży nietakt... Ale ja, widząc Waszą Wysokość... prze... przejęłam się.

– Czym tu się przejmować? – ciągnął padyszach. Słuchając dziewczyny, miał wrażenie, że płyną w nim rzeki. – Nawet jeśli bylibyśmy władcą świata, w końcu my też jesteśmy człowiekiem. Przyszliśmy na ten świat, kiedy nasz ojciec Selim Chan był sandzakbejem w Seruhanie. Mamy na imię Murad... – Zamilkł na chwilę. – Pytałem, jak ty masz na imię. Powiedzieli mi, że Safiye.

– *Powiedzieli nieprawdę.*

Co?! Wszyscy, włącznie z Muradem, zamarli.

Safiye zupełnie się tym nie przejęła. „Dość już tej gry – pomyślała. – Dość już tego naiwnego jąkania się”.

– Powiedzieli nieprawdę – powtórzyła. – Mój ojciec to Antonio Baffo. Urodziłam się w Wenecji. Mam na imię Cecilia. Jednak wolę, kiedy nazywa się mnie Sophia. Nazywam się więc Cecilia Sophia Baffo. Wenecjanka Sophia Baffo.

Podczas gdy padyszach słuchał jej, kiwając głową na znak, że rozumie, Nurbanu postanowiła się wtrącić.

– To ja nadałam jej imię Safiye...

Padyszach uciszył matkę ruchem dłoni.

– Więc jak mamy cię nazywać, gwiazdo zaranna? Jak się do ciebie zwracać? Cecilia czy Sophia? A może Safiye? Jak wolisz?

Nawet jeśli przez chwilę pomyślała: „Gwiazda zaranna? A co to znaczy?”, nie zatrzymała się nad tym dłużej. Poczula, jak ogarnia ją fala dumy. Wyprzedziła Nurbanu. Pokonała ją. Syn, którego trafiła strzałą z łuku, przerwał matce i oddał jej głos. Teraz będzie tak, jak powie ona, a nie jego matka. Jeśli zechce, będzie nazywał ją Cecilia, jeśli zechce – Sophia. „To musi być właśnie to, co nazywają poczuciem zwycięstwa”, pomyślała. Było to pierwsze zwycięstwo, którego zasmakowała. I sprawiło, że zakręciło jej się w głowie. Natychmiast zdała sobie sprawę, że uzależni się od tego uczucia. Przy okazji nauczyła się jeszcze czegoś. Żeby zwyciężyć, trzeba zaryzykować. Przed chwilą zaryzykowała wszystko – że padyszach się na nią rozgniewa i wyrzuci. I wygrała. Teraz jej starsza kuzynka z pewnością wyczekiwała jej odpowiedzi z płonącym wzrokiem.

Dokładnie w chwili, gdy zamierzała powiedzieć: „Jaka Safiye, potomku Osmana? Jestem Cecilia Sophia. Chcę, żeby zapamiętano imię, które nadała mi moja matka, a nie twoja”, odezwał się w niej głos rozumu: „Hej! Co ty wyprawiasz? Jeszcze nie teraz. Potrzebujesz jej. Jesteś tu teraz, ponieważ ona tego chciała. Zostaniesz żoną padyszacha, ponieważ ona tego chce. W jednej chwili może przekreślić Safiye, tak jak to uczyniła z Sophią. Każde zwycięstwo jest źródłem nieszczęścia. Nie prowokuj losu! Nadejdzie czas, kiedy się od niej uwolnisz, ale teraz jeszcze na to jest za wcześnie. Wykorzystaj ją”.

Safiye wolała odrzucić upojenie, jakie ogarniało jej serce, i pójść za głosem rozumu.

– Wiecie, że Cecilia to imię waszej matki?

– Tak. Matka mówiła, że jesteście spokrewnione.

– Yhy... Los postawił tu na mojej drodze moją kuzynkę, z którą przed laty zostałam rozdzielona. W Imperium Osmańskim nadano jej imię Nurbanu. Wasza matka zaś uznała, że odpowiednie dla nas będzie imię Safiye.

– Wciąż nie powiedziałaś, jak chciałabyś, żebyśmy zwracali się do wróżki.

„Wróżka? Co ten mężczyzna wygaduje?”. Przypomniało jej się, jak tamtej nocy, kiedy jechały na mury, Nurbanu również nazwała ją wróżką. „Matka i syn interesują się wróżkami”, przeszło jej przez myśl. Niech kojarzą ją, z czym chcą. Wróżka. Wcale nieźle.

Safiye uczyniła, jak postanowiła. Wiedziała, że Nurbanu jest bliska utraty zmysłów. „Mam prawo zasmakować zwycięstwa, nawet jeśli tylko przez chwilę – pomyślała. – Niech i ona zrozumie, jakie wrażenie już teraz wywarłam na jej synu”.

– Przyzwyczaiałam się do Safiye – odezwała się cicho. – Tak jak powiedziała wasza matka – dla Wenecji Sophia, dla Imperium Osmańskiego Safiye. Poza tym podobno istnieje taki zwyczaj, żeby zmieniać imiona dziewczętom, które przybyły do pałacu. Do tej chwili podeptałam wiele zwyczajów. Trzymajmy się chociaż tej zasady.

– Nauczyli cię też zasad i obyczajów?

Zadowolenie padyszacha dało się zauważyć, kiedy z kryształowego pucharu upił duży łyk wina.

– Oczywiście. Jednak kiedy ujrzałam Waszą Wysokość, w głowie nie pozostały mi żadne reguły i zwyczaje. Tymczasem wszystkiego mnie nauczylili.

Nagle sułtan Murad zauważył, że dziewczyna mówi, zupełnie się nie zacinając. Jak to możliwe, że w jednej chwili przyswoiła osmański i zaczęła się tak płynnie wypowiadać? „Mniejsza o to – powiedział do siebie. – Może przed chwilą język stanął jej kołkiem z przejęcia. Poza tym tak jest dużo lepiej”.

– Czego na przykład cię nauczylili?

– Jak powinnam się poruszać przed Waszą Wysokością.

Gdy dziewczyna mówiła, sułtan czuł się, jakby w pomieszczeniu otwierały się okna, a przez każde wpadał do środka słoneczny blask.

– Doprawdy? Więc jak powinnam się poruszać?

– Nie powinnam unosić głowy. Nie powinnam otwierać ust. Nie powinnam na was patrzeć. Nie wolno mi również patrzeć ani odzywać się, dopóki Wasza Wysokość nie wyda rozkazu. Jednak... – Zamilkła i pochyliła głowę niby zawstydzona.

– Jednak?

Tym razem Safiye odpowiedziała z manierą niesfornej dziewczynki, nie unosząc wzroku.

– Jednak ja uczyniłam odwrotnie. Otworzyłam oczy i usta. Spojrzałam i odezwałam się.

Ponownie ukloniła się, jeszcze na chwilę ukazując swoje piersi oczom padyszacha, które zaczynały już zajmować się ogniem. Bez skrępowania spojrzała Muradowi w oczy.

– Wasza Wysokość bardzo się na mnie rozgniewał?

Obecni w komnacie po raz kolejny osłupieli. Damy dworu i służące były przekonane, że tym razem nadejdzie koniec świata. Ta szalona dziewczyna wyrwała się przed oblicze sułtana, pozdrowiła go w przedziwny, a do tego niezgodny z etykietą sposób i odezwała się bez pozwolenia. Sądziły, że wybuchnie awantura, jednak tak się nie stało. Jeśli do tej pory świat się nie zawalił, teraz może runąć w gruzy. Jeśli do tej pory padyszach nie wybuchł gniewem, teraz mógł ryknąć: „Ty gjaurze! Co to za zuchwałość?! Mało, że zaczęłaś mówić, zanim udzieliliśmy ci głosu, to jeszcze wypytujesz nas, jakbyśmy byli towarzyszami, którzy jedzą z jednej miski!”.

Służące z przerażeniem spoglądały na sułtana Murada i sułtankę *valide*. Przenosiły wzrok z jednego na drugie. Jednak Nurbanu była spokojna. „Patrzcie na moją małą kuzynkę – mówiła w duchu. – Nie wiedziałyśmy, że jest wprawniejszą złodziejką serc niż my”.

– Czy się rozgniewaliśmy? – zapytał Murad ciepłym głosem.

Safiye pokiwała głową z tą samą manierą niesfornego dziecka.

Murad spojrzał na nią błyszczącymi oczami.

– Czy dusza może rozgniewać się na duszę?

„Do diabła!”, zaklęła w duchu Safiye. Większość osmańskich rozmów brzmiała jak szyfr. Co to miało znaczyć? Zmierzyła padyszacha wzrokiem. „Spójrz na wyraz jego twarzy – próbowała się uspokoić. – To musi być coś dobrego. Nie widzisz, z jakim podziwem na ciebie patrzy? To spojrzenie kochanka”.

Nagle stało się jeszcze coś, czego nikt się nie spodziewał.

Serce Safiye znów zaczęło tłuc się jak oszalałe. „Co się dzieje? Co robi ten mężczyzna? Czego chce?”.

Padyszach, wypiwszy z kielicha resztę wina, klasnął. Podczas gdy Safiye z mocno bijącym sercem oczekiwała na to, co się wydarzy, ciężka kotara przesłaniająca okno po lewej stronie poruszyła się. Aż do tej chwili nikt oprócz Murada i jego matki nie wiedział, że za zasłoną ukrywa się zarządczyni. Kobieta w głębokim ukłonie wynurzyła się ze swojej kryjówki. Podczas gdy przesuwiała się w kierunku padyszacha, władca podniósł się z miejsca.

– Mestane – odezwał się, wyciągając lewą dłoń.

Kobieta wsunęła rękę za pas. Kiedy ją wyciągnęła, okazało się, że ma w niej szkatułkę z macicy perłowej. Mestane trzykrotnie ucałowała puzderko i przyłożyła je do czoła, po czym ukloniła się i trzymając je na wysokości głowy, podała sułtanowi.

Murad wziął od niej szkatułkę i zwrócił się do Safiye:

– Nie przybyliśmy tu, żeby się gniewać, ale by podziękować za uratowanie życia.

Otworzył szkatułkę. Wyjął z niej coś niemal wielkości dłoni. W świetle dziesiątek

świec i lamp oświetlających komnatę przedmiot zaiskrzył się czerwonym blaskiem. Później nagle rozległ się błysk i komnatę przeszył zielony promień.

– Najświętsza Panienko... – bezgłośnie westchnęła Safiye.

Murad trzymał w dłoni rubin, co najmniej dwa razy większy od tego, który miał w pierścieniu. Kamień dookoła ozdobiony był diamentami i szmaragdami. Mienił się czerwienią, bielą i zielenią.

Zgromadzeni w komnacie westchnęli z nieskrywanym podziwem. Oczy wszystkich skierowane były na rubin żarzący się w dłoni padyszacha.

Kiedy Murad podszedł do Safiye, jej serce omal się nie zatrzymało. Spuściła wzrok i czekała. Skupiła wzrok na rubinach wielkości orzecha laskowego, znajdujących się na zadartych czubkach ciżem padyszacha.

– Jeśli uniesiesz swoją piękną główkę, ludzie przekonają się, czyje światło intensywniej rozjaśnia ciemność. Te diamenty, szmaragdy, ten płonący rubin czy światło oczu gwiazdy zarannej, blask jej złotych włosów?

– Wasza Wysokość – szepnęła Safiye zawstydzona, kiedy padyszach wyciągnął rękę w stronę jej piersi.

Murad zauważył, że drżą mu dłonie.

– Pewnej nocy – rzekł sułtan zamyślonym głosem – mieliśmy sen. Skłamałbym, mówiąc, że nie spałem. Jeśli spałem, oczy miałem otwarte. Wyszła nam naprzeciw dziewczyna. Obawiam się, że gdybym powiedział, że była piękna, uchybiłbym jej urodzie. Była jaśniejsza niż słońce i bardziej czarująca niż gwiazda. Najpierw mnie nie zauważyła. Zaczęła tańczyć, uśmiechając się. Wtedy poczuła moją obecność. W ciemnościach uniosła się w powietrzu jak na skrzydłach i zniknęła w deszczu białych, zielonych i czerwonych iskier.

„Teraz wszystko się wyjaśniło – pomyślała Safiye. – Więc to dlatego Nurbanu chciała, żebym biegała półnaga w nocnym chłodzie. Żeby odebrać zmysły swojemu synowi”.

Najwyraźniej jej się to udało.

– Ta piękność nie była z tego świata, ale snem też nie była. Była tak prawdziwa jak ty albo jak moja matka. Jednak była tak czarująca, że nie mogła być prawdziwa. Chciałem, żeby uczeni odczytali to, co widziałem, ale nie potrafili. „W takim razie wytłumaczcie mi, co takiego widziałem?”, zapytałem. Nie wiedzieli, co powiedzieć.

Sułtanka *valide* Nurbanu poruszyła się niespokojnie. „Do diabła, odezwij się wreszcie – burknęła w duchu. – Przed chwilą buzia ci się nie zamykała. A teraz, kiedy powinnaś... Mówże. Odpowiedz coś padyszachowi”.

– A wy jak sądziecie? Co takiego widzieliście? – zapytała Safiye, zupełnie jakby usłyszała Nurbanu.

– Powiedzieliśmy sobie: „Skoro to nie sen, to musi być wróżka”.

– Wasza Wysokość...

Safiye wciąż wpatrywała się w podłogę, ale ponętność w jej głosie wystarczyła, żeby rozbudzić pragnienia padyszacha.

– Murad... Mamy na imię Murad.

Nurbanu i wszyscy obecni wzdrygnęli się z niedowierzaniem. „Dobry Boże –

westchnęła Safiye. – Chce, żebym zwracała się do niego po imieniu?”

Sułtanka matka przycisnęła rękę do piersi, usiłując stłumić ekscytację. Czy tak szybki rozwój sytuacji to dobry znak?

Na szczęście Safiye mądrze się zachowała i udała, że tego nie słyszała.

– Wróżki są w baśniach, panie.

– My też tak uważaliśmy. Najpierw nie mogliśmy w to uwierzyć. Sądziliśmy, że to sen, lecz nie spaliśmy. Czuliśmy nocny chłód, słyszeliśmy szum fal. A to, że gdy wyczuła naszą obecność, pofrunęła i zniknęła wśród iskier? A jej czarująca uroda? Jeśli to nie wróżka, to kto?

– Oby postać, którą widzieliście, nie była śmiertelna.

„Daj już temu spokój – złościła się Nurbanu. – Niech wierzy, że to wróżka. Co ty knujesz?”

Murad pominął milczeniem słowa dziewczyny.

– Powiedzieliśmy: „To musi być jakiś boski plan. Skoro na jawie zesłał swojemu słudze wróżkę...”. I na sułtańskich błoniach znów pojawiła się ta wróżka. Ostrzegła nas o czającej się na nas śmierci. Wczoraj wróżka była na sułtańskich błoniach, a dziś stoi przede mną.

– Wasza Wysokość...

Murad poczuł, jak zalotność w głosie Safiye rozpala jego wnętrze. Wyciągnął drżące palce w stronę piersi dziewczyny.

– Kazaliśmy oprawić ten kamień, ponieważ do wróżki pasuje coś czarownego. Chcieliśmy, żeby czerwien rubinu opowiadała o ogniu trawiącym nasze serce, a diamenty i szmaragdy roztaczały blask gwiazdy zarannej.

– Panie...

Padyszach skierował wielką igłę w dół trójkątnego dekoltu Safiye, ale dłonie drżały mu tak bardzo, że nie był w stanie założyć jej za haczyk. Podczas gdy usiłował zapiąć broszkę, jego palce dotknęły skóry Safiye. Ciepło piersi dziewczyny ogarnęło całe jego ciało. Padyszach poczuł, że drży.

– Matko – westchnął.

Nurbanu już stała przy nim. Wzięła broszkę z niewprawnych dłoni syna i jednym ruchem przypięła ją do ubrania Safiye. Ciężar kamieni sprawił, że tkanina jeszcze bardziej się opuściła. Murad skupił wzrok na tajemniczym zagłębieniu, które odsłoniła. Widać było, że z trudem powstrzymuje się, żeby jej nie pocałować i nie powąchać.

– To wyraz naszej wdzięczności dla wróżki.

– Wasza Wysokość... Ale ja na to nie zas...

Kiedy padyszach uciszył ją ruchem dłoni, Safiye odpowiedziała mu głębokim ukłonem. Niewiele brakowało, a jej piersi wysunęłyby się z rozciągniętego ciężką broszą dekoltu.

„Nie rób tego – jęknął w duchu padyszach. – Nie pozostało nam ani rozumu, ani rozwagi. Nie widzisz, w jakim jesteśmy stanie, wróżko? Z trudem się powstrzymujemy. W przeciwnym razie w obecności naszej matki... Nie daj Boże...”

Odszedł pospiesznie i usiadł na materacu. Podciągnął kolano pod brodę i sięgnął po kielich.

– Czego jeszcze cię tutaj nauczyli? – zapytał tylko po to, żeby choć trochę wybawić się spod wpływu dziewczyny.

– Wielu rzeczy – odezwała się Safiye, unosząc głowę. – Tańczyć, grać na oudzie, śpiewać.

– Śpiewać?

– Tak, nauczyłam się nawet piosenki, żeby zaśpiewać ją wam tego wieczoru.

Sułtanka *valide* klasnęła i jedna z dam dworu podała Safiye oud. Dziewczyna była wyczerpana rozmową z sułtanem. W jej wnętrzu szalała burza uczuć. Dlatego od razu przysiadła na podłodze i wzięła w ramiona oud. Tym razem nikt nie miał jej za złe, że zrobiła to bez pozwolenia padyszacha.

– Wasza Wysokość pragnie, żebym zaśpiewała?

„Brawo, dziewczyno – pomyślała Nurbanu. – Specjalnie nie zwraca się do niego «Murad». Wprawdzie uparła się na to «Wasza Wysokość», jakby wydawało jej się, że jest na weneckim dworze, ale lepsze coś niż nic. Powinna wiedzieć, że nie wolno od razu się poddawać”.

– Oczywiście, że chcę. Lecz czy potrafisz jednocześnie grać na oudzie i śpiewać?

– Yhy...

– Co takiego zaśpiewasz, gwiazdo zaranna?

– Długo pracowałam nad pieśnią, którą wam zaśpiewam. Jednak tego wieczoru... kiedy ujrzałam naszego pana... zmieniłam zdanie. – Safiye delikatnie dotknęła broszki, którą podarował jej Murad. – Ja też chcę dać wam prezent.

Wszyscy byli równie zaskoczeni co Murad. Co odaliska mogła ofiarować wielkiemu padyszachowi?

– Doprawdy? Co nam podarujesz?

– Pieśń... Ale nie jest to pieśń, której mnie nauczono. Pochodzi z naszych stron...

– W pewnej chwili jakby głos Safiye się wyostrzył, a oczy zaszyły mgłą. – To wenecka pieśń.

– W twoim języku.

– Tak. W języku moim i waszej matki. Powiedzieli mi, że Wasza Wysokość zna nasz język.

Nurbanu przez chwilę zamierzała coś rzec, ale powstrzymała się. „Zostaw w spokoju tę dziewczynę – skarciła się. – Dobrze sobie radzi. Pozwól jej robić, co uważa”.

Sułtan Murad wygodnie rozsiadł się na materacu. Plecami oparł się o stojącą za nim sofę. Wziął kolejny łyk wina i odezwał się:

– O czym jest twoja piosenka?

– O śmie zakochanej w słońcu.

Oparła o siebie oud. Delikatnie dotknęła plektronem struny, później zabrzmiały kolejne radosne, lubieżne uderzenia, a za nimi następne. Kiedy wybrzmiewała jeszcze ostatnia nuta, Safiye odłożyła oud na podłogę, a z jej ust wydobył się cienki głos przypominający jęk. Później z westchnieniem popłynęły słowa przywodzące na myśl szloch.

Ćma była maleńka, lecz olbrzymim sercem ukochała słońce.

„Nie leć, bo spłoniesz”, powiedziały jej ptaki.

Lecz ćma z uśmiechem pofrunęła w ramiona swojej miłości.

„Nie zbliżaj się! – zawołało słońce. – Spalę cię swoim ogniem”.

Ostatni raz widzieli ją, gdy całowała słońce.

Powiedzieli, że połączyła się ze swoją miłością.

Kiedy wybrzmiał głos Safiye, padyszach miał w oczach łzy... Jedna z dam dworu łkała. „Krnąbrna dziewczucha – złościła się Nurbanu. – Jak mogła zaśpiewać taką nieszczęśliwą pieśń podczas wieczoru, który miał uszczęśliwić naszego syna?”

Podczas gdy zgromadzeni spodziewali się gniewu sułtana, ponownie zabrzmiał głos zakochanej w słońcu ćmy.

– Dalej! – zawołała śpiewnie Safiye.

Dalej! Śmieję się, baw i tańcz.

Nie można uciec przed miłością,

Choćby oznaczała śmierć.

Możesz być ćmą, biedakiem czy królem,

Ale nie uda ci się oprzeć słońcu.

Słyszając radosny refren tej rzewnej pieśni, sułtan Murad dołączył do Safiye, klaszcząc w rytm.

„Możesz być ćmą, biedakiem czy padyszachem, ale nie uda ci się oprzeć miłości”.

XXXII

Kiedy Safiye podążała za damami dworu do swojej komnaty, nie czuła nawet, jak dotyka stopami ziemi. Jedna z dam dworu spostrzegła zamyślenie dziewczyny i zwolniła kroku, czekając, aż się z nią zrówna. „Ta dziewczyna musiała urodzić się w Noc Przeznaczenia²⁶ – pomyślała. – Najpierw została ulubienicą sułtanka matki, a teraz oczarowała wielkiego sułtana Murada. Ja tam się nie znam – bąknęła – ale jeśli nie urodziła się w Noc Przeznaczenia, na pewno jest czarownicą. Innego wyjaśnienia nie ma. Jakby nie wystarczyła nam jedna wenecka czarownica, teraz mamy dwie. Boże, ulituj się nad nami, kiedy nadejdzie nasz koniec”.

Nagle kobieta wpadła w panikę, bo zdała sobie sprawę, że na twarzy miała wypisane swoje myśli. Nawet jeśli zazdrościła dziewczynie, którą sułtanka matka nieustannie wychwalała w obecności wszystkich i którą sułtan obsypywał podarunkami, musiała ukrywać swoje uczucia. Uśmiechnęła się, najpiękniej jak umiała.

– Co się stało, moja śliczna? Co to za mina? Nie odrywasz wzroku od ziemi. Czyżby ciążył ci rubin, który przypiął ci nasz pan?

Safiye natychmiast odczytała w głosie i spojrzeniu kobiety raczej zazdrość niż troskę. Jej ręka powędrowała do broszy, którą podarował jej Murad. Miała wrażenie, że się oparzyła. Mimo że wyczuła zawiść kobiety, zlekceważyła to. Teraz potrzebowała kogoś, komu mogłaby się zwierzyć.

– Nie, Dilşad... Mam mały mętlik w głowie.

Dama dworu zachichotała.

– Mętlik? Kto by nie miał, słysząc tyle pochlebstw z ust naszego pana?

– Nie wiem, czy idę, czy płynę. Jakbym kroczyła po wodzie jak Jezus.

– Doprawdy, spodobałaś mu się. – Później spojrzała na nią frywolnie. – Co to były za rozkochane spojrzenia?

Safiye ucieszyła się. Dilşad też zauważyła, jak Murad patrzył na nią wzrokiem pełnym uwielbienia. Wzruszyła ramionami i ruszyła dalej.

– Nie wiem... Może się ze mną bawił. Może on tylko...

– Tylko co?

– Przecież powiedział... Sądzi, że ocalałam go przed strzałą zdrajcy. Może to tylko dlatego tak...

– Daj spokój – sprzeciwiła się Dilşad. – Myślisz, że nie widziałyśmy twarzy mężczyzny? Nawet jeśli tak było, wiemy, jak wygląda rozkochane spojrzenie. To jasne jak słońce, że sułtan patrzył na ciebie z miłością.

– Czy ja wiem... Przecież wielki sułtan Murad nie zakochałby się we mnie.

Dilşad, nie zatrzymując się, spojrzała ponad ramieniem na Safiye. „Dość już przymilania się ulubienicy sułtanka matki”, pomyślała. Nie była w stanie dłużej udawać.

– Masz rację – syknęła. – Czy istnieje kobieta, której nie wielbiłby nasz pan? Harem jest przepelniony. Podobno na tyłach Starego Pałacu budują jeszcze jeden pałac dla nowych odalisek. Dla ciebie też przeznaczą izbę w nowej siedzibie odalisek.

Safiye stanęła jak wryta.

Dilşad, która nie spodziewała się, że dziewczyna się zatrzyma, dopiero po chwili

zauważyła, że Safiye została w tyle.

– Nie zamieszkać razem z odaliskami, Dilşad!

– Co?

– Nie zamieszkać razem z odaliskami!

– Ach, moja piękna Safiye, sądzisz, że to zależy od ciebie? Będziesz musiała!

– Nie zrobię tego! I tyle!

– Szalona. Dziewczyno, uważasz, że jest coś ponad wolą sułtana, że twierdzisz, iż tego nie zrobisz?

– Tak. Wola Baffo. Jeśli Baffo powie „nie”, sprawa jest zakończona. Sułtanka matka też jest Baffo. Powinnaś się tego od niej nauczyć.

Dilşad straciła rezon, ale nie dała tego po sobie poznać.

– Nie mieszaj w to sułtanki. Ona to co innego. Jest sułtanką *valide*. Jeśli taki będzie rozkaz padyszacha, nie tylko pójdziesz do odalisek, ale nawet do piekła.

Safiye spojrzała na kobietę zdecydowanie. Dilşad przez chwilę chciała stawić jej czoła, ale jej się to nie udało. Wzrok dziewczyny napawał ją lękiem. „To na pewno wiedźma”, pomyślała.

Safiye wyprostowała ramiona i uniosła głowę. Ruszyła, potrącając kobietę ramieniem.

– Dobrze – powiedziała ze złością. – W takim razie pójdę do piekła.

Gdyby się odwróciła i spojrzała na Dilşad, być może odczytałyby myśli kobiety: „W końcu tam jest twoje miejsce”.

Weszła do ciemnej komnaty i usiadła na szerokim parapecie. Jej oczy wpatrywały się w światła na przeciwnym brzegu, ręka powędrowała do rubinu, a myśli do wydarzeń tego wieczoru. Pamiętała każdą chwilę, każde słowo, każdy szczegół. Wszystko szło, jak tego chciała, i nie rozumiała, dlaczego czar nagle prysł. Dlaczego Nurbanu to zrobiła? „Zgoda, nie uczyniłam nic z tego, czego mnie nauczono, ale byłam pewna, że mi się uda – przeszło jej przez myśl. – Nie chciała, żebym wywarła wrażenie na jej synu, żeby się we mnie zakochał? Przecież właśnie to zrobiłam. Nawet Dilşad wspomniała o rozkochanym wzroku Murada. W takim razie dlaczego?”.

Próbowała jeszcze raz przypomnieć sobie tę scenę ze wszystkimi szczegółami. Pochlebstwa, którymi obsypał ją Murad, kiedy skończyła śpiewać; to, jak powiedział do służącej próbującej napełnić jego kielich winem: „Zostaw” i zwrócił się do niej... Safiye poczuła, że jej wewnątrz wypełnia ciepło na wspomnienie jego drżącego głosu, gdy mówił: „Niech wróżka zbliży się do nas. Nie pozbawiaj nas szczęścia wypicia wina z twoich rąk”. Murad nawet wskazał jej miejsce, gdzie miała usiąść. Stało jej przed oczami, jak przysiadła na kolanach i pochyliła się, żeby nalać do pucharu padyszacha wina z kryształowej karafki. Murad drgnął, jak antylopa ugodzona strzałą. Przez rozcięcia w szarawarach widać było nogi Safiye. Wzrok Murada najpierw błędził po jej nogach, później niewidocznej nagości jej brzucha, a stamtąd przeniósł się na piersi. Kiedy w końcu ich spojrzenia się spotkały, Safiye dostrzegła, że padyszach drży z pożądania.

– Ty też napijesz się wina?

Miała wrażenie, że padyszach się dusi. Z trudem łapał oddech. Ledwo mógł wydobyć z siebie głos, a jego pierś energicznie unosiła się i opadała. Wszyscy obecni to

widzieli. Jego matka też... W takim razie dlaczego wszystko popsuka?

– Wenecjanie uwielbiają wino, Wasza Wysokość.

– A ty?

– Nie napiję się w obecności Waszej Wysokości.

Tym razem jej też zaschło w gardle. Poczula, jak rozpała się w niej iskra, o której istnieniu do tej pory nie wiedziała, jak jej krew zaczyna wrzeć.

Wtedy Murad z trudem oderwał wzrok od zagłębienia między jej piersiami i spojrzał jej w oczy.

– Nawet z naszych rąk, gwiazdo zaranna?

I wtedy to się stało.

Zanim Murad zdążył dokończyć, Nurbanu klasnęła.

– Dalej, moje panie – odezwała się sułtanka matka głosem, którym smagał jak uderzenie bicia. – Zrobiło się późno. Wszyscy do swoich pokoi. Nasz pan ma jeszcze przed sobą długą drogę.

Nawet wspomnienie tej chwili przyprawiło Safiye o drzenie.

W jednej chwili czar prysł.

Poruszyła się niespokojnie. Utkwiła wzrok w czerwonym punkcie ślizgającym się na falach. Była to pewnie jakaś mała łódź rybacka.

„Cała magia się rozproszyła – mruknęła Safiye. – Zupełnie jakby na srebrną, ozdobioną złotym ornamentem tacę, która stała przez padyszachem, runęła wielka kula. Służące, damy dworu, nawet Meleknaz, ogarnęło przerażenie. Wszyscy zamarli ze strachu. Wyczytała w oczach Meleknaz: «Co ta Cecilia wyprawia? Pokazuje drzwi właściwie nie nam, ale swojemu synowi!»”.

Dlaczego to zrobiła?

Było oczywiste, że sułtan także był zaskoczony, a nawet zagniewany. „A może to mnie się tak wydawało?”, zawahała się Safiye, lecz zaraz odrzuciła tę możliwość. „Rozgniewał się. W przeciwnym razie jego twarz tak by nie spąsowiła? Kiedy cicho się odezwał: «Matko», brwi miał ściągnięte”.

Ale skoro się rozgniewał, to czy nie powinien był ryknąć? Tymczasem wielki padyszach wyjąkał ledwo słyszalnym głosem:

– Czy nie jest jeszcze wcześniej?

W tamtej chwili Safiye zupełnie nie wiedziała, co zrobić. Czy powinna się podnieść i podążyć za pozostałymi dziewczętami, czy dalej siedzieć przy Muradzie i uczynić to, co on powie? Powinna odejść czy zostać? Być może rozzłoszczony padyszach miał zamiar powiedzieć matce ostre słowa, których nie powinny słyszeć?

– Jest pewna kwestia, którą chcemy omówić z naszym synem. Nieczęsto widzimy go w naszym domu. Ponieważ wiemy, że polecił, aby na noc odwiedzić go do pałacu, chcieliśmy, żeby pozostał nam czas na tę sprawę.

Tym razem głos sułtanki Nurbanu był słodki jak miód. Safiye ujrzała, jak Murad opuszcza uniesione brwi, a rysy jego twarzy łagodnieją.

– Ta sprawa musi być ważna – odezwał się w końcu padyszach.

W jednej chwili przeszył ją chłód. Safiye była w stanie jedynie odczytać spojrzenia matki i syna. Władcą był Murad, ale rządziła Nurbanu. Murad panował w haremie,

a Nurbanu – w Imperium Osmańskim.

Kiedy padyszach ponownie się do niej odwrócił, Safiye próbowała stłumić piętrzące się w niej fale gniewu.

– Ale najpierw mam pewne pytanie.

Pytanie? Safiye przypomniała sobie, jak zdumiona spojrzała na padyszacha. „Do kogo to pytanie? Do mnie czy do matki?”

Nie musiała długo czekać. Padyszach po raz ostatni spojrzał w oczy i na piersi Safiye, a potem odwrócił się do Nurbanu.

– Jak sądzicie, matko? Gwiazda zaranna świeci każdej nocy?

W jednej chwili Safiye znów wypełniła radość. Najwyraźniej Murad chce widzieć ją każdego wieczoru. „Zapytaj ją wprost”, pomyślała. Kobiety, mężczyźni, padyszach i służący uwielbiali rozmawiać tymi osmańskimi szyframi.

Zapanowała cisza.

– Nie wiem, synu – wyszeptała Nurbanu. – Bóg jest panem nieba i ziemi, stwórcą wszystkich i wszystkiego. Nie wiadomo, czy po nocy dane nam będzie zobaczyć dzień.

„Znowu dużo zagmatwanych słów”, strapiła się Safiye. Kiedy obróciła głowę do sułtanki *valide*, zobaczyła, że kobieta zerka na nią ukradkiem.

– To On jest władcą słońca i gwiazd – ciągnęła Nurbanu. – Czy można wątpić w Jego mądrość? Stworzył jedno słońce, które daje światu życie, a gwiazdy rozsypał na niebie. Słońce jest potęgą, a gwiazdy – ozdobą nocy. Gdy jaśnieje świt, wszystkie uciekają, ponieważ wiedzą, że w blasku słońca są skazane na przegraną.

Głos kuzynki powoli zamieniał się w syk.

– Chcę powiedzieć, że na świecie są miliony gwiazd. Jeśli jedna nie zabłyśnie, rozpromieni się inna, synu. Najważniejsze, żeby światu nie zabrakło słońca, a Imperium Osmańskiemu – mojego Murada.

Ponownie odtworzyła te słowa w myślach, żeby upewnić się, czy dobrze je zrozumiała.

„To oczywiste – odezwał się głos w jej wnętrzu. – Wciąż zastanawiasz się, co miała na myśli Nurbanu? Wszystko było jasne. Nie przekraczaj granicy, Safiye. W przeciwnym razie narodzą się inne gwiazdy!”

Przez chwilę nie mogła skupić myśli.

Światła na przeciwnym brzegu zaczęły się rozmazywać. Czy ona płacze?

„Nie płacz – skarciła się. – Powinnaś być szczęśliwa. Poruszyłaś go. Odebrałaś mu zmysły. Padyszach nie mógł oderwać od ciebie wzroku. Nie widziałaś, jak zastygł z łyżką w powietrzu? Co to za czarne myśli? Słyszałaś na własne uszy. Zapytał matkę, czy gwiazda zaranna świeci każdej nocy”

I właśnie o to chodziło. Jego matka odpowiedziała, że nie wie. Jeśli ta gwiazda nie zabłyśnie, rozpromieni się inna. Mało jest gwiazd?!

Próbowała odgonić smutek. „Niech sobie mówi. Ty zaś rozproszysz czarne chmury przesłaniające Wenus. Nie pozwolisz, żeby oczy Murada ujrzały inną oprócz ciebie!”

„Postanowiłam! – Skinęła do siebie głową. – Jeśli będzie trzeba, będę z nią walczyć. Baffo przeciwko Baffo! Teraz nie mogę się już wycofać. Poza tym...”

Kiedy przed oczami ukazało jej się zaskoczone, rozkochane, czasem przemądrzałe,

czasem okrutne, ale najczęściej lubieżne oblicze sułtana Murada, uśmiechnęła się do swojego odbicia w oknie...

– Poza tym spodobał mi się... – przyznała sama przed sobą. – Uśmiechnięty, ciepły. Nawet przystojny. Nie „nawet”. Jest przystojny. Zgoda, może nie jest Herkulesem, ale nosi na głowie koronę świata.

„Nie ma już odwrotu, Safiye z rodu Baffo – pomyślała. – Korona Imperium Osmańskiego jest na wyciągnięcie ręki. Wyciągnij ją i weź”.

Nagle jej ciało ogarnął płomień. „Jak mogłam o tym nie pomyśleć?”. Znała już odpowiedź.

„Powinnam była to zrozumieć, kiedy pomyślałam, że władcą jest Murad, ale rządzi Nurbanu – oznajmiła. – Oczywiście... Teraz to ona nosi koronę. Ona rządzi. Nie spodziewała się, że wywrę tak wielkie wrażenie na jej synu. Zrozumiała, że w chwili, gdy go zdobędę, to ja będę rządziła. Chce, żebym została żoną Murada, ale w granicach, które ona wyznaczyła. Murad zostanie mój, ale koronę zatrzyma. Nawet jeśli urodzę Imperium Osmańskiemu padyszacha, to ona będzie rządzić. Dopiero, kiedy ona umrze...”.

W końcu odkryła magiczne słowa... „Dopiero, kiedy ona umrze”. To był klucz do wszystkiego. Safiye mogła zostać władczynią Murada, tronu, korony i Imperium Osmańskiego dopiero po śmierci swojej starszej kuzynki.

„Do diabła! – zaklęła. – Nie masz prawa się na nią złościć. Co ci powiedziała tamtej nocy, kiedy w tajemnicy zabrała cię na dziedziniec odalisek? «Osmanie nazywają to miejsce dziedzińcem odalisek, ja nazywam je piekłem odalisek. To piekło pięknych, ale głupich. Ty jesteś Baffo, mała kuzynko. Baffo powinny ufać swojemu rozumowi, a nie urodzie. Ty też bądź mądra. Jeśli mnie posłuchasz i zrobisz, co mówię, jeżeli podążysz moją drogą, dotrzesz do rajy. Zostaniesz żoną mojego syna i sułtanką Imperium Osmańskiego. Jeśli zaś zaufasz nie mnie, ale swojej urodzie, jeśli będziesz sądziła, że potęga i władza pochodzą wyłącznie z łoża, jeśli spróbujesz we mnie ugodzić i mnie wyprzedzić, tam właśnie skończysz. W piekle»”.

Tym razem Safiye miała wrażenie, że słyszy głos Dilşad: „Podobno na tyłach Starego Pałacu budują jeszcze jeden pałac dla nowych odalisek. Dla ciebie też przeznaczą izbę w nowej siedzibie”.

Czyli w piekle!

Przypomniała sobie przysięgę, jaką złożyła, kiedy razem z Nurbanu, ukryte w ażurowej szafie, obserwowały dziedziniec odalisek w Starym Pałacu: „Safiye prędzej trafi do czarnej ziemi niż na dziedziniec odalisek”.

Nagle zadrżała. Nie widziała jej i nie słyszała, ale czuła. Była tam. Tuż za nią.

– Nie słyszałam, jak przysięłaś.

Sylwetka sułtanki *valide* Nurbanu odbiła się w czarnej szybie okna, przed którym siedziała Safiye.

– Zamyśliłaś się.

– Masz rację, kuzynko. Myślałam.

– O czym?

Nie odwracając się, starała się odczytać wyraz twarzy Nurbanu z jej odbicia. Jej rysy były ostre i chłodne jak szkło.

– Dlaczego nie pozwoliłaś mi zostać z nim trochę dłużej? Dlaczego to zrobiłaś?

– Tak należało.

– Należało? Sama widziałaś. Wywarłam na padyszachu ogromne wrażenie.

A może uważasz, że mi się nie udało?

– Udało ci się.

– Więc?

W szybie zobaczyła, jak Nurbanu wyciąga rękę w jej stronę, później poczuła na ramieniu dotyk jej dłoni.

– Odwróć się do mnie.

Safiye nie usłuchała.

– Odwróć się i spójrz mi w twarz, Cecilio Sophio Baffo.

Obróciła się przez ramię.

– Zapamiętaj to sobie. Chcę, żeby Baffo została królową, a nie odaliską mojego syna.

– Dobrze, ale... Przecież go oczarowa...

– Tak, oczarowałaś go, robiąc dokładnie odwrotnie wszystko to, czego cię nauczono. Pokazałaś swoje ciało, kłaniając się do samej ziemi przed moim synem. Strzelałaś oczami, wydymałaś usta... Głaskałaś jego serce dwuznacznymi słowami... Zamiast pieśni, którą wybrałam, zaśpiewałaś tę bezwstydną przyśpiewkę. Co to za piosenka o ćmie zakochanej w słońcu... Niech się cieszą... Gdybym ci pozwoliła, pewnie jeszcze zatańczyłabyś przed padyszachem. Do tego podczas pierwszego spotkania...

„Tak”, przyznała przed sobą Safiye. Było to następne, co zamierzała zrobić.

– Zachowałaś się jak te nierządnicę, które prześcigają się między sobą, żeby czym prędzej wślizgnąć się do łóżka mojego syna... Murad ma setki takich dziewcząt w haremie... Jeśli będziesz się tak zachowywać, ty też tam skończysz. Trzy dni, pięć dni, może miesiąc... A potem prosto na dziedziniec odalisek... Myślałaś, że pozwolę, żeby moja kuzynka trafiła do tego piekła?

Chciała coś powiedzieć, ale nie mogła. „Ma rację – przyznała przed sobą. – Zachowałam się jak nierządnicę, żeby mu się przypodobać”. Spojrzała przed siebie. Bardzo się starała, żeby ciepła łza nie popłynęła jej po policzku, ale na próżno. Odwróciła głowę, żeby Nurbanu tego nie zobaczyła. Ręka kuzynki przeniosła się z jej ramienia na włosy. Delikatnie ją pogłaskała. W pewnej chwili Safiye pomyślała: „To jak ręka mojej matki” i nie potrafiła już nad sobą zapanować. Gdyby jej matka była tam tego wieczoru, gdyby widziała, co zrobiła, też z pewnością byłaby zła i zażenowana.

– Co chcesz, żebym zrobiła?

– Nie spiesz się. Zgoda, oczarowałaś go. Jednak ja znam swojego syna. Jest jak fiołki. Jego serce równie szybko rozkwita, co więdnie. Kiedy cię zdobędzie, jego pożądanie i ogień zgasną. Jesteś Baffo. Zostaniesz sułtanką Imperium Osmańskiego. Nie może zdobyć cię tak łatwo jak inne dziewczęta. Spraw, żeby się natrudził. Walcz z jego pragnieniami. Opieraj się. Nie ulegaj. Kiedy w końcu cię zawojuje, musi cię poczuć jak zdobywca, który odniósł zwycięstwo po trudnej walce.

– Nie potrafię – odezwała się cicho Safiye. – Nie wiem, jak to zrobić.

– Ale ja wiem.

– Jak?

– *Zabij Sopię Baffo. Stań się Safiye.*

„I mam nie sprzeciwiać się twoim rozkazom”, przeszło przez myśl Safiye. Odwróciła się i spojrzała na kobietę. Surowy i chłodny wyraz dawno już zniknął z twarzy Nurbanu. Teraz na jej ustach zagościł ciepły uśmiech. Jednak Safiye wiedziała, że to maska, jaką weneckie dziewczęta zakładały na twarz podczas wiosennych balów.

– Dobrze.

– Co powiedziałaś, moja śliczna? Nie dosłyszałam.

– Zabiję Sopię Baffo.

Tym razem nawet oczy Nurbanu się uśmiechnęły.

– Krocz moją drogą, kuzynko. Podążaj za mną, żebym mogła dać ci tron i koronę.

W przeciwnym razie wiesz, dokąd trafisz.

Ona też się uśmiechnęła.

– Podążam za tobą.

Podczas gdy Nurbanu wyszła zadowolona, Safiye westchnęła. „Kiedy nadejdzie czas – mruknęła w duchu – pożałujesz, że kazałaś mi zabić Sopię Baffo!”

Tej nocy sułtan Murad nie mógł zasnąć. Najpierw wziął ze stołu przed sobą tamburyn i próbował zanucić pieśń, którą zaśpiewała dla niego Safiye, ale bez powodzenia. Patrząc na dziewczynę, nie przykładał wagi do słów. Obudziły się w nim wszystkie pragnienia. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek był tak spragniony kobiety jak tej nocy. „Może przywołam Bihter?”, pomyślał, ale za chwilę się zawstydził. Miał wziąć do łóżka inną, marząc o Safiye? „Nigdy – mruknął do siebie. – Nie zdradzaj jej już pierwszej nocy, Muradzie”. Pomyślał, że biorąc do łóżka Bihter, mógłby stracić swoją wróżkę, osnuć mrokiem gwiazdę zaranną. Oblał go zimny pot.

Postanowił, że najlepiej będzie pocieszyć się marzeniami o Safiye. Kładąc się pod jedwabną kołdrą, wyobrażał sobie, jak złote włosy dziewczyny, głaszczące jej biodra, rozsypują się na poduszce. Myślał o jej włosach, o tym, jak pieści jej piękną twarz. Marzył o tym, jak upaja się blaskiem jej oczu. O tym, jak z pożądaniem rozchyła wilgotne, pełne wargi... Z jękiem zwinął się na łóżku. Jego wróżka powinna tu teraz być. Powinien wziąć ją w ramiona, objąć jej wąską talię, poczuć na swoim torsie jej duże, jędrne piersi. Wyciągnął ręce spod kołdry i spojrzał na nie. Otworzył dłonie i szacując ich wielkość, wyobrażał sobie piersi dziewczyny. Nagle ogarnął go szal. Przypomniał sobie sekretne zagłębienie w jej biuście, które ukazało się jego oczom, kiedy Safiye pokłoniła się przed nim. Wyobrażał sobie swoje wargi na jej piersiach, język zmierzający ku dolinie. Powinna westchnąć mu do ucha: „Mój Muradzie...”. Owionąć płomiennym oddechem jego szyję. „Mój władco... Mój mężczyzno... Nie zniosę tego dłużej...”

„Ja też tego nie zniosę”. Murad poderwał się z łóżka.

To nie może tak być.

Jeśli nie ma tu wróżki, jeśli gwiazdy schowały się za chmurami, nie będzie świadka jego zdrady. Poza tym skoro jego ręka nie dotknęła ręki wróżki, czy można to uważać za zdradę, czy poczytywać to za grzech?

– Kto tam jest?

Służący, słysząc głos padyszacha za okratowanymi drzwiami, pospiesznie wszedł

i padł przed nim na ziemię.

– Biegnij czym prędzej i znajdź Mestane. Chcemy Bihter. Jeśli nie zjawi się tutaj, dopóki nie dopali się ta świeca, obie mogą pożegnać się z życiem.

Zanim świeca się dopaliła, Bihter, zasłaniając jedwabiem swoje nagie ciało i roztaczając wokół siebie ponętne zapachy, weszła do komnaty padyszacha.

– Sułtanie!

– Płonę, Bihter.

– W takim razie weźcie swoją Bihter w ramiona, panie. Spalcie waszą służbę swoim ogniem.

Murad wprowadził w czyn słowa dziewczyny.

Kiedy burza ucichła, Bihter była wyczerpana atakiem namiętności padyszacha. Przeżyła z Muradem wiele płomiennych nocy, ale nigdy nie widziała go takiego zaborczego i nienasyconego. Właściwie powinna być zadowolona, ale wcale nie była szczęśliwa. Wiedziała, że tego dnia padyszach udał się do pałacu sułtanki *valide*. „Najwyraźniej matka pokazała mu piękność, o której wszyscy nieustannie mówili”, pomyślała. Zrozumiałwszy, co tak bardzo rozpałiło padyszacha, jęknęła w duchu. „Och, nie! To niemożliwe!”

Przysunęła się do padyszacha, przygotowując się na kolejną falę namiętności. Kolano wcisnęła mu między nogi.

– Mój tygrysie...

Murad nie był w stanie się temu oprzeć. Niezależnie od tego, jak bardzo był zmęczony, zaatakowałby ją jak lew i ścisnął w ramionach tak mocno, że omal nie połamałby jej kości. Ale tym razem lew nie zaryczał.

– Odejdź.

Sułtan Murad odrzucił z siebie koldrę i wstał.

– Kiedy będziesz wychodzić, powiedz naszemu pokojowcowi, że chcemy się natychmiast widzieć z szejkiem Şüca.

Şüca przybiegł, gdy tylko dostał wiadomość. Kiedy cały czerwony na twarzy wszedł do komnaty padyszacha, sprawiał wrażenie, jakby z braku tchu miał upaść na ziemię i wyzionąć ducha.

– Gdzie się podziewałeś, człowieku?! Życie ci niemiłe?

Şücę przeszedł dreszcz. Padyszach po raz pierwszy tak z nim rozmawiał. Od czasu do czasu nawet śmiał się w duchu, myśląc, że padyszach z obawy o prześladowające go dzinny jest taki łagodny. Spóźnienie nie mogło być powodem tego gniewu. Poza tym wcale się nie spóźnił. Od chwili, gdy powiedziano mu, że padyszach go wzywa, przybiegł do pałacu zaledwie po godzinie. Łatwo było pokonać tak długą drogę? Ponownie się pokłonił, ucałował szatę Murada i wydyszał:

– Życie Şücy należy do jego chana. Przybiegliśmy, gdy tylko usłyszeliśmy rozkaz naszego pana. Jednak wasz sługa jest już sta...

– Zamilcz. Teraz słuchaj. Opowiedziałem ci o wróżce, którą widzieliśmy we śnie, ty zaś to objaśniłeś. Wiesz o tym, że później wróżka nam się ukazała. A teraz słuchaj, co ci powiemy, i zdziw się. Wróżka zesłała na ziemię. Gwiazda zaranna zabłysła nad nami. Co o tym powiesz?

„Ach, o to chodzi – zachichotał mężczyzna w duchu, powoli unosząc głowę. – Zatem sułtanka *valide* w końcu ujawniła wróżkę”.

– Co mogę powiedzieć, panie? – zaczął tak, jak chciała Nurbanu. – Nasz pan jest ukochanym sługą Boga. Najpierw Pan zesłał wam huryskę we śnie... Później ukazał wam ją na jawie. Teraz zaś dał jej ciało i w ludzkiej postaci postawił przed wami. To, co się wydarzyło, wasz sługa Şüca odczytuje jako świętą jedność. Czcigodny sułtan i gwiazda zaranna... Boskie światło padnie na tron Murada Chana i ziemie Imperium Osmańskiego. Jeśli nasz pan pozwoli, postawię wróżbę, sprawdzę, co pokazują znaki. Wtedy będzie można powiedzieć coś więcej.

Murad podniósł się z miejsca. Kiedy zobaczył Şücę na podłodze w ukłonie, rozgniewał się.

– Wstańże, człowieku! Mamy rozmawiać z twoją twarzą czy plecami? Postaw wróżbę i odczytaj znaki. Jednak nie mamy czasu. Skoro tak wygląda sytuacja, co mamy teraz zrobić, żeby nasza Wenus nie zgasła, żeby wróżka nie odfrunęła?

Na to Şüca też miał odpowiedź. Raziye Kalfa wyszeptała mu ją do ucha, kiedy przybyła do niego z pałacu sułtanki matki.

Pospiesznie unióś ramiona i otworzył dłonie jak do modlitwy.

Mężczyzna sprawiał wrażenie, jakby kogoś budził. Później z jego ust wylały się niezrozumiałe szepty, jakby z kimś rozmawiał. Jego wargi się poruszały, ale Murad nie słyszał głosu Şücy. Nagle mężczyzna krzyknął:

– Nie rób tego, Panie Bieguna! Nie rób tego!

Jego dłonie i twarz znieruchomiały, ramiona i nogi zaczęły się trząść. „Pewnie rozmawia ze swoimi džinnami”, przeszło Muradowi przez myśl. Zawsze działo się tak, kiedy Şüca zwracał się do džinnów.

Şüca kątem oka dostrzegł, że padyszach zaczyna się niecierpliwieć, i powoli się uspokoił. Jego świdrujące oczy przestały się poruszać. Drżenie ustało. Ramiona i nogi odzyskały siły.

– Dżinn Bieguna jest zagniewany. Nie lubi, kiedy mu się przeszkadza. Jednak nie mógł też oprzeć się zaproszeniu waszego sługi Şücy. Trochę się pozłościł, wymierzył nam kilka policzków, ale w końcu poddał się potędze, którą Bóg obdarzył swojego sługę, i wreszcie wszystko powiedział.

– Co takiego powiedział?

– „Ptak potrzebuje klatki – wydyszał mężczyzna, jakby przemawiał z tamtej strony. – Bez klatki ptak odleci... Przekaż temu śmiertelnikowi, że należy zabrać wróżkę do miejsca, z którego nie będzie mogła odfrunąć”.

– Każę zrobić dla niej złotą klatkę – odparł rozbawiony Murad.

– I jeszcze... – Şüca zamilkł, jakby nie miał odwagi dokończyć.

– I jeszcze co? Co powiedział džinn? Mówże.

– I jeszcze... Dżinn Bieguna powiedział: „Śmiertelnikowi, który zobaczył wróżkę, nie wolno dotknąć skóry innej kobiety. Jeśli uczyni inaczej, woda jego potęgi wyschnie. Dopóki nie wstanie świt, gwiazda zaranna jest świadkiem wszystkich tajemnic. Jeśli śmiertelnik, do którego domu zstąpiła wróżka, zada się z inną kobietą, Wenus okryje mrok i wróżka odfrunie”.

Promieniejące miłością serce sułtana Murada przesłoniły chmury niepewności. „Do diabła! – zaklął w duchu. – Po co wzywałem do siebie Bihter? Jeśli moja wróżka się o tym dowie?”

„Nie! – krzyknął w duchu. – Nie! Nie!”

XXXIII

Następnego dnia zarządczyni Mestane przybyła z pałacu powozem pełnym prezentów. Strażnicy przy bramie pałacu sułtanki matki zaniepokoiili się na widok pałacowego powozu. Jeden z nich natychmiast pobiegł i powiadomił kapitana. Mężczyzna rzucił na talerz udko z kurczaka, które miał w ręku, i ruszył do drzwi. Cztery konie w uprzężach mieniących się w słońcu wzburzyły się na widok mężczyzny, który wyszedł im naprzeciw, machając rękami. Woźnica pospiesznie ściągnął lejce i zatrzymał konie tuż przed kapitanem. Albański woźnica krzyknął rozgniewany:

– Nie widzisz pałacowego powozu, że zastępujesz nam drogę jak zbójca, ago?

Jednak kapitan nie dał się przekonać.

– Po tym, co wydarzyło się na sułtańskich błoniach, łapiemy nawet wiatr. Czy dwóch zdrajców nie próbowało zgładzić naszego pana w samym sercu pałacu? Skąd możemy wiedzieć, że powozem przystrojonym, jakby przybywał z pałacu, ktoś nie nasłał szpiegów na sułtankę *valide*?

– Ty kmiecie! – ryknął z góry Albańczyk. – Czy twoje uszy słyszą, co mówią twoje usta? Wyglądamy na człowieka, który wiózłby zdrajców? To chcesz powiedzieć, głupcze?

Zniecierpliwiona Mestane siedząca w powozie postanowiła się wtrącić. W przeciwnym razie ta wymiana zdań trwałaby dalej. Uniosła skórzaną zasłonę i wyjrzała przez okno.

– Zrób nam przejście, dzygicie! – zawołała do kapitana. – Sprawa nasza jest dużej wagi i niecierpiąca zwłoki. Wieziemy prezenty od sułtana Murada Chana dla pani Safiye.

Kapitan postanowił ustąpić. Usunął się na bok i zwolnił drogę. Podczas gdy powóz zmierzał w stronę marmurowych schodów, drogą ozdobioną dwoma rzędami cyprysów, woźnica wciąż złorzeczył na kapitana.

– Na co komu taki tępak? Nie rozumiem, jak takie baranie łby mogą być żołnierzami.

Niedługo potem Mestane stanęła przed sułtanką matką.

– O co chodzi? Co to za zamieszanie?

– Przywiozłam prezenty od mojego pana dla pani Safiye, sułtanko matko – wyjaśniła kobieta, nie podnosząc się z ukłonu. – Wybaczcie, jeśli w czymś wam uchybiłam.

Nurbanu zwróciła się do stojącej przy niej Meleknaz.

– Sprawdź, co robi nasza Safiye. Jeśli nie jest zajęta, niech przyjdzie. Pieśń, którą zaśpiewała wczoraj wieczorem, musiała bardzo spodobać się naszemu synowi, skoro przysłał prezent.

„Jaka pieśń? – pomyślała Mestane. – Czy padyszacha obchodzą jakieś przyspiewki? Dziewczyna rozpałała w nim zmysły”.

Safiye nie kazała na siebie długo czekać. Pozdrowiła Nurbanu i usiadła u jej lewego boku. Miejsce po prawej stronie zajęła Meleknaz.

– Skoro przyszła nasza córka, zobaczymy, co nasz syn sułtan zapragnął jej ofiarować.

Na znak Mestane otworzyły się dwuskrzydłowe drzwi. Do komnaty weszło dwunastu służących, po sześciu w każdym rzędzie. Każdy z nich trzymał pakunek.

– Zdaje się, że się pomyliłyśmy – zachichotała Nurbanu, zasłaniając usta. – Zamiast powiedzieć: „Co nasz syn zapragnął jej ofiarować”, powinniśmy zapytać, czego nie chce jej darować.

Meleknaz odpowiedziała uśmiechem na rozbawienie swojej pani. Natomiast Safiye przygryzała wargi, żeby stłumić ekscytację. To, co wydarzyło się wieczorem, było dla niej lekcją. Nie będzie już zachowywać się jak nierządnicą. Zabiła Sopię Baffo. Była teraz Safiye przygotowującą się do tego, żeby zostać sułtanką Imperium Osmańskiego. Będzie wyniosła i niedostępna, jak przystało na sułtankę.

Nurbanu poczuła satysfakcję, widząc, że dziewczyna stoi niewzruszona, jakby wcale nie paliła się do tego, żeby zobaczyć, co kryje się w paczkach. „Weszła na właściwą drogę – przeszło jej przez myśl. – W końcu pojęła, że jej los nie zależy od jej urody, ale ode mnie”. Zwróciła się do Mestane.

– Otwórz je, zarządczyni. A może czekasz, aż same to zrobimy?

Mestane natychmiast sięgnęła po pierwszy pakunek.

– Wyszywany perłami kaftan od sułtana Murada Chana dla pani Safiye. – Kobieta zaprezentowała strój, po czym rozłożyła go na podłodze.

Oczom kobiet ukazała się góra atlasowej tkaniny mieniącej się złotem i czerwienią, w całości wyszytej małymi perłami, rękawy i kołnierz zaś dużymi perłami w kształcie łez, które przyprawiły o drżenie nawet mieszkanki pałacu. Każda z nich wyglądała jak kropla wody, która szykowała się, żeby spaść z gałęzi. Jeden koniec wyglądał jak skośne oko, drugi jak krągła łza.

Safiye z trudem powstrzymała się, żeby nie krzyknąć z podziwu.

– Perły łzy – mruknęła Nurbanu. – Jaką mogą nieść wiadomość? – Później figlarnie spojrzała na Safiye. – Co mogło sprawić, że nasz syn wylał tyle perłowych łez?

Zarządczyni podreptała po drugi pakunek.

– To od naszego pana, żeby pani Safiye nie marzła w chłodne dni – wyjaśniła, pokazując wielkie sobolowe futro.

Na sam jego widok dziewczynie zrobiło się ciepło.

Później zarządczyni zaprezentowała zawartość kolejnych dziesięciu paczek. W niektórych były jedwabie z Chin, w innych z Indii, w jeszcze innych – Persji, szarawary o różnych krojach i kolorach, czerwone, żółte, zielone i niebieskie, joruckie koszule, ciżmy, klapki, okrycia z czerwonego tiulu ze srebrnymi ornamentami, wyszywane chusty.

– Atlasowa kołdra na łóżko pani Safiye.

– Prześcieradło z egipskiego lnu.

– Haftowane aksamity od naszego pana dla pani Safiye.

– Jedwabna bielizna dla pani Safiye.

– Bursańskie ręczniki i przepaski dla pani Safiye.

– Dwie pary wysadzanych macicą perłową, zdobionych drewniaków.

– Srebrna miska łazienka.

– Kryształowe dla różnych ust od Murada Chana. Kryształowe puchary dla pani

Safiye.

Z każdym otwieranym pakunkiem serce Safiye wyrывało się z piersi, podobnie jak serce sułtanka Nurbanu, na którą spoglądała ukradkiem. Nie potrafiła określić, czy na twarzy kobiety malowała się zazdrość, czy radość. „Jakby czegoś takiego się nie spodziewała”, przeszło jej przez myśl.

– Co jest w tym pakunku, zarządzczyni? Wydaje się bardzo mały.

Mestane otworzyła niewielką paczkę, którą trzymał ostatni służący.

– Sadżdżada z damasceńskiego jedwabiu od naszego pana dla pani Safiye. – Kobieta spojrzała na Safiye. – Nasz pan polecił mi powiedzieć, że to, aby wróżka podczas modlitw nie zapominała o swoim Muradzie, piękna pani.

Sadżdżada? Safiye nie wiedziała, jak się zachować. Sadżdżada? Co ma z tym zrobić? Uniosła głowę i spojrzała na Nurbanu, jakby chciała rzec: „Przecież nie jestem muzułmanką”. Kobieta też po raz pierwszy wyglądała na zaskoczoną.

„A to o tym nie pomyślałaś, Nurbanu – powiedziała do siebie sułtanka matka. – Oczywiście! Żeby padyszach ją poślubił, najpierw Safiye musi porzucić krzyż i zwrócić się ku półksiężycowi. Musi przejść na islam”. Jednak dziewczyna nie została jeszcze muzułmanką.

Przez chwilę jej twarz jakby spochmurniała. Czyżby Murad tak sądził? A może, przesyłając sadżdżadę, dawał jej znak? Znak, że nie będzie ślubu, dopóki nie przejdzie na islam.

„Dobry Boże!”, wzdychała w duchu co chwila. Safiye zupełnie nie była na to przygotowana. Tyle razy sprawdzała ją wieczorami. Jej kuzynka przed położeniem się spać jak mała dziewczynka klękała w nogach łóżka, składała ręce i modliła się. Chociaż nigdzie nie było krzyża, ikony czy statuetki Maryi, nie trzeba było być księdzem, żeby odgadnąć, do kogo kieruje swoje modlitwy. Nie chodziła do kościoła, ale stworzyła swój kościół w niewielkiej komnacie. Teraz okaże się, czy zgodzi się wyrzec swojej religii.

„Sądząc po tym, jak bardzo była zaskoczona na widok sadżdżady, nie będzie to łatwe – przeszło jej przez myśl. – Przekonamy się, czy przez te dwa lata udało mi się ją na to przygotować”.

Jednak nie zatrzymała się nad tym długo. Zauważywszy chytry wzrok Mestane, przenoszący się między nią a Safiye, szybko wzięła się w garść. Z szerokim uśmiechem spojrzała na dziewczynę.

– Przyjmujesz dary, prawda, dziecko?

Safiye nie wiedziała, co powiedzieć.

– Szczodrość naszego pana tak bardzo zaskoczyła naszą córkę Safiye, że nie może znaleźć słów, żeby to wyrazić. Jest ogromnie wdzięczna. Wszyscy modlimy się za zdrowie i pomyślność naszego sułtana i jego długie panowanie. Nasza córka też prosi o to pięć razy każdego dnia.²⁷ Od teraz będzie upraszać o zdrowie i szczęście Murada Chana, na sadżdżadzie, którą jej przesłał. Przekaż to naszemu synowi, zarządzczyni. Swoją hojnością rozjaśnił też oblicze swojej matki.

Później machnięciem ręki dała kobiecie znak, żeby odeszła.

Podczas gdy Mestane i służący opuszczali tyłem komnatę, Nurbanu powtarzała w duchu: „Idźcie czym prędzej, żebym mogła zająć się węzłem, który rzucił nam pod nogi

nasz syn”.

Jednak tej nocy nic, co powiedziała nie przyniosło skutku. Ilekroć podejmowała ten temat, Safiye wyciągała krzyż i uciekała.

– Musisz to zrobić – powiedziała w końcu Nurbanu.

– Muszę?

– W Imperium Osmańskim ten, kto nie jest muzułmaninem, jest giaurem. Tak jak Wenecja patrzy na niewiernych, tak oni postrzegają nas. Padyszach Imperium Osmańskiego nie poślubi dziewczyny giaura.

– Nie ma innego sposobu?

– Jest. Prędzej czy później weźmie cię do łóża. Nawet ja tego nie powstrzymam. Jednak nie weźmie cię za żonę. Kiedy jego entuzjazm minie, powędrujesz prosto na dziedziniec odalisek.

– Czyli do piekła!

Sułtanka *valide* skinęła głową.

– Jeśli wyrzeknę się swojej religii, też trafię do piekła.

– Istnieje też piekło za życia.

Nastąpiła długa, złowróżbna cisza.

– Piekło, piekło – mrucała Safiye jakby w szaleńczym widzie. – Wygląda na to, że prędzej czy później i tak pójdę do piekła. Trafię tam, jeśli wyrzeknę się religii i jeśli się jej nie wyrzeknę.

Sułtanka matka zlekceważyła wyrzut w głosie dziewczyny.

– Bez ślubu nie będziesz miała żadnych praw. Nawet dzieci, które urodzisz, nie zostaną uznane za prawowite – nalegała, ale nie była pewna, czy Safiye słyszy jej słowa.

Dziewczyna wpatrywała się w jeden punkt i mrucała pod nosem:

– Piekło, piekło, piekło, piek... – Nagle zamilkła. – Nie! Safiye nie ma czego szukać w piekle. Ani w jednej sytuacji, ani w drugiej.

Nurbanu i Meleknaz popatrzyły na siebie, zastanawiając się, co to miało znaczyć.

– Zatem? – odezwała się szeptem Meleknaz. – Ty też, podobnie jak my, zgadzasz się przejść na islam?

Twarz Safiye przybrała dziwny wyraz. Nurbanu po raz pierwszy nie potrafiła odczytać myśli dziewczyny.

– Przekonamy się – rzekła Safiye – czy syn naszej kuzynki, jest naprawdę tak bardzo zakochany, jak mówią. Czy zamierza pojąć nas za żonę, jak pragnie jego matka, czy tylko uradować nami serce. Jeśli zamierza wysłać nas do piekła, kiedy tylko jego zapłon opadnie, gdy weźmie nas do łóża, dlaczego miałabym stawiać na miejscu krzyża półksiężyc, Meleknaz?

Od tej pory każdego dnia między południowym ezanem a popołudniową modlitwą pałacowy powóz przy akompaniamencie końskich kopyt przemierzał Złoty Róg i jechał do pałacu sułtanki *valide*. Początkowo mieszkańcy Balat i Fener ożywiali się, radowali i go oklaskiwali. Później przywykli do tego widoku. Wieczorami w greckich kawiarniach na wybrzeżu Złotego Rogu przestano już wypytywać: „Co pałacowy powóz każdego dnia zawozi i zabiera z pałacu sułtanki matki?”. Nie było miejsca, do którego nie dotarłyby plotki.

- Słyszałeś? Podobno sułtan Murad zakochał się w jednej z dam dworu.
- Słyszał o tym Głuchy Sułtan. Mówią, że dziewczyna jest giaurem.

W tym miejscu szeptano:

- Czy niegdyś matka sułtana również nie była giaurem, efendi?

Później, zanim wyszedł na jaw sens tych słów: „To oczywiste, syn niewiernej zakochał się w niewiernej”, dodawano:

– Dziewczyna prędzej czy później odnajdzie właściwą drogę, tak jak nasza sułtanka matka.

Plotki o miłości padyszacha, do których każdy dodawał coś od siebie, stały się przystawką wieczornych biesiad. Wszyscy rozprawiali o urodzie Safiye.

- Nasz pan zakochał się w przepięknej dziewczynie.
- Znowu? Nie ma dnia, żeby nasz sułtan się nie zakochał.

Rozochoceni alkoholem mężczyźni śmiali się w głos.

– Ale mówią, że takiej piękności świat jeszcze nie widział, efendi.
– Podobno to prawda – potwierdzał inny. – Podobno nawet wróżki z baśni wyglądają przy niej jak czarownice.

Zdarzali się też tacy, którzy mieli wątpliwości:

- A skąd to wiadomo? Widział ktoś tę dziewczynę?

– Widział, widział. Na przykład nasz cieśla Mustafa. Wezwano go ostatnio do pracy do pałacu sułtanki matki. Tam Mustafa widział dziewczynę. Zarzekał się, że jej włosy są bardziej błyszczące niż złoto. „Jeśli wieczorami zastanawiasz się, gdzie jest dziewczyna – mówił Mustafa – jej komnata jest tam, gdzie znajdują się najwidniejsze okna w pałacu”. Tak bardzo błyszczą jej włosy. W nocy i w dzień ich blask oślepia człowieka.

- Dniem zazdrości jej słońce, a nocą księżyc.

– Proszę, proszę.

– Tak, tak. Taka dziewczyna godna jest wnuka wielkiego sułtana Sulejmana. Murad Chan nie zakocha się przecież w córce rymarza.

Powóz za każdym razem przywoził prezenty dla Safiye od padyszacha. Srebrne lustra, puzderka z macicy perłowej, złote jedwabie, brokaty, takie jak te, które miała na sobie w chwili, gdy skradła jego serce, szkatułki pełne pereł, diamentów i drogich kamieni, nowe, grube atłasowe kołdry, które miały ją ogrzewać w zimne noce, miękkie dywany z Isfahanu i Szirazu²⁸, w których zapadały się stopy, żeby rozłożyła je na podłodze swojej komnaty. Było też pewne tajemnicze pudełko, o którym krążyły legendy. Nawet sułtanka Nurbanu, ilekroć zbierały się wieczorem w jej komnacie, oddając rozmowom, mawiała: „Otwórz je, Safiye”. Tajemnica ukazywała się, gdy tylko otwierano pokrywkę pokrytą czerwonymi, białymi i niebieskimi kamieniami. Kiedy uchylano wieczko, mała wróżka we wnętrzu pudełka zaczynała machać delikatnymi skrzydełkami i tańczyć przy akompaniamencie radosnej melodii.

Przez wiele dni odwracały i obracały pudełkiem, ale nie miały pojęcia, ani skąd bierze się muzyka, ani jak to się dzieje, że małe wróżka tańczy.

– Od Murada Chana dla jego wróżki – rzekła zarządczyni, podając prezent. Nie omieszkała też dodać: – Nasz sułtan otrzymał ją w darze od króla z kraju Franków. Nasz

pan przesłał ją pani Safiye, mówiąc, że wróżka pasuje do wróżki.

Zupełnie jakby stali się narzeczeństwem, nieoficjalnym narzeczeństwem. Murad był w swoim pałacu, a Safiye u boku Nurbanu. Safiye ukrywała rosnące w niej wątpliwości i obawy. Jednocześnie zaś pełne przepychu, bogate życie, w które tak prędko wkroczyła, nappełniało ją wielkim szczęściem. Już teraz była bogatsza od pewnej zamożnej Wenecjanki. Otaczały ją aksamity, jedwabie i drogocenne kamienie. Widziała zazdrość w oczach innych dam dworu, ale nie przejmowała się tym. Ona też byłaby zazdrosna. Tylko w oczach Meleknaz nie było innych uczuć niż szczęście. Gabriella, towarzyszką jej starszej kuzynki w dniach niewoli na okręcie korsarzy, która później została pierwszą damą dworu Nurbanu, dzieliła z nią wszystko: radość, podniecenie, strach. Miały nawet swoje małe sekrety, które ukrywały przed Nurbanu. Na przykład pewnego razu Mestane, która korzystała z tego, że Safiye nawet na chwilę nie rozstawała się z sułtanką *valide*, ukradkiem nachyliła się do niej.

– Nie macie nic do powiedzenia, moja piękna pani?

Oczywiście Safiye nie spodziewała się takiego pytania.

– Ja? Jak to?

– Nie masz nic do powiedzenia naszemu panu? – Kobieta, wiedząc, że Meleknaz ma ją na oku, wyszeptala Safiye do ucha, żeby dama dworu jej nie usłyszała: – Jeśli chcesz coś powiedzieć, przekaz to mnie. Ja mu dostarczę wiadomość.

Wymieniły spojrzenia z Meleknaz, ale w oczach kobiety nie dostrzegła żadnej próby przeszkodzenia jej. Meleknaz pozostawiła jej wolny wybór. Co więcej, jej wzrok zdawał się mówić: „Rób, co chcesz”.

– Nie mam nic do powiedzenia.

– Jakże to? – szepnęła tym razem Mestane. – Ukochana nie ma nic do powiedzenia ukochanemu? Mój sułtan topnieje jak świeca. Dla niego kilka słów mojej piękności to jak cały świat. Śmiało, powiedz mi. Przekazać mu, że pani Safiye go wypatruje, że ona też z miłości do niego przestała jeść i pić?

O mały włos nie wyrwało jej się: „Tak, powiedz tak!”, ale na szczęście przypomniało jej się ostrzeżenie Nurbanu: „Nie zachowuj się jak nierządnicą, ale jak Safiye, która zostanie sułtanką Imperium Osmańskiego”. – Oprócz podziękowania za prezenty nie mam nic do powiedzenia naszemu panu.

Safiye dostrzegła rozczarowanie i jednocześnie zaskoczenie na twarzy kobiety. Wielki padyszach Imperium Osmańskiego odchodził od zmysłów z miłości do niej, a ona co? Nie było wątpliwości, że myśli: „Za kogo uważa się ta dziewczucha?”.

„A za kogo niby mam się uważać? – pomyślała. – Jestem Safiye. Safiye, która zabiła w sobie Cecilie Sophie Baffo. Safiye, która poprzysięgła, że zostanie sułtanką Murada albo czarnej ziemi”.

Innego dnia Mestane zadała to samo pytanie sułtance *valide*. Wyglądała, jakby miała zemdleć ze strachu.

– Czcigodny sułtan polecił mi o coś zapytać, ale nie mam odwagi, sułtanko matko.

– Po co przed nami stoisz, skoro obawiasz się wypełnić rozkaz naszego syna, Mestane? Zabieraj swoją nic niewartą duszę i zniknij nam z oczu.

– Nie boję się o życie, ale o to, żeby nie zasmucić sułtanka matki.

– Mów, co masz do powiedzenia. To my zdecydujemy, czy będziemy się smucić, czy żałować.

– Nasz pan – wydusiła z siebie Mestane – powiedział: „Zarządczyni, zapytaj naszą matkę, czy nie zechciałaby nam czegoś przesłać”.

„A więc o to chodzi”, zachichotała w duchu Nurbanu. Spojrzała na Meleknaz, a potem na Safiye. Dama dworu pochyliła głowę nad robótką, żeby ukryć śmiech. Safiye zaś patrzyła, jakby nic z tego nie rozumiała.

– Na przykład co, Mestane? Czego oczekuje od nas sułtan?

Kobieta przełknęła ślinę i zatarła ręce. Zwilżyła językiem zaschnięte wargi.

– Chodzi o... – wymamrotała. – Chodzi o to...

– O co, kobieto? O co? Czy jesteśmy wróżbitką, że same mamy się domyślić, czego chce nasz syn, skoro ty nam tego nie powiesz?

– *Chusteczkę*... – Mestane z trudem łapała powietrze. Przycisnęła ręce do piersi. – *Chusteczkę* od pani Safiye.

Chusteczkę? Safiye patrzyła zdziwionym wzrokiem to na kobietę, to na Nurbanu. Jaką *chusteczkę* chciał od niej Murad?

– Odejdź, Mestane – rzekła Nurbanu. – Jeszcze nie rozmawialiśmy o tych kwestiach z naszą córką Safiye. Zrobimy to w stosownym czasie i przekazemy wiadomość naszemu synowi.

– Jaką *chusteczkę*? – zapytała Safiye po wyjściu kobiety.

Jednak sułtanka matka zebrała spódnice i wyszła, jakby jej nie słyszała.

– Dlaczego padyszach chce ode mnie *chusteczkę*? – zwróciła się do Meleknaz.

Kobieta uniosła głowę znad robótki i spojrzała na nią błyszczącymi oczami. Widać było, że z trudem powstrzymuje śmiech.

– To taki zwyczaj w pałacu. – Meleknaz przerwała. Próbowwała znaleźć odpowiednie słowa. W końcu rzuciła pośpiesznie: – Dziewczęta wysyłają sułtanowi *chusteczki*.

Safiye natychmiast pojęła, że kobieta próbuje odwieść ją od tego tematu. Jej kuzynka uciekła, udając, że jej nie słyszy, Meleknaz zaś próbowała się ratować jakąś zmyśloną odpowiedzią. Jednak ona nie miała zamiaru tego zostawiać. *Chusteczka* musi być jakimś szyfrem. Ale co mogła znaczyć?

– Doprawdy? Dlaczego?

– Taki jest zwyczaj.

– Ale musi mieć jakieś znaczenie, prawda? Dziewczyna wysyła sułtanowi...

Nagle poczuła, że jedno słowo nie daje jej spokoju: „dziewczęta”.

– Dziewczęta? Jakie dziewczęta?

„No to się doczekałam”, Meleknaz spojrzała na nią i bezradnie rozłożyła ręce.

– Dziewczęta... Dziewczęta z pałacu... ze Starego Pałacu...

– Odaliski?

Kobieta nie miała odwagi się odezwać, więc tylko pokiwała głową.

– Dlaczego odaliski wysyłają sułtanowi *chusteczkę*? Co oznacza *chusteczka*?

Dama dworu odłożyła tamburek. Poklepała dłonią miejsce obok siebie, wskazując

je Safiye.

– Chusteczka oznacza... – szepnęła, ale znowu przerwała.

– Co takiego?

– O rety, nie naciskaj mnie... Przecież próbuję ci powiedzieć... Oznacza „to”...

Czyli... „Panie... Panie weź mnie do swojego łóża!”.

Safiye poczuła, jak jej twarz oblewa się ogniem.

– Co?

– Odaliski haftują chusteczki i przesyłają je sułtanowi. Wiadomo, która chusteczka do kogo należy. Mestane... Zarządczyni pokazuje je padyszachowi, sułtan zaś, jeśli tego pragnie, odsyła dziewczynie chusteczkę albo udaje się do niej osobiście i rzuca jej ją pod nogi.

– Dobry Boże!

Meleknaz ponownie pokiwała głową.

– To oznacza: „Dobrze, tego wieczoru przyjdź do mojej alkowy”.

Nagle Safiye poderwała się z miejsca. Zawołała służącego czekającego pod drzwiami.

– Biegnij i znajdź Mestane Kalfę, jeśli jeszcze nie odjechała. Jeśli zaś odjechała, wyślij za nią konnego i zawróć z drogi. Safiye ma jej coś do powiedzenia.

Służący zerwał się jak oparzony. Kiedy z drugich drzwi do komnaty weszła sułtanka *valide*, Meleknaz próbowała powstrzymać dziewczynę. Na widok Nurbanu zapadła cisza. Sułtanka domyśliła się, że o czymś między sobą szeptały, ale nie dała tego po sobie poznać.

– Chcę, żeby tego wieczoru przygotowano *güllaç*²⁹ – oświadczyła, żeby zacząć rozmowę. – Mam na niego wielką ochotę.

Kiedy wrócił służący i pokłonił się przed nią, zapytała z udawanym zdziwieniem:

– O co znowu chodzi?

– Zarządczyni Mestane Kalfa czeka na pozwolenie zobaczenia się z sułtanką *valide*.

– Przed chwilą wyszła. Czego znowu chce?

– To ja kazałam ją wezwać.

Głos Safiye był ostry jak nóż. Nurbanu odwróciła się do niej zdumiona.

– Ty? Ale dlaczego? Nic z tego nie rozumiem.

– Niech wejdzie! Mamy jej coś do powiedzenia.

Rozkaz Safiye zabrzmiał niczym wybuch armatni w komnacie sułtanki matki. Ogarnięty przerażeniem służący znieruchomiał. Wszyscy obecni odwrócili się do Safiye, raczej ze złością niż z zaskoczeniem. Kto miał prawo wydawać rozkazy w obecności sułtanki *valide*? Ale właśnie taka była ta szalona dziewczyna. Najpierw rzuciła się przed padyszacha, a teraz w obecności jego matki wydawała rozkazy.

Nurbanu i Meleknaz wymieniły spojrzenia.

Sułtanka *valide* zwróciła się do wylewającego z siebie siódme poty służącego:

– Dobrze. Niech wejdzie!

– Posłuchajcie mnie – zaczęła Safiye, gdy tylko kobieta ukazała się w drzwiach. Jej głos był lodowaty. Nawet Nurbanu poczuła, że przeszył ją chłód. – My nie jesteśmy

odaliską. – Należymy do świty naszej kuzynki sułtanki *valide* Nurbanu. Droga Safiye nie prowadzi na dziedziniec odalisek. Idźcie do sułtana i powiedzcie mu: „Safiye nie zamierza nikomu przesyłać chusteczki”. To wszystko.

Zarządczyni wyszła przygnębiona. Nurbanu długo bez słowa przyglądała się Safiye. Jej pierś unosiła się i opadała jak miech kowalski. Dziewczyna nie zamierzała uciec przed spojrzeniem kuzynki, wręcz przeciwnie – patrzyła na nią wyzywająco, gotowa, żeby wybuchnąć. Wciąż kipiała gniewem. „Sophia w końcu stała się Safiye – przeszło przez myśl Nurbanu. – To znaczy, że nadszedł już czas”.

– Meleknaz – odezwała się nagle – prześlij wiadomość, żeby odwiedziła nas nasza córka. Od dawna nie widziałyśmy Ismihan. Stęskniłyśmy się.

XXXIV

Safiye wcale nie żałowała, że przesłała padyszachowi wiadomość o tym, iż nie zamierza przesłać mu chusteczki. Nie mogło istnieć nic bardziej upokarzającego niż to, że dziewczyna błaga mężczyznę, żeby wziął ją do łóża. Murad, oczekując od niej chusteczki, pokazał, że nią gardzi. Za kogo on się uważał? Mógł sobie być padyszachem, ale nie był Bogiem!

W takim razie, skąd wzięło się to przygnębienie? Od chwili, gdy wyrzuciła Mestane, Safiye rozliczała się z własnym sumieniem.

„Czy sama nie czyniłaś podchodów, żeby przypodobać się padyszachowi?”

„Robiłam to”.

„Czy twoja starsza kuzynka nie rozgniewała się na ciebie, mówiąc, że zamieniłaś się w nierządnicę?”

„Rozgniewała się”.

„Więc po co to wszystko robiłaś? Czy nie po to, żeby trafić do jego łóża?”

Nie miała innej odpowiedzi niż „tak”. Taka była prawda. Od dwóch lat przygotowywała się, żeby wejść do jego łóża.

„Co więcej, czy nie brałaś lekcji od tej kobiety, którą nazywają Podpierzynka Dżanfeda, żeby nauczyć się, jak w łóżu doprowadzić padyszacha do szaleństwa?”

Oczywiście, że brała.

„Ale... Ale... – próbowała się sprzeciwić. – Jeśli to ma się wydarzyć, musi zachowywać się jak mężczyzna. Nie robi tego za cenę honoru. On jest sułtanem Muradem, ale ja jestem Safiye. On jest potomkiem Osmana, ale ja jestem córą Baffo”.

„Właśnie tak – mówiła w duchu – to nie kobieta błaga, ale mężczyzna”.

„On błaga – odezwał się głos w jej wnętrzu. – Od wielu dni zasypuje cię prezentami. Padyszach nie może paść do twoich stóp i zapytać: «Czy zechcesz dzielić ze mną łóżę?». On jest tak wielki, że to nie on chce spać z kobietami, ale kobiety z nim. Nie może zachowywać się jak zwykły mężczyzna i okazywać swoje pragnienia. To kobieta błaga padyszacha. Taki panuje tu zwyczaj. To padyszach. Wszystko zniszczyłaś”.

„Jeśli to zrobiłam, trudno. – Wzruszyła ramionami. – Jeśli to ma się wydarzyć, powinien mnie rozkochać, obsypać miłosnymi słowami, opowiedzieć, jak szaleńczo mnie pragnie. Powinien odwieść mnie od zmysłów pocałunkami i pieszczotami. Wysyłanie chusteczki jest upokarzające”.

Najpierw sądziła, że sułtanka matka wpadnie we wściekłość. Spodziewała się, że zacznie na nią krzyczeć oburzona, jak mogła powiedzieć takie słowa wielkiemu padyszachowi. Tymczasem Safiye dostrzegła na twarzy kuzynki wyraz skrywanej dumy. „Oczywiście – powiedziała do siebie. – Ona też jest kobietą, a do tego jest Baffo!”

Zaczęła się zastanawiać, czy Nurbanu przesłała swojemu sułtanowi chusteczkę. Odwróciła się do niej, żeby o to zapytać, ale porzuciła ten pomysł.

Kuzynka się nie rozzłościła. To było jasne. Pewnie w pałacu wybuchła awantura. Murad musiał dostać szału, kiedy usłyszał odpowiedź. Może nawet rzekł: „Sądziliśmy, że dziewczyna jest wróżką, tymczasem okazało się, że pod tą urodą kryje się wiedźma”. Safiye wyobraziła sobie, jak padyszach wysłuchuje Mestane i jak jego twarz staje się

paşowa. Oczywiście mógł też rozkazać: „Niech natychmiast odbiorą jej życie. Niech wyrwą jej serce z piersi i przyniosą mnie”.

„Ciekawe, czy obetną mi głowę”, przeszło jej przez myśl. Poczowała suchość w gardle. Ręka bezwiednie powędrowała jej do szyi. A może sułtan Murad wysłał kata, żeby udusił ją tłustym powrozem?

Nawet jeśli tak było, postanowiła nie okazywać strachu i przygnębienia. Nie będzie błagać o wybaczenie zadufanego w sobie Murada, który w ciągu jednej nocy siedem razy został ojcem.

Chociaż próbowała to ukryć, lęk niczym olbrzymi gład przycisnął serce Safiye. Czy nie było za wcześnie, żeby umierać? Powinna mieć przed sobą jeszcze wiele wiosen.

„Jak to jest umierać? Pewnie najlepsze jest obcięcie głowy – pomyślała Safiye, drżąc. – Ciach! I po wszystkim. Kiedy opada topór, w jednej chwili wszystko się kończy. Ale duszenie powrozem pewnie trwa długo. Czujesz, że masz coraz mniej powietrza, szaleńczo walczysz, żeby nabrać jeszcze odrobinę powietrza, jeszcze chwilę pożyć... Jednak wiesz, że śmierć zbliża się ciężkim krokiem... Krew odpływa z żył, płuca kurczą się z braku powietrza. Kat mocniej zaciska pętlę. Słyszysz chrzęst łamanego karku. Powieki zaczynają opadać... A może się unoszą? Tak, może uduszeni umierają z otwartymi oczami. Konwulsje stopniowo ustają, język sztywnieje. To ostatnie, co czujesz. Ostatnie, co słyszysz, to: «Nie żyje». Ostatnie, co widzisz na tym świecie, to oczy kata o czarnym obliczu, przypominające dwie misy z krwią. I zasłona się zamyka. Boże... Kończy się”.

Kiedy jedna z dam dworu pośpiesznie weszła do komnaty i wyszeptała coś do ucha sułtance *valide*, Safiye skurczyła się na materacu. Pełna obaw udawała, że haftuje. Kiedy Nurbanu, odpowiedziawszy: „Niech wejdzie”, szykowała się, żeby podnieść się z miejsca, Safiye poczuła, że nad przepelniającą ją paniką bierze górę duma.

– Co się stało? Wydarzyło się coś?

Sułtanka matka zdziwiła się, wyczuwszy w głosie dziewczyny lęk.

– Ktoś przyjechał z pałacu. Chce się z tobą widzieć. Powiedziałyśmy, żeby przyszedł.

Kat! Wielki Jezu! Przysłał kata!

Tak szybko? Gdzie się podziały te rozkochane spojrzenia, te pełne miłości słowa? Przecież była jego wróżką, jego gwiazdą zaranną. Miała być jego światłem w nocy, słońcem w dzień... Wszystko to były kłamstwa, żeby depreczując swoją dumę, przesłała mu chusteczkę, prosząc, żeby wziął ją do łóżka?

– Nie będę go błagać, kuzynko! Nigdy!

Nurbanu zdumiała się.

– Co?

– Nie będę błagać twojego syna, żeby mi wybaczył.

– Błagać? Co ty wygadujesz? Jak to błagać?

– Żeby przebaczył mi, że nie przesłałam mu chusteczki.

Nurbanu miała mętlik w głowie. Ponownie usiadła na sofie.

– Chodź no tutaj.

Safiye nie zareagowała.

– Nie mogę go błagać, żeby wziął mnie do łóża. Nawet jeśli ceną za to będzie moja głowa. Zamiast z dziedzica odalisek trafić do łóża padyszacha, poślubię czarną ziemię.

– Nic z tego nie rozumiem. Jaka ziemia? Jaka głowa?

– Czy jestem waszą kuzynką?

– Oczywiście.

– W takim razie Cecilia Sophia Baffo, która nie potrafiła zaakceptować swojego imienia, ma prośbę do swojej starszej kuzynki. Mogę paść przed tobą na kolana i błagać. Nie każ mnie dusić. Niech obetną mi głowę. Niech wszystko skończy się jednym uderzeniem.

– Safiye!

Nurbanu patrzyła na nią przerażona.

– Co ty wygadujesz?

– Twój syn przysłał kata, żeby odebrał mi życie, kuzynko.

W tej samej chwili ktoś pojawił się w progu.

– Sułtanko. – Pokłonił się.

„To mój kat?”, pomyślała Safiye, gdy tylko zobaczyła mężczyznę. Słyszała, że kaci zawsze byli silni i potężni. Tymczasem ten tutaj był niedorosłkiem niknącym pod turbanem. Dwie służące, szczupłe jak gałęzie wierzby, stały po obu jego stronach. Nie widziała ich twarzy, ponieważ one też padły na ziemię w pokłonie.

– Wstań, efendi – odezwała się Nurbanu. – Skoro sułtan przysłał swojego pokojowca, sprawa musi być ważna.

Pokojowca? Zabije mnie powiernik sułtana?

Mężczyzna powoli się wyprostował. Gdy tylko Safiye ujrzała jego twarz, zyskała pewność, że pokojowiec nie byłby w stanie tego zrobić. Jego chorobliwa twarz nie miała w sobie śladu mordercy. „Oczywiście – powiedziała w duchu. – On mnie nie zabije. Zabierze mnie do kata. Padyszach przysłał go, żeby mnie pojmał”.

Towarzyszące mu dziewczęta wciąż trwały w pokłonie.

– Wy też wstańcie – poleciała Nurbanu.

Dziewczęta wyprostowały się. Jedna z nich była ruda i miała bladą cerę, druga była śniada. Miały co najwyżej trzynaście lat. Co te dwie tak świeże i pełne życia istoty robiły u boku posłańca śmierci?

„To anioły śmierci – wyszeptał głos w jej wnętrzu. – Przygotują cię na śmierć”.

– Jaką wiadomość przyniosłeś od naszego syna, pokojowcu? Słuchamy.

– Jeśli sułtanka *valide* pozwoli, wiadomość, którą przynoszę od sułtana, jest dla pani Safiye.

– Dla Safiye?

„Oczywiście, że dla Safiye – burknęła w duchu Safiye. – Ten bladej mężczyzna chce jej powiedzieć, że padyszach przysłał kata, żeby odebrał jej życie”. Podniosła się z materaca. Przysiadła na skraju sofy, na której siedziała Nurbanu, żeby nie było widać, że nogi jej się trzęsą. Napotkała uśmiech sułtanki matki. Dlaczego kobieta tak się uśmiechała? Zwróciła wzrok na mężczyznę. „Dalej – rzekła w duchu – przekaz mi wyrok śmierci. Czekam. Jeśli sądzisz, że się boję, mylisz się”.

– Za pozwoleniem sułtanki *valide* – ciągnął pokojowiec – chciałbym przekazać list,

który nasz pan przesłał pani Safiye.

List? Popatrzyły na siebie z Nurbanu zdumione. Kiedy sułtanka matka skinieniem głowy dała znak, że się zgadza, mężczyzna wyciągnął zza kaftana list. Gdy mężczyzna, ucałowawszy kopertę, przyłożył ją do czoła, Safiye zauważyła na niej wielką pieczęć z tugrą.

Pokojowiec podał list jednej z dziewcząt. Ona zaś, ucałowawszy go i przyłożywszy do czoła, postąpiła dwa kroki w stronę Safiye. Pozdrowiła ją delikatnym dygnięciem. Twarz dziewczyny rozjaśnił uśmiech.

– Od naszego pana dla jego wróżki.

To była męczarnia. Nic innego. Safiye omal nie krzyknęła: „Dalej, zabierzcie mnie. Ktokolwiek ma to zrobić, niech odbierze mi życie i niech ta tortura wreszcie się skończy”.

Zerknęła na Nurbanu. Kuzynka wzrokiem dawała jej znak, żeby wzięła kopertę. Tak też uczyniła. Czy ona również powinna trzykrotnie ją ucałować i przyłożyć do czoła? „Nie zamierzam jej całować – mruknęła Safiye w duchu. – Jak można całować wyrok śmierci?”

Drżącymi palcami złamała pieczęć. Otworzyła złożoną na cztery kartkę. Nawet nie spojrzała na znajdującą się na samej górze tugrę. Wersy znajdujące się poniżej musiały palić jak ogniem.

My, którzy jesteśmy synem Selima Chana, kalifem tej ziemi, władcą Anatolii, Wschodniego Rzymu, gór, rzek, mórz i trzech kontynentów, padyszachem Imperium Osmańskiego, sułtanem Muradem...

Już w pierwszych wersach pojawiły się duma i wywyższanie się.

Chcemy powiedzieć pani Safiye, której pieśni wysłuchaliśmy, goszcząc ostatnio przy stole naszej matki...

„Safiye, tak? Pusty zwrot”.

„A czego się spodziewałaś? – odezwał się wewnętrzny głos. – Że napisze «ukochana»?”.

– Co pisze? – zapytała Nurbanu, wyciągając głowę w stronę listu. – Czego chce?

Safiye miała trudności z przeczytaniem. Kto wymyślił to pismo z zawijasami? A może to ze strachu nie była w stanie go odczytać?

Sułtanka matka wiedziała, że z dziewczyną działo się coś dziwnego, ale i ona nie miała już cierpliwości.

– Meleknaz – odezwała się. – Ty to przeczytaj. – Później zwróciła się do pokojowca: – Nasza córka Safiye ma pewne trudności z czytaniem naszego pisma.

Meleknaz wzięła list padyszacha. Ucałowała go i przyłożyła do czoła. Serce Safiye biło tak mocno, że mógłby je nawet usłyszeć kat czekający za drzwiami.

Dama dworu zaczęła czytać:

...słowiku ogrodu naszego serca, gwiazdo zaranna naszej nocy, wróżko naszego przeznaczenia...

Safiye nie mogła uwierzyć w to, co słyszy. Spojrzała na Meleknaz i przeniosła

wzrok na kuzynkę. Słowiku? Czy dobrze zrozumiała? Czy tak nazywa się kobietę, której zamierza się obciąć głowę? Musiała źle zrozumieć. Jednak była pewna, że dalej Meleknaz przeczytała: „gwiazdo zaranna” i „wróżko”.

...moje szczęście, mój celu, moja różo...

„Hurra! Tym razem dobrze zrozumiałam! – Safiye rozpierało szczęście. – Murad nazywa mnie różą”.

...moja jedyna...

– Poczekaj – wtrąciła się sułtanka Nurbanu. To najwyraźniej był list miłosny jej syna do jej kuzynki. Nie należało czytać go na głos przy wszystkich. – Wyjdź – zwróciła się do pokojowca.

Natychmiast zdała sobie sprawę, jak niedorzeczny był to rozkaz. Co i przed kim chciała ukryć? Przecież mężczyzna znał każde słowo w tym liście. Murad dyktował, a on pisał.

– Zostań – powiedziała słodkim głosem, kiedy powiernik padyszacha wycofywał się z pochyloną głową. – Najwyraźniej nasz sułtan postanowił odkryć tajemnicę swojego serca. Skoro padyszach wyjawiał, co ma w sercu, po co ukrywać coś przed jego sługą? – Odwróciła się do Meleknaz: – Czytaj dalej.

Dama dworu zaczęła czytać od początku:

Słowiku ogrodu naszego serca, gwiazdo zaranna naszej nocy, wróżko naszego przeznaczenia, moje szczęście, mój celu, moja różo, moja jedyna... Świętsza od duszy, czysta i przejrzysta jak woda, moja Safiye...

„Proszę, proszę – przeszło przez myśl Nurbanu. – Murad płonie!”.

Nagle poczuła, że rodzi się w niej pewien niepokój. Czy to dobrze, że jej syn tak bardzo rozkochał się w dziewczynie? Zerknęła na swoją kuzynkę. Na twarzy Safiye, jeszcze przed chwilą bladej jak ściana, teraz rozkwitły pąsowe róże szczęścia. „Czyżbyś popełniła błąd, Nurbanu? – mruknęła do siebie. – Czy postanawiając włożyć koronę na głowę kuzynce, zrzuciłaś swoją?”.

Słyszeliśmy, że – ciągnął sułtan Murad – zarządczyni Mestane Kalfa bez naszej woli i zgody, wiedząc o słabości płonącego z tęsknoty Murada do naszej wróżki, jak mniemamy, jedynie po to, żeby nam się przypodobać i cieszyć się naszą szczodrością, nie bacząc na stosowność i skromność, wypowiedziała słowa, które okryły mrokiem blask naszej gwiazdy zarannej i stały się przyczyną zwiędnięcia naszej róży. Wiedźcie, że nasze upokorzenie i gniew nie mają granic. Zuchwałość została ukarana. W naszym odczuciu Waszym miejscem jest ogród naszego serca. Pełne wyrzutu słowa, które padły z Waszych różanych ust, sprawiły nam większy ból niż strzała wbita w pierś. Czy ktoś kiedykolwiek oparł się wróżce, że miałby się jej oprzeć niczemu niewinny Murad? Jeśli zajmujemy w Waszym sercu choć odrobinę miejsca, naszym życzeniem i modlitwą jest uleczenie krwawiącego, złamanego serca ómy zakochanej w słońcu wiadomością, że na nowo wywołaliśmy uśmiech na Waszym obliczu.

Meleknaz uniosła głowę znad listu i popatrzyła na Safiye i Nurbanu. Nie mogły wydusić z siebie słowa, Safiye ze szczęścia, a Nurbanu z powodu dręczących ją, pełnych niepokoju pytań, które zawładnęły jej umysłem. „To nie list miłosny, ale biała flaga – pomyślała. – Padyszach poddaje się Safiye”.

Miotła się wśród sprzecznych uczuć. Z jednej strony pytała siebie: „Czy nie tego właśnie chciałaś?”. „Nie – sprzeciwiał się rozum. – Nie aż tak. Chciałam, żeby pokochał Safiye, ale z taką namiętnością... Boże, ta pasja zrodzi niedolę i śmierć!”.

Safiye nie miała głowy, żeby patrzeć na twarz sułtanki *valide* i wyraz jej oczu. Zaryzykowała i wygrała. „Właśnie tak, potomku Osmana!”, z radością zawołała w duchu. Wszystko potoczyło się tak, jak to sobie obmyśliły. Wróżka zawładnęła duszą syna swojej starszej kuzynki, padyszacha Imperium Osmańskiego, władcy świata sułtana Murada Chana. Wypieki na policzkach Nurbanu przypisała radości, jaką odczuwała kobieta. To oczywiste, że się cieszy. Wszystko było tak, jak chciała. Udało im się.

Safiye wiedziała, że powinna coś powiedzieć, ale nie potrafiła znaleźć słów. Spojrzała na pokojowca nieodrywającego od niej wzroku. Przypomniały jej się słowa sułtana Murada: „Jeśli zajmujemy w Waszym sercu choć odrobinę miejsca, naszym życzeniem i modlitwą jest uleczenie krwawiącego, złamanego serca ómy zakochanej w słońcu wiadomością, że na nowo wywołaliśmy uśmiech na Waszym obliczu”. To też zrobiła. Popatrzyła na mężczyznę z uśmiechem pełnym blasku.

Zaniepokojona twarz pokojowca również pojaśniała pod wpływem tego uśmiechu. Ręka mężczyzny znów zniknęła w kaftanie. Kiedy ją wyjął, trzymał złote pudełeczko.

Wszyscy obecni pomyśleli to samo: „Znowu?”.

– To dopiero – odezwała się cicho Nurbanu do stojących przy niej dam dworu. – Padyszach znowu przysłał dziewczynie prezent?

Safiye zaś poczuła, że krew zaczęła szybciej krążyć jej w żyłach. Co tym razem przesłał Murad? „Do diabła – jęknęła. – Znowu wykona ten sam ceremoniał? Daj to natychmiast jak człowiek”. Ale nie zrobił tego. Mężczyzna, trzykrotnie ucałowałwszy pudełko, przyłożył je do czoła. Później podał je dziewczynie stojącej po drugiej stronie. Dziewczyna, powtórzywszy te same czynności, podeszła do Safiye. Pozdrowiła ją dygnięciem, jak to zrobiła pierwsza dama dworu, która przyniosła jej list, i wysunęła w jej stronę pudełko.

Safiye pośpiesznie spojrzała na Nurbanu. Nie rozumiała, dlaczego brwi kobiety są ściągnięte. Jednak ujrawszy, że delikatnie skinęła głową, przestała się nad tym zastanawiać. „Może mi się wydawało”, pomyślała. Przecież nie miała powodu, żeby gniewnie ściągać brwi.

Z ociąganiem sięgnęła po złote pudełko, które trzymała dziewczyna. Miała wrażenie, że jeśli go dotknie, oparzy się. Niepewnie ujęła w palce puzderko płonące w słonecznym blasku wypełniającym komnatę. Jej serce znów zaczęło walić jak młotem. „Najświętsza Panienko – zastanawiała się w myślach – czy w środku jest to, na co czekam?”. Ręce trzęsły jej się tak bardzo, że nie mogła go otworzyć. Co sułtan Murad mógł wysłać Safiye w złotym pudełeczku?

W końcu sułtanka Nurbanu nie wytrzymała.

– Otwórz je wreszcie, dziecko.

Safiye była zbyt przejęta, żeby wyczuć złość i chłód w głosie kuzynki. Jednak Meleknaz ze zdumieniem uniosła głowę i spojrzała na swoją panią. Zadrżała na widok mrocznego płomienia w oczach Nurbanu.

Niech to szlag! Wszystko zaczyna się od nowa?

W końcu udało jej się otworzyć pudełeczko. Przez chwilę Safiye sądziła, że w środku strzelają iskry. Niebieskie, zielone, czerwone, białe i żółte iskry, w blasku złota i promieni słońca, na tle bordowego aksamitu. I, pośród tej feerii barw, ogromne, rażące w oczy słońce!

Safiye czuła, że zaparło jej dech. Nie słyszała nawet głosu sułtanki matki pytającej: „Co to jest?”. „Najświętsza Panienko – powtarzała – Najświętsza Panienko, dzięki Ci. Dzięki Ci, Jezu Chryste”.

Nurbanu przechyliła się do Safiye wpatrującej się w pudełko jak zaczarowana. Wyjęła pudełko z jej dłoni. Poraził ją blask. „To dopiero – powiedziała w duchu. – Słońce i gwiazdy”. Dwoma palcami wyciągnęła przedmiot z pudełka. W komnacie rozległy się okrzyki pełne podziwu i niedowierzania:

– Hyyy!

– Dobry Boże!

– *Pierścionek!*

– Sułtan przesłał Safiye pierścień!

– Pierścień? To wcale nie pierścień. To słońce i gwiazdy.

– Nigdy wcześniej nie widziałam tak wielkiego brylantu.

– A co powiedzieć o okalających go szmaragdach, diamentach, rubinach, szafirach, bursztynach?

Sułtance *valide* odebrało mowę. Odwróciła się i spojrzała na Safiye. Szukała w oczach dziewczyny silnej rywalki, niebezpiecznej napastniczki, wroga o niepohamowanej żądzy, ale nie znalazła. „Może niesłusznie ją osądzam. Może niepotrzebnie ją podejrzewam – pomyślała. – Czy zdaje sobie sprawę, że może być sułtanką Imperium Osmańskiego? W końcu była tylko porwaną dziewczyną w niewoli. Los postawił mnie na jej drodze. To ja wpoiłam jej rzeczy, o których nawet nie marzyła”.

To ona zaszczerpiła w Sophii pragnienia niewróżące nic dobrego. Z Wenecjanki Sophii stworzyła osmańską Safiye, sama wychowała ją, żeby została żoną jej syna, królową Imperium Osmańskiego.

„Dobrze – rozważała w duchu Nurbanu – więc czego jeszcze chcesz? Ona podąża drogą, którą ty jej wskazałaś. Robi to, co jej mówisz. Powiedziałas: «Rozkochaj Murada do szaleństwa, spraw, żeby pojął cię za żonę». Przecież właśnie to robi. Dlaczego, na miłość boską, zaczęłaś podejrzewać, że cię zdradzi?”.

– Safiye?

Dziewczyna zamglonymi oczami patrzyła na pierścień płonący w palcach sułtanki matki. Było oczywiste, że wciąż myślała, że to sen, i bała się, że jeśli oderwie wzrok od pierścienia, obudzi się. Nagle Nurbanu poczuła, że jej też łzy napływają do oczu. W końcu w żyłach dziewczyny, którą podejrzewała, płynęła ta sama krew. Była Baffo. I jeśli jej plan będzie wypełniał się w takim tempie, już niedługo zostanie kobietą, która wyda na świat duszę z jej duszy. Urodzi Muradowi syna. Padyszacha... Z łona Baffo narodzi się

drugi sułtan, który wstąpi na tron osmański. Później on też będzie miał syna... Ród Baffo będzie trwał w Imperium Osmańskim.

– Safiye – odezwała się ponownie, tym razem serdeczniejszym tonem.

Jednocześnie zaś myślała: „Jeśli wydarzy się to, czego się obawiam, zapłaci za to. Tak jak zasadziłyśmy siewkę, sprawiłyśmy, że się zazieleniła i wyrosła, będziemy też potrafiły wziąć siekiere i ją ściąć”.

– Słucham? – Dziewczyna w końcu drgnęła i obudziła się ze snu.

– Wyciągnij palec. Nasz syn sułtan uznał, że słońce jest godne słońca, a gwiazda gwiazdy. Pierścień padyszacha należy założyć, a nie się w niego wpatrywać.

Safiye drżącymi palcami wzięła pierścionek i go założyła.

– Jak ulał – powiedziała perlistym głosem.

Podczas gdy wszyscy pochylali się nad ręką Safiye, żeby zobaczyć pierścień, ona ponownie zrobiła coś zupełnie nieoczekiwanego. Wstała i objęła Nurbanu za szyję.

XXXV

Córka Nurbanu, którą matka tak niespodziewanie wezwała, przybyła, kiedy Safiye z niedowierzaniem wpatrywała się w pierścień od padyszacha. Sułtanka Ismihan spędziła z matką wiele godzin. Nikt nie słyszał, o czym ze sobą rozmawiały. Pojawiła się też Dżanfeda Kalfa z kobietą, której Safiye nigdy wcześniej nie widziała. Spędziły w komnacie pół godziny, po czym wyszły całe w rumieńcach. Meleknaz też była w środku, ale nie zdradziła sekretu. Kobieta tylko patrzyła na Safiye, słodko się uśmiechając.

– Po co przysłała Dżanfeda Kalfa, Meleknaz?

– Nie wiem, moja piękna.

– Byłaś z nimi. Nie słyszałaś, o czym rozmawiały?

– Mieszkając w pałacu przez długie lata, człowiek uczy się nie słyszeć wszystkiego, o czym się mówi.

– A ja sądzę przeciwnie. Mieszkając w pałacu, uczysz się słyszeć wszystko. Meleknaz zachichotała.

– Spójrzcie na moją ślicznotkę, jaka jest przemądrzała.

– Kim była ta kobieta, która z nią była?

– *Raziye*.

– Co to znaczy?

– Po prostu Raziye.

– To zrozumiałam. Co robi ta Raziye?

– Wszystko... Niedługo się przekonasz.

Kiedy Safiye popatrzyła na nią uważnie, Meleknaz uśmiechnęła się promiennie. Był to uśmiech oznaczający: „Więcej ze mnie nie wyciągniesz”.

Teraz byli jakby zaręczeni z sułtanem Muradem.

„Pewnie tak jest – mówiła sobie Safiye. – Tak. Czy przesłanie pierścionka może mieć inne znaczenie? Wszyscy słyszeli treść listu”.

Padyszach otwarcie mówił, że się w niej zakochał, później zaś podarował jej pierścień i dwie damy dworu. Po tym, jak kuzynka założyła jej na palec pierścień, pokojowiec odezwał się cicho do rozpromienionej szczęściem Safiye, wskazując stojące przy nim dziewczęta:

– Nasz pan Murad Chan przysłał też dwie damy dworu na wasze usługi. To jest Seher, a to Kamer. Nasz pan polecił mi powiedzieć, że chce zaspokoić wszystkie wasze potrzeby.

To też był znak. Tylko faworytom padyszacha przydzielano do pomocy damy dworu, a ona w jednej chwili dostała nie jedną, ale dwie damy dworu. Safiye została *haseki*, zanim trafiła do jego łoża. Teraz Seher i Kamer siedziały u jej stóp i patrzyły na nią, uśmiechając się słodko. Szybko zapałała wielką sympatią do obu dziewcząt. Cały czas naśladowały jej ruchy. Nocami Seher rozkładała materac u jej stóp, a Kamer kładła się przed progiem. Nocami, kiedy Safiye zadrezczała się pytaniami, razem z nimi witała świt. Wyglądało na to, że wszystko układa się, jak powinno. Ale czy naprawdę tak było? Może Murad próbował jej dogadzać, dopóki jej nie zdobędzie? Na koniec każdej

bezsennej nocy pocieszała się: „Nie, to niemożliwe. Dlaczego wielki padyszach miałby mnie okłamywać? Przecież nie musi mi się przypochlebiać. Jeśli zechce, jednym rozkazem siłą wcisną mnie do jego łoża, a kiedy weźmie, co ma wziąć, rzuci w kąt. Skoro tak się zachowuje, oznacza to, że jego miłość jest prawdziwa”.

W końcu wyszło na jaw, dlaczego sułtanka *valide* tak niespodziewanie poleciła wezwać swoją córkę. Trzy dni później sułtanka Ismihan zaprosiła swoją matkę i ją na kilka dni do swojego pałacu. Dobrze, ale dlaczego, żeby odwiedzić swoją córkę, Nurbanu czuła potrzebę wezwania jej i sprawienia, by sama ją zaprosiła? Mogła przecież sama do niej pojechać. Znała swoją kuzynkę. Nie zrobiła nawet kroku, jeśli nie było ku temu powodu.

Był to słoneczny, pogodny wiosenny deszcz. Drzewa okryły się biało-czerwonym welonem. Kwiaty w symfonii barw delikatnie kołysały się na wietrze. Motyle tańczyły, a ptaki śpiewały. Ogród pałacu wielkiego wezyra Sokollu Mehmeda Paszy przygotowano specjalnie na wizytę sułtanki *valide*.

Safiye uważała, że wszystkie te przygotowania to lekka przesada. W końcu to matka odwiedzała córkę. Po co ta cała krzątanina? W ogrodzie uwijało się blisko stu służących, kobiet i mężczyzn. Wokół fontanny ustawiono sofy i stoły. Szum fontanny dawał ukojenie duszom. Małe wróble z radością kąpały się w wodzie, która wypuskiwała na marmurową półkę, na której siedziały. Rozłożono parasole, które miały chronić przed słońcem, przygotowano wachlarze wykonane ze strusich piór, którymi służące miały wachlować sułtankę *valide*, gdyby było jej za gorąco.

Sułtanka Ismihan przywitała je, zbiegając po marmurowych schodach pałacu. Podeszła prosto do matki i ucałowała jej dłoń. Później musnęła Safiye w oba policzki. Poprowadziła je, wskazując miejsce w cieniu drzew. Nurbanu zajęła miejsce na fotelu okrytym jedwabiami. Służące natychmiast przyniosły sorbet z tamaryndowca indyjskiego, który sułtanka matka bardzo lubiła.

– Nie zważaj na nas – rzekła Ismihan z uśmiechem. – Matce i córce nigdy nie kończą się tematy do rozmowy. Jeśli chcesz, możesz pospacerować po ogrodzie. Po tej stronie mamy weneckie fiołki, obok nich zaś tulipany. Koniecznie musisz je zobaczyć. Zdaniem wielkiego wezyra paszy na całym świecie tylko w naszym ogrodzie jest ich tyle rodzajów. Poseł Niderlandów był tu z dziesięć razy po cebulki.³⁰ Lecz Mehmed Pasza jest przesadnie oszczędny, moja słodka, i pożałował mężczyźnie nawet kilku cebul.

– Dlaczego chciał tulipany? W jego kraju się ich nie uprawia?

– Nie wiem, ale mężczyzna okazał się miłośnikiem tulipanów.

Safiye nigdy nie widziała tych kwiatów w Wenecji. Na Korfu też ich nie było. Czerwone, fioletowe i żółte tulipany, o długich łodygach, po raz pierwszy ujrzała w ogrodzie pałacu. Wzruszyła ramionami, podnosząc się z miejsca. Nie obchodziło jej, dlaczego flamandzki poseł chciał zdobyć cebule tulipanów. Właściwie Safiye zastanawiała się jedynie nad jednym: Co się dzieje? Od czasu, gdy dostała pierścionek, nic się nie wydarzyło. Była zbyt dumna, żeby zapytać o to kuzynkę. Czy Murad się na nią rozgniewał? Zrobiła coś złego? Był rozczarowany, że nie odpowiedziała na jego list? Właściwie mogła napisać choć kilka wersów na te pełne miłości słowa.

– Uczynię, jak mówicie – powiedziała Safiye, próbując się uśmiechnąć. – Niech

matka i córka spokojnie porozmawiają, ja zaś pospaceruję wśród róż i tulipanów.

– Spójrz, jeśli pójdziesz tą drogą, możesz zejść nad morze – rzekła Ismihan. – Pójdzie za tobą kilka służących, żebyś miała niedaleko coś do jedzenia i picia, kiedy zechcesz się ochłodzić. Natychmiast polecę, żeby na wybrzeżu przygotowano mały stół. Oczywiście, jeśli zejdiesz nad morze.

Safiye podziękowała córce sułtanki *valide* delikatnym ukłonem. Jeśli naprawdę poślubi Murada, Ismihan zostanie jej szwagierką. Jeszcze będąc na Korfu, przysłuchując się rozmowom dam, nauczyła się, że należy mieć dobre relacje ze szwagierkami.

Seher i Kamer pospieszyły za nią. Biegając i żartując wśród róż i tulipanów, próbowały zabawiać i rozśmieszać swoją panią. Safiye nie miała zamiaru się śmiać. Jednak kiedy Seher, podskakując wokół służącego podążającego za nimi z tacą z sorbetem, nastąpiła sobie na sukienkę i wpadła w ramiona chłopaka, Safiye nie mogła ukryć rozbawienia. O mały włos, a ich usta by się spotkały. Kiedy młodzian wyrzucił w powietrze tacę, żeby złapać dziewczynę, rozległ się okropny hałas. Srebrne naczynie z sorbetem z brzdękiem spadło na ziemię. Trzy srebrne kielichy potoczyły się po kamieniach. Chłopak, cały czerwony ze wstydu, wypuścił Seher, chwycił tacę i popędził z powrotem, znikając im z oczu.

Humor Safiye nieco się poprawił. „Dlaczego oddaję się takim mrocznym uczuciom? – zastanawiała się w duchu. – Gdyby wydarzyło się coś złego, z pewnością wiedziałabym o tym. Poza tym, gdyby tak było, nie przybyłybyśmy tutaj. Nurbanu i jej córka coś planowały. Tylko co?”

– Chodźmy – zwróciła się do Seher, wzruszając ramionami. – Przekonajmy się, czy na wybrzeżu znajdzie się inny przystojny młodzieniec, w którego ramiona będziesz się mogła rzucić.

Policzki dziewczyny spąsowiały, ale nie mogła też powstrzymać śmiechu.

– Co sądzicie? Może już wrócimy, pani?

Kiedy Safiye się odwróciła, napotkała pełen niepokoju wzrok Kamer.

– Jesteśmy tu długo. Oczekują was na posiłek.

– Tak dużo czasu minęło?

Zamyśliła się, wpatrując w białe bałwany fal uderzających o brzeg. „Może te fale pochodzą z Wenecji”, przyszło jej na myśl. Być może rzeczywiście przybyły tu aż z jej domu.

Pomyślała o matce. Jej oczy napełniły się łzami. Zdała sobie sprawę, że nie może sobie przypomnieć twarzy matki. Poczula ukłucie w sercu. A ojciec? Rodzeństwo? „Wielki Jezu – jęknęła, przyglądając się, jak fale uderzają o kamienie. – Twarze tych, których kocham, zniknęły!”. Nie pamiętała oblicza żadnego z nich. W jej pamięci pozostała tylko czarna bródka ojca, przysypana siwizną. Nie było już ani ich głosów, ani twarzy. Skurczyła się w sobie.

– Macie rację – oznajmiła. – Wracajmy.

Zaczęły wspinać się na wzgórze. Zostawiając za sobą piaski, dotarły do żwirowej alei wśród drzew. Dalej droga prowadziła w prawo, w stronę fontanny.

– Berek! – zawołała nagle Kamer, uderzając drugą dziewczynę w ramię, i zaczęła uciekać.

Seher pobiegła za nią. Obie damy dworu, goniąc się i śmiejąc, skręciły za róg, znikając jej z oczu. Niespodziewanie ich głosy zamilkły. Safiye zaniepokoiła się.

– Seher? Kamer? Stało się coś?

Nagle ogarnęła ją panika. Czyżby sturlały się do jaru, który widziały po lewej stronie, kiedy tędy szły? Ale jak to możliwe? Od parowu oddzielały je żywopłot i zagajnik.

Safiye zaczęła biec, jednocześnie wołając:

– Seher... Kamer! Odpowiedzcie!

Szybko skręciła w miejscu, gdzie droga mocno skręcała w prawo, i zamarła...

– Murad?! – krzyknęła.

Padyszach stał przed nią we wspaniałym kaftanie obszytym sobolowym futrem i ogromnym turbanie z pióropuszem z pawich piór, wytryskującym z rubinu wielkości pięści. Safiye bardziej podobał się bez turbana, ale teraz wyglądał jak prawdziwy padyszach – potężny i wspaniały.

Seher i Kamer też oniemiały na widok padyszacha. Natychmiast padły na ziemię u stóp sułtana. Padyszach przyłożył palec do ust, dając im znak, żeby milczały. Dlatego nie odpowiedziały na wołanie swojej zaniepokojonej pani. Poza tym, jak mogły to zrobić w obecności padyszacha? Miały odkrzyknąć: „Tu jesteśmy. Nie martw się, nic nam nie jest. Spotkałyśmy padyszacha”?

Safiye nie wiedziała, co zrobić, ujrzawszy sułtana Murada uśmiechającego się do niej z wyrazem rozbawienia na twarzy. Czy powinna, tak jak dziewczęta, paść na ziemię i oddać mu pokłon? „Nie wygłupiaj się – skarciła się. – Czy kiedykolwiek padłaś mu do stóp? Poza tym to właściwie twój narzeczony. Nosisz na palcu pierścień od niego”.

Kiedy pierwsze zdziwienie minęło, pomyślała, żeby wykonać rewerans.

– Wasza Wysokość.

– Safiye. – Głos padyszacha był pełen ciepła. – Wystraszyłem was?

– Czy wystraszyliście, panie? Czy sługa może bać się swojego pana?

Kiedy się wyprostowała, napotkała rozmarzony wzrok Murada. Pełen podziwu, rozkochany wzrok. „Czy ja też tak na niego patrzę?”, zastanawiała się Safiye.

– Kiedy pojawiliście się tak niespodziewanie... Po prostu byłam zaskoczona... – rzuciła Safiye.

Za padyszachem w dwóch rzędach ustawili się czterej ogromni gwardziści, pokojowiec i czterech służących. Seher i Kamer znalazły lukę pomiędzy nimi i udało im się schować za Safiye. Na samą myśl, że o mały włos nie wpadłyby na padyszacha, obie były bliskie omdlenia.

Safiye postanowiła nie pozostawiać niedomówień.

– Byłam zaskoczona i... – Zawstydzona opuściła głowę.

– I, moja piękna wróżko?

– Uradowana.

– Uradowałaś się, kiedy mnie zobaczyłaś?

– Yhy – mruknęła. Uniosła rękę i pokazała pierścień. – Nie miałam sposobności podziękować wam za prezent. Musi być bardzo cenny.

Twarz padyszacha jeszcze bardziej się rozpromieniła. Przez chwilę spoglądał na

wielki pierścień iskrzący się na małej dłoni dziewczyny, przypominającej młodego gołębia.

– Teraz jest bardzo cenny. Tym, co wyznacza jego wartość, nie są drogie kamienie, ale dłoń wróżki... Blask gwiazdy zarannej.

Nagle sięgnął po jej dłoń i uniósł ją. Przykrył palce Safiye swoimi wargami.

Safiye zadrżała pod wpływem gorąca jego wilgotnych ust i dotyku jego brody na swojej skórze.

– Wasza Wysokość.

– Przejdziemy się razem? Co ty na to?

Była w stanie jedynie pokiwać głową. Zaczęli iść obok siebie.

„A zatem to był ich plan”, myślała jednocześnie Safiye. Najwyraźniej Nurbanu i jej córka przygotowywały to spotkanie. Teraz rozumiała, dlaczego wzdłuż drogi porośniętej szpalerem drzew ustawiono blisko stu ludzi w czerwonych szarawarach i niebieskich kamizelkach. Powitali oni padyszacha i obsypali go płatkami róż z tac, które trzymali, Murad wciąż miał na ramieniu płatek.

– Macie na ramieniu różę.

– Naprawdę? Większość strąśnięto, ale jeden płatek musiał się jakoś zachować.

– Chcecie, panie, żeby go zdjęła?

Murad spojrział na nią wzrokiem pełnym miłości.

– Nie chcemy, żebyś mówiła do nas „panie”.

– Wasza Wysokość – wyszeptała z zawstydzaniem.

– Nie chcemy też, żebyś mówiła „Wasza Wysokość”.

Uniosła wzrok i popatrzyła na mężczyznę. Odmawiała w duchu wszystkie znane jej modlitwy, żeby było to najbardziej czarujące, przepelnione miłością spojrzenie.

– Powiedziałem ci tamtego wieczoru, że mamy na imię Murad. Nawet jeśli jesteśmy padyszachem, chcemy, żebyś mówiła do nas „Murad”. – Zamilkł na chwilę, spojrział na służących i strażników idących nieco z tyłu. – Oczywiście wtedy, gdy jesteśmy sami...

Safiye ponownie opuściła wzrok i jak mała, zawstydzona dziewczynka jęknęła ledwie słyszalnie:

– Murad...

Wiedziała, że kiedy zaciska zęby, jej policzki stają się czerwone. Policzki młodej, skromnej dziewczyny powinny być pąsowe, kiedy po raz pierwszy zwraca się do ukochanego mężczyzny po imieniu.

Nie pamiętała nawet, o czym rozmawiali po drodze. Padyszach był szczęśliwy, ona też. Była też podekscytowana. Wprawdzie z każdym krokiem jej zdenerwowanie malało, a wzrastała pewność siebie, ale mimo wszystko była podniecona. Murad z pewnością opowiadał, jak bardzo za nią tęsknił i jak zmartwiło go aroganckie zachowanie Mestane.

W końcu w oddali ukazała się fontanna. Sułtanka Ismihan pomachała do nich. Sułtan Murad odwrócił się do Safiye i spojrział na nią strapiony. Najwyraźniej nie powiedział jej wszystkiego, co miał do powiedzenia.

– Tego wieczoru – odezwał się cicho – będę na tarasie pod kopułą, żeby popatrzeć na gwiazdy. Jeśli przyjdiesz, sprawisz mi wielką radość. Mam ci coś bardzo ważnego do

powiedzenia.

To nie do pomyślenia! Nie mogła uwierzyć, że je posiłek przy jednym stole z padyszachem. „Ależ ty jesteś głupia – rozzłościła się na siebie. – Czy od chwili, gdy cię porwano, wydarzyło się coś, w co mogłabyś uwierzyć?”. Czasem miała wrażenie, że śni i nagle obudzi się w swoim łóżku na Korfu. Od dwóch lat w żaden sposób nie mogła pozbyć się tego uczucia. Najpierw cieszyła się, że tak jest, bo czuła się blisko rodziny i domu. Ale teraz? Nie była już taka pewna, czy chciałaby się obudzić w łóżku na Korfu. Zabiła Sopię Baffo tak, jak chciała jej kuzynka. Była teraz Safiye, a ona nie miała zamiaru obudzić się na Korfu.

Nie pamiętała też, o czym rozmawiano podczas posiłku. Poza tym wcale jej to nie obchodziło. Myślała o wieczorze. Co tak bardzo ważnego mógł chcieć powiedzieć jej Murad? Kiedy przy stole zadawano jej pytanie, odpowiadała, lecz wołała milczeć i usłuchać, przywdziewając na twarz tajemniczy uśmiech. Od czasu do czasu, niby przypadkiem spotykała się wzrokiem z Muradem. Jednak natychmiast opuszczała głowę. Nie była nierządnicą, ale dziewczyną z wysokiego rodu, która niedługo zostanie sułtanką Safiye. Tak się czuła.

Co jakiś czas zerknęła na Nurbanu, próbując sprawdzić, czy jej ruchy i słowa przypominają zachowanie nierządnic. Uspokoila się nieco, kiedy z wyrazu twarzy kobiety wyczytała, że wszystko jest w porządku.

Po posiłku padyszach niespodziewanie zniknął. Nic jej nie powiedział. To uraziło Safiye. Uważała to za grubiaństwo. Kiedy sułtanka matka oddaliła się, mówiąc, że chce trochę odpocząć, została sama z sułtanką Ismihan. Gawędziły o tkaninach, perłach, posiłkach, wiatach, radości z powodu odejścia zimy i wielu innych rzeczach. Jednak Safiye zdawała sobie sprawę, że to wymuszona rozmowa. Przynajmniej dla niej. Te tematy zupełnie jej nie interesowały. Czuła, że kobieta też nie jest w stanie sprowadzić rozmowy na właściwy tor.

– Kochasz?

Ismihan w końcu powiedziała to, co chodziło jej po głowie, ale Safiye nadal zachowywała ostrożność.

– Kogo?

– Moją matkę.

Co? Sądziła, że pyta, czy kocha Murada. Dobrze, że kuzynka nauczyła ją być ostrożną: „Sekret długiego życia w pałacu to słuchać pięć razy więcej niż mówić. Ten, kto dużo mówi, może się pomylić, ten, kto słucha, może przenosić góry”.

– Oczywiście. To moja kuzynka.

– Ach, no tak. Ale sądzę, że niedługo stanie się dla ciebie kimś jeszcze.

– Kimś jeszcze, sułtanko?

Ismihan zachichotała z zadowoleniem.

– Daj spokój, jesteśmy tu same. Nie musisz udawać. Wygląda na to, że niedługo twoja kuzynka zostanie twoją teściową.

Safiye natychmiast się zawstydzila i pochyliła głowę. Nic nie powiedziała.

– Nie ma się czego wstydzic, Safiye. Mój brat cię kocha. Kocha do szaleństwa. Ten pierścień na twoim palcu wyraża wszystko. Możesz mi wierzyć, nawet moja matka nie

ma tak drogocennego pierścienia. Pokaż rękę. Dziewczyno, spójrz, jak wielki jest ten brylant.

Safiye i tym razem wolała milczeć. Wydawało jej się, że kobieta do czegoś zmierza.

– Dobrze, sułtan cię kocha, to wiemy, ale czy ty go kochasz?

Ismihan przyglądała jej się uważnie.

– *Jeśli dwa serca nie staną się jednością, łożę zarasta kolcami, moja piękna.*

– Sułtanko... – wydusiła z siebie Safiye.

Kobieta wciąż jej się przyglądała.

– Nie musisz udawać, że się wstydzisz, moja słodka. Powiedz mi lepiej – kochasz go czy nie?

Nie spodziewała się takiego pytania.

– Wprawdzie nie ma to znaczenia, ale mimo to pytam.

Nagle Safiye zeszywniała.

– Nie ma znaczenia? Dlaczego?

– Ważna jest miłość sułtana. Nawet jeśli go nie kochasz on już postanowił zabrać cię do alkowy.

– Tak uważasz?

– Nie doprowadzaj mnie do szału, Safiye. Czy to nie oczywiste? Tyle prezentów, później ten pierścionek... Stolica już teraz uważa cię za Safiye Haseki.

– A więc za brankę, odaliskę. A może powinnam powiedzieć „niewolnicę”?

– On jest padyszachem.

– A ślub?

– Ślub? – Ismihan była zdumiona. – Tylko nie mów mi, że uwierzyłaś w te fantazje mojej matki. Naprawdę sądzisz, że Murad cię poślubi? W jego haremie są setki dziewcząt. Setki tak pięknych jak ty. Dlaczego miałby się żenić? Poza tym, nawet jeśli zechce, nie może tego zrobić.

– A to dlaczego? Jako padyszach może siłą wziąć mnie do łoża, ale nie może się ożenić?

– Oczywiście, że nie... Ty... ty jesteś *nieodpowiednia*.

– Co? – Safiye czuła, że jej oczy zapłonęły. – Nieodpowiednia?

– Twoja religia jest inna.

„A więc o to chodzi”, mruknęła Safiye w duchu.

– Twoim zdaniem Murad... – Mówiąc o padyszachu, celowo użyła jego imienia. – Murad weźmie mnie do łoża siłą, ponieważ wyznaję inną religię?

– Tak. Kiedy powie: „Chodź”, pójdziesz. W przeciwnym razie... Wiesz przecież. Ci, którzy nie podporządkowują się rozkazom padyszacha... – Ismihan wykonała gest, jakby rękami ścisnęła szyję. – Zrozumiałaś? Albo *łożę*, albo *grób*. Oczywiście ty, jako mądra dziewczyna, wybierzesz to pierwsze.

Safiye zauważyła, że mimo wzbierającego w niej gniewu jest zadziwiająco spokojna. Z jakiegoś powodu jej to nie zdziwiło. Sięgnęła do stolika i uniosła puchar. Dopięła wino pozostałe na jego dnie. Powoli podniosła się z miejsca. Zwlekała chwilę, poprawiając spódnicę.

– Mylisz się, sułtanko – syknęła. – *Albo zostanę żoną Murada, albo ziemi. Albo*

zostanę sułtanką Safiye, albo... – Nie dokończywszy, oddaliła się w stronę schodów.

– Chodźcie tutaj! – zawołała do Seher i Kamer, wciąż bawiących się w berka w cieniu drzew. – Chcę trochę odpocząć.

Sułtanka Ismihan długo patrzyła za Safiye. Jej twarz przybrała dziwny wyraz. Nie było jasne, czy jest zamyślona, czy rozgniewana, a może śmiała się w duchu. Podniosła się i weszła do pałacu po marmurowych schodach na piętro, a potem udała się do komnaty, w której czekała na nią matka.

– Co się stało? – Głos Nurbanu stał się ostry z ciekawości.

– Stanie się – powiedziała Ismihan, uśmiechając się. – A dokładniej już się stało. Pokona wszystko, co stanie jej na przeszkodzie do bycia sułtanką Safiye.

– Co powiemy Muradowi?

Ismihan tylko uśmiechnęła się tajemniczo.

– My dotrzyaliśmy słowa, matko – odezwał się sułtan Murad, kiedy tylko wszedł do komnaty.

– Dotrzykaliście, mój synu chanie?

– Opróżniłem Stary Pałac.

– A kobiety?

– Wyjdą za mąż za odpowiednich mężczyzn. Te, które się nie zgodziły albo otrzymały uposażenie i zostały odesłane do ojczyzny, albo...

Nurbanu domyśliła się, co się z nimi stało. Pewnie zaginęły. Musiała być jakaś kara za upór.

– Chłopcy?

Murad nic nie powiedział.

– Dziewczynki?

– Niektóre odeszły z matkami, niektóre zostały rozesłane do prowincji pod protekcję bejów.

– A niemowlęta?

– Są z mamkami.

– Wszystkie?

Murad rozgniewał się, dostrzegłszy nieufność na twarzy matki.

– Powiedzieliśmy, matko, że dotrzyaliśmy słowa. Dlaczego jeszcze o to wypytyujesz? Uczyniono to, co należało uczynić.

– Więc teraz Stary Pałac został całkiem pusty, tak?

Sułtan nagle stał się podejrzliwy. Czyżby szpiedzy matki donieśli jej, że zachował Bihter i kilka innych dziewcząt?

– Tak – odparł mimo wątpliwości.

– A Dżanfeda Kalfa?

– Zgodnie z waszym życzeniem uczyniliśmy ją zarządczynią haremu w miejsce Mestane. Teraz łatwiej wam się będzie dowiedzieć, co się dzieje.

Sułtanka *valide* puściła mimo uszu sugestię syna, że umieściła Dżanfede w haremie jako swojego szpiega.

– Przekonałyście się, matko... Dotrzyaliśmy danego słowa. Nic dodać, nic ująć. Teraz wasza kolej.

Nurbanu spojrzała na syna, mrużąc oczy.

– Nie możesz jeszcze trochę poczekać?

Murad drgnął.

– Jeszcze trochę. Nie, nie mogę.

– Powiesz jej to wieczorem?

– Tak. Wezwałem ją na taras pod kopułą.

– Co jej powiesz?

– Że przybyłem, aby ją zabrać.

– Jak ją zabierzesz? Za jej zgodą czy siłą?

– Tak jak będzie trzeba. Ta sprawa już za długo trwa, matko. Zamknęliśmy alkierz odalisek. Tym razem nasza miłość stała się pożywką dla wezyrów. Nieustannie między sobą szepczą. Nie mogę czekać. – W głosie Murada, bardziej niż zniecierpliwienie, dało się słyszeć gniew i pragnienie.

– Nie pójdzie do haremu z własnej woli. Wiesz o tym, prawda? Jeśli zaś weźmiesz ją siłą...

– Jeśli tak uczynię, matko?

– Wtedy weźmiesz ją do łóża bez życia.

– Nie! – rzucił ogarnięty paniką. – Nie może odebrać sobie życia.

– Nie zawaha się tego zrobić. Znam swój ród. Baffo nie pozwoli splamić swojego honoru, nawet jeśli jest niewolnicą.

Padyszach splótł ręce za plecami i zaczął krążyć po komnacie niczym dzikie zwierzę w klatce. Jednocześnie zaś powtarzał:

– Ona nie jest niewolnicą. Jest moim życiem. Duszą Murada. – Później podszedł i zatrzymał się przed Nurbanu. – Ona jest moim przeznaczeniem. Moim dziś i moim jutrem. Moją przyszłością. Wróżką, której nadejście przepowiedział mi szejk Şüca.

Nurbanu prawie zaczęła żałować, że wymyśliła przepowiednię Şücy. Gdy patrzyła na bezradność syna, serce jej krwawiło. Nie przyszło jej do głowy nic innego, jak tylko pokiwać głową, jakby chciała powiedzieć: „Wiem”.

– Czego jeszcze oczekuje od nas nasza gwiazda zaranna? Złożyliśmy jej do stóp naszą dumę, duszę i serce. Czego jeszcze chce?

– Ślubu! – ucięła Nurbanu. – Safiye nie podzieli z tobą łóża bez ślubu. Wiem o tym, dlatego ci to mówię.

– Ale wiesz, że to niemożliwe.

– Dlaczego niemożliwe?

– Zastanów się, matko, co zrobią janczarzy, kiedy poślubię niewolnicę. A jakie zamieszanie wywoła to wśród ulemów.

– Czy ktoś powiedział naszemu sułtanowi, żeby wziął za żonę kobietę, która nie jest muzułmanką?

Padyszach się zdumiał.

– Co?

Nurbanu chciała postawić wszystko na jedną kartę.

– Usłuchasz słów matki czy będziesz obstawał przy swoim, bo jesteś padyszachem?

Murad długo przyglądał się matce. Nurbanu w żadnym okresie jego życia nie

pozostawiła go samego i bezradnego. Wyciągnęła go cało z niezliczonych intryg, wyniosła na tron. Nie mógł zaprzeczyć, że po tym, jak został padyszachem, były dni, kiedy wahał się, czy państwem rządzi on, czy jego matka, ale wcale na to nie narzekał. Państwo pozostawił swojemu szwagrowi Sokollu i swojej matce, a sam oddawał się przyjemnościom haremowego życia.

– Jest jakieś wyjście z tej sytuacji? Jeśli tak, jestem gotów wysłuchać słów matki.

Oczy Nurbanu rozbliły.

– W takim razie słuchaj, mój synu chanie – wyszeptała. – Idź teraz do Safiye...

Pół godziny później padyszach, opuszczając komnatę sułtanki *valide*, fruwał ze szczęścia. „Patrzcie, co zrobiła z nami ta wróżka”, zachichotał, przemierzając długi korytarz, który oświetlał drżący płomień świecy.

Odbicie księżyca wyglądało jak srebrna taca na wodzie czarnej niczym smoła. Sułtan Murad zadumał się, wpatrując się we włosy Safiye, unoszące się na wiejącym od morza wietrze niczym złote, jedwabne nici. Czuli na twarzach swoje oddechy, jednak nie mogli znaleźć słów.

„Pewnie jutro słońce wzejdzie w innym miejscu – pomyślała Safiye – gwiazdy zgasną, rzeki zmienią swój bieg, ptaki będą chodzić po ziemi, a konie i owce fruwać”. Jutro jej życie nigdy nie będzie wyglądało jak dziś. Wiedziała to. Tak czy inaczej, od jutra jej życie zostanie napisane na nowo. Ten mężczyzna, który przyglądał się jej rozmarzonym wzrokiem, nie wiedząc, co powiedzieć, stanie się jego początkiem lub końcem.

W tej chwili z oczu Safiye można było odczytać różne uczucia: nadzieję, żal, żądzę, złość i tęsknotę. W dodatku ona również powinna odpowiedzieć tym samym mężczyźnie, który patrzył na nią z taką miłością. „Czy ja go kocham? Czy ja naprawdę go kocham?”.

Zdała sobie sprawę, że nie jest w stanie odpowiedzieć. Wiedziała, że jej się podoba, ale nie potrafiła określić, czy powodem tego jest kobieca ciekawość, jaką czuła względem Murada, czy jego potęga, siła i władza. Tak, coś się w niej poruszyło, ale nie umiała zdecydować, czy kocha Murada, czy jego tron.

Tyle razy nocami wyobrażała sobie, że pieścą ją jego wielkie dłonie, z którymi teraz nie wiedział, co zrobić, i z pożądania odchodziła od zmysłów. To, że Murad miał tak wiele kobiet, też smagało jej żądze. Był silnym mężczyzną, który panował nad setkami kobiet.

– Moja wróżko... – wyszeptał nagle Murad, ale nie był w stanie dokończyć.

Usiłował poukładać sobie rzeczy, które chciał jej powiedzieć, jednak nie mógł zebrać myśli. „Te oczy, te usta, te włosy, to ciało”, nieustannie powtarzał w duchu. Nie mógł jej stracić. Powie Safiye to, co usłyszał od matki. Jeśli się zgodzi – wspaniale, jeśli nie... Wtedy nie będzie miał innego wyjścia. Patrzył dziewczynie w oczy, jakby chciał powiedzieć: „Z własnej woli lub przymusu... będziesz moja”.

– Powiedzieliście, Wasza Wysokość, że macie nam coś ważnego do powiedzenia.

– Safiye... – W głosie Murada brzmiała skarga. – Przecież miałaś mówić tylko Murad, kiedy jesteśmy sami.

Skinęła głową.

– Słucham, co macie nam do powiedzenia, Muradzie.

– Boże – odezwał się cicho padyszach – jeszcze nikt tak pięknie nie wypowiedział naszego imienia.

„To wspaniale – pomyślała Safiye – ale zaraz zwariuję z ciekawości. Powiedz wreszcie, czy weźmiesz mnie siłą do swojego łóża, tak jak twierdziła twoja siostra?”. Obawiała się, że sułtan odczyta jej myśli.

– Na mnie też nikt nie patrzył jak nasz pan.

Zdziwiła się, widząc, jaki wpływ wywarło na Muradzie zdanie, które wyszeptała, drżąc na całym ciele. Padyszach zaczął na nią patrzeć, jakby miał zamiar wziąć ją w ramiona.

– Tak, słucham. Rozbudziliście naszą ciekawość... Muradzie...

Te słowa, wypowiedziane nosowym, zachrypniętym głosem, sprawiły, że Murad poczuł, że jego krew wrze. Zaszło mu w ustach.

– Safiye...

Wypowiedział jej imię zdecydowanym głosem, ale nie dokończył.

– Tak... Muradzie?

– Pojedziesz ze mną do pałacu?

I oto nastąpiła chwila śmierci. Oboje zdawali sobie sprawę, że to, co teraz powiedzą i co usłyszą, całkowicie odmieni ich życie.

– Powiedzieliście: „do pałacu”?

– Tak, do naszego domu.

– Uznałicie, że właściwym dla mnie domem będzie alkierz odalisek, Wasza Wysokość? – Głos Safiye, jeszcze przed chwilą ochrypli z namiętności, tym razem przeszył padyszacha chłodem do szpiku kości.

– Alkierz odalisek? Skąd ten pomysł, wróżko? Poleciliśmy przygotować dla ciebie Pawilon Nadmorski w pałacowym ogrodzie... Chcemy, żebyś tam zamieszkała razem ze swoimi służącymi. My zaś będziemy mogli odwiedzać cię, kiedy zapagniemy, i oglądać różaną twarz naszej wróżki. Skończą się ból i tęsknota.

Safiye była nieprzejednana.

– To tam będziecie dzielić łóżę z waszą wróżką, Wasza Wysokość?

Teraz przyszła kolej, żeby słowo w słowo powtórzyć to, co powiedziała sułtanka *valide*.

– Nie – uciął sułtan Murad. – Nawet nie tkniemy naszej wróżki. Tak jak nie uchybimy jej niczym w miłości, tak nie uchybimy w szacunku. Niezależnie od tego, jak wiele cierpienia nam to przyniesie, będziemy żyli osobno, aż do *ślubu*.

„Do ślubu”? Powiedział: „do ślubu”?

„Zemdleję – przeszło Safiye przez myśl. – Na pewno zemdleję. Czy dobrze zrozumiałam? Murad powiedział «ślub»? Padyszach powiedział, że mnie poślubi? Nogi mi się trzęsą. Najświętsza Panienko, pomóż swojej córce”.

– Ślubu?

– Tak, to konieczne. Chcemy, żebyś została sułtanką Safiye Murada Chana. Pragniemy, żebyś była królową Imperium Osmańskiego, kobietą, która urodzi nam książąt. – Padyszach zamilkł. Ujął Safiye za rękę i z miłością spojrzał jej w oczy. – Czy zgodzisz się zostać naszą żoną?

„Jak mogłabym się nie zgodzić?! – zawołała w duchu. – Nie zgodzić się? Oczywiście, że się zgadzam”. Safiye przytrzymała się balustrady, żeby nie upaść.

– Muradzie... – szepnęła ostatkiem sił.

Chciała, żeby z tonu jej głosu wyczytał, że się zgadza.

– Zgadzasz się, moja różo?

Długo patrzyła padyszachowi w oczy. Nagle wzięła Murada za rękę i przycisnęła ją sobie do piersi.

– Niech moje serce odpowie.

Sułtan Murad odchodził od zmysłów. Skóra dziewczyny płonęła. Z trudem

powstrzymał się, żeby nie zniszczyć świętości tej chwili, namiętnie ściskając w dłoni jej duże, jędrne piersi.

– Twoje serce mówi „tak”, moja wróżko – wyszeptał. – Czy twój język też mówi „tak”?

– Tak. – Przysunęła się do padyszacha. – Mój język, moje serce i moja dusza mówią „tak”. *Zostanę twoją królową.*

– W takim razie jedź ze mną tego wieczoru.

Safiye nagle odskoczyła od mężczyzny.

– Tego wieczoru?

„Czyżby zastawiał na mnie pułapkę? – pomyślała. – Zamierza zaciągnąć ją do łóżka, zwodząc, że się ze mną ożeni?”

– Ślub jest wieczorem?

Murad dostrzegł iskrę podejrzliwości w oczach dziewczyny.

– Nie, najpierw muszę porozmawiać z szejkiem islamu i ulemą.

– Dlaczego?

Padyszach odsunął się o krok od dziewczyny.

– Istnieją dwa sposoby, żebym mógł cię poślubić.

Safiye popatrzyła na niego chłodnym wzrokiem. Najwyraźniej jej radość była przedwczesna.

– Pierwszy – ciągnął Murad – to dostać fatwę, żebym mógł poślubić kobietę innego wyznania.

– Co to znaczy fatwa?

– Zgoda religii, pozwolenie.

– A jeśli nie będzie fatwy?

– Drugi sposób to poinformować hodżę efendiego, że zgodziłaś się przejść na drogę prawdy, żeby mnie poślubić.

Safiye przeszył dreszcz. Czy szczęście, którego była tak blisko, wymykało jej się z rąk? O tym właśnie mówiła Ismihan.

– Więc – odezwała się cicho – albo wyrzeknę się mojej religii, albo ciebie, tak?

Murad najpierw skinął głową, ale ujrawszy rozpacz na twarzy dziewczyny, choć wiedział, że to niemożliwe, rzekł:

– Może uda mi się dostać fatwę, żeby móc cię poślubić, bez zmieniania przez ciebie religii.

Jego głos był tak cichy i niepewny, że można było się domyślić, że tylko chce ją pocieszyć.

– Czy to możliwe, Muradzie?

Jednocześnie zaś błagała: „Jezu Chryste, Najświętsza Panienko, proszę, sprawcie, żeby powiedział, że to możliwe”.

– Może... Może się uda.

– Czy nie jesteś padyszachem? Wydaj rozkaz.

Murad w odpowiedzi uciekł spojrzeniem. Nawet jeśli był padyszachem i jego słowo było prawem na trzech kontynentach, nie mógł sprzeciwić się nakazowi religii. „U nas też tak jest – przeszło jej przez myśl. – Nawet cesarz nie może sprzeciwić się

rozkazowi Kościoła”.

– Jak duża jest szansa, że to okaże się możliwe?

Murad opuścił głowę.

– Niewielka. – Ujął drżące ręce dziewczyny między swoje dłonie i ucałował je. – Pójdę już. Spróbuję dostać od szejka islamu fatwę o tym, że nie ma przeszkód, żeby padyszach Imperium Osmańskiego poślubił chrześcijankę. Jeśli będzie trzeba, zastraszę go. Jeśli to nie pomoże, zwolnię go z funkcji, a na jego miejsce mianuję innego. Jeśli będzie trzeba, będę walczył, dopóki nie znajdę uczonego, który wyda taką fatwę. Do tego czasu będziesz czekała na dzień, w którym będziemy mogli być razem, w Pawilonie Nadmorskim. Zaufaj mi, Safiye. Zanim zostaniesz moją żoną, pod żadnym pozorem...

Wszystkich tych słów wyuczyła go matka. Nurbanu wierzyła, że to, co powiedział, i to, co miał teraz zrobić, zmiękczy serce Safiye.

– To mądra dziewczyna – powiedział Murad, wychodząc – nie odrzuci tronu i korony w imię krzyża.

Sułtan Murad zrobił krok, jakby wychodził, później zatrzymał się, jakby miał zamiar zawrócić. W końcu tylko odwrócił głowę i uciekł spojrzeniem od Safiye. Wykonał wszystkie gesty, które miały wyrazić bezradność, rozpacz i płomień w jego wnętrzu.

– Czekaj na mnie, piękna wróżko – wyszeptał w końcu. – Tym razem nie pozwolę ci odfrunąć, jak wtedy na murach. Mrok pojaśnieje, a moja gwiazda zaranna oświeci mnie swoim blaskiem. – Głos mu drżał. – Zobaczysz.

Padyszach szybko odwrócił się od niej i skierował się do stopni prowadzących z tarasu pod kopułą do żwirowej alei.

Safiye popatrzyła za Muradem na jego przyciśnięte cierpieniem ramiona. Coś stanęło jej w gardle. Nagle głos w jej wnętrzu wykrzyknął pospiesznie: „No dalej. Nie wycofuj się. Jezus i Najświętsza Panięka cię rozumieją. Powiedz mu”.

– Muradzie!

Padyszach zatrzymał się na środku schodów. Nie odwracając się do Safiye, obrócił głowę i spojrzał na nią z wyrazem smutku i rozpacz.

– Moja wróżko?

– Idź, do kogo chcesz, i powiedz mu, że... – W gardle jej zaschło. Język stanął jej kołkiem. Z trudem mówiła dalej, jakby szukała właściwych słów. – Powiedz mu, że...

– Safiye?

Pomimo wszystkich starań łzy zaczęły jej spływać po policzkach.

– Powiedz, że gwiazda zaranna zwraca się ku półksiężycowi. Niech zrobią, co trzeba.

Choć wciąż miała w oczach łzy, nagrodziła wyraz wdzięczności i błysk zwycięstwa wspaniałym uśmiechem. „To pierwszy rozkaz sułtanki Safiye”, pomyślała.

Murad nie mógł uwierzyć własnym uszom.

– Safiye?

– Idź, Muradzie. Idź czym prędzej. Od jutra zostanie napisane nowe przeznaczenie gwiazdy zarannej. Wieczorem musimy się pożegnać.

– Pożegnać?

– Yhy.

Jej wyraz twarzy sprawił, że Murad nie miał odwagi zapytać: „Z kim?”. Postąpił dwa kroki w jej stronę. Przez chwilę stał przed nią, a potem nagle wyciągnął ramiona i mocno objął Safiye.

– Moja wróżko, moja gwiazdo zaranna.

– Mój Muradzie.

Padyszach powoli ujął w dłonie jej głowę, którą położyła na jego piersi, i długo wpatrywał się w oczy dziewczyny. Ucałował jej policzki, na które teraz spływały wodospady łez.

– Safiye, moja królowo, moja sułtanko Safiye.

Powoli otworzyła drzwi. Wewnątrz było ciemno. Światło świec palących się na korytarzu wpadało do komnaty przez uchylone drzwi. Weszła do środka i zamknęła drzwi. Safiye przez chwilę myślała, że zgubiła się w ciemnościach.

– Wejdz!

Safiye zadrżała na dźwięk tego niespodziewanego zaproszenia pośród nieprzebytego mroku. Zobaczyła ją, kiedy delikatnie obróciła głowę w stronę, z której dochodził głos. Siedziała na materacu przed kratownicą. Plecami była odwrócona do okna, twarz zwrócona była w stronę drzwi, przez które przed chwilą weszła.

– Nie śpisz?

„Co za głupie pytanie – skarciła się. – Przecież widzisz, że nie śpi”.

– Czekałam na ciebie.

– Wiedziałaś, że przyjdę?

– Nie... Ale powinnaś przyjść.

– Dlaczego siedzisz po ciemku?

– Tej nocy boję się światła, Safiye. Boję się, że ujawni występki, zdrady, kłamstwa... Ciemność jest właściwa. Widzisz to, co chcesz, dusisz to, czego nie chcesz.

Szła ostrożnie przed siebie, uważając, żeby na nic nie wpaść.

– Chodź.

Teraz Safiye stała przed nią.

– Usiądź.

Wtedy zauważyła, że u jej stóp leży materac. Czekala na nią. Kazała rozłożyć przed sobą siedzisko dla Safiye.

– Usiądź, Sophio. Chcę widzieć twoje oczy.

Odkąd tu przybyła, kuzynka po raz pierwszy zwróciła się do niej jej prawdziwym imieniem.

– Czy nie tak masz naprawdę na imię? Cecilia... z imieniem, które przybrałaś... Sophia Baffo.

– Tak, to jestem ja. – Safiye zawahała się. – A raczej byłam.

– Zawsze nią będziesz, moja piękna. Ona zawsze będzie z tobą. Skryje się gdzieś w środku. Pobiegnie ci na pomoc, kiedy będziesz tego potrzebowała.

– Ale czy nie chciałaś, żebym ją zabiła?

Zauważyła, że przez twarz sułtanki *valide* Nurbanu przemknął ledwo dostrzegalny uśmiech. A może tylko jej się tak wydawało.

– Czasem ludzie umierają, ale ich imiona pozostają, Safiye. Spójrz, imię mojego

teścia sultana Sulejmana wciąż żyje. Będzie żyć wiecznie. Moja matka Hürrem, której syna też poślubiłam. Wciąż ją wspominam. Być może po obojgu nie zostały nawet kości, ale ich imiona wciąż są żywe. Nawet za tysiąc lat będą mnie wspominać jako sultankę Nurbanu. Jednak wszyscy będą wiedzieć, że naprawdę byłam Cecilią Baffo. Może ty też wpiszesz swoje imię między nieśmiertelnych. Sultanka Safiye... Królowa sultana Murada, ukochanego syna sultana Selima Chana i sultanki *valide* Nurbanu... Najpiękniejsza z pięknych Cecilia Sophia Baffo...

Głos kuzynki być może po raz pierwszy rozgrzał tak jej wnętrze.

– Unieś głowę.

– Dlaczego?

– Powiedziała ci, że chcę widzieć twoje oczy.

– W tych ciemnościach?

– Ten, kto umie patrzeć, zobaczy.

Oczy kobiety siedzącej naprzeciwko Safiye błysnęły. Dziewczyna usiadła wygodniej.

– Wezwał mnie – szepnęła.

Na chwilę nastała cisza.

– Pójdiesz?

Tym razem cisza trwała dłużej.

– Z własnej woli czy siłą?

– Z własnej woli. Pojmie mnie za żonę.

– Tak powiedział?

– Tak.

– Nie powiedział, że to trudne, a nawet niemożliwe? – zapytała Nurbanu ze zdziwieniem.

– Wiem – odpowiedziała cicho Safiye. – Potrzebna jest zgoda religii.

– To bardzo trudne.

– Wcale nie.

– Szejk islamu nie wyda fatwy.

– Jest niepotrzebna.

Nurbanu czekała, próbując nie okazywać niepokoju. Nawet się nie zdziwiła. Wiedziała, co powie dziewczyna, ale mimo to obawiała się, że duchowe rozterki, które wiele lat temu ona przeżyła, pokonają rozum Safiye.

– Postanowiłam kroczyć drogą mojego przeznaczenia. Powiedziała Muradowi, że zwrócę się ku półksiężycowi.

Sultanka *valide* z całych sił usiłowała ukryć radość, która ją ogarnęła. Czekwała, nie odzywając się.

– Czy nie tego chciałaś? Nie cieszysz się?

Nurbanu zlekceważyła goręcz w głosie dziewczyny.

– Wiedziała, że tak się stanie. Kobiety Baffo zawsze wybierają właściwą drogę.

Zamilkła na chwilę, próbując zobaczyć blask i smutek w oczach dziewczyny. Znalazła w nich przeszłość, los, który zostawiła za sobą tak daleko, że nie można już było do niego wrócić, i władzę oraz potęgę przyszłości.

– Dlaczego do mnie przysłaś?

Safiye wyprostowała się.

– Pożegnaj się.

Sułtanka *valide* natychmiast zrozumiała, z kim chce się pożegnać jej kuzynka, ale udała, że nie wie.

– Pożegnasz się?

– Znajdź mi jakiś kościół, kuzynko. Muszę iść na poranną mszę. – W jej głosie nie zabrzmiała jedna błagalna nuta; nie prosiła o pozwolenie, tylko oświadczyła, że pójdzie.

– Do rana już niedaleko – odezwała się cicho. – Obudź Meleknaz. To ona wszystko przygotuje. Idźcie razem.

Safiye pośpiesznie podniosła się z miejsca. Odwróciła się i skierowała do drzwi. Zanim wyszła, rzuciła przez ramię:

– Po południu pojedę do Pawilonu Nadmorskiego. Niech poczynione zostaną odpowiednie przygotowania.

Otworzyła drzwi. Przez szparę do komnaty sułtanki *valide* znów wdarło się światło. Gdyby Safiye się odwróciła, w tym świetle ujrzałaby ogień płonący w oczach kuzynki.

Pożegnanie nie trwało długo. Kiedy powóz, który Meleknaz kazała naprędce przygotować, zatrzymał się przed małym, skromnym kościołem, właśnie zaczynały brzmieć mszalne dzwony.

To były dwa ciche uderzenia. Rozbrzmiał mały dzwon. Za chwilę dzwonnik pociągnie za linę większych dzwonów wykonanych z brązu, żeby obudzić tych, którzy zaspali.

Tak też się stało. Ciężkie dźwięki dzwonów rozległy się nad ich głowami, kiedy wchodziły po schodach, osłonięte pelerynami.

Z każdym uderzeniem Safiye wydawało się, że serce dzwonu nie uderza o brąz, ale o jej serce.

W kościele nie było prawie nikogo. W drugim rzędzie siedziała jakaś starsza, zaniedbana kobieta. Ksiądz ospale zapalał świece.

Safiye ruszyła prosto do ołtarza. Uklękła przed Najświętszą Panią i złączyła dłonie. Zamknęła oczy. „Święta Maryjo – odezwała się w duchu – wybac swojej córce. Powiedz naszemu Ojcu w Niebie. Niech On też mi wybaczy”. Wierzchem dłoni pośpiesznie otarła dwie łzy, które popłynęły jej po policzku. „Ty najlepiej wiesz, co jest w moim sercu, Najświętsza Pani. Nasz Stwórca też, prawda? W wielkiej katedrze w Wenecji ojciec Nikola powiedział, że Bóg jest jeden. On jest Bogiem wszystkich. Więc nasz i ich Bóg jest ten sam...”

Nagle zdała sobie sprawę, że ma całkowitą pustkę w głowie. Tymczasem każdego wieczoru myślała o tym, co powie Najświętszej Pani. Teraz, gdy stanęła przed jej obliczem, wszystkie słowa uleciały. „Czy to nie Bóg kreśli nasze przeznaczenie? Podążając drogą, którą wyznaczył mi Bóg, nie odrzucam Go. Zawsze będę Cię czuła przy sobie, Najświętsza Pani. Twoje piękne, skromne oblicze będzie rozświetlać moją duszę. W każdej mojej modlitwie będę wspominać Jezusa Chrystusa. Zwracam się od krzyża do półksiężyca, ale przysięgam, że zarówno krzyż, jak i półksiężyc zajmą w moim sercu miejsce obok siebie. Niech mi Bóg dopomoże. Amen”.

Z lękiem uniosła głowę i spojrzała na Najświętszą Panienkę. Wydało jej się, że obraz się uśmiecha. Później spojrzała na Jezusa rozpiętego na krzyżu. Na chwilę krzyż zajaśniał. Pierwsze promienie porannego słońca wpadły kolumną przez jedno z kościelnych okien ozdobionych kolorowymi szybami. To był cud. Znak! Mimo bólu uśmiechnęła się do Jezusa.

– Wiedziałam – powiedziała, a jej dusza wypełniła się radością. – Wiedziałam, że mnie zrozumiecie. – Pośpiesznie wyciągnęła krzyż. „To ostatni raz?“, zapytała siebie. Jej język i serce nie miały odwagi powiedzieć „tak”. Czy kiedy przejdzie na stronę półksiężycy, dopuści się grzechu, jeśli sięgnie po krzyż? Nie wiedziała.

Odeszła od ołtarza i już miała przejść do ławki, w której siedziała Meleknaz, żeby wziąć udział w mszy, ale zatrzymała się.

– Ojczy?

Stary, pulchny ksiądz obrócił swoją zaspianą, ale jasną twarz.

– Córkko, jeśli chcesz wypowiadać się z grzechów, przyjdź po mszy.

– Z grzechów? – Uśmiechnęła się. – Nie mam grzechów. Obmyłam swoją duszę.

Ksiądz usiłował zobaczyć twarz dziewczyny skrytą pod kapturem.

– Jakie to dla ciebie szczęście – mruknął. – Jeśli wierzysz, że oczyściłaś swoją duszę, oznacza to, że jesteś ukochaną służką Boga. Niech Bóg chroni cię przed grzechem, dziecko. Więc jak mogę ci pomóc?

– Mam pewne pytanie.

„Kim jest ta tajemnicza dziewczyna, która przyszła tu tak wcześnie rano”, zastanawiał się ksiądz.

– Obym tylko znał odpowiedź – odparł uprzejmie.

– Jeśli są przed nami dwie drogi, jedna z nich jest drogą serca, a druga rozumu, którą z nich powinniśmy wybrać? Powinniśmy podążać drogą rozumu czy usłuchać głosu serca?

– To trudne pytanie. – Ksiądz podrapał się po brodzie. – Rozum jest głosem Boga, a serce – duszą Bożą. Oba powinny mówić to samo, ale nie zawsze tak się dzieje. Serce czasem pozwala, by zawładnęły nim ziemskie namiętności. Jeśli jednak będziemy potrafili słuchać rozumu, on zawsze wskaże nam drogę do Boga.

– Dziękuję – powiedziała Safiye. – Ja też tak myślałam. Słuchając rozumu, wkroczyłam na drogę, którą wskazał mi Bóg.

Odwróciła się, nie dając księdzu sposobności dalszej rozmowy. Weszła między ławki i usiadła obok Meleknaz, aż zaczęła się msza. Siedziała nieruchomo w milczeniu, tak jakby coś w niej umarło. W dłoniach poczuła ból gwoździ wbijanych w ręce Jezusa. Z lękiem je rozłożyła. Zauważyła, że powodem bólu były paznokcie, które wbijały jej się w skórę, kiedy z pasją zaciskała pięści.

Razem z kilkunastoma osobami znajdującymi się w kościele odmówiła cicho *Ave Maria*:

Ave Maria, gratia plena,

Dominus tecum,

Benedicta tu in mulieribus

Et benedictus fructus ventris tui, Jesus.

Później zwróciła się do Meleknaz:

– Chodźmy. Niech Sophia zostanie tutaj, a ty zabierz Safiye.

Zdziwiła się, widząc, że Meleknaz nie rusza się z miejsca. Pochyliła się i spojrzała na nią. Kobieta płakała. Ich oczy się spotkały.

– Wybacz jej – załkała kobieta.

– Komu?

Meleknaz nagle wyciągnęła ręce i ujęła dłonie Safiye.

– Jej... Nurbanu.

Safiye próbowała się uśmiechnąć. Nie wiedziała, na ile jej się to udało. W końcu odezwała się w rodzimym języku:

– *Mai*. Nigdy!

XXXVII

Safiye udała się do Pawilonu Nadmorskiego przysłanym z pałacu wspaniałym powozem, z każdej strony ozdobionym ornamentami ze złotych liści. Na głowach czterech koni ciągnących powóz znajdowały się wielkie czerwono-żółte pióropusze.

Inaczej niż się spodziewała, sułtanka Nurbanu nie zeszła, żeby ją pożegnać. Jedyne gdy wychodziła z komnaty, uśmiechnęła się do niej blado:

– Bądź czujna – szepnęła, całując ją w policzek. Safiye zdziwiła się, że wargi kuzynki są takie zimne. – Meleknaz pojedzie z tobą.

Safiye chciała coś powiedzieć, ale Nurbanu jej przerwała.

– Dopóki nie przywykniesz do pałacu. Po ślubie wróci.

Właściwie była z tego zadowolona. Obecność kobiety dawała jej poczucie bezpieczeństwa i wiedziała, że Meleknaz darzy ją bezwarunkową miłością.

– Daję ci też jedną z moich dam dworu. Teraz będzie służyła tobie.

Właśnie wtedy Safiye zauważyła kobietę stojącą przy drzwiach i trzymającą jakiś pakunek.

– Emine?

Nurbanu pokiwała głową.

– Pomoże ci. Po powrocie Meleknaz będziesz bardziej jej potrzebować.

Safiye nigdy nie lubiła Emine. Wiedziała też, że i ona za nią nie przepada. Naprawdę miała na imię Ewdoksija. Była dziwną kobietą. Safiye nigdy nie widziała, żeby kobieta się uśmiechała. Zawsze chodziła ze spuszczoną głową. Safiye dopiero po wielu miesiącach udało się zobaczyć, jaki kolor mają jej oczy. Jednak kuzynka z jakiegoś powodu ją lubiła. Tak jak jej towarzyszka Meleknaz stała zawsze po jej prawej stronie, Emine stała po lewej. Safiye, widząc to, próbowała nawiązać z nią jakąś nić porozumienia, ocieplić panującą między nimi chłodną atmosferę, ale kobieta za każdym razem się odsuwała.

A teraz sułtanka *valide* robiła wielki gest w stronę swojej przyszłej synowej, oddając jej swoją prawą i lewą rękę. Pierwsza dama dworu miała być z nią tylko przez jakiś czas, ale Emine miała z nią pozostać. Już dawno dowiedziała się, że wszystko, co mówi i robi Nurbanu, ma jakąś przyczynę. Musiał być jakiś powód, dla którego podarowała jej swoją Emine. „Oczywiście – przyszło nagle do głowy Safiye. – Emine będzie jej oczami i uszami. Wysłała ze mną Greczynkę jako swojego szpiega”.

– Dziękuję, ale mam już dwie pomocnice. Te, które podarował mi sułtan...

– Zarówno Seher, jak i Kamer są bardzo młode i niedoświadczone. Dziewczyna, która ma wejść do małżeńskiej alkowy, potrzebuje mieć obok siebie doświadczoną damę dworu. – Sułtanka matka machnięciem ręki dała znak, że ten temat jest już zamknięty. – Niech los ci sprzyja – powiedziała szczerym, ale surowym głosem.

Safiye pozdrowiła kuzynkę dygnięciem. Ruszyła z Meleknaz do schodów. Emine, ze spuszczoną głową, podążyła za nimi.

– Cecilio Sophio!

Zatrzymała się. Nurbanu wezwała ją spojrzeniem. Safiye zostawiła Meleknaz i Emine u szczytu schodów i podeszła do niej. Kuzynka nachyliła się nad nią, jakby po

raz ostatni chciała ucałować ją w policzek.

– Nie daj się omamić słowom, nawet jeśli to słowa naszego syna. Nie poddawaj się, dopóki nie weźmie cię za żonę.

Kiwnęła głową.

– Miej oczy i uszy otwarte. Jeśli Sophia miała jednego wroga, Safiye ma ich tysiąc. Bycie kobietą w pałacu przypomina spacer po linie rozpiętej nad ogniem. Jeśli się potkniesz, wpadniesz w płomienie.

Ponownie skinęła głową.

– Będziesz miała tam tylko jedną przyjaciółkę.

– Kogo?

– Siebie... Safiye... Drugą po mnie kobietę w Imperium Osmańskim...

Ponownie poczuła na policzku chłodne wargi starszej kuzynki.

– Nie zapomnij, co ci powiedziałam – wyszeptała Nurbanu.

– Nie zapomnę.

„Nie zapomnę – powtórzyła w myślach, zmierzając w stronę Meleknaz. – Nie zapomnę, choćbyś tego chciała”.

Kiedy wyszły przez duże drzwi wychodzące na marmurowe schody, przywitał je słoneczny, ciepły, wiosenny dzień. „Teraz zostałam sama”, przeszło Safiye przez myśl. Powoli schodziła po stopniach do powozu czekającego na nie na dole. W chwili, gdy miała postawić stopę na pokrytym aksamitem podnóżku wystawionym przez służącego, zawahała się.

„Drugą po mnie kobieta w Imperium Osmańskim”.

Słowa Nurbanu wbiły się w jej umysł jak igła. Wszystkie słowa pożegnania wypowiedziała dla tego zdania. Kuzynka wydawała ją za męża za swojego syna, ale pod jednym warunkiem: „Znaj swoje miejsce! To ja jestem pierwszą kobietą, ty jesteś druga. Pozostań w cieniu! Czekaj na swoją kolej”.

„Tylko kiedy nadejdzie moja kolej”, zastanawiała się, stawiając stopę na podnóżku.

Zajęła miejsce na siedzisku obitym gazelą skórą i okrytym jedwabnym kilimem. Oparła się o jedwabne poduszki. Meleknaz usiadła naprzeciwko niej. Emine wychyliła się przez drzwi powozu i poprawiła jej spódnicę. Później też wsiadła i znalazłszy obok Meleknaz, opuściła głowę. Zupełnie jakby kobieta całą swoją uwagę skupiła na maleńkich butach Safiye z wyszywany mi złotą nicią, zadartymi czubkami, na których znajdowały się złote jedwabne pompony, jak gdyby widziała coś takiego po raz pierwszy w życiu.

Meleknaz stuknęła w sufit powozu.

– Jedź, woźnico – powiedziała radosnym głosem. – Jedźmy. Niech drogi stoją przed nami otworem. *Sułtanka Safiye zmierza ku swojej przyszłości.*

Usłyszały świst rzemieennego bata. Woźnica poluzował lejce w obawie, żeby nie zatrzęsło powozem obładowanym drogocennym bagażem, a przede wszystkim wiozącym największy skarb sułtana – Safiye. Cztery konie ruszyły powoli.

Razem z nimi poruszało się z przodu dwudziestu jeźdźców, po dziesięciu z każdej strony powozu, z długimi lancami ozdobionymi czerwonymi, zielonymi i białymi wstążkami.

Safiye skupiła spojrzenie na błyszczących końskich uprzężach i ich delikatnych

kostkach owiniętych taśmą, ale nie mogła powiedzieć, że je widziała. Nie dawało jej spokoju jedno pytanie: „Kiedy nadejdzie moja kolej? Kiedy?”. Znała odpowiedź. „*Kiedy ona umrze*”.

Powóz z radosnym turkotem wjechał przez arkadową bramę Nowego Pałacu, po której obu stronach znajdowały się wieże o spiczastych kopułach. Wewnętrzny dziedziniec wypełnił się odgłosem stukotu podków dumnych koni. Minawszy jeszcze jedną bramę, pojechali w stronę morza drogą prowadzącą w dół po zboczu, otoczoną z obu stron zielonym ogrodem.

– A oto i Pawilon Nadmorski – powiedziała po chwili Meleknaz.

Safiye, mimo starań, nie była w stanie stłumić okrzyku zachwytu:

– Mój Boże! Jest cudowny!

Miejsce, w którym miała zamieszkać, dopóki nie zostanie żoną Murada, znajdowało się tam, gdzie kończyła się zieleń, a zaczynał błękit. „A może już zawsze będę tu mieszkać? – pomyślała mimowolnie. – Oczywiście jako jego żona”, poprawiła się pośpiesznie w obawie, żeby jej anioły nie zrozumiały źle jej życzenia.

Przed nimi znajdował się biały, elegancki budynek. Gdy patrzyło się ze wzgórza, miało się wrażenie, jakby wystrzeliwał z morza. Miał wspaniały trójkątny dach. Nienasycona harmonia błękitu i bieli obejmowała się z bezkresnymi lasami na przeciwnym brzegu.

– Podoba ci się?

– Czy mi się podoba, ciociu Meleknaz? To miejsce to raj.

– To sułtanka *valide* poleciła przygotować je dla ciebie.

Jej radość zgasła. W jednej chwili oczy napełniły się łzami.

– Co się stało, moja piękna? – zapytała Meleknaz, widząc, że dziewczyna walczy, żeby powstrzymać łzy. – Sułtanka matka sądziła, że ci się tu spodoba.

– Podoba mi się – powiedziała, pociągając nosem. – Przypomina mi mój dom rodzinny. Wenecję. Widziałaś Wenecję?

Kobieta pokręciła głową.

– Wenecja też tak wygląda. Domy i pałace wynurzają się spośród fal.

– Sułtanka *valide* wiedziała, że tak pomyślisz.

Nagle drzewa się rozstały i powóz wjechał na plac wysypany białymi kamieniami. Po jego obu stronach pełno było kobiet i mężczyzn w przeróżnych, wielobarwnych strojach. Po prawej stronie stały kobiety, a mężczyźni po lewej. I tylu samo strażników.

Przepych i kolory raziły w oczy. Kiedy powóz się zatrzymał, rozległ się dźwięk pospiesznych kroków. Ktoś otworzył drzwi. Jakaś kobieta ustawiła stopień, żeby postawić nogę. Meleknaz podniosła się, żeby wysiąść, ale Safiye ją powstrzymała.

– Najpierw ja.

Kobieta zdziwiła się.

– Muszę pomóc ci wysiąść, moja śliczna.

– Nie chcę, żebyś się zachowywała tak, jakbyś była moją służącą. – Na twarzy kobiety pojawił się uśmiech pełen wdzięczności i szczęścia. – I tak ktoś pomoże mi wysiąść.

To była wiadomość dla Emine. Kobieta natychmiast zerwała się z miejsca i wysiadła z powozu.

Po drodze Safiye postanowiła nie spieszyć się podczas wysiadania. Mogła przypuszczać, że ludność pałacu z niecierpliwością wyczekuje chwili, by w końcu ujrzeć tajemniczą piękność, o której imieniu i urodzie od miesięcy szeptano między sobą. Być może było to dziecinne, ale ona chciała jeszcze zwiększyć napięcie. Kto wie, o czym rozmawiali, czekając na nią.

Ciekawe, jak wygląda ta dziewczyna o imieniu Safiye, która zepchnęła na bok setki odalisek i sprawiła, że ich padyszach pokochał ją do szaleństwa. Czy naprawdę jest taka piękna, jak mówią? Słońce zazdrości jej włosów? Jej uśmiech rozpuszcza góry lodu i śniegu? Czy jej głos jest tak dźwięczny jak radosny potok spływający po kamieniach?

„Dajcie spokój – z pewnością sprzeciwiali się niektórzy. – Ale przesadzacie. W końcu to tylko człowiek. Ma jak wszyscy parę oczu. Jakie złoto? Jakie słońce? Co to ma być? Wróżka?”. Pewnie słuchający tych słów odpowiadali: „Wróżka, wróżka... Bóg przysłał naszemu padyszachowi wróżkę”.

W końcu wyciągnęła rękę do Emine czekającej na nią na zewnątrz. Najpierw na stopniu pokrytym białym jedwabiem ukazała się mała stopa w czerwonym trzewiku. Na dziedzińcu zamarło. Cztery konie ciągnące powóz, który ją przywiózł, obracały łby, jakby chciały zobaczyć wróżkę.

Safiye wysiadła z powozu, pochylając się niczym delikatny łabędź. Kiedy prostowała się z gracją, biały szyfon ześlizgnął się na szkarłatną narzutkę, którą miała na ramionach. Zebrani na dziedzińcu nie wiedzieli, czy oślepiły ich promienie słońca, które wynurzało się ze swojego domu za wzgórzem, czy blask bijący od włosów dziewczyny mieniących się złotem. Nie mogli oderwać wzroku od jedwabistych włosów Safiye opadających falami aż do bioder. Na dziedzińcu rozległo się westchnienie.

Zrobiła to tak, jakby ćwiczyła tysiąc razy. Wyprostowała ramiona. Lekko pochyliła głowę do przodu. Nieznacznie uniosła spódnicę i wykonała dwa małe kroki.

– Witajcie w domu! Witajcie! – W tłumie rozległ się znajomy, kobiecy głos.

Kobieta zeszła ze schodów, rozkładając ramiona, jakby chciała ją objąć. Była to Dżanfeda. Podpierzynka Dżanfeda, która przez blisko dwa lata za zamkniętymi drzwiami uczyła ją, jak być kobietą, i zdradzała jej sekrety odwodzenia mężczyzny od zmysłów. Nowa zarządczyni Murada.

Stanąwszy przed Safiye, kobieta poprawiła ubranie, po czym pozdrowiła ukłonem nową faworytę sułtana.

– To stało się tak szybko – powiedziała pośpiesznie. – Wybaczcie nam, jeśli dopuściliśmy się jakiegoś zaniedbania. Zrobiliśmy, co w naszej mocy. Staraliśmy się zdążyć. Gdyby czcigodny sułtan dał nam jeszcze jeden dzień... – Wyciągnęła rękę i rzekła: – Chodźcie, moja piękna pani. Pokażę wam wasz dom.

Za nimi weszło do środka wiele innych osób. Wspięły się po schodach na piętro. Wszędzie było białe. Pośród tej bieli Safiye w szkarłatnej, wyszywanej złotą nicią, aksamitnej narzutce, filigranowym pasie ze szczerego złota, szarawarach ze złotożółtego jedwabiu, które połyskiwały przy każdym kroku i ze złotymi włosami, wyglądała jak prawdziwy klejnot.

Słyszała, jak jedna z kobiet westchnęła, kiedy przechodziła przed nią, i powiedziała:

– *Maszallah*, jest niczym łabędź.

Nie umknęło jej też, jak druga stojąca obok wzruszyła ramionami i stwierdziła:

– Tak, na razie tak jest. Łabędź sunący po przejrzystej wodzie. Miejmy nadzieję, że nie zmieni się w czarnego łabędzia pośrodku morza krwi.

Była tak szczęśliwa, że zupełnie się tym nie przejęła.

Niech mówią, co chcą, niech myślą, co chcą, niech planują zdrady, próbują zastawiać pułapki. Nie pozwoli, żeby cokolwiek zmąciło tę wspaniałą chwilę, którą właśnie przeżywała. To właśnie są potęga i władza. „Lubisz czy nie lubisz, jakie to ma znaczenie”, przeszło jej przez myśl. Przepych. Władza! Zdobyła to i teraz już nikt jej tego nie odbierze.

Kiedy weszły po schodach, ujrzały po lewej stronie osiem kobiet, wszystkie odziane w biel. Nagle zwróciła uwagę na parę przyglądających się jej czarnych oczu wysokiej kobiety stojącej z przodu. Wpatrywały się w nią setki osób, a kobieta była jedną z nich, jednak z jakiegoś powodu to spojrzenie czarnych oczu wywoływało jej niepokój. Kiedy obróciła głowę w prawą stronę, gdzie powinna znajdować się Meleknaz, zauważyła, że kobiety tam nie ma. Chwyciła Dżanfede za nadgarstek i coś jej powiedziała. Miała wrażenie, że na twarzy Meleknaz malował się karcący wyraz. Dżanfeda zaś chyliła się bezradnie. Wciąż spoczywało na niej natrętne spojrzenie czarnych oczu kobiety. Nie było w nich ani krztyny sympatii, ciepła czy skromności służącej. Wręcz przeciwnie, dostrzegła w nich wyzwanie. Dziewczyna patrzyła na nią z zawiścią, a nawet wrogością.

Nagle Safiye podjęła decyzję. Bez wahania ruszyła w stronę kobiet odzianych w biel. Dostrzegła panikę na twarzach Dżanfedy i Meleknaz. „Co się dzieje? – zastanawiała się. – Dlaczego się tak zaniepokoiły?”

Zatrzymała się na wprost dziewczyny. Stała teraz przed nią przyszła sułtanka. Czy nie powinna pozdrowić jej ukłonem? Nie zrobiła tego. Kobieta jedynie ledwo dostrzegalnie skinęła głową. Jej spojrzenie zaś wcale się nie zmieniło.

Dżanfeda natychmiast wskoczyła przed nią.

– To wasze damy dworu – wyjaśniła.

– Później poznacie każdą z nich – dodała Meleknaz, próbując ją zabrać.

– Dlaczego mamy zostawiać to na później? Skoro od teraz będziemy razem, poznajmy się jak najszybciej.

Safiye zmusiła się, żeby wywołać na twarzy uśmiech. Jednocześnie zauważyła, jak Meleknaz odciąga Dżanfede na bok.

– Co ona tu robi? – usłyszała szept.

– Sułtan rozkazał, Meleknaz. Co miała zrobić Dżanfeda?

Safiye wbiła wzrok w kobietę, przybierając najserdeczniejszy wyraz twarzy, żeby ukryć zdumienie.

– Skoro stoicie na przedzie, zaczniemy od was.

Kobieta znów odpowiedziała jej nienawistnym spojrzeniem.

– Jak macie na imię?

– Mam na imię Bihter. – W głosie kobiety nie było nawet cienia szacunku.

Kobieta spostrzegła, że jej imię nic nie mówi Safiye.

– Jesteśmy matką małego księcia naszego pana – Mahmuda.

Słowa kobiety chłósnęły duszę Safiye niczym bicz.

Co?!

Z całych sił starała się zapanować nad rosnącym w niej gniewem. Jako jedną z dam dworu dał jej kobietę, z którą dzielił łożę? Do tego matkę jednego z jego bękartów?!

Wyraźnie dostrzegła płomień w oczach kobiety. „Znaj swoje miejsce! – mówił jej wzrok. – Ja byłam przed tobą. I znów tu jestem. Co więcej, jestem matką jego syna”.

„Maska! – W głowie Safiye rozległ się krzyk. – Jesteś Wenecjanką. Jesteś przyzwyczajona do ukrywania uczuć pod maską. Natychmiast załóż tę przeklętą maskę obojętności”.

– Doprawdy? – Miała nadzieję, że jej głos zabrzmiał równie sucho co głos Bihter.

– Ile lat ma... ten Mah... Powiedziałyście, że jak ma na imię?

– Mahmud – syknęła Bihter. – Książę Mahmud. Dopiero półtora miesiąca.

– Jest bardzo mały. – Wydęła wargi. – Nie będzie wam ciężko zajmować się dzieckiem i nam służyć?

– Sułtan uznał to za stosowne.

Powiało chłodem. Twarze dam dworu czekających na swoją kolej pobladły. To było jawne wyzwanie.

– Mężczyźni nie znają się na tych sprawach. Przekonamy się, czy i my uznamy to za stosowne.

Safiye porzuciła maskę obojętności i zamieniła się w bogatą, wyrozumiałą, interesującą się służbą panią.

– Matka nie powinna być z dala od dziecka. Nie martwcie się, dziecko... – Wykonała gest, jakby próbowała sobie coś przypomnieć. – To dopiero! Nie mogę zapamiętać tych osmańskich imion.

Bihter spojrzała na nią wyzywająco i już zamierzała coś powiedzieć, kiedy Safiye uciszyła ją ruchem dłoni.

– Poczekaście. Tylko mi nie mówcie. Muszę sobie przypomnieć. Jak to było? Ha! Pamiętam. Najlepiej będzie, jeśli zapewnię wam powrót do Mah... muda.

– Książę Mahmud jest z mamką...

Safiye udała, że jej nie słyszała. Podeszła do damy dworu stojącej obok Bihter.

– Sevilcan. – Dziewczyna pokłoniła się z szacunkiem.

– Dziękuję. Jesteście bardzo piękne, a do tego bardzo młode. – Wskazała wzrokiem Bihter. – Musi być wiele rzeczy, jakich nauczycie się od takich dojrzałych kobiet. Dobrze, że zabrałam ze sobą Seher i Kamer. One też są równie młode i piękne jak wy. Zostaniecie przyjaciółkami. Prawda?

Podczas gdy Sevilcan z wdzięcznością popatrzyła na tę piękną dziewczynę, która jak słyszała, miała zostać żoną padyszacha, Safiye przeszła już do następnej damy dworu.

Dżanfeda, która została nieco z tyłu, dyskretnie spojrzała na Bihter. W oczach kobiety, którą jeszcze noc wcześniej sułtan wezwał do swojej alkowy, dostrzegła zazdrość i wrogość. Wzrok Bihter przeszywał Safiye jak sztylet.

– Biada nam – szepnęła Dżanfeda do Meleknaz. – Zaczęła się wojna.

Meleknaz uśmiechnęła się.

– Nie widziałas wojny, Podpierzynko. Jeszcze poczekaj.

– Kim jest ta kobieta? – zapytała Safiye, kiedy zostały same w komnacie. – Co nierządnic Murada robi u mojego boku?

Meleknaz nie potrafiła znaleźć słów.

– Wezwij do mnie Emine, ciociu Meleknaz – powiedziała, wycierając wierzchem dłoni łzy wściekłości.

Po chwili kobieta stała przed nią.

– Widziałas to, co wydarzyło się przy schodach, Emine?

Skinęła głową.

– Słyszałaś naszą rozmowę?

– Słyszałam.

– Wspaniale... W takim razie pospiesz się. Niech twoja pani też ją usłyszy.

Nagle policzki Emine zapłonęły. Zatem dziewczyna domyśliła się, że jej obowiązkiem było przekazywanie wiadomości sułtance *valide* wszystkiego, co się tu dzieje. Powoli uniosła głowę. Ich spojrzenia się spotkały.

Emine po raz pierwszy pozwoliła, żeby tak długo patrzono jej w oczy. W oczach tych kryły się wstyd i bezradność. Jakby mówiła: „Co mogę zrobić? Jestem niewolnicą. Los nie obszedł się ze mną tak łaskawie jak z tobą. Jednak przy sułtance matce czuję się spokojna i bezpieczna. Trwałość tego zależy od mojej wiernej służby. Wybacz mi”.

Safiye, czytając w oczach kobiety, poczuła ukłucie w sercu. Próbowwała delikatnie się uśmiechnąć.

– Nie smuć się, Ewdoksijo – odezwała się cicho. – Wykonuj zadanie, które powierzyła ci twoja pani. Mimo to możemy być przyjaciółkami.

Twarz Emine po raz pierwszy się rozjaśniła. Tym razem patrzyła na nią z wdzięcznością.

– Czy sułtan przybędzie wieczorem? – zapytała Meleknaz, kiedy kobieta wychodziła.

Pierwsza dama dworu sułtanki matki zachichotała.

– Być może już przybył, moja piękna.

Ale tak się nie stało. Sułtana Murada nigdzie nie było widać.

Tej nocy Safiye nie mogła spać, ogarnięta straszliwymi przecuciami.

A jeśli Murad porzucił zamiar poślubienia jej?

A jeśli z własnej woli wpadła w pułapkę?

A jeśli, jak mówiła Nurbanu, popełniła błąd, zawierając słowom?

A jeśli padyszach spędza noc w łóżku matki swojego syna? Jak on miał na imię?
A zresztą, jakie to ma znaczenie?

A jeśli Bihter oplata się właśnie wokół ciała Murada niczym trujący bluszcz i śmiejąc się, drwi: „Jakże głupia jest ta twoja Wenecjanka”?

A jeśli Murad śmieje się, pochylając się nad piersiami kobiety, mówiąc: „Cicho, cicho... Ja też nie spodziewałem się, że może być tak głupia”?

A jeśli to wszystko nieprawda, jednak padyszach, nawet jeśli zmieni religię, nie

dostanie pozwolenia na poślubienie jej? A jeśli wstyd nie pozwoli mu przyjść?

Zanim promienie słońca zdążyły wpaść przez okno komnaty, Safiye zawołała cicho:

– Seher... Kamer...

Obie natychmiast przybiegły.

– Powiedzcie, żeby przygotowano mojego konia.

Seher i Kamer popatrzyły na siebie.

– Jeszcze nie sprowadzono waszego konia, pani.

– Nie obchodzi mnie to! – wrzasnęła Safiye. – Niech przyprowadzą Apollona!

Kiedy wyjrzę przez to okno, chcę go zobaczyć. W przeciwnym razie zrównam z ziemią ten Pawilon Nadmorski. Tak im powiedzcie!

Pojawiła się zaniepokojona Meleknaz.

– Po co ci koń o tej porze? Wyruszysz na polowanie? – Miała nadzieję, że żart załagodzi atmosferę. Jednak na nic się to nie zdało. Safiye błyskawicznie obróciła głowę i spojrzała na nią. Meleknaz po raz pierwszy się jej przestraszyła.

– Tak – wydyszała Safiye. Jej pierś podnosiła się i opadała niczym miech kowalski.

– *Wyruszę na polowanie na sultana!*

XXXVIII

Aż do popołudnia w Pawilonie Nadmorskim szalały wichry i burze. Damy dworu rozpięzły się po kątach niczym małe kuropatwy ze strachu przed gniewem Safiye. Seher i Kamer też się gdzieś ukryły i czekały, aż jej złość minie. Safiye co chwila zerknęła w okno wychodzące na dziedziniec, sprawdzając, czy przyprowadzono jej konia. Gdy go nie zobaczyła, wybuchała nowa burza.

– Gdzie jest Apollon, Seher? Idź i sprawdź.

Dziewczęta nie wiedziały, który to już raz od rana padł ten sam rozkaz. Za kogo uważała się ta dziewczyna? Sądziła, że na jej słowo góry będą się kłaniać? Mieli sprowadzić konia ze stajni pałacu w Balat bez wiedzy i pozwolenia sułtana, bez zgody sułtanki matki, ponieważ Safiye miała taki kaprys?

Safiye nawet nie sięgnęła do tacy pełnej przeróżnych dań, którą postawiono przed nią w południe. Nie wypita też sorbetu z orzechami laskowymi, który tak uwielbiała. Na nic się zdały błagania Meleknaz, Emine, Seher i Kamer. Nie mówiła nic oprócz: „Mają tu przeprowadzić mojego konia, ciociu Meleknaz. Skoro Safiye jest tu, dlaczego Apollon został tam? Koń jest tam, gdzie jego właściciel. Tak jest w Wenecji. Czy w Imperium Osmańskim jest inaczej? Kto to widział, żeby koń i jego właściciel byli osobno?”

Dziewczęta kiwały głowami, przyznając jej rację. Mówiły: „Przesłałyśmy wiadomość, niedługo go przyprowadzą”. Wszelkimi sposobami próbowały ją przekonać, ale nie były w stanie uciszyć burzy.

Po południu Safiye zaczęła zaglądać do wszystkich izb. Meleknaz domyśliła się, że czegoś szuka. „No nie – westchnęła w duchu. – Prawdziwa awantura wybuchnie za chwilę”. Sprawdziła każdą izbę. Zeszła na parter. Nie było miejsca, do którego by nie zajrzała. W końcu wspięła się po marmurowych schodach i wróciła na górę.

– Przyprowadźcie damy dworu do mojej komnaty! – rozkazała. – Wszystkie!

Emine ze strachem spojrzała na Meleknaz, jakby chciała zapytać: „Co teraz zrobimy?”. Kobieta wzruszyła ramionami.

– Znajdziemy jakieś rozwiązanie i czymś ją zajmiemy. Może zabierzemy ją na wybrzeże...

– Nie mów głupstw. Niedaleko pada jabłko od jabłoni. Takie już są Baffo. Ilekroć moja pani wpada w gniew, też rozpętuje się taka burza, że hej! Ona też wdała się w Nurbanu.

Pięć minut później damy dworu stanęły przed Safiye. Z jednym wyjątkiem. Safiye przeszła przed nimi to w jedną, to w drugą stronę. Dziewczęta znów miały na sobie białe stroje i białe nakrycia głowy.

– Po pierwsze – zaczęła – koniec ubierania się na biało. Jeśli ktoś zobaczy was tak w nocy, umrze ze strachu przekonany, że spotkał ducha.

Dziewczęta wymruczały coś, nie unosząc głów, ale Safiye zupełnie to nie obchodziło. Splotła ręce za plecami i ciągnęła:

– Macie być ubrane barwnie. Ja uwielbiam kolor złoty. Do złotego bardzo pasuje czerwień. Zgodzę się też na czerwień i biel, ale jeśli jeszcze raz zobaczę którąś snującą się jak zjawa...

Safiye jeszcze kilka razy przeszła przed dziewczętami, a potem nagle się zatrzymała.

– Tyle was jest?

Nikt się nie odezwał.

– Powiedźcie. Jesteście tu wszystkie?

Ponownie odpowiedziała jej cisza.

– Kogoś brakuje. Kogo?

Wiedziała, kogo brakuje, ale czerpała dziwną przyjemność, odczuwając narastający w niej gniew. Zatrzymała się przy pierwszej dziewczynie.

– Kto jest waszą przełożoną? A raczej kto jest za was odpowiedzialny?

– Dżanfeda Kalfa.

– Wezwijcie ją. Niech tu przyjdzie.

Dziewczyna miotła się bezradnie.

– Co się stało? Zażądałyśmy czegoś aż tak trudnego? Biegnij i wezwij ją. Niech tu przyjdzie. To wszystko.

– Zarządczyni jest w komnatach sułtańskich.

Safiye zawahała się.

– Nie obchodzi mnie, gdzie jest. Niech natychmiast tu przyjdzie. Niech się wytłumaczy.

Przybycie do pawilonu zajęło Dżanfeditę przynajmniej godzinę. Kiedy stanęła przed Safiye, była mokra od potu.

– Brakuje jednej z moich dam dworu, kalfu.

Kobieta była bliska omdlenia. Próbowwała coś powiedzieć, ale zabrakło jej oddechu. Jej usta otworzyły się i zamknęły, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

– Mów, Dżandefo. Wiesz, kogo brakuje. Czy dama dworu może zniknąć bez wiedzy swojej pani? Żądam wyjaśnień. Znajdź tę kobietę i natychmiast ją tu przyprowadź.

Kobieta w duchu przeklinała swój los, ale nagle zaczęła się pocieszać: „Czego się boisz? Poczekaj, dziecko – pomyślała. – Nie można być sułtanką, nawet nie zobaczywszy sułtańskiego łóża. Zwolnij trochę. Po co się tak wydzierasz?”.

– Obawiam się, że to w tej chwili niemożliwe, dziecko.

Ponieważ dodała sobie nieco otuchy, jej głos zabrzmiał pewniej, ale na widok iskier tryskających z oczu dziewczyny Dżanfeditę ponownie przeszył dreszcz.

– Nie rozumiałam. Co powiedziałaś?

– Nie mogę jej teraz wezwać.

Głos kobiety znów zmienił się w szept. Jej pewność siebie nie trwała długo. Ponownie bojaźliwie wpatrywała się w ziemię.

– A to dlaczego? Czy nasza dama dworu nie powinna przybyć, jeśli ją wezwiemy? Gdzie ona jest?

Obie miały wrażenie, że cisza, która teraz nastąpiła, nigdy się nie skończy.

Po chwili zarządczyni mruknęła z ociąganiem:

– W pałacu.

– Co?!

„Strzała wystrzeliła z łuku – pomyślała Dżanfeda, żeby się uspokoić. – Nikogo nie

można wezwać z pałacu bez pozwolenia sultana”.

W tej chwili serce Safiye ściał lód. Czuła, że nawet krew zamarza jej w żyłach. W pałacu? Co to miało znaczyć? Czy w języku pałacu oznaczało to, że jest w alkowie sultana? Czy zatem Bihter jest w łożu sultana? Kiedy przed oczami stanął jej obraz twarzy kobiety z wyrazem zadufania w sobie, które pojawiło się, kiedy mówiła: „Jesteśmy matką księcia Mahmuda”, jej gniew stał się niemożliwy do opanowania.

„*To koniec* – powiedziała do siebie, wstając. – Obudziłam się ze snu. Sen się skończył, a zaczął się koszmar”.

Teraz mogła zrobić tylko jedno. Odejść. Natychmiast. Musiała odejść dokądkolwiek. Jeśli trzeba, to na cmentarz, jeśli trzeba, to do piekła.

W tej samej chwili na dziedzińcu rozległo się zamieszanie. Poznała radosny, pełen wigoru stukot końskich kopyt na kamieniu.

– Apollon!

W dwóch krokach dopadła do okna. Zobaczyła go przez kratę. Zwierzę jakby wyczuwało obecność Safiye i zniecierpliwione próbowało stawać dęba. Pięciu stajennych z trudem je utrzymywało. Był tam jeszcze jeden koń, wspaniały siwy koń. Koń, którego grzywa i ogon raziły w oczy. Ciekawe, do kogo należał. „A co mnie to obchodzi? – pomyślała. – Czyjkolwiek jest, Jezus ukazał swój cud. Wysłał mi konia, żebym stąd uciekła”.

– Idę! – zawołała przez okno, jakby Apollon mógł ją usłyszeć. – Idę! Poczekaj!

Wyleciała z komnaty niczym wiatr. Kiedy zbiegała po schodach, Meleknaz odezwała się za nią po włosku:

– Sophio Baffo, co ty wyprawiasz?

– *Biegnę ku mojej wolności, Gabriello.*

Podążające za nią damy dworu i służący próbowali zastąpić jej drogę.

– Niech nikt nie próbuje mnie zatrzymać!

Zeszła na parter i skierowała się do drzwi. Zobaczyła czerwieniejące promienie zachodzącego słońca. „Światło wolności! – zawołała w duchu. – Skończyło się. Skończyło. Teraz jestem wolna. Apollon jest o kilka kroków ode mnie”.

Kiedy wskoczy na grzbiet Apollona, nikt jej już nie powstrzyma. Pojedzie tam, gdzie poniesie ją koń. Może uda jej się odnaleźć dom ambasadora Wenecji, o którym wspominała Nurbanu. Może potajemnie ją stąd wywiozą. Może...

Już miała wyskoczyć przez drzwi, kiedy z kimś się zderzyła.

Gdyby mężczyzna mocno jej nie objął, o mały włos upadliby oboje od siły uderzenia.

– Puść mnie, przeklęty kmiotku! Za kogo ty się uważasz?!

– Wróżko...

Przez to, że próbowała się oswobodzić z silnych ramion mężczyzny, które obejmowały ją w talii, niczego nie widziała.

– Puść! Puść! Puść!

Wciąż nie mogąc wydostać się z uścisku, małymi pięściami zaczęła uderzać w tors mężczyzny, który ją złapał.

Wszyscy, którzy znajdowali się w pobliżu, osłupieli. Odwracali głowy, żeby nie

być świadkami tej sceny. Nikt nie ważył się odciągnąć tej szalonej dziewczyny.

– Moja duszo... Moje słońce... Moja gwiazdo zaranna...

Safiye miała wrażenie, że głos dochodzi z bardzo daleka.

– Moja różo... Moja jedyna... Uspokój się, proszę... Co się stało?

Grad pięści spadających na pierś mężczyzny zwolnił, a po chwili zupełnie ustał. Ogień w oczach Safiye jakby przygasł. To też musiała być część snu. Wciąż pozostając w objęciach mężczyzny, dostrzegła Apollona, który machając łbem, czekał na spotkanie z nią... I drugiego wspaniałego siwego konia... Przestała się miotać. Była wyczerpana. Ciężkim ruchem uniosła głowę i go ujrzała. Dobry Boże!

– Murad Chan!

Była w objęciach mężczyzny, do którego chciała należeć, a od którego równie mocno pragnęła się uwolnić. W objęciach sułtana Murada. Padyszach wpatrywał się w nią z niezwykle spokojnym uśmiechem. Jego szybko poruszające się nozdrza zdradzały, jak wielką przyjemność sprawia mu trzymanie jej w ramionach.

– Wasza Wysokość.

Wypowiedziała te słowa głosem zimnym jak lód i uwolniła się z uścisku padyszacha.

– Czego tu szukacie?

„Boże, co za głupie pytanie!”, rozgniewała się na siebie. To miejsce było jego domem. Jednym z jego domów. Raczej czego ona tutaj szukała.

– Powiedziano nam, że moja piękna wróżka pragnie swojego konia. My zaś właśnie się do ciebie wybieraliśmy. Chcieliśmy ci go sami przyprowadzić. Jednak byliśmy zmuszeni czekać, żeby sprowadzono go z pałacu naszej matki.

„*Kłamca* – mruknęła w duchu. – Spójrz na tę miłość w jego oczach, szczerą postawę. Ktoś mógłby pomyśleć, że naprawdę kocha mnie do szaleństwa. Zamknął mnie tutaj dzięki tysiącu kłamstw i sztuczek”.

– Dobrze. – Minęła Murada i pokonując po kilka schodów naraz, zeszła na dziedziniec, na którym czekał na nią Apollon.

Padyszach podążył za nią, ale Safiye pośpiesznie musnęła konia po szyi i jednym susem wskoczyła na jego grzbiet. Służący wypełniający dziedziniec Pawilonu Nadmorskiego ponownie nie mogli wyjść ze zdumienia. Wszyscy byli pod wrażeniem tego, jak dziewczyna wskoczyła na konia. Nie pozostawiając sposobności, żeby ją powstrzymać, Safiye po raz pierwszy wbiła małe pięty w boki zwierzęcia.

– *Avanti!*³¹ Dalej, zabierz mnie stąd!

Apollon z rzeniem podniósł się na tylnych nogach i prędko wyrwał do przodu, jakby zrozumiał, że jego właścicielka chce jak najszybciej stamtąd uciec.

– Safiye, stój! Poczekaj!

Jednak było oczywiste, że dziewczyna nie poczeka. Sułtan Murad pośpiesznie włożył nogę w strzemień, a drugą przerzucił przez grzbiet swojego wierzchowca.

– Leć! – rozkazał. – Złap moją wróżkę!

Sułtański koń wyrwał z kopyta i ruszył za gniadym rumakiem, którego grzywa i złote włosy amazonki tańczyły na wietrze.

Przez dwa wieki Nowy Pałac nie widział tak szaleńczej gonitwy. Nic takiego nie

wydarzyło się ani za czasów sułtana Zdobywcy, ani Bajazyda, ani Selima Groźnego, ani Sulejmana Chana, ani nawet Żółtego Selima rozkochanego w rozkoszach życia. Nikt też nie sądził, że coś takiego w ogóle może się wydarzyć.

Gwardziści, janczarzy, spahisi, uczniowie Enderunu, którzy zmierzali na wybrzeże, żeby obejrzyć zachód słońca, gawędząc o lekcjach, które odbyły się tego dnia, zobaczyli, że jakaś dziewczyna uciekała konno, a chan chanów sułtan Murad ją gonił. Wprawdzie słyszeli, że padyszach w sułtańskiej łaźni ugania się za odaliskami, ale czegoś takiego nie potrafili sobie nawet wyobrazić. Jednak to właśnie się działo. Służący byli tak zaskoczeni, że nie wiedzieli, co powinni zrobić w tej sytuacji.

Wszyscy patrzyli na siebie. Staliby tak dłużej, gdyby Sinan Pasza, który po wieczornym Dywanie usunął się na bok i drzemał, nie zjawił się na zewnątrz rozgniewany dokuczliwym hałasem. Pasza miał zamiar zawołać: „Co to za zuchwalec ośmiela się mącić spokój naszego sułtana?!”. Jednak na widok pary jeźdźców, którzy niczym błyskawica wypadli z zagajnika i zmierzali ku zbocz, on również stanął oniemiały. Najpierw nie mógł uwierzyć własnym oczom. „Padyszach ściga konno dziewczynę?”, zapytał siebie.

Na to wyglądało. „Skoro dziewczyna ucieka, a padyszach ją goni – pomyślał natychmiast – musi być tego jakaś przyczyna. Poza tym padyszach powinien odnieść zwycięstwo. Murad Chan musi złapać uciekinierkę. Musi zostać złapana”.

– Co tak stoicie?! – ryknął. – Pokażcie jej, co znaczy uciekać przed sułtanem!

Wszyscy ruszyli do działania, jak gdyby tylko czekali na ten rozkaz. Próbowali przeciąć drogę Apollona, krzycząc i wymachując rękami.

Gniady rumak najpierw nie wiedział, dokąd zmierza, ale nie zwalniając, usiłował wyratować z tego kręgu złotowłosą dziewczynę, którą wioził na grzbiecie. Jednak odgłos końskich kopyt dochodzący z tyłu i zbiorowisko ludzi krzyczących i wychodzących mu na drogę sprawił, że stracił pewność.

Safiye poczuła, że zwierzę zaczyna zwalniać, więc ponownie wbiła mu piętę w brzuch. Uderzyła konia po grzbiecie.

– *Avanti, avanti*, Apollonie! *Avanti!*

Zwierzę znów wyrwało do przodu. Jednak kiedy piana z pyska zaczęła zatykać mu nozdrza, było mu coraz trudniej. Z drugiego dziedzińca zmierzało na niego czterech jeźdźców. Koń skręcił w prawo i pobiegł w dół zbocza w kierunku morza. Siwy koń wciąż mknął za nim.

– Safiye! Ukochana!

Nie słuchała go ani Safiye, ani Apollon, ale w końcu nie mieli dokąd uciec. Drogę gniadosza zastąpiło morze. Stanął dęba, rżąc doniośle. Najpierw jakby zamierzał rzucić się w wodę. Uderzył kopytami o spienione fale rozbijające się o brzeg. Podczas gdy Safiye ściągała koński łeb to w prawo, to w lewo, dogonił ich siwy wierzchowiec. Sułtan Murad szybko przerzucił nogę, ześlizgnął się z grzbietu zwierzęcia i pobiegł w ich stronę. Chwycił wodze Apollona.

– Prrr! Prrrrr!

Pogłaskał konia po czole, próbując go uspokoić.

– Safiye – szepnął, patrząc z dołu na piękną twarz dziewczyny ściągniętą gniewem

– co ty robisz?

– Uciekam przed tobą, Wasza Wysokość!

Jej głos przeciął powietrze jak bicz. Padyszach jedną ręką mocno ścisnął końską uzdę, a drugą głaskał brzuch zwierzęcia.

– Ale dlaczego? Co uczyniliśmy naszej wróżce?

Czterej jeźdźcy, którzy dotarli na miejsce, widząc, że padyszach rozmawia z dziewczyną, rozłożyli ramiona, nie pozwalając, żeby podążający za nimi nadto się zbliżyli. Najwyraźniej sułtan i ta szalona dziewczyna mieli sobie dużo do powiedzenia.

– Przestańcie już, Wasza Wysokość – syknęła Safiye, pochylając się nad Muradem z końskiego grzbietu. – Żadnej wróżki, żadnej gwiazdy zarannej... Porzućcie już te słowa.

– Ale dlaczego?

– Dlatego, że to wszystko kłamstwa.

– Kłamstwa?

– Kłamstwa. Okłamaliście mnie. Okłamaliście mnie tylko po to, żeby pięknymi słowami zapędzić mnie w tę pułapkę... Później zaś...

Ze złości jej głos był ostry jak nóż.

– Później? – nalegał Murad. – Co uczyniliśmy później, piękna wróżko?

– Pośpieszyliście do łóża waszej faworyty... Tej... Tej... Do diabła, jak ona ma na imię? Matki waszego syna...

Twarz padyszacha na chwilę jakby spochmurniała. „Głupia kobieta – mruknął w duchu. – Nie udało mi się jej przetłumaczyć, żeby trzymała buzię na kłódkę, żebym mógł ją przy sobie zatrzymać. A może to Dżanfeda? Ech, nieważne – usiłował się uspokoić. – Stało się”.

– Bihter?

– Ha! Tak ma na imię, prawda? Nie zapomnieliście... Oczywiście, jak moglibyście zapomnieć imię kobiety, z którą jeszcze wczoraj dzieliliście łóżę, czyż nie?

Sułtan Murad próbował się uśmiechnąć, ale wiedział, że mu się to nie udało.

– A teraz puśćcie mnie, Wasza Wysokość – rzekła Safiye, prostując się na końskim grzbiecie. – Jeśli macie choć odrobinę litości, pozwólcie mi odejść.

– Dokąd?

– Tam, gdzie powiedzie mnie los.

Murad wypuścił uzdę spokojnego już Apollona i ruszył w stronę czekającego zbiorowiska. Gwardziści, widząc zmierzającego w ich kierunku padyszacha, natychmiast usunęli się na bok.

– Jednak gwiazda zaranna musi natychmiast wracać do Pawilonu Nadmorskiego. Nie mamy zbyt wiele czasu.

Safiye wiedziała, że została złapana. Nie było już ratunku. Zbliżały się do niej strażnicy Murada. Stąd mogła się udać w tylko jedno miejsce – na dziedziniec odalisek! *Czyli do piekła.*

Mimo to nie zamierzała się poddawać.

– A to dlaczego? Po co mam jechać do pałacu, do pawilonu?

– Odwiedzi cię wiele osób – odparł Murad spokojnie. – Krawcowe, złotnicy, później hodza. Spotkasz się też z szejkiem islamu Hamidem Mahmudem Efendim.

– Nie chcę żadnych krawcowych. Klejnotów też nie. Obejdzie się... – Nagle zamilkła. – Powiedzieliście „hodża”? Hodża Efendi?

– Tak.

Przygryzła wargi, żeby nie okazać ogarniającej ją radości.

– Dlaczego? Na co mi są teraz potrzebni?

– Pytasz „dlaczego”, ukochana? Czy nie powiedziałaś, że zwrócisz się ku półksiężycowi? Tego wieczoru kobiety hodże wskażą ci drogi przejścia na islam, a hodża efendi wkrótce zapyta cię, czy twoja decyzja jest ostateczna. Jeśli się zdecydujesz, w piątek zostaniesz moją żoną. Do tego czasu nie mamy nawet tygodnia.

Safiye otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale nie mogła. „Tak niedługo?”, myślała tylko. Poczowała, że robi jej się ciemno przed oczami. Nie zauważyła nawet, że nagle jej ciało stało się wiotkie. Zsunęła się z końskiego grzbietu i wpadła w ramiona dam dworu, które podbiegły do niej w ostatniej chwili.

XXXIX

Tego samego dnia, którego ludność pałacu była świadkiem zapierającej dech w piersiach gonitwy w ogrodzie Nowego Pałacu, ogłoszono, że sułtan Murad zje wieczerzę w Pawilonie Nadmorskim razem z Safiye.

Na wieść o tym damy dworu, które przyniosły Safiye do jej komnaty, nie wiedziały, czy się cieszyć, czy obawiać.

– Dlaczego? – zapytała Emine, która nacierała jej nadgarstki i skronie wodą różaną.
– Niech idzie do Bihter.

Emine bezradnie spojrzała na Meleknaz. Najwyraźniej bała się, że Safiye znów poważy się na coś szalonego.

– Ach, nieposkromiona dziewczyno, padyszach ma się ciebie pytać, gdzie zjeść posiłek?

Safiye burknęła coś niezrozumiale i zamilkła. Jej oczy zdradzały, że nad czymś rozmyśla. „Niech nam Bóg dopomoże – pomyślała Meleknaz. – Nasza dziewczynka znów narozrabia”.

– Dobrze. – Safiye uwolniła rękę z dłoni Emine i podniosła się z miejsca. – Jak chce. Niech usiądzie sobie sam i zje.

Ruszyła w stronę okna.

– Oczywiście, jeśli zechce, niech weźmie też ze sobą swojego syna. – Znowu nie mogła sobie przypomnieć jego imienia. – I jego matkę. Co komu do tego?

Emine i Meleknaz popatrzyły na siebie bez słowa. Emine zabrała karafkę z wodą różaną i małą srebrną miskę, po czym wyszła.

– Opamiętaj się, dziewczyno.

Safiye zdziwiła się. Nie była przyzwyczajona słyszeć u Meleknaz tak srogi ton.

– Nie zrozumiałam. Mówiłaś coś, Gabriello?

– Powiedziałam: „Opamiętaj się, dziewczyno”. Poza tym przestań już mówić po włosku i nazywać mnie Gabriellą, ilekroć wpadniesz w złość.

– Ciociu...

– Ciociu, ciociu, ciociu... Czego chcesz? Porzuć już tę dziecinadę. To ziemie Osmanów. Ci ludzie są dobrzy, mili, cierpliwi, jednak nie lubią zuchwałości i grymasów. Oni też mają coś do powiedzenia. Mawiają, że zbytnia kapryśność zniechęca miłość. Pamiętaj.

– Nie jestem kapryśna. – Jej głos zdradzał, że poczuła się dotknięta. – Grymaśna też nie jestem.

– W takim razie czego ty właściwie chcesz? To potomek Osmana, Safiye. Władca trzech kontynentów. Na jeden jego rozkaz upadają państwa, twierdze, a wielkie armie przestają istnieć. Mężczyzna kocha cię do szaleństwa, a ty co robisz?

– Co takiego zrobiłam?

– A co jeszcze miałabyś zrobić? Wskoczyłaś na konia i próbowałaś uciec. Wielki padyszach ruszył za tobą, żeby cię złapać. Czy to do pomyślenia? A gdyby, nie daj Boże, jego koń się potknął, a sułtan spadłby i się zranił lub, Boże uchroni, umarł, to co byś zrobiła?

– Czy ja kazałam mu za sobą jechać, ciociu Meleknaz? Nie musiał mnie ścigać.

– Mówię, co wiem, Safiye. Kobieta powinna umieć być kochaną, zadowalać się tym, co ma. Szczególnie w Imperium Osmańskim... A przede wszystkim w pałacu. Padyszach cię kocha. Sułtan odprawił wszystkie odaliski ze Starego Pałacu. Pozbył się wszystkich dziewcząt i dzieci. Dlaczego? Żeby cię poślubić. Ten mężczyzna nie powącha innej róży niż ty. Nie rozumiesz tego? Czego jeszcze chcesz, szalona Wenecjanko?

– A tamta?

– Która „tamta”?

Safiye utkwiała w niej wzrok.

– Nie udawaj, ciociu. Nie wiesz? Tamta kobieta... Do tego przysłał mi jako damę dworu kobietę, z którą dzielił łożę. Czy nie powinnam czuć się znieważona? Mówisz, że odesłał wszystkie odaliski, a ona to co? To znaczy, że nie może rozstać się z tą nierządnicą. Chce ją mieć przy sobie. Powiedz, co to za miłość, co to za ślub, jeśli ta kobieta ma mieszkać razem ze mną? Wyjdzie z mojego łoża i pójdzie do niej? A może odwrotnie? Kiedy przyjdzie do mojego łoża, będę czuła zapach Bihter?

Meleknaz otworzyła szafę i zaczęła przebierać w strojach Safiye. Jej decyzja padła na suknię ze złotego atłasu, z długim trenem.

– Co robisz?

– Wybieram dla ciebie suknię na wieczór.

– Czy nie powiedziałam, że do niego nie pójde? Niech sam zje swój posiłek.

Kobieta przewiesiła suknię przez ramię, podeszła do Safiye i stanęła naprzeciwko niej.

– Masz się natychmiast podnieść. Nie mamy czasu. Najpierw się myjesz. Wciąż cuchniesz koniem. Później się przygotujesz. Pytania, które mi zadałaś, zadasz przy kolacji padyszachowi, który ma zostać twoim mężem.

Safiye, słysząc w głosie kobiety wyzwanie, a nawet drwinę, jakby mówiła: „Skoro to takie proste, zrób to”, spojrzała na nią niezłomnym wzrokiem.

– Co? Oczywiście, że go zapytam. Może sobie być sułtanem. Mam się go bać? W końcu może mi tylko odebrać życie, czyż nie?

– Dobrze, zapytaj.

„Wszystkie Baffo są takie same. Jeśli chcesz je do czegoś zmusić, wystarczy powiedzieć: «Nie zrobisz tego, nie dasz rady»”, zachichotała w duchu. Kątem oka śledziła dziewczynę, gniewnie krążącą przed Emine.

– Ewdoksijo.

– Słucham, pani?

Odkąd Safiye powiedziała: „Wykonuj zadanie, które powierzyła ci twoja pani. Mimo to możemy być przyjaciółkami”, nie było już między nimi napiętej atmosfery. Od tamtej pory zwracała się do kobiety jej prawdziwym imieniem. Widziała, że ją to uszczęśliwia. Jednym zdaniem zburzyła mur i zyskała sojuszniczkę. „Zapamiętaj to dobrze, Safiye – rzekła w duchu. – Umiejętność zjednywania sobie ludzi to połowa zwycięstwa”.

– Gdzie sułtan będzie spożywał posiłek?

Kobieta, zauważywszy w głosie Safiye lekceważący, a nawet drwiący ton,

natychmiast rzuciła spojrzenie Meleknaz. Kiedy kobieta skinęła głową, powiedziała z ociąganiem:

– Poleciał swojemu pokojowcowi, żeby nakryć do stołu w salonie z fontanną.

– Dobrze. Powiedz Seher i Kamer, że zjem kolację na tarasie. Niech odpowiednio do tego poczynią przygotowania.

Kobieta zamierzała coś powiedzieć, ale Safiye uciszyła ją ruchem dłoni.

– Mam jednak do ciebie prośbę, Ewdoksijo. Miej oko na przygotowania. Niech nasz stół będzie bogatszy i wygodniejszy niż sułtana. Każ ustawić niską sofę taką, jaką widziałam w komnacie sułtanki matki tamtego wieczoru, a na niej puchate poduszki i grube materace. – Uśmiechnęła się do kobiety. – Ależ jestem głupia. Po co ja ci to mówię. Wiesz, co będzie najlepsze.

Ewdoksija podziękowała za to pochlebstwo lekkim dygnięciem.

– Jak myślisz, ciociu Meleknaz, ta biała wieża na środku morza pewnie pięknie wygląda nocą, czyż nie?

Meleknaz wydeła usta.

– Wieczory bywają chłodne. Obyś tylko nie zmarzła i nie rozchorowała się, patrząc na wieżę. Powiedziałaś właśnie, że chcesz materace? – zapytała nagle kobieta.

– Tak.

– Czy nie zamierzałaś sama zjeść posiłku? A może to ja źle zrozumiałam?

– Tak. Ale czy to wiadomo? Przekonasz się. Sułtan znudzi się przy fontannie i będzie chciał zobaczyć swoją gwiazdę zaranną.

Podczas gdy Safiye, chichocząc, wyszła z komnaty, Meleknaz i Ewdoksija patrzyły za nią z szeroko otwartymi ze zdumienia oczami.

Po chwili Meleknaz odezwała się rozgorączkowana:

– Pospiesz się. Ta szalona dziewczyna chce, żebyśmy nakryły do stołu dla sułtana.

– Więc padyszach nie rozgniewa się, że pani Safiye nie przyszła do jego stołu, tylko wyjdzie do niej? Wielki padyszach miałby sam do niej przyjść? Czy to możliwe?

– Skoro tyle niemożliwego już się stało, to dlaczego i nie tym razem. Jednak jednego jestem pewna. Jeśli padyszach wyjdzie do Safiye, niech Bóg dopomoże sułtanowi Muradowi.

Z czasem radość zaczęła ustępować miejsca napięciu. Safiye zdała sobie sprawę, że przygryza wargi z ekscytacji. Na szczęście Seher przyniosła wiadomość, że przybyły hodże. Ucieszyła się, że będzie mogła się czymś zająć. Przynajmniej uwolni się od zastanawiania się: „Przyjdzie czy nie przyjdzie?”.

Kobiety były stare, a ich twarze pokryte zmarszczkami, ale wyraz głębokiego spokoju, jaki na nich ujrzała, gdy tylko weszły, poruszył Safiye.

– Mam na imię Fatma – przedstawiła się kobieta, nieco starsza od drugiej. – To jest Şerife.

Safiye poczuła się nieswojo, kiedy kobiety stanęły w progu i pochyliły głowy. Natychmiast wstała i podeszła do nich.

– Wybaczcie, że siedziałyśmy, podczas gdy powinnyśmy się uklonić i okazać szacunek dwóm szacownym paniom, które mogłyby być starszymi siostrami naszej matki.

To pokorne zachowanie wystarczyło, żeby uszczęśliwić uczone kobiety. Ich twarze

pojaśniały.

– Cóż to za słowa, dziecko – natychmiast sprzeciwiła się Şerife. – Komu mamy okazać szacunek, jeśli nie tej, która postanowiła wejść na drogę prawdy, a do tego pozwoliła nam mieć udział w tym dobrym uczynku? Chcemy ci przekazać boskie pozdrowienie. Przyjmij je, dziecko.

Nie zrozumiała większości tego, co powiedziały, ale mimo to zrobiło jej się ciepło na sercu. Z pewnością mówiły piękne słowa.

Ujęła kobiety za ręce i zaprowadziła do sofy.

– Ja nic nie wiem – wyznała szczerze.

– Klejnot jest w sercu człowieka, dziecko – zabrała głos Fatma. – Kiedy dziecko pojawia się w maczynym brzuchu, Wielki Stwórca kreśli na jego sercu i duszy jego imię i wiarę. To, co ważne, to wydobyć to stamtąd. My jedynie pomożemy ci wydobyć klejnot, który masz w sercu.

– Boję się. A jeśli nie będę potrafiła się tego nauczyć?

Şerife ujęła jej dłonie i pogłaskała.

– Nie obawiaj się, dziecko. Nauczysz się. Bóg, który błogosławi tych, którzy wybrali drogę prawdy, daje im też siłę.

Słuchała kobiet uszami duszy. Powtarzała ich ruchy. Próbowwała zapamiętać, co mówią. W końcu ogarnęła ją panika, gdy pomyślała, że niczego się nie nauczyła i wszystko jej się miesza.

Fatma, wychodząc, odczytała strach w oczach dziewczyny i próbowała dodać jej odwagi słodkim uśmiechem.

– Nie obawiaj się, piękna Safiye. Jutro szejik islamu zapyta cię o filary islamu. Powiesz, że jest ich pięć.³² Pięknie je wyliczysz. Recytując szahadę, wyznasz, że nie ma boga prócz Boga, a Mahomet jest Jego prorokiem. Później Pan cię odnajdzie. Wielki Bóg swoją mądrością i światłem oświecili twoją drogę. Nie obawiaj się.

„Gdyby to było takie proste”, pomyślała po wyjściu Fatmy i Şerife. Nauczyła się modlić jak oni. Post też nie stanowił problemu. Ale dusza... Czy dusza uwierzy w to, co wypowiadają usta? To właśnie był ten lęk, którego nie potrafiła się wyzbyć, że stanie się człowiekiem, którego usta mówią jedno, a serce coś innego, że zostanie skazana na męki piekielne.

Miała wrażenie, że zagubiła się w jakimś labiryncie. Każda droga, która miała być wyjściem, okazała się zamknięta. Każde światło, które uważała za ocalenie, było bezkresną ciemnością. Kto wie, co by powiedzieli o niej w Wenecji, gdyby się o tym dowiedzieli. Oczywiście to samo, co kiedyś mówili o jej starszej kuzynce, a może jeszcze coś gorszego.

– Niech pan spojrzy, co to za los, *signore*.

– Kolejna Baffo zaprzedała duszę diabłu na potęgę i władzę.

Podczas niedzielnej mszy kobiety będą się szturchać.

– Czy oni nie są z rodu Baffo? Jakim prawem wciąż przychodzą do kościoła, mając w rodzinie dwie ladacznice, które wyrzekły się swojej religii?

Głosy Seher i Kamer wyrwały ją z zamyślenia.

– Wszystko na tarasie jest gotowe, pani. Życzy sobie pani sprawdzić?

Natychmiast się pozbierała. Cieszyła się, że dziewczęta przyszły.

– Sprawdzimy.

„Który to już raz?”. Odkąd poleciała, żeby nakryć do stołu na tarasie, może dziesięć razy chodziła tam i wydawała nowe rozkazy. Jak trudno było być panią pałacu. Kucharze, damy dworu, paziowie, służące, służący, wszyscy, ale to wszyscy czekali na jej rozkazy. A przy tym było tyle zasad...

Powitał ją wiosenny wiatr znad morza Marmara. Jej włosy jakby tańczyły pod złotym tiulem.

Z drugich drzwi wyszły Meleknaz i Ewdoksija. Obie kobiety podeszły do Safiye, a Seher i Kamer zostały nieco w tyle. W obecności dwóch starszych dam dworu nie uważały za stosowne kręcić się pod nogami.

Na środku rozłożono wielki obrus, na nim ustawiono stojak i dużą, srebrną tacę, żeby Murad zjadł posiłek, gdy przyjdzie. Przed oknem, jak chciała, ustawiono sofę. Służące okryły skrzynie, o które miała oprzeć się Safiye, puchatymi poduszkami i materacami wypełnionymi ptasim pierzem. Był tam też okrągły, niski stolik. Z uwagą umieszczono na nim wazy z sorbetami, kielichy i kryształowe szklanki. Służący, który przyniósł naczynie wypełnione ściśniętym śniegiem, usiłował znaleźć na nie miejsce, jednocześnie zaś utyskiwał pod nosem:

– Jaki będzie z tego pożytek, jeśli nie zostaną do niego wstawione wazy z sorbetem.

– Zabierzcie to teraz – wtrąciła się Safiye. – Jeśli je tu zostawicie, rozpuści się.

Niech pozostanie w chłodzie. Przyniesiecie je, kiedy powiem.

Służący delikatnie pokłonił się i wyszedł.

Na tacy, dokładnie przed materacem, na którym miała siedzieć Safiye, znajdowały się porcelanowy talerz, srebrny widelec i łyżka. Na tacy położono też kilka pustych tacek. Służący mieli podawać na nich potrawy. Safiye powinna zająć się podaniem dań padyszachowi. Oczywiście, jeśli Murad, jak oczekiwała, wyjdzie na taras i zje z nią.

– Czy czegoś brakuje?

Meleknaz z z troskaniem popatrzyła na Safiye.

– Tak.

Odpowiedzialna za przygotowania Ewdoksija oblała się rumieńcem.

– Nie położono tu materaca. Nie ma też mojego talerza.

– Jak to? Przecież tutaj... – próbowała się bronić kobieta.

Safiye uśmiechnęła się.

– Tam usiądzie sułtan, Ewdoksija. A gdzie ja...

– Sułtan, Safiye?

Pytanie, jak się spodziewała, zadała Meleknaz, ale Ewdoksija oraz Seher i Kamer były równie zdziwione.

– Tak, sułtan. Kiedy Murad Chan tu przyjdzie, ja też muszę mieć swoje nakrycie, prawda?

– Ale nasz pan zje na do...

– Przyjdzie – przerwała tym razem Ewdoksii. – Przyjdzie. Razem zjemy posiłek.

Niech zgodnie z tym dokończone zostaną przygotowania.

Kobiety popatrzyły na siebie. Pierwsza pozbierała się Meleknaz. Dała znak

służącym i znów rozpoczęła się krzątania. Seher natychmiast przyniosła materac i ułożyła go naprzeciwko sofy. Skoro przyjdzie tu sułtan, oprze się plecami o sofę, a jej pani powinna zająć miejsce na wprost niego.

– Ułóż moje siedzisko tutaj – sprzeciwiła się Safiye. – Jeśli usiądę naprzeciwko sułtana, zasłonię mu widok i sama będę plecami do morza. Spójrz, o tutaj. Przy miejscu Murada Chana.

Policzki dziewczyny zrobiły się pąsowe. Jej pani zamierzała usiąść obok padyszacha?

– W porządku, teraz jest dobrze. Weź ten talerz i postaw przede mną. Niech dla naszego pana przyniosą inny.

Łatwo było powiedzieć. Przecież padyszach nie może jeść z jakiegokolwiek talerza, jaki przed nim postawią. Służący wynieśli na taras kilka odpowiednich talerzy z zastawy sułtana Murada.

– Połóżcie też widelec i łyżkę sułtana.

Jedna ze służących przyklękała przed tacą. Była odwrócona plecami do Safiye.

– Co robisz, dziecko?

– Rozkładam sztucce dla naszego pana.

– Przesuń się trochę.

Kiedy służąca usunęła się nieco w bok, Safiye wykrzyknęła:

– A to co?!

– Łyżki sułtana – odparła przerażona dziewczyna.

– Łyżki? Dobry Boże! Zabierz je szybko! Zabierz je! To drewniane łyżki.

„Pora się wtrącić”, pomyślała Meleknaz.

– Zostaw je, dziecko. – Później zwróciła się do Safiye szeptem: – Padyszach je drewnianymi łyżkami.

Tamtego wieczoru nie zwróciła na to uwagi. „Oczywiście – powiedziała do siebie. – Kiedy Murad zmarł na mój widok, miał w ręku drewnianą łyżkę”. Do potomka Osmana należała niemal połowa świata, a jadał posiłki drewnianą łyżką. Tymczasem w Wenecji byle kupiec miał na stole złote sztucce, a przynajmniej srebrne.

Sułtanka *valide* używała srebrnych sztucców, ale jej syn...

Meleknaz pokiwała głową, jakby odgadła jej myśli.

– Tacy już są Osmanowie – odezwała się cicho. – Unikają krzykliwości i przepychu. Nie przepadają za złotem.

„Obłuda – powiedziała do siebie Safiye. – Co to jest, jeśli nie obłuda? Opływa w diamenty i rubiny. Obsypuje szmaragdami, diamentami, rubinami dziewczynę, którą próbuje zaciągnąć do swojego łóżka, a potem siada i je drewnianą łyżką...”. Nagle ogarnęła ją złość.

– Tak było do tej pory. Od teraz będzie inaczej. Zabierz je, dziecko – powiedziała zdecydowanie. – Od teraz sułtan Murad Chan będzie jadł srebrną łyżką tak jak jego matka. Jeśli nie zechce, użyjemy złotych łyżek.

Powinna się przygotować. Tego wieczoru musi wyglądać jak prawdziwa wróżka. Dopóki nie przyjdzie Murad, będzie siedziała na materacu i patrzyła w ciemnościach na morze. A jeśli nie przyjdzie? Nie było takiej możliwości. Jeśli nie przyjdzie, wtedy coś

postanowi. „Tak czy inaczej coś wymyślę”, mruknęła do siebie. Tak jak dziś Safiye zadziwiła osmańskiego sultana, znów znajdzie jakiś sposób i uczyni coś niespodziewanego.

Kiedy zmierzała do komnaty, usłyszała za sobą kroki Meleknaz.

– Safiye – odezwała się kobieta, kiedy otwierała drzwi.

Zatrzymała się i spojrzała na nią błyszczącymi oczami.

Meleknaz wpatrywała się w nią przez chwilę.

– Co ty próbujesz zrobić, dziecko?

Odpowiedziała bez wahania:

– Zniewolę potomka Osmana. – Zamilkła na chwilę. – Czy nie tego chciała sultanka matka?

– Uważaj, dziecko, to nie zabawa.

Wiedziała, że kobieta chce dobrze i martwi się o nią.

– Wiem. – Wzięła ją pod rękę. – Ja się nie bawię. *Ja walczę.*

XL

Minęła ponad godzina, odkąd Safiye usiadła przy stole na tarasie. Nogi zdrętwiały jej od siedzenia na kolanach.

Przenosiła wzrok między Meleknaz a Ewdoksiję. Obie kobiety były przynajmniej tak spięte jak ona, szczególnie Emine. Gdyby nie oparła się o balustradę tarasu, chyba by zemdląła.

Seher i Kamer miały pozostać na dole i przekazać jej wiadomość, jeśli padyszach zasiądzie do posiłku w salonie. I oczywiście o tym, czy jest tam Bihter. Wtedy Safiye postanowi, jak sprawić, żeby Pawilon Nadmorski zwał się na głowę Muradowi.

„Przyjdź – powtarzała nieustannie. – Przyjdź i zobacz Safiye. Przekonaj się, czy jaśniej błyszczą gwiazda zaranna, czy twoja wróżka”.

Czy wiedział, że poleciła nakryć do stołu na tarasie? Wprawdzie to zadanie powierzyła Dżanfiedzie, ale nie miała pewności. Kobieta nie miała zamiaru się dla niej poświęcać.

A jeśli o tym nie wie? Wtedy oczywiście przyjdzie. Pocieszała się, że to właśnie jest przyczyna tego, że wciąż go tu nie ma. Ale jeśli nie przyjdzie, wiedząc, że ona czeka na niego na tarasie? „Nie waż się tego robić, Muradzie – powiedziała w duchu. – Nie waż się tego robić”. W słowach Safiye kryła się raczej groźba niż błaganie. „Nie próbuj deptać mojej dumy. Ani dziś, ani jutro. Nigdy. Pod żadnym pozorem nie próbuj traktować mnie jak jednej ze swoich odalisek”.

Meleknaz nie mogła oderwać wzroku od Safiye. Tego wieczoru wyglądała przepięknie. Zawsze wyglądała pięknie, ale jeszcze nie widziała, żeby błyszczała tak jak teraz. Z podniecenia na policzki wystąpiły jej rumieńce, nawet nie musiała używać różu. Damy dworu, które po raz pierwszy ją szykowały, szeptały między sobą ukradkiem: „*Maszallah*”. Były wśród nich też takie, które skarżyły się: „Gdyby tak Bóg dał mi choć jedną setną tego, co dał tej dziewczynie”. „Ach, wdychały inne. Zadowolilyby się nawet jedną tysięczną tego, co miała Safiye. Tymczasem każda z nich była piękna.

Ale Safiye była inna. Ona była snem.

Była tajemnicą.

Była wierszem.

Miłosną pieśnią nuconą w księżycową noc.

Tańcem, który rozpałał w ludziach szaleńcze pragnienia.

Sam sułtan Murad znalazł najpiękniejsze słowa, które ją opisywały.

Była wróżką... Była *gwiazdą zaranną*.

Meleknaz nawet ze swojego miejsca dostrzegając, że Safiye nieznośnie bołą nogi. Ile czasu minęło? Godzina? A może półtorej? Tak bardzo wierzyła, że padyszach przyjdzie, iż pokornie czekała na niego przy stole. Przecież nie mogła rozsiąść się wygodnie i czekać na jego przybycie. Po raz kolejny była pod wrażeniem uporu i silnej woli Safiye. „Jeśli w tym wieku jest taka, kto wie, jaka będzie za piętnaście lat?”, przeszło jej przez myśl. Nie bez powodu Osmanowie mawiają: „Uczeń przerósł mistrza”. Już teraz było oczywiste, że Safiye przerośnie Nurbanu. I to znacząco. Nie mogła dłużej patrzeć na to, jak dziewczyna się męczy. Podeszła do niej.

– Może pójdziecie z nami – powiedziała tak, żeby słyszały ją inne damy dworu. – W waszej komnacie jeszcze raz rozczeszymy wam włosy. Wiatr je trochę potargał.

Safiye spojrzała na kobietę i natychmiast poznała jej zamiary.

– Nie dotykaj, Gabriello – szepnęła po włosku. – Nogi tak mi zdrętwiały, że nie sędzę, żebym była w stanie się podnieść. Chyba na zawsze tu zostanę. Zupełnie jakbym ich nie czuła.

– A jeśli przyjdzie? Wtedy będziesz musiała wstać.

– Będę się o to martwić, kiedy przyjdzie.

Obie w tej samej chwili zauważyły Seher, która pojawiła się w drzwiach po przeciwnej stronie. Właściwie z twarzy dziewczyny łatwo było odczytać, co ma do przekazania.

– Niech powie tobie – szepnęła Safiye.

Meleknaz złapała w drodze dziewczynę i odciągnęła ją na bok.

– Idzie?

Seher pokręciła głową.

– Co robi?

– Kiedy przybył do pawilonu, udał się prosto do salonu na parterze.

– Czy ktoś z nim był?

– Czy sułtan bywa sam?

– Jesteś wystarczająco mądrą dziewczyną, żeby wiedzieć, kogo mam na myśli.

Oczy Seher błysnęły.

– Nie było jej.

– Nie czekała w środku?

– Nie. Ja stamtąd wyszłam. Zauważyłabym ją, gdyby tam była.

– Czy nasz pan zasiadł do stołu?

Safiye nie miała zamiaru dowiadywać się, o czym rozmawiały Meleknaz i Seher. On nie przyjdzie! Murad zasiadł do stołu na dole, chociaż wiedział, że ona jest na górze. Bóg jeden wie, może zje posiłek z tą kobietą... Z matką jego syna. „Czyżbym popełniła błąd? Może nie powinnam okazywać gniewu na obecność Bihter? Może nie powinnam żądać od niego wyjaśnień?”

– *Wcale nie* – powiedziała do siebie. – To nawet za mało.

Zrobiła za mało i teraz nadszedł czas, żeby zastanowić się, co jeszcze może uczynić.

Jej wzrok znów ześlizgnął się na Meleknaz i Seher. Dziewczyna, która na każde pytanie udzielała zdecydowanej odpowiedzi, tym razem wyglądała na niepewną. O co zapytała ją Meleknaz?

W tym samym czasie pierwsza dama dworu nalegała:

– Odpowiedz, dziecko. Czy padyszach zasiadł do posiłku?

– Ja... Kiedy wychodziłam, jeszcze...

– Co robił?

– Spojrzał na nakrycie. Chyba się zdziwił, a nawet... Tak, tak, wydało mi się, że nawet się zasmucił.

– Po czym wywnioskowałaś, że sułtan jest smutny?

– Nagle twarz padyszacha spochmurniała.

Meleknaz ogarnęła panika. I tak to się kończy. To padyszach. Czy można z nim igrać?

Powoli odwróciła się i popatrzyła na Safiye. Nawet jeśli znalazłaby w sobie odwagę, nie mogła jej powiedzieć, że on nie przyjdzie. Chciała, żeby dziewczyna domyśliła się wszystkiego z jej spojrzenia. Kiedy ich oczy się spotkały, Meleknaz przeszedł dreszcz. Od dnia, gdy została muzułmanką, po raz pierwszy zaczęła bezwiednie odmawiać *Zdrowaś Mario*. Co znowu knuje ta szalona dziewczyna?

Safiye trzymała ręce i kolana w górze. Jednak zdrętwiałe nogi nie pozwalały jej wstać. Pierwsze, co przyszło do głowy Meleknaz, to to, że cokolwiek zamierza zrobić dziewczyna, koniecznie musi ją powstrzymać. Poza tym dokąd chciała iść w tym stanie? Nie udałoby jej się zrobić nawet kroku.

Kiedy zbliżyła się do dziewczyny, wydało jej się, że słyszy odgłos pospiesznych kroków. „Nieważne – mruknęła. – To pewnie służący serwujący padyszachowi posiłek”. Pochyliła się i wzięła za rękę Safiye, która usiłowała się podnieść.

– Kochanie – szepnęła – nie rób tego... Nie tym razem. Zapomniałaś, co było pierwszą rzeczą, której nauczyła cię sułtanka *valide*?

Oczywiście pamiętała. Była to cierpliwość. Ale oczy dziewczyny zdradzały, że miarka się przebrała.

– Trzymaj mnie mocno, Gabriello – syknęła Safiye. – Błagam, nie pozwól, żebym się przewróciła.

Próbowała jej pomóc, ujmując ją pod ramię. Emine, spostrzegłszy, co się dzieje, podbiegła do nich, i wzięła ją pod drugą rękę.

– Nie miej mi za złe, Ewdoksijo – odezwała się do kobiety. – Mam u ciebie dług. Obawiam się, że nie starczy mi czasu, żeby go spłacić. Ale jeśli będę w stanie, odpłacę ci się z nawiązką.

Jeszcze raz spróbowała postawić zdrętwiałą stopę. Miała wrażenie jakby noże wbijały jej się w nogi.

– Zabierzcie mnie – powiedziała. – Sprowadźcie mnie na dół. Niech sułtan Murad zobaczy gniew Baffo.

I właśnie w tej chwili stało się coś nieoczekiwanego.

Odgłosy kroków, które przed chwilą usłyszała Meleknaz i o których myślała, że należą do sługi podającego padyszachowi posiłek, nasiliły się. Rozległy się jakieś głosy:

– Rozejdźcie się! Zróbcie przejście!

Kiedy popatrzyły na siebie, próbując zrozumieć, co się dzieje, nagle drzwi się otworzyły i Kamer wpadła na taras.

Dziewczyna potknęła się, ale natychmiast podniosła.

– Nasz pan... Sułtan... Padyszach... idzie tu, pani. Nadchodzi.

To musiał być cud.

„Bóg nad nami czuwa”, przeszło przez myśl Meleknaz.

Ewdoksija próbowała w myślach wyciągnąć krzyż.

– Puśćcie mnie.

Safiye skamieniała w ramionach kobiet.

– Puśćcie mnie. Natychmiast! – rozkazała.

– Upadniesz.

– Ewdoksijo, proszę.

Kobieta puściła Safiye.

Teraz jedną stopą stała na ziemi. Czuła, jak krew zaczyna jej krążyć w żyłach.

– Puśćcie mnie! – wrzasnęła. – Mój Murad nie może zobaczyć, jak mnie podtrzymujecie.

Nie było już czasu. Na taras wlewał się tłum służących i paziów. Za chwilę miał się też pojawić padyszach. Ostrożnie puściły Safiye. Twarz dziewczyny ściągnął ból, kiedy stawiała drugą stopę. Mimo to próbowała przybrać na twarz ten niewiarygodny uśmiech.

„To właśnie Baffo, którą znam”, przeszło przez myśl Meleknaz. Bosa, naga, bezradna, ale dumna, z głową uniesioną, tak że mogłaby dotknąć gwiazd.

– Moja piękna, Sophio – wyszeptwała. – Niech twoja droga będzie prosta, a panowanie szczęśliwe.

Pozdrowiła ją z szacunkiem, kłaniając się delikatnie. Ewdoksija zrozumiała, co robi i dlaczego. Ona również natychmiast się pokłoniła. Były dwiema pierwszymi osobami, które pokłoniły się przed sułtanką Safiye.

Safiye stała teraz wyprostowana. Jednak zarówno ona, jak i obie kobiety wiedziały, że upadłaby, gdyby spróbowała zrobić krok. Ostatkiem sił poprawiła dekolt sukni ze złotej tkaniny, którą miała na sobie. Machnęła głową, unosząc włosy. „Chodź, potomku Osmana – powiedziała w duchu. – Twoja królowa jest gotowa”.

Najpierw w drzwiach ukazały się zadarte czubki miękkich ciżem sułtana Murada, wykonanych z marokańskiej skóry, później poły kaftana, a na końcu on.

– *Moja Safiye...*

Pochyliła się, żeby wykonać rewerans, z całych sił starając się zachować na twarzy uśmiech.

– Mój Muradzie.

Wszyscy obecni na tarasie zauważyli, że jej uwodzicielski ton przyprawił padyszacha o drżenie.

Meleknaz nachyliła się do stojącej obok Ewdoksii.

– Myślę, że tego wieczoru powinnaś przesłać wiadomość sułtance matce.

Kobieta popatrzyła na nią, jakby zastanawiała się, czy mówi poważnie, czy drwi.

– Naprawdę. Koniecznie musisz napisać o tej chwili.

– Co mam powiedzieć?

– Na twoim miejscu napisałabym: „*Twierdza zdobyta*”.

XLI

Odkąd padyszach podszedł do Safiye, pozostała w ukłonie.

– Ach, moja piękna wróżko, dlaczego pochylając głowę, szcędzisz nam blasku twoich oczu?

Safiye powoli się wyprostowała. Za to pochlebstwo nagrodziła padyszacha delikatnym uśmiechem.

– Sądziliśmy, że czekasz na dole.

Ta okropna chwila, gdy sądziła, że życie jej się zawaliło, trwała tak krótko? Safiye wydawało się, że minęło tysiąc lat.

– Pomyślałam, że mój sułtan będzie wolał zjeść tutaj, na wprost morza i gwiazd.

Murad wpatrywał się w nią jak zaczarowany.

– Ach, moja piękna różo, światło mojego życia – odparł. – Na co nam gwiazdy na niebie, skoro mamy ciebie? Jeśli powiemy, że blask naszej gwiazdy nam wystarczy, zechcesz nam uwierzyć, o okrutna?

– Panie.

Padyszach wcześniej zauważył, gdzie przygotowano dla niego miejsce. Dlatego teraz skierował się prosto do niskiej sofy i usiadł na materacu, zaplatając nogi.

– Bardzo tu pięknie, moja droga. Przez tyle lat nie przyszło nam do głowy, żeby zjeść posiłek na tarasie. Ale przecież syrena zna się na morzu, prawda?

Murad spojrzał na grupę dam dworu, jakby czekał na potwierdzenie swoich słów. Meleknaz i Ewdoksija skinęły głowami.

Safiye pochyliła się, żeby zająć miejsce na siedzisku przygotowanym dla niej, tuż przy padyszachu. Była pewna, że kiedy to robiła, suknia mocno napięła jej się na piersiach. Padyszach natychmiast zareagował na to, co ukazało się jego oczom, i zapach ziół roztaczający się z jej skóry. Spojrzenie padyszacha stało się mętne. Jedną rękę przycisnął do serca, drugą wyciągnął do Safiye, a z jego ust wydobył się jęk.

Stałem się twoją cimą, o okrutna, płonę w ogniu miłości.

Niestraszna mi śmierć, gdyż blask twój weźmie mnie w ramiona.

Nie wołaj nikogo, by ugasił płomień, nim nie otworzę serca dla tej piękności.

Pozwólcie, niech ogień ugasi ogień, wtedy dostąpię mojej miłości.

– Panie, jakie to piękne słowa.

– Podobały ci się, sułtanko wróżek? Wieczorem, gdy zapadł zmrok, moje oczy szukały gwiazdy zarannej. Nocne niebo mieniło się granatem. Później w tym miejscu, gdzie porośnięte sosnami wzgórze spotyka się z niebem, ukazał się srebrny pas. Granat bladł, a im bledszy się stawał, srebrne światło roztaczało się na niebie. I właśnie w tamtej chwili ją zobaczyłem. Dokładnie tam. Zalśniła niczym brylantowy pióropusz nad moją głową w chwili, gdy słońce, zanim pokaże swoje oblicze, maluje świat złotem. Kiedy tak świeciła, obraziło się słońce, a wtedy gwiazda zaranna do mnie przemówiła.

Safiye czuła, że zaczyna drzeć. Skąd ten mężczyzna brał tak piękne słowa? Nie

przyszło jej do głowy, że Murad może być tak wrażliwy. Do tej chwili uważała go za myśliwego ukrytego w zbroi potęgi i polującego na kobiety. Ale teraz zrozumiała, że oprócz potęgi i siły padyszach miał też inny oręż. „Nie poddawaj się”, mruknęła do siebie. Broń to broń. Uśmiechnęła się słodko do sułtana Murada wpatrującego się w nią z rozmarzeniem.

– Co powiedziała wam gwiazda zaranna, Wasza Wysokość?

– Powiedziała: „Hej, sułtanie, czego ode mnie chcesz? Bóg zesłał ci wróżkę piękniejszą ode mnie, której blask jaśniejszy jest od mojego i której zazdrości słońce. Po co czekasz, aż dzień spowije szarość, świat ogarnie ciemność i narodzi się gwiazda zaranna? Biegnij do niej. Złóż świat u jej stóp. Pozwól jej usłyszeć głos twojego serca...”

Padyszach zamilkł. Safiye oszalała z radości, ujrawszy, że oczy padyszacha zasłyły łzami. „Najświętsza Panienko – powiedziała do siebie. – Te kryształki nie są bronią. Ten mężczyzna naprawdę mnie kocha. Naprawdę mnie kocha”.

– Dlaczego zamilkliście? Co było później?

Murad powrócił ze świata marzeń. Mgła w jego oczach jakby się rozproszyła.

– Później słońce zaczęło się wznosić. Kiedy niebo zamalowało się błękitem, gwiazda zaranna zaczęła blednąć. Bledła, bledła i...

– Znikła. Ale nie smućcie się, jutro znów możecie się z nią spotkać.

Sułtan Murad pokręcił głową.

– Nie ma takiej potrzeby. Gwiazda zaranna ma rację. Bóg zesłał mi wróżkę piękniejszą niż Wenus, której blask jest jaśniejszy, której zazdrości słońce.

– Muradzie...

Głos dziewczyny był dla padyszacha niczym boski hymn, ale jeszcze nie powiedział wszystkiego. Uciszył ją, dotykając jej ust czubkami palców. Ogień świeżych, wilgotnych, pełnych warg Safiye palił jego skórę. Wyobrażał sobie, jak nakrywa te wargi swoimi. Nieznośne pragnienie ogarnęło całe jego ciało. Odchodził od zmysłów, a władzę nad nim zaczęło przejmować pożądanie.

„Natychmiast się od tego uwolnij, Muradzie Chanie – skarcił się. – Masz jej coś do powiedzenia. Pod żadnym pozorem nie przed ślubem. Najlepiej dalej mów jej wiersze, opowiadaj o księżycu, gwiazdach i słońcu”.

– I w tej właśnie chwili nasze serce dostało skrzydeł – odezwał się cicho. – Nasza dusza zapałała szaleńczym pragnieniem, żeby pobiec do ciebie. Pamiętam, jak zawołałem: „Pióro!”, a później pod natchnieniem naszej Safiye ułożyłem wersy, które przed chwilą ci wyrecytowałem.

– Boję się – powiedziała nagle Safiye.

Murad drgnął.

– Boisz się? Nas?

Safiye wyczuła w jego głosie zawód, który próbował ukryć. Tym razem to ona dotknęła ust padyszacha swoimi szczupłymi, białymi palcami. Przeszedł ją dreszcz pod wpływem szorstkiego dotyku brody, wąsów i warg mężczyzny.

– Zamilczcie – wyszeptała mu do ucha. – Safiye miałaby obawiać się swojego Murada?

Twarz padyszacha znów pojaśniała.

– W takim razie co wzbudza twój strach? Powiedz, że lękasz się gór, a zrównam je z ziemią. Jeśli rzek, zmienię ich bieg.

„Nadszedł czas”, pomyślała.

– Boję się stracić błogość, o której mówiliście. Obawiam się, że ktoś może rzucić cień na to szczęście.

Sułtan Murad nieopatrznie chciał zapytać: „Kto śmiałyby okryć cieniem nasze szczęście?”, ale w porę się pozbierał.

– Mówisz o Bihter?

„Oczywiście, że o niej mówię – powiedziała do siebie. – A o kim innym? O kobiecie, która stanęła przede mną i rzuciła mi w twarz: «Jestem matką księcia naszego pana»”. Ale była już wystarczająco doświadczona, żeby nie wymawiać na głos swoich myśli”. Jedynie przymknęła powieki.

– Boję się – jęknęła.

W jednej chwili nałożyła maskę małej, niewinnej dziewczynki. Wygięła usta w podkówkę.

Tak naprawdę to Murad się bał. Jedno nieuważne słowo, jedno spojrzenie, chwila gniewu mogły sprawić, że pryśnie szczęście, którego był tak blisko. Musiał w odpowiedni sposób wyjaśnić obecność Bihter. Długo się nad tym zastanawiał, ale nie znalazł wystarczającego powodu.

Safiye nigdy nie powinna poczuć, że Murad nie umie odmówić sobie pieszczot kobiety, która oddawała mu się, owijając się wokół jego ciała niczym bluszcz. Nie wiedział jeszcze, jak to zrobić, ale Safiye nie może się dowiedzieć, że kiedy zapragnie Bihter, weźmie ją do łóża, tak jak uczynił to wczorajszej nocy. Przynajmniej na razie.

Nocna burza namiętności stanęła mu przed oczami ze wszystkimi szczegółami. Rzucił się na kobietę z żądzą chłostaną wspomnieniami konnej gonitwy z Safiye, ciepła jej skóry, jej zapachu, wypukłości jej jędrnego ciała, opiętych jedwabiami. Bihter wcale się nie skarżyła. Za drugim, piątym, dziesiątym razem była nawet zadowolona. A która by nie była? Wystarczyło, że mieszkały w pałacu, przebywały blisko sułtana i żyły pragnieniem, że pewnego wieczoru będą mogły usłyszeć pochlebstwo z jego ust, dostać podarek z jego rąk.

Tylko Safiye buntowała się przeciwko temu. Zadowalała ją tylko bycie tą jedyną. Do tego została stworzona. Ale bycie tą jedyną też jej nie wystarczało. Nie była kobietą, która podzieliłaby łóżę z mężczyzną, który jest dla niej *haram*, niezależnie od tego, czy był padyszachem, czy tragarzem. *Była czysta i niewinna jak jej imię*. Nawet jeśli złożyłby jej u stóp skarby tego świata, była zbyt dumna, żeby zbrukać swoje niewinne ciało plugawą namiętnością, grzechem cudzołóstwa.

A Bihter była tak daleko od tego, żeby dodać sobie piękna czarem niewinności. Dopóki nie pojawiła się Safiye, u której kobiety, z którą dzielił łóżę, szukał niewinności, że miałby mieć to za złe Bihter. Szukał takich, które potrafiły odwieść go od zmysłów, a Bihter była w tym mistrzynią. Pieściła każdy fragment jego ciała palcami, wargami, językiem. W objęciach Bihter nawet kamień zyskałby życie. Wczoraj wieczorem też użyła wszystkich swoich zdolności, żeby doprowadzić go do szaleństwa. Nawet kiedy wyczerpany chciał się od niej odsunąć, obejmujące go ramiona i nogi nie rozluźniły się.

„Jeszcze... Jeszcze... Jeszcze się nie nasyciłam. Mój ogień nie zgasł. Moja tęsknota za sułtanem nie znalazła ukojenia”.

Murad drgnął. Jak mógł o tym myśleć, wyobrażać to sobie, siedząc naprzeciwko Safiye. Domyśliła się? Nie był to czas na to, żeby oddawać się namiętym wspomnieniom. Musiał znaleźć jakiś sposób i dalej przypochlebiać się Safiye, żeby przekonać ją do obecności kobiety.

– Czy słońce może obawiać się świecy? – szepnęła, próbując się uśmiechnąć. – Ty jesteś moim słońcem, moim księżycem, moją gwiazdą i moją przyszłością. Ona jest przeszłością. Zamieniła się w popiół i przeminęła.

Safiye zachichotała, nie zdejmując maski małej dziewczynki.

– Nasz pan wie lepiej ode mnie, że jeśli się pogrzebie w popiele, ukaże się pod nim żar.

Murad usiłował zachować spokój.

– To tylko matka mojego syna, Safiye. To wszystko – odparł z udawaną wesołością.

– Jednak słyszałam, że mój sułtan odprawił wiele odalisek, które dały mu synów i córki, a ta kobieta wciąż jest przy was.

Pokiwał głową.

– My też długo się nad tym zastanawialiśmy, moja Safiye. To trudna sytuacja. Książę jest jeszcze bardzo mały. Pomyślałem, że ty także nie uznasz za właściwe rozdzielania dziecka od matki.

Nie umiał spojrzeć jej w oczy. Poza tym w żaden sposób nie mógł oderwać wzroku od ust dziewczyny i jej pełnych piersi.

„Co to za niedorzeczna obrona – zbeształ się w duchu. – Co mu pozostanie, jeśli dziewczyna powie teraz: «A czy ktoś mówi, żeby rozdzielać dziecko od matki? Odeślij oboje»?»

– Ach, moja piękna sułtanko – podjął pospiesznie, nie dając Safiye czasu, żeby się nad tym zastanowić. – Nie wiem, jakie myśli cię dręczą, ale jeśli zastanawiasz się, dlaczego podarowaliśmy ją tobie, powiem ci. Niech ci służy i pozna swoje miejsce. Niech polewa ci wodą dłonie i stopy, żeby wiedziała, kto jest sułtanką naszego serca.

Safiye postanowiła nie mówić o tym dłużej, żeby nie psuć wieczoru.

Widząc uśmiech dziewczyny, Murad sądził, że ją udobruchał. Musiał umocnić tę pewność.

– Jeśli w niczym wam nie uchybi, wspaniale, jeśli zaś nie będziesz zadowolona, pozostawiamy ci wolną rękę. Skoro jest teraz twoją służącą, to do ciebie należy decyzja, czy ją zatrzymać, czy odprawić. Jeśli się nie sprawdzi, wyrzucisz ją.

„Nie – powiedziała Safiye w duchu – tak szybko jej nie wyrzucę”. Nie zamierzała jej ułatwić. Najpierw zmieni raj w piekło. Odsunęła na bok te myśli. Jej drobna dłoń głaszcząca drogą tkaninę marynarki zapinanej na guziki, którą padyszach miał na sobie, niby przypadkiem wślizgnęła się do środka przez szeroki mankiet. Kiedy jej palce dotknęły skóry Murada, zawstydzona chciała zabrać rękę, ale on jej na to nie pozwolił. Jego silne palce, niczym szpony jastrzębia, chwyciły jej maleńką, białą dłoń. Safiye uniosła na Murada swoje spojrzenie pełne szczęścia i ekscytacji.

– Panie...

– Muradzie – jęknął padyszach zadowolony, że temat Bihter został zamknięty. – Jak miałaś się do nas zwracać, kiedy jesteście tylko we dwoje?

Safiye wiedziała, że wszystkie damy dworu, służące i służący pozostawili ich samych, tak jak im to poleciła. Mieli nie wracać, dopóki nie zostaną wezwani.

– Mój Muradzie...

– Safiye, moja wróżko...

Znajdowali się tak blisko siebie, że ich oddechy muskały ich twarze niczym ciepły, letni wiatr. Oczy mężczyzny wpatrzone były w wilgotne wargi Safiye, rozchylone z pragnienia. Jego palce wyruszyły w podróż w górę od jej dłoni. Safiye dostrzegła, jak nozdrza padyszacha otwierają się i zamykają z pożądania.

„Wystarczy!”, zawołał głos w jej wnętrzu. Przez chwilę Safiye miała wrażenie, że to woła Nurbanu: „Kiedy osiągnie granicę, musisz umieć kazać mu się zatrzymać, kuzynko!”.

I teraz właśnie osiągnął granicę. Jego palce zaczynały doprowadzać ją do szaleństwa. Było oczywiste, dokąd dotrą, jeśli go nie zatrzyma. Safiye poczuła, jak twardnieją jej sutki. Ogarnęło ją przerażenie. Jednocześnie Murad znajdował się w punkcie, w którym nie był w stanie się już powstrzymać. Za chwilę przekroczą granicę, a wtedy stanie się to, o czym mówiła sultanka matka. Murad zdobędzie twierdzę, a ona przegra.

Odsunęła się, starając się nie okazywać niepokoju.

– To koniec?

Murad dostał szału.

– Koniec? Koniec czego?

„Co wyczynia ta wróżka?”, zastanawiał się. Czy teraz był czas na zadawanie takich pytań? Przez chwilę pomyślał ze złością, żeby zawołać: „Dlaczego uciekasz? Chodź w moje ramiona!”, a potem chwycić ją i posiąść. Jego pierś unosiła się i opadała z pożądania. Wciąż czuł w dłoniach ciepło jej skóry. Murad płonął. Powinien się czegoś napić albo oblać całe ciało zimną wodą. Spojrzał na wazę z sorbetem na stoliku. Safiye, pochwywszy jego wzrok, klaszcząc, zakończyła chwilę odosobnienia.

– Poleciłam przygotować dla naszego pana wina, sorbety, soki schłodzone w naczyniach ze śniegiem.

– Zimne napoje – odezwała się do pierwszego służącego, który wszedł do środka.

– Najpierw przynieście wino z Mykonos³³, które kazałam umieścić w lodowni.

Popatrzyła na mężczyznę z uśmiechem ozdobionym radością, szczęściem i wstydem namiętności, którą musiała porzucić w pół drogi.

– Oczywiście mam na myśli koniec wiersza – szepnęła. – Czy ten piękny wiersz, który napisaliście dla mnie, nie ma dalszego ciągu?

– Naprawdę ci się podobał?

Pogłaskała palcami pierścień, który dostała w prezencie od Murada.

– Czy istnieje większy skarb od pięknych słów mojego sultana? Dla mnie są one warte cały świat.

– Ma jeszcze dwa wersy, lecz nie udało nam się go dokończyć.

Służący przyniósł naczynie ze śniegiem i przykląkł między padyszachem a Safiye. Dziewczyna wzięła butelkę zakopaną w śniegu. Wyciągnęła korek. Nie omieszkawszy obrzucić Murada lubieżnym spojrzeniem, zaczęła powoli nalewać wino do kryształowego kielicha. W świetle latarni czerwona ciecz płynęła po szkłe niczym rubinowa lawa.

Podawała kielich mężczyźnie, odrzuciwszy włosy. Złoty pukiel spłynął jej po czole w kierunku piersi. Teraz ukryła się za nim połowa jej twarzy.

– Nie możemy się doczekać, żeby je usłyszeć.

– Ty nie pijesz?

– Panie... – zamruczała.

– Czy wino będzie miało smak, jeśli w jego kosztowaniu nie będzie nam towarzyszyła nasza wróżka? – Sięgnął po butelkę i nalał wino do kielicha. – Za świt twojego piękna.

Safiye z zawstydeniem wzięła puchar z jego ręki.

– Za zdrowie i pomyślność mojego sułtana.

Upili łyk, patrząc sobie w oczy.

Safiye odstawiła kielich. Na jej wargach pozostała kropla wina. Ten widok przyprawiał Murada o szaleństwo. „Czy może istnieć wyborniejsza przystawka?“, przeszło mu przez myśl. Z trudem stłumił budzące się w nim pragnienie, aby spić trunek z warg Safiye. Rozkładając ramiona, jakby miał zamiar ją objąć, zaczął recytować wiersz:

Twoja miłość odebrała memu sercu oręż, siłę rękóm i rozum głowie.

Okaż litość, jeśli oddam duszę z tęsknoty za twym pocałunkiem.

Będę szczęśliwy, hej, wróżko, nawet jeśli uśmierci mnie strzała twojego uśmiechu.

Pozwólcie, niech ogień ugasi ogień, wtedy dostąpię mojej miłości.

Safiye słuchała Murada z wyrazem zamyślenia i podziwu. Kiedy mężczyzna spojrzał na nią pytającym wzrokiem, uśmiechnęła się do niego szczęśliwa.

– Przecież powiedzieliście, że ma jeszcze dwa wersy.

Padyszach roześmiał się.

– Nie wiem... Kiedy patrzyłem w twoje piękne oczy, popijając wino, reszta sama popłynęła z naszych ust. Podobało ci się?

Pokiwała głową z dziecinną radością.

– Najwyraźniej nasz pan wdał się w swojego ojca. Sułtanka *valide* opowiadała nam, że wasz ojciec pisał dla niej piękne wiersze.

– Nie należy patrzeć na piszącego, ale na tego, kto sprawia, że się pisze. Najwyraźniej weneckie dziewczęta tak uderzają do głowy, że czynią z mężczyzny poetę. Nasza matka uczyniła poetą naszego ojca, a Safiye nas.

Safiye spuściła głowę, udając zawstydenie.

– Muradzie...

Ten wieczór był jak sen. Kosztowali wspaniałych dań. Wypili jeszcze jedną butelkę wina z Mykonos. Kiedy Safiye spostrzegła, że język zaczyna jej się plątać, odmówiła

kolejnego kielicha.

– Mnie już wystarczy – rzekła. – Poza tym kiedy zostanę muzułmanką, nie będę mogła pić.

– To prawda – odparł padyszach. – Jeśli jednak jedzenie winogron nie jest grzechem, dlaczego miałyby nim być picie z nich soku? Mam nadzieję, że hodża nie robił kłopotów.

– Nie. Trochę się nauczyłam, ale teraz zapomniałam. Wszystko mi się miesza.

– Kiedy pójdziesz z wizytą do szejka islamu, zapytasz go o to, czego zapomniałaś.

– Ja mam do niego iść? Sądziłam, że to on przyjdzie.

– To niewłaściwe. My też chylimy czoła przed hodżą efendim. Góruje nad nami wiekiem i doświadczeniem. Dlatego tak należy.

– Dobrze. A co będę musiała tam zrobić?

– Zada ci kilka pytań. Wiesz, które z nich jest najważniejsze.

„Nie wiem – zaniepokoiła się. – Które?”

– Zapyta cię, czy jesteś gotowa zostać muzułmanką – wyjaśnił Murad, zauważywszy wyraz twarzy dziewczyny. Zamilkł na chwilę. Próbował zajrzeć jej w oczy.

– Ty zaś odpowiesz: „Tak, hodžo. Jestem gotowa”. – Ponownie zamilkł. – Czy nie jest tak? Jesteś gotowa?

– Jestem gotowa – odparła krótko Safiye, słysząc niepewność w głosie mężczyzny, ale głos w jej wnętrzu pytał nieustannie: „Naprawdę? Naprawdę jesteś gotowa?”

Tym razem to ona zmieniła temat.

– Mam dla naszego pana niespodziankę.

– Niespodziankę?

– Tak. Ciekawa jestem, czy wam się spodoba. – Odwróciła się. – Kamer! – zawołała, klaszcząc. – Przynieś.

Dziewczyna wybiegła z tarasu. Kiedy wróciła, trzymała tamburę i smyczek.

Serce Murada zapałało miłością.

– Skąd wiesz, piękna wróżko, że lubimy słuchać tambury?

– Nie powinniście się spieszyć, panie. Być może po wysłuchaniu mojej gry straciecie tę miłość.

Skrzyżowała nogi. Umieściła pudło tambury między nogami i ujęła gryf. W drugą rękę wzięła smyczek, który podała jej Kamer.

– Wczoraj wieczorem – odezwała się cicho – pokazałyśmy, że jesteśmy Wenecjanką. Teraz nadszedł czas próby. Przekonamy się, czy udało nam się stać Osmanką godną Murada Chana. Sami oceńcie.

Smyczek dotknął struny tambury. Jej szczupłe palce zaczęły przechadzać się po gryfie. Kiedy smyczek prześlizgnął po strunie, tambura wydała z siebie jęk. Popłynęły kolejne dźwięki.

Padyszach wyteżył słuch, próbując rozpoznać znajomą melodię.

– Czy to moja pieśń?

Palce Safiye skakały po strunach. Smyczek na chwilę zatrzymał się na strunach.

– *Stalem się pielgrzymem* – zaszczębiotała Safiye.

Serce sułtana napełniło się radością. To była pieśń Murada. Nie było pewne, czy

została skomponowana dla niego, ale była jego ulubiona. Nadworni muzycy często ją śpiewali, ponieważ przewijało się w niej jego imię.

– Moja matka powiedziała ci, że bardzo ją lubię?

Jakie to ma znaczenie, kto jej powiedział? Safiye odrzuciła złote włosy i pociągnęła za smyczek.

– Jak nauczyłaś się tak pięknie grać na tamburze?

„Zapytaj o to końce tych delikatnych palców”, przez chwilę miała ochotę odpowiedzieć Safiye. Przypomniła sobie ból palców podeszłych krwią od przyciskania strun. Jeszcze raz pociągnąwszy za smyczek, zaczęła śpiewać:

Stałem się pielgrzymem, po świecie wędruję.

Szczęściem³⁴ mym się cieszę, bez niego nie czuję.

Gdyby ta czarnooka piękność serca mi nie dała,

Rozpaczą mą oblałaby się ziemia cała.

Safiye pociągnęła za smyczek i zatrzymała go, pociągnęła i zatrzymała. Teraz przyszła kolej na refren. Tym razem smyczek podskakiwał na strunach. Sułtan Murad, który do tej chwili, wzdychając, wsłuchiwał się w przejmujący głos Safiye, zapomniał o regułach i zasadach.

W jego życiu bardzo rzadko zdarzały się chwile, gdy czuł się tak zwyczajnie, tak prosto, tak szczęśliwie, kiedy tak bardzo był sobą. Może nawet po raz pierwszy poczuł, że uwolnił się od narzucanych mu wpływów, od łańcuchów krępujących jego nogi i ręce, a nawet język. Nie zważając na zdumienie służących obecnych na tarasie, Murad grubym głosem śpiewał teraz razem z Safiye:

Pozdrówcie mą ukochaną, białoskrzydłe ptaki.

Serca mego modlitwy, co tęsknotą płonie,

Niech usłyszą góry, wiatry oraz burze.

Niech Pan uciszy śniegi, by nie broniły mi drogi do ukochanej.

– Moja Safiye – rzekł padyszach, kiedy dziewczyna odkładała tamburę i smyczek.

– Twój Murad odda za ciebie życie. Nie będę słuchał śniegów ani burz. Ta tęsknota mnie zabija. W piątek odbędzie się nasz ślub.

Chyba nadeszła już pora. Nie mogła istnieć odpowiedniejsza chwila, żeby wypowiedziała słowa, które od wielu dni nieustannie powtarzała w myślach.

– Przed piątkiem Safiye ma wam jeszcze coś do powiedzenia.

Murad ujął jej dłonie i całował czubki jej palców, jeden po drugim. Później przysunął się do niej lubieżnie.

– Dziś palce, a w piątek sięgniemy po czereśniowe usta.

Safiye udała zawstydzoną.

– Co takiego chciała nam powiedzieć nasza Safiye?

– Najpierw dajcie słowo.

– Dać słowo?

– Tak... Dajcie słowo. Nie przerwiecie mi, dopóki nie skończę.

Padyszach się uśmiechnął.

– Nie przerwę.

– Nie tak, chcę słowo Murada.

– Słowo. Słowo Murada.

Tym razem to Safiye wzięła mężczyznę za rękę. Utkwiła oczy w czarnych oczach Murada.

– *Możecie wrzucić mnie w ogień* – zaczęła. Murad zamierzał coś powiedzieć, ale przeszkodziła mu, zakrywając dłonią usta. – Lecz nie skazujcie mnie na tęsknotę za wami. Ramiona naszego pana są dla jego sługi rajem, a tęsknota – piekłem. Odbierzcie mi duszę, ale nie żałujcie mi dotyku waszych ust na mojej skórze, waszych silnych ramion oplatających moją talię i miłostnego sorbetu. Nie myślcie, że jesteśmy podobne do innych dziewcząt. Nie mamy cierpliwości, żeby czekać na spotkanie z naszym panem. Zamiast umierać każdego dnia tysiąc razy, wolimy odejść z tego świata. Niech piszą po nas wiersze i eposy. Zamiast Szirin, Lejli i Zulejki niech opowiadają moją historię. Niech powiedzą: „Z nadmorskiej krainy przybyła do pałacu szalona dziewczyna i zakochała się w sultanie. Sądziła, że wielki padyszach świata będzie kochał tylko ją, że nie powącha innej róży. Dziewczyna została panną młodą w szkarłatnym welonie, tak jak to sobie wymarzyła. Ale niestety... Zdała sobie sprawę, że w sercu jej pana nie ma miłości, a co więcej, nie różni się dla niego niczym od dziewcząt, które przewijały się przez łóżko padyszacha i których imion nawet nie pamiętał. «Życie bez mojego pana jest dla mnie torturą», wylewała krwawe łzy. Pewnej nocy, zanim ciemność spotkała się ze świtem, wstała z łóżka. Wyciągnęła spod poduszki zimny sztylet owinięty w białą tkaninę, który już od dawna tam ukrywała, i wbiła sobie w pierś płonąca z miłości do padyszacha. Gdyby nie biała tkanina, która od krwi stała się szkarłatna, jedyna pamiątka pozostała po tej nieszczęsnej, szalonej dziewczynie, nikt by nie pamiętał, że kiedykolwiek żyła na tym świecie”. Niech tak mówią i tak piszą. Wszyscy o tym wiedzą. Jeśli ktoś nie wie, niech się dowie. Nie rzucam słów na wiatr. Jeśli coś powiem, to tak będzie. Teraz już wiecie. To moja przysięga. Jeśli moje słowa wzbudzą gniew mojego pana, niech powierzy tę sprawę zakrzywionemu sztyletowi. To moja szyja. Niech przyjdzie czarny kat i odbierze mi życie. Cóż z tego? Na drodze do mojego szczęścia poświęcę nie jedną, lecz tysiąc Safiye.

Safiye spuściła głowę. Sultán Murad uniósł, ją podtrzymując pod brodę. Spojrzał w wypełnione łzami oczy dziewczyny.

– Nie róbcie mi tego – szepnęła. – *Nie zniosę tego, że muszę się wami dzielić.*

Padyszach nachylił się i zwilżył wyschnięte wargi słonymi kroplami spływającymi po jej policzkach.

– Niech w takim razie opowiadają, że Murad też zakochał się w tej szalonej dziewczynie. Niczym Ferhad, który przebił się przez góry³⁵.

¹ Zdrowaś Maryjo, łaskiś pełna... (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

² Most As-Sirat – w tradycji muzułmańskiej jest to most prowadzący do raju, rozpostarty ponad czeluścią piekieł, który zgodnie z wierzeniami jest „cieńszy niż włos i ostrzejszy niż miecz”.

³ *Yıldız* (tur.) – gwiazda.

⁴ *Rahla* – składany, często bogato zdobiony pulpit pod księgę, zwłaszcza pod Koran.

⁵ *Dżanfeda* (tur. *Canfeda*) – imię pochodzenia perskiego; pełna poświęcenia, oddana.

⁶ Most Westchnień (wł. *Ponte dei Sospiri*) przewieszony jest nad Kanałem Pałacowym. Most stanowił połączenie między Nowym Więzieniem (wł. *Prigioni Nuove*) a Trybunałem Kryminalnym, który obradował w Pałacu Dożów. Przeprowadzano nim skazańców do cel. Przekraczając most, mieli oni wzdychać do swoich ukochanych i wolnego świata – stąd nazwa mostu.

⁷ Po zdobyciu Konstantynopola w 1453 roku Turcy do pierwotnej konstrukcji bazyliki dobudowali cztery minarety.

⁸ *Karbeyaz* (z tur.) – *kar* – śnieg, *beyaz* – biały.

⁹ *Ferezja* (tur. *ferace*) – długie, wierzchnie okrycie kobiece pochodzenia wschodniego, wykonane z jedwabnych tkanin; rodzaj płaszcza.

¹⁰ *Tambura* – instrument muzyczny z grupy instrumentów strunowych szarpanych, o długim gryfie i stosunkowo niewielkim, owalnym pudle rezonansowym. Przypomina mandolinę.

¹¹ *Sokolac*, *Sokolovići* (osm. *Sokol* lub *Sokul*) – miasto i gmina leżące na wschodzie Bośni i Hercegowiny w Republice Serbskiej niedaleko granicy z Serbią, w pobliżu dzisiejszego Rudo, miejsce narodzin Sokollu Mehmeda Paszy (stąd jego przydomek *Sokollu*, czyli „pochodzący z *Sokol*”), który naprawdę nazywał się Bajo Sokolović, oraz prawdopodobnie Kara Mustafy Paszy.

¹² *Şüca* był wędrownym ascetą z Manisy, należącym do bractwa Ümmiego Sinana. Oprócz dorywczych prac zajmował się przygotowywaniem amuletów i komentowaniem snów. Przepowiedział przyszłemu sułtanowi Muradowi III nadejście pomyślnej wieści. Kiedy Murad został padyszachem, zatrudnił go w pałacu jako ogrodnika, a później podniósł go do rangi szejka. Jego pozycja społeczna i sytuacja materialna całkowicie się zmieniły. Z czasem mężczyzna stał się uosobieniem nieuczciwości i przekupstwa.

¹³ *Pianissimo* (wł.) – w muzyce: bardzo cicho; stopień natężenia dźwięku, melodii.

¹⁴ *Kredens* w obecnym znaczeniu to mebel przeznaczony do przechowywania zastawy i innego wyposażenia stołowego. Dawniej tym mianem określany był mebel pośredni między skrzynią a szafą, często także z szufladami.

¹⁵ Pełne imię *Nurbanu* wraz z tytułami brzmiało *Haseki Afife Nûr-Banû Vâlide Sultân Aliyyetü'ş-Şân Hazretleri*.

¹⁶ *Buzdygan* – rodzaj wschodniej obuchowej broni przypominającej maczugę, składającej się z żelaznej lub metalowej głowicy osadzonej na trzonku.

¹⁷ Gra słów – imię „Murad” w języku arabskim i tureckim oznacza szczęście, pragnienie, życzenie.

¹⁸ Fazzan – pustynna kraina historyczna położona w południowo-zachodniej części Libii.

¹⁹ Piżmianowie (tur. *Bamyacılar*) i Kapustnicy (tur. *Lahanacılar*) – określenia, które w żargonie wojska osmańskiego odnosiły się do jednostek z Amasyi i Merzifonu. Obie nazwy pochodzą od nazw warzyw: piżmiana jadalnego (znanego też jako okra lub ketmia jadalna) oraz kapusty.

²⁰ Na potrzeby turniejów, żeby uniknąć nieszczęśliwych wypadków, drzewce były pozbawione stalowych grotów.

²¹ Rewerans (fr. *révérence*, z łac. *reverentia* – szacunek, poważanie) – daw. głęboki, ceremonialny ukłon.

²² Potoczna nazwa skał magmowych.

²³ Jedna z dzielnic Stambułu, położona nad zatoką Złoty Róg.

²⁴ Dzielnica Stambułu.

²⁵ Znany także w polskiej kulturze zwyczaj sypania ryżu wywodzi się ze Wschodu (w niektórych źródłach można znaleźć informację o jego chińskim rodowodzie, w innych o pochodzeniu z Babilonii). Pewne jest, że ryż miał znaczenie magiczne i był symbolem płodności i szczęścia. Wierzono także, że jako pokarm może udobruchać złe duchy.

²⁶ Noc Przeznaczenia (tur. *Kadir Gecesi*) – w islamie jedna z pięciu świętych nocy, uważana za jedno z największych świąt w tej kulturze. Wierzy się, że osoby urodzone tej nocy są wyjątkowe i obdarzone szczęściem.

²⁷ Muzułmanie modlą się pięć razy dziennie.

²⁸ Isfahan, Sziraz – miasta w dawnej Persji (obecnie Iran).

²⁹ *Güllaç* – rodzaj tradycyjnego deseru znanego w kuchni osmańskiej, przygotowywanego z mąki kukurydzianej, wody różanej, mleka i cukru.

³⁰ Chociaż ogrodowe tulipany kojarzone są z Holandią, w rzeczywistości pochodzą z Azji Mniejszej. Cebulki tych kwiatów trafiły do Europy za sprawą Flamandczyka, markiza Augierusa Ghislaina de Busbecqa, który jako poseł austriackiego cesarza Ferdynanda I trafił na dwór Sulejmana Wspaniałego. W jednym z ogrodów mężczyzna natknął się na te piękne kwiaty, a ich cebule wraz z opisem i relacją z podróży wysłał do Wiednia. (Istnieją pogłoski, że zrobił to bez wiedzy i zgody sułtana). Busbecq wysłał cebulki do swojego przyjaciela, innego Flamandczyka, botanika Charlesa de l'Ecluse (Karola Kluzjusza), za sprawą którego około 1593 roku rozpoczęto uprawę tych kwiatów w Holandii.

³¹ Naprzód! (z wł.)

³² Wyznawców głównego nurtu islamu (sunnitów) obowiązuje pięć zasad, zwanych filarami islamu; są to: wyznanie wiary (szahada), modlitwa (salat) – pięć razy dziennie, odmawiana z twarzą zwróconą w stronę Mekki, jałmużna (zakat), post (saum) – powstrzymanie się od jedzenia i picia od wschodu do zachodu słońca, podczas dziewiątego miesiąca roku muzułmańskiego (ramadanu), pielgrzymka do Mekki (hadżdż) – każdy muzułmanin powinien ją odbyć przynajmniej raz w życiu.

³³ Mykonos – grecka wyspa należąca do archipelagu Cyklady na Morzu Egejskim.

³⁴ Imię Murad w języku arabskim oznacza szczęście, pragnienie, życzenie.

³⁵ O historii Ferhada i jego ukochanej Szirin jest wzmianka w czwartej księdze

cyklu *Tajemnice dworu sultana: Mihrimah, córka odaliski.*